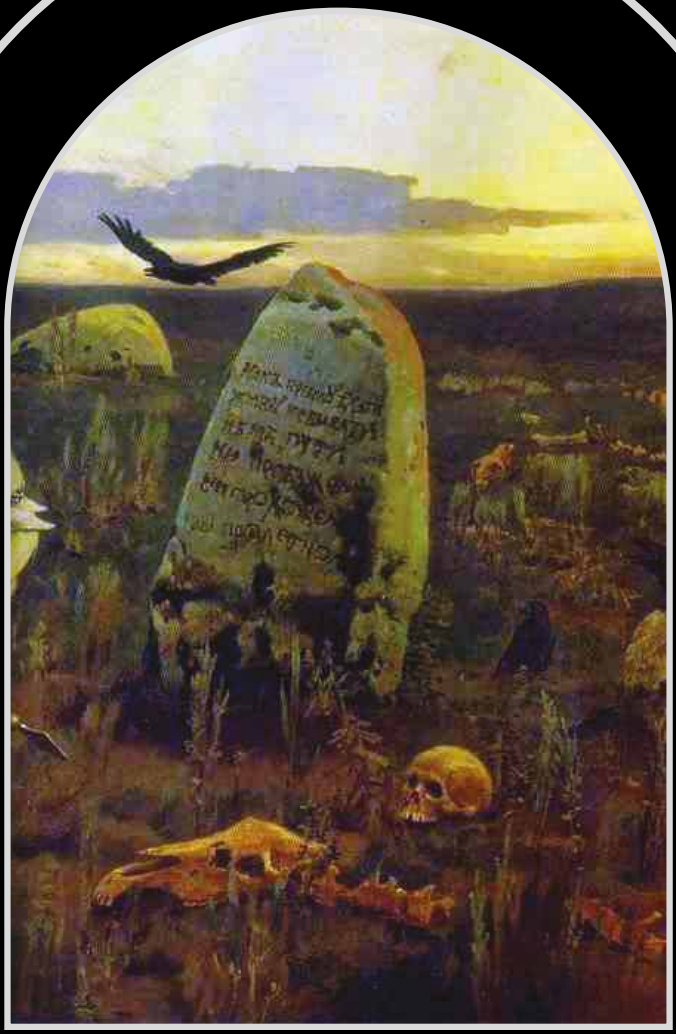

ROMAN ZMORSKI

LESŁAW

SZKIC FANTASTYCZNY

Zmorski

LESŁAW

KATEDRA BADAŃ FILOLOGICZNYCH
„WSCHÓD – ZACHÓD”
WYDZIAŁ FILOLOGICZNY
UNIWERSYTETU W BIAŁYMSTOKU

WYDAWNICTWO ALTER STUDIO

ROMAN ZMORSKI

LESŁAW

SZKIC FANTASTYCZNY

Wstęp i opracowanie tekstu
Halina Krukowska

Redakcja tomu i Aneksu
Jarosław Ławski

Białystok 2014

NAUKOWA SERIA WYDAWNICZA: „CZARNY ROMANTYZM"

REDAKCJA SERII:
Jarosław Ławski (Przewodniczący)
Marcin Bajko, Małgorzata Burzka-Janik, Grzegorz Czerwiński,
Anna Janicka, Dariusz Kukiełko, Marek Olesiewicz, Iwona E. Rusek,
Michał Siedlecki, Łukasz Zabielski

RADA REDAKCYJNA:
Halina Krukowska – Przewodnicząca (UwB)
Wojciech Gutowski (UKW), Maria Kalinowska (UW),
Zbigniew Kaźmierczak (UwB), Alina Kowalczykowa (IBL PAN), Michał Kuziak (UW),
Abp Edward Ozorowski (UwB), Leszek Libera (UZ),
Marek Nalepa (URz), Elżbieta Nowicka (UAM),
Mikołaj Sokołowski (IBL PAN), Jolanta Sztachelska (UwB),
Włodzimierz Szturc (UJ)

Recenzenci tomu: **dr hab. Agnieszka Czajkowska, prof. AJD (Częstochowa)**
dr hab. Michał Kuziak, prof. UW (Warszawa)

Wstęp i opracowanie tekstu: Halina Krukowska
Redakcja tomu: Jarosław Ławski
Streszczenie: dr Jacek Partyka, mgr Małgorzata Biergiel
Indeks nazwisk: dr Michał Siedlecki
Korekta: dr Łukasz Zabielski, dr Michał Siedlecki
Skład, koncepcja graficzna, ilustracje: Alter Studio
Redakcja techniczna: Dariusz Kukiełko, Sebastian Kochaniec, Sylwia Znamierowska

Praca naukowa finansowana w ramach programu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego pod nazwą „Narodowy Program Rozwoju Humanistyki" w latach 2013–2017:

NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI

Kontynuacja krytycznych edycji wybitnych, zapomnianych dzieł XIX-wiecznej, polskiej literatury romantycznej w Naukowej Serii Wydawniczej „Czarny Romantyzm" w X tomach.

Copyright by: Uniwersytet w Białymstoku, Białystok 2014

Na okładce wykorzystano: Fragment obrazu Wiktora Wasnetsowa, *Rycerz na rozdrożu*, 1882

ISBN: 978-83-64081-15-6

Druk:
Alter Studio
ul. Legionowa 30 lok. 211, 15-281 Białystok
tel. 85 72 22 545
www.alterstudio.com.pl

Roman Zmorski (1822–1867)
Draworyt J. Holewińskiego według fotografii J. Mieczkowskiego („Kłosy” 1885).

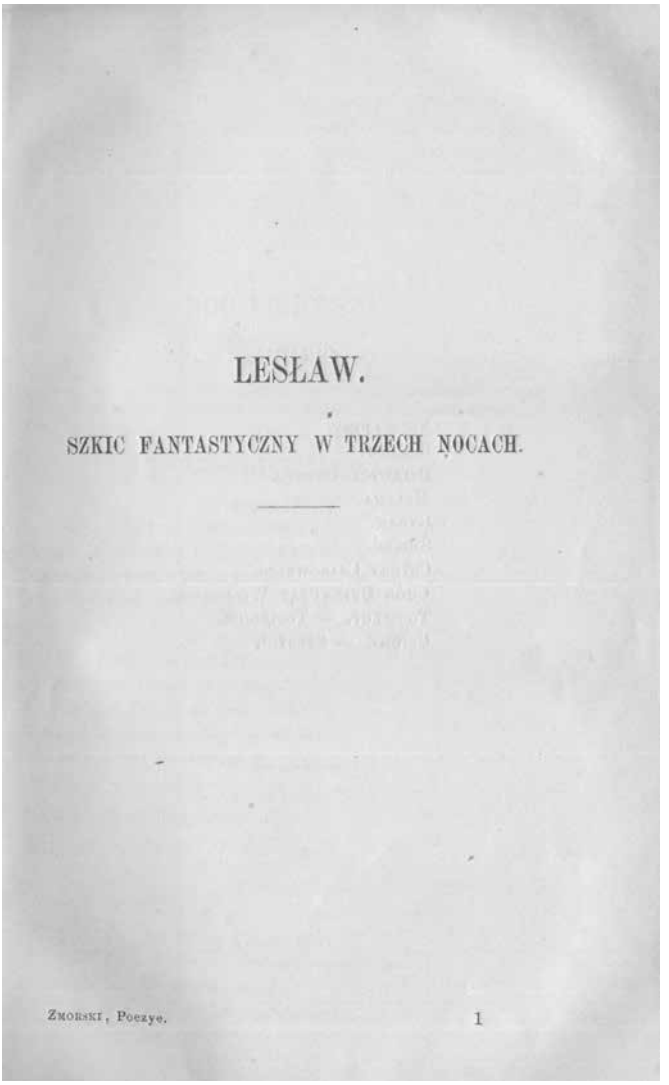

LESŁAW.

SZKIC FANTASTYCZNY W TRZECH NOCACH.

Strona tytułowa edycji z 1866 roku: R. Zmorski, *Poezje*, Lipsk 1866

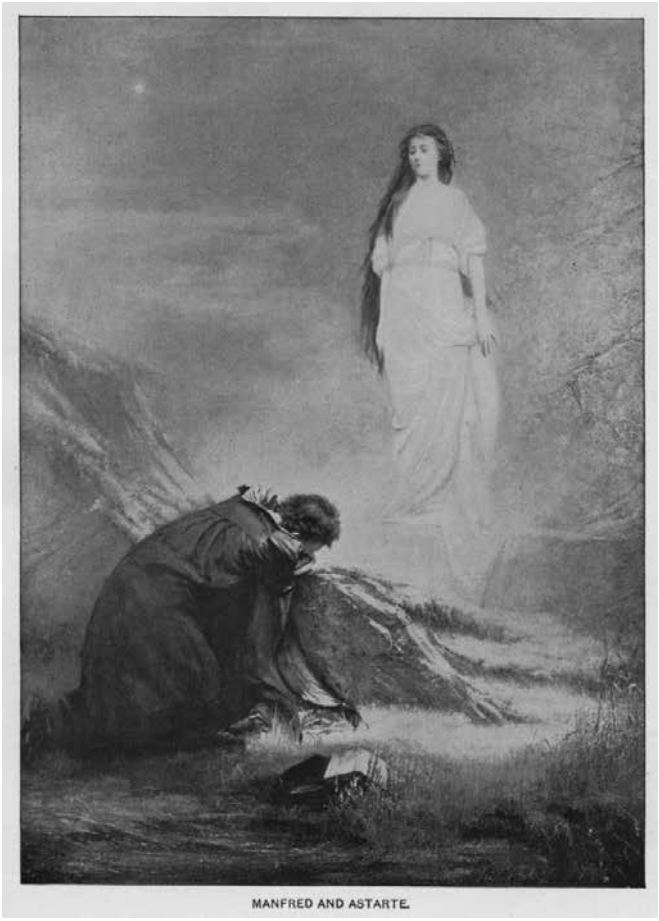

K. Liska, *Manfred i Astarte*, 1892

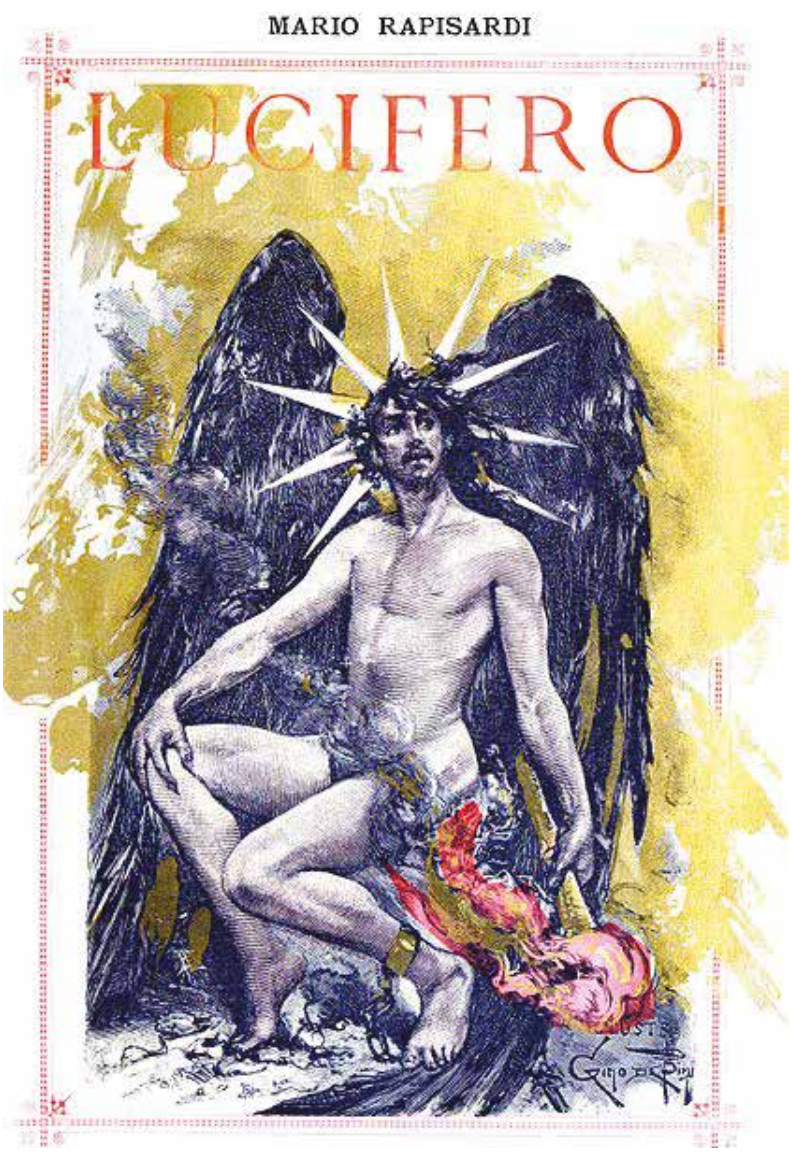

Gino de Bini, Ilustracja do *Lucifero* Maria Rapisardiego, 1887

SPIS TREŚCI

I. Od Redakcji 11

II. Halina Krukowska

„Lesław. Szkic fantastyczny" Romana Zmorskiego, czyli o przekraczaniu tabu śmierci 13

- Przekroczenia czarnej wyobraźni 13
- Oryginalność i typowość utworu 18
- Cyganeria Warszawska – „potrzeba romantyczna" w czasie nocy paskiewiczowskiej 22
- Roman Zmorski – „czarny piewca" 25
- Okiem historii literatury XX wieku 28
- Myślę, więc wątpię, czyli o *Lesławie*. 31
- Figury Nieznajomego 44
- *Lesława* romantyzm negacji 50

III. Zasady wydania 61

IV. Roman Zmorski

Lesław. Szkic fantastyczny 65

V. Aneks. 124

1. Wprowadzenie 125

2. Jarosław Ławski

„Zmora" i „Romanisko". Legenda literacka Romana Zmorskiego. 127

- Warszawscy kontestatorzy 127
- Niedouczeni „wykolejeńcy" 132
- „Namiętny, burzliwy, niespokojny..." 137
- Słowianin 142
- Wśród ludzi epoki 146
- Pisał mało... 155
- Recepcyjne konsternacje 158
- Fenomen kontrkultury 163

3. Liryczne konteksty *Lesława* 167

- *Anioł-Niszczyciel* 169
- *Myśl* 172
- *Do młodego poety* 173
- *Noc Św. Jana. (Podług powieści gminnej)* 175
- *Uczta. (Urywek z zaginionej powieści „Wet za wet")* *180*
- *Pierwsza Noc Czarownic. (Die Erste Walpurgisnacht). Z Goethego* 185

4. Z utworów rozproszonych Zmorskiego 189

- *Rozbiór. Stare gawędy i obrazy Kazimierza Władysława Wójcickiego* .. 191

- *Dziewica-Widmo. (Z podania)* 196
- *Pisma periodyczne w Warszawie literackiej treści* 199
- *Czarna mara. Powieść historyczna przez Annę Nakwaską* 201
- *Korespondencje. Szanowny Redaktorze!* 207
- *Wspomnienie Seweryna Zenona Sierpińskiego* 210
- *Poezje Aleksandra Grozy przez Romana Mazura (Wilno, 1843 roku – tomów dwa)* 217
- *Nieco o narodowości* 244
- *Haszisz* 254

5. Sądy krytyki XIX-wiecznej o *Lesławie* 259

- Edward Dembowski, *Młoda piśmienność warszawska* 261
- Fryderyk Henryk Lewestam, *Lesław. Szkic fantastyczny Romana Zmorskiego, Lipsk; w Księgarni Zagranicznej 1854* 267
- Aleksander Niewiarowski, *Poezja. Lesław. Szkic fantastyczny Romana Zmorskiego* 272
- Marceli Motty, *De omnibus rebus et quibusdam aliis. List XXXVIII* 280
- Karol Libelt, *Filozofia i krytyka*, T. IV (fragment) 288
- Karol Libelt, *Roman Zmorski. Stanowisko jego w literaturze polskiej* 289
- Stanisław Zdziarski, *Ludowość w poezji polskiej XIX wieku* (fragment) 296

6. Ze wspomnień o pisarzu 311

- Wacław Szymanowski, *Roman Zmorski* 313
- [Adam Wiślicki], *Roman Zmorski. (Wspomnienie pośmiertne)* 318
- Adam Rzążewski, *Roman Zmorski. Kilka słów poświęconych pamięci zmarłego w dniu 18 lutego 1867 roku poety* 320
- Aleksander Niewiarowski, *Roman Zmorski. (Wspomnienie)* 342
- Waleria Marrené-Morzkowska, *Grupa poetów z 1840 roku. Roman Zmorski* 348

VI. Bibliografia 363

Noty o Autorach 369

Summary 271

Zusammenfassung 373

Indeks nazwisk 375

OD REDAKCJI

Przedkładana Państwu edycja *Lesława. Szkicu fantastycznego* Romana Zmorskiego (1822–1867) jest pierwszą osobną od stu czterdziestu pięciu lat – po lwowskim wydaniu z 1870 roku – edycją tego tworzącego dla polskiej literatury romantycznej utworu, jednego z najważniejszych tekstów nurtu czarnoromantycznego. Wydanie przygotowano w przededniu 170. rocznicy pierwszego wydania *Lesława* w Pleszewie w 1847 roku.

Roman Zmorski jest dziś poetą, po którego twórczość sięgają tylko specjaliści: historycy literatury, slawiści, badacze folkloru, baśni, warsawianiści, historycy. Niesłusznie! W momencie debiutu był to talent stawiany przez współczesnych wyżej od talentu młodego Norwida. Zmorskiego uznać należy nie tylko za wybitnego poetę, lecz także twórcę najskrajniejszej, radykalnej, nihilistycznej odmiany czarnego romantyzmu, czego świadomi byli już pierwsi czytelnicy jego: *Anioła-Niszczyciela*, *Myśli*, *Nocy Św. Jana* i, oczywiście, „szkicu fantastycznego" *Lesław*, którego nocna, mroczna aura nie ma sobie równych w literaturze polskiej XIX wieku.

Choćby z tego względu – jako radykalnemu myślicielowi, nihiliście, prekursorowi jednej z odmian współczesnej frenezji, a nawet groteski i estetyki absurdu – należy się Zmorskiemu przypomnienie i uznanie. Zaopatrzyliśmy edycję w dwa obszerne wstępy: interpretujący przesłanie *Lesława* oraz prezentujący legendę tajemniczego cygana warszawskiego, jakim był Zmorski. Uznaliśmy za stosowne dołączenie do poematu obszernego *Aneksu* prezentującego: konteksty poetyckie *Lesława*, reakcje krytyki na poemat, wspomnienia o pisarzu, a także zapomniane, rzadko przypominane utwory Zmorskiego.

Mamy nadzieję, iż wydanie *Lesława* w Naukowej Serii Wydawniczej „Czarny Romantyzm" uruchomi żmudny, może powolny, lecz niezbędny proces odzyskiwania tego pisarza dla kultury i literatury polskiej. Literatury, którą coraz częściej postrzegamy jako ogniwo w spójnym procesie historycznego przekształcania się tradycji – ogniwo literatury XIX wieku, zamkniętej klamrą lat 1795–1918, a więc cezurami, które oznaczają kres i początek dawnej i nowej Rzeczypospolitej.

W samym sercu tej epoki jest także miejsce cygana i słowianofila, urodzonego w Warszawie, wykształconego w Białej Podlaskiej i w warszawskim gimnazjum na Lesznie, miłośnika Warszawy i Mazowsza, który spoczął na cmentarzu w Dreźnie obok Kazimierza Brodzińskiego po niespokojnym, burzliwym i tajemniczym życiu. Wyrazem tych jego niepokojów jest właśnie *Lesław. Szkic fantastyczny* – wybitne dzieło późnoromantycznej frenezji. Dzieło, co podkreślamy, oryginalne, mogące i dziś jeszcze poruszyć Czytelnika.

Halina Krukowska, Jarosław Ławski

Caspar David Friedrich, *Pejzaż z sową, grobami i trumną*, około 1836

Halina Krukowska

LESŁAW. SZKIC FANTASTYCZNY ROMANA ZMORSKIEGO, CZYLI O PRZEKRACZANIU TABU ŚMIERCI

Ziemia jak trumna, spoczywa;
Żałobne pienia nucą jej puchacze,
Noc ją, jak wieko, przykrywa,
Miesiąc nad śpiącą, jak nad
Zmarłą płacze.
Seweryn Goszczyński, *Zagadka tkliwego*[1]

Przekroczenia czarnej wyobraźni

Przedstawiamy współczesnemu Czytelnikowi dramat z lat czterdziestych dziewiętnastego wieku[2], chyba najbardziej osadzony w nurcie czarnego romantyzmu, i, co należy podkreślić, wnoszący do tego nurtu swoją własną czarność, czyli niezwykle szokujące i skrajnie ciemne ujęcie tematu śmierci. Drastyczność tego przekazu można porównać nawet nie do uchylenia, ale do gwałtownego i szerokiego otwarcia puszki Pandory. Bo do tego gestu można sprowadzić zuchwałą pokusę Zmorskiego wdarcia się „w pośrodek cmentarza", deptania „po starych, zapadłych mogiłach", po „szczątkach trumien" i „pobutwiałych kościach"[3]. Autor *Lesława* odważył się pokazać śmierć w jej najbardziej odrażających, najskrajniejszych trupich manifestacjach, budzących przerażenie, odrazę i wstręt, a przede wszystkim – grozę. Destrukcyjne działanie śmierci wobec życia Zmorski ujawnił z takim natężeniem tej grozy i z taką brutalnością uczestniczących w tym jej działaniu rozszalałych żywiołów natury, że objawiła się ona w jego utworze jako nieludzka i złowroga potęga kosmiczna. W żadnym tekście romantycznym odczucie wszechobecności śmierci i jej zaborczość wobec życia nie zostały wyrażone z równie dzikim rozkiełznaniem fantazji, z jej drapieżną agresywnością i makabrycznym rozmachem obrazowym.

---

[1] S. Goszczyński, *Zagadka tkliwego*, w: *Dzieła zbiorowe Seweryna Goszczyńskiego*, t. I: *Poezje liryczne*, wydał Z. Wasilewski, Lwów 1911, s.10 (Biblioteka Klasyków Polskich, red. T. Pini).

[2] *Lesław* wyszedł drukiem dopiero w roku 1847. Następnie miał kilka wydań, Lipsk 1866, Lwów 1874.

[3] *Lesława* cytuję za proponowaną w niniejszym wydaniu wersją, w której uwspółcześniono pisownię i interpunkcję oryginału.

Lesław Zmorskiego ze względu na tak daleko posunięte w czarność ujęcie tematu śmierci ma w sobie coś z szokującego, a nawet ekstrawaganckiego, dzikiego autentyzmu i poznawczej poetyckiej krnąbrności, wyrażanych w jego nasilonym stylu frenetycznym. Nie dziwi fakt, że dramat Zmorskiego został uznany za sztandarowe dzieło mrocznej, nieokiełznanej fantazji drugiego romantyzmu. Edward Dembowski nazwał Zmorskiego, jako autora *Lesława*, p o e t ą s z a t a ń s k i m, w ś c i e k ł y m, d z i k i m [4]. Chyba nie będzie przesady, gdy te określenia odniesiemy do jego dramatu.

Mogłoby się wydawać, iż w epoce romantycznej temat śmierci został już wyeksploatowany, że człowiek i śmierć powiedzieli sobie prawie wszystko, a ich rozmowy zostały wyczerpane i zbanalizowane. Trudno byłoby wymienić utwór powstały w tej epoce i nienoszący śladów powiązań z problematyką śmierci. Zmorski swoim *Lesławem* zaszokował, zaskoczył, ponieważ grobowa mroczność tego poematu dramatycznego jest tej miary, że z jego autorem nie może się równać nawet żaden twórca pierwszego, wielkiego romantyzmu. Co więcej, tę czarność przesunął w strefę takiej makabrycznej okropności, że adekwatne dla wyrażenia tego przesunięcia jest słowo – p r z e k r o c z e n i e .

To przekroczenie należy rozumieć w tym wysokim znaczeniu, jakie ma ono w micie inicjacyjnym[5]. Dramat poetyczny Zmorskiego, mimo momentów zbanalizowanych, zachowuje dzięki symbolice inicjacyjnej powagę głębszego, w sensie przerażającego czarną skrajnością, namysłu nad kondycją egzystencjalną i metafizyczną człowieka. Związek *Lesława* z mitem inicjacyjnym jest potwierdzeniem jego romantycznego charakteru. Według Marii Janion, „u podstaw całego romantyzmu tkwi symbolika inicjacji" jako sposobu rozumienia i uporządkowania ludzkiego życia oraz nadania mu „wyższego sensu"[6]. Dramat Zmorskiego został skomponowany zgodnie z logiką „transgresji zstępującej"[7], co potwierdza, że jest on poetyckim świadectwem romantyzmu negacji. Inicjującym jest w utworze Nieznajomy, inicjowany zaś to Lesław, którego autor przedstawia w momentach przełomowych, zawsze związanych z jakimś przekroczeniem. Gilbert Durand w książce *Potęga świata wyobrażeń* stwierdził, że prototypem licznego potomstwa owych n i e z n a j o m y c h ubranych na czarno, którzy do nas podobni są jak bracia, jest Mefistofeles, mroczny powiernik i ponury doradca[8].

---

[4] E. Dembowski, *Młoda piśmienność warszawska*, w: *Pisma*, t. III (1843), red. A. Śladkowska, M. Żmigrodzka, Warszawa 1955, s. 306.

[5] Por. M. Eliade, *Tematy inicjacyjne w wielkich religiach*, przeł. J. Reczek, „Znak" 1984, s. 11-12 i tegoż, *Inicjacja, obrzędy, stowarzyszenia tajemne*, przeł. K. Kocjan, Kraków 1997, oraz inne jego książki. Wiele informacji o inicjacjach zawiera książka: *Z problemów prozy – powieść inicjacyjna*, pod red. W. Gutowskiego i E. Owczarz, Toruń 2003. O scenariuszach inicjacyjnych interesująco pisze tu W. Gutowski w artykule *Młodopolskie inicjacje*, s. 137-149.

[6] M. Janion, *Estetyka średniowiecznej północy*, w: tejże, *Czas formy otwartej. Tematy i media romantyczne*, Warszawa 1984, s. 13, podkr. – Autorki.

[7] Termin zaczerpnęłam z książki R. Kolarzowej, *Przekroczyć estetykę. Tragiczność jako kategoria transgresyjna w poezji i muzyce początku XX wieku*, Kraków 2000.

[8] G. Durand, *Potęga świata wyobrażeń*, *czyli Archetypologia według Gilberta Duranda*, pod red.

Najważniejsze w dramacie Zmorskiego pozostaje przekroczenie tabu śmierci. Jest ono wyrazem poetyckim jej radykalnej deziluzji. Ze względu na postać Nieznajomego, jego główną rolę w świecie przedstawionym *Lesława*, możemy tę deziluzję określić jako szatańską, ponieważ śmierć została tu oderwana od Boga, wiary, ducha, wieczności, a więc pokazana zgodnie z intencją szatana jako przerażający stwór. Takie pozaludzkie widzenie śmierci okazuje się najokropniejszym zatraceniem człowieka, ponieważ staje on skuszony jednoznacznie po stronie szatana, jak tytułowy bohater dramatu, tracący z bytem relację etyczną przez pełne podejrzeń do niego nastawienie.

Właściwością wyróżniającą *Lesława* jest przedstawienie śmierci bez żadnych złudzeń, spojrzenie wprost w jej przerażające oblicze b e z o b ł u d y. Cały kosmos w utworze Zmorskiego to przestrzeń czarnocmentarna, ponura, gdzie odbywa się pożeranie żywych przez powstającą z grobów zgraję upiorów „na żer swój krwawy". To tu, wśród otwierających się grobów, z nieodzownym rekwizytem, czyli z kosą, króluje „okropna potwora" ze zbroczoną, rozwartą paszczęką, szerząca państwo zniszczenia. Śmierć usiłuje uczynić z Lesława swego niewolnika, by stał się on „w niszczenia dziele" jej pracownikiem. Bohater Zmorskiego wybija się jednak z życia zaklętego kręgu, z kipiącego wiru zniszczenia. Wybiera wolność, przyzywa Szatana, który ukazuje się „w koronie płomienistej na skroniach w czarnej rozpadlinie ziemi". Widzimy, jak Lesław postępuje ku przepaści i wita bezdenne otchłanie piekła: „jeśli z klątwy przeznaczenia / niezdolnym świata wybawić przez miłość". Przed uczynieniem tego ostatniego kroku wypowiada znamienną refleksję: „A ciężar męczarń wtedy tylko boli, / Pomimo własnej kiedy tłoczy woli/ Niestraszny, gdy na siebie włoży go kto sam". Pobratany z Szatanem „okropnym węzłem", wybiera wolność, a więc otchłań piekielną, w którą się rzuca.

Bohater Zmorskiego w buncie przeciw Śmierci opowiada się, jak Kain u Byrona, po stronie Szatana. To z jego diabelskiej inspiracji krytykuje Boga jako demiurga śmierci[9]. W owym niezwykłym d z i a n i u s i ę na cmentarzu-kosmosie uczestniczą Śmierć, Szatan i Lesław, główni bohaterowie poematu dramatycznego, a także trupy, upiory, strzygi, czyli „straszliwa tłuszcza" z błyszczącymi żółtymi kośćmi, od której wieje „zgniła wilgoć truny". W tej cmentarnej akcji biorą udział sprzymierzeńcy Śmierci, czyli rozszalałe żywioły, wrogie ludzkości moce natury, a więc gromy, błyskawice oraz wrzeszczące nocne ptactwo, puszczyki, sowy i nietoperze.

K. Falickiej, Lublin 2002.

[9] Zob. o literackich (i nie tylko) wyobrażeniach śmierci: *Człowiek wobec śmierci na przestrzeni dziejów*, red. J. Kordel, M. Sas, Warszawa 2011; *Problemy współczesnej tanatologii. Medycyna, antropologia kultury, humanistyka*, red. J. Kolbuszewski, Wrocław 2007; M. Bieńczyk, *Czarny człowiek. Krasiński wobec śmierci*, Gdańsk 2001; *Juliusz Słowacki. Wyobraźnia i egzystencja*, red. M. Kuziak, Słupsk 2002; L. Zwierzyński, *„Ja" poetyckie Słowackiego – próba ujęcia konstelacyjnego*; W. Szturc, *Pisanie jest doszczętne – Antonin Artaud*, w: *Zanikanie i istnienie niepełne. W labiryntach romantycznej i współczesnej podmiotowości*, red. A. Dębska-Kossakowska, P. Paszek, L. Zwierzyński, Katowice 2013.

W *Lesławie* zostało więc wypowiedziane radykalne zaprzeczenie przyjętym przekonaniom o śmierci, ukrywającym jej wampiryczną cielesność, gnilną straszność. Dramat Zmorskiego należy do tych rzadkich utworów, które wobec śmierci nie stosują żadnej taktyki obłaskawiającej.

Lesław jest poetyckim świadectwem, że mroczne sprawy wielkiego romantyzmu i w romantyzmie krajowym nie zeszły na dalszy plan. Przywykło się sądzić, że romantyzm krajowy ma przede wszystkim charakter tyrtejski, a temat egzystencji został, w tej drugiej, krajowej fazie rozwoju prądu, zdominowany przez temat Ojczyzny. *Lesław*, i nie tylko on, zadaje kłam takim opiniom. Niektórzy badacze sądzą, że na jego fantastykę nie pozostawał bez wpływu także krajowy romantyzm orficki[10]. W każdym razie, co zdecydowanie podkreślamy, *Lesław* Zmorskiego należy do tych nielicznych tekstów romantyzmu polskiego, które nie zostały natchnione duchem ojczystym.

W romantyzmie krajowym dramat ten, reprezentując biograficzną zasadę kompozycyjną, podejmował tradycję wielkich poprzedników, dla których najistotniejszą regułą był indywidualizm, stojący jakby na straży koniecznej otwartości życia w stronę egzystencjalnej głębi, tajemnicy i metafizyki. Zasadniczą częścią utworu Zmorskiego jest więc wewnętrzna biografia bohatera, w zasadzie jej ostatnie momenty, w których zrywa on ostatecznie z życiem. Owego Lesławowego „nie żyć" autor nie przedstawił jako niegodnej ucieczki z życia słabego człowieka, ale ukazał jako świadomy czyn młodzieńca totalnie zbuntowanego.

W okresie romantyzmu, poczynając od jeszcze XVIII-wiecznych *Cierpień młodego Wertera* Johanna Wolfganga Goethego, kompozycje biograficzne miały wiele wcieleń i to w różnych gatunkach literackich[11]. Były jednak rozpoznawalne właśnie jako biografie przez swą treść, zawsze dotyczące problemów jednostkowej egzystencji. Należy podkreślić, że są to utwory zwykle napisane w ciemnej tonacji uczuciowej. Według Janion, „biografia młodzieńca stanowiła niejako największą wartość, którą wnosił romantyzm do kultury"[12]. Ta znawczyni romantyzmu sądzi, że struktura biografii umożliwiała najbardziej bezpośrednie wejrzenie w duszę młodego zapaleńca.

Lesław, będąc strukturą biograficzną, nie został jednak napisany przez Zmorskiego w trybie linearnym. Nie chodziło mu o przedstawienie przedmiotowe tzw. dziejów bohatera, lecz o zasadnicze, przełomowe, graniczne momenty jego życia

[10] Por. Z. Przychodniak, *Obrona „Sylfidy". O zapomnianych recenzjach teatralnych Antoniego Lesznowskiego*, w: *Zapomniane wielkości romantyzmu*, red. Z. Trojanowiczowa, Z. Przychodniak, Poznań 1995, s. 298. Według Przychodniaka, przykładem oddziaływania orfickiego romantyzmu krajowego (teatralnego) jest „szkic dramatyczny" Zmorskiego *Lesław* – „w istocie dziwna mieszanina tyrteizmu i orfizmu".

[11] Choćby wymienić trzeba: *Cierpienia młodego Wertera*, *Rene*, *Kain*, *Lambro*, *Kordian*, *Dziady* cz. IV, *Wacława dzieje.*

[12] M. Janion, *Poezja w kraju. Próba syntezy*, w: *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831–1863*, t. 1, red. M. Janion, B. Zakrzewski, M. Dernałowicz, Kraków 1971, s. 91.

wewnętrznego, związane zawsze z jakimś przekroczeniem. A ostatnim jego przekroczeniem jest wybór piekła.

W tym miejscu należy przypomnieć, że w czasie, kiedy Zmorski pisał swoją „spowiedź dziecięcia wieku", czyli na początku lat 40. dziewiętnastego stulecia, dawał już o sobie znać pozytywizm, jego wyrachowane krzątactwo i trzeźwość.

Zmorski, tworząc ten dramat, zawierający taką porcję dzikiej fantastyki, wyrażał w ten poetycki sposób protest przeciwko sprowadzaniu życia do jednego wymiaru, czyli tylko to sfery materialnej, a więc praktycznej, utylitarnej. Być może wyrażony w *Lesławie* wprost gnostycki uraz do materii, do ciała, żywiącego się tylko krwią, a nie duchem, tu ma swoją genezę. Odnosimy wrażenie, że w dramacie krajowego romantyka następuje nieustanne pomniejszanie bytu przez śmierć, jego ubywanie, bo przechodzi on w próchno, proch, zgniliznę, najniższe stany materii, której – o dziwo – Zmorski nie pozostawia w ziemi, w grobach, ale czyni współuczestniczką jakiejś koszmarnej ewolucji wampirycznej.

Autor wiersza, słynnego w swoim czasie, *Anioł-Niszczyciel*, położywszy w tytule swego dramatu poetycznego imię bohatera, przywołał tym samym najbardziej naturalny dla swego utworu kontekst literacki i, co za tym idzie, problemowy i estetyczny. Bohaterem *Lesława* jest kolejny romantyczny młodzieniec, typowa dusza romantyczna, poeta, artysta. Zmorski pragnął zgłębić osobowość artysty, jej czarne demoniczne stany, rozterki, akty dezercji z dyscyplin życia społecznego, niemożność wywikłania się z fascynacji wyobrażoną jakąś idealnością, poezją wymyśloną, oderwaną od życia. Mierzył się z koniecznością pojednania z życiem przez związek z ideałem realnym, czyli Heleną. Słowo „czarny" w odniesieniu do *Lesława* ma wydźwięk ontologiczny, oznacza doświadczenie przez bohatera skrajne różnych nicości.

Zmorski pokazuje duszę poety zlaicyzowaną, oderwaną od wyobrażeń religijnych, co nie oznacza, że w jego utworze nie są przypominane istotne wartości życia Boskiego, łączące się z postacią Rybaka i właśnie Heleny, bohaterów świata realnego utworu.

W poemacie dramatycznym Zmorskiego zauważamy bardzo wyraźne nachylenie egzystencjalne, o czym świadczą, dające się uchwycić, ślady zasadniczych mitów egzystencjalnych romantyzmu, reprezentowanych przez: Hamleta, Fausta, Prometeusza, Kaina, Lucyfera, Konrada, a także Narcyza[13]. Bohatera Zmorskiego od innych głównych postaci kompozycji biograficznych romantyzmu odróżnia właściwa mu w r a ż l i w o ś ć n e k r o t y c z n a , niemożność uwolnienia się od atakujących jego wyobraźnię widoków żywych trupów, rozwartych mogił, spróchniałych całunów.

[13] Por. M. Janion, M. Żmigrodzka, *Romantyzm i egzystencja. Fragmenty niedokończonego dzieła*, Gdańsk 2004. Autorki planowały napisać książkę *Mity egzystencjalne romantyzmu.*

Oryginalność i typowość utworu

W *Lesławie* odnajdujemy obiegowe motywy, wątki i postaci czarnego romantyzmu. Jednocześnie nie możemy potraktować tego utworu jako biernego ich powtórzenia. Jest czymś oczywistym, że Zmorski nie był tej miary poetą, by, jak Cyprian Kamil Norwid, nie wziąć czegoś od wielkich. Bez trudu zauważamy, iż tworzył pod przemożnym ich wpływem. Brać od nich, a więc z *Fausta* Goethego, z *Kaina* Byrona, *Dziadów* Mickiewicza, a także z *Nie-Boskiej Komedii* Krasińskiego, ze Słowackiego, to, co pozwoliło mu przekroczyć miarę tej czarności, którą już tu zastał. W tym przekraczaniu prowadziła go fantazja. Odnosimy wrażenie, że wyrasta ona ponad poetę, czyli staje się on jakby jej ofiarą. Dopowiedzmy, iż przejawiła się ona w *Lesławie* z jakąś dziką, nocną pasją.

W dotychczasowej literaturze przedmiotu *Lesław* był oceniany bardzo różnie, a nawet należy podkreślić, że skrajnie. Edward Dembowski, pierwszy krytyk *Lesława*, wyniósł go do wielkości co najmniej równej *Faustowi* Goethego[14]. Późniejsze oceny były raczej negatywne[15]. *Lesława* uważano za utwór dotknięty nazbyt widoczną skazą epigonizmu. Z jednej strony Zmorski żeruje na wielkich romantykach, ale jednocześnie udaje mu się wyróżnić swój utwór j a k ą ś r e s z t ą , k t ó r a j e s t i nie daje się sprowadzić do niczego istniejącego w poprzedzających go dziełach.

Lesław jest dramatem, który nie zasługuje na pomijanie. To przemyślany pod względem kompozycyjnym utwór. Wiele razy próbowano *Lesława* pomniejszać za pomocą narzędzia bardzo skutecznego, czyli wpływologii. Nie pójdziemy tą drogą. Uważamy, że tekst Zmorskiego nie jest tylko bladym odblaskiem wielkich dzieł pierwszego romantyzmu. Ma swoją wartość. Zasługuje na przypomnienie przede wszystkim ze względu na swoją jaskrawą estetykę okropności, ekspresję wstrząsającą dzikim, czarnym naturalizmem. Z tym utworem Zmorskiego nie może się równać żaden poeta wielkiego romantyzmu. Ze względu na wyrażoną w *Lesławie* wrażliwość nekrofilską Zmorski został uznany przez historyków literatury, i to wybitnych, za najintensywniej czarnego poetę polskiego romantyzmu[16].

Należy jednak zaznaczyć, że estetyka okropności została przez Zmorskiego tak daleko posunięta w szokowaniu, że czasami ociera się o groteskę. *Lesław* zyskał w ten sposób na wrażeniu, ale stracił na poezji.

---

[14] Por. E. Dembowski, *Młoda piśmienniczość warszawska*, dz. cyt. Zob. W. Szturc, *Faust Goethego. Ku antropologii romantycznej*, Kraków 1995.

[15] Felietonista poznański, Marceli Motty, powtarzam za E. Pieścikowskim (*Poeta-tułacz. Biografia literacka Romana Zmorskiego*, Poznań 1964), „obszedł się z tym młodzieńczym płodem Zmorskiego w sposób bezpardonowy (…) [uznając go za] takie hamleto-fausto-szekspiro-bajronizowanie (…)" (s. 70).

[16] M. Janion, *Warszawska lewica romantyczna*, w: *Czas formy otwartej*, s. 266, M. Piwińska, *Bóg utracony i Bóg odnaleziony. Buntownicy i wyznawcy*, w: *Problemy polskiego romantyzmu*, S. I., pod red. M. Żmigrodzkiej i Z. Lewinówny, Wrocław 1971, s. 251-301.

Wydaje się, że utwór Zmorskiego wyznacza jeden z biegunów – i to skrajnych – estetyki i myśli romantycznej w Polsce. Z jednej strony mamy więc estetykę idylli, którą reprezentuje Kazimierz Brodziński, w późnej twórczości nieunikający wątków mesjanistycznych[17]. Z drugiej zaś estetykę makabry, frenezji, a nawet makabreski, którą najdobitniej reprezentuje, wywodzący się spod skrzydeł Byrona, właśnie *Lesław* Zmorskiego[18].

W związku z wyborem przez Zmorskiego patronatu Byrona przywołajmy opinie dwóch poetów, Kazimierza Brodzińskiego i Zygmunta Krasińskiego. Dlaczego Brodziński? Stefan Kawyn szkic biograficzny o Zmorskim zamyka informacją:

> Grób jego znajduje się w pobliżu miejsca spoczynku Kazimierza Brodzińskiego, z którym go łączyło umiłowanie słowiańszczyzny i ludowej pieśni słowiańskiej[19].

Tak zatem spotkały się na cmentarzu w Dreźnie dwa ulubione style poezji krajowej: frenetyczny autora *Lesława* i idylliczny twórcy sielanki *Wiesław.* Maria Dernałowicz również obszerny artykuł poświęcony Zmorskiemu zakończyła następującą refleksją:

> Zmarł w szpitalu friedrichstadzkim 19 lutego 1867 roku. Pochowano go na cmentarzu drezdeńskim, blisko grobu Kazimierza Brodzińskiego. I tak tam leżą do dziś – poeta, w którego usta Mickiewicz włożył słynne słowa: „Sławianie, my lubimy sielanki", Zmorski, zbieracz pełnych okrucieństwa ludowych podań, autor *Anioła-niszczyciela* i *Wróżb Mazura*[20].

Brodziński i Zmorski – obaj żyli na bruku miejskim, ale duchowo byli związani z prostotą i naturalnością wsi. Tu odnajdywali ideały życia, do których usiłowali poprzez swoją twórczość zbliżyć ludzi.

To dziwne zrządzenie losu, łączące obu poetów na cmentarzu drezdeńskim, przypomina ich bardzo różny stosunek do twórczości Byrona. Gdyby się spotkali za życia, musieliby stwierdzić, że wiele ich dzieliło, a zwłaszcza właśnie Byron. Alina Witkowska we *Wstępie* do *Wyboru pism* Brodzińskiego zauważyła, że „nie lubił [on] mrocznej, pełnej fantastyki i guseł ludowości romantyków"[21]. A przecież taka była ludowość Zmorskiego. Postawmy pytanie, czy Brodziński zaakceptowałby *Lesława?* Z wielu sądów krytycznych, zawartych w jego pismach, rozprawach, możemy wnosić, że nie.

---

[17] Zob. M. Patro-Kucab, *„Jest to głos Ojczyzny, z jej serca i ducha wydobyty". O późnej twórczości poetyckiej Kazimierza Brodzińskiego*, Rzeszów 2011.

[18] Por. G. Ritz, *Romantyczna frenezja jako koncepcja obrazowania*; M. Saganiak, *Rozpacz i walka z nihilizmem. „Fantazja konania" Zygmunta Krasińskiego*, w: *Nihilizm i historia. Studia z literatury XIX i XX wieku*, red. M. Sokołowski, J. Ławski, Białystok – Warszawa 2009; M. Szladowski, *(Bez)senna egzystencja. Starość Józefa Ignacego Kraszewskiego*, red. A. Janicka, Białystok 2012.

[19] S. Kawyn, *Roman Zmorski (1822–1867)*, w: *Cyganeria Warszawska*, s. 102.

[20] M. Dernałowicz, *Roman Zmorski (1822–1867)*, w: *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku*, Seria 3, t. 2: *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831–1863*, red. M. Janion, M. Dernałowicz, M. Maciejewski, Warszawa – Kraków 1988, s. 250.

[21] A. Witkowska, *Wstęp*, w: K. Brodziński, *Wybór pism*, Wrocław 1966, s. 84.

Na pewno nie, z powodu byroniczno-lucyferycznego piętna tego utworu. Przypomnijmy, co autor *Wiesława* sądził o czarnej poezji, do której przynależy *Lesław*. Brodziński miał niejakie zrozumienie dla upodobań czytelnika, który „lubi być nie tylko uniesiony, ale i przerażony”[22]. Poezja więc siłą rzeczy, zdaniem Brodzińskiego, przedstawia także naturę, która swą okropnością przeraża. Poeta powinien więc odsłaniać „całą czarną jej stronę”[23]. W zasadzie Brodziński miał bardzo niechętny stosunek do czarnych, poetyckich okropności, co jest bardzo zauważalne we fragmentach jego tekstów poświęconych Byronowi, poecie, według krytyka, namiętnie i gwałtownie czującemu i z tego powodu niezdolnemu do patrzenia zdrowo na namiętności innych. Brodziński kierował pod adresem autora *Kaina* pełne złośliwości uwagi, nazwał go „duchem zwodzicielem”, który „słabsze umysły na szczyty gór prowadzi i zawrotu głowy nabawia”[24].

Zdaniem autora *O idylli pod względem moralnym*, Byron przyczynił się w największym stopniu „do osłabienia wyobraźni tegoczesnych poetów”:

> Od Byrona począwszy, natchnienia częściej prowadzą poetów do piekieł, między duchy złowrogie, upiory, jaskinie łotrów (…), aniżeli ku jasnym, niebieskim krainom, ku niewinnym aniołom (…) albo ideałom wzniosłych charakterów w dziejach przeszłości[25].

Odnosimy wrażenie, jakby Brodziński pisał o *Lesławie.* Poetów pozostających pod wpływem Byrona, a przecież takim był Roman Zmorski, autor czarnego *Lesława*, Brodziński nazwał „nowymi mniemanymi gigantami”, którzy „nie mogąc nieba dosięgnąć, rzucają się w przepaście, unikając światła, walczą przeciw porządkowi natury”[26].

Z tych wypowiedzi wynika, że Brodziński w przeciwieństwie do Zmorskiego nie miał upodobania do „nadzwyczajnych okropności za naturę posuniętych”[27]. Ciemność, której znakami w *Lesławie* są przepaście, piekło i upiory, Brodziński uważał za szkodliwe burzenie porządku życia, za odstąpienie od natury. Zapewne więc Brodziński odczytywałby *Lesława* jako poezję „mającą tylko w gwałtownych żądzach swój żywioł” i „bramami piekła wzmacniającą swoją ekspresję”[28]. Za niepożądane jej cechy uważałby: czarną melancholię, szał niesforny, przerażające okropności, wyobraźnię dziką i nadmiernie podnieconą oraz gwałtowność uczuć, a i zapewne nocne bestiarium latające Zmorskiego, sowy, puszczyki i nietoperze[29].

---

[22] Tamże, s. 455.
[23] Tamże.
[24] Tamże, s. 396.
[25] Tamże.
[26] Tamże, s. 397.
[27] Tamże, s. 396.
[28] Tamże, s. 429, 455.
[29] Oczywiście, nietoperz-ssak należy to tego samego symbolicznego bestiarium latającego co puszczyk. Zob. S. Kobielus, *Bestiarium chrześcijańskie. Zwierzęta w symbolice i interpretacji. Starożytność i średniowiecze*, Warszawa 2002.

Podsumowując, możemy stwierdzić, że Brodziński dla czarnej strony natury, a, co za tym idzie, i dla czarnej poezji, nie miał estetycznego zrozumienia. Potwierdzeniem jego niechętnego stosunku do literackiej czarności były jego spojrzenia na romantyzm niemiecki, oczywiście ten czarny, którego noc przeraża go dzikością, posępnością i trwożnymi uczuciami. Wybitny ten krytyk nie miał upodobania w obrazach pełnych gwałtownych namiętności i okropności. Wnosimy z powyższego, że *Lesław* Zmorskiego jako poezja niesamowicie czarna nie uzyskałby estetycznej i światopoglądowej aprobaty. Zwłaszcza *Noc trzecia* z *Lesława*, zawierająca drastyczne, cmentarne obrazy, przerażające jej naturalistycznymi okropnościami i trupami, z pewnością otrzymałaby negatywną ocenę.

Przywołaliśmy wypowiedzi Brodzińskiego, ponieważ dotyczyły one czarnej poezji. Jak widać, stylistyka używana przez autora *O idylli pod względem moralnym* bardzo przylega do świata przedstawionego w *Lesławie*. Można potraktować ją jako pewne przydatne narzędzie, ułatwiające zbliżenie się do jego niepowtarzalnej w literaturze polskiej estetyki okropności, która go skutecznie odróżnia od innych czarnych poetów romantyzmu. Inaczej mówiąc, *Lesław* Zmorskiego ma swoją własną czarność[30].

Jakby z wyższego pułapu problemowego, dotyczącego dobra i zła, wypowiedział się o Byronie również Zygmunt Krasiński. Jego wypowiedź może być odniesiona i do *Lesława*, tak inspirowanego przez angielskiego poetę. Wypowiedź zawarta została w jednym z listów Krasińskiego do Henryka Reeve'a:

> Zakończenie *Fausta* jest dla mnie dowodem, że Goethe był naprawdę wielkim poetą, większym niż sam Byron; bo przypomnij sobie *Manfreda*, *Kaina*, *Marino Faliero* itd., itd., a zobaczysz, że wszędzie uwieńczeniem dzieła jest potępienie. W tym sensie Byron w poezji wszechświata tylko przybliżeniem. Nie pojął całości; Goethe zaś zrozumiał wszechświat, walkę dobra ze złem, i kazał triumfować dobru (…), to doprawdy szczególne, że ten człowiek zwyciężył świat i pokonał Szatana. Ślepnący Faust to wielka myśl. Ale tak musiało być. Wyczerpał wszystkie możliwości ziemi, wszystkie możliwości piekła[31].

Czy więc i w jakim stopniu *Lesław* jest tekstem oryginalnym? A może „tylko" typowym dla pewnego rodzaju estetyki skrajności? W ostatecznym rachunku sądzimy, że miarodajna, jeżeli chodzi o wartość historycznoliteracką *Lesława*, jest opinia znawczyni romantyzmu, Aliny Witkowskiej:

> W pokaźnej grupie utworów krajowych najoryginalniej został pomyślany *Lesław* Zmorskiego, szkic fantastyczny, jak głosi jego podtytuł[32].

---

[30] Jej odrębność zarysowuje się wyraziście na tle frenezji Krasińskiego, przenikliwie interpretowanej przez Zbigniewa Suszczyńskiego. Zob. tegoż, *Wstęp*, w: Z. Krasiński, *Agaj-Han. Powieść historyczna*, Białystok 1998.

[31] Z. Krasiński, *Listy do Henryka Reeve*, przeł. A. Olędzka-Frybesowa, oprac. Z. Sudolski, t. II, Warszawa 1980, s. 101.

[32] A. Witkowska, *Romantyzm*, Cz. II, s. 496, w: A. Witkowska, R. Przybylski, *Romantyzm*, Warszawa 2003.

Cyganeria – „potrzeba romantyczna" w czasie nocy paskiewiczowskiej

Patrząc na romantyzm krajowy z perspektywy historii literatury polskiej, możemy stwierdzić, że tworzyło go wielu poetów, ale żaden z nich nie miał talentu na miarę twórców wczesnego i wielkiego romantyzmu. Taką opinię możemy odnieść także do grupy poetów z drugiego pokolenia romantyków, działających w Warszawie w latach 1838–1844, najczęściej nazywanych Cyganerią Warszawską[33]. Badacze zgodnie stwierdzają, że wybijającą się osobowością w tej grupie był autor *Lesława*, Roman Zmorski.

W najważniejszych cechach, konstytuujących grupę Cyganerii Warszawskiej, wyraziła się kolejna w naszej kulturze „potrzeba romantyczna". Według autora *Historii sztuki europejskiej*, Petera Meyera, „potrzeba romantyczna należy do podstawowych sił kultury, a tylko sposób jej zaspokojenia jest zmienny i dowolny"[34]. W opinii autora, „prąd romantyczny jest zawsze ruchem, który przeciwstawia się panującej nowoczesności. Skoro tylko gdzieś wytworzy się wysoka kultura miejska lub dworska, można tam dostrzec ruchy romantyczne". Meyer sądzi, że ujawniają się one w zwrocie twórców tych ruchów do ludzi żyjących na wsi, których cechuje pewna spontaniczność duchowa. Czymś naturalnym jest przeciwstawienie jej stałemu chyleniu się do upadku miastowej kultury, miastowego intelektualizmu, który właśnie rozwija się w skupiskach miejskich. W tym intelektualizmie, w jego sztucznej uczoności upatruje się zadatek początku upadku kultury, jej zużytych form i ograniczeń, jej wiedzy rozumowej, obcej bezpośredniości życia, jakie wyróżnia ludzi żyjących na wsi. Maria Janion przekonuje, że „wypowiedź Meyera wydaje się wyjątkowo cennym wyjaśnieniem tak genezy tzw. uczuć romantycznych, jak i mechanizmu odrodzeń rozmaitych neoromantyzmów"[35].

W działaniach i zachowaniach Cyganerii Warszawskiej odnajdujemy te mechanizmy, a więc przede wszystkim sprzeciw jej przedstawicieli wobec kultury miejskiej, fascynację wsią, regionalizm, powrót do natury. Właśnie w tych skłonnościach objawiała się „potrzeba romantyczna" w pokoleniu romantyków warszawskich. Cyganerię Warszawską możemy kwalifikować jako ruch neoromantyczny. Wśród historyków

[33] Korzystałam z następujących prac: S. Kawyn, *Cyganeria Warszawska*, w: tegoż, *Studia i szkice*, wstęp A. Hutnikiewicz, Kraków 1976; S. Kawyn, *Cyganeria Warszawska*, wstęp, wybór i oprac. S. Kawyn, Wrocław 1967, BN I, nr 192; J. W. Gomulicki, *Genealogia Cyganerii Warszawskiej*, w: W. Szymanowski, A. Niewiarowski, *Wspomnienia o Cyganerii Warszawskiej*, zebrał i oprac. J. W. Gomulicki, Warszawa 1964; M. Żmigrodzka, *Edward Dembowski i polska krytyka romantyczna*, Warszawa 1957; M. Janion, *Zapaleńcy epoki paskiewiczowskiej*, w: tejże, *Czas formy otwartej*, Warszawa 1984; *Głosy o Lenartowiczu 1852–1940*, wybór, noty, przypisy i wstęp P. Hertz, Kraków 1976; M. Janion, *Druga i trzecia generacja romantyków*, w: tejże, *Gorączka romantyczna*, Warszawa 1975.

[34] P. Meyer, *Historia sztuki europejskiej*, t. II: *Od renesansu po czasy współczesne*, uzup. B. Krzywobłodzki i B. Dąb-Kalinowska, przeł. F. Buhl, J. Ruszczyc, A. Steinborn, Warszawa 1973, s. 223-224.

[35] M. Janion, *Czas formy otwartej. Tematy i media romantyczne*, s. 61.

literatury nie ma zgodności co do składu osobowego Cyganerii, a także programu jej działania[36]. Najprawdopodobniej była to nieformalna grupa poetycka. Niektórzy oceniają, że raczej było to luźne stowarzyszenie literackie lub towarzystwo literackie. Zdaniem Stefana Kawyna, Cyganerię Warszawską tworzyły osobowości odznaczające się różnymi temperamentami i odmiennymi postawami wobec świata. Tym, co najbardziej łączyło członków Cyganerii, była fascynacja twórczością wielkich poetów romantycznych[37].Ta fascynacja i młodość okazały się podstawą spajającą, więzią wewnętrzną grupy. Sympatyzujący z cyganami Edward Dembowski swój artykuł *Młoda piśmienność warszawska* z roku 1843 rozpoczął od wyniesienia młodości jako hasła „wielkich dążeń postępowych". Pisał:

> (...) młodość, ów wyraz strojny jako aniołów śpiew, potężny, jako jęk potępieńców, cnota i wielkość, miłość i mądrość, twórczość, objęte w jednym uniesienia zapału, namiętności ognisku; młodość, ten wyraz boski, uczuty, jeżeli nie pojęty, przez każdego, kto godzien zwać się człowiekiem, zabłysła jaskrawą zorzą nad piśmiennością Warszawy[38].

Zdaniem badaczki romantyzmu krajowego, Cyganeria Warszawska uprawiała swój „promienny lot młodości" na samym dnie nocy paskiewiczowskiej, najgłębszym dnie niewoli, takim, od którego trudno było się odbić[39].

A jednak młodzi cyganie warszawscy od tego dna się odbili, mieli odwagę w tej nocy podnieść protest przeciwko godzeniu się społeczeństwa z niewolą, przemówić własnym głosem młodości, a raczej krzyknąć buntowniczo, dając tym samym znaczący i inspirujący sygnał swemu pokoleniu. Właśnie styl cygański, a więc romantyczny, okazał się jedną z możliwych w tym czasie form jawnego sprzeciwu wobec władz zaborczych i wobec tych grup społeczeństwa, które coraz widoczniej przyzwyczajały się do noszenia obroży niewoli narodowej.

Nazwa grupy – „cyganeria" – nie była przypadkowa. Świadczył o tym właśnie styl życia uprawiany świadomie „na pokaz" przez jej przedstawicieli. Przez zachowania burszowskie cyganie starali się bardzo głośno, wyraziście zaznaczyć w ówczesnej Warszawie swoje istnienie. Wykazywali przy tym dużą inwencję w wyborze drastycznych zachowań, które miały na celu sprowokować władze zaborcze, tym samym wprowadzić w stan nerwowego podrażnienia, a także poprzez różne ekscesy i ekstrawagancje ośmieszyć usłużne tej władzy społeczeństwo, jego spiżarnianą sytość skompromitować przez wyraz swojego ubóstwa. Słynne stały się urządzane przez cyganów manifestacje uliczne, odbiegające drastycznie od akceptowanych potulnie form zachowań społecznych w czasie nocy paskiewiczowskiej. Mam na uwadze słynną ich przeprowadzkę

[36] Por. S. Kawyn, *Cyganeria Warszawska*, w: *Studia i szkice*, s. 138-139.
[37] Por. tamże, s. 149,157.
[38] E. Dembowski, *Młoda piśmienność warszawska*, s. 286.
[39] M. Janion, *Druga i trzecia generacja romantyków*, Warszawa 1975, s. 132.

z jednego ubogiego poddasza do innego, ze skromnymi meblami, włóczenie się cyganów po szynkach, gdzie prowadzili długie, nocne rodaków rozmowy, nie stroniąc także od ognistej wody[40]. Czasami bywali w salonach, ale raczej od towarzystwa salonowego stronili i je ośmieszali[41].

Cyganie zaświadczali swym niecodziennym stylem bycia i pisania, że tylko młodość potrafi żyć twórczo, a przede wszystkim zbuntować się i pchać życie zmartwiałe nowymi tory. Maria Janion sądzi, że ta cygańska apoteoza młodości oznaczała wyniesienie prawdy, że miarą człowieczeństwa jest życie twórcze, a jego najbardziej skutecznym przejawem bunt. Buntownicy warszawscy doświadczali tragicznego życia w świadomości niewoli, „wśród osaczenia i zamknięcia w brutalnym i kunsztownym systemie"[42], stworzonym przez zaborcę, ale nigdy nie złożyli duchowej i fizycznej broni. Najwyższą wartością była dla nich Ojczyzna. Podejmowali działalność spiskową, tajną, żyli wśród prób i klęsk. Nosili w sobie godnie, na przekór strasznej rzeczywistości, nieustającą nadzieję na wybicie się narodu na niepodległość.

Cyganerię Warszawską wyróżniał bardzo niechętny stosunek do kultury miastowej, do jej duchowego skarłowacenia, do filistrów. Cyganie mieli w pogardzie ich fraki i krawaty. Ubierali się manifestacyjnie ubogo i niechlujnie. Byli przekonani, że w miejskich skupiskach następuje destrukcja natury ludzkiej, szkodliwe dla życia rozluźnienie więzi międzyludzkich, zwłaszcza emocjonalnych. Wyrażali pogardę dla nadętej uczoności, nauki oficjalnej, dyplomów, patentów, urzędowych papierów oraz wszelkich form zniewolenia spontaniczności i bezpośredniości ludzkich zachowań[43].

Inną, bardzo ważną cechą cyganów warszawskich było ich bratanie się z ludem. Zgodnie z romantycznym światopoglądem, prowadziło ono do nowego odkrywania prawd żywych, a ich poezja miała te prawdy przywoływać i wprowadzać w obieg kultury narodowej[44]. Najważniejszym źródłem poezji tworzonej przez cyganów warszawskich było Mazowsze. Niektórzy historycy literatury nazywają poetów należących do tej grupy młodymi romantykami mazowieckimi lub wprost romantyzmem mazowieckim[45]. Poeci ci marzyli o wytworzeniu szkoły mazowieckiej w poezji polskiej. Mazowsze miało dla cyganów szczególny urok, a także wybrzeża Bugu i Narwi, gdzie często się spotykali podczas swoich wiejskich wędrówek. Poprzez związek z regionem cyganie nie byli odcięci od ludu, ziemi, od natury, z którą sympatyzowali[46].

[40] Por. S. Kawyn, *Cyganeria Warszawska*, w: tegoż, *Studia i szkice*, s. 143, 162-163; S. Kawyn, *Cyganeria Warszawska*, s. XXII: *Życie manifestacyjne*.

[41] Por. H. Michałowska, *Salony artystyczno-literackie w Warszawie 1832–1860*, Warszawa 1974; M. Janion, *Drugi i trzecia generacja romantyków*, w: *Gorączka romantyczna*, s. 131.

[42] M. Janion, *Druga i trzecia generacja romantyków*, w: *Gorączka romantyczna*, s. 133.

[43] Por. S. Kawyn, *Cyganeria Warszawska*, w: *Studia i szkice*, s. 143-144.

[44] Tamże, s. XXVIII, a także s. 144-145.

[45] Por. W. Borowy, *Wisła w poezji polskiej*, w: tegoż, *Studia i szkice literackie*, t. 1, Warszawa 1983, *Młodzi romantycy mazowieccy*, s. 445-446.

[46] Liczne tego świadectwa przynosi tom: W. Szymanowski, A. Niewiarowski, *Wspomnienia o Cyganerii Warszawskiej*, zebrał i opr. J. W. Gomulicki, Warszawa 1964.

Powagi całej grupie Cyganerii Warszawskiej przydają dwa nazwiska, Cypriana Kamila Norwida i Teofila Lenartowicza, którzy przyjaźniąc się z cyganami, wędrując z nimi po wsiach, jednak nie mieli w swoich osobowościach wiele z postawy cyganowania. Do grupy tej także nigdy nie należeli. Pozostali znajomymi cyganów.

Według XX-wiecznej badaczki, był to ważny czyn grupy pokoleniowej, która wśród osaczenia i zamknięcia, jakim była noc paskiewiczowska, potrafiła wybić się na duchową niepodległość. Protestując przeciwko narodowemu zniewoleniu, różnym przejawom narodowego konformizmu i zachowawczości, stawali się czarnymi, wściekłymi, frenetycznymi buntownikami. „Lesławami" z poematu Zmorskiego[47]. Autorka podkreśla, że Cyganeria „pozbawiona uniwersytetu i szkół, wyzuta przez władze carskie z całą premedytacją z możliwości wykształcenia", mimo to dawała społeczeństwu i całemu pokoleniu romantyków szlachetny przykład bycia narodem, czyli życia nadzieją, mimo ciążącej świadomości niewoli[48]. Stefan Kawyn z kolei nazwie Cyganerię Warszawską pięknym i charakterystycznym epizodem z życia literackiego piątego dziesięciolecia XIX wieku[49].

Roman Zmorski – „czarny piewca"

Historycy literatury romantyzmu krajowego stwierdzają, że Cyganerię Warszawską tworzyły bardzo różne indywidualności. Zgodnie także przyznają, że najwybitniejszą z nich był Roman Zmorski – obok Włodzimierza Wolskiego, autora *Ojca Hilarego*, i Józefa Dziekońskiego, autora słynnego *Sędziwoja*. Zaznaczyć należy, że Cyganerię Warszawską tworzyli nie tylko literaci[50].

Z cyganami był związany malarz Ignacy Gardziejewski, który inspiracje do swoich prac czerpał z poezji Zmorskiego. Aleksandra Melbechowska-Luty podkreśla, że nie tylko z *Lesława*, ale i z *Wieży siedmiu wodzów*. Autorka uważa, że w polskim malarstwie nokturnowym twórczość Gardziejewskiego była osobliwym zjawiskiem[51].

Zmorski wśród kolegów wyróżniał się nie tylko talentem, ale także najskrajniejszym stylem cyganowania. Stefan Kawyn sądzi, że to właśnie biografia Zmorskiego skupia najpełniej atrybuty cygańskiego życia[52]. Również według Teresy Brzozowskiej, Roman Zmorski był „żywym wcieleniem typowych cech rzeczywistych i przypisywanych grupie młodzieży zwanej cyganerią warszawską"[53]. Był duchem niespokojnym,

[47] M. Janion, *Druga i trzecia generacja romantyków*, w: *Gorączka romantyczna*, s. 133.
[48] Por. tamże, s. 132.
[49] Por. S. Kawyn, *Cyganeria Warszawska*, w: *Studia i szkice*, dz. cyt.
[50] Por. tamże.
[51] A. Melbechowska-Luty, *Nokturny. Widoki nocy w malarstwie polskim*, Warszawa 1999, s. 42.
[52] S. Kawyn, *Cyganeria Warszawska*, dz. cyt.
[53] T. Brzozowska, *Poznańskie*, w: *Dzieje folklorystyki polskiej 1800–1863*. *Epoka przedkolbergowska*, pod red. H. Kupełuś i J. Krzyżanowskiego, Wrocław 1970, s. 405.

który często w świecie domowym czuł się jak w więzieniu, a odżywał dopiero na szlakach wędrówek w poszukiwaniu starożytności słowiańskich. Zmorski w rzeczy zatytułowanej *Podania i baśnie ludu w Mazowszu* wyznał, że czuje się „żywą Ludu mego częścią”[54].

Zmorski urodził się w Warszawie w roku 1822. W dzieciństwie kilka lat spędził na wsi, co być może miało wpływ na jego późniejsze zainteresowania ludem i folklorystyką. Uczęszczał najpierw do szkoły w Białej Podlaskiej, potem w Warszawie w gimnazjum na Lesznie. Do roku 1843 żył w Warszawie, odbywając jednak częste wyprawy po okolicznych wsiach, podczas których zbierał pieśni ludowe i inne świadectwa kultury gminnej. W tej dziedzinie Zmorski ma zasługi poświadczone publikacjami. Właśnie kontakty z ludem inspirowały jego twórczość poetycką, o czym świadczy także *Lesław.* W mniemaniu Ryszarda Wojciechowskiego, to Zmorski jak nikt dotąd propagował folklor Mazowsza, ponieważ uważał, że jest równie ciekawy jak folklor innych regionów. Jego zdaniem, „Zmorski był lepszym folklorystą niż poetą. Nie powiodły się jego próby nasycenia elementami ludowymi poematu o *Lesławie*”[55]. Autor *Wieży siedmiu wodzów*, manifestując swoje duchowe pokrewieństwo z ludem, ubierał się czasem z chłopska. Niektórzy nazywają Zmorskiego wprost chłopomanem z drugiego pokolenia romantyków. Historycy literatury podkreślali, że poeta miał poczucie żywiołów gminnych zupełnie inne niż Teofil Lenartowicz, który zresztą sam kpił z wodnej fantastyki *Lesława*[56].

Zmorski debiutował w roku 1840. Jego pierwszy wiersz nosił tytuł *Fantazja*, w nim właśnie zawarł swoje poetyckie samookreślenie. Wyrazem jego indywidualności jest zwłaszcza wiersz *Do Liszta*. Sztandarowym utworem Zmorskiego pozostaje *Anioł-Niszczyciel*, kojarzący się swoim burzycielskim przesłaniem ze słynną frazą z *Reduty Ordona* Mickiewicza: „Bo dzieło zniszczenia w dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia” (w. 111-112)[57].

Kazimierz Witte widział w Zmorskim „duszę pełną poezji, zgryźliwą i fantazyjną”[58]. Dla Narcyzy Żmichowskiej był zawsze „czarnym piewcą”[59]. Inni uważali, że odznaczał się ponurym zapałem, miał w sobie pociąg do demonicznej grozy[60], skłonność do stwarzania ponurych malowideł. Swoim stylem bycia zdradzał uczuciowość

[54] Tamże, s. 406.

[55] R. Wojciechowski, *Warszawskie*, w: *Dzieje folklorystyki polskiej*, dz. cyt., s. 128, 139. Zob. opinię S. Zdziarskiego, przywołaną w *Aneksie* dołączonym do niniejszego wydania.

[56] Por. *Głosy o Lenartowiczu 1852–1940*, dz. cyt.

[57] A. Mickiewicz, *Reduta Ordona. Opowiadanie adiutanta*, w: *Dzieła wszystkie*, t. 1, cz. 3, *Wiersze 1829–1855*, oprac. Cz. Zgorzelski, Wrocław 1981, s. 18.

[58] K. Witte, *Cyganeria Warszawska i Lenartowicz*, w: *Głosy o Lenartowiczu 1852–1940*, s. 472.

[59] Nazwała Zmorskiego „czarnym piewcą”.

[60] W. Marrenè-Morzkowska, *Teofil Lenartowicz*, w: *Głosy o Lenartowiczu 1851–1940*, s. 305.

wybujałą, rozwichrzoną, dziką, a być sobą nigdy nie przestał[61]. Jak to przedstawia Paulina Wilkońska, ubierał się na czarno, miał długie ciemne jak heban włosy, ciemny zarost, twarz smagłą, wyglądał jak istny cygan[62]. Z powodu tego „czarnego" wyglądu nazywano go Krukiem.

Organem prasowym Cyganerii Warszawskiej stało się wydawnictwo „Jaskułka" (sic!), gdzie Zmorski opublikował pierwsze fragmenty *Lesława*. Były one największą atrakcją tego tomu[63]. A więc już w 1843 roku jeden z czołowych cyganów dał wyraziste świadectwo swemu mazowieckiemu regionalizmowi. Opublikowane fragmenty *Lesława* zwróciły uwagę krytyki oraz jego kolegów na poetycki talent. W tym wydaniu znalazły się następujące fragmenty utworu: śpiew pierwszej Topielicy, wystąpienie chóru, wszystkie śpiewy Topielców i Topielic. Pełne pierwsze wydanie *Lesława* miało miejsce w Pleszewie i Ostrowie w 1847 roku[64]. Do następnego wydania lipskiego autor dodał do śpiewu pierwszej Topielicy objaśnienia dotyczące wyobrażeń ludowych o topielcach[65].

Spojrzenia na Romana Zmorskiego poprzez kategorie właściwe grupie cyganów warszawskich nie należy traktować jako jedynego miernika jego poetyckiej indywidualności. Na tle współczesnych mu poetów krajowych zyskuje na tej indywidualności. Kiedy latem 1843 roku wykryto spiski przygotowujące powstanie, Zmorski potajemnie opuścił Warszawę i zabór rosyjski jako jeden z najczynniejszych „cyganów", ich inspirator ideowy. Najpierw przebywał w Wielkim Księstwie Poznańskim, tu też śledzony był przez policję pruską. W Budziszynie redagował tygodnik „Stadło", poświęcony rzeczom polskim i słowiańskim. Interesował się kulturą łużyckich pobratymców, poszukiwał na Łużycach śladów dawnej kultury słowiańskiej.

Przebywał dłużej w Osieku pod Ostrowcem niemieckim. Tu założył rodzinę. Synowi nadał imię Masław, córce Zbigniewa. Żona określiła usposobienie Zmorskiego jako młodzieńcze i wiecznie żywe. Opuściwszy żonę, przez piętnaście lat tułał się po Europie. W 1847 roku w Brukseli zaprzyjaźnił się z Lelewelem. W Paryżu poznał Słowackiego, z którym spotkał się po raz drugi latem 1848 roku w Dreźnie. W 1855 roku odwiedził jego grób na cmentarzu Montmartre. W tym samym roku wyjechał na Wschód, najpierw przebywał w Turcji. W Konstantynopolu zetknął się z Mickiewiczem, z którym zamienił ledwie parę zdań. Następnie przybywał przez dwa lata w Serbii i w Bułgarii. Wędrował po Półwyspie Bałkańskim. W 1856 roku był w Wiedniu i przez Węgry przybył do Lwowa. W 1858 roku opuścił Lwów, udał się do Wrocławia.

---

[61] P. Wilkońska, *Anegdota o Zmorskim*, w: *Cyganeria Warszawska*, wstęp, wybór i oprac. S. Kawyn, Wrocław 2004, s. 318.

[62] Tamże.

[63] Zob. *Jaskułka*, pamiętnik ułożony przez R. Zmorskiego i J. B. Dziekońskiego, Warszawa 1843, s. 174.

[64] *Lesław. Szkic fantastyczny Romana Z.*, Pleszew 1847, ss. 48.

[65] *Lesław. Szkic fantastyczny Romana Zmorskiego*, Lipsk 1854, ss. 48. Por. Cz. Zgorzelski, *Ballada polska*, BN, S. I, nr 177, Wrocław 1962, s. 405-408.

Po latach tułaczki w roku 1858 powrócił do Warszawy. W 1862 roku został aresztowany i osadzony w Cytadeli Warszawskiej, w której przesiedział dwa miesiące. W czasie Powstania Styczniowego w 1863 roku przebywał w Krakowie i pracował w redakcji konspiracyjnego pisma „Wolność". Dodajmy, że miał szczęście dwukrotnie spotkać się i przebywać w towarzystwie Franciszka Liszta, najpierw w Warszawie w 1843 roku, a potem w Weimarze. Pod koniec życia po wieloletnich usiłowaniach znalazł wydawcę na swoje *Poezje*, które ukazały się w Lipsku, w serii Biblioteki Pisarzy Polskich[66]. Do końca życia mieszkał w Dreźnie, gdzie zmarł w roku 1867.

Okiem historii literatury XX wieku

W znakomitym artykule *W cieniu wieszczów*, zamieszczonym w książce o znamiennym tytule: *Zapomniane wielkości romantyzmu*, Józef Bachórz stwierdził, „że w miarę oddalania się od romantyzmu przyćmiewał się blask niektórych nazwisk *wieszczych*"[67]. To przyćmienie dotknęło takich poetów, jak Józef Bohdan Zaleski, Wincenty Pol, a także, „mimo żarliwego wstawiennictwa Mickiewicza", Stefana Garczyńskiego, autora poematu *Wacława dzieje*. Badacz zauważył, że twórcy ci zostali usunięci z wysokiej, wieszczej pozycji przez nieubłaganą „korektorkę wieczną" aż „z samego pobliża trójcy wieszczów". Bachórz dodaje, że nie oznaczało to jednak umieszczenia tych poetów w strefie zapomnienia, ponieważ mają oni „wcale widoczną obecność w historii literatury, znaczoną powrotami badaczy i wydawców ich dzieł"[68]. Tak rzetelny znawca literatury polskiej, jakim jest Józef Bachórz, przyznał jednocześnie, że w „badaniach nad romantyzmem słusznie rozglądamy się, co pewien czas wśród Wasilewskich, Siemieńskich, wśród Bielowskich i Witwickich, wśród Berwińskich i Zmorskich"[69].

Postawmy więc w tym kontekście pytanie o obecność we współczesnej historii literatury właśnie Romana Zmorskiego. Okazuje się, że współcześni historycy literatury powracali co pewien czas do biografii i twórczości tego poety romantyzmu krajowego, autora poematu dramatycznego *Lesław*, w którym odezwały się, między innymi, echa *Wacława dziejów* Garczyńskiego[70]. Sięgnijmy więc po przykłady prac o Romanie Zmorskim, potwierdzające jego obecność w historii literatury. Wymieniamy tylko rzeczy z ostatnich dziesięcioleci. W roku 1964 ukazała się książka Edwarda

[66] *Poezye Romana Zmorskiego*, Lipsk 1866, ss. 225. Potem wydano już tylko: R. Zmorski, *Wybór poezyj*, wstęp W. Korotyński, Warszawa 1919, s. 44.

[67] J. Bachórz, *W cieniu wieszczów*, w: *Zapomniane wielkości romantyzmu*, pod red. Z. Trojanowiczowej i Z. Przychodniaka, Poznań 1995, s. 13.

[68] Tamże.

[69] Tamże, s. 16.

[70] Por. Z. Stajewska, *„Wacława dzieje" Stefana Garczyńskiego*, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk 1976, s. 16.

Pieścikowskiego *Poeta-tułacz. Biografia literacka Romana Zmorskiego*. Zaznaczmy, że jej autor sporządził także szczegółową bibliografię utworów poety[71]. W kilka lat po książce Pieścikowskiego, bo w roku 1967, została opublikowana w Bibliotece Narodowej książka Stefana Kawyna *Cyganeria Warszawska.* Jeden z jej rozdziałów, i to obszerny, został poświęcony Romanowi Zmorskiemu. A w części zatytułowanej *Sądy. Wspomnienia. Anegdoty* Kawyn przypomniał *Anegdotę o Zmorskim* pióra Pauliny Wilkońskiej[72]. *Cyganeria Warszawska* miała drugie wydanie w roku 2004 w serii Skarby Biblioteki Narodowej. A więc prawie po czterdziestu latach został znów przypomniany Zmorski i jego twórczość[73]. W dziesięć lat po pierwszym wydaniu książki Kawyna, a więc w roku 1977, ukazał się podręcznik uniwersytecki *Romantyzm* autorstwa Aliny Witkowskiej i Ryszarda Przybylskiego[74]. W dwóch rozdziałach wielkiego podręcznika, a więc w rozdziale VI: *Liryka okresu międzypowstaniowego. Cyganeria warszawska* i w rozdziale VII: *Poemat i epika wierszowana. Typy poematu romantycznego*, znalazło się również miejsce dla Romana Zmorskiego.

Według Witkowskiej, „w pokaźnej grupie utworów krajowych najoryginalniej pomyślany został *Lesław* Zmorskiego, *szkic fantastyczny*, jak głosi podtytuł"[75]. Do znaczniejszych współczesnych prac o autorze słynnego wiersza *Anioł-Niszczyciel* należy obszerna, bo czterdziestostronicowa, rozprawa *Roman Zmorski* autorstwa Marii Dernałowicz, zawarta w księdze z roku 1988 *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831–1863*. Badaczka swoją pracę o Zmorskim skromnie nazwała tylko szkicem, zaznaczyła też, że „wiele zawdzięcza zarówno od strony ustaleń bio-bibliograficznych, jak i od strony interpretacyjnej, zwłaszcza przy omówieniu *Wieży siedmiu wodzów* i przekładów z języka serbskiego, książce Pieścikowskiego"[76].

O Zmorskim sporo informacji historycznoliterackich i refleksji interpretacyjnych odnajdujemy w książkach Marii Janion: *Gorączka romantyczna* oraz *Czas formy otwartej*. W obszernej rozprawie *Poezja w kraju. Próba syntezy* wybitna badaczka poświęciła sporo uwagi *Lesławowi* Zmorskiego[77]. O tym dramacie pisała także Marta Piwińska w artykule *Bóg utracony i Bóg odnaleziony*[78]. Wymienione książki i artykuły świadczą, że Zmorski ma swoje trwałe miejsce w historii

[71] E. Pieścikowski, *Poeta-tułacz. Biografia Romana Zmorskiego*, Poznań 1964.

[72] S. Kawyn, *Cyganeria Warszawska*, dz. cyt.

[73] S. Kawyn, *Cyganeria Warszawska*, wstęp, wybór i oprac. S. Kawyn, Warszawa 2004 (seria: Skarby Biblioteki Narodowej).

[74] A. Witkowska, R. Przybylski, *Romantyzm*, Warszawa 1977.

[75] A. Witkowska, tamże, s. 469.

[76] M. Dernałowicz, *Roman Zmorski (1822–1867)*, w: *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831–1863*, t. II, Warszawa 1988, s. 229.

[77] M. Janion, *Gorączka romantyczna*, Warszawa 1975; *Czas formy otwartej. Tematy i media romantyczne*, Warszawa 1984; *Poezja w kraju. Próba syntezy*, w: *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831–1863*, t. I, Warszawa 1975.

[78] M. Piwińska, *Bóg utracony i Bóg odnaleziony*, w: *Problemy polskiego romantyzmu*, wyd. cyt.

literatury polskiej, która, jak widać, co pewien czas powraca do jego biografii i twórczości. Należy odnotować także artykuł Bogdana Zelera *Kręgi tematyczne w liryce Romana Zmorskiego*[79].

Zadziwiający jest fakt, że temat, jaki podjął Zmorski w *Lesławie*, czyli „studium duszy i światopoglądu, uczuć i myśli młodzieńca"[80], co jest w tym utworze bardzo istotne, poety o osobowości wyraziście demonicznej, był opracowywany prawie przez cały wiek dziewiętnasty. Mogą więc zastanawiać uporczywe powroty tego tematu. Faktem jest, że i w wieku dwudziestym pojawiły się świadectwa, potwierdzające potrzebę jego kontynuacji, co zauważył Krzysztof Trybuś, autor szkicu *O „Wacława dziejach" raz jeszcze*, napisanego w związku z sukcesem wydawniczym dramatu Garczyńskiego[81]. Wspomnijmy tu o wpływie *Wacława dziejów* na *Lesława* Zmorskiego, o czym pisała Zofia Stajewska[82]. Trybuś zauważył, że przedstawienie *Wacława dziejów*, najpierw w Teatrze Narodowym, w roku 1973, a rok później w poznańskim Teatrze Nowym, cieszyło się ogromnym powodzeniem, o czym donosiły „wszystkie gazety i dzienniki"[83]. W związku z tym wydarzeniem Jarosław Iwaszkiewicz stwierdził, że „przedstawienie Hanuszkiewicza odwoływało się do naszej n i e w y g a s ł e j p o t r z e b y r o m a n t y c z n e g o b o h a t e r a "[84]. Można sobie wyobrazić, w jakim stopniu ta „niewygasła potrzeba" była intensywniej pożądana i bardziej niezbędna w czasach nocy paskiewiczowskiej.

Dla drugiego pokolenia romantyków kompozycja biograficzna dawała możliwość wyrażenia nie tylko właściwych dla tego czasu bólów istnienia, ale bardziej niezbywalnej potrzeby wykrzyczenia buntowniczej postawy wobec rzeczywistości. Postawy tak buntowniczej, że jej wyrazicielem w tekście *Lesława* stał się Nieznajomy, który objawia się w końcu jako Szatan. W programie do inscenizacji *Wacława dziejów* Garczyńskiego w Poznaniu pisał Jarosław Maciejewski:

> Powiedziawszy otwarcie – racje Szatana, jego argumenty destrukcji – są w tym utworze silniejsze od pozytywnej postawy, która winna była w tej dyskusji przedstawić ideał narodu lub ideologię bohaterów w oparciu o racje boskie, a nie piekielne[85].

Z artykułu Trybusia wynika z kolei, że historycy literatury, a także reżyserzy, nie od razu zdali sobie sprawę, że *Wacława dzieje* nie reprezentują heroicznego romantyzmu Mickiewicza. Takiego romantyzmu nie reprezentuje w naszej literaturze również

[79] B. Zeler, *Kręgi tematyczne w liryce Romana Zmorskiego*, w: *Prace historycznoliterackie*, t. 11, Katowice 1976, „Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego", nr 264.
[80] M. Janion, *Gorączka romantyzmu*, s. 117.
[81] K. Trybuś, *O „Wacława dziejach" raz jeszcze*, w: *Zapomniane wielkości romantyzmu*, dz. cyt.
[82] Por. Z. Stajewska, *„Wacława dzieje" Stefana Garczyńskiego*, Wrocław 1976.
[83] Por. K. Trybuś, *O „Wacława dziejach" raz jeszcze*, dz. cyt.
[84] Tamże. Podkreślenie moje – H. K.
[85] Wypowiedzi J. Maciejewskiego przywołuje w swoim artykule K. Trybuś.

Lesław Zmorskiego, a wyraża właśnie romantyzm piekielny, „związany z buntem metafizycznym, eksponujący nierzadko niszczycielskie oblicze”[86]. A taki romantyzm, co przypomina badacz, odezwał się w literaturze polskiej i w latach 40. dziewiętnastego wieku w twórczości tzw. młodej piśmienności warszawskiej, której najbardziej znaczącym poetą okazał się Roman Zmorski. Zaś sztandarowym dziełem jego *Lesław.*

Badacze *Lesława* wiele razy zwracali uwagę na fakt, że Zmorski jest bliski tradycji bajronicznej, Kainowej, wybierającej owo ontologiczne *nie*. W tym sensie dramat Zmorskiego, jeszcze raz podkreślamy, otwiera się na o wiele szerszy światopoglądowy horyzont.

Myślę, więc wątpię, czyli o *Lesławie*

Jeżeli całościowo i z dzisiejszej pluralistycznej, dekonstruującej, a nawet często nihilistycznej perspektywy, spojrzymy na polski romantyzm, to zmuszeni jesteśmy przyznać, że w tej epoce najwięksi jej twórcy pozostali ostatecznie wierni prawdzie Objawienia. W utworach Mickiewicza, Słowackiego czy Krasińskiego refleksja metafizyczna była naturalnym wymogiem ontologicznym. Poezja, nie tylko tych największych twórców, stając po stronie bytu, świadoma płynącej stąd mocy, unikała sugerowania, że nic poza nicością nie ma. A taka sugestia, jak wiadomo, jest drogą do ontologicznego nihilizmu[87], którego najjaskrawszym wyrazem pozostaje w naszej literaturze poemat dramatyczny Zmorskiego *Lesław.* Autor należał do drugiego pokolenia romantyków, na którym ciążyła, bo nie mogła nie zaciążyć, co potwierdzają wszyscy, tradycja wysokich wzorów literackich wielkiego romantyzmu.

Krytycy *Lesława* bez trudu zauważyli więc, że jego autora inspirowali przede wszystkim twórcy romantycznych dramatów metafizycznych, a więc Goethe, Byron, Mickiewicz, Krasiński, a także Słowacki[88].

Podkreślamy grubą linią, że dla Goethego jako twórcy *Fausta*, Mickiewicza jako twórcy *Dziadów* i Krasińskiego jako twórcy *Nie-Boskiej Komedii* istnienie jest czymś wyższym niż nieistnienie. Tych wielkich poetów możemy uważać za strażników bytu, jego Boskiego, duchowego, a więc wyższego sensu. Wysiłek w tym względzie wielkich romantyków miał przede wszystkim na celu wskazanie jednostce, a także i zbiorowości, możliwych dróg wzbogacania ich duchowej egzystencji. Polscy romantycy,

[86] Tamże. Por. też: H. Trzpis, *Książka na czasie. Studium krytyczne o „Wacława dziejach” Stefana Garczyńskiego*, Kraków 1937.

[87] Na temat nihilizmu zob. *Maski nihilizmu*, w: „Znak” 1994, nr 6 (1994), s. 469; *Nihilizm i historia. Studia z literatury XIX i XX wieku*, red. M. Sokołowski i J. Ławski, Białystok – Warszawa 2009.

[88] Por. E. Pieścikowski, *Poeta-tułacz. Biografia literacka Romana Zmorskiego*…, M. Dernałowicz, *Roman Zmorski (1822–1867)*, w: *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831–1863*, t. II; S. Kawyn, w książkach o Cyganerii Warszawskiej, tu wymieniona M. Janion, *Prometeusz, Kain, Lucyfer*, w: *Gorączka romantyczna*, dz. cyt.

każdy z nich zgodnie z własnym przekonaniem, pragnęli przydać człowiekowi bytu, wzmocnić jego duchowe „męstwo bycia”[89].

Jednocześnie nie możemy nie zauważyć, że myśl romantyzmu, jego poezja od początku nie jest wolna od pokusy kierowania się w stronę nicości i wleczenia za sobą jej cienia, wdzierającego się zawsze pomiędzy zamiar a czyn, pomiędzy życie a śmierć, jednostkę a wspólnotę, pomiędzy człowieka a Boga. Jest tak, jakby ów cień był jakoś konieczny dla uwydatnienia pozytywnej, jasnej strony bytu. Poeci, co jest oczywiste, mieli głęboką świadomość i dawali w swych utworach przekonujący jej wyraz, że ludzka wolność ze swojej istoty zawsze daje człowiekowi możliwość wyboru: Boga lub nicości.

A ileż to pokus nicości zawiera *Nie-Boska Komedia* Krasińskiego? Hrabia Henryk pragnął strącić do nicości „człowieka bez imienia”, bez przodków, czyli Pankracego, który z wyglądu zewnętrznego przypominał Czesławowi Miłoszowi nie kogo innego tylko – Lenina. W końcu próżny arystokrata, fałszywy poeta, kochający tylko siebie człowiek, sam wtrącił się „w przepaść, czarną od głów ludzkich”. Przypomnijmy słynną refleksję z dramatu Krasińskiego, wypowiedzianą przez hrabiego na krótko przed skokiem w przepaść. „Rozkosz otchłani” go porywa:

> Człowiekiem być nie warto – Aniołem nie warto – Pierwszy z Archaniołów po kilku wiekach, tak jak my po kilku latach bytu, uczuł nudę w sercu swoim i zapragnął potężniejszych sił – Trza być Bogiem lub nicością[90].

Również bohater Zmorskiego w pierwszych słowach dramatu mówi o znużeniu w sensie owej nudy, od której lepsza wydaje mu się w końcu nicość. Wypowiedź hrabiego Henryka jest wyrazem jego niesamowitej pychy, która zdradza tu swoją nadszatańską naturę. A przypomnijmy, jak straszna jest także demoniczna pycha Konrada z Wielkiej Improwizacji z III części *Dziadów*[91]. I jakże głęboki, odpowiadający tej pysze, upadek bohatera w przepaść. Oto bohater Słowackiego, Kordian, stając na najwyższej igle góry Mont Blanc, kuszony jest myślą: „Może lepiej się rzucić w lodowe szczeliny”[92]. Bohaterów wielkich dramatów metafizycznych łączy owo słynne hamletowskie zamyślenie nad pytaniem: „Żyć? Alboli nie żyć”[93]. Każdy z nich ma swoją otchłań kuszącą, swoją przepaść.

Mimo tych szatańskich pokus obecnych w świecie przedstawionym wspomnianych dramatów, przynależą one do romantyzmu, który nazwijmy r o m a n t y z m e m

[89] Wyrażenie pochodzi z książki: P. Tillich, *Męstwo bycia*, tłum. H. Bednarek, Paris 1983.

[90] Z. Krasiński, *Nie-Boska Komedia*, oprac. J. Kleiner, Wrocław 1959, cz. IV, s. 135.

[91] Zob. G. Tomaszewska, *I nienawiść jest z Boga. O „ponownie narodzonych” bohaterach Mickiewicza*; J. Brzozowski, *„Żal rozrzutnika”. Próba interpretacji*, w: *Mickiewicz w Gdańsku. Rok 2005. Materiały Międzynarodowej Konferencji Naukowej na 150-lecie Śmierci Poety*, red. J. Bachórz, B. Oleksowicz, Gdańsk 2006.

[92] J. Słowacki, *Kordian*, akt I, sc. 1, w. 305, w: *Dzieła*, t. IV, red. J. Krzyżanowski, Wrocław 1959.

[93] Tamże, akt I, s. 1, w. 270.

a f i r m a c j i . Ten typ romantyzmu kojarzy się z terminem metafizyka integracji, zawartym w znakomitej rozprawie Meyera H. Abramsa *Formy wyobraźni romantycznej*[94]. Celem utworów, które objęliśmy nazwą „romantyzm afirmacji", jest ontologiczna pozytywność, zaufanie wobec bytu stworzonego przez Boga, czyli eksponowanie racji sprzyjających życiu, racji konstruktywnych. Taki jest romantyzm heroiczny i mesjanistyczny Mickiewicza, romantyzm Krasińskiego i genezyjski romantyzm Słowackiego, czyli romantyzm wieszczów.

Od tych poetów metafizycznych zasadniczo różni się Roman Zmorski, ponieważ w swoim *Lesławie* poszedł za Byronem, zwłaszcza za jego *Kainem*[95]. Wybrał więc negację ontologiczną, ostateczny, negujący życie, istnienie – bunt metafizyczny.

Poemat dramatyczny autora słynnego wiersza *Anioł-Niszczyciel* jest więc poetyckim wyrazem wyboru przez niego „momentu lucyferycznego", który ujawnia się właśnie w totalnym, o randze metafizycznej, wątpieniu, w totalnej nieufności ontologicznej. Bohater Zmorskiego odbiera bytowi sens przez jego ostateczną negatywną konfrontację z niebytem, z nicością. Bóg w *Lesławie* nie jest Stwórcą, który rozjaśnia ludzkie istnienie, a wprost przeciwnie – zaciemnia je miarą zła przejawiającego się w Jego świecie.

W związku z podnoszoną przez badaczy *Lesława* problematyką filozoficzną[96] należy przypomnieć, że Zmorski tworzył dramat w czasie, kiedy poznanie filozoficzne i w ogóle poznanie przynajmniej od renesansu miało coraz bardziej charakter zsekularyzowany i, jak widomo, rozszerzający się na całą nowożytność. Konsekwencją tej sekularyzacji procesu poznania były rozwijające się wszelkie ekstrawagancje upojonego sobą rozumu jako przejawu zarozumiałości i pychy ludzkiej, a, co za tym idzie, i jego buntu przeciw Bogu. Nieuniknionym następstwem tej tendencji, jeżeli chodzi o literaturę, były kreacje bohaterów z rodu Fausta, Kaina, Lucyfera i Prometeusza[97].

Do tego kainowego plemienia należy także Lesław. Właściwością wyróżniającą tych bohaterów, właściwością lucyferyczną, jest podejrzliwość ontologiczna, ograbiająca byt z jego pozytywnych, Boskich atrybutów, a człowieka z przeświadczenia, które nie oddzielało aktu poznania od afirmacji, od pozytywności ontologicznej. W biografii

[94] M. H. Abrams, *Formy wyobraźni romantycznej*, tłum. P. Graff, „Pamiętnik Literacki" 1978, s. 3.

[95] Zwróciło na ten fakt wielu badaczy *Lesława*. Por. też: P. L. Thorslev, *The Byronic Hero. Types and Prototypes*, Minneapolis 1962.

[96] Por. A. Timofiejew, *Pasja według Fausta. (Wątek teoriopoznawczy w „Lesławie" Romana Zmorskiego)*, w: *Postacie i motywy faustyczne w literaturze polskiej*. *Materiały Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej, Białystok 23-26 października 1997 r.*, t. I, red. H. Krukowska, J. Ławski, Białystok 1999.

[97] Por. *Bóg artystów*, „Znak" 458 (1993/7); G. Marcel, *Dziennik metafizyczny*, wybór K. Tarnowski, przeł. E. Wende, oprac. S. Cichowicz, Warszawa 1987; G. Marcel, *Być i mieć*, przeł. P. Lubicz, Warszawa 1986; M. Buber, *Ja i Ty. Wybór pism filozoficznych*, wybór, przeł. i wstęp J. Doktór, Warszawa 1992; J.-N. Vuarnet, *Filozof-artysta*, przeł. K. Matuszewski, posłowie P. Klossowski, Gdańsk 2000.

swego faustycznego bohatera Zmorski wyeksponował moment doświadczenia przez niego owego dotknięcia przez prometejską i zarazem lucyferyczną właściwość. Lesław to ktoś, kto pod adresem Stwórcy wysuwa pretensje o charakterze ontologicznym, a więc pozostaje totalnym krytykiem stworzonego przez Niego bytu. Właściwie głównym oskarżonym w *Lesławie* jest Bóg Stwórca, a oskarżającym Nieznajomy, lucyferyczny kusiciel, demoniczny prowokator, wcielony w postać ze świata fantastycznego. Bohater Zmorskiego podczas pierwszego spotkania z Nieznajomym uświadamia sobie dziwną z nim znajomość, a to oznacza odkrycie przez niego w swej osobowości wyraźnych cech demonicznych. W masce i w ukryciu nieznajomy ukazuje się w utworze czterokrotnie. W *Nocy pierwszej* jest tylko właśnie Nieznajomym. W *Nocy trzeciej* zrzuca tę maskę i ukazuje się jako Szatan. Za tą postacią ukrywa się jakieś ludzkie doświadczenie. Nieznajomy wyraźnie reprezentuje w utworze poznanie, sprowadzone do zimnej wiwisekcji na życiu. Nie sposób tej postaci nie skojarzyć z biblijnym drzewem poznania, z aktem kuszenia. Nieznajomy-Szatan wyładowuje na życiu swoją mroczną złość, dotknięty resentymentem, czarną pretensją do Boga.

Głównym narzędziem Nieznajomego w *Lesławie* jest nie tylko omamienie, ale przede wszystkim budzenie w duszy Lesława podejrzeń co do istoty samego bytu. Jego głównym celem jest burzenie ontologicznych fundamentów bytu stworzonego przez Boga. A głównym narzędziem okazuje się wątpienie.

Tytułowy bohater dramatu Zmorskiego jest poetą, a także „istnieniem myślącym", czyli filozofem rozważającym postać świata. Chociaż dużo mówi on o związaniu się z tym światem więzami miłości, to jednak rozważa tę kwestię w trybie myśli pokartezjańskiej. Według znawców filozofii europejskiej, to właśnie od czasów Kartezjusza „filozofia staje się coraz bardziej nauką czystego myślenia"[98], ponieważ zdominowała ją myśl, która oderwała się od bytu. Wszystko, co jest bytem, zarówno świat stworzony, jak i Stwórca, pozostaje w polu *cogito* jako treść ludzkiej świadomości. Filozofia zajmuje się więc bytami, o ile są treścią świadomości, a nie o tyle, o ile istnieją poza nią. W tej logice czy optyce filozoficznej Bóg, czyli Ten, który obdarowuje istnieniem, sprowadzony zostaje do treści ludzkiej świadomości. Nie jest Bogiem doświadczanym, ale Bogiem myślanym. Bogiem filozofów i uczonych. Bogiem wątpiącej myśli[99].

Przypuszczamy, że z ducha takiej myśli, takiej filozofii pokartezjańskiej zrodzony został *Lesław* Zmorskiego. Pewnym śladem prowadzącym w tym kierunku jest wiersz Ludwika Norwida, starszego brata wielkiego Cypriana Kamila. Ludwik Norwid należał do tego samego pokolenia 1820 roku, co autor *Lesława*[100]. Tytuł wiersza jest znamienny

[98] Por. Jan Paweł II, *Pamięć i tożsamość. Rozmowy na przełomie tysiąclecia*, Kraków 2005, zwłaszcza rozdział: *Miara wyznaczona.*

[99] Por. tamże, także rozdział: *O właściwie używanej wolności*.

[100] Por. H. Michałowska, *Salony artystyczno-literackie w Warszawie 1832–1860*, dz. cyt.

Cogito ergo sum[101], a także jego pierwszy wers, zawierający słowo *myślę*: „Myślę, więc jestem". Według twórcy wiersza, jest to „sławna formuła/ Po tylu wielkich trudach znaleziona". Rezultat tego poznawczego trudu poeta porównał do rozdartej tajemnic zasłony. Istotne dla idei wiersza jest powracanie w kilku wersach słowa *wątpienie*, a także jego rozwinięcie. Należy zwrócić szczególną uwagę na wers: „Wątpię więc jestem". Zdaniem autora wiersza, „myśleć" czy „wątpić" na jedno wychodzi, bo „wątpić" to „myśleć". Norwid stwierdza kategorycznie, że „myśl wątpienie rodzi"[102]. Na słowo „wątpienie" kładzie szczególny akcent. Wydobywa je z kontekstu, uwydatniając graficznie wykrzyknikiem: „Wątpienie!". Następnie formułuje zasadnicze pytanie: „Jakże nie wątpić? Cóż na pewno wiemy? Nic nam wiedzieć nie jest dane"; takie przeświadczenie wyrażał też Faust u Goethego.

Jeszcze dalej w eksponowaniu tej niewiedzy idzie bohater Zmorskiego. Już w pierwszych fragmentach utworu autor wyraźnie informuje, że Lesław nie przyszedł „swobodnie dumać" na głazie Twardowskiego[103], czy szukać tajemnych dróg, prowadzących do mądrości, jak usiłuje mu wmówić Nieznajomy. Wprost przeciwnie, Lesław, oddając poznawczą sytuację ludzkości, porównuje ją do koszmaru uwięzienia w labiryncie:[104]

> Mądrość ludzka jest jak labirynt ciemny.
> Od wieków błądząc w jego krętych splotach,
> Co chwila zda się, żeśmy uszli dalej,
> Że coraz nową przebywamy ścieżkę.
> Przecież, na Boga! jedną tylko drogą
> Kołujem, tysiąc powracając razy. –
> Mądrość, to lśniące próchno leszczynowe –
> Dotkniesz, rozsypie się w proch. (*Noc pierwsza*)

Słowa „mądrość" nie należy brać w jego wysokim, duchowym, metafizycznym i kulturowym znaczeniu. Oznacza ludzkie poznanie, poddane przez bohatera Zmorskiego totalnemu wątpieniu. Niezwykle dosadna w swej naturalności semantyka wyraża niesamowicie pesymistyczną diagnozę uwięzienia ludzkości w jałowej powtarzalności wiedzy. Jej ruch poznawania jest pozorny; to błądzenie, kołowanie, powracanie, bez nadziei wyrwania się ku jakiejś transcendencji. W tej labiryntowej wędrówce ludzkość nie staje się świadoma swego sensu. Możemy z powyższego fragmentu wnosić, że czas

[101] L. Norwid, *Cogito ergo sum*, „Kurier Warszawski" 1874, nr 243.

[102] Tamże.

[103] *Lesław* Zmorskiego może być włączony do tekstów literackich poświęconych legendzie Twardowskiego. Zob. A. Smaroń, *Twardowski – niechciany „polski Faust". Koncepcja postaci w literaturze polskiej XIX i pierwszej połowy XX wieku*, „Ruch Literacki" 1995, nr 10.

[104] Por. M. Thalmann, *Labirynt*, „Pamiętnik Literacki" 1978, z. 3. Zob. S. Dietzsch, *Życie w labiryntach. Motyw labiryntu w filozofii kultury po Nietzschem*, przeł. K. Krzemieniowa, Toruń 2012.

w *Lesławie* jest czynnikiem, jeżeli chodzi o poznanie destrukcyjnym, negatywnym, bo nie wznoszącym, ale opadającym w dół, co sugerują wyrazy fragmentu: próchno, proch. Najbardziej ujemne znaczenia, odniesione do mądrości ludowej, autor zawarł w symbolice c i e m n e g o l a b i r y n t u . Jak wiadomo, w kulturze ludzkiej labirynt oznacza irracjonalne, nieobliczalne wędrowanie, które się jakby nigdy nie kończy. Jest ono tylko jałowym ruchem, a więc jakimś przekleństwem człowieczego istnienia, ciążącym nad nim fatalizmem, gdyż podczas tego ciemnego wędrowania nie może się zrodzić żadna inwencja, bez której poznanie, „mądrość ludzka", pozbawiona pierwiastka twórczego, okazuje się tylko bezcelowym błądzeniem.

Znamienny pozostaje fakt, że również w wierszu Ludwika Norwida poznanie ludzkie zostało pozbawione twórczego efektu, ponieważ poeta porównał je do budowania babilońskiej wieży, o której wiadomo, że im wyżej się wznosi, tym szybciej runie:

> Im bardziej głowa człowieka się trudzi,
> Tym wyższe wieże babilońskie buduje.

Podkreślmy, że zasadnicze pytania tego utworu dotyczą wątpienia: „Jakże nie wątpić?", „wątpienie", „Siła czy upadek ducha?". Bardzo wyraźne echo tego rodzaju pytań obecne jest w *Lesławie*. Chociaż Zmorski nie udziela na nie jednoznacznych odpowiedzi, to jednak wiążą się one z zasadniczą ideą utworu, która ma charakter kwestionujący, w sensie lucyferycznym. Autor *Lesława* wyraża podobne jak w wierszu Norwida przekonanie, że to „myśl wątpienie rodzi".

Najważniejsze momenty akcji dramatu, związane z wątpieniem, zawarte zostały w *Nocy trzeciej*. Mamy tutaj starcie Lesława z Nieznajomym, a następnie ze Śmiercią. Lesław i Nieznajomy reprezentują dwie odmienne filozofie życia, które otwierają dramat Zmorskiego na szerszą problematykę światopoglądową, egzystencjalną i metafizyczną. Zaznaczyć należy, że autor nie rozwiązuje problemów ludzkiego istnienia w kategoriach filozoficznych, ale fantastycznych, czyli jakby bliższych życiu. W jego utworze dochodzi do głosu przede wszystkim irracjonalna wiara w istnienie i działanie na szkodę ludzką jakiś ciemnych, demonicznych potęg[105], które usiłują zdradziecko oplątać jego życie, zwieść go na zgubne manowce. Właśnie Lesław stał się okrutną igraszką tajemniczego osobnika, czyli Nieznajomego. Uległ losowi, wyznaczonemu mu przez tę ciemną postać. Uległ z własnej woli, dopuścił do zakorzenienia się myśli Nieznajomego w jego osobowości i pozwolił na prowadzenie w niej tajemniczego dzieła zniszczenia.

Najpierw przyjrzyjmy się fragmentom tekstu, przedstawiającym stosunek Lesława do bytu, marzyciela, idealisty, poety. Bohater w niezwykle górnej retoryce, którą można porównać do orkiestry dętej, wynosi swoją miłość do bytu, zwłaszcza do jego wszechogromu:

[105] Zdaniem S. Kawyna, pod tym względem Zmorski pozostawał pod wpływem E. T. A. Hoffmanna, por. *Cyganeria Warszawska*, w: tegoż, *Studia i szkice*, s. 160-161.

Jam nad mędrców stokroć wielki – miłością,
Co w sercu moim tchnie…
Tam, gdzie ślepnie blask słońc drogi mlecznej,
Serce me tam jasnymi wystrzela promieńmi,
I światy na kończynie światów ostatecznej
Promiennymi ima uściśnieńmi.
Wszystkich ludów niezliczone miliony,
Niebo, ziemię – przyszłość, przeszłość omgloną,
Cały ogrom życia w wieczność rzucony
Obejma kochające me łono… (*Noc pierwsza*)

Lesława wyróżnia więc miłość do całego bytu, jest sercem z nim związany uczuciowo. Jego „kochające Łono" ogarnia nieobjęte przestrzenie kosmosu, wszystkich ludzi, a nawet „na wieczność rzucony cały ogrom życia". Miłość uważa bohater za zasadniczą, sprawczą siłę życia, za samą jego istotę. Lesław więc jest „wielki miłością". Świat poznawany przez mędrców mu nie wystarcza. Bohatera Zmorskiego charakteryzuje nie tyle związanie sercem z konkretnym życiem, ile z odległymi od życia przestrzeniami. Górny wzlot poetycki Lesława, kojarzący się z Konradową *Improwizacją*, kieruje się gdzieś ku „kończynie światów ostatecznej", a tym samym oddala się od realnego miejsca, w którym bytuje. Miejsce to, jak sam wyznaje, znużyło go „zgiełkiem niestrojnym", jego dusza jest „nieukojona gwarem świata czczym".

Lesław jest młodzieńcem wciąż zadumanym, zatopionym w swoim świecie wewnętrznym, czyli w świecie myśli, która go oddala od realnego życia, od ludzi. W piersi swojej własnej „rozpalił/ Słońce dla siebie". Dodajmy, że tylko dla siebie. Ciągłe pozostawanie w stanie zadumania świadczy o potrzebie Lesława przemyślenia zasadniczych spraw egzystencji. W liczącym ponad dwadzieścia wersów monologu bohatera znajdziemy wiele koturnowej deklamacji, wybujałej romantyczności, niszczącej dramatyzm utworu. Nadętość retoryczna grozi zawsze poecie, który udaje się w swoim wzlocie w nieogarnione przestrzenie. Lesław w tymże monologu niezwykle wysoko wynosi fascynującą go wielkość i tym samym zdradza wygórowane mniemanie o sobie:

Wielkość!!.. potężne, czarodziejskiej słowo!
Jakaż młoda pierś od jego dźwięku
Nie zadrży wszystkich strun cudowną mową,
Jak harfa w mistrza ręku!... (*Noc pierwsza*)

Popadłszy w stan improwizacyjnej egzaltacji, osłabiającej napięcie nastroju, Lesław, oczywiście, nie bez wpływu Nieznajomego, zdradził się jako czciciel wielkości. Jedno słowo Szatana – *wielkość* – pogrąża Lesława w stanie pychy, która go opętała jak kadzidło własnego dla siebie uwielbienia:

O! jam wielki!... (…)
Jam wielki mą miłością – i wielkość mą pojąłem.
Wielkim jak świat, jak przestrzeń niezmierzona. – (*Noc pierwsza*)

Odnosimy wrażenie, że Lesław w monologu nie tyle mówi o miłości, co o swej wielkości. Słowa czczące wielkość są wyrazem jego wybujałej pychy, czyli pierwszego grzechu szatańskiego[106]. Nieznajomy utwierdza coraz bardziej bohatera w jego „diabolicznym jestem", świecącym „tajemnym blaskiem", co zwiastuje jego skroń, w której „zamieszkał wielki silny, duch". Bohater *Lesława* kocha byt wszechmiłością, ale jakąś podejrzanie górną, a pozostaje daleki od takich wartości życia, które reprezentuje człowiek Boży z ludu, Rybak, a więc od domu, rodziny, Boga, wiary, realnej miłości Heleny, reprezentującej naturalną prostotę życia, jego etyczność i szczęśliwość, którą pogardza Lesław. Traktując siebie jako kogoś wielkiego, wyższego nad „skarlały tłum" i jego „robacze żądze", staje się coraz bardziej podporządkowany Nieznajomemu i przyjmuje za prawdę jego szatańskie rozumienie:

Piekło to klątwa niczym nie zmazana
Wiecznie ciążąca na duchach tych,
Co ogniem żądz, uczuć górnością
Zdeptali blade, robacze żądze,
I karle tłumu uczucia. – Tak! (*Noc pierwsza*)

Szatańskim omamieniem okazuje się również jego fascynacja Dziewicą-Chmurą, której pozostaje wprost więźniem. Lesław poszukuje szczęścia nie w życiu, ale w czymś fantastycznym. Bierze za byt coś, co jest tylko omamieniem, iluzją, złudzeniem, sztuczką Szatana, a więc, co nie ma w sobie życiodajnego tchnienia, przybliżającego do życia, do ludzkiej jego strony, a powoduje przebywanie Lesława w pustej, ciemnej okolicy Nieznajomego, symbolizującej utratę przez niego substancjalności istnienia. Dziewica-Chmura odbija mu siebie, czyli całe niebo jego dumania, oddalającego od miłości ziemskiej, czyli Heleny. O poecie Lesławie wiele mówi zwiewność obrazu Dziewicy-Chmury, kapryśność jej kształtów, mąconych przez wiatr, żywioł nieustannej zmienności. Lesław cały oddaje się mocą swej żądzy miłości tej dziwnej postaci, niemającej stałych rysów, kształtów.

Dziewica-Chmura jest oddalona od ziemi, znajduje się gdzieś w górnych jej, wysokich rejonach. Wydaje się, że w *Lesławie* symbolizuje ona spotęgowany, sztuczny „ideał" artysty, przeradzający się w nieokreśloną idealność, wykraczającą swoim kapryśnym statusem poza to, co w człowieku jest ludzkie, właśnie w coś jak chmura,

[106] Widać tu analogię z Wielką Improwizacją. Zob. H. Krukowska, *Noc romantyczna. Mickiewicz, Malczewski, Goszczyński. Interpretacje*, Gdańsk 2011; M. Dalman, *Bóg i człowiek w świecie III części „Dziadów" Adama Mickiewicza*, Gdańsk 2008.

w coś nieokreślonego, rozchwianego, nie mającego granic. D z i e w i c a - C h m u r a to s k r z y d l a t a m y ś l p o e t y, bujające po świecie marzenia, ale marzenia bez związku z życiem. Okazuje się ona tworem szatańskim i śmiercionośnym. W „jej całunku piorun się kryje", przeznaczony dla tego, kto nie zrezygnuje z ziemskiej miłości. Kiedy Lesław, pod wpływem spotkania z Rybakiem, nagle wybiera właśnie miłość ziemską, czyli Helenę, zabija ją piorun Dziewicy-Szatana. Pojawienie się Nieznajomego w tej strasznej chwili zdradza, że Dziewica-Chmura była tylko jego – niszczącym życie Lesława i Heleny – narzędziem.

Z obrazem tej fantastycznej postaci kojarzy się jakaś wieczna tęsknota artysty, jakieś żarzące pragnienie, jakaś żądza miłości nieziemskiej, idealnej, która, oddalając od życia realnego, ludzkiego, okazuje się ciemną, zdradliwą, zabijającą siłą, choć najpierw, mocą omamienia, wydaje się czymś niezwykle świecącym, unoszącym wzwyż. Ostatecznie, jak w *Nie-Boskiej Komedii* Zygmunta Krasińskiego[107], Dziewica okazała się tworem, fantazmatem złowrogim, niszczącym życie. Można Dziewicę-Chmurę nazwać wewnętrznym idolem Lesława, demonem jego duszy, ale nie ideałem, który zawsze ma swoje zakorzenienie w realnym życiu. Lesław, wielbiący ślepo Dziewicę, doświadczył tej samej choroby, co Pani Bovary, bohaterka Flauberta, czyli nieszczęsnego pożądania poetyczności, zdradzającego wciąż głód niedostateczności ludzkiego istnienia, a zwłaszcza niedostateczności istnienia odczuwanego przez artystę.

Lesław – z tym „rozpalonym słońcem" w piersi własnej – jednocześnie pragnie celem swego życia uczynić naprawianie zła świata. Ambicją poety jest położenie kresu jego nędzy:

> O, jam wielki!.. Powiedz mi, krzyżową
> Śmiercią mą nędzom świata, że położę kres,
> A ujrzysz wnet bez trwogi, bez ogrójca łez –
> Krzyż nowy i Golgotę nową! (*Noc pierwsza*)

Marząc o poświęceniu się dla ludzkości, Lesław nie czuje się *homo Dei*, człowiekiem Bożym, nie zamierza w swym działaniu naśladować Chrystusa. Wynosząc swoje poświęcenie nad ofiarę Chrystusa, dokonuje jej profanacji, co należy uważać za akt jego antyboskiej, lucyferycznej pychy. W wyznaniu Lesława jakby słyszymy echo słów Konrada: „Cóż Ty większego mogłeś zrobić – Boże"[108]. Lesław w swoim mniemaniu właśnie zrobi „coś większego" niż Chrystus, dając ludzkości „Krzyż nowy" i „Golgotę nową". Z początkowych fragmentów dramatu wynika, że to Nieznajomemu bardzo zależy na utwierdzaniu Lesława w wielkości. Omamia go więc przewrotnym, zniewalającym argumentem:

---

[107] Por. prace o Krasińskim: *Zygmunt Krasiński. Światy poetyckie i artystowskie*, red. A. Markuszewska, Toruń 2014; D.T. Lebioda, *Krasiński – gigantomachia. Studium romantycznego monumentalizmu i tytanizmu*, Bydgoszcz 2011.

[108] A. Mickiewicz, *Dziady cz. III*, sc. II, *Improwizacja*, w. 56, w: A. Mickiewicz, *Utwory dramatyczne*, red. Z. Stefanowska, Wydanie Jubileuszowe, Warszawa 1995.

I tyż byś nie znać miał, że żadna cena,
Nawet wieczności, nie jest wielką zbyt,
Jeżeli za nią można kupić wielkość?! (*Noc pierwsza*)

Podczas pierwszego spotkania z Lesławem „w pustej okolicy" Nieznajomy zapewnia, że żądza miłości, jej wielkość, górność uczuć zawiodą go tam, gdzie znaleźli się inni zapaleńcy, czyli czciciele szatańskiej mądrości. Dla duchów, co zdeptały „blade robacze żądze i karle tłumu uczucia", „Piekło to klątwa niczym niezmazana", to ich los. Taki los przeznaczony jest Lesławowi jako „kupującemu wielkość". A wielkość to kolejne omamienie szatańskie. Lesław grzeszy nie tylko pychą, a więc uległością pokusie podsuwanej mu przez Nieznajomego. *Pycha* i *pokusa* to nie są słowa obojętne znaczeniowo w kulturze ludzkiej. Mają utrwalony w niej przez wieki swój stały walor etyczny. W Piśmie Świętym, jak wiadomo, potępione są przejawy wszelkiej pychy, a zwłaszcza wygórowane mniemanie jednostki ludzkiej o sobie, do czego ma wyraźną skłonność Lesław i dlatego tak łatwo ulega podszeptom Szatana. W tej skłonności bohatera Zmorskiego tkwi zasadnicza przyczyna jego bliskości z Nieznajomym, a więc i buntu przeciw Bogu i stworzonemu przez Niego światu. Być może bunt ten jest zarazem jakąś koniecznością, właściwą kondycji artysty.

Nawiązując relację z Nieznajomym, Lesław był przekonany, że jest wolnym, samodzielnym duchem. Głosząc pochwałę miłości, marzył o przyszłym szczęściu ludzkości, mającym nastąpić za sprawą jego poświęcenia. Natomiast głównym, utajonym celem Nieznajomego jest zarażenie myśli Lesława o świecie t o t a l n y m z w ą t p i e n i e m w o n t o l o g i c z n e f u n d a m e n t y b y t u s t w o r z o n e g o p r z e z B o g a . W słowach Nieznajomego, jak to w słowach Szatana, nie znajdujemy przejawów miłości, a tylko demoniczną chęć destruowania życia, jego niszczenia[109]. Podczas drugiego spotkania z Lesławem w *Nocy trzeciej* Nieznajomy wypowiada wiele bardzo krytycznych sądów, przedstawiających naturę ludzką w najgorszym świetle. Na niekorzyść oskarżanej przez siebie ludzkości posługuje się argumentami, godzącymi przede wszystkim w głoszoną przez Lesława zasadę miłości:

Wszakże w całej drapieżnej, świat krwawiącej hordzie,
Pierwsze miejsce, człowiecze! tobie się należy;
Tyś wodzem i mistrzem w mordzie. –
Wielka ziemia za mała dla twoich łupieży:
(…)
Ręka twa rzeź wszędy szerzy. – – (*Noc trzecia*)

[109] W innym kierunku (konstrukcji sobowtórowej) idą intuicje Słowackiego, gdy konstruuje on postać Nieznajomego w *Horsztyńskim*. Zob. J. Ławski, *Wstęp* do: J. Słowacki, *Horsztyński. Tragedia w pięciu aktach*, BN I, nr 314, Wrocław 2009.

W spojrzeniu Nieznajomego człowiek jest odwiecznym wrogiem „wszystkiego, co żywe". Słowo „horda" kojarzy go z najbardziej dzikimi i krwiożerczymi zwierzętami. Człowiek zostaje więc umieszczony wewnątrz bestiarium natury. Mord, Łupieże, rzeź, pławienie się we krwi – to żywioły niszczenia, działające w człowieku i to w sposób wyrafinowany, co sugerują słowa „mistrza w mordzie". Dla Nieznajomego jest Lesław tylko „nikczemnym pyłem ziemi", napiętnowanym, jak wszyscy ludzie, zbrodniczym instynktem. Zabijając jastrzębia, atakującego słabsze ptactwo, przyznał sobie prawo zabijania, a przecież, stwierdza Nieznajomy, „co żyje, jednym życiem tchnie" i każda z istot stąd jest bliźnią człowiekowi, który, mimo to, „wszędy rzeź szerzy", „wszędy wojna wrze":

> Co żyje, walczy: siłą, zdradą podłą –
> Wzajem się szarpie, rozdziera i zrze. (*Noc trzecia*)

Lesław słysząc oskarżenia Nieznajomego, doznaje myślowego wstrząsu i nazywa je „okropną prawdą", tajemnicą stworzenia kryjącą, że w ą t k i e m j e s t e s t w a j e s t n i e n a w i ś ć w i e c z n a.

Świat, stwierdza Nieznajomy w tych piekielnych słowach, nie jest światem miłości, jak się wydawało Lesławowi, a wprost przeciwnie – światem nienawiści. Miłość w lucyferycznym spojrzeniu Nieznajomego okaże się tylko gorączkowym szałem, ukrywającym całą „okropność istnienia":

> O! gdybyż nie ten gorączkowy szał,
> Któreż by żywe serce nie struchlało
> Przed okropnością istnienia – przed sobą!
> Któż potępiony chciałby rodzić płód?... (*Noc trzecia*)

Miłość, która przepełniała serce Lesława, okazała się tylko mgłą, zaciemniającą zmysły i niedającą duszy możliwości „rozważną" w koło spojrzeć myślą[110].

Właśnie *myśl* to jedno z bardziej znaczących słów-kluczy w dramacie Zmorskiego. Mówiąc językiem autora, to m y ś l b ł y s k a w i c a rozdziera ciemność istnienia, rozświetlając straszliwe, nagie jej oblicze. Po lucyferycznych rewelacjach Nieznajomego doświadcza Lesław piekielnej jasności – bo tym właśnie jest myśl – zwiewającej mgłę, co kryła tajemnicę stworzenia, która poraża swoją bezdenną otchłanią:

> Myśl ta rozwarła gardziel swój przede mną.
> I z każdą chwilą, co w nią okiem tonę,
> Tym straszniej widzę jej niezmierną przepaść. –

[110] Jak zauważa Stefan Sawicki, istnieje potrzeba włączenia tego najciemniejszego nurtu romantyki w badania nad szeroko pojętymi przeobrażeniami wizji *sacrum* w epoce nowożytnej: „Ta ciemna literatura domaga się włączenia do badań z kręgu >*sacrum* w literaturze<. Ujawnia bowiem absurd zła i nicości" (S. Sawicki, *O pograniczu literatury i religii*, Białystok 2011, s. 17).

Chłód przerażenia wieje z jej głębiny,
I skroń mą tłoczy lodową obręczą. –
Wszystkie me siły wytężam, by nie paść
W jej czeluść czarną – – na próżno! pode mną
Drżą stopy… świat się mgłą obwija ciemną!... (*Noc trzecia*)

Jakże nie wątpić? Przypomina się tu pytanie z wiersza Ludwika Norwida. I jego stwierdzenie, że myśl wątpienie rodzi. U Zmorskiego myśl „rozwiera gardziel" jak jakiś stwór, pokazując swoją „niezmierną przepaść", swoją „czeluść czarną". Myśl, tak jak noc, ma bezgraniczną, przerażającą głębię, odzierającą byt z pozorów, z oszukańczych jego powłok.

W *Lesławie* myśl zostaje potraktowana jako najgłębsze poznanie, czyli jego ostateczna skrajność, ocierająca się o nicość, „czeluść czarną". Można taką myśl nazwać duchem negacji ontologicznej, odsłaniającym byt w jego prawdzie, w jego strasznej prawdzie, o czym świadczy „chłód przerażenia" z niej wiejący i lodowa obręcz na skroni bohatera. W szkicu fantastycznym Zmorskiego myśl jest istotnym, a może raczej istotowym, ale i przeklętym składnikiem człowieczeństwa, jego wewnętrzną piekielną głębią. Wolno też tę myśl porównać do nagłej transgresji, dotyczącej nie tylko płaszczyzny egzystencjalnej, ale i metafizycznej. Mówiąc językiem poezji, wszystkie marzenia ludzkiego ducha obleka ona w kir, pogrąża w c i e m n ą c z e l u ś ć z w ą t p i e n i a , które jest groźbą wciągnięcia myśli w tę przestrzeń, czyli w wielką mogiłę, w ubroczone pole „wieczystej walki, nienawiści wiecznej".

Zaznaczmy, że w *Lesławie* myśl należy do wyraźnie eksponowanego przez autora motywu, noszącego niezwykle pesymistyczną, negatywną jego filozofię człowieka. Motyw ten wprowadzony jest w tych miejscach tekstu, które traktują o granicznych doświadczeniach bohatera. W tym kontekście nie możemy nie przypomnieć, że Zmorski jest autorem wiersza zatytułowanego *Myśl*[111]. Zasadnicze przesłanie tego wiersza zawarte jest w ostatnich finalnych wersach:

Dzień i noc jako upiór krew twoją wysysa,
Dopóki całej duszy wreszcie nie wypije –
M y ś l - u p i ó r , ż y c i e m o f i a r ż y w i s i ę i ż y j e[112]. (*Myśl*)

Zwłaszcza użyte przez autora porównania zmierzają do wskazania zdradzieckiego „charakteru" myśli. Myśl, przede wszystkim, pod atrakcyjną powłoką skrywa truciznę, kłamliwie wdzięczy się, przynęca do „rozkoszy", zwabia, zniewala barwami, woniami jak:

Kwiat, co jak rozbójnik na łup tylko czyha,
Balsamicznym je swoim c a ł u n e m o b w i j a ,
I w o n n y m i u ś c i s k i z d r a d z i e c k o z a b i j a . (*Myśl*)

[111] R. Zmorski, *Myśl*, w: tegoż, *Poezje*, Lipsk 1866, s. 91-92.
[112] Podkreślenie Autorki. Patrz: *Aneks*.

Porównanie do węża dusiciela, który krępuje splotem, albo do obręczy skuwającej, trzymającej w żelaznych ramionach, wyraża jednoznacznie negatywny stosunek Zmorskiego do roli myśli w egzystencji ludzkiej. Myśl przynależy raczej do ułudy, oszustwa, złudy, szatańskiego omamienia.

W szkicu fantastycznym Zmorskiego myśl jest nieuniknionym, nieustraszonym zstępowaniem w głębie ontologicznej nocy. Myśl, będąc poznaniem, sama wymyka się poznaniu, ponieważ zmierza przede wszystkim do zgłębiania tajemnic bytu i egzystencji ludzkiej, życia i śmierci i w tym nieskończonym zgłębianiu nabiera cech demonicznych, zdradzieckich, cech pokusy, „przeciąga" bowiem człowieka na stronę Szatana. Nie jest więc Zmorski jako autor *Lesława* daleki od tematu upadku w zło. Fantastyka tego utworu wydobyła jakąś ciemną zasłonę bytu, prazasadę – zła. Dominujący motyw *Lesława* niosą wyrazy: o t c h ł a ń , p r z e p a ś ć , c z e l u ś ć . W utworze jest wiele wyrazów z tego kręgu semantycznego. Na tym motywie spoczywa najbardziej czarna jego ekspresja. Można odnieść wrażenie, że ruch zstępujący wyobraźni Zmorskiego pozostaje w związku z wyznawaniem Szatana:

Myśmy u p a d l i w mrocznych piekieł żar. (*Noc trzecia*)

Właśnie kosmosem *Lesława* rządzi prawo upadania, schodzenia bytu i człowieka w piekielne jego doły. Zgodnie ze słowem Szatana, „upadły" byt degraduje się nieustannie. Ten jego ruch zstępujący w próchno, w proch jest wyrazem czarnego pesymizmu ontologicznego *Lesława*. Należy zwrócić uwagę na niezwykle negatywny stosunek jego autora do ciała, uwydatniający przekleństwo upadku w materię, jej dominację nad duchem[113].

W kończącym fragmencie utworu Szatan, ukrywający się najpierw w postaci Nieznajomego, ukazuje się w „czarnej rozpadlinie ziemi". Szatan Zmorskiego jakby mści się na ludzkości, którą reprezentuje tutaj Lesław, za swoje strącenie do piekieł, a więc czyni wszystko, by ziemia i człowiek również u p a d l i . Ten Szatan, prezentujący się jako myśliciel, może filozof, nie jest, jak Mefistofeles z *Fausa* Goethego, „Cząstką siły małej, /Co złego pragnąc zawsze dobro zdziała"[114]. W *Lesławie* Zmorskiego szatan to siła dążąca jednoznacznie do zniszczenia życia, do destrukcji Boskich podstaw bytu.

Dla realizacji tego celu wykorzystuje ukryte w kosmosie, wrogie człowiekowi moce, na przykład czarownice, czy topielców. Jeżeli chodzi o tę wrogość kosmosu, to w tym względzie Zmorski, wierny estetyce romantycznej, poszedł za wyobraźnią

[113] Chodzi tu o przedstawienia ciała zdegradowanego i sprofanowanego, ciała jako materii. Por. W. R. Clark, *Płeć i śmierć*, przeł. A. Alichniewicz, Warszawa 2000; B. Paprocka-Podlasiak, *Starość w „Fauście" J. W. Goethego*, w: *Starość. Doświadczenie egzystencjalne – temat literacki – metafora kultury*, Seria II: *Zapisy i odczytania*, wstęp J. Ławski, red. naukowa A. Janicka, E. Wesołowska, Ł. Zabielski, Białystok 2013.

[114] J.W. Goethe, *Faust*. *Tragedia*, przet. i posłowiem opatrzył A. Pomorski, Warszawa 1999, *Tragedia część pierwsza*, s. 56 (*Pracownia*).

mazowieckiego ludu. Jego samorodną twórczą fantazję poddał jednak poetyckiej obróbce. Wyobraźnia poety była zbyt dynamiczna, by biernie powielać surowe przekazy ludowe. Jednak nie naruszał on tej ich warstwy, która objawiała głęboką irracjonalną intuicję[115], zwłaszcza dotyczącą natury, śmierci i zła. W fantastyce mazowieckiego ludu, co autor powiedział odpowiednimi przypisami, wyrażone jest przekonanie o wszechobecności zła i śmierci. W tym fantastycznym kosmosie roi się od złych duchów. Wszystkie żywioły natury, zwłaszcza woda i powietrze, są pełne najgroźniejszych stworów, a nawet potworów:

> Jak dziewacznymi kształty niebo to się chmurzy! –
> Tu czarny, siedmiogłowy smok w obłokach drzymie –
> Tam, jakieś wpół człowiecze, wpół mgliste, olbrzymie
> Tłumy – horda wędrownych duchów, obłąkana
> W swej nieskończonej powietrznej podróży. –
> Owdzie ciemna, r o z t w a r t a p a s z c z a d z i w o t w o r a
> W i s i z b e z d e n n y c h m r o k ó w . S t r z ę p i o n e j e j z ę b y ,
> K r w a w y m b ł y s z c z ą s z k a r ł a t e m , z d a s i ę , o g n i a k ł ę b y
> C o c h w i l a n a ś w i a t r z y g n i e …
>
> (*Noc trzecia*)

U podstaw fantastyki *Lesława* leży idea demonicznej natury. Jest to fantastyka zupełnie pozbawiona funkcji „usługowych" wobec rzeczywistości realnej. Została przede wszystkim osadzona w obsesjach związanych ze złem i śmiercią, z tym, co w bycie jest tajemnicze i przerażające, jak ten dziwotwór z powyższego cytatu z roztwartą paszczęką, ze strzępionymi jej zębami. W *Lesławie* ogląd życia został więc przedstawiony z perspektywy owej upiornej fantastyki, co w pełni sytuuje ten utwór w nurcie czarnego romantyzmu.

Figury „Nieznajomego"

W biografii swojego bohatera Zmorski wysunął trzy istotne zdarzenia, dwa dyskursy z Nieznajomym i jeden ze Śmiercią. Jak w *Wacława dziejach* Garczyńskiego, tak i w *Lesławie* inicjatywa należy do Nieznajomego, który inspiruje „dzikie marzenia" i „szatańskie myśli" bohatera[116].

Lesław Zmorskiego przynależy do grupy utworów, w których występuje właśnie postać Nieznajomego. W biografii romantycznego bohatera szczególnym znaczeniem obciążony jest moment spotkania z „tym drugim", czyli ciemnym sobowtórem[117].

[115] Por. R. Wojciechowski, *Warszawskie*, w: *Dzieje folklorystyki*, dz. cyt.
[116] M. Janion, *Druga i trzecia generacja romantyków*, w: *Gorączka romantyczna*, s. 117.
[117] Na temat sobowtóra zob. M. Podraza-Kwiatkowska, *Młodopolskie konstrukcje sobowtórowe*, w: *Prace*

Zmorski swój dramat rozpoczął właśnie od spotkania Lesława z postacią świata fantastycznego, czyli Nieznajomym. Określenie tej dziwnej postaci słowem „nieznajomy" pojawiło się w literaturze polskiej dużo wcześniej. Ma ono już swoją historię. Śledząc ją, należy się cofnąć do I części *Dziadów*[118]. Nie bez znaczenia dla losów bohatera Mickiewicza, jak i później dla losów Lesława u Zmorskiego, pozostaje m i e j s c e a k c j i . Gustaw, porwany górną, lotną myślą, unoszącą go ku marzeniom, zabłądził, czyli znalazł się s a m o t n y w l e s i e i w n o c y . A więc w miejscu, gdzie nie widać „nigdzie śladu ni drożyzny". I, co właśnie istotne jest dla obu utworów, nie ma w tym miejscu ludzi.

Gustaw chętnie wyrzekłby się ich, a nawet całego świata, gdyby spotkał swoją wymarzoną „córę tajemniczą". Gdy tylko wypowiedział to życzenie, natychmiast zjawił się przed nim ktoś, kto „chce go nawiedzić w ludzkiej postaci". Bohater Mickiewicza, podejrzewając, kogo ma przed sobą, zdecydowanie oświadcza, że nie przyjmuje żadnej pomocy od n i e z n a j o m y c h . Właśnie ze względu na to określenie, odniesione do tajemniczej postaci, przywołaliśmy tę nocną scenę z I części *Dziadów* Mickiewicza[119]. Chodziło tu również o zwrócenie uwagi na podobieństwo sytuacji, w jakiej znaleźli się obaj bohaterowie. Jednakże w przeciwieństwie do bohatera Mickiewicza, Lesław szybko nawiązuje znajomość z Nieznajomym i stwierdza nawet, że jest znajomym Nieznajomego, co będzie miało fatalne skutki dla jego losu. Nieznajomy w *Lesławie* nie reprezentuje tylko zła bohatera, jego ciemnej strony, ale też jest personifikacją zła obiektywnego.

Mickiewicz nie był jednak pierwszym polskim romantykiem, który wprowadził do swojego utworu postać z rodu n i e z n a j o m y c h . Przed autorem *Dziadów* uczynił to książę Edward Lubomirski, zapomniany polski pisarz z początku XIX wieku. Właśnie w białostockiej Naukowej Serii Wydawniczej „Czarny Romantyzm" ukazał się Lubomirskiego przekład *Fausta* napisanego przez niemieckiego twórcę, Augusta Ernsta Friedricha Klingemanna[120]. Okazało się, że to właśnie Lubomirski, którego można, jak sądzi Jarosław Ławski[121], uważać za pierwszego pisarza polskiego romantyzmu, już w roku 1819 opublikował przekład tragedii *Faust* i poprzedził swoją translację obszernym wstępem, propagującym romantyzm niemiecki w Polsce. To w tej tragedii Klingemanna występuje Nieznajomy, który w toku akcji dramatu okazuje się Szatanem, doprowadzającym Fausta, przez fałszywe omamienie postacią pięknej Heleny, a w rzeczywistości straszliwym trupem, do zguby moralnej i w końcu

ofiarowane Henrykowi Markiewiczowi, red. T. Weiss, Kraków – Wrocław 1984; tu także: M. Janion, *Kapelmistrz Kreisler i Pani Bovary*.

[118] A. Mickiewicz, *Dziady*, oprac. M. Cieśla-Korytowska, Kraków 1998.

[119] Wszystkie cytaty z I części *Dziadów* z powyższego wydania.

[120] A. E. F. Klingemann, *Faust. Tragedia w pięciu aktach*, przekł. i wstęp książę Edward Lubomirski, wprowadzenie J. Ławski, S. Dietzsch, L. Libera, M. Kopij-Weiß, red. tomu, oprac. tekstu, przypisy i bibliografia Ł. Zabielski, Białystok 2013.

[121] Por. J. Ławski, *Książę Edward Lubomirski – prekursor romantyzmu*, tamże, s. 11-34.

piekielnego potępienia. Mefistofeles jako mroczny powiernik i ponury doradca – jest prototypem licznego potomstwa owych „nieznajomych ubranych na czarno", którzy są do nas podobni niczym bracia[122].

W romantyzmie polskim następnym utworem wprowadzającym postać Nieznajomego są *Wacława dzieje* Stefana Garczyńskiego[123]. Główny bohater utworu kieruje do Nieznajomego następujące słowa:

Znam ciebie dokładnie.
Człowieka postać wziąłeś, ale w duszy na dnie
Piekło całe – tym patrzysz, kogo schwycić łatwo.[124]

Istotne informacje o Nieznajomym zawiera artykuł Krzysztofa Trybusia, już wcześniej wspomniany w tej pracy, *O „Wacława dziejach" raz jeszcze*. Badacz, odwołując się do książki Zofii Stajewskiej o poemacie Garczyńskiego, uważa, że Nieznajomy w *Wacława dziejach* jest „częścią psychiki głównego bohatera". Wacław istnieje przez Nieznajomego[125]. Autor artykułu przypomniał także opinię Aliny Witkowskiej, która „wątpiąc w siłę romantycznej konwersji Garczyńskiego" pisała: „Czy aby nie w nim samym, bezustannie, w toku wszystkich przemyśleń było ich dwóch": sceptyczny ironista, czyli Nieznajomy, i romantyczny entuzjasta, czyli Wacław „żagwią serca podpalający stary świat"[126]. Interpretator stwierdza, że tak właśnie jest w poemacie. Wacław i Nieznajomy to jedno. Jego zdaniem, „widzieć te dwie postaci osobno, to znaczy rozdzielić moralność i prawdę, a w konsekwencji zrezygnować z fascynacji niebezpieczeństwem poznania[127]. O postaci Nieznajomego wspomina Witkowska także w podręczniku *Romantyzm*, w jego części VII: *Poemat i epika wierszowana*. *Poematy S. Garczyńskiego i S. Witwickiego*. W tym tekście uznała Nieznajomego za postać mocno podejrzaną, trochę demoniczną. Może, przypuszcza autorka, to szatan, udający heglistę[128]. Według Zofii Stajewskiej, Wacław i Nieznajomy są filozofami, znają nader dobrze Hegla[129].

Określenie n i e z n a j o m y można odnieść do wszystkich ciemnych sobowtórów głównych bohaterów romantycznych. Choć te postaci mają swoje imienne wyróżnienia, to jednak zawsze pozostają Nieznajomymi, ponieważ zło, którego najczęściej są

[122] G. Durand, *Potęga świata wyobrażeń, czyli Archetypologia...*, dz. cyt., s. 52.
[123] S. Garczyński, *Wacława dzieje. Poema*, Warszawa 1974.
[124] Tamże, s. 66.
[125] Por. K. Trybuś, *O „Wacława dziejach" raz jeszcze*, w: *Zapomniane wielkości romantyzmu*, dz. cyt. s. 194.
[126] Trybuś przypomniał rzecz A. Witkowskiej: *Czy Polacy nie kochają dialektyki?*, „Kronika Sezonu 1973/1974 Teatru Narodowego" (R. XIII).
[127] Por. K. Trybuś, *O „Wacława dziejach" raz jeszcze*, s. 194.
[128] A. Witkowska, R. Przybylski, *Romantyzm*, dz. cyt., s. 467.
[129] Zob. Z. Stajewska, *„Wacława dzieje" Stefana Garczyńskiego*, Warszawa 1976, s. 73. Autorka wiele uwagi poświęciła postaci Nieznajomego.

personifikacjami, zawsze pozostaje nieprzejrzyste, nieznane ze swej istoty jako jedna z najgłębszych tajemnic życia.

Postać Nieznajomego wprowadził także Juliusz Słowacki do dramatu *Horsztyński*. Współautorki *Romantyzmu i egzystencji* sądzą, że pełniąc rolę „współczującego powiernika rozterek i udręk Szczęsnego", tym samym przesłania swą reprezentatywność Nieznajomego jako człowieka owej drugiej Polski, o której chciał mówić w dramacie o Jasińskim Mickiewicz[130]. Autorki stwierdzają, że „Nieznajomy – zgodnie ze swym dramatycznym *emploi* – nie mógł być postacią wyrazistą jako kreacja literacka[131]. Nieznajomy kończy jednak w *Horsztyńskim* swoją karierę literacką, przynajmniej, zaznaczają autorki, jeśli chodzi o pierwszoplanowe dzieła romantyzmu polskiego[132]. Jednocześnie Janion i Żmigrodzka zauważają, że Nieznajomy Słowackiego jest różny od innych postaci we wcześniejszych utworach polistopadowych. Nie jest szatanem ani swobodną projekcją świadomości czy nieświadomości bohatera. Miał być postacią tajemniczą, lecz rzeczywistą – pozostał czystą potencją patriotycznego czynu[133]. W najnowszym opracowaniu *Horszyńskiego* autor *Wstępu* zwrócił uwagę na rolę postaci Nieznajomego. Według niego, „Nieznajomy uosabia zrewoltowany lud wileński i żywioł powstania kościuszkowskiego". A wzorowany jest na pułkowniku Jakubie Jasińskim. Badacz uważa również, że Nieznajomy jest bezpośrednio związany z postacią Szczęsnego. Można go traktować jako inną stronę osobowości, *alter ego* lub sobowtóra Szczęsnego. Interpretator dodaje, że jego „bezimienność jest symboliczna", łączy się być może z wyborem, którego mógł dokonać Hetman, gdyby przyłączył się do rewolucjonistów[134].

Postać Nieznajomego na dobre zagościła w polskich nowelach fantastycznych. Najwyraziściej została zarysowana w opowiadaniu *Zapatan* Władysława Łozińskiego. Jak informuje jego narrator, postać Nieznajomego widokiem swoim „dziwną jakąś robi impresję"[135]. Jego ubiór jest cały czarny. „Twarz ma bladą, a w jakąś sinawość wpadającą"[136], zaś uśmiech przykry. Zwykle pojawia się niespodziewanie. Staje „przed oczyma, jakby żywcem ze snu ciężkiego był, a nie ze świata"[137]. Narrator opowiadania sugeruje, że postać Nieznajomego przypomina Twardowskiego, mistrza „wszelakich tajemniczych sciencji"[138]. A nawet przypuszcza, że to może być jakby sam drugi mistrz Twardowski, co „nadnaturalne arkana posiadał"[139]. Nieznajomy w *Zapatanie* jako postać

[130] Por. M. Janion, M. Żmigrodzka, *Gorzkie arcydzieło*, w: *Romantyzm i egzystencja*. *Fragmenty niedokończonego dzieła*, Gdańsk 2004, s. 166.
[131] Tamże.
[132] Tamże.
[133] Tamże.
[134] J. Słowacki, *Horszyński. Tragedia w pięciu aktach*, oprac. J. Ławski, wyd. cyt., s. 50.
[135] W. Łoziński, *Zapatan*, w: *Polska nowela fantastyczna 2*, zebrał J. Tuwim, Warszawa 1953, s. 156.
[136] Tamże. s. 159.
[137] Tamże, s. 159.
[138] Tamże, s. 163.
[139] Tamże, s. 181.

dziwna, tajemnicza budzi przede wszystkim lęk jako „istne enigma chodzące”[140]. Swoim nierozpoznawalnym statusem budzi różne domysły, dlatego stykający się z nim ludzie nie mogą powstrzymać swojej fantazji. Narrator opowiadania w końcu przypuszcza, że Nieznajomy jest może kuzynem samego nawet Lucyfera[141].

Przypomnijmy, że bohater Zmorskiego poszukuje kontaktu z ciemnymi mocami. Fascynuje go także postać Twardowskiego, jego praktyki czarnoksięskie.

Już w pierwszej rozmowie Lesława z Nieznajomym budzi się podejrzenie, że jest on kusicielem, duchem zła. Jeżeli prześledzimy rolę tej fantastycznej postaci w dalszych częściach *Lesława*, to stwierdzić musimy, że rzuca ona czarny mrok na cały świat przedstawiony tego utworu. Już na początku akcji utwierdza Lesława w diabolicznych cechach jego osobowości. Zanim Lesław spotka Nieznajomego, a zarazem, jak się okazuje, bardzo mu znajomego, to już znajduje się on w kręgu jego oddziaływania, w przestrzeni kusiciela. Nieznajomy w *Lesławie* jest zasadniczą częścią świata fantastycznego. Jego działania należą do wątku głównego poematu. Zaznaczmy, że pierwsze słowa dramatu wypowiada Nieznajomy, co ma istotne znaczenie dla zawartej w nim idei. Zatem w świat przedstawiony utworu wprowadza postać fantastyczna. Zauważmy, że Nieznajomy zachowuje się tak, jakby okolica, w której znalazł się Lesław, była jego własnością. A nawet wyraża zdziwienie, że go tutaj spotka:

> Tak samotnego i o takiej porze,
> Cóż na tym miejscu trzymać ciebie może? (*Noc pierwsza*)

W didaskaliach autor określił to miejsce jako p u s t ą o k o l i c ę. W takiej okolicy, u kamienia Twardowskiego, Lesław spotyka Nieznajomego. Przywołanie Twardowskiego sugeruje, że to miejsce ma w sobie coś z kuszącej otchłani, ma cechy czarodziejskiego kręgu. Fantastyczny motyw miejsca pustego służy przypomnieniu starej prawdy, że człowiek może żyć tylko wśród ludzi, a tak często, z pożądanej samotności, spowodowanej chwilami rozgoryczenia, niechęcią do ludzi i świata, korzysta kusiciel. Lesław wybrał to miejsce świadomie, z własnej woli, czyli sam naraził się na wewnętrzne zatracenie, spotkanie „tego drugiego”. Wszedł w strefę Nieznajomego i rozpoznał w nim siebie, swoje ciemne, głębokie „ja”. Przypomnijmy, że miejscem naznaczonym obecnością złego ducha jest pustynia, miejsce kuszenia. Sam Chrystus był trzykrotnie na p u s t y n i kuszony przez Szatana. W *Księdze Rodzaju* ziemia na początku była bezładem i p u s t k o w i e m. Pusta okolica w *Lesławie* przywołuje w nim skojarzenia biblijne. Kojarzy się z ziemią jałową, oznacza przede wszystkim miejsce oddalone od życia, po którym błąka się Kainowa dusza Lesława, wyjałowiona, wypalona duchowo. To oddalenie pochodzi z nadania szatańskiego.

[140] Tamże, s. 178.
[141] Tamże, s. 185.

Oddalenie jest właściwie przekroczeniem w sensie z d e z e r t e r o w a n i a L e s ł a w a - p o e t y w ł a ś n i e z ż y c i a . Bohater Zmorskiego nie jest w stanie przystosować się do życia, podjąć wobec niego jakichś powinności. Odstąpienie od nich, opuszczenie ludzi jest grzechem dezercji, gdyż jakby z natury od człowieka należy się życiu podjęcie powinności etycznych. Tym samym człowiek traci ukierunkowanie ku czemuś wyższemu od niego samego.

Miejsce, w którym znalazł się Lesław, okazuje się dziwne, odludne, bez wyznaczonych granic, co symbolizuje noc. Sam Lesław jest tą „pustą okolicą". M i e j s c e t o s t a n i s t n i e n i a . Miejsce puste, pusta okolica jest więc pokusą. Bohater Zmorskiego znalazł się w enklawie Twardowskiego, w świecie odsłonecznionym. Lesław dumnie oświadcza, że stworzył dla siebie słońce własne, które w świetle akcji należy uważać za czarną dziurę jego duszy. Zmorski dokonał nowej introspekcji w duszę romantycznego Kaina. Obdarzył uwagą jaźń romantycznego sobowtóra i marzyciela. Nieznajomy uświadamia Lesławowi, co go przywiodło w to miejsce:

> Duszy twojej tajne pragnienie
> Nieukojone gwarem świata czczym. (*Noc pierwsza*)

Lesław przez miejsce staje się medium sił pozaziemskich. Wejście w tę okolicę oznacza jakby zawarcie paktu z diabłem. Na początku dramatu spotykamy Lesława w przestrzeni, która ma charakter irracjonalny. Dzieje bohatera, jego los stał się tylko odbiciem wpływu szatana. Pusta okolica jest wewnętrzną przestrzenią duszy Lesława, przestrzenią rozpoznania ciemnego „ja".

W biografii romantycznego bohatera bardzo istotne staje się doświadczenie samotności. To doświadczenie oznacza doznanie przez niego głębokiej ontologicznej przepaści między nim a światem. O samotności Lesława mówi na początku tekstu Nieznajomy:

> Tak samotnego i o takiej porze,
> Cóż na tym miejscu trzymać ciebie może? (*Noc pierwsza*)

Sam Lesław na wyżyny wynosi samotność:

> Samotna cisza rosą jest krzepiącą
> Dla duszy zgiełkiem niestrojnym znużonej. (*Noc pierwsza*)

Zaznaczmy, że w końcowym żegnaniu się bohatera z życiem, ze światem powraca także motyw samotności.

W *Lesławie* samotność zostaje potraktowana jako pełen powagi egzystencjalnej akt odniesienia się bohatera do samego siebie[142]. Dopiero jednostka samotna otwiera

[142] Por. K. Tyszka, *Samotność duszy. Dziedzictwo wiary i rozumu w (po)nowoczesności*, Warszawa 2014; P. Tillich, *Osamotnienie i odosobnienie*, przeł. K. Mech, „Znak" 1991, nr 4. Zob. na temat tego motywu

się ze świadomością na pytanie o istotę człowieka w jej głębi. To otwieranie się, jak twierdzi współczesna filozofia o orientacji antropologicznej, jest odniesieniem się osoby ludzkiej do siebie samej. Taka też refleksja narzuca się czytelnikowi pierwszych fragmentów *Lesława*. Doświadczenie samotności bohatera Zmorskiego stanowi jeden z wyraźnych przejawów działania irracjonalnego losu. Starcie Lesława z tym losem zostało potraktowane przez autora z całą powagą. Bohater Zmorskiego wybiera ostateczną samotność, a jednocześnie pozostaje z udręką niespełnienia.

I miłość moja była tylko dopełnieniem
(...) żądzy wyjścia z cieśni
Samotnego istnienia (…)
(…)
Ja wiecznie zlewać się chciałem
W harmonii światów chór nieskończony!..... (*Noc trzecia*)

W *Lesławie* następuje drastyczne zderzenie owej żądzy wyjścia z samotnego istnienia bohatera ku harmonii światów, która jednak okazuje się tylko...

Harmonia światów! i tyżeś jest tylko
Dźwięcznym splątaniem przeraźliwych głosów,
Jęków konania i morderstwa wrzasków!...
O świecie życia! Ty śmierci dziedziną –
Wielką mogiłą – polem ubroczonem
Wieczystej walki, nienawiści wiecznej! – (*Noc trzecia*)

Lesława romantyzm negacji?

Szkic dramatyczny Zmorskiego, mimo różnych jego artystycznych surowości, wyróżnia się na tle literatury polskiej, co ponownie podkreślamy, ze względu na niespotykane w swej odrażającej niesamowitości i grozie, niezwykle ponure, ciemne obrazy śmierci, co bezspornie sytuuje ten utwór w nurcie czarnego romantyzmu. Marta Piwińska nazwała *Lesława* najczarniejszym dramatem polskiego romantyzmu[143]. Należy podkreślić, że czarność ta została przesunięta daleko w stosunku do tej, jaką odznaczały się obrazy śmierci w utworach wczesnego romantyzmu, a zwłaszcza w *Marii* Antoniego Malczewskiego i w *Zamku Kaniowskim* Seweryna Goszczyńskiego. *Maria* zawsze będzie się nam kojarzyć ze słynną, pesymistyczną frazą: „Bo na tym świecie, Śmierć wszystko zmiecie". Powieść ta, co sam jej autor wyznał, namalowana została

monografię: M. Kalinowska, *Mowa i milczenie. Romantyczne antynomie samotności*, Warszawa 1989.

[143] Por. M. Piwińska, *Bóg utracony i Bóg odnaleziony. Buntownicy i wyznawcy*, w: *Problemy polskiego romantyzmu*, s. 284.

„ciemną tylko farbą" i rozciągając na życie ludzkie i na całą naturę czarną zasłonę, należy do najposępniejszych dzieł w literaturze polskiej[144]. Autor *Zamku Kaniowskiego* był oskarżany przez krytyków o rażący sposób przedstawienia śmierci[145], o naruszenie tabu jej obrazu, utrwalonego zwłaszcza przez literaturę klasycystyczną i sentymentalną, a także przez pełen melancholii elegijny romantyzm europejski i polski.

Zamek Kaniowski i *Lesław* łączą obrazy horroru śmierci zapisane stylem frenetycznym. Jednakże z tą różnicą, że przedmiotem nasilonej frenezji romantycznej *Lesława* są obrazy śmierci o wiele bardziej szokujące niż w *Zamku Kaniowskim*. Ta czarna powieść poetycka Goszczyńskiego przyniosła bowiem jednoznacznie fatalistyczną wizję śmierci. Główny jej bohater przyjął biernie jej wyroki, o czym świadczy jego wypowiedź: „A co być musi, niechaj się już staje"[146]. Natomiast w *Lesławie* to człowiek, jednostka rzuca buntownicze wyzwanie śmierci i podejmuje z nią ostry spór. Zmorski, kontynuujący frenetyczny styl Goszczyńskiego, daje niezwykle wyrazisty, jaskrawy wyraz jeszcze bardziej dzikiego w swoim impecie przekraczania tabu śmierci, w jej przedstawianiu jako skrajnej destrukcji życia. Pesymizm *Lesława* jest bardziej mroczny, miażdżący, dziki, niż pesymizm *Marii* i *Zamku Kaniowskiego*, co stało się źródłem ekspresji niespotykanej dotąd w literaturze polskiej makabry i grozy.

Lesław jako twór poetycki romantyzmu krajowego potwierdza, że i ten romantyzm ma swoje przekroczenia i swoją nieheroiczną, nihilistyczną stronę. Poemat dramatyczny autora *Wieży siedmiu wodzów* wyróżnia się zdecydowanie poprzez niemające umiarkowania, najczarniejsze powinowactwo z nocą i śmiercią. *Lesław* bezpośrednio mówi nocą, to jego zasadnicza prawda o bycie. Składa się z trzech nocy, trudno nie pomyśleć, że to liczba magiczna. To powinowactwo ukazujące z całą makabryczną, frenetyczną ekspresją metafizyczny absurd życia.

Jeszcze raz podnosimy, że nie znajdujemy w polskim romantyzmie poety dorównującego Zmorskiemu taką czarnością i grozą śmierci.

To właśnie groza, dodajmy, trupia groza, jest głównym narzędziem wytrącania przez poetę czytelnika z konwencjonalnych sposobów patrzenia na śmierć. Jak wiadomo, a uwaga to banalna, poeci romantyczni zagadywali wciąż śmierć i na różne sposoby ją oswajali. Przywołajmy jeden, wyrazisty przykład. Seweryn Goszczyński w artykule *Poezja w ogólności i poezja narodowa* pisał o chwili ludzkiego skonania i tak oswajał śmierć:

> (...) ta chwila przenosi człowieka w świat moralny. Na takiej chwili, na takim punkcie zniszczenia jednego bytu a poczęcia się drugiego człowiek grób stawia.

[144] Por. H. Krukowska, *Ciemna strona istnienia w romantycznym poemacie Malczewskiego*, w: A. Malczewski, *Maria*, wprow. H. Krukowska i J. Ławski, Białystok 2002.
[145] Por. *Dodatek*, w: S. Goszczyński, *Zamek Kaniowski*, oprac. M. Grabowska i M. Janion, Warszawa 1958.
[146] Tamże, cz. III, s. 429.

> Grób można by uważać za szczyt ziemskiej poezji, za najdobitniejsze jej objawienie się w postaci materialnej. Nie znam pieśni rzewniejszej, wznioślejszej i uroczystszej nad pogrzebowy obrzęd. (…) Te grudki ziemi, lecące na trunę z rąk stojących nad nią, to pożegnanie z łez rodziny, miłości lub przyjaźni, ta na koniec mogiła, usypana śród oznak boleści, są to dotykalne dźwięki, zlewające się w pieśń niezgłębionych myśli, nadziemskich uczuć, nierozjaśnionego nigdy znaczenia, w pieśni nazwaną grobem. Grób ma służyć odtąd za pomnik zniszczonego jednego bytu, na przekór czasowi, który go zniszczył – za upominek pozostałych na ziemi, dany przenoszącemu się od nich w krainę niebieską – za umówione niby miejsce spólnego kiedyś połączenia się[147].

Epoka romantyczna charakteryzowała się wielością bardzo różnych hermeneutyk śmierci. Temat śmierci – ze zrozumiałych, wysokich, patriotycznych względów – był niezwykle eksponowany i przedstawiany w całej trudnej do objęcia różnorodności. Kłopot byłby ze wskazaniem utworów romantycznych, które ten temat ominęły. Jeżeli chodzi o romantyczną hermeneutykę śmierci to jako jej najbardziej znaczący przykład przywołajmy Juliusza Słowackiego. Był to poeta szczególnie zafascynowany śmiercią i interpretował ją jako „mistrzynię form", występującą pod różnymi postaciami. W jego *Śnie srebrnym Salomei* śmierć odgrywa swoje dziwne *theatrum*. Roman Zmorski jest bardzo daleko od tej wizji grobu i śmierci, jaką przedstawił w wyżej przytoczonym fragmencie Seweryn Goszczyński. A także nie ma nic wspólnego z genezyjskim Słowackim lub z mesjanizmem Mickiewicza. W jego *Lesławie* ś m i e r ć z o s t a ł a o d d z i e l o n a o d j a k i e g o k o l w i e k d u c h o w e g o w y m i a r u ż y c i a. Nie znajdujemy w tym dramacie melancholii śmierci, idealizowania jej jako ofiary patriotycznej, tak częstego w romantycznej poezji, a przede wszystkim traktowania śmierci jako tabu.

Tanatologia *Lesława* napiętnowana jest wprost szatańskim traumatyzmem. Okazuje się ostatecznym, pozaludzkim, metafizycznym przekroczeniem tabu śmierci. To, co odsłoniła fantastyka Zmorskiego w *Nocy trzeciej* dramatu, jest pozbawione zupełnie iluzji, oznacza skrajne odczarowanie śmierci, odebranie jej jakiegokolwiek ludzkiego sensu. Przedstawiając śmierć w całej, trupiej, makabrycznej nagości, Zmorski posunął się więc do c a ł k o w i t e g o j e j o d c z ł o w i e c z e n i a. Oznacza to, że skrajnie oddalił się od wychwalanej przez poetów, słynnej formuły, trzymającej się życia: „Umieraj i stawaj się". W *Lesławie* nie ma żadnego „stawaj się". Śmierć jest w nim sprowadzona do wiecznego, wampirycznego pożerania żywych przez umarłych, przez upiory. Nie ma w dramacie Zmorskiego poza grobem żadnego „tam". Zmorski porzucił więc wszelką hermeneutykę śmierci. Zobaczył w niej straszną, wrogą człowiekowi władczynię kosmosu. Jego bohatera wyróżnia dzikie wyzwanie rzucone takiej śmierci.

[147] S. Goszczyński, *Poezja w ogólności i poezja narodowa*, w: *Dzieła zbiorowe Seweryna Goszczyńskiego*, wydał Z. Wasilewski, t. IV, tu: *Rozprawy literackie. Krytyki i sprawozdania*; *Nowa epoka poezji polskiej*, cz. 2, *Poezja w ogólności i poezja narodowa*, s. 301.

W *Lesławie*, co należy uwydatnić, w konflikcie ze śmiercią przegrywa zupełnie ludzkie życie jako takie, ale nie jednostka, która siłą protestu wyrywa się z podległości praw wiecznej, niekończącej się ewolucji pożerania żywych przez powstające z grobowych dołów trupy. W tym sensie godność bohatera Zmorskiego leży nie tylko w myśli, jak sądził Blaise Pascal[148], ale przede wszystkim w buncie metafizycznym, kwestionującym Boski ład świata, skażony nienawiścią, zbrodnią, więc zdominowany przez śmierć i ludzkie zło.

Jeszcze raz zauważmy, że nie do ogarnięcia są ludzkie sposoby przypisywania śmierci najróżniejszych znaczeń. W rozważaniach o śmierci często napotykamy refleksję, że jest ona godna czci jako kolebka życia, jako macierzyńskie łono odradzania się. Natomiast Zmorski pokazał śmierć w zupełnym oderwaniu od życia, odciął jej wszystkie powiązania z tym, co ludzkie, z tym, co Boskie. Tym samym utożsamił ją z upiornym trupem, z materią, to znaczy z ciałem, będącym w permanentnym rozkładzie, a zarazem podległym prawom wampirycznej ewolucji z krwi. Z tego względu śmierć w *Lesławie* kojarzy się z niesamowitym potworem, a może jeszcze z czymś gorszym, groźniejszym, czyhającym na żywych. To ciemna fantazja Zmorskiego odsłoniła taką okropność obrazu śmierci. Czarność tej fantazji jest przerażająca. Takie obrazy śmierci w utworze niosą jego metafizyczną grozę i horror. Decydują o tym, że poemat fantastyczny Zmorskiego ma w sobie c o ś z d u c h a s u r o w e j p o t w o r n o ś c i, coś z pierwotnego chaosu, jego grozy osłupiającej.

W fazie pozagrobowej człowiek schodzi więc do odrażającego poznania istnienia, gdzie życie podlega pierwotnym instynktom, zawierającym sfery rzeczywistości zawłaszczone przez zło. Należy przypuszczać, że Zmorski tego typu obrazami regresu do najbardziej dzikiej fazy istnienia chciał wzmocnić przerażenie ontologiczne. Cmentarz w *Lesławie* kojarzy się z bezładnym rojowiskiem, grożącym niezwykłą agresją i okrucieństwem. Paszcza śmierci symbolizuje wszelką zwierzęcość, jest to paszcza uzbrojona w zęby, gotowa miażdżyć, a że miażdży rzeczywiście, to świadczy o tym jej zakrwawienie. W zwierzęcym obliczu śmierci skupiają się wszystkie przerażające fantazmaty zwierzęcości[149], kojarzące się „ z łaknieniem pożerania".

Właśnie słowa „będziemy żywych ż a r l i ", „pożeranie" naznaczone są w *Lesławie* niezwykle ujemną waloryzacją. Również rojące się mrowiem „wyblakłe upiory", ich anarchiczne ruchy nad grobami budzą przerażenie *Lesława*. „Straszliwa tłuszcza", od której wieje zgniła wilgoć truny, świeci swą trupią nagością. Anarchia, chaos ruchu upiorów, trupów budzi odruch archetypicznego strachu.

Lesław, gdzie spojrzy, „widzi dokoła groby rozwarte i to z niezliczonym upiorów rojącym się mrowiem". Próżno zasłania źrenice, bo...

[148] B. Pascal, *Myśli*, przeł. T. Żeleński-Boy, układ J. Chevalier, opr. M. Tazbir, Warszawa 1989.

[149] G. Durand, dz. cyt., s. 41. Zob. S. Jasionowicz, *Roland Barthes – Gilbert Durand. Wizje pluralizmu kultury*, Kraków 1999.

Próżno przez szpary palców i przez ciała pory,
Między źrenice i między powieki
Cisną się tłumnie wybladłe upiory. (*Noc trzecia*)

Gilbert Durand stwierdza, że słuch jednak może sięgnąć o wiele dalej niż wzrok: „Ucho jest zmysłem nocy". Lesław przez gromów trzask, przez wiatrów wrzask słyszy „ziębnące wszystką krew w żyłach", wycia zgłodniałych wilków. Wilki -upiory wyją na cmentarzu *Lesława* na śmierć. Bohater Zmorskiego słyszy łoskot odwalanych wiek trumien, trzask kości, wrzask sów, jęk nietoperzy. Należy przypomnieć, że wilk w tradycji ludów europejskich jest wzorcem najbardziej drapieżnego i ludożerczego zwierzęcia[150]. W *Lesławie* można mówić o groźnym wilku – człekokształtnym upiorze.

Biografia zadumanego Lesława, jak i biografia poprzedzających go w literaturze młodzieńców, narzuca refleksję, że to właśnie młodość wydobywa ze szczególnym wewnętrznym impetem przekonanie o okropieństwie i absurdzie śmierci. W duszy Lesława trwa nieustannie samounicestwiający proces, nęka go bowiem mroczna obsesja śmierci. Protestując przeciwko jej terrorowi, bohater wybiera skok w piekło.

Obrazy ukazujące kroczenie Lesława przez cmentarz mają znaczenia symboliczne. Sugerują, że to ludzkość wciąż odbywa grobową pielgrzymkę, która jest wieczną niewiadomą człowieczego istnienia:

Niewiadom celu po grobowcu wieków
Czołga się człowiek – a dokoła ciemno, (*Noc trzecia*)

Jeszcze raz podkreślmy, że niezwykle często powraca motyw ciemności, wyrażający niedocieczoność tajemnicy bytu, jego istotę, którą jest noc:

(…) Potem ciemność znów,
I grom głuchy wtórzący grobowej pielgrzymce... (*Noc trzecia*)

To ponure widowisko, jakim jest świat przedstawiony w *Lesławie*, rozświetlają tylko gwałtowne, groźne błyskawice natury.

Lesław pod wrażeniem straszności grobowej cmentarza, przerażony, wyrzuca z siebie niesamowite przypuszczenie:

Więc z końca żywota,
Bytu się jeszcze nie kończy przekleństwo?
Śmierci kosą przecięte, ona się jak gad
Zrasta znowu – żyje znów! –

[150] Por. L.P. Słupecki, *Wilkołaki na północno-wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Likantropia w wierzeniach Słowian, Bałtów i Niemców bałtyjskich*, w: *Zjawiska magiczno-demoniczne na terenie dawnych ziem pruskich na tle porównawczym*, red. K. Grążawski, J. Gancewski, Olsztyn 2014.

O ziemio matko! Więc i w łonie twem
Dzieciom twym nie masz pokoju! – (*Noc trzecia*)

A zatem życie jest klątwą, przekleństwem wiecznego dziania się wampirycznej ewolucji. Trwa ono poza grobem, nie jest ostatnim kresem życia ludzkiego, nie oznacza unicestwienia na zawsze. Trup w *Lesławie* to nie ciało, które nieodwracalnie upadło w ziemię, ale dwuznaczna materia przejściowa, bo zawracająca z grobu z powrotem na krwawy żer[151]. To krew żywych okazuje się płynem życia trupów-wampirów, odradzających się gadów. W łonie ziemi, jak stwierdza Lesław, odbywa się wroga człowiekowi re-kreacja form. Ziemia w swym łonie nie ma dla dzieci swych spokoju. Bohater Zmorskiego jest poetą, marzącym o wzlocie. Właśnie jako poeta kieruje do swego płomiennego ducha, z uchwytną pretensją, pytanie:

O, nieśmiertelny, promienny mój duchu!
T w o j e ż b y s k r z y d ł a tak słabe być miały,
Byś raz wepchnięty w ten kipiący wir
Bytu – zniszczenia, więcej nie mógł już
Wybić się z życia zaklętego kręgu?– (*Noc trzecia*)

Nie można nie przypomnieć, że kiedy Zmorski pisał *Lesława*, coraz wyraźniej zaczął ujawniać się duch pozytywizmu, a w naukach przyrodniczych ewolucjonizm. Siłą rzeczy duch poezji został tak osłabiony przez te tendencje, że nie mógł już wybić się „z życia zaklętego kręgu". Być może przytoczony fragment pozostaje jakimś echem materialistycznych skłonności epoki. W świetle utworu ma on jednak głębsze, filozoficzne uzasadnienie: totalny nihilizm, według którego byt to rozsypujące się wciąż próchno. Duch poezji już tego próchna „z kipiącego wiru bytu zniszczenia" nie ożywi. Obok nihilizmu należy umieścić i inne słowo: fatalizm ontologiczny.

W szkicu fantastycznym Zmorskiego najbardziej porażającą sceną jest starcie Lesława ze Śmiercią, którą jaskrawa błyskawica „dziwnym blaskiem" okrywa siedzącą na grobowcu:

(…) Gromu błyskawica
Jakże okropnym życiem oblała jej lica!
Zdało się, że zbroczoną rozwarła paszczękę
I szydnym śmiechem nagą w y k r z y w i ł a s z c z ę k ę . (*Noc trzecia*)

Śmierć w końcu okazała się nie p o t w o r e m kamiennym, ale żywym, groźnym dla Lesława, stającego do zatargu z nią. Najbardziej powszechne jest przekonanie, że

[151] Zmorski osiąga czasem efekty tragigroteskowe i makabreskowe. Por. A. Kowalczykowa, *Wspaniała makabra*, w: tejże, *Wokół romantyzmu. Estetyka – polityka – historia*, red. A. Janicka, G. Kowalski, Białystok 2014.

człowiek zmierza do Boga i życia wiecznego, a zatem groza śmierci jest uchylona. W *Lesawie* wprost przeciwnie – nie jest właśnie uchylona, ale jaskrawo wydobyta. Okazała się „królem nagim", z którego Zmorski zdarł wszystkie szaty, maski, ubrania, nakładane wciąż przez ludzką kulturę. Oddając takie działanie poety, można użyć sformułowania badaczki: „deestetyzacja śmierci"[152]. Gwałtowne starcie Lesława ze śmiercią ma charakter czy cechy archetypicznej walki człowieka z potworem. Rzeczywiście – zbroczona, rozwarta paszczęka śmierci, wykrzywiona śmiechem szczęka, przypomina monstrum, potwora z pierwotnej dzikiej fazy natury. Wygląd śmierci kojarzy się z metamorfozą człowieka w straszne zwierzę, świadczy o regresie do pierwotnego, dzikiego i odrażającego poziomu istnienia, ze skłonnością do ludożerstwa, wampiryzmu[153]. Trupy na cmentarzu powstają z grobów, bo będą „żywych żarli".

Te właśnie cechy utworu nadają mu indywidualne piętno, niepowtarzalne w swej romantycznej mroczności. *Lesława* wyróżnia więc niezwykle intensywna, gwałtowna ekspresja, swoisty rozpęd wyobraźni, nieskrępowanej fantazji. Odnosimy wrażenie, że dramat ten powstał w stanie gorączki, jakby autor nie stawiał swojej fantazji żadnej tamy, oprócz oczywiście formalnej, nazywając *Lesława* w podtytule *szkicem*. Wszystko to pozwala nazwać ten utwór ponurą fantazją, będącą jaskrawym wykroczeniem poza utartą miarę, w stronę czarnego romantyzmu śmierci.

Należy stwierdzić, co powtarzamy, że nie mają racji ci krytycy poematu Zmorskiego, dla których jest on tylko słabym, epigońskim odblaskiem europejskiego i polskiego romantyzmu. W pierwszej odruchowej lekturze *Lesław* może wydawać się przesadzoną, wzmocnioną przez grozę i frenezję, wersją konwencjonalną poezji nocy i grobów. Jednakże uważniejsza jego lektura prowadzi do konstatacji, że nie da się go potraktować tylko jako biernego naśladowania przez romantyka krajowego dzieł wczesnego i wielkiego romantyzmu, czyli jego obrazów, postaci, wątków, motywów. Rzeczywiście, autor zaczerpnąwszy materiał literacki od poprzedników, potrafił jednak zmontować z niego dramat ciekawy i oryginalny pod względem kompozycyjnym i treściowym. Obrazy i postaci *Lesława* zostały tak dobrane i wyposażone w znaczenia najczarniejsze z czarnych, by wprawić czytelnika w s t a n p o z n a w c z e g o s z o k u i o s ł u p i e n i a. Zmorski pogrążył świat rzeczywisty w takim cieniu, w takiej czarności, by obedrzeć go z wszelkich pozytywnych wartości, co prowadziło go do syntetycznego wniosku, że podstawą filozoficzną *Lesława* jest t o t a l n y n i h i l i z m, n i e t y l k o e p i s t e m o l o g i c z n y, a l e o s t a t e c z n y, o n t o l o g i c z n y.

Trzeba przyznać, że ta filozofia negatywna została przez autora uprawdopodobniona nie przez abstrakcyjne pojęcia, ale przez najmroczniejszy, cmentarny, dosadnie

[152] M. Janion, *Czas formy otwartej*, s. 111.

[153] Na temat wampira: B. Zwolińska, *Wampiryzm w literaturze romantycznej i postromantycznej na przykładzie „Powieści niesamowitych" Edgara Allana Poego, „Poganki" Narcyzy Żmichowskiej oraz opowiadań Stefana Grabińskiego*, Gdańsk 2002.

naturalistyczny fundament obrazowy. Tym samym Zmorski dał niezwykły wyraz swojej, wyróżniającej go w literaturze, estetyce czarności. Jej podstawowa zasada polega na nagromadzeniu, zwłaszcza w *Nocy trzeciej* w *Lesławie*, samych rażących, zwłaszcza nasz zmysł wzroku, okropności grobowych. Sądzimy, że właśnie naddatek tych okropności, ta czarna estetyka stanowią tę „resztę", będącą własnością poetycką Zmorskiego.

Z tego względu nie należy traktować jego dramatu tylko jako epigońskiego odbicia tradycji romantycznej. Właśnie estetyka czarności nie daje się sprowadzić do zawartej przedtem w dziełach wielkiego romantyzmu. Pod tym względem Zmorski miał ambicję poznawczą pójścia dalej i przekroczenia granic, to znaczy wejścia w jej przepaściste rejony. W tym poetyckim zstępowaniu w mroczne głębie bytu i duszy ludzkiej posłużył się głównym swoim narzędziem, czyli fantastyką. Należy ją rozumieć jako sposób sięgania, wchodzenia czy wkraczania w głąb tego, co niepojęte. To właśnie niepojętność śmierci pociąga za sobą fantastykę, skrajnie oddalającą kreowany świat przedstawiony od realnej rzeczywistości. To zapuszczenie sondy poetyckiej w głębie bytu, gdzie egzystują demony, upiory, czarownice, topielcy i topielice oraz piekło, już się dziś przeżyło. Można ją jednak potraktować jako straszną bajkę. A tylko straszne bajki lubił Zmorski.

Fantastyka w jego *Lesławie* ma niekwestionowane uzasadnienie, ponieważ posłużyła mu do wdarcia się w sferę przeklętych problemów istnienia, problemów z wysokiego filozoficznego pułapu ontologii i metafizyki. To właśnie fantastyka bardziej niż wyobraźnia umożli wiła mu wykroczenie daleko poza granice świata zmysłowego, przekroczenie z dzikim rozpędem tabu śmierci, w którym to akcie następuje odsłonięcie i zarazem zasłonięcie jej strasznej tajemnicy, prowokującej poezję do jej przeniknięcia, do wejścia w obszary grozy. Zmorski przedstawił cmentarny horror, rzucając naszej wyobraźni obrazy jaskrawo, rażąco naturalistyczne i tym samym o s t a t e c z n i e ś m i e r ć z d e s a k r a l i z o w a ł, utożsamił z wampirem żądnym krwi żywych. Wampiryzm trupów poeta potraktował jako najczarniejszy przejaw destrukcji życia.

Lesław Zmorskiego wydaje się, jak dotychczas, niespotykanym w literaturze polskiej zapisem istotowego lęku życia, jaki budzi śmierć, jej grobowe doły, których tajemnicę poeta chciał uchylić.

Zmorskiego jako autora *Lesława* nie interesowała, podobnie jak twórców wielkich dramatów, zewnętrzna, powierzchowna i utylitarna strona bytu. W tym względzie poszedł więc za wielkimi romantykami i to w czasie, kiedy coraz bardziej ujawniało się prepozytywistyczne i biedermeierowskie odchodzenie kultury od problemów egzystencjalnych i metafizycznych, ich spłaszczanie i banalizowanie.

Zmorski, idąc za wielkimi romantykami, dawał świadectwo przekonaniu, że poezja bez ukierunkowania w tajemniczą stronę bytu i duszy ludzkiej, czyli bez zgłębiania rzeczy pozazmysłowych, traci na swej poznawczej i estetycznej powadze. Zmorski

miał więc tę zdrową poetycką świadomość, że tym, co w jego *Lesławie* pozostaje istotne, jest właśnie jego zajrzenie w głąb perspektywy poznawczej. Zmorski, jak każdy urodzony poeta, nosił w sobie nakaz, którego istotę ujął Kazimierz Brodziński: „Nie poprzestawać na rzeczywistości leży w naturze człowieka”[154]. Zwłaszcza „leży”, gdy tym człowiekiem jest poeta.

Za badaczami *Lesława* należy powtórzyć, że Zmorski w niepoprzestawaniu na rzeczywistości poszedł, jakby z rozpędu swojej fantastyki, za daleko w stronę okropności. Nie udało mu się zachować poznawczej miary, a co za tym idzie także estetycznej. Miał ambicję w czasach już prawie nieromantycznych stworzyć dramat prawdziwie romantyczny, ale nie starczyło mu talentu, by dosięgnąć tej miary. To było po prostu niemożliwe. Mógł stworzyć tylko szkic dramatu, to znaczy odrysować jego problemy grubymi nićmi. Musiał jednak czymś się wyróżnić, zrobić wielkie wrażenie swoją demoniczną fantastyką, niespotykaną w literaturze polskiej estetyczną okropnością. *Lesław* tym sposobem zyskał właśnie na wrażeniu, ale stracił dużo na sztuce. Nagromadzenie w jego *Nocy trzeciej* samych okropności, makabry, niestety, robi wrażenie przesady, kojarzy się z groteską, a nie z grozą.

Taka reakcja jest możliwa, ponieważ Zmorski dał w *Lesławie* pierwszeństwo swojej dzikiej, nieumiarkowanej fantazji. Odnosimy wrażenie, jakby zależało mu na tym, by nic jej nie krępowało. Inaczej mówiąc, atakowanie wyobraźni czytelnika czarnymi okropnościami zostało przedawkowane i przesunęło *Lesława* w stronę może niezupełnie, ale jednak epigońskiego romantyzmu. Napisany w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku dramat Zmorskiego prezentował typ fantastyki demonicznej, upiorowej, która wkrótce wydała się przebrzmiała i ustępująca. Z tego względu estetyka *Lesława* nie mogła już skupić zainteresowania ani czytelnika, ani badaczy. Jednakże uchybienia treściowe i estetyczne tego dramatu nie mogą przekreślić faktu, że Zmorski dodał do polskiego romantyzmu taką dawkę czarności i grozy, że trudno jej nie zauważyć i nie zadziwić się nią, to znaczy przypomnieć „czarnego piewcę”.

Lesław przynależy do tekstów grozy, chociaż tradycyjnej, ale jednak grozy, co sugeruje jego podtytuł: *szkic fantastyczny*. Wiemy, że są różne rodzaje fantastyki, ale prawie każdy z nich posługuje się grozą, która ma swoje różne natężenia. Groza jest podstawowym wyróżnikiem horroru, ale także i tragedii, gdzie służy zwykle potwierdzeniu wartości fundamentalnych dla życia. Natomiast w *Lesławie* Zmorski wykorzystał grozę do wyrażenia degeneracji, zniszczenia i destrukcji człowieczeństwa, czyli kolejnych przekroczeń w stronę czarnej negatywności, potwierdzającej krytyczny stosunek Zmorskiego do natury ludzkiej i Boga jako Stwórcy.

Zastanawiając się nad rodzajem fantastyki *Lesława*, trudno nie rzucić kilku uwag dotyczących światopoglądowych transformacji, mających miejsce w kulturowej przestrzeni europejskiej i polskiej. Zastanawiający pozostaje fakt, że najlepsze powieści

[154] G. Durand, dz. cyt., s. 41.

gotyckie powstały w okresie oświecenia, a najlepsze wzorcowe teksty horroru literackiego zostały napisane w drugiej połowie XIX wieku, w pozytywizmie[155]. Te właśnie dwie epoki, zmierzające do dominacji racjonalistycznej koncepcji człowieka, dokonywały demaskowania i weryfikowania przesądów, mitów, irracjonalnych wierzeń. Ofiarą tych zabiegów padały wyobraźnia i metafizyka, a więc i poezja. Znawcy kultury XIX wieku twierdzą, że dokonywała się już w tym czasie systemowa banalizacja świata, ponieważ człowiek zaczął pozbawiać się wszelkiego znaczenia ponadnaturalnego, uważał, że świat należy poznawać tylko obiektywnie, to znaczy naukowo[156]. To nauka i cywilizacja przemysłowa prowadziły do desakralizacji natury, odzierały ją ze znaczeń symbolicznych, głębinnych.

Oświecenie i pozytywizm, nie mając zrozumienia dla innego niż racjonalistyczny, „naukowy" wymiaru istnienia, dokonywały na wielką skalę odczarowania świata. Jednocześnie nie potrafiły spełnić wszystkich głębokich potrzeb człowieka, lekceważąc ludzką, niezbywalną „potrzebę romantyczną". Człowiek nie może żyć w świecie wyjałowionym z mitologii, wyobraźni, poezji i metafizyki[157]. Nie może żyć bez snucia opowieści fantastycznych: raz pięknych, idyllicznych, innym razem strasznych. A zatem, jak sądzi Mircea Eliade, w każdym czasie w człowieku dziennym odkrywany jest człowiek nocy, pragnący obcować z tajemnicą, być przerażony nią, żyć w świecie zromantyzowanym.

Kiedy Roman Zmorski tworzył *Lesława*, nadciągała już pozytywistyczna nowoczesność, zmieniająca, ale i czasem drastycznie spaczająca życie. Być może jego szkic fantastyczny był reakcją romantycznego poety i cygana na ten wówczas młody prąd myśli, przeciwstawieniem się mu z całą dziką siłą demonicznej fantazji, uderzeniem w niego romantyzmem negacji.

Lesława w czasie nocy paskiewiczowskiej zrodziła więc – stosowna do tamtego strasznego czasu – „potrzeba romantyczna".

[155] Zob. Z. Sinko, *Powieść angielska osiemnastego wieku a powieść polska lat 1764–1830*, Warszawa 1961; *Gotycyzm i groza w kulturze*, red. G. Gazda, A. Izdebska, J. Płuciennik, Łódź 2003.

[156] Zob. Z. Musiał, J. Skarbek, B. Wolniewicz, *Trzy nurty: racjonalizm – antyracjonalizm – scjentyzm*, Warszawa 2006; E. Warzenica-Zalewska, *Przełom scjentystyczny w publicystyce warszawskiego „Obozu Młodych" (lata 1866–1876)*, Wrocław 1978; S. Filipowicz, *Galimatias. Zaprzepaszczony sens Oświecenia*, Warszawa 2014.

[157] Por. A. J. Heschel, *Człowiek szukający Boga*, tłum. V. Reder, wstęp S. Heschel, Kraków 2008; J. Kristeva, *Ta niewiarygodna potrzeba wiary*, przeł. A. Turczyn, Kraków 2010.

Eugene Delacroix, *Hamlet i Horacjo na cmentarzu*, 1839

ZASADY WYDANIA

1.

Lesław Romana Zmorskiego powstał zapewne między 1841 a 1843 rokiem, choć pierwsze wydanie ukazało się dopiero w roku 1847. Jak wyjaśnia Edward Pieścikowski:

> *Lesław* wyszedł drukiem dopiero w roku 1847, a potem wydań miał kilka, lecz powstał znacznie wcześniej. Już w grudniu 1841 roku „Biblioteka Warszawska" donosiła, że rozpoczął się druk tomu wierszy Zmorskiego, zawierający „także poemat jeden całkowity" (t. 4, s. 742). Może to pierwszy ślad powstania *Lesława*? Dembowski w artykule *Młoda piśmienność warszawska*, datowanym w Warszawie 1 maja 1843 roku, omówił szczegółowo poemat Zmorskiego, już skończony (choć z cytatów wynika, że była to wersja nieco inna od dostępnej dzisiaj); korzystał zapewne z rękopisu poety, skoro w liście z 17 maja tego roku donosił Skimborowiczowi: „*Lesława* i wiadomej ci treści bilet dla Zmory [Zmorskiego] oddaj Władkowi [...] prędko, bo będzie inaczej Zmora na mnie zły". Dodajmy jeszcze, że pod pierwodrukiem *Lesława* istnieje data: „w Warszawie – 1843 r.", że jego fragmenty zamieścił Zmorski w „Jaskułce", taki zapis nie był podówczas czymś wyjątkowym (koniec maja 1843 r.) i w „Snopku Nadwiślańskim" (1845). Wreszcie według świadectwa Juliana Bartoszewicza *Lesław* wiele lat przed wydaniem „latał po rękach".
>
> – E. Pieścikowski, *Poeta-tułacz. Biografia literacka Romana Zmorskiego*, Poznań 1964, s. 25.

– Niniejszą edycję *Lesława. Szkicu fantastycznego* Romana Zmorskiego, opublikowanego po raz pierwszy w 1847 roku (*Lesław. Szkic fantastyczny Romana Z.*, Pleszew: L. Putiatycki, 1847, ss. 47), oparto na ostatnim opublikowanym za życia autora wydaniu, pomieszczonym w tomie: *Poezye Romana Zmorskiego*, Lipsk: F. A. Brockhaus. 1866 (tu: *Lesław*: s. 1-55).

2.

– Pisownię zmodernizowano według zasad obowiązujących dla utworów z XIX wieku. *Przypisy* Autora do *Lesława* przeniesiono bezpośrednio pod tekst główny.

– Utwory poetyckie Zmorskiego, publikowane w *Aneksie* (*Część 3: Liryczne konteksty „Lesława"*) publikujemy za lipskim wydaniem, w którym znajdują się one na stronach: *Anioł-Niszczyciel* – s. 117-119; *Myśl* – s. 91-92; *Do młodego poety* – s. 115-116; *Noc Św. Jana* – s. 175-179; *Uczta* – s. 189-193; *Pierwsza Noc Czarownic* – s. 200-204. Pisownię tytułów zmodernizowano. Przyjęto za właściwszą pisownię *Noc Św. Jana*, a nie tę, która zaproponował Edward Pieścikowski: *Noc świętego Jana* (w: *Poeta-tułacz. Biografia literacka Romana Zmorskiego*, Poznań 1964, s. 152).

– Utwory rozproszone Zmorskiego przywołano za XIX-wiecznymi czasopismami w zmodernizowanej ortograficznie i interpunkcyjnie wersji. Miejsce wydania podano

na pierwszej stronie w przypisie oznaczonym |*. Przypisy od redakcji w *Aneksie* oznaczono również |*. Przypisy autora – cyframi arabskimi.

– Pisownię recenzji, wypowiedzi krytycznych i wspomnień o Zmorskim zmodernizowano. Miejsce pierwodruku podano w przypisie oznaczonym |*. Utwory przedrukowane w *Aneksie* (oprócz poetyckich) nie były wznawiane. Wyjątek stanowią:

• R. Zmorski, *Wspomnienie Seweryna Zenona Sierpińskiego*, w: *Cyganeria warszawska*, wstęp napisał, wypisy ułożył i oprac. Stefan Kawyn, Wrocław [etc.], Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Wydawnictwo, 1967, BN I, nr 192.

• W. Merrené-Morzkowska, *Grupa poetów z 1840 roku. Roman Zmorski*, w: tejże, *„Cyganeria Warszawska"*, z przedm. Henryka Gallego, Warszawa 1905, ss. 157.

3.

– Redakcja NSW „Czarny Romantyzm" przyjmuje, iż właściwą formą zapisu nazw grupy poetów, do której należał Zmorski, jest pisownia obu członów nazwy wielką literą: Cyganeria Warszawska (tym samym nie stosujemy pisowni: *cyganeria warszawska*, *Cyganeria warszawska*).

4.

Lipskie wydanie *Poezji* Zmorskiego (Biblioteka Pisarzy Polskich, Tom XXXVI) z 1866 roku, na którym opieramy wydanie *Lesława* oraz utworów poetyckich, poprzedził Zmorski dedykacją (strony nienumerowane)

EDWARDOWI DEMBOWSKIEMU
w znak braterstwa i przyjaźni
13. października 1843

Jest to, na co wskazuje data, dedykacja *Lesława*, po której w lipskiej edycji idą: osoby (spis osób *Lesława*) i nota od autora w brzmieniu:

> *Od dawna już nalegany o zgromadzenie i wydanie w jednym zbiorze rozproszonych poezyi moich, dzisiaj dopiero życzeniu temu uczynić zadość jestem w stanie. W tomie niniejszym starałem się zgromadzić wszystkie, o ile mi pamięć wskazać mogła, utwory, bądź oddzielnie, bądź w różnych pismach czasowych i zbiorowych poprzednio już drukiem ogłoszone – wydanie niedrukowanych jeszcze poezyi do dalszego nieco zostawić czasu.*
>
> *R. Z.*

Dedykację dla Dembowskiego znajdujemy tylko w wydaniu lipskim oraz w *Pismach oryginalnych i tłómaczonych* Zmorskiego wydanych w Warszawie w 1900 roku (staraniem zmarłej w 1898 roku żony pisarza, Tekli z Parczewskich Zmorskiej).

5.

W spisie osób dramatu brak istotnych różnic w kolejnych wydaniach z wyjątkiem edycji w „Bibliotece Mrówki" (T. 27, Seria Druga, T. 9) w Lwowie w 1870 roku, gdzie po spisie osób dodano informację: „R z e c z d z i e j e s i ę w o k o l i c y C z e r w i ń s k a n a d W i s ł ą."

6.

Istotnym problemem jest ustalenie pełnego brzmienia tytułu *Lesława*. Zarówno w rozbiorach krytycznych i opracowaniach z XIX wieku, jak i we współczesnych omówieniach historycznoliterackich przyjęto tytuł:

L e s ł a w. S z k i c f a n t a s t y c z n y

Taki tytuł znajdziemy we wszystkich XIX-wiecznych edycjach poematu z wyjątkiem jednego – tego, na którym oparliśmy niniejszą edycję, to jest wydania w Lipsku w 1866 roku, gdzie tytuł poematu brzmi najpierw: *Lesław. Szkic fantastyczny* (strona nienumerowana), a zaraz potem (strona 1):

Lesław. Szkic fantastyczny ***w trzech nocach***

Sprawę komplikuje także to, że w spisie treści w tym wydaniu tytuł brzmi znów: *Lesław. Szkic fantastyczny*. Postanowiono przyjąć dla niniejszej edycji wersję tytułu mocno zakorzenioną w tradycji badawczej i obecną we wszystkich prócz lipskiego edycjach poematu: *Lesław. Szkic fantastyczny*

Należy jednak pamiętać, iż wszystko wskazuje na to, że dopełniające wyrażenie „w t r z e c h n o c a c h" zostało dodane za wiedzą Zmorskiego. Jest to istotna wskazówka interpretacyjna, której nie wolno pomijać.

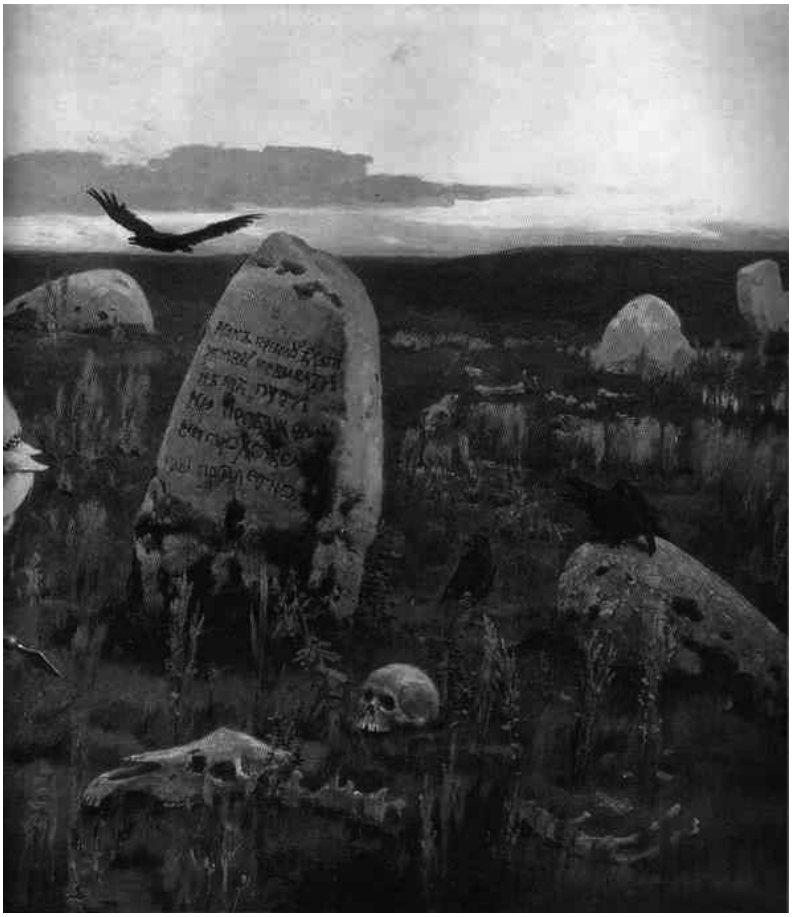

Fragment obrazu Wiktora Wasnetsowa, *Rycerz na rozdrożu*, 1882

Roman Zmorski

LESŁAW
SZKIC FANTASTYCZNY*

---

* W wydaniu lipskim z 1866 roku tytuł utworu brzmi najpierw: *Lesław. Szkic fantastyczny* (strona nienumerowana po stronie VIII), a zaraz potem (s. 1): *Lesław. Szkoc fantastyczny w trzech nocach*; przyjmujemy utrwalone w innych wydaniach i tradycji badawczej krótsze brzmienie tytułu [Redakcja].

OSOBY*

NIEZNAJOMY
LESŁAW
DZIEWICA-CHMURA
HELENA
RYBAK
ŚMIERĆ
CZTERY CZAROWNICE
CHÓR DZIEWCZĄT WIEJSKICH
TOPIELCY – TOPIELICE
UPIORY – STRZYGI

_____**

* W wydaniu *Lesława* w „Bibliotece Mrówki" (Lwów 1870) po spisie osób następuje dopisek: „Rzecz dzieje się w okolicy Czerwińska nad Wisłą". Patrz didaskalia *Nocy pierwszej* [Redakcja].

** Zmorski w wydaniu lipskim rozdziela cienką linią części wypowiedzi bohaterów (oznacza to wtedy pauzę i zmianę tematu wypowiedzi) lub ważne części tekstu. Dlatego więc jest ta linia elementem znaczącym i zostaje w niniejszej edycji przywrócona.

NOC PIERWSZA

I.

Pogodna noc jesienna; nów księżyca; lekkie obłoki przeciągają po niebie. Pusta okolica u kamienia Twardowskiego pod Czerwińskiem[1]

NIEZNAJOMY, LESŁAW

NIEZNAJOMY

Za chwilę kogut na północ zapieje,
Co chwila chłodniej wilgotny wiatr wieje;
Tak samotnego i o takiej porze,
Cóż na tym miejscu trzymać ciebie może?

LESŁAW

Samotna cisza rosą jest krzepiącą
Dla duszy zgiełkiem niestrojnym znużonéj.
A kto rozpalił w piersi swojej własnéj
Słońce dla siebie, dla tego dzień biały,
Równo z nocą chmurną, jasny.

NIEZNAJOMY

Witaj mi więc! Po pierwszy raz
Spotkany, witaj znajomym mi!

LESŁAW

Przecz* że znajomym?

NIEZNAJOMY

Bo ze twoich słów
Poznałem to, co najzacniejszego
W duszy twej – to, coć przywiodło tu.

---

[1] Jedno z mnogich podań gminnych o Twardowskim opowiada, jako tenże zaklęciem swoim przerzucił przez Wisłę głaz olbrzymi w okolicy Czerwińska.

* *Przecz* – dawniej: dlaczego.

LESŁAW

Cóż?

NIEZNAJOMY

Duszy twojej tajne pragnienie,
Nieukojone gwarem świata czczym.
Przyszedłeś w cichej nocy pokoju
Swobodnie dumać; i na głazie tym,
Który przed wieki trzema Twardowski,
Potężny mistrz, co sam ogarnął,
Wszystkie najwyższej skarby mądrości,
Wszechwładnej woli cisnął tu skinieniem,
By siły mędrca pozostał pomnikiem –
Tyś przyszedł tu, tajemnych dróg
K' mądrości badać. Witaj mi więc!

LESŁAW

Mądrość ludzka jest jak labirynt ciemny.
Od wieków błądząc w jego krętych splotach,
Co chwila zda się, żeśmy uszli dalej,
Że coraz nową przebiegamy ścieżkę.
Przecież, na Boga! jedną tylko drogą
Kołujemy, tysiąc powracając razy. –
Mądrość, to lśniące próchno leszczynowe –
Dotkniesz, rozsypie się w proch.
To motyl skrzący barw tęczowych blaskiem;
Bieżysz jak dziecko łakomie – ostatnie
Siły wytężasz, by pojmać dziw świetny –
Zaledwieś ujął, blask uroczy znikł. –
I miałżebym ja gonić za nią? Wartoż
Piąć się po szczeblach tej stromej drabiny,
Kiedy – sam rzekłeś – szczebel jej najwyższy,
W bezdennej piekieł otchłani się wsparł,
I ten go tylko zajął, co tam wszedł?

NIEZNAJOMY

I ty żeś to rzekł?!... Jest tajemny blask –
W tysiącu ludzi jedno ledwie on
Objaśnia czoło – on zwiastuje skroń,
W której zamieszkał wielki, silny duch.

Na twoim czole goreje* ten znak.
I tyż byś nie znać miał, że żadna cena,
Nawet wieczności, nie jest wielką zbyt,
Jeżeli za nią można kupić wielkość?!

LESŁAW

Wielkość!!.. potężne, czarodziejskie słowo!
Jakaż młoda pierś od jego dźwięku
Nie zadrży wszystkich stron cudowną mową,
Jak harfa w mistrza ręku!...
O, wielkości! ja czczę cię – i tyś nieobcą mnie!
Ni przyzywać mi cię trzeba mądrością;
Jam nad mędrców stokroć wielki – miłością,
Co w sercu moim tchnie...
Tam, gdzie ślepnie blask słońc drogi mlecznej,
Serce me tam jasnymi wystrzela promieńmi,
I światy na kończynie światów ostatecznej
Promiennymi ima uściśnieńmi.
Wszystkich ludów niezliczone miliony,
Niebo, ziemię – przyszłość, przeszłość omgloną,
Cały ogrom życia w wieczności rzucony
Obejma kochające me łono...
O, jam wielki!.. Powiedz mi, krzyżową
Śmiercią mą, nędzom świata że położę kres,
A ujrzysz wnet – bez trwogi, bez ogrójca łez –
Krzyż nowy i Golgotę nową!
Ja nawet życie moje nieśmiertelne,
Ochoczy oddam na kaźni piekielne,
A ust moich boleści nie pokala jęk.
Patrząc na szczęście świata, z śród ognistych męk,
Pieśni nucić będę weselne!...
Jam wielki mą miłością – i wielkość mą pojąłem.
Wielkim jak świat, jak przestrzeń niezmierzona –
Jak ten duch, którego ramiona
Wszystko ogromnym ogarniają kołem.
O, mądrości! i cóż mi jeszcze, cóż?
Zdolne dodać wszystkie twoje wieńce,

* *Goreje* – od goreć, gorzeć: palić się, płonąć.

Które niegdyś ceną wzniosłych dusz
Płaciły twe zapaleńce!...

NIEZNAJOMY

Gdzie ich mądrości żądza zawiodła,
Miłość zawiedzie ciebie tam.
I każda, którą poszedłbyś, droga,
U piekła by się kończyła bram.
Piekło to klątwa niczym nie zmazana,
Wiecznie ciążąca na duchach tych,
Co ogniem żądz, uczuć górnością
Zdeptali blade robacze żądze,
I karle tłumu uczucia. – Tak!
Ty stwierdzisz sam prawdę mych słów:
Znakiem przekleństwa geniuszu znak!
Ty nosisz go. – Bądź zdrów.. –

(*Odchodzi*)

LESŁAW

Bądź zdrów.

II.

Dzikie pole między wzgórzami.

CZTERY CZAROWNICE
Boso, w koszulach, z rzeszotami[*] w ręku[2]

[*] *Rzeszoto* – sito z wielkimi otworami.

[2] Podług mniemania ludu, czarownice na nowiu księżyca wybiegają boso i w samych tylko koszulach na łąki, garnąć z trawy rosę lipowymi rzeszotami. Tym sposobem odbierają mleko wszystkiemu bydłu, które na łąkach tych się pasło, a napełniają nim swoje donice. Kiedy rzeszoto napełni się rosą, znak to, że donice czarownicy już mleka pełne.

1. CZAROWNICA

Noc księżyczna* – śliczna, śliczna!
Bujnie padaj, roso mléczna!

2. CZAROWNICA

Padaj bujnie, mleczna roso!
Jak z przestałych kłosów proso.

3. CZAROWNICA

O giezłeczku* jednym, boso,
Zbieram ciebie, mléczna roso!

4. CZAROWNICA

Po młodziku, po wrześniowym,
Garnęć przetakiem* lipowym.

CHÓR

Noc księżyczna – śliczna, śliczna!
Zbieram ciebie, roso mléczna!

1. CZAROWNICA

Wierzchem rzeszót rosa ścieka:
Już donice pełne mleka.
Chmury ciągną – nów nam świeci –
Ubieżało nocy pół –
Sama pora! dalej dzieci,
Żywo rwać do czaru ziół!

2. CZAROWNICA

Matko Anno! jakich zieli,
Na jakiście to czar chcieli?

1. CZAROWNICA

Zrobię dzisiaj czar miłosny. –
Widzieliście latoś* wiosny

---

* *Księżyczna* – tu: księżycowa; forma poetycka.
* *Giezłeczko* – od *giezło*, czyli: szata lniana.
* *Przetakiem* – sito z dużymi otworami służące do oczyszczania ziarna.
* *Latoś* – tego roku.

W naszym dworze pannę młodą?
Toć pamiętać ją musicie;
Bo przez całe pewno życie,
Między wszystką pańską dziatwą,
Nie przyjdzie wam spotkać łatwo
Drugiej z tak śliczną urodą! –
Choć to pańskie, cudem przecie,
Jakby anioł dobre dziecię.
Aż pomyśleć patrząc miło,
Że się mlekiem swym karmiło.
Jenoż dojrzy, że we dworze,
Starej mamki się nie sroma*;
Nie da z psami stać za drzwioma;
I jak matkę ucałuje,
Ściska, pieści, uczęstuje,
Aż się odjąć człek nie może.
Ot, że słowem, tak ją pono
Kocham, jak córkę rodzoną. –
Aż żal patrzeć mi na dziewcze,
Że to dotąd panną jeszcze.
Bo wszak wiecie, że panieństwo,
Ciężki to, choć piękny kwiatek;
I że go w ośmnaście latek
Nosić, prawdziwe męczeństwo.

3. CZAROWNICA

Oj tak! męczeństwo boleśne.....
Mnie go znosić zbrakło mocy;
Za to mąż mi pierwszej nocy
Boki zbił na jabłko leśne.

4. CZAROWNICA

Cóż ty na to?

3. CZAROWNICA

Wzięłam węża,
Uwarzyłam w mleku z manną –
Nakarmiłam pana męża!

* *Starej mamki się nie sroma* – tu: nie wstydzi się kobiety, która karmiła go piersią, mamki.

4. CZAROWNICA

I cóż dalej? matko Anno!

1. CZAROWNICA

Dotąd jeszcze moja Helka
Nie kochała. Szkoda wielka!
Nie wie co za skarby traci.
Straszna szkoda!... Dnia młodości,
Co zmarnieje bez miłości,
Życie całe nie opłaci!
Otóż, patrzcie! włos z jej głowy,
Włos jedwabny, bursztynowy –
Rwijcie jaskru i lubczyku,
I barwiczki i pokrzyku![3]
Razem splotę je do wianka,
Na proch spalę, zaczaruję –
Kochająca i kochanka
Mnie za szczęście podziękuje.
A choć nieraz przyjdą chwile
Łez, boleści i rozpaczy,
Przy miłości, cóż to znaczy?
Ileż uciech za to – ile!...

2. CZAROWNICA

A i kogoż z nią zaklniecie?
Komuż kochać ją każecie?

1. CZAROWNICA

Samam chłopca jej wybrała,
Najlepszego com zaznała[*].
A choć zawsze zadumany,
Zawsze blady gorzej ściany,
Urodziwy jak nie wiele.
Ot – i jego włosów trocha,
Com w śnie ścięła mu na czele...

[3] «Rwijcie jaskru i lubczyku» – itd. Wymienione tu zioła używane bywają do czarów, zwłaszcza miłosnych. Przy takim czarze zwykły się także palić włosy chłopca i dziewczyny, którzy – podług woli czarownicy – pokochać się mają.

[*] *Zaznała* – od zaznać, czyli zakosztować, doświadczyć.

Jedno w drugim się pokocha,
Potem wesele – wesele! –
Tylko żywo rwijcie ziele!

(*Rozchodzą się, rwąc zioła*)

III.

Wzgórza urwiste – na szczytach ich wiszą obłoki.

LESŁAW

Krew wre, burzy się w żyłach mych – gorąca
Jak ołów roztopiony. A po mojej twarzy
Czuję jak chłód jesienny zimną rosą wieje.
I chciałbym, i silę się odetchnąć tym ostrym,
Przesiąkłym mgłami wiatrem – by nim choć na chwilę
Ostudzić żar palący piersi me – na próżno!
Tak okropnie twój ciężar ciśnie moje łono,
Nieukojona żądzo!...
Wszechmocna, jedyna,
Żądzo miłości! wierniejsza od cienia,
Tyś zawsze – wszędy ze mną; a sama swym cieniem
Takeś okryła wszystką moją duszę,
Że żadna inna żądza wzejść już w niej nie zdolna.
Ty, jak zazdrosna żona, na łożu mym w nocy
Przylegasz, i zawiścią bezsenna, na sennym
Sercu moim badawczą rękę swoją kładziesz.
Okiem łakomie czytasz z twarzy mej myśl każdą,
Co nie o tobie była – i wtedy szalona,
Ciśniesz mnie, by ocucić, w namiętne ramiona –
By w ciebie tylko patrzeć, słyszeć tylko ciebie.
Ty wszystkie głosy, wszystką ciszę ziemi
Zrobić swoim językiem umiałaś; i niemi
Wołasz mnie, mówisz bez przestanku ze mną...
Pomnę, gdy po tych górach, po dołach tych, wiosna
Rozwieszała majowe, lekkie swoje sploty.

Las młodym, bladym liściem dźwięczał – smug kwiatami
Błyszczał cały, oskrzony, jak niebo gwiazdami.
Motyli, woniejących powiewów rój młody
Bujał wśród nich, rozkosznie – jak dzieci po łące,
Jak anieli po niebie; a z gęstwiny boru
Brzmiał chór setny słowików tęskną pieśń wieczoru...
W pieśń tę cudną tyś wtedy wcieliła twe słowa.
I poczułem śród tego niezmiernego hymnu,
Nuconego harmonią i wonią, i blaskiem,
Żem był sam, jako struna zerwana na lutni.
I samotność ta, męczarń była mi torturą.
Końcam młodzieńczej pory czekał niecierpliwie.
Zdało mi się, że serca cisnąć tak boleśnie
Nic nie zdoła, jak rozkosz niedzielona z nikim...
I oto – wiatr północny gwiżdże zimy wróżbą,
Kołysząc płowe rżyska i traw kity płowe.
Lasy się rumienieją krasą suchotnika*
Gorączkową, co śmierci poprzedza godzinę;
I wieszczbą dla natury zgonu wieszczka siwa,
Posępna w leśnym gnieździe sowa się odzywa...
A ta piosnka zniszczenia sroższą mi trucizną
Piersi pali, rozdziera, niż wdzięk wiosny cały. –
Przecież nie śmierci trwoga boleści mej matką;
Jeśli zwalczyć niezdolny, nie drzeć* zdolnym przed nią.
Ale jakże boleśnie patrzeć na to życie,
Którego nić co chwila rozerwać się może,
Niknące jak cień marny, jako śnieg przedwczesny,
Bez tych rozkosznych, pojących uniesień –
Bez niepojętej współczucia radości –
Bez twoich pałających uścisków, miłości!....

Darmoż? i darmoż po marzenia świecie
Skrzydlatą myślą twe rozkoszy gonię?
Nigdyż mnie boska woń twa nie owionie,
Miłości! ziemi najpiękniejszy kwiecie.

---

* *Krasą suchotnika / Gorączkową* – sarkastycznie, ze smutkiem; lasy mają piękno chorego na gruźlicę, powlekają się chorobliwym rumieńcem.

* *Nie drzeć* – tu: nie drżeć.

Nigdy z ust lubej, ustami drżącemi,
Nie zgaszę żądzy, co w mym sercu pała?*
Nigdzież? i nigdzież nie znajdzie na ziemi
Duszy, co by się z duszą wieszczą zlała!
Gdzież ciebie szukać? gdzież znaleźć? aniele!
Klnę ciebie świętym miłości wyrazem –
Do mnie, ach do mnie! na wieczne wesele –
Do mnie, żyć i umrzeć razem!...
Ja dla twej białej, marmurowej skroni
Wieniec z gwiazd splotę zerwanych na niebie;
Ocean blasków i ocean woni
Rozleję wokoło ciebie –
I wysoko, wysoko nad światem nieczystym,
Wzniosęć w harmonii nieskończone morze;
I za życia niebios ci podwoje otworzę
W moim uścisku ognistym!...

(*Wyciąga do uścisku ramiona.*)

Uścisk mój spada na pierś moją własną,
Jak kamień w niebo gwieździste rzucony,
Na skroń zuchwałą. Gorące zaklęcia,
Z dzikim rozdźwiękiem w proch się rozsypują
O zimne piaski i zimniejsze serca.
Żądze i klątwy, daremne – daremne!...

Na szczycie stromego wzgórza rozstępują się obłoki – wśród nich, w srebrnym blasku miesięcznym, ukazuje się wsparta na skale:*

* *Pała* – w tym kontekście: płonie, świeci.
* *Miesięcznym* – o blasku: blask księżycowy.

DZIEWICA-CHMURA[4]

LESŁAW

Cud – czy marzenie? Jakaż boska dziewica!...
Kibić jej lekka jak wiatr –
Jej ramiona to śniegi nieskalanych Tatr –
W oku gromu błyskawica.
Jej uśmiech! – jak dźwięk pieśni w gór porannym echu,
Cała nadziemskich uciech tajemnica,
Całe niebo dumania w tym tęsknym uśmiechu
Z przeczystego jej przeziera lica.
O! na uśmiech ten, na żar, co z ócz twych lśni,
Na błogość, co nim w duszę moją wniesłaś –
Powiedz, o piękna! z którego nieba zeszłaś?
Kto jesteś? powiedz mi!...

DZIEWICA-CHMURA

Gdy słońce zachodzi, gdy rumiane wschodzi,
Cudownie jaśnieje powietrzny mój dwór;
W topniejącym złocie, w purpury namiocie
Goreje wysoki tron królowej chmur.
Pioruny i wichry moimi gońcami;
Na złocistej nowiu księżycznego łodzi,
Upiętej mgły lekkiej srebrnymi żaglami,
W krąg świat po błękitnej opływam powodzi.
Ja, ziemia w tajemnym gdy utonie mroku,
Schodzę, powszedniemu* niewidzialna oku,
I kwiaty wonnymi rosy zmywam łzami,
Przelotnych ogników rozrzucam iskrami;
Na szczytach samotnych, wybujałych gór
Obłoków powiewne kotary rozwiewam;

[4] Podług wiary naszego ludu, fale wody, zarówno jak i powietrzne prądy, zamieszkują niepojęte, niewidzialne powszedniemu oku istoty, nadludzkiej wiedzy i mocy, to przyjazne i dobroczynne, to nienawistne człowiekowi i szkodliwe. Podania o istotach takich wody nasze zaludniających znane są już powszechnie, za pośrednictwem licznych pisarzy, którzy takowe w utworach swych obrabiali. Dość tu tylko przypomnieć przecudną postać Goplany, przez Słowackiego w *Balladynie* tak wybornie w duchu ludu utworzoną. Istotom powietrznym – dotąd żadnym jeszcze piórem nietkniętym – podanie nadaje charakter bardziej natchniony, czystszy i wznioślejszy, jak czystszy i wyższy jest ich żywioł. – Słyszałem kiedyś baśń, opowiadającą miłostki jakiegoś rycerza z podobną powietrzną dziewicą, której na imię było Chmura.

* *Powszedniemu niewidzialna oku* – nieoglądana przez wzrok zwykłych śmiertelników.

I rzewną tęsknoty pieśń dla ziemi śpiewam,
A harfy powietrzne brzmią pieniom mym wtór*...
I nieraz w mgły gęstej uwiła płaszcz gruby,
Aż pokąd rumiany zabłysł świt na niebie,
Nuciłam dla ciebie – patrzyłam na ciebie,
Ja kocham cię – kocham, mój luby!
O, pójdź w me ramiona! – ja ciebie osłonię
Płaszczem zapału i boskiej tęsknoty;
Aż serce ci całe rozpłynie się w łonie
Od żaru i lubości nieziemskiej pieszczoty!...

LESŁAW

Jeszcze!... o przemów jeszcze! – Nuć mi tak bez końca!
Twój głos to hymn słowików głoszący wschód słońca;
Gwar stu srebrzystych strumieni,
Kiedy się ze sobą zmącą;
Brzęk dwu gwieździstych promieni,
Gdy w przestrzeni o się trącą!
W duszę moją światłości przesiąka kroplami,
W pogodne szczęścia roztacza się zorze;
W nieskończone miłości rozlewa się morze –
Do ust twoich rwącymi garnie mię falami...

DZIEWICA-CHMURA

Ust moich wargi raz dotkną się czyje,
Niechże ziemskiej na wieki zrzecze się miłości.
W ust mych całunku piorun się kryje!
Grom ten na licu jego się rozgości,
I ziemską kochankę zabije.
A klątwy i prośby, i łzy już najkrwawsze,
Zdradzonej, przebłagać nie zdoła mnie nic –
I uścisk, i uśmiech jasnych ducha lic
Na zawsze dlań przepadł, na zawsze!...

LESŁAW

Przeklęte oko, co ciebie widziało,
I spocznie na licu ziemianki!
Przeklęte serce, co ciebie kochało,

* *Wtór* – towarzysząca melodia, akompaniament.

I ziemskiej zapragnie kochanki.
Nie chcę ich objęć – zimnych jak ten głaz,
Po którym depcą – ich całunków mdłych!
O, ty mi tylko – ty mi pozwól raz
Odetchnąć wonią ust twych!...

(*Upada w jej objęcia.*)

IV.

Dwór wiejski śród ogrodu, otoczony kwieciem. – Dnieje.

HELENA
w *białej nocnej szacie – w otwartym oknie domu*

Jakież marzenia ponad głową moją we śnie
Krążyły, wiały wszystkie wiosny wonie;
I wszystkie kwiaty maju siały na me skronie,
Boską mnie pieśnią zbudziły tak wcześnie?...
W sercu moim tak lubo, rzewnie, niewymownie!
Jasne nadzieje i mroczna tęsknota,
Jak na tym niebie z nocy mrokiem jutrznia złota,
Tak się z sobą stapiają cudownie...
Niby zaczarowany świat wszystek dokoła
Taki jasny, promieniejący, uroczy!
I wszystko tajemniczym na mnie głosem woła,
Tajemniczymi patrzy na mnie oczy.
A ja płonę – drżę czegoś – czegoś blednę cała.
Lękam się – pragnę – sama nie wiem czego!
I łzy same do ócz mi niewstrzymane biegą*,
Jak gdybym łzami rozpłynąć się chciała.
Piersi, usta westchnieniom nastarczyć nie mogą –
Kogoś pragnę, wyglądam kogoś ze wszech stron!
Kogoż tak niecierpliwie wyglądam? – ach, kogo?

---

* *Biegą* – tu: biegną, od: biec, biegnąć.

Za kim tak tęsknię? – ach! za kim?...

Z gęstwy drzew, z pochyloną na pierś głową, wychodzi zadumany Lesław

HELENA

To on!...

NOC DRUGA

I.

Ogród otoczony żywym płotem – obok płotu z pożółkłych[*] *altana powojów; w dali pola na pół zżęte. – Niebo na poły jasne, na poły zasłonięte ciężkimi chmurami. – Zachód słońca.*

HELENA
(*sama, w altanie*)

Och! serce moje! – Dzięki tobie, luby!
Za rozkosz tę, którą dałeś mi;
I Tobie, Boże! dzięki Tobie – dzięki!...
Więc mnie nie zwiodły wieszcze przewidzenia
Mojego serca! on kochał – kochał mnie.
Tylko tak z wierzchu chłodnym lodem krył
Potok namiętnej miłości...
I czemuż krył ją tak długo przede mną?
Jam się nie kryła przed nim. – Każdym słowem,
Każdym spojrzeniem jam powiedzieć chciała:
Kocham Cię! – A on, taki obojętny,
Taki spoglądał na mnie roztargniony...
Ach! spoglądał tak rzadko!... I dlaczegoż stronił,
Dlaczegoż milczał tak? Czyliż nie wiedział,
Ile mógł szczęścia dać jednym wyrazem:
Kocham!...
I jakaż cudowna potęga
W słowie tym? Ono łańcuchem radości
Tak mnie splątało, żem do odpowiedzi
Próżno siliła usta; i jak dziecko
Uciekłam przed nim, w samotności do dna,
Kropla po kropli, by kielich wysączyć
Nowej, nieznanej słodyczy...
O matko moja! ty nie będziesz już
Nad łzami córki twojej płakać więcej;
I o łez źródło więcej mnie nie będziesz

---

[*] *Pożółkłych* – tu: pożółkłych.

Pytać!... Radośna, radośnej
Pobłogosławisz szczęściu, matko moja!...

W dali widać na polu, z sierpami na ramionach, powracającą od żniwa gromadę

DZIEWCZĄT WIEJSKICH

i piosnka przeciągła płynie po rosie.

PIEŚŃ GMINNA

Kasieczka mała,
O świcie wstała,
    Z białego łóżeczka.
Śpiewając je słała,
Bo dziś spać w nim miała
    Obok swego Jasieczka.

Po porannym chłodzie
Chodzi po ogrodzie,
    Rozmarynu szuka. –
Sówka popielata
Po drzewinach lata,
    I żałobliwie huka.

– «O dziewczyno miła!
Co będziesz robiła
Z tym zielonym wiankiem?» –
– Główkę sę ubiorę,
Bo dzisiaj ślub biorę
Z Jasiem, moim kochankiem! –

«Oj! będąż dzwonili,
Oj! będąż kadzili,
    Nie do ślubu tobie!
Biedne twoje spanie,
Nie z Jasiem kochanie –
    W wilgotnym będzie grobie!» –

Dziewczyna się zlękła,
Do domu uciekła
Murawą zieloną.
Żmija wyskoczyła,
Kasię ukąsiła
Za nóżeczkę toczoną*.

We dzwony dzwonili,
Kadzidła palili. –
W bieluchnej sukience,
Bez swego Jasieczka,
Przespała Kasieczka
Noc we twardej trumience.

HELENA

Jakaż pieśń smutna!... Jak mogą ci ludzie
Pieśń taką nucić?... Smutny, dziki śpiew! –
Jak wiatr jesienny poobdzierał liść
Świeżo rozwinięty z nadziei mej drzewa.
W każdym wyrazie, w każdej jego nucie
Do serca straszne dzwoniło przeczucie.
Radość uciekła przed nim, jak ptak z gniazda
Przed wzrokiem sowy... I czegóż się smucę?
Czegóż się trwożę?... o daruj, mój luby!
Mnie nic nie zdoła smucić – nic zatrwożyć –
Bo ty mnie kochasz – kochasz mnie, Lesławie!...

---

* *Za nóżeczką toczoną* – tu: nóżką okrągłą, jakby wytoczoną.

II.

Pole za ogrodem.

LESŁAW
Sam.

Wstydu płomieniem zgórzcie*, usta moje!
Usta moje wiarołomne!
Nikczemne sługi lubieżnego ciała,
Przysiąg i zaklęć świeżych nie pomne,
Słowa miłości rzekłyście niewieście. –
Takżeż? młodzieńcza, rozogniona krew
Do tylaż silna, woli ducha wbrew
Że nami rządzi? Jaż, do tyłam słaby,
Także mnie zwodne urzekły powaby,
Żem drżący kocham u jej stóp powiedział? –
I prawdąż by to miało być wyznanie?
Kocham że ją? – Sam nie wiem odpowiedzieć jak! –
W sercu mym taki gwałtowny wre bój...
Dwa różne światy i miłości dwie
Walczą ze sobą. Zbuntowane ciało,
Duszy się wydrzeć berło władzy pnie.
Z rozwianą krwawą rokoszu chorągwią,
Żądze prą, walczą, łomią się straszliwie. –
A świat i ludzie, i wszystko, co mnie
Otacza tylko, sprzymierzone z ciałem,
W pomoc okropnym bieży mu nawałem.
Martwym mnie kołem rzeczywistość blada
Oprzędła wkoło, jako liszka kwiat.
I czego spytam, wszystko odpowiada
Z zimnem szyderstwem, że zjawienie twoje,
Piękna dziewico! dziedziczko zaklętych
Powietrznych zamków – wysoka królowo!
Marzeniem było! – I ja z sobą sam –
Kłócę się, wierzyć – czy fałsz zadać mam
Tej ciżbie głosów?...
Czemuż, jeśli raz

* *Zgórzcie* – od zgorzeć: spalić się.

Ust twych dotknąłem, widziałem twój blask,
Złoty twój z tobą nie uniósł mnie czółn*
W czarowne kraje twoje? – czemuż trzeba
Było mi wracać z pieszczot twoich nieba,
Na brudną ziemię, kędy ich wspomnienie
Jawi się jako obłąkania sen?
Tu, gdzie z błękitnych ócz pięknej dziewczyny,
Rozkosz nęcącym wabi mnie uśmiechem,
I otwartymi przyzywa ramiony...
I cóż więc? którąż stronę szal przechylę? –
Którą? – Ja pytam!... Przebóg! także nisko
Spadłyście w locie? o pragnienia moje!
Ja mam w te chłodne związać dłoń okowy,
Ustroić skronie w zwiędłych kwiatów wieniec,
I życie całe pić z bielonej czary
Ciepłą, mętami rozcieńczoną słodycz?
Którą gardziłem, płonący młodzieniec,
Szydziłem w górnych porywie zapałów. –
O nie! – nie dla mnie takie karle szczęście!
Serce me wyższych przyzywa rozkoszy.
W jego płomiennych pragnieniach ja słyszę
Świadectwo prawdy twojego uścisku,
Powietrzna moja kochanko!
I czemuż
Miałbym się twego zaprzeć objawienia?
Czy że tak cudne i tak niepowszednie? –
Ja wierzę cudom, bo czuję, żem godzien
Oglądać cuda; o! bo tu jest siła,
Co choćby w całym nie było go świecie,
Cud stworzyć zdolna! – O cudzie mój! nigdy
Ja cię nie zdradzę – twoim jestem ja! –
Jedna godzina w objęciu twym zbiegła,
Ziemskie rozkosze opłaci sowicie,
Szczęściem zapełnić zdolna całe życie.
A przecież – przecież, tak mało już brakło,
By usta twoim poświęcone tchnieniem,
Na ustach ziemskiej spoczęły dziewczyny!
By cię na zawsze stracić!... Więc precz stąd!

* *Czółn* – dawniej: czółno, łódka wytłoczona z jednego pnia, łódź.

Precz z tej pojącej zmysły okolicy!
Precz wiecznie od niej! – Wiernym być ci chcę! –
Zwyciężaj duchu!...

(*Odchodzi.*)

III.

Pusty, piaszczysty brzeg Wisły – nad wodą wypróchniała, pochylona wierzba, u nagich jej korzeni uwiązane czółno.
Noc – mgły wiszą ponad rzeką – księżyc w pełni wschodzi spoza lasu.

CHÓR *pod wodą*

Rosą świeci brzeg zielony,
Z lasu miesiąc wstał czerwony,
Opromienił wschód;
Skrzą się jasne gwiazd źrenice –
Hej! topielcy, topielice,
Wstańcie z mokrych wód!

Chwila ciszy. – Wchodzi rybak z wiosłem na ramieniu; obok niego Lesław.

RYBAK

I powiedźcież mi przecie, co wam tak pilnego,
Że się wśród nocy za rzekę kwapicie,
Jakbyście uciec chcieli przed pogonią?

LESŁAW

Wiekiem dla tego zwłoki jest godzina,
Przed swoim własnym kto sercem ucieka*.

---

* *Wiekiem dla tego zwłoki jest godzina, /Przed swoim własnym kto sercem ucieka* – charakterystyczny dla Zmorskiego poetycki szyk wyrazów; tu oznacza to: dla tego, kto ucieka przed swoim sercem (swymi uczuciami), godzina zwłoki staje się całym wiekiem, wiecznością.

RYBAK

Przed swoim sercem? – O, ryba od wody
Wprzód, niźli człowiek od niego uciecze! –
Otóż i czółn mój. Ho! widzę przybrało;
Nie darmo trzy dni całe od północy wiało.

(*Odwiązuje łódź od brzegu.*)

LESŁAW

Płyńmy więc! –

RYBAK
(*nagle*)

Stój!... Przez Bóg żywy, stój! –
O włos od zguby, cudowna Opatrzność
Nas ocaliła.

LESŁAW

I cóż grozi nam?

RYBAK

Patrzaj, o patrzaj! – Czy widzisz? tam w dali,
Na najgłębszej wirze fali,
Jak topielców pląsa mgła?
Włos im zielony długo na ramiona spada,
Umarłym blaskiem twarz poświeca blada,
Z oczu migoce jasność jakaś zła!
Czy widzisz?...

LESŁAW

Widzę – księżyc we mgle połamany;
Mnożą go w pląsach niespokojne fale.
W nocnym pomroku obłąkane oczy,
Kształcą stąd dziwne w ludzki wzór postaci.

RYBAK

O! wyście mądrzy. Radzi byście w nas
Prostych wmówili, że oczu nie mamy.
Na ten raz przecież wierzyć mi musicie.

Znam ja się z wodą – ona mi kolebką
Była – śmiertelnym da Bóg prześcieradłem
I trumną będzie! Wschód i zachód słońca,
I nów, i pełnie odbite widziałem
W tej samej głębi. Dzisiaj, co innego,
Widzę się święci. Szalonym być trzeba,
Gdyby z przestrogi nie korzystać nieba.

LESŁAW

Jak to? Nie chceszże płynąć?

RYBAK

Nie chcę marnie ginąć.
Jest, Bogu dzięki, żyć na świecie komu:
Starą matkę i dziatki, i żonę mam w domu.

LESŁAW

Więc daj mi wiosło. Za twoją ci łódź
Dwakroć zapłacę. – Daj, popłynę sam.

RYBAK

Chrońże mnie, Boże, bym ci na śmierć pewną
Bieżyć pomagał! – Schowaj swe pieniądze.
Zdało by mi się, że za nie sprzedałem
Diabłu twą duszę! – Słuchaj dobrej rady:
Idź do gospody, prześpij się. O świcie
Sam ciebie przyjdę obudzić. – Dobranoc!

(*Odchodzi.*)

LESŁAW

(*wpatrując się w fale*)

Im się wpatruję bardziej, tym wyraźniej
Drgają przede mną posępne widziadła.
Miałażby fala całun swój wilgotny
Uchylać trupom, by życia zazdrośni
Żywych w jej modre grążyli* głębinie?
Dzikie, okropne zjawisko!... Jednakże – –

* *Grążyli* – tu: pogrążali.

Cóż znaczy pociąg niewypowiedziany,
Że wszystko, co się innych światów larwą
Zdaje, nadprzyrodzoną co poświeca barwą,
Z bliskaśmy dotknąć, z bliska poznać radzi?
Ta dziwna siła, co mnie mimo woli
Ku chłodnym falom za rękę prowadzi?...
Strach mnie kościaną za włos ciągnie dłonią,
Drżę – – od strasznego przecież widowiska,
Nie mogę oczu oderwać. Jednakże,
Czym bądź jest ono, o! jakżebym pragnął
Wpłynąć w pośrodek tej ruchomej zgrai!
Z wałami wody, czy z duchów rojami
Walczyć!... raz byle walkę z sobą skończyć!...

Widzę chwiejące szczyty lip sędziwych,
Stróżów jej okna. Wiatr szum ich tu niesie –
Smutny! – na gorzką zda się skarżyć zdradę. –
Mamż* jak złodziej podły, skradłszy skarb
Jej spokojności, uciec z nim jak zbieg?
Mamże pozwolić, by licząc na karb
Szyderczej zdrady ucieczkę tajemną,
Serce posiała nieufności ziarnem?
Mamże ją nauczyć, przeklinać najświętsze
Z uczuć ludzkości? – Nie, nie chcę tak ciężką
Zbrodnią sumienia mojego przygniatać. –
Pójdę, raz jeszcze duszy mojej moc
Stawię burzących namiętności sile;
I w pożegnaniu wyspowiadam przed nią
Moich wysokich uczuć tajemnicę.
Niechaj przeklina to serce wyniosłe,
Na jej miłości poprzestać niezdolne;
Tylko niech młodej wiary swej ołtarza
W młodzieńczej piersi bluźniąc nie rozbija...

(*Odchodzi.*)

---

* *Mamż* – typowe dla Zmorskiego wzmocnienie ekspresji za pomocą partykuł *-ż, -że.* Tu: mamże, czy mam ją nauczyć przeklinać uczucie (?).

TOPIELCY[5]

w *białych, kroplistych całunach, o długich, zielonych włosach, wynurzają się tłumem spod wody i na brzegu wiążą się w taneczne koło.*

Dalej! w lotnym, wietrznym biegu,
Po zroszonym Wisły brzegu,
W taniec raźno, tłumnie;
A kto jutro w nasze ślady
Wstąpi, wkrótce chłodny, blady,
Położy się w trumnie! –

Pląsając, znikają w mgle.

TOPIELICE

Chodźcie siostry! tam na piasku,
Przy księżyca złotym blasku,
Zasiądźmy dokoła:
Czesać długich włos warkoczy,
U spokojnych fal przezroczy
Zapleść białe czoła.

Długim szeregiem zasiadają ponad wodą i, schylone, palcami rozczesują włosy.

1. TOPIELICA

Jam księżniczką niegdyś była,
W murowanym zamku żyła,
Gdzie płowieje Bug;
Co dnia w mlekum się kąpała,
Złoty warkocz mi czesała
Kornych zgraja sług.

Przezroczystych sznur perłami,
Rozmarynu gałązkami

[5] W całej Polsce pomiędzy ludem upowszechnione jest mniej więcej jednakie o topielcach wyobrażenie. Są to ciała utopionych ludzi, zaczynające po śmierci drugi, nieśmiertelny, tajemniczy żywot. W nocy gromady topielców wyprawiają dzikie swoje igrzyska po głębiach i brzegach wód, ciągnąc i topiąc każdego, kto wtedy ku nim się zbliży. – Na Mazowszu mają topielcy zielone włosy. Panuje także mniemanie, że kto w ślad ich na piasku wyciśnięty pierwszy wstąpi nazajutrz rano, wkrótce umierać musi.

Plotłam sobie skroń.
Stroiłam się w drogie szaty,
W złotogłowy i szkarłaty,
W diamenty dłoń.

Po z marmuru, po podłogach,
Przy ochoczych gęślach, rogach,
Zwodziłam ja tan.
Woniejące mi pochodnie.
Lały blask, jak słońce wschodnie,
Z zwierciadlanych ścian.

Na tym zamku był myśliwy,
Młody, krzepki, urodziwy
Jak majowe dnie: –
Jedynaczka ja książeńca*,
Pokochałam wnet młodzieńca;
A młodzieniec mnie.

Aż raz ojciec zszedł nas razem
Serce przebódł mu żelazem,
I porzucił w krwi.
A mnie biedną zsiekł rózgami,
Wlókł w komorę zlaną łzami;
Zaryglował drzwi.

Cóż po życiu bez kochanka?
Co bez dziewiczego wianka?
Wiecznie płacz i płoń!*...
Skryłam sobie oczy ręką,
I skoczyłam przez okienko
W bystrej rzeki toń.

Wiek za wiekiem rączo bieży,
W smutnych gruzach cały leży
Mój rodzinny gród. –
Zawsze płynie srebrna woda,

* *Jedynaczka ja książeńca* – tu: jedyna córka księcia, książęca córka.
* *Płoń* – od płonąć; palić się.

I ja zawsze żyję młoda
W głębi mokrych wód.

Tam ostrego żwiru łoże,
Gładkie moje ciało porze,
Cały jasny dzień.
Tam ja czekam, cała drżąca,
Rychło błyśnie krąg miesiąca,
Spadnie nocy cień.

A przy bladym, nocnym blasku
Na nadbrzeżnym siadam piasku:
W wieńce z trzcin i mchów,
W przezroczyste krople rosy
Me zielone plotę włosy –
Aż zadnieje znów.

2. TOPIELICA

Ja, lat temu dwieście z górą,
Mieszkałam we wsi nad Bzurą;
Byłam czarownicą.
Czarowałam pola, sady,
Świat straszyłam wichry, grady,
Gromów błyskawicą.

Raz, gdy w polu święcę czary*,
Wypatrzał mnie sąsiad stary!
Zaskarżył do groda*.
Uwiązali wnet na sznurze,
I zawiedli pławić w Bzurze,
Czy mnie przyjmie woda?

U brzegu stos czekał smolny –
Oj, nie rozkosz ogień wolny!

* *Świecę czary* – tu: uprawiam czary.
* *Zaskarżył do groda* – tu: złożył doniesienie władzom, które są w grodzie, w mieście, gdzie jest sąd.
* *I zawiedli pływać w Bzurze* – Bzura – rzeka, lewy dopływ Wisły. Nawiązanie do średniowiecznych *ordaliów*, które polegały m.in. na *próbie wody*: podejrzanego wrzucano skrępowanego do wody. Jeśli nie tonął – był winny.

Lepsza kąpiel chłodna.
Oderwałam się ze sznurka,
I ze śmiechem, dalej nurka!
Jak siekiera do dna.

3. TOPIELICA

Moja dola nieszczęśliwa!
Jam nie znała, jako żywa,
Co rozkosz, co świat!
Zaledwiem się urodziła,
Matka w Wiśle utopiła –
Dziś dwadzieścia lat.

Wodne trawy kołysały,
Wały, burze pieśni grały
Nad kolebką mą. –
Płyną wały, płyną lata,
Ja nie widzę nigdy świata,
Tylko poza ćmą![*]...

4. TOPIELICA

Ho – ho! do wody, do wody!
Patrzcie, oto tam –
Jasnym brzegiem, chłopiec młody
Idzie nucąc k'nam. –
W łódkę wsiędzie,
Płynąć będzie.
Pianą w oczy pryśniem,
Łódź o fale ciśniem,
Pochwycim za dłoń,
W mokrą wciągniemy toń!

CHÓR

Dalej! do wody, do wody!
Nasześ, chłopcze młody! –

(*Zanurzają się we wodzie.*)

[*] *Tylko poza ćmą* – ćma, tutaj: mrok, ciemność, mrok.

IV.

Nad ziemią – pomiędzy chmurami.

CZTERY CZAROWNICE

1. CZAROWNICA

Jak się macie?

2. CZAROWNICA

Jak się macie?

3. CZAROWNICA

Dawno nie baczylim was.

4. CZAROWNICA

Do podróży na łopacie,
Śliczny dzisiaj mamy czas.

2. CZAROWNICA

Cóż tam około was słychać?

1. CZAROWNICA

Młodzi starych w dół pospychać,
Starzy radzi żyć na świecie.

2. CZAROWNICA

Cóż nowego? Mówcież przecie!

1. CZAROWNICA

U nas w dworze ktoś dziś skończy.
Jak leciałam nad podwórze,
Puszczyk śmiał się w starym murze,
I wył smutno czarny gończy.

3. CZAROWNICA

Pogrzeb! – stypa! – Oj, nam żeby
Bies co dzień zsyłał pogrzeby!...

4. CZAROWNICA

Lećmy prędzej! Czas ucieka,
Na górę droga daleka.

CHÓR

Wietrzno, ponuro!
Wiatr szarpie się z chmurą! –
Nim wiatr chmur się zbędzie,
Kur wrzaśnie na grzędzie,
Nie jeden trup będzie.

Płot nie płot – wieś nie wieś –
Biesie, nieś![6]

(*Odlatują.*)

V.

Przestronny pokój w wiejskim dworze. Przez szerokie, szklane, rozwarte na oścież podwoje świeci jasny księżyc; nieopodal widać ciemny gaj dębów i olch. – Tuż obok rozwartych drzwi fortepian.

HELENA

Sama; u fortepianu, gra i śpiewa.

PIEŚŃ

Chłodny blask nocy, drżąc, cicho spoczywa
Na zżółkłych czołach pochylonych drzew.
Jesienny wicher żałobnie wygrywa
Po ich gałęziach swój posępny śpiew,
I pełną dłonią zwiędły liść obrywa.

[6] «Płot nie płot – wieś nie wieś – Biesie, nieś!» – słowa te wymawiają czarownice, lecąc na Łysą Górę, którą między sobą g ó r ą nazywają.

* *
*

Smutno! dni uczuć w tęsknej samotności,
Gdy mkną bezdzielne do wieczności fal!
Nieuzłocone promieniem miłości...
Żal niespełnionych marzeń serca – żal!
Chwil niepowrotnych natchnionej młodości....

* *
*

Świećże mi; świećże, o gwiazdo ty złota!
We mgłach jesieni – wśród zimowych burz –
W boleści chwilach, w radościach żywota –
Raz wzeszła, więcej nie zachódź mi już:
Świeć mi, o gwiazdo, ty miłości złota!

Z westchnieniem, zadumana schyla ku klawiszom głowę. – Długa chwila ciszy. Z głębi gaju wychodzi Lesław i zbliża się ku rozwartym podwojom[*].

LESŁAW

Ona tutaj – samotna. Los rad wspiera mnie.
Nim jeszcze młody i gorący zamiar
Zestarzeć na sile i ostydz[*] czas miał,
Pomyślną chwilę spełnić mi go dał.

Niepostrzeżony wchodzi do pokoju i wspiera się o poręcz jej krzesła.

HELENA

nagle podnosząc oczy.

Ha! – Tyś to? ty tu, Lesławie! – Mój drogi,
Patrz, jak głęboko błądziła myśl moja
We świecie rojeń – jak sen to był błogi,

---

[*] *Ku rozwartym podwojom* – podwój, podwoj: tu: ku otwartym drzwiom.
[*] *Ostydz* – dawniejsza forma: ostygnąć.

Gdy mnie przybycie nie zbudziło twoje.

LESŁAW

Więc darujże mi, piękna! że jak ptak
Złowieszczy nieszczęść, w chwilę błogą tak,
Śmiałem od ciebie boski sen odegnać,
By cię w godzinie rozstania pożegnać.

HELENA

Pożegnać?... Skądże nagle to rozstanie?...
Dokąd? Daleko? Na długo?

LESŁAW

Na zawsze. –
Gdzie z ślepego losu prędem*
Rzucę się? – nie wiem! Jedno tylko wiem:
Tutaj że więcej nie wrócę.

HELENA

Ty nie powrócisz!... nie powrócisz!... Boże!
W mojego szczęścia pierwszym błogim dniu, –
W tęczowych ramach rozkosznego życia
Obraz przede mną gdy się począł snuć –
Skądże ci przyszło tym okrutnym słowem
Młode me rojenia struć?...

Przebóg! i takżeż* to rychło
Bicie serca twego ścichło?
Także ma miłość, z krótkich godzin kilką,
W oczach już twoich cenę postradała –
Także ci ciężkim brzemieniem się stała, –
Że, byle zbyć się go tylko,
Nie drżysz rozedrzeć piersi, co cię ukochała?...

Po tóż? ach, po tóż, jak promieniem słońca,

* *Gdzie z ślepego losu prędem* – z nurtem, prądem, z biegiem; tu: rzuca się biegnąc przez życie, płynąc z nurtem ślepego losu.

* *Takżeż* – złożenie dwóch partykuł wzmacniających ekspresję -że i -ż; tu: tak oto szybko, nagle.

Namiętnym miłości słowem,
Śpiące w mym łonie cicho uczuć ziarno
Zbudziłeś i w kwiat rozwiłeś* –
By je za chwilę lodowatym tchnieniem
Okrutnie zabić?... Litości! litości!
W kwiat ten me całe wybujało życie!...
O, nie zabijaj go! Nie chciej mnie młodo
Wtrącać w grób czarny!... Świat ten taki cudny!...
Pozwól się bożym naradować światem –
Żyć – być szczęśliwą!...

LESŁAW

Dziewczyno! poprzestań!...
Przestań takimi do mnie mówić słowy!
Spoglądać takim przestań na mnie okiem!...
Nie miotaj ognia w pożar żądz namiętnych!
Nie szukaj odnieść snadnego zwycięstwa
Nad słabą wolą mą – zaledwie zdolną
Zdzierżeć* na wodzy rozhukane bicia
Własnego serca... Ach, nie wiesz jak mu
Ciężko się z tobą rozstawać!... jak srodze
Rrwie się ono w tej walce!...

HELENA

Co mówisz?!... o, powtórz!
Powtórz raz jeszcze!... Serce twoje rwie się,
Rozstając ze mną?!... O, to serce złote!
Czemuż mu każesz ciężką zwodzić walkę
Z okrutną wolą!... Lesławie! o, mów!
Cóż cię więc zmusza krwawić biedne moje –
I twoje serce?... Powiedz, ja nieszczęsna
Czyliż tak srodze zawiniłam? czym?
Przed oczami twymi?...

* *Rozwiłeś* – tu: rozwinąłeś, od anchronicznej dziś formy: rozwić (rozwinąć); tu: rozbudziłeś we mnie uczucia, miłość.
* *Zdzierżeć* – od: zdzierżyć, czyli: wytrzymać, utrzymać na wodzy.

LESŁAW
(ponuro)

Nie pytaj mnie o nic!
Gdybym i zdołał do mej tajemnicy
Odkrycia znaleźć język – to wyznanie
Tobie szaleństwa zdałoby się płodem. –
Ja sam, w tej chwili, ledwie ufać śmiem
Zdrowiu mych pojęć... A jednak tak jest!...
Nie był to sen czczy!... Nic pomiędzy nami
Rozwartej zawrzeć przepaści nie w stanie!* –
Więcej nie pytaj darmo!... Zawierz tylko
Słowu mojemu: że nas przeznaczenia
Nieubłagana dzieli siła – której
Nie w naszej mocy wypowiadać bój.

HELENA
(z *uniesieniem)*

Jak to? Jestże na ziemi władza silna tyle,
By rozdział stawić dwu sercom szlachetnym,
Węzłem miłości zjednoczonym świetnym?...
Mężnym przeciwko wszego świata sile
Pierś stawić, i skroń krwawą wpierw do grobu złożyć,
Niźli zaprzeć się siebie – losowi ukorzyć?...
Lesławie! mężu! młodzieńcze! mów! ty
Miałżebyś moc taką znać?...

Lub, lękasz li się, że mnie ona znana?
Żem ja za słaba do walki zuchwałej
Przeciwko losom?... O, nie! wierz, na Boga!
Dla mnie jedyna straszna tylko trwoga –
Stracić ciebie – serce twoje!
Ale z tobą – z tobą razem,
Ja niczego się nie boję!
I przeciw światu całemu,
Przeciwko ojcu własnemu,
I przeciwko sądom nieba

* *Nie w stanie* – tu: nic nie jest w stanie zasypać przepaści między nami.

Gotowam walczyć, gdy trzeba –
I umrzeć, jeśli trzeba!..

LESŁAW

Ha! bądź więc, bądź moją!
A jeśli niebo mściwe grom wymierzy,
Niech on w mą głowę uderzy!...

(Przyciska ją do piersi. – Grzmot. Przez otwarte okno piorun wpada i uderza w HELENĘ. – W głębi, wśród ciemnych drzew gaju, jaskrawą oświetlony błyskawicą, ukazuje się NIEZNAJOMY.)

NOC TRZECIA

I.

Dzikie, posępne ustronie. – Wokoło nagie pagórki, czerwonym wrzosem pokryte. – Niebo całe zaćmione grubymi, szybko biegającymi chmurami. Zmrok.

LESŁAW

Sam – głęboko zadumany, siedzi na pochyłości wzgórza – u nóg jego strzelba. Z dala słychać głos pogrzebnych dzwonów[*].

Jak smutno, boleśnie,
Ostatnie pożegnanie brzmi ci dzwon żałobny –
Tak niespodzianie, tak stracona wcześnie!
Na tle dni moich przemkłaś się jak we śnie – –
Tak piękną byłaś, kochałaś mnie tyle – –
Przecież ja tylko jeden dziś nie żegnam ciebie,
Nie uścisnę na wieczne rozstanie w mogile.
Łez kropli w moim oku, w sercu kropli żalu
Nie mam, by je poświęcić na twoim pogrzebie...
Jakże są niezbadane serc naszych uczucia! –
W moim objęciu grom śmierci ją starł – –
Grzmot jego mściwy zwiastunem mi był
Obu miłości mych końca – –
Jednakże grom ten w moim nie odbił się łonie
Echem rozpaczy, przerażenia, zgrozy.
Tylko, że niźli kiedy dziś mi bardziej miłe
Dzikiej, samotnej oblicze natury;
Tylko, że w duszy mojej zwisły jakieś chmury
Czarne – ciążące... Zresztą, pokój taki.
Taka tam cisza! – jak na tym jesiennem
Niebie, straszliwej burzy nadzieją brzemiennem...

---

[*] *Pogrzebnych dzwonów* – tu: dzwonów pogrzebowych, bijących na czyjś pogrzeb.

Jak dziwacznymi kształty niebo to się chmurzy! –[7]
Tu czarny, siedmiogłowy smok w obłokach drzymie –
Tam, jakieś wpół człowiecze, wpół mgliste, olbrzymie
Tłumy: horda wędrownych duchów, obłąkana
W swej nieskończonej powietrznej podróży. –
Ówdzie ciemna, roztwarta paszcza dziwotwora*
Wisi z bezdennych mroków. Strzępione jej zęby,
Krwawym błyszczą szkarłatem. Zda się, ognia kłęby
Co chwila na świat rzygnie...
Pole widnokręga,
Zaludniło się całe; jakby niespokojne
Potęgi, piorunnymi pociskami zbrojne,
Zeszły się tu rozgłośną stoczyć z sobą wojnę. – –
Któż odgadnie istotę tych zastępów ciemnych?
Groźnej ich siły, walk, gniewów tajemnych?
Toż ludy duchów, zgniewane na sąd
Ziemski, co martwym czyni państwo ich,
Wołają, wściekłe trwożny trzęsąc ląd:
Żyjemy!....
Przed oczyma wojsk czarnych olbrzymów
Nowa gonitwa – wysoko, wśród zmierzchu,
Rozpierzchłe gołębi stado
Szarymi skrzydły chciwa ściga kania*.
I coraz chyżej, i coraz bliższymi
Kręgi łup swój obiega, zaskrzydla* – dogania – –
Chwila, a krwią szpony zmaże.
Stój, krwawy zbójco! – Bóg przez ręce człeka,
Nie dopuści morderstwa i mordercę skaże!

[7] «Jak dziwacznymi kształty niebo to się chmurzy» itd. W różnokształtnych masach chmur, przemykających tłumnie po burzliwym wieczornym niebie, lud nasz widzi cały świat dziwów, pełny życia i ruchu. Są tam smoki wielogłowe i stada dzikich, niewidywanych ptaków i zwierząt, harcujące między sobą. Wśród tych potwornych, bezładnych gromad ukazuje się nieraz szybko biegnący na skrzydlatych rumakach zastęp mglistych, olbrzymich jeźdźców. Są to duchy dawnych wojowników, koczujące wiecznie z wichrami po nieskończonej przestrzeni. Kiedy dwa takie zastępy napotkają się ze sobą, często zwodzą z sobą walkę – które to zjawisko jest przepowiednią srogiej między ludźmi wojny. Jak to wyobrażenie kiedyś było głęboko wkorzenione w całym narodzie, dowodzą mnogie wzmianki w dawnych kronikach, przywodzące z zupełną wiarą opisy napowietrznych walk i gonitw, poprzedzających wojny i klęski na ziemi.

* *Dziwotwora* – tu: paszcza istoty o przerażających kształtach, paszcza poczwary, potwora.

* *Kania* – drapieżny ptak z rodziny sokołowatych.

* *Łup swój obiega, zaskrzydla* – tu: otacza, oskrzydla, zagania ofiary.

Strzela – ogromny jastrząb u nóg jego spada.
Spoza pagórka występuje
NIEZNAJOMY.

NIEZNAJOMY

Witaj, Lesławie! –
(Potrąca nogą jastrzębia.)

Krew!!...
Krew ta cóż znaczy?...
Także straszliwym ukochanej zgon
Zażegł* twe serce płomieniem rozpaczy,
Że go w strugach gasisz krwi?
W ogniu tym spełzły? kędyż się podziały
Promienne czucia, co świat życia cały
Świętej miłości wieńcem otaczały?

LESŁAW

Kiedy nadejdzie wiosna, z gór tatrzańskich szczytów*
Pędzą potoki szalone, spienione,
Rrwąc koziodrzewy* i jodły zielone,
Co się rozrosły w szczelinach granitów –
Ale rodzimej nie obalą skały.
Tak w sercu moim, płomienistym prądem,
Straszny grom śmierci zwalił wszystko to,
Twardego życia, co zdobiło nagość.
Uczucia moje błogie, marzenia, nadzieje
Poszarpał wszystkie ze szczętem.
Miłości jednej – wielkiej, nieskończonej,
Skruszyć nie zdołał; bo ona się zrosła
Z sercem moim, jak zrosła się z lądem
Karpat opoka wyniosła. –
I żadna postać pojedyncza z bliska
Gdy nie przesłania więcej jej ogniska,
Z nową potęgą w nieskończoność błyska. – –
I mógłżem patrzeć, widz niemy, gdy ptak

* *Zażegł* – od: zażec, czyli podpalić, rozpalić, zapalić, tu: rozpalić serce miłością.
* *Z gór tatrzańskich szczytów* – w oryginale pisownia: *z gór Tatrzańskich szczytów*.
* *Koziodrzewy* – tu: kosodrzewiny, niskiej sosny rosnącej w górach; tu: sosny, wśród których żyją kozice

Chciwy, krwiożerczy biedne stado gnał?
Widziałem trwożne, rozpaczne wybiegi,
Śmiertelny popłoch miłośnego ptactwa –
I miałżem przenieść?... Mój strzał,
Jak niebios opatrzny grom,
Zbawił gołębia...

NIEZNAJOMY

Ugodził jastrzębia.
Za jedno życie, drugieś życie stłukł. –
A któż cię stawił sędzią między niemi?
Nikczemny pyle twej ziemi!

LESŁAW

Kto? – Duch, co życie w piersi mojej nieci,
I jasnym słońcem miłości w niej świeci.
Co na widok ucisku i zbrodni,
Gwałtów przemocy i podstępu zdrad,
Burzy się i wre, i miota;
Co by świat cały wybawić od nich,
Co by ceną własnego żywota
Państwo sprawiedliwości okupić dlań rad.

NIEZNAJOMY

Na ustach twoich słowo sprawiedliwość,
Brzmi, jak niewinność w nierządnicy ustach.
O, twardzi, niezbłagani wy wszech jestestw sędzie!
Od samych siebie sprawiedliwi bądźcie;
Zanim je potępicie, siebie wprzód osądźcie.
A wyrok wasz straszny będzie! –
Wszakże w całej drapieżnej, świat krwawiącej hordzie,
Pierwsze miejsce, człowiecze! tobie się należy;
Tyś wodzem i mistrzem w mordzie. –
Wielka ziemia, za mała dla twoich łupieży:
Dla ciebie morza głębokie,
Tobie powietrze wysokie,
Równym polem zdobyczy. Kędy dosiądz zdolną,*
Ręka twa rzeź wszędy szerzy – –

* *Kędy dosiądz* – tu: tam gdzie zdolna dosięgnąć twoja ręka.

Ani zadrży na chwilę. Boś kłamstwem, sumieniu
Milczeć rozkazał. Wszech świata stworzeniu*
Zaparłeś czucia i ducha – by wolno
Bez hańby tępić je było.
Przecież, co żyje, jednym życiem tchnie.
Zwierzchnia skorupa, zmienna nieskończenie,
Wszędzie jednakie jądro ducha kryje.
I każda z istot, najniedołężniejsza,
Bliźnia stąd tobie – i tworom od ciebie
Wyższym, którym eś imię duchów dał.
Że wzięły ciało od was subtelniejsze,
Z błękitnej pary, powietrza, płomienia.[8]
Zwierze, roślina – i te ni rośliny,
Ni to zwierzęta, ni kamienie, śpiące
W głębinach mrocznych – zarówno swą wiosnę
Mają, i chwile rozkoszy miłosne.
A rozkosz czując i cierpienie czują;
Kochają życie, używając życia.
Toteż jestestwu wszemu twarz człowieka
Znana – jak śmierci strach; na sam widok twój,
Wszystko spłoszone bojaźnią ucieka.
Wrogu odwieczny wszystkiego, co żywie,
Wszystkoć żywiące przeklina!... Czy słyszysz?...

LESŁAW

Słyszę – i drżę. – Jak otchłań bezdenna,
Myśl ta rozwarła gardziel swój przede mną.
I z każdą chwilą, co w nią okiem tonę,

[8] «I tworom od ciebie – wyższym, którym eś imię duchów dał» itd. Zapatrywanie się na przedmioty swojskie przez szkła obcych pojęć, jakiego hasło dali pierwsi rzeczy naszych pisarze, upowszechniło u nas niejeden dotąd trwający fałszywy widzenia sposób. Tak na przykład istoty podług wyobrażeń gminnych żywioły zamieszkujące dotąd uważane bywają bądź to za tychże żywiołów uosobienie, bądź za dawne ich opiekuńcze bóstwa. Tymczasem kto by sobie zadał (niełatwą, prawda) pracę głębiej w tej mierze wniknąć w ducha ludu, przekonałby się, że istoty te – podług nazwy ludowej duchy – nie mają nic wspólnego ze znanymi powszechnie mitologii systemami. Są to istoty równie jak człowiek stworzone i właściwym warunkom bytu poddane – wyższe tylko ogniwa w łańcuchu stworzenia, i dlatego świadomsze od nas i potężniejsze. Żywioły, w których zamieszkują, są dla nich tym, czym dla człowieka ziemia, z nich składa się ich ciało i w nich tylko znajdują potrzebne istnienia warunki.

* *Wszech świata stworzeniu* – tu: *wszech* oznacza całego (od zaimka: wszystek); chodzi więc o wszystkie stworzenia świata (a nie o wszechświat).

Tym straszniej widzę jej niezmierną przepaść. –
Chłód przerażenia wieje z jej głębiny,
I skroń mą tłoczy lodową obręczą. –
Wszystkie me siły wytężam, by nie paść
W jej czeluść czarną – – na próżno! pode mną
Drżą stopy... świat się mgłą obwija ciemną!...
Dzika, straszliwa, wszechwładna potęgo!
Trzebaż ci było, rzucając mnie w świat,
Gdzie mordem tylko wolno mi mój byt
Wątły utrzymać – trzebaż było ci
Stworzyć bez czucia i bez serca mnie!...
Nie dośćże na mnie zwaliłaś już mąk,
Co zewsząd gniotą i zewsząd mię pieką,
Żeś we mnie samym ziarno ich posiała? –
Po cóż-eś wlała w pierś mą ogień szczytny –
Miłość i litość!... gdyś chciała straszydłem,
Sobie samemu i ziemi obrzydłem,
Rzucić mię w miłości świat!...

NIEZNAJOMY

Miłości świat! – – Powtarzasz, jak żak.
Słowa, którymi mówić ci kazano.
Rzuć okiem w świat – i mów, gdzie w nim znać
Dzieło miłości?... Od błękitnych chmur,
Do głębi ziemi – wszędy wojna wrze.
Co żyje, walczy – siła, zdradą podłą –
Wzajem się szarpie, rozdziera i zrze. –
Co bądź istnieje, istnie tylko bojem.
Wątkiem jestestwa jest nienawiść wieczna.
I przeczże* światem miłości zwać śmiesz
Świat nienawiści?

LESŁAW

W słowach twoich gore
Okropna prawda! A jednak, prócz tej

* *I przeczże* lub *I przecz, że* – fragment niejasny. W oryginale: *I przecz że...* Chodzi tu raczej o słowo *przecz*, dawniejsze: *dlaczego*, połączone z partykułą wzmacniającą *-że*. Wtedy mamy tu pytanie retoryczne typu: I dlaczegóż... Można też czytać inaczej: i zaprzecz, że... (od przeczyć, zaprzeczyć) – forma mniej prawdopodobna.

Miłości, którą w sercu moim mam,
Ileż – o, ileż w świecie tym jej znam!...

NIEZNAJOMY

Miłość! – O, jest! – Bez niej, świat by już
Od wieków w martwą zamienił się bryłę. –
Jest miłość siebie – i swoich – i płci
Odmiennych skłonność płomienista. Jest! –
Ona, jak napój z winnych gron ciśnięty,
Rzucona w życie, by pijanym szałem
Zaćmiła zmysły i duszy nie dała
Czasu, rozważną spojrzeć wkoło myślą. –
O, gdybyż nie ten gorączkowy szał,
Któreż by żywe serce nie struchlało
Przed okropnością istnienia – przed sobą!
Któż potępiony chciałby rodzić płód?...
Drapieżne bestie szpony zbroczonemi
Pierś by kosmatą rozdarły z rozpaczy,
Szaleństwo ludzki wygniotłoby ród.* –
Chwila jedyna, wolna od szalonych
Chuci, ostatnią byłaby stworzenia;
I panowanie śmierci, wraz z tą chwilą,
Na wiek by wieków przepadło. –

LESŁAW

Więc tylko swego niepoznanie bytu,
Rozkoszy bytu używać dozwala. –
Zaiste, smutny, hańbiący to los! –
Niech jak chce straszne przeznaczenie będzie,
Jakie bądź kaźni zdolna na nas zwalić
Świadomość, w mękach wznosi ona ducha;
Chroniąc od cierpień, poniża ślepota. –
I kto bądź jesteś, dzięki ci! żeś mgłę,
Tajnie stworzenia kryjącą mi zwiał.
A choć przed słów twych piekielną jasnością,
Wszystkie radości uciekły niezwrotnie –
Dzięki ci przecież! –

* *Szaleństwo ludzki wygniotłoby ród* – tu: szaleństwo zniszczyłoby ludzkość.

NIEZNAJOMY

Także to wysoko
Cenisz twą rozkosz – słaby zlepku błota! –
Najmniejsza iskra, w popiele tlejąca,
Zgasłego ognia, bliższa blaskiem słońca
Południowego, niźli szczęście ziemi –
Całe, przez mnogie bytu jej stulecia –
Wesela niebios najbystrzejszej chwili.
Na łonie tego wesela jam żył.
Ani morderstwem żyć mi było trzeba –
Duch moc i życie czerpie z siebie sam.
Przecież, gdym ujrzał nowo wstały świat,
I wyrok srogi niewinnie nań dany,
Bluźnierczy krzyk mój przedarł się przez dźwięk
Pień uwielbienia*, wśród głosów miliona.
I dziewięć chórów wnet najszlachetniejszych
Duchów zagrzmiało tym samym okrzykiem.
I – – Wszystkiej ziemi świadomy los nasz. –
Inne, poślednie chóry, pozostały
Trwogą posłuszne nucić pieśni chwały –
Myśmy upadli w mrocznych piekieł żar.
Wieki cierpiałem – wieczność cierpieć będę,
Przecież straconych niebios mi nie żal!

(W płomieniach, zapada w ziemię.)

LESŁAW

I jam w płomieniach!... Niezajrzanem* kołem
Ogień piekielny ogarnia mię, piecze,
Z oddechem wpada gwałtownie do piersi –
Czemuż nie spali?... Jadowita żmija,
Wokoło bioder moich się obwija,
I szarpie serce – czemuż nie zabija!...

(*Zakrywa oczy rękoma – odchodzi.*)

---

* *Pień uwielbienia* – tu: pieśń, melodia uwielbienia.

* *Niezajrzanem kołem* – tu: kołem płomieni, przez które nie można nie dojrzeć lub nie można zobaczyć ogarniętego nimi człowieka.

II.

Cmentarz wiejski, płaczącymi brzozami i świerkami porosły. – W pośrodku[*] murowany, odwieczny, poczerniały kościół; u jednej ze ścian jego starożytny, z siwego kamienia grobowiec – na szczycie grobowca wyciosana siedzi z kosą w ręku ŚMIERĆ.

LESŁAW

Sam, wchodzi zadumany w pośrodek cmentarza.

....Groby dokoła – to cmentarz! –
Depcę po starych, zapadłych mogiłach,
Po szczątkach trumien, połamanych krzyżów;
I one wzajem, jakby mszcząc się krzywdy,
Zdradnie wikłają, kaleczą mi stopy.
Pod nogą moją chrzęszcze smutno liść[*] opadły.
I trzeszczą w trunach pobutwiałe kości...

Stawa oparty o drzewo przed starożytnym grobowcem.

Czymże jest los twój, droga twa? ludzkości! –
Nieświadom celu, po grobowcu wieków
Czołga się człowiek, – a dokoła ciemno,
A chmur straszliwych grzmi nad nim nawała...

Piorun uderza w jeden z grobowych świerków; jaskrawa błyskawica pada na ściany kościoła i dziwnym blaskiem okrywa siedzącą na grobowcu ŚMIERĆ.

LESŁAW

Ha! okropna potwora!...
Gromu błyskawica,
Jakże okropnym życiem oblała jej lica!
Zdało się, że zbroczoną rozwarła paszczękę,
I szydnym śmiechem[*] nagą wykrzywiła szczękę...
Oczewiście[*] ożyła!...
Po tóż nocy mrok
Błysk rozdarł, by oświecić takie widowisko!...

---

[*] *W pośrodku* – od: pośrodek, czyli punkt środkowy; tu: w środku.
[*] *Chrzęszcze smutno liść* – od: chrząścić, czyli – liście chrzęszczą.
[*] *I szydnym śmiechem* – tu: szydny, czyli – szyderczy (od *szydność* – szydrzenie, szyderstwo, śmieszność).
[*] *Oczewiście* – tu: oczywiście.

Tak, gdy ciemność rozedrze myśli błyskawica,
Równie nagie, straszliwe oblicze rozświéca.
I rozpacznie wśród nocy światła wołających,
Nową zgromi rozpaczą. – Potem – ciemność znów,
I grom głuchy, wtórzący grobowej pielgrzymce...

Burzo żywiołów! tyś przerażająca...
Piorunów kaskadami ciskasz z wyżyn chmur –
Szalonym wiejesz wichrem – wód lejesz potopem;
Lecz czymże jest moc twoja złowroga, zrównana
Z tą cichą walką, co się w każdej chwili –
Na każdym miejscu ziemi – z równą mocą
Nieubłaganej nienawiści toczy!...

Burzo żywiołów! czemuż raz, w godzinie
Zapamiętałości twej,
Wszystką mocą twojej siły
Nie pochwycisz ziemskiej bryły!
Aż by w ściekłym twym uścisku
Jądro jej na proch się starło –
Aż by wszystkie życie jej
Zdławione w żyłach zamarło!...

Okropny grzmot – kilka piorunów pada wśród cmentarza.

Pioruny – pioruny wokoło!...
Niebo i ziemia goreją w ich łunie....
Piorunie! krwawy piorunie!
Tu, do mnie! – tu, oto czoło! –
Gniewne niebiosa! wyzywam was – bijcie!...

Łoskot gromów ucicha w dali. – Cisza grobowa.

Ha! milczycie... bezsilne! dłoń wasza nie może
Sięgnąć mię! – Urągam wam! –
Jeżeliście silne – mścijcie!...

ŚMIERĆ
z grobowca

Cicho, szaleńcze! Nie wrzeszcz mi tu tak!
Żaden piorun nie dotknie twej głowy:
Tarczą ci, na twym czole niezatarty znak
Całunku chmur i gromów królowej.

LESŁAW
Cud! cud! – kamienny potwór ożył...
Ludzkimi słowy usta utworzył,
By urągać nimi ze mnie!..

Na wieży kościelnej bije dwunasta godzina. – Krzyże na grobach poczynają się chwiać i walić, i mogiły otwierają się z wolna.
Z dachu kościoła słychać przeraźliwy wrzask sów i jęk puchaczy.

GŁOSY Z MOGIŁ
Ho – ho! Północ! Słyszycie! –
Zrzucajcie chłodne nakrycie.
Wstawajcie umarli!
Będziemy żywych żarli.[9]

Wieka od trumien odwalają się z łoskotem; umarli powstają i wychodzą z grobów.

LESŁAW
Okropnie! – Wszak to zgraja upiorów powstaje
Na żer swój krwawy! – Więc z końcem żywota,
Bytu się jeszcze nie kończy przekleństwo?
Śmierci kosą przecięte, ono się jak gad
Zrasta znowu – żyje znów! –
O, ziemio matko! więc i w łonie twym
Dzieciom twym nie masz pokoju! –
Na toż tylko konamy, by w postaci nowej
Do dawnego wrócić boju! –

[9] «Wstawajcie umarli!/Będziemy żywych żarli.» Słowami tymi w jednej z bardzo upowszechnionych baśni zwołują się do strasznego dzieła swego wstające z grobu upiory i strzygi. – Strzyga jest to upiór, który zmarłszy dzieckiem rośnie w grobie dopóty, aż dojdzie zwykłej człowieka postaci.

Po toż wstępuje we wilgotny grób,
Aby upiorem powstać z niego, trup!....

Straszliwa tłuszcza! – Lica ich wybladłe
Żółtymi błyszczą kośćmi! – spod czoła zapadłe,
Szklane migocą oczy – zgniła wilgoć truny,
Wieje od nich dokoła – spróchniałe całuny,
Szeleszczą cicho po chwastach wybiegłych...

CHÓR STRZYG I UPIORÓW

Wstawajcie, umarli!
Będziemy żywych żarli!...

Z niedalekiej mogiły, w długiej białej sukni, z zielonym wiankiem na włosach, wstaje trup HELENY.

LESŁAW

Na niebiosa i piekła! – to ona! – Ze świeżo
Usutej wstaje mogiły. Jej lica
Zmienić jeszcze mieszkanie nie zdążyło w grobie.
Tak jeszcze piękna, jak w dniu kiedym ustami
Ust jej rumianych szukał... A dziś! – dziś
Ustami tymi krew śpieszy pić, krwi chciwa!.... O!
Zgroza! zgroza!...

(Wybiega.)

III.

Pasmo jałowych wzgórz, ogromnymi pokrytych głazami, porosłych cierniem i głogiem. Burza gwałtowna – nieustanny grzmot i błyskawice.

LESŁAW

.....Gdzie spojrzę – dokoła,
Grób wszędy widzę rozwarty przed sobą,
Niezliczonym upiorów rojący się mrowiem.
W ogniu błyskawic oślepić chcę oczy –
I nie ślepnę. Rękami zasłaniam źrenice –
Próżno! przez szpary palców i przez ciała pory,
Między źrenice i między powieki
Cisną się tłumnie wybladłe upiory. –
Przez gromów trzask, przez wichrów wrzask,
Słyszę żałobne wycia ich, ziębiące*
Wszystką krew w żyłach – jak wycia zgłodniałych
Wilków, w skrzącą noc styczniową –
I śmiech złowrogi kamiennej poczwary,
Jakby krok w krok ślady memi
Szła, szepcąc mi w ucho…

ŚMIERĆ

*wynurzając się zśród ciemności**

Idę! –

LESŁAW

Okropność! Czyż to myśl moja
Kotwią rozumu* zerwała i w zamęt
Bezdenny szaleństwa leci?
Lub przyszedł li dziś ten dzień,
Że z głazów pęto bezwładności zdjęto?

---

* *Ziębiące* – od ziębić, czyli: przejmować chłodem, oziębiać. W oryginale: *ziembiące*.
* *Zśród* – spośród.
* *Kotwią rozumu* – tu: kotwicę rozumu.

ŚMIERĆ

Twe ciało martwe – przecież jako chce,
Myśl nim wszechwładna porusza.
Myśl kiedy wcieli się w głaz,
W głaz wchodzi życie i dusza.

Pełznie ku niemu.

LESŁAW

Precz! Ni kroku do mnie! – Precz! –

ŚMIERĆ

O, nie rozkazuj, nie gróź ty mnie!
Pomnij, żeś mym niewolnikiem,
W zniszczenia dziele moim pracownikiem.
Ukórz się, drżyj i panią twą czcij. –

Cóż tak z oczu skrami sypiesz?
I zębami wargi szczypiesz?
I zaciskasz wściekle pięście?
Rad byś mi zgruchotał skroń! –
Ha – ha! szaleńcze! nieszczęście,
Że za wątła twoja dłoń.....

LESŁAW

Więc ty uderzaj! Tyś silna.
Kosą twoją, krwią zbroczoną,
Chodź – weź mą głowę! zabij!...

ŚMIERĆ

Nie – jeszcze nie pora.
Nim twój czas przyjdzie, lat wiele
W ludzkim mi jeszcze służyć będziesz ciele –
Zanim służyć poczniesz w postaci upiora.

LESŁAW

Służyć! – I wiecznie służyć tobie? – Toż
Nieunikniony los by mój być miał? –
Precz, przeklęta, z kłamstwem tym! –

Jak bądź jest straszna klątwa przeznaczenia,
Potęga jej – i potęga ta,
Co ją rzuciła, nie ma tyle sił –
Moc ich nad duchem tyle nie podoła,
By mimo woli niewolnikiem był.
Ja wolnym być wolą mam*.

O, nieśmiertelny, płomienny mój duchu!
Twojeż by skrzydła tak słabe być miały,
Byś raz wepchnięty w ten kipiący wir
Bytu – zniszczenia, więcej nie mógł już
Wybić się z życia zaklętego kręgu? –
O, rozwiń orle loty twoje! wzleć!
Roztocz słonecznej twej światłości koło –
Rozświeć mrok nocy – schronienie mi wskaż
Przed niezbłaganym przekleństwem jestestwa!...
Wskaż, ja się rzucę chociażby i w piekło. –

Piekło!... Więc piekło tylko! – Straszliwy to kraj!
Przecież, gdy tylko w nim jednym ucieczka
Przed nieprzepartym losu przeznaczeniem,
Piekło mi stanie za raj. –

I czegóż zwlekam?... Czemuż, o mój duchu!
Wzdrygasz się wezwać władzcy potęg ciemnych?
Czyliż by piekła było tobie strach? –
Wszak ja cię jego nie zaprzedam mocy
Za mądrość świata, ni za skarby świata,
Ni za wszystką świata siłę!
Nie niewolnikiem, wolnym wnijdziesz tam.

---

* *Wolą mam* – tu: mam taką wolę (by być wolnym).

A ciężar męczarń wtedy tylko boli.
Pomimo własnej kiedy tłoczy woli;
Niestraszny, gdy na siebie włoży go kto sam. –

Szatanie! Czarcie! Aniele strącony!
Czy jak się zowiesz – ja wzywam cię.
Na zgrozę tę, co ci nie dała
Rozkoszy niebios używać – a mnie
Samemu sobie zbrzydziła i z tobą
Okropnym swoim węzłem pobratała,
Przyzywam ciebie! – Otwórz wrota twych
Ponurych krajów; schronienie mi daj
Przede złowrogiej przekleństwem potęgi,
Nieodmienionym, nigdy nie skończonym! –
Diable! tryumfuj dobrocią z tej mocy,
Jak ona z ciebie siłą!

Piorun uderza w bok góry i rozdziera go na dwoje – w czarnej rozpadlinie ziemi, w koronie płomienistej na skroniach, ukazuje się
SZATAN.

SZATAN

Jestem. – Wrota otwarte. – Do mojego państwa
Wolne wnijście każdemu, kto chce i kto śmie. –
A w kraju tym nie ma poddaństwa:
Miarą wielkości, miara w nim cierpienia;
Korona piekieł z płomienia.
Im silniej pożar we wnętrznościach płonie,
Tym wieńcem świetniejszym opromienia skronie. –
Więc jeżeli ci nie strach piekła, jeśli w twych
Piersiach gore żar taki, że płomieni tych
Czuć ci nie da spieki – wchódź!

LESŁAW

Postępuje ku przepaści i stawa u jej brzegu.

GŁOSY Z PIEKŁA

Biada! – Biada! – Biada! –

LESŁAW

Piekło!
Serc wszystkich maro i trwogo!
Otóż widzę bezdenną otchłań twoich ciemnic! –
Słyszę ludu twego jęk,
Wymowny dziką grozą twych tajemnic:
Całym żalem niezwrotnej przeszłości*,
Całą rozpaczą świadomej przyszłości,
Całym bólem nieśmiertelnych męk.

ŚMIERĆ

O, nie chodź tam! – Tam na dnie wąż
Wieczności leży zwity strasznym kłębem,
I ciało swoje własne ostrym zębem
Na drobne szmaty targa wciąż;
A z każdego źdźbła ciała, z każdej krwi kropelki
Znów się wieczności rozrasta wąż wielki – – –
Wąż jadowity męczarń!... O, chódź!
Uciekaj od tych czarnych bram!
Piękny, bogaty zwie ciebie świat życia.
Ja, jego pani, wszystkie tobie dam
Skarby jego do użycia.
Blask, wielkość, rozkosz – w wieczny z tobą ślub
Złączą się, i cudnym urokiem
Tak cię związą, oplotą dokoła –
I kwiaty wonnymi tak zasłonią grób,
Że nigdy już więcej posępnym widokiem
Szczęścia twego zamącić nie zdoła.

LESŁAW

Przeklęte dary twoje, i ty bądź przeklęta!
Idź łudzić niemi
Podły proch ziemi.....
Nikczemnych, co w chuci pęta
Tak splątali swego ducha,
Że już więcej niezdolny orlim wzlecieć lotem,

* *Niezwrotnej przeszłości* – przeszłości, która nie powróci.

Pył ziemi skrzydłami zmiata –
Karmi się błotem –
I nie pomni, nie wie o tem,
Że z jestestwem całym świata
Jestestwo jego węzłem braterstwa się splata.....
W mojej duszy, od chwili najpierwszego wschodu
Pojęcia, tkwiło wiernie wspomnienie jej rodu.
Serce me żyło życiem światów wszech,
I biło tętnem tego niezmiernego życia.
Nim myśl zbadała, ono już przeczuło
Swe pokrewieństwo świetne z wszechogromem;
I z nim wiążącą pasmem niewidomem
Świętą nić współczucia snuło.
We wszystkich głosach ogromnej natury,
Z drżeniem witało one bratnie głosy*.
Każdy radośny brzmiący wśród niej dźwięk,
Błogich uniesień korowód w nie wiódł;
Każdy boleści, każdy smutku jęk,
Godził w nie i cierniem bódł*. –

Jako wód strumień, opoczystym lądem
Od oceanu z daleka zamkniony,
Zjednoczenia się żądzą tajemną wiedziony,
Dąży i rwie się k'morzu rączym prądem:
Dusza moja zawarta w ciasne więzy ciała,
Tęsknotą zadumania, zachwyceniem rzewnem –
Tym marzeniem wśród jawy wpół jasnem, niepewnem,
Z ducha się oceanem rozkosznie zlewała.
I miłość moja była tylko dopełnieniem
Nieobjętej miłości – żądzy wyjścia z cieśni
Samotnego istnienia – jednym tylko brzmieniem
Wielkiej, świętej życia mego pieśni. –
A żywotem moim całem,
Jak jednym tonem jednej srebrnej strony,
Ja wiecznie zlewać się chciałem
W harmonii światów chór nieskończony!.....

* *One bratnie głosy* – od: *on* – zaimek wykazujący, używany w stylu poetyckim i podniosłym; znaczy: ten. Tutaj: te bratnie głosy.
* *Cierniem bódl* – od *bóść* – kłuć, uderzać czymś ostrym; tu: kłuł cierniami.

Harmonio światów! I tyżeś jest tylko
Dźwięcznym splątaniem przeraźliwych głosów,
Jęków konania i morderstwa wrzasków!...
O, świecie życia! ty śmierci dziedziną –
Wielką mogiłą – polem ubroczonem
Wieczystej walki, nienawiści wiecznej! –
Jakże cudownym, jak uroczym tyś
Był jeszcze wczoraj – jak okropnym dziś!...

I tyż dziś, krwawa poczwaro!
Chcesz mię szczęścia złudzić marą?
W dniu tym przeklętym, co mi twoje lice
Nagie odsłonił – i dał
Patrzeć na straszne grobu tajemnice!.....

Nie – nie przeklęty – błogosławiony
Niech dzień ten będzie! Bo piekło, co wniósł
Do mego serca, drżeć mi nie pozwala
Przed zgrozą piekła, co czeka rozwarte,
Ogniem ziejące na przyjęcie moje. –
Na jego progu, bez trwogi ja stoję,
Dumny przed światem i sobą. –

Oto w tej chwili, siłą mojej woli,
Targam ze siebie okowy niewoli.
Wielki – że jeśli z klątwy przeznaczenia
Niezdolnym świata wybawić,
Sam dłużej nie będę krwawić
Rąk moich w piersiach stworzenia –
I szerzyć państwa nie będę zniszczenia! –
A to wysokie przeświadczenie duszy,
Jęk potępienia mocą swoją zgłuszy,
Czuć nie dopuści piekielnych katuszy.....

Żegnaj! Wśród gromów bicia, z mrocznych piekła bram
Ostatnim słowem, spojrzeniem – o, świecie!

Żegnam!... sam nie wiem, jak żegnać się mam? –
Błogosławieństwem?
Czy przekleństwem?
Wszystko jedno! na wieki tyś przeklęty już raz. –

Męczarń żary nieśmiertelne!
Otchłani piekielne!
Witam was!...

Johannes Praetorius – *Sabat czarownic*, 1668

J. H. Rambert, *Noc Walpurgi*, 1829

ANEKS

Caspar David Friedrich, *Westfassade der Ruine Eldena*, 1806

WPROWADZENIE

Zamierzeniem redaktora niniejszego *Aneksu* jest przypomnienie postaci Romana Zmorskiego i głosów o jego twórczości. Część pierwsza przynosi nade wszystko utwory poetyckie, które stanowić mogą kontekst dla interpretacji *Lesława*, a więc wiersze i dłuższe poematy, gdzie pojawiają się motywy demoniczne, przedstawienia poetyckie zemsty, śmierci, wampiryzmu. Nie publikujemy *Wieży siedmiu wodzów* – utworu, który uznać można za jedno z dwu najważniejszych dokonań literackich Zmorskiego (obok *Lesława*). Także w epoce poemat ten doczekał się najwyższych ocen; w naszym przekonaniu, powinien być wydany osobno.

Część drugą *Aneksu* wypełniają utwory prozą Zmorskiego, pisarza dość aktywnego jako krytyk literacki, reporter-krajoznawca, publicysta. Wybraliśmy celowo dłuższe i krótsze próbki pism krytycznoliterackich Zmorskiego, gdyż ukazują one twórcę jako ciętego polemistę, bezkompromisowego recenzenta, a nawet zoila (szczególnie w młodości).

Część trzecia przynosi teksty recenzji poświęconych *Lesławowi*. Widać tu wyraźnie, jak skraje były reakcje na dramat – od entuzjazmu Edwarda Dembowskiego po drwiny Marcelego Motty'ego w prasie poznańskiej.

W części ostatniej przypominamy wspomnienia pośmiertne i sądy o pisarzu i jego *Lesławie* formułowane już z dystansu lat. I tu daje się dostrzec z jednej strony coraz wyższą, rosnącą ocenę dorobku Zmorskiego, na przykład u Karola Libelta, a z drugiej strony rozczarowanie niespełnionymi nadziejami, jakie w poecie pokładano w latach 40. i 50. XIX wieku.

Większość publikowanych w *Aneksie* tekstów wydobyta została z dość trudno dziś jeszcze dostępnych lub mało czytelnych czasopism XIX-wiecznych. Ich pisownię zmodernizowano według zasad stosowanych do tekstów z tej epoki. Źródło, z którego zaczerpnięto tekst, podano w przypisie od Redakcji pomieszczonym przy każdym tekście.

Chcemy wyrazić nadzieję, iż to dość obszerne przypomnienie pism samego Zmorskiego i krytycznych wypowiedzi jemu poświęconych zachęci badaczy i czytelników do podjęcia studiów nad twórczością tego zapomnianego, lecz wielce interesującego poety i prozaika.

XIX-wieczna Warszawa, ul. Marszałkowska, rys. W. Gerson

Jarosław Ławski

„ZMORA" i „ROMANISKO". LEGENDA LITERACKA ROMANA ZMORSKIEGO

Lód na wodzie, śnieg biały na dworze –
Co mu drogie, daj każdemu Boże!
Najdroższe to, co sercu miłe[1]

Warszawscy kontestatorzy

Roman Zmorski był jedną z najniezwyklejszych postaci XIX wieku. Tej niezwykłości nie da się wyczerpać w określeniach: barwna, kontrowersyjna, tajemnicza. Trudno w epoce o człowieka, o którym mniej byśmy wiedzieli. Znakomita i przebogata monografia Edwarda Pieścikowskiego z 1964 roku (to już pół wieku minęło!) zaprasza do podjęcia pogłębionych studiów nad tym poetą, dziwakiem, samotnikiem, patriotą i słowianofilem, furiatem i lirykiem, miłośnikiem mitologii skandynawskiej, germańskiej i słowiańskiej. Tymczasem lata płyną, a nowe opracowania jego niezbyt obszernego dorobku się nie pojawiają. Brak krytycznych wydań: prozy, liryki, publicystyki i krytyki literackiej (co mówić o epistolografii).

Zmorski żył dość krótko: 45 lat. Urodzony w 1822 roku, zmarł w Dreźnie na gruźlicę w roku 1867. Pochowany został – według życzenia – obok Kazimierza Brodzińskiego na drezdeńskim cmentarzu[2]. Trudno o większy paradoks historii: patriarcha krytyki, piewca idylli, mesjanista spoczywający obok autora frenetycznych, wampirycznych wierszy. W dwu sprawach wolno ich pogodzić: gorącego patriotyzmu i znaczenia, jakie przypisywali Słowiańszczyźnie w XIX wieku i w przyszłości jeszcze dalszej niźli to stulecie. Ale już kwestie owe pojmowali inaczej.

Należał Zmorski do pokolenia urodzonego między 1814 a 1824 rokiem, a więc wyrastającego w cieniu wieszczej plejady i w czasie marnym dla debiutantów: po katastrofie powstania listopadowego. Pokolenie to mogło albo przełamać talentem dominację Mickiewicza, Krasińskiego, Brodzińskiego, Słowackiego, albo spróbować znaleźć sobie miejsce w cieniu tych wielkości. Na przełamanie nie stało talentu,

---

[1] R. Zmorski, *Narodowe pieśni serbskie*, w: tegoż, *Pisma oryginalne i tłómaczone*, Warszawa 1899, s. 393.

[2] Wszyscy wskazują na symboliczny wymiar tej lokalizacji (patrz: wstęp Haliny Krukowskiej). Zob. też: Orpion [N. Hirszband], *Groby poetów w Dreźnie*, „Atheneum" 1908, t. I, z. 3.

wieszcza dominacja była zbyt silna; Mickiewicz czy autor *Wiesława* byli przecież mistrzami, których, choć każdego na swój sposób, szanowali. Wybrali więc życie z opcją kontestatorską. Szukali własnego miejsca w zastanym świecie, lecz i przeciw światu: mieszczańskiej hipokryzji, salonom, konwenansom, etykiecie i moralności.

Cyganeria Warszawska jest doniosłym fenomenem w dziejach kultury polskiej, która w owym czasie albo zwycięsko prowadziła walkę z zaborcami, albo stroiła się w szaty ofiary. Rzadziej prowadziła zbuntowaną dyskusję z podstawami ładu – moralnego, estetycznego, ideologicznego – na którym się wspierała. To pierwszy, kontestatorsko -buntowniczy, wymiar znaczenia grupy. Drugi – ci młodzi stworzyli luźną grupę po raz pierwszy tak określoną: obyczajowo, estetycznie i ideowo. Po koteriach salonowych, wolnomularskich, samokształceniowych; po grupach i związkach młodzieży[3] czy środowiskach pisarskich skupionych wokół dworów ziemiańskich przyszedł czas na cyganerię. Prawdziwą: ostrą w wyrażaniu *desinteressement* owym mieszczuchowskim trybem życia, w niechęci wobec ustalonych hierarchii tematów i podejmujących je pisarzy.

Kolejna kwestia – byli grupą z Warszawy, z miasta. Po wileńskim debiucie romantyzmu, głośniejszym niż warszawski czy lwowski, to oni dali prawdziwy obraz miasta nowoczesnego – i w legendzie, i w literaturze. Jakoś tego nie doceniono. Czy dlatego, że była to Warszawa nie tylko salonów, ale i ciemnych zaułków, mansard, szynków i lokali o najniższej reputacji? Dalej: tę swoją warszawskość, czasem przecież nie wynikającą z miejsca urodzenia, złączyli brawurowo z mitologią, przez nich samych powołaną, Mazowsza. Lecz było to Mazowsze pierwotne i dzikie, odchodzący świat ostatnich lirników wioskowych, takich jak *Niebieski Płaszcz*, uwieczniony w dziecięcym wspomnieniu Zmorskiego[4]. Kraina rzek, pól, lasków mazowieckich, jałowca i ludu, który śpiewał pieśni przechowujące elementy prasłowiańskiej kultury.

Na końcu wartość przeoczana w tym bogactwie, jakim jest polski wiek XIX: wydali dzieła wybitne i wiele takich, które i dziś z powodzeniem mogą być czytane. Z wybitnych i znanych wymienię: *Lesława* i *Wieżę siedmiu wodzów* Zmorskiego, *Sędziwoja* Dziekońskiego, *Halkę* i *Domek przy ulicy Głębokiej* Wolskiego. Każdy z cyganów wniósł coś istotnego, czego wartość trzeba dziś przypomnieć: wiersze Filleborna, opis Lublina pióra Sierpińskiego, felietonistykę Szymanowskiego i jego dramaty (wśród nich *Sędziwój*), powieści Niewiarowskiego (szkoda, że tak zapomniane), piosenki takie jak *O, gwiazdeczko* Wiktoryna Zielińskiego (nader luźno związanego z cyganami), wreszcie dziennikarstwo

[3] Zob. A. Kamiński, *Polskie związki młodzieży (1804–1931)*, Warszawa 1963; tegoż, *Polskie związki młodzieży (1831–1848)*, Warszawa 1968 (tu, na s. 140, odnotowany R. Zmorski w podrozdziale: *Koła Uczniów Gimnazjum Warszawskiego na Lesznie, objęte przez Karola Levittoux*). Por. J. Berghauzen, *Ruch patriotyczny w Królestwie Polskim 1833–1850*, Warszawa 1974.

[4] Zob. R. Zmorski, *Niebieski Płaszcz, ostatni Lirnik warszawski, wspomnienie*, w: tegoż, *Pisma oryginalne i tłómaczone*, Warszawa 1899, s. 831-835. H. Syska, *Syn Mazowsza. Opowieść o Romanie Zmorskim*, Warszawa 1953, s. 14-18.

Józefa Keniga i Józefa Miniszewskiego[5]. Byli pionierami XX- i XXI-wiecznego regionalizmu, zakochani w Mazowszu, ale też umiejętnie nawiązujący do – każdy swojej – lokalnych tradycji: warszawskich, podlaskich, lubelskich, czy nawet ukraińskich.

Cyganie naznaczyli też młodość Cypriana i Ludwika Norwidów – czy to nie od nich w części przejęli bracia Norwidowie ducha sprzeciwu? Na koniec: stworzyli swój własny mit, legendę Cyganerii Warszawskiej. Nie przewidzieli, że legenda zblednie, a co gorsza przesłoni ich istotne dokonania literackie.

To, co dziś postrzegamy jako wartość samoistną, to jest szczerość i bezkompromisowość gestu buntowniczego, już w drugiej połowie XIX wieku rozpoczęto proces likwidacji dzieł i sylwetek cyganów ze społecznej świadomości, która aż do 1918 roku nie potrzebowała szaleńców-egzystencjalistów (nawet jeśli patriotów...), a karmiła się wysokim etosem obowiązku, ojczyźnianej służby, pracy, walki, pisarskiej służebności[6]. Po 1918 roku, po cyganach spod znaku Przybyszewskiego, Licińskiego i Kisielewskiego, ich znaczenie stało się jeszcze mniejsze. Alchemia, fantastyka, metafizyka, bunt, hiperbola estetyczna – to wszystko literatura eksploatowała już w inny sposób, pomimo że korzenie „nowoczesnych" zjawisk, w tym ironii, groteski, absurdu, hermetyzmu, tkwiły głęboko w XVIII i XIX wieku: gotycyzmie i osjanizmie, libertynizmie i poezji nocy, ukraińskim czarnym romantyzmie i warszawsko-mazowieckiej cyganerii.

Cyganeria Warszawska jako grupa była zjawiskiem paradoksalnym. Tak u starszych jej przedstawicieli, urodzonych około 1815 roku (Filleborn, Zmorski, Sierpiński), jak i młodszych towarzyszy, zrodzonych już w latach dwudziestych (Wolski, Niewiarowski, Szymanowski), do głosu doszły najpierw najskrajniejsze przejawy wczesnej fazy romantyzmu: estetyka nocy i buntu, frenezja i fantastyka, kontestacja i ostentacja stylu bycia artystą. Potem jednak, gdy dojrzeli, przeszli znamienną ewolucję. Buntownicy stali się patriotami i emisariuszami (Zmorski), emigrantami (Wolski) lub pracownikami, jak byśmy dziś rzekli, świata nowoczesnych mediów: dziennikarzami (Szymanowski, Kenig, Niewiarowski, Miniszewski). W głębokim sensie ci ostatni – i w życiu, i w twórczości – łączyli elementy przeobrażonego romantyzmu z ideami pracy, aktywności społecznej i użyteczności. Nie wszystkim się to udało, choć nawet twórczość osobowości tak radykalnych, jak Zmorski, Sierpiński, Filleborn, Dziekoński, naznaczona jest zapowiedziami pozytywistycznej drugiej połowy XIX wielu.

[5] Ten ostatni zapisał się w pamięci bodaj jako autor wydanej razem z J. I. Kraszewskim i Placydem Jankowskim *Powieści składanej* oraz jako gorący zwolennik Wielopolskiego, a potem donosiciel, zasztyletowany za zdradę w czasie powstania styczniowego (2 V 1863). Zob. *Powieść składana*, wstęp i opr. B. i M. Szargotowie, Katowice 2004; M. Głowiński, *Pismak 1863 i inne szkice o różnych brzydkich rzeczach*, Warszawa 1995. Podkreślmy: był luźno związany z Cyganerią.

[6] Przyniosło to m. in. zakwestionowanie roli – tak bliskiej cyganom – ironii jako wartości estetycznej, postawy i filozofii. Zob. M. Żmigrodzka, *Ethos ironii romantycznej – po polsku*, w: tejże, *Przez wieki idąca powieść. Wybór pism o literaturze XIX i XX wieku*, red. M. Kalinowska, E. Kiślak, Warszawa 2002.

Cyganeria Warszawska nie znalazła miejsca w ikonie polskiego XIX wieku, przesłonięta przez Trójcę Wieszczów oraz Malczewskiego i Norwida, którzy do tej olimpijskiej gromady dołączyli[7]. To dobrze, cyganie nie pasowali bowiem do świata Mickiewicza, którego mądrze podziwiali, lecz którego nie mogli niewolniczo naśladować. Więcej: z całego ducha, będąc tu a nie gdzie indziej, w Warszawie i Królestwie Polskim, w czasie nocy paskiewiczowskiej realizowali – w rzeczy samej nie mickiewiczowski – projekt deziluzji podstaw rodzącej się kultury miejskiej, z nowymi warstwami społecznymi wykształcającymi się na ruinie szlacheckiej, magnackiej i sarmackiej. W latach 40. i 50. XIX wieku trwało ciche przeobrażanie się: potomków dawnej szlachty w mieszczaństwo, inteligencję, a czasem i lumpenproletariat. Byli oni, cyganie, świadkami i bezkompromisowymi krytykami tej cichej zmiany, towarzyszącej jej obłudy, miałkości. Grzmiał w nich duch egzystencjalistów i rewolucjonistów. Zwyciężył ton pierwotny, duch rewolucyjny złączył się z duchem patriotycznym.

Paradoksem Cyganerii Warszawskiej nie jest to, że wytworzyła ona dzieła epigońskie wobec wielkiego romantyzmu, lecz to, że dzieła, w moim przekonaniu, najgłębiej polemiczne wobec tegoż wzorca uznano za z nim najściślej związane. Na przykład *Lesława*! Poemat nihilizmu, który nie ma sobie równych w ostrości spojrzenia na świat jako bezdenną pustkę. Ponieważ jednak w powietrzu krążyły wzorce języka, postaci, idei o najwyższej próbie – od Wertera po Konrada, Fausta i Hrabiego Henryka – to swe antycredo, nihilistyczny manifest, wypowiedział Zmorski w języku tych wzorców: grandilokwentnym i... ironicznym intelektualnie[8]. W XIX i XX wieku zbyt wcześnie było, by to odczytać i docenić. Patriotyzm i wiara, narodowość oświetlone przez *Horsztyńskiego* Słowackiego i *Lesława* Zmorskiego, przez *Bruna* Olizarowskiego i tekst życia cyganów – nabierają innych znaczeń. Tak jest zawsze wtedy, gdy idea zderza się ze swym zaprzeczeniem. Zaprzeczeniem strasznym. Przerażającym nawet, gdy je pomyśleć.

Roman Zmorski jest przypadkiem artysty, który „harmonijnie" pisał naraz dwa teksty życia i literatury. „Harmonijnie" znaczy tu tylko tyle: równocześnie i bez fałszu. Harmonia ta była w jego przypadku jednym wielkim życiem-zgrzytem, pisaniem-niszczeniem, pędem-donikąd.

Zmorski, gdy się wczytać w przekazy o nim, nie został zapomniany. Nie milczy o nim żadna poważna historia literatury czy słownik pisarzy, encyklopedia („poeta i folklorysta", sic!)[9]. Wiersz Zmorskiego *Napis na grób samobójcy* w 2007 roku trafił

[7] Świadectwem potwierdzającym niezwykły patronat nie tylko Mickiewicza i Słowackiego nad poczynaniami cyganów jest artykuł (słusznie) przypisywany Wiktorynowi Zielińskiemu (1810–1866). Zob. W. Z. [Wiktoryn Zieliński], [*Malczewski zapomniany*], w: *Cyganeria Warszawska*, wstęp, wybór i opr. S. Kawyn, Wrocław 2004, s. 258-261.

[8] I tak też *Lesława* czytano, dopatrując się w nim cech *Fausta* Goethego, werteryzmu, Mickiewicza, Krasińskiego etc. Te nawiązania były jawne – ostentacyjne. Nie zastanawiano się jednak nad tym, j a k Zmorski nawiązuje, lecz d o k o g o nawiązuje, co nie mogło przynieść odkrywczych rezultatów. Por. K. Wojciechowski, *Werter w Polsce*, Lwów 1904.

[9] *Popularna encyklopedia powszechna*, T. XII: *W-Żyw*, red. J. Pieszczachowicz, Warszawa 2003, s. 542.

nawet do podręcznika dla licealistów (szybko wycofanego!)[10]. Legendę cygana jednak rozczłonkowano na wątki specjalistyczne: jest dziś folklorystą, słowianofilem, regionalistą, pisarzem zasłużonym dla kultury serbskiej i łużyckiej, a dla historyków literatury przedstawicielem Cyganerii Warszawskiej, autorem śpiewnych wierszy inspirowanych folklorem oraz *Lesława* (jego arcydzieło, jakim jawiła się już w XIX wieku *Wieża siedmiu wodzów*, pozostaje zapoznane). Ten – w sumie – nieco mdły wizerunek niewiele ma wspólnego z zagadką osobowości Zmorskiego, pisującego pod pseudonimem: *Roman Zamarski*, *Roman*, *Roman Z.*, *Roman Mazur*, *R. Z.* lub anonimowo!

Przypomnijmy na wstępie też głównych aktorów cygańskiego spektaklu:

„Pierwszymi członkami-założycielami grupy byli, jak o tym już wspominano, Filleborn i Karol Brodowski, do których przyszlusowali wkrótce Tadeusz Brodowski, Sierpiński oraz Majorkiewicz. Najprawdopodobniej w r. 1840 przystąpił do grupy Roman Zmorski (1822–1867), w 1841 roku zaś Józef Bogdan Dziekoński (1816–1855), równocześnie zaś opuścił ją Majorkiewicz, który na jesieni 1841 r. wyjechał na studia uniwersyteckie do Moskwy. Rok 1842 wreszcie to data przystąpienia dwóch ostatnich, a zarazem najmłodszych członków, wprowadzonych do Cyganerii najprawdopodobniej przez Zmorskiego: najpierw chyba Aleksandra Niewiarowskiego (1824–1892), nieco później zaś, zapewne na jesieni, Włodzimierza Wolskiego (1824–1882).

Założycielem i przywódcą Cyganerii był Filleborn, uznawany za takiego przez główne autorytety cygańskie, już jednak chyba w r. 1841 za drugiego takiego przywódcę poczęto uważać Dziekońskiego, który posiadał najwyższe wykształcenie spośród wszystkich cyganów, wiekiem zaś niewiele ustępował Filebornowi. Po przystąpieniu do Cyganerii Dziekońskiego, Zmorski, który nie lubił Filleborna i który opuścił nawet, z powodu jakichś osobistych zatargów z nim, redakcję „Nadwiślanina", zbliżył się bardziej do tego drugiego przywódcy, pociągając za sobą obu swoich pupilów: Wolskiego i Niewiarowskiego. Wytworzył się w ten sposób swoisty podział całej grupy na dwa skrzydła, odpowiadające nie tylko chronologii jej narastania, ale i swoistym postawom jej członków, przy czym na lewym skrzydle znaleźli się <zapaleńcy:> Zmorski, Wolski i Niewiarowski, na prawym (co nie znaczy w tym przypadku: konserwatywnym) – <szydercy>: Filleborn, Brodowscy i Sierpiński, w centrum zaś – najbardziej umiarkowany spośród nich wszystkich Dziekoński, który zajął bodaj to miejsce po wyjeździe Majorkiewicza"[11].

Chcę tu przypomnieć – bez lukrowania – kilka rysów życia oraz dzieła niełatwego i tajemniczego człowieka, jakim był Zmorski. Jego biografię i legendę tworzy kilka najściślej splecionych wcieleń – więcej o nim nie wiemy, niźli wiemy we wszystkich tych dziedzinach.

[10] S. Rosiek, E. Nawrocka, B. Oleksowicz, G. Tomaszewska, *Między tekstami. Część 3. Romantyzm. Podręcznik dla liceum i technikum*, Gdańsk 2007, s. 209. Dziękuję dr Marcie Białobrzeskiej za pomoc w wyjaśnieniu kwestii owego wiersza.

[11] J. W. Gomulicki, *Genealogia Cyganerii Warszawskiej*, w: W. Szymanowski, A. Niewiarowski, *Wspomnienia o Cyganerii Warszawskiej*, zebrał i opr. J. W. Gomulicki, Warszawa 1964, s. 14-16.

Niedouczeni „wykolejeńcy”

Już w 1914 roku Gabriel Korbut podsumował całą Cyganerię Warszawską znamiennym epitetem: w y k o l e j e ń c y[12]. Zaraz po śmierci pisarza zaczęło się wpisywanie biografii Zmorskiego we wzorzec, który obejmował następujące elementy: talent, ale bez wykształcenia, prowadził życie nieuporządkowane, więcej zapowiadał, niż stworzył, był jednym z meteorów drugorzędnej romantyczności krajowej. Właściwie był to nagrobek wizerunkowy, nad którym trzeba by wypowiedzieć sakramentalne „amen”. Słowami autorytetu:

„Cyganeria warszawska składała się przeważnie z ludzi uzdolnionych, ale wykolejonych, z dyletantów, bez uniwersyteckiego wykształcenia, nie było bowiem przez lat 30 po powstaniu listopadowym ani jednego wyższego zakładu naukowego w Królestwie. Jedynym wyjątkiem wśród tych wykolejeńców był przywódca ich Dziekoński, wychowaniec uniwersytetów niemieckich”[13].

Zmorski, tak jak inni cyganie, prowadził w młodości warszawskiej życie nieuporządkowane. Ważne: taki był jego i kolegów w y b ó r. Wskazuje się na następujące elementy tego stylu cygańskiego: manifestowaną nienawiść do filistra (salon, arystokracja, mieszczaństwo i ziemiaństwo razem wzięte), czyli wszystkiego, co stabilne, mieszczące się w normie społecznej, zgodne z obyczajem oraz konwenansem. Zmorski, mówi się, był najradykalniej antyfilisterski. Potem: bezdomność. Nie wiadomo, gdzie miał mieszkać. Potem jeszcze: niechlujstwo ubioru, celowe i na pokaz. Następnie „dobrowolne ubóstwo”, czy raczej artystowska bieda z wyboru (słusznie zwraca się uwagę na to, że „nędza Zmorskiego wygląda podejrzanie”)[14]. Wreszcie: pogarda dla nauki, szkoły, uniwersytetu, wszelkiej wiedzy oficjalnej (za to pasja do „samouctwa”). Po kolei więc: wygląd, zachowanie, ekscesy. Trudno nawet powiedzieć, co było tu pierwsze: niepokorne osobowości pokolenia (Filleborn, Zmorski, Dziekoński) czy świadomy wybór taktyki skandalu. Zmorski był niesforny już w szkole. Pochodził ze szlacheckiej rodziny, kształcił się w Białej Podlaskiej. W Warszawie szokował z cyganami strojem i poglądami. Sam poeta jawi się nieco jak postać tytułowa z wiersza *Anioł-Niszczyciel*. Ale nie ubierajmy go w poezję.

---

[12] Słowo to oznaczało w XIX i XX wieku „człowieka wykolejonego, rozbitka życiowego”; z kolei leksem cygan oznacza: człowieka (1) „koczowniczego plemienia indoeuropejskiego”, (2) „człowieka prowadzącego życie nieuporządkowane, nieustabilizowane, beztroskie; człowiek prowadzącego wędrowny tryb życia, włóczęgę”; (3) „krętacza, matacza, kłamcę, oszusta, szalbierza”; (4) „członka cyganerii literackiej”; (5) „piec żelazny z kuchenką do gotowania”. Jak widać, tylko 5. znaczenie jest neutralne, pozostałe mają mniejszy lub duży odcień negatywny. Za: *Słownik języka polskiego*, pod red. W. Doroszewskiego, Warszawa 1997.

[13] G. Korbut, *Cyganerja Warszawska – Józef Bohdan Dziekoński (1815–1855)*, w: *Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjątki*, red. B. Chlebowski, I. Chrzanowski, A. Drogoszewski, H. Galle, G. Korbut, M. Kridl, T. IX, Lwów 1914, s. 222-223.

[14] E. Pieścikowski, *Poeta-tułacz. Biografia literacka Romana Zmorskiego*, Poznań 1964, s. 15.

Wygląd. Zmorski młody i dojrzały zdradza w sobie coś od urodzenia niezwykłego: głęboko osadzone oczy, długie, czarne włosy, z powodu których nazywany jest Krukiem. Ma przyciągającą uwagę prezencję. Jako 22-latka tak opisuje go policyjny list gończy:

„Polski zbieg Roman Zmorski, którego rysopis podano niżej, 28 poprzedniego miesiąca opuścił skrycie miejsce swego dotychczasowego pobytu, wieś Otorowo, i dotąd nie udało się go ponownie wyśledzić. Ponieważ wymieniony postanowieniem Naczelnego Prezydium z 27 p[oprzedniego] m[miesiąca] należy do tych zbiegów, którzy mają być wysłani do Magdeburga, dlatego zwraca się na niego uwagę i uprasza o skierowanie w razie ujęcia albo tutaj, albo do Dyrekcji Policji Królewskiej w Poznaniu. – Rysopis: imię Roman, nazwisko Zmorski, wiek 22 lata, miejsce urodzenia Warszawa, miejsce zamieszkania Otorowo, wyznanie katolickie, wzrost 5 stóp 2 cale, włosy czarne o długich kędziorach, czoło wolne, brwi czarne, oczy brąz, nos zakrzywiony, usta zwyczajne, broda nieogolona, zęby dobre, podbródek owalny, kształt twarzy – pociągła, cera bardzo blada, postawa zwinna i smukła, język polski i trochę niemiecki.

Szamotuły, 5 sierpnia 1844. *Królewski Starosta*"[15].

Cała grupa odznacza się wyglądem niechlujnym. W głębszym sensie nieład i nawet brud są tu zaprzeczeniem salonowego lub manifestowanego na ulicy teatru życia schludnie ubranych, ufryzowanych i wypudrowanych lalek teatru kukiełkowego życia, w którym za nici pociągają: interes, pieniądz, koligacje, stosunki z ruskim okupantem, zdobywanie i dziedziczenie majątków. Wyglądają tak, jak Filleborn i Zmorski:

„[Filleborn] Był to człowiek małego wzrostu, mogący mieć około dwudziestu kilku lat wieku, z oczami podsiniałymi, twarzą nabrzękłą i zaczerwienioną widocznie przez zbytnie użycie mocnych trunków, z rozrzuconymi włosami, na których spoczywał rodzaj jakiejś greckiej czapki z kutasem, na bakier przekrzywionej. Ubrany był w stary szlafrok watowy, z dziurami powypalanymi od fajki i brzegami straszliwym sposobem zatłuszczonymi, w jakieś buty olejną farbą w zielone i czerwone kwiaty pomalowane, a przy tym w najzupełniejszym negliżu; na szyi miał atłasową krawatkę z ogromnymi, sterczącymi, wybornie wykrochmalonymi kołnierzykami. W jednej ręce trzymał kawał tektury, na którym powsadzane drewienka składały pewien rodzaj szubienicy, gdzie wisiała na żółtym sznurku mysz, ostatnie wydająca tchnienie, w drugiej zaś widać było wyszczerbiony scyzoryk, którym, jak sam powiedział, zabierał się do robienia dysekcji na ciele winowajczyni.

– A co to? – rzekł, stanąwszy i opierając się o futro drzwi w malowniczej postawie. [...]

Na kufrze, z paką książek pod głową, rozwalał się młody jakiś brunet, podobny do Cygana [Zmorski]. Ponieważ kufer był za krótki na jego osobę, skurczył nogi i objąwszy się za pięty, podobny był jak dwie krople wody do znaku zapytania. Ubranie jego tak było zakurzone i potłuszczone, iż zdaje się, że od wyjścia chyba z rąk krawca

[15] Cyt. za: tamże, s. 102.

szczotka na nim nie postała; zupełnie toż samo można było powiedzieć o obuwiu, na którym odwieczne błoto (a było to w najpiękniejszych dniach sierpnia) tę przynajmniej nastręczało korzyść, że dziury były mniej znaczne. Włosy jego, czarne jak kruk, spadając w nieładzie naokoło głowy, okryły całą prawie pakę książek, na której taż głowa spoczywała. W oczach przebijał się wyraz zadumania i melancholii, twarz wybladła, cera śniada, zarostu żadnego prawie. Zdawał się pogrążony w zamyśleniu"[16].

Elementem ich autokreacji, wybranym, a potem u niektórych niedobrowolnym (Filleborn i Wolski szybko popadli w alkoholizm)[17] jest rytuał pijacki, knajpiany. Reorientują przestrzeń miasta. Zamiast kamienicy, pałacu i salonu – wybierają szynk, gospodę, poddasze lub pozamiejską przestrzeń natury[18]. Piją nie po to, by, jak to gładko się pisze, szokować, manifestować itp., lecz dlatego, że jest to w głębokim tego słowa znaczeniu ich wybór poznawczy i egzystencjalny. W przełożeniu na realia wygląda to tak:

„W kąt pomiędzy piecem a ścianą wsunięty był siennik, na którym spoczywał sam gospodarz domu, z głową opartą na poduszce skórzanej, widocznie ze starego jakiegoś wyjętej powozu, przykryty płaszczem z niebieskiego sukna z aksamitnym kołnierzem.

Na drugim gościnnym sienniku, przyozdobiony pierzową poduszką w powłoczce w paski czerwone i białe, leżał ów brunet Leon [Zmorski], który dnia wczorajszego zbudował mnie był tak świetną alokucją o powołaniu literata. Otulony on był po uczy w stary płócienny szlafrok w kratki niebieskie, na którym tyleż, co kratek, było plam atramentu i dziur fajką powypalanych. (...).

Grzebień i szczotka były to rzeczy najniepotrzebniejsze zupełnie, zbytkowe sprzęty, i gospodarz domu uważałby sobie za *uwłóczenie*, gdyby kto ośmielił się wspomnieć o nich w jego obecności. Toż samo trzeba powiedzieć o czyszczeniu rzeczy, Jędruś [Dziekoński] utrzymywał bowiem, że tym sposobem niszczą się tylko i że najoszczędniej będą się nosiły, jeżeli się wcale do nich miotełki nie użyje. Podłoga nigdy nie była zamieciona, a powód tego bardzo jasny, bo na podłodze leżało mnóstwo papierów, na każdym papierku było coś zapisanego: czy notatka, czy początek jakiego wiersza, czy szkic lub coś podobnego. Jędruś więc, nie chcąc, żeby pisma, które mogły być kiedyś, jeżeli już nie są, skarbami nieocenionymi, zarzuciły się gdzieś na śmieciach

[16] W. Szymanowski, *Literaci warszawscy*, w: W. Szymanowski, A. Niewiarowski, *Wspomnienia o Cyganerii Warszawskiej*, s. 88 i 95-96.

[17] T. Jodełka, *Wstęp* do: W. Wolski, *Domek przy ulicy Głębokiej*, opr. T. Jodełka, Warszawa 1956, s. 16: „Od wczesnej młodości mało cenił pieniądze. Spory majątek po ojcu roztrwonił bardzo szybko (miał przecież przyjaciół!), honoraria – zwykle bardzo niskie, ponieważ nie potrafił się targować – ekspensował od ręki, na przykład w ciągu pięciu dni wydał w gronie towarzyszy i na przyjemności przygodnych znajomych (płci obojga) 350 rubli otrzymane za druk w „Gazecie Codziennej" powieści *Domek przy ulicy Głębokiej* – ale nawet na brukselskim bruku pracował bardziej intensywnie niż wielu innych współczesnych mu literatów, nie mówiąc już o poetach".

[18] W pewnym sensie kroczą śladem filomatów, ale jest to widoczne tylko w naprzemiennym wyborze miasta (Wilna – Warszawy) i natury (okolic podwileńskich – Mazowsza) jako przestrzeni ulubionej. Filomatom brak jednak ostrza antymieszczańskiego i antysalonowego buntu.

Tepperowskiego pałacu, a w olbrzymim Tepperowskim pałacu mnóstwo jest śmieci, nie pozwalał nigdy porządku robić w swoim pokoju.

Gdy już toaleta całkiem prawie ukończoną była, drzwi się otworzyły i wszedł dwunastoletni chłopak, niskiego bardzo na swój wiek wzrostu, rumiany jak aniołek Rubensa, brudny i obdarty jak żebrak Murilla, a na tej młodziutkiej jego twarzy widać było śmiałość, dowcip i ten nieokreślony wyraz sprytu, który cechuje ulicznika warszawskiego, jeżeli się już uda taki ulicznik, a bardziej jeszcze paupra krakowskiego, których rasa, niestety, zupełnie prawie zaginęła. Z niesłychaną zręcznością niósł on w ręku piramidę nader sztucznie ułożoną z dwóch butelek piwa, z ogromnego kawała słoniny, zwanej w technicznym rzeźnickim języku *bokiem*, z bochenka chleba i starej butelki, do wpół napełnionej wódką"[19].

Co to im daje? Po pierwsze, tworzy mitologię męskiej grupy, scementowanej rytuałem spożycia i przekroczenia miary, upojenia, ekstatycznego życia na rauszu. Łączy, spaja. Podkreślmy: jest to całkowicie męska grupa, żadna polska George Sand tu się nie pojawia. Wolno przypuszczać, że w świecie tym obowiązują – rozluźnione przez alkohol – inne style mówienia o kobiecie, miłości, ciele, erotyce i seksualności[20]. Dalej: rausz artysty-cygana daje mu – być może ucieczkowe – poczucie wzniosłego uszczęśliwienia w podłym, obłudnym świecie rodaków-filistrów i obcych-okupantów. Natomiast pijackie przekroczenia pozwalają zajrzeć głębiej w trzewia istnienia, doświadczać paramistycznego upojenia istnieniem na przemian z udrękami cierpiącego od nadmiaru ciała. Tak, to dlatego cyganie z Warszawy odkrywają przyczółki nihilizmu w z pozoru stabilnej rzeczywistości. Piszą własne „straże nocne" o pustce istnienia i bezsensie tworzenia.

Owiewa ich istnienie pewna nić tragiczności. Piją, włóczą się, skandalizują, a przecież ich ambicją jest Dzieło, literackie dokonanie, które powiedziałoby w twarz spodlonemu światu, jaki on jest. Lecz jedno wyklucza drugie. Dzieło cygana jest zawsze bardziej przed nim, niż na pulpicie w jego pokoju. Istnieje *in potentia*. W niewielkim stopniu marzenia o sukcesie spełniają: *Ojciec Hilary* Wolskiego, *Historyczny obraz miasta Lublina* Sierpińskiego, *Poezje* Filleborna, *Sędziwój* Dziekońskiego i *Lesław* Zmorskiego. Zauważmy, że przed 1847 rokiem, kiedy w Pleszewie ukazał się *Lesław*, ale i po 1847 roku, Zmorski jest pisarzem bez dzieła. Bez wielkich tekstów. Pisze sporo, ale – po *Poezjach* wydanych w Warszawie w 1843 roku – lipski tomik

[19] W. Szymanowski, *Literaci warszawscy*, s. 108-110. Zob. M. Szargot, *Wódka i fajka w opowiadaniach Józefa Bogdana Dziekońskiego*, w: *Sztuczne raje... Używki w literaturze*, red. M. Kuziak, Słupsk 2002.

[20] Z romansów słynął w tej grupie Wolski (choć kochał się w jakiejś nieznanej z imienia damie). Por. też: J. W. Gomulicki, *Genealogia Cyganerii Warszawskiej*, w: W. Szymanowski, A. Niewiarowski, *Wspomnienia*..., dz. cyt., s. 27. „Niektóre z tych kwater (exemplum: gospoda Miriamki) sprzyjały praktykowaniu dwóch grzechów szczególnie potępianych przez moralność mieszczańską, szczególnie więc pociągających cyganów: pijaństwa oraz rozpusty, a także jednej cnoty [...]: fraternizacji z prostym ludem".

poezji (jedyny!) ukaże się w roku 1863. Potem żona, Tekla Zmorska (1825–1898), zabiega o pośmiertną edycję, której sama już nie doczeka (zmarła przed publikacją *Pism oryginalnych i tłómaczonych* w 1899 roku)[21]. Styl życia, jaki cyganie wybierają (podkreślam: w pełni świadomie), ma więc dwie strony – jasną i ciemniejszą. Nie da się go dłużej utrzymać, i nie tylko ze względów zdrowotnych.

Skandal ma swoją logikę, świetnie opisaną przez Macieja Tramera na przykładach XX-wiecznych[22]. Reguły są jednak podobne – skandal się robi, wybucha on. Jest. I... mija. Nie sposób go ciągnąć, powtarzać. Nadużyty, staje się ponurą karykaturą. Raz uwolniony – odsłania, epifanizuje zrutynizowaną codzienność. Nie zmienia jej, ale ją oświetla. Tak było z manifestacjami Cyganerii Warszawskiej. Popatrzmy:

„– Ja płaczę – mówił dalej Jędruś [Dziekoński] i wziąwszy butelkę z rąk Pawełka, odkorkował ją i nalał sobie w szklankę pieniącego piwa, którą jednym haustem wypił.

– Ale to nie przeszkadza, żebyś nie miał sobie odwilżyć gardła – rzekł, nalewając drugą szklankę – będzie ci lżej mówić; pij, poeto.

Leon [Zmorski] wypił duszkiem i tak dalej mówił:

– A chcesz tego życia, to go szukaj między nami, to jest między ludźmi, co mają serce i oczy, co czują i widzą. A nie szukaj go między lalkami wymuskanymi, co jak marionetki na sprężynach poruszają się na woskowanej posadzce salonów, nie szukaj go w czarnym fraku ani w białych rękawiczkach, ani w sukni paryskiej, ani w złotym łańcuszku od zegarka. Szukaj go między ludem, pomiędzy prostym i uczciwym ludem naszym; tam jest życie, tam świat twój. Szukaj go w kawiarni i szynku, na Starym Mieście i na Rybakach, pomiędzy kapotami i czapkami, w błocie ulicznym i dymie od bakonu, przy wódce, ponczu i bawarze; to prawdziwe życie, to pole dla literata. Widzisz, panie kochany, świat jest jak bańka mydlana, a ludzie jak muchy; jak będziesz z tego punktu zapatrywania się rzeczy znikome uważał, to powiem, żeś wielki badacz. Ty nie znasz ani kawiarni, ani szynku, ani wódki, ani fajki, ani bilardu, ani piwa; ty nic nie znasz, ty jesteś człowiekiem dzikim, bo jesteś istotą zarażoną już salonowym pieściuchostwem. Strzeż się, młodzieńcze, żebyś nie wyrósł na eleganta, na wykwintnisia, na lalkę, na figurkę gipsową”[23].

Ile razy można było to powtórzyć? Bez znudzenia? Manifestacja nakłuwa balon skłamanego konsensusu i konwenansu społecznego. Obnaża kłamstwo. Zarazem skandalista-cygan kreuje legendę: własną, wydarzenia, środowiska. Użądlone społeczeństwo szybko zamyka go w etykiecie wykolejeńca. Ale cygan żyje w legendzie. Choć i ona bywa zabójcza: jak sprostać c a ł y m życiem skandalicznemu wzorcowi wypracowanemu w młodości? Trzeba albo umrzeć dosłownie, albo zaprzeczyć młodości, jak zrobią

[21] Tekla z Parczewskich Zmorska była osobą dobrze wykształconą, o wyrobionym guście literackim. Przełożyła na polski z francuskiego powieść Edmunda Chojeckiego *Drwalówna* (Warszawa 1884).

[22] M. Tramer, *Literatura i skandal. Na przykładzie okresu międzywojennego*, Katowice 2000; tegoż, *Rzeczy wstydliwe, a nawet mniej ważne*, Katowice 2007.

[23] W. Szymanowski, *Literaci warszawscy*, s. 103.

Kenig, Miniszewski, Niewiarowski, Szymanowski. Albo szukać: czego? Idei, która wypełniłaby miejsce po fazie skandalicznej, lecz jej nie unicestwiała. U Zmorskiego przyjdzie pora na: ideę słowiańską, misję polityczną wśród Słowian Południowych, pracę korespondenta zagranicznego. W żadnej z tych ról nie pomieści się Zmorski całkowicie, bez kolizji.

„Namiętny, burzliwy, niespokojny..."

O ile pewne cechy wszyscy cyganie mają mniej lub więcej wspólne jako grupa, o tyle mocniej ujawniają się na ich tle cechy indywidualne[24]. U Zmorskiego widzę trzy. Pierwsza i najważniejsza: osobowość. Zmorski reprezentuje sobą typ człowieka będącego zawsze w opozycji do innych ludzi. Asocjalny, a może nawet socjopatyczny rys tej osobowości nie wypływa z choroby, raczej jest chorobą na życie, której podmiot nie powstrzymuje, lecz daje jej literackie świadectwo. Pisma Zmorskiego, jak zauważono, przenika „(…) nienawiść, rozumiana jednak w kategoriach ontologicznych"[25]. Nienawiść do natury, porządku bytu przechodzi tu w znienawidzenie reguł społecznych i ustalonego jeszcze na Kongresie Wiedeńskim (1815) porządku historyczno-politycznego Europy. Tę nienawiść, a może lepiej (łagodniej?) furię widać w stylu pisarza, jego leksyce, w liryce, która ma upodobanie do wampiryczo-frenetycznych motywów. W jakiś sposób przekładała się ona na relacje z otoczeniem. Zmorski był typem wściekłego buntownika. Nie przebierał w słowach. Urazy do ludzi pielęgnował. Wedle Szymanowskiego:

„Jak powiedziałem już, Leon [Zmorski] był poetą z ogromnym talentem. Wcześnie rozwinął się poetyczny jego umysł, a nie był on poetą wybrykami, tak jak Jędruś, ale poetą sercem, życiem, cierpieniem i miłością. Toteż jego utwory odrębną zupełnie cechę nosiły na sobie. Miejscowy koloryt w nich przebijał, bo Leon brał z natury, z serca, z życia. Rzekłbyś, że dziwnie przy tym wszystkim mogło się odbijać to jego zaniedbanie i popęd do lekkiego i żartobliwego przebiegania przez życie. Ale Leon jako poeta był wrażliwym nieskończenie, doświadczał więc wpływy tych, pomiędzy którymi żył; w innych okolicznościach, w innym towarzystwie byłby zupełnie innym człowiekiem i na innego też przerobił się z czasem"[26].

[24] Śródtytuł to cytat z: G. Korbut, *Zmorski Roman (1822–1867)*, w: *Wiek XIX*..., T. IX, dz. cyt., s. 253.

[25] E. Pieścikowski, dz. cyt., s. 25. Badacz przywołuje jeszcze głos Eugeniusza Skrodzkiego (*Wieczory piątkowe i inne gawędy*, opr. M. Opałek, Warszawa 1962, s. 146), który pisał o Zmorskim: „Był to człowiek niepospolitych zdolności i serca, o kierunku spaczonym, jak zresztą cała plejada ówczesnych poetów warszawskich, chorująca na bajronizm, nieuznanie przez świat i wiecznie narzekająca na ludzi, na samego nawet Pana Boga. Pan Roman także wydawał mi się jakby trawiony melancholią, jakąś niechęcią do życia, a to usposobienie duszy w nastroju wielu jego utworów się przejawia".

[26] W. Szymanowski, *Literaci warszawscy*, s. 148.

Budził niepokój otoczenia. Łatwo się skłócał nawet z tymi, którzy byli mu przychylni. Był typem paradoksalnym: samotnikiem w towarzystwie przyjaciół cyganów, mizantropem.

Wiąże się z tym drugi element jego portretu osobnego: unikanie kobiet. Zrozumienie znajdywał tylko w męskim świecie. W kulturze XIX-wiecznej, idealizującej fantazmatyczną kobiecość, owe anioły, gwiazdki, jutrzenki, stanowił rozpoznawalny wyjątek[27]. Paulina Wilkońska notuje powtarzaną często anegdotę o Zmorskim, który zrejterował z salonu na widok kobiet. Pięknie go też Wilkońska portretuje w dandysowsko-cygańskim stroju:

„Niekiedy ukazał się u nas Roman Zmorski, który zdolnością swoją od razu zwrócił na siebie uwagę w „Nadwiślaninie" i „Przeglądzie Warszawskim", wychodzącym pod redakcją Budziłowicza. Nie wchodził wszakże w towarzystwa, a raczej stronił od nich – zwłaszcza też od kobiet, jak to mówił do Augusta. Ale można go było spotykać w Ogrodzie Saskim całkiem czarno ubranego, z długim ciemnawym włosem i wyłożonym białym kołnierzykiem *à l'artiste*, w kapeluszu czarnym z szerokim brzegiem i z grubą laską w ręku, jakich używają studenci niemieccy. Rysy miał ładne, więcej drobne, oczy siwe z głębokim wejrzeniem, płeć śniadą, brew wydatną i lekki wąsik.

[...] Dnia jednego siostra moja grała na fortepianie, jam krzątała się wkoło, gdy nagle drzwi otworzono do przedpokoju – i stanął w nich Roman Zmorski. Spojrzał na nas, poszepnął: *Same kobiety*! – odwrócił się i wybiegł"[28].

Człowiek XXI wieku stawia inaczej pytania i inne formułuje diagnozy, niż ludzie XIX stulecia. Czy Zmorski tylko bał się w kobiet, czy ich nie lubił po prostu? A może był chorobliwie nieśmiały? Psychoanalityk rozpatrzyłby trop homoerotyczny. W każdym razie opinia o Zmorskim-mizogynie ustaliła się już w XIX wieku na dobre: „W Warszawie – pisał Gabriel Korbut – pędził życie prawdziwie cygańskie; nie cierpiał zebrań towarzyskich salonowych, unikał towarzystwa kobiet; chodził w stroju zaniedbanym, *po liderlichowsku*, jakby się wyraził Słowacki: (...) Namiętny, burzliwy, niespokojny, przyrodzone swe zdolności zmanierował, nie mógł bowiem, czy też nie umiał, systematycznie się wykształcić (...)"[29]. Jeśli opinia ta nie jest donosem na Zmorskiego, aluzją do jego odmienności, to zapisuje po prostu bezradność przedstawiciela salonu, socjety wobec „wykolejeńca". Trzeba dodać, że Zmorski się przecież ożeni – w 1847 roku z Teklą Parczewską.

Tu się zaczyna kolejna odsłona teatru życia. Zmorski w roli męża. Panna była bogata, z pałacu w Osieku koło Skalmierzyc, mądra, wykształcona, trudno o niej powiedzieć cokolwiek niemiłego. Aniela Tekla Zmorska z Osieka, jak to panna, miała ojca, z którym

[27] Zob. J. Ławski, *Obrzędy miłosne „Dziadów"* oraz *Pielgrzym i Ewa*, w: tegoż, *Marie romantyków. Metafizyczne wizje kobiecości. Mickiewicz – Malczewski – Krasiński*, Białystok 2003, s. 112-155, 218-247.

[28] P. Wilkońska, *Moje wspomnienia o życiu towarzyskim w Warszawie*, opr. Z. Lewinówna, red. J. W. Gomulicki, Warszawa 1959, s. 179 i 90, cyt. za: *Cyganeria Warszawska*, s. 318.

[29] G. Korbut, *Zmorski Roman*..., dz. cyt., s. 253.

Zmorski popadł w konflikt jeszcze zapewne przed ślubem. Dzień po ślubie młodzi wyjechali do Cieplic na Dolnym Śląsku w podróż poślubną, a po powrocie z niej skierowali sie do Osieka, gdzie napięcie między zięciem a teściem jeszcze narastało. Z relacji Tekli:

„Ten duch niezależny, na wskroś fantazyjny, raz spostrzegłszy nieprzychylność dla siebie ojca mego, nigdy już nie doharmonizował się do wspólnego z nim stosunku i nieraz dawał mi odczuć, że Osiek – to więzienie dla niego i zapora. >Gdyby już nie wracać tam< – mówił mi raz, przechodząc się ze mną i wskazując na dwór stojący na tle krajobrazu. O ile za granicą odzyskiwał swobodę i właściwy sobie humor, o tyle w domu stawał się cierpkim i zamkniętym w sobie"[30].

To napięcie było zapewne jedną z przyczyn podróżomanii Zmorskich, która się wkrótce zaczęła. Tekla Zmorska urodziła w 1848 roku poecie syna Masława (imię oczywiście słowiańskie) oraz w 1852 roku córkę Zbigniewę (utalentowaną literacko)[31]. Nie udało jej się jednak zatrzymać męża przy sobie. Około 1854 roku Zmorski opuścił rodzinę na dobre, wyruszając w podróż na południe Półwyspu Bałkańskiego. Od tej pory nie utrzymywał kontaktów z żoną ani dziećmi. Trudno napisać, że Zmorski żył w separacji lub się rozwiódł. Po prostu zerwał wszelkie kontakty. Sprawa ta była na tyle głośna w XIX wieku, że nie pominął jej w nekrologu poety Józef Ignacy Kraszewski. Uczynił to z ganiącym tonem wyrzutu, choć i sobie mógłby w tej sferze niemało mieć sobie do zarzucenia[32]. Pisał:

„Tu [w Poznańskiem] znalazł towarzyszkę życia, pannę Teklę Parczewską, nie zbadawszy może dosyć sam siebie, czy obowiązkom głowy rodziny zadość uczynić potrafi i zamknąć się w niej na resztę życia. Kto raz fantazji nad sobą dał wziąć górę, nie tak łatwo od jej tyranii uwolnić się potrafi, a dla Romana była ona nie sługą, jak być winna dla silnych, ale panią despotyczną, wiodła go, gdzie chciała..."[33].

I tak tę sprawę tłumaczono w XIX wieku: był poetą, którego uwodziły nie kobiety, a fantazje umysłu. Nie umiał ustatkować się, gospodarować. Tekla Zmorska jeszcze za życia Romana zaprzyjaźniła się z Teofilem Lenartowiczem, któremu nawet, już po śmierci męża, oferowała swą rękę. Ten odmówił. Zaginęły listy Tekli do Lenartowicza,

[30] T. Zmorska, cyt. za: H. Syska, *Syn Mazowsza. Opowieść o Romanie Zmorskim*, Warszawa 1953, s. 153. Syska nie podaje, z jakiego źródła cytuje Teklę Zmorską, ale tak komentuje jej słowa: „W ten sposób Zmorski coraz to bardziej odbiegał od domowego nastroju. Z rzadka uczestniczył w bankietach na cześć gości wydawanych, w coraz szczuplejszym obracał się kręgu przyjaciół. Nie trafiały mu do przekonania słowa Lenartowicza, starającego się ile tylko sił naprawić nastrój swego przyjaciela. Na nic nie zdały się próby zbliżenia go i pojednania z teściem. Wprawdzie obydwie antagonistyczne strony wykazały tyle subtelności i kultury, że do otwartych awantur rodzinnych nigdy nie dochodziło [...]".

[31] Opublikowała: *Kapryśna. Komedyja w 4 aktach* (Poznań 1991) i pośmiertnie wydano: *Nitka jedwabiu. Powieść z niedawnych czasów* (Poznań 1905 i 1907). Zmarła w 1895 roku. Listy Lenartowicza informują o licznych innych jej utworach.

[32] A. Trepiński, *Romans Kraszewskiego z Wiedenką*, Warszawa 1970.

[33] Cyt. za: E. Pieścikowski, dz. cyt., s. 102.

pozostał okazały tom *Listów Teofila Lenartowicza do Tekli Zmorskiej 1861–1893*[34]. Jest on, o dziwo, świadectwem anielskiej wyrozumiałości Tekli wobec małżonka.

Kiedy chory i zbiedniały Zmorski w 1867 roku znalazł się w Dreźnie, Tekla przyjechała do niewidzianego od wielu lat Romana, zajęła się nim, umieściła go w szpitalu, gdzie dokonał żywota. Przed skonaniem zapisał Zmorski niezwykłe, jak na niego, liryczne wyznanie czułości wobec żony:

> Jam znowu twoim, twoim bez podziału
> Najpierwszych uczuć moich gwiazdo święta!
> Włożone w chwili zmysłowego szału
> Otom nareszcie stargał z siebie pęta
> I jak zbłąkany anioł dziś ku tobie
> Powracam, dłonie wyciągając obie[35].

Zmorski okazał się człowiekiem trudnym przede wszystkim dla siebie. Konfliktującym i konfliktowym. Skłócony był i z życzliwym mu Lenartowiczem. Jego listy pokazują cierpienie, jakie spadło na Teklę po śmierci Zmorskiego. Obmawiano i ją, i męża, co sprawiało jej ból. Lenartowicz pocieszył ją słowami, które mimo ich ostrości muszą tu być przywołane:

„Droga Przyjaciółko!

Zmiłuj się, nie zważaj na to, co psy szczekają, łajdaków głosy czyż Cię mogą co obchodzić, a gdybyż na to uważać, co bydlęctwo polskie wyrzygiwa co dzień i czym obrzuca najpoczciwszych ludzi, toby przyszło nie czekając lat późniejszych życia dzieckiem jeszcze, jak się tylko ma rozeznanie złego od dobrego, gardło sobie poderżnąć. Społeczeństwo nasze w mniejszej części, dzięki Bogu, ale właśnie w tej, z którą się stykamy, jest to, jak tu Włochy nazywają, bestialska ciurmaglia, tałatajstwo kosookie, które wszystko razi i które głupie, jak nie ma stworzeń na świecie, prócz chiba bawołu, ma ozor chropawy, którym nos sobie liże i bliźnich drapie. Znam tych Bestów od Żydów uczonych, jezuitów aż do ostatniego, znam ich i wiem, czego zdolni, ale mnie to obchodzi tyle, kiedy na mnie szczekają, co spory – dajmy na to – w Chinach warszawskich o literę jotę”[36].

Z siły odpowiedzi Lenartowicza, który nie był, jak widać, tylko lirnikowym gawędziarzem, można wnosić, jak podłe insynuacje krążyły w tzw. dobrym towarzystwie, tak nie cierpianym przez Zmorskiego.

Tekla Zmorska zabiegała do końca życia o wydanie poezji męża. Była solidarna z nim i z dobrą pamięcią o nim. Trzeba to uznać za zachowanie daleko wykraczające poza kanony zachowań kobiet, które w tamtej epoce opuszczone przez męża próbowały często

[34] *Listy Lenartowicza do Tekli Zmorskiej 1861–1893*, wydała z autografu, wstępem i przypisami opatrzyła J. Rudnicka, posłowie S. Szwalbe, Warszawa 1978.

[35] Cyt. za: E. Pieścikowski, dz. cyt., s. 140.

[36] T. Lenartowicz, *List to T. Zmorskiej z 17 czerwca 1867 roku*, w: *Listy Teofila Lenartowicza do...*, s. 53.

ratować dobre imię, tuszując skandal rozstania. Podczas podróży męża to Tekla – oprócz brata Zmorskiego – pośredniczyła w przekazywaniu listów poecie, w końcu sama musiała korzystać z pośrednictwa Kraszewskiego, któremu Zmorski też dał się we znaki[37].

Dochodzimy do kolejnego elementu „legendy" Zmorskiego. Od chwili opuszczenia Warszawy w 1844 roku „pędził życie koczownicze"[38]. Trudno nawet spisać, jak s t a r a ł s i ę nie zakorzenić w żadnym miejscu. Cygańska autokreacja – podejrzewam – była w nim, jeszcze w okresie warszawskim, naturalnym wyrazem wewnętrznego niepokoju, niepogodzenia z sobą i światem. To, co widzimy jako gest autokreacyjny, było tu naturalną ekspresją dzikości, nieokiełznania „Kruka". Marszruta, by tak to określić, życiowa Zmorskiego jest niezwykła. Obejmuje lata 1844–1867 i podróże między innymi: w Poznańskie, na Śląsk, do Akwizgranu, Paryża, Brukseli, Drezna, Budziszyna, Belgii, Heidelbergu, Ems, Sopotu, Dusznik, Weimaru, wreszcie w latach 1855–1859 do Konstantynopola, Serbii, Bośni, po czym następuje powrót do Warszawy (1859), uwięzienie (1862), wyjazd do Galicji, Krakowa, znów do Drezna, gdzie zakończył życie.

Poecie towarzyszy jakiś imperatyw ciągłej zmiany. Interesuje go wszystko, co nowe, odmienne od codzienności. Także w relacjach z ludźmi nie bywa stały. Do legendy przeszła jego znajomość z Franciszkiem Lisztem[39], ale równie ważne były znajomości z wybitnym historykiem Julianem Bartoszewiczem (1821–1870), Joachimem Lelewelem, kompanem zabaw Ludwikiem Norwidem (1818–1881), bratem Cypriana, który z kolei niechętnie wracał do wspomnień młodości z czasów warszawskich, a nawet odżegnywał się od znajomości ze Zmorskim.

Nie jest jednak przypadkiem, że artystą, który najdoskonalej wyrażał aspiracje i marzenia Zmorskiego, był dwakroć przez niego w życiu spotkany osobiście Franciszek Liszt (1811–1886). W postaci Liszta dostrzegł Polak uosobienie geniuszu, artysty doskonałego, zdolnego wyrazić oba biegunowe doznania egzystencji: jej piekło i niebo. Wspaniała muzyka, rozbrzmiewająca w czasie koncertów, które wprowadzały słuchaczy w trans, w uniesienie, wyrażała istotę bytu, zarazem tajemnicę swego dziwnego życia

[37] Zob. E. Pieścikowski, dz. cyt., s. 139: „Z rodziną nie utrzymywał kontaktu. Kiedy Tekla Zmorska – wydalana i z Wielkiego Księstwa Poznańskiego (Śmiłów i Radziszew) i z Królestwa Polskiego (Józefowo) – chciała syna Masława oddać pod opiekę ojca, zmuszona była prosić Kraszewskiego o udzielenie jej drezdeńskiego adresu Romana. Za jego też pośrednictwem przekazała później list w tej sprawie do męża. Jak przychodzącego z taką propozycją Kraszewskiego przyjął Zmorski, domyślamy się z dalszych listów Tekli: przeprasza go za >drażliwość< ze strony Romana, a przekazując tą samą drogą następny list do męża, prosi Kraszewskiego, by go doręczył >nie inaczej, jak włożywszy w pudełko pocztowe<. A jednak usprawiedliwia poetę: >ach, biedny on! chory, pozbawiony środków życia, a nawet i pracy, kiedy ja, obca już dla niego<".

[38] G. Korbut, *Zmorski Roman*..., s. 254.

[39] Zob. *Roman Zmorski o Liszcie*, „Kurier Warszawski" 1886, nr 3176. E. Pieścikowski, *Liszt i Zmorski*, „Ruch Muzyczny" 1961, nr 20; M. Strzyżewski, *Diabelskie skrzypce w „Duchu jaskini" Józefa Bohdana Dziekońskiego*, w: tegoż, *Romantyczne sfery muzykalne. Literackie konteksty idei „musica instrumentalis"*, Toruń 2010.

artystów. Trudno nie przyznać racji Walerii Marrené-Morzkowskiej, widzącej w Zmorskim rozczarowanego idealistę, podzielającego mistyczne aspiracje poznawcze epoki[40]. U autora *Lesława* to rozczarowanie przerodziło się w nihilistyczny impuls. W wierszu napisanym pod wrażeniem koncertu Liszta w 1843 roku Zmorski pokazuje niemal mistyczne uniesienie ducha ludzkiego, który „(...) cały utonie / Miłością w boskiej naturze,/ I cały życia świat tchnie w jego łonie..."[41]. Zarazem już tutaj ujawnia się inny pierwiastek twórczości, jej demonizm. Liszt nazwany zostaje i „Boskim aniołem" i „Szatanem muzyki!...". Kompozytor przedstawiony jest w wierszu jako ten, w którego mocy pozostają, splecione razem w jednej chwili, natura i sztuka, wyrażając tę niedocieczoną dwoistość istnienia: „Trwoga – szał – zgroza – pijaną zgrają / Po czaszce, po sercu pląsają".

W wierszu *Do Liszta. (Improwizacja)* spotykamy też same motywy szaleństwa, namiętności, ekstazy i potworności istnienia, które wyraża poemat fantastyczny o Lesławie, o bohaterze zstępującym dobrowolnie do piekieł. Można to czytać alegorycznie: zstąpienie do piekieł jest u Zmorskiego wyborem absolutnej wolności, figurą poświęcenia się sztuce, które skazuje na zupełną samotność. I Zmorski taką drogą samotności, drogą samotną kroczył aż do śmierci.

W ciągu tych ponad dwudziestu lat podróży-życia Zmorski, piszę to odpowiedzialnie, chyba z nikim nie nawiązał relacji, którą można by nazwać przyjaźnią. Nie uważam też poety za „tułacza". Ani w Warszawie nie musiał prowadzić cygańskiego życia, ani później nie był zmuszony do porzucenia życia z Teklą i dziećmi. Aresztowania (w 1844 i 1862 roku) tylko podsyciły w nim tę dzikość, pęd ku...? Powiedziałbym: ku sobie samemu, ku poszukiwaniu prawdy o sobie. Czy ją znalazł? Odpowiedzi można i powinno się szukać w jego tekstach, a niekoniecznie w plotkarskich świadectwach z epoki. Do Zmorskiego zresztą stokrotnie bardziej odnosi się słynne zdanie Aliny Kowalczykowej wypowiedziane o jej ulubionym poecie, Słowackim: „Kocham go, choć gdybym go znała, z pewnością by mnie drażnił swym niebotycznym egocentryzmem"[42]. Dodam: obaj byli postaciami fascynującymi.

Słowianin

Osobne oświetlenie zyskuje Zmorski w innej roli: folklorysty, słowianoznawcy, etnologa, a nawet reportera. To on przyczynił się do ugruntowania literackiej legendy Mazowsza. Jego *Podania i baśnie ludu mazowieckiego* są tu pozycją klasyczną, wznawianą. Dzięki baśniom stał się Zmorski znanym pisarzem dla dzieci, bardzo często wydawanym do dziś[43].

[40] Patrz jej tekst w *Aneksie*.

[41] R. Zmorski, *Do Liszta. (Improwizacya)*, w: tegoż, *Poezje*, Lipsk 1866, s. 103.

[42] A. Kowalczykowa, *Kocham Julka*, rozmawia J. Sobolewska, „Polityka" 2 IX 2009. Zob. tejże, *Juliusz Słowacki. „Przez Furie jestem targan, ja. Orfeusz"*, w: tejże, *Wokół romantyzmu. Estetyka – polityka – historia*, red. A. Janicka, G. Kowalski, Białystok 2014.

[43] *Woda żywa. Baśnie pisarzy polskich*, zebrała S. Wortman, il. A. Beratyński, Warszawa 1990 (7 wydań!);

W zakresie spraw słowiańskich: do historii przeszła jego wizyta na górze Ślęży (718 metrów n.p.m.) i zapisane tam w księdze gości w roku 1848 słowa zapowiadające jej powrót do Polski:

Na słowiańskiej góry szczycie
Pod jasną nadziei gwiazdą,
Zapisuję wróżby słowa:
Wróci, wróci w stare gniazdo
Stare prawo, stara mowa,
I natchnione Słowian życie[44].

Zmorski pozostaje cenionym klasykiem polskiego poznania Łużyc, a „Stadło. Tygodnik Rzeczom Polskim i Słowiańskim Poświęcony", choć elitarny, okazuje się pismem, które odnotowuje każda historia literatury łużyckiej i polsko-łużyckich związków kulturalnych. Jakkolwiek zmienne mogą być oceny wierności przekładów, to jednak przekłady Zmorskiego z literatury serbskiej uznać trzeba za milowy krok w polskim poznawaniu Serbii, Bośni, Bałkanów[45]. Podobne znaczenie dla tych relacji miały chyba tylko prelekcje Mickiewicza w Collége de France (1840–1844).

Wskażmy na jeszcze jeden, nowoczesny aspekt ponaddwudziestoletniej wędrówki Zmorskiego po Europie: pisał relacje z miejsc odwiedzonych, publikowała je prasa polska. Był, po prostu, reporterem. Bibliografia prac Zmorskiego odsłania zdumiewającą, choć niepokwitowaną ogromną ilością tekstów, rozmaitość wątków kulturowych. Wynotujmy niektóre prace. Ich tytuły same mówią za siebie: *Do Czech. Z „Córy sławy" Jana Kollara* („Przyjaciel Ludu" 1846); *Żal Słowaka (Z M. J. Hurbana)* („Stadło" 1849), *Piosenka Cyganów węgierskich* („Noworocznik" 1867), *Piosnka koptyjska (Z Goethego)* („Wędrowiec" 1867), *Chrystus i Piotr. Legenda serbo-łużycka* („Biblioteka Warszawska" 1851), *Pochwała wina (Z wschodniego poety Mirza Szafi)* („Dziennik Literacki" 1857). Do tego skromnego wyboru dołączmy relacje i recenzje: *Wspomnienia z wędrówek po kraju w 1842 roku. Urywek pierwszy. Raszyn* („Przyjaciel Ludu" 1847), *O ofiarach ziemi składanych (przez K. J. Erbena)* („Stadło" 1849), *Krótki rys nowego piśmiennictwa serbskiego podług Jana Risticza* („Biblioteka Warszawska" 1853), *Hans Christian Andersen, pisarz duński* („Dziennik Literacki" 1856), *Lud ukraiński przez Antoniego Nowosielskiego* („Dziennik Literacki" 1858).

Oprócz tego pisma Zmorskiego rejestrują jego niesamowitą ruchliwość: *Korespondencja z Wrocławia* („Dziennik Literacki" 1858), *Notatki z podróży na Wschód*

Baśnie i legendy polskie, wybór E. Brzoza, Warszawa 2001 (ok. 10 wydań!); także wszelkie wydania „legend polskich" przynoszą utwory Zmorskiego.

[44] Zob. Z. Szkolnicki, *Roman Zmorski na Ślęży*, Wrocław 1980.

[45] M. Semków, *Roman Zmorski jako znawca i tłumacz poezji serbskiej*, „Prace Literackie" 1965, nr VII, s. 61-97.

(„Gazeta Codzienna" 1858), *Kaszuby* („Tygodnik Ilustrowany" 1861), *Królewiec* („Tygodnik Ilustrowany" 1862), *Obrazy z Czarnogórza i jego pobrzeży* („Tygodnik Ilustrowany" 1862), *Dalmacja i jej główne miasta: Split i Zadar* („Tygodnik Ilustrowany" 1862), *Chorwacja i Słowenia. Wojskowe Pogranicze. Serbska Wojwodina i Banat* („Tygodnik Ilustrowany" 1863), *Haszisz* („Tygodnik Ilustrowany" 1866), *Kilka słów o Słoweńcach i ich piśmiennictwie* („Noworocznik" 1867) itd.

Pasja poznawcza Zmorskiego jest ogromna. Ogarnia on wielką ilość kultur w swym spojrzeniu: czeską, słowacką, węgierską, łużycką, niemiecką, serbską, chorwacką, słoweńską, bośniacką, turecką, kaszubską, kultury orientalne. Prawda, że ruchliwość i ta dzikość nie pozwalają mu stworzyć syntezy obrazu Słowiańszczyzny, ale, jakże celnie, wypadki opisuje na gorąco. Jest reporterem, a reporter rzadko tworzy syntezy. Pasja Zmorskiego doceniana jest przez Serbów i Łużyczan także dziś.

Wydane w 1899 roku w Warszawie staraniem żony poety, Tekli z Parczewskich Zmorskiej, jego *Pisma oryginalne i tłómaczone* przynoszą oprócz pism oryginalnych Zmorskiego jego tłumaczenia z języka serbskiego, które zaskarbiły u wdzięczność potomnych: *Narodowe pieśni serbskie*, *Królewicza Marko*, *Merimę, czyli powstanie w Bośni. Tragedię w 5 aktach*, *Lazaricę, ustęp narodowych pieśni serbskich*[46]. Różnie można oceniać wynik prac translatorskich Zmorskiego, ale nikt przed nim nie podjął na taką skalę dzieła wzajemnego poznania Polaków i Serbów. Jak był to ważki problem, wynikający także z nikłej wzajem o sobie wiedzy narodów, pokazują i wykłady Mickiewicza w Collége de France (1840–1844).

Jeszcze w XIX wieku bodaj tylko jeden Karol Libelt (1807–1875), wybitny filozof, zdobył się w opublikowanym po śmierci pisarza tekście na oddanie sprawiedliwości usiłowaniom Zmorskiego pogodzenia Słowian. W ocenie Libelta, tylko poznawszy się wzajem, Słowianie będą mogli przeciwstawić się manipulacjom, intrygom carskiej Rosji. Zasługi w tej mierze Zmorskiego widział jako zaprzepaszczone dokonanie:

„Żałować przychodzi, że przedwczesna śmierć poety nie dozwoliła mu pracować dalej na tym polu i przez tego rodzaju przekłady podać współrodakom swoim porę bliższego poznania dzielnego pokolenia Serbów, co by ułatwiło zbliżenie się tych dwóch pobratymczych plemion do siebie. Wszelako pozostanie i to już niewygasłą zasługą ś. p. Romana Zmorskiego, co w tym kierunku zdziałał i po sobie pozostawił. – Więcej może niżeli współrodacy uznali tę zasługę autora Serbowie Łyżyccy, u których imię Romana Zmorskiego w wielkim jest poszanowaniu i w wdzięcznej pamięci. Grób jego w Dreźnie odwiedzają Łużycy i Wendy i składają na nim wieńce z kwiatów"[47].

[46] R. Zmorski, *Pisma oryginalne i tłómaczone*, Warszawa, nakład i druk S. Lewenthala, Nowy Świat Nr 41, „Biblioteka Najcelniejszych Utworów Literatury Europejskiej", Literatura Polska, Warszawa 1899, ss. 858. Katalog Biblioteki Narodowej notuje też to samo wydanie z inną datą edycji: 1900.

[47] K. Libelt, *Roman Zmorski. Stanowisko jego w literaturze polskiej*, „Kraj", Kraków 1872, nr 1-5.

O dziwo, Zmorski o Rosji bezpośrednio nie pisał. Wyrażając jawnie sympatie słowianofilskie, nigdy nie głosił poglądów panslawistycznych. Był caratu wrogiem nieprzejednanym. Jedną ze stałych cech jego poglądów był niezmienny polski patriotyzm[48]. Łączył go z sympatią dla Słowian i niechęcią do chrześcijaństwa, podzielając pogląd, iż zniszczyło ono pierwotną prakulturę Słowian. Ów wątek antykatolicki uznać można za jedną z przyczyn późniejszej niechęci do poety – ateisty czy nihilisty.

Jak na ironię, to nie poezja i nie proza Zmorskiego przetrwały w pamięci ludzi XXI wieku. W Internecie jest dziś Zmorski jednym z prakapłanów wiary słowiańskiej, idealnym Słowianinem, zapewne też takim, o jakim on sam nigdy by nie pomyślał[49]. Kultura uczyniła zeń jednego z tych, którzy wyrażają jej głód mitu, mitologii i metafizyki. Głód niezaspokojony przez współczesne filozofie i religie. Zmorski, powiedzmy, też ów głód odczuwał – na równi z nienawiścią do świata takiego, jakim on jawił się jego zmysłom i myślom, którym nie ufał na równi z politykami.

Byt, myśl, polityka miały u niego rys wampirycznej iluzji.

W Słowiańszczyźnie znajdował – jakże daleki od realizacji – ideał kultury o metafizycznym nacechowaniu. Jego miejsce było zawsze po stronie prześladowanych, podbitych, zapomnianych i nieznanych. Dlatego wybierał jako cel poznania i wędrówek Serbię, Łużyce, Kaszuby i tyle innych kultur...

Na uznanie jako slawista i tłumacz zasłużył Zmorski szybko. Znalazło to odbicie nawet daleko poza Europą. W wydanej w 1881 rok w Chicago antologii *Poets and Poetry of Poland* Pawła Sobolewskiego (Paul Soboleski) znalazło się miejsce na omówienie sylwetki poety, prezentowanego jako „wielki talent poetycki", który spełnił się w tłumaczeniach poezji serbskiej. Do biogramu pisarza dodano tłumaczenia dwóch utworów (*Sighs from a Far-off Land*, *In Peasant's Clothes*) oraz,

[48] Wprawdzie E. Pieścikowski wskazywał na meandry postawy Zmorskiego (dz. cyt., s. 127), który chciał wrócić z emigracji do Królestwa, ukorzył się, opisał swą działalność emigracyjną, ale wkrótce po powrocie do Warszawy – znów został aresztowany. Badacz pisze i cytuje: „Pożegnawszy pobratymców znad Dunaju, zjechał Roman Zmorski do Wiednia; po raz pierwszy, jak wspominałem, stanął tam już we wrześniu 1856 roku. Drugi ślad pochodzi z 17 stycznia 1857 roku, tego bowiem dnia wysłał z Wiednia do Namiestnika – a był nim podówczas Michał Gorczakow – prośbę o zezwolenie na powrót do Warszawy, dołączając świadectwo prowadzenia się na emigracji (wystawione pewnie przez władze austriackie). W piśmie tym czytamy: >Gdy jedynym przewinieniem, jakiego się w życiu moim przeciw Rządowi Najjaśniejszego Pana dopuściłem, było samowolne, w niedojrzałym wieku wyjście za granicę, i gdy odtąd przez lat z górą trzynaście udziału ani w żadnym rozruchu, ani w spisku, ani w żadnej publicznej manifestacji nie brałem, ufam, że dziś, gdy laty i doświadczeniem z młodzieńczych marzeń wyleczony i popełnionego niegdyś lekkomyślnie kroku żałujący, o przebaczenie Monarsze najpokorniej upraszam, takowe za wysokim przedstawieniem W. X. Mości odmówionym mi nie zostanie <.Warszawa na to > o przebaczenie najpokorniej upraszam< w ogóle nie zareagowała, zapewnienia Zmorskiego uznała być może za wątpliwe".

[49] Zob. jego sylwetki na portalach internetowych: *białczyński* (tu: *Roman Zmorski (1822–1867) Strażnik Wiary Przyrodzoney Słowian*, podpisane: cb); *Watra* (tu: *Roman Zmorski poeta Słowiański*); *Dom Turysty im. Romana Zmorskiego na Ślęży* (tu: cytaty ze Zmorskiego).

w czym pobrzmiewa dziś dla na gorzka ironia, jedno zdanie o *Lesławie*: „He is also the autor of *Lesław*, a fantastic tale”[50]. Poza tym był Zmorski dla Sobolewskiego przede wszystkim tłumaczem „from the Serbian into the Polish”. I takim poznali go (przelotnie) Amerykanie.

Wśród ludzi epoki

Zmorski był postacią znaną w świecie literackim – także wśród najważniejszych twórców epoki. W młodości zetknął się w Warszawie z Cyprianem Norwidem i jego bratem Ludwikiem. Niewątpliwie – nie były to relacje przypadkowe. Spotykali się w tych samych kawiarniach, mieli tyle samo lat (Norwid był z roku 1821, Zmorski – 1822). A jednak po latach Norwid odżegnał się od bliższej znajomości ze Zmorskim: pomimo że należał do tego samego środowiska literatów warszawskich. W 1882 roku Aleksander Niewiarowski tak opisywał spotkania z bratem Cypriana – Ludwikiem Norwidem:

„O ile pamiętam śp. Ludwik skończył na Lesznie cztery klasy tylko. Czy następnie studiował gospodarstwo wiejskie w Instytucie Agronomicznym w Marymoncie, czyli też wprost na wieś powrócił – dobrze nie pomnę – wiem tylko, iż z widowni gimnazjalnej zniknął był w rok później. [...] Często nawiedzano jego dworek na małej wiejskiej dzierżawie, a skoro przybył do Warszawy, co się zdarzało dość często, to jego >numer< w Hotelu Saskim, gdzie zawsze i wyłącznie stawał – napełniony bywał, od rana do nocy, a czasem i nocą także. K[azimierz] W[ładysław] Wójcicki, słynny wówczas >Ramotkarz<

[50] *Zmorski*, w: *Poets and Poetry of Poland. A Collection of Polish Verse*, Edited by Paul Soboleski, Chicago 1881. Cytuję za reprintem: Isha Books, New Delhi 2013, s. 446. Cała nota o Zmorskim brzmi (bez tłumaczeń) tak: „ROMAN ZMORSKI, besides possessing great poetic talents, should also be credited with another inestimable quality, – his great ability as a translator. But that is not all. In rendering translations he preserved the spirit and colors of the originals, a fact acknowledged by all who read his renditions from the Serbian into the Polish, and who well understood both languages. He was so great an adept in the art of translation that he invariably preserved even the original form. Everything he attempted in literature he infused into it a peculiar literary freshness, and this rare virtue especially pervades his translation of the legends taken from the literary treasury of peoples still young and unripe in civilization, but strong in the faith of heaven and the love of earth. The following translations of Serbian poetry by Zmorski may be mentioned: 1. *National Songs of Serbia*, published at Warsaw, 1853; 2. *The Castle of Seven Chiefs*, founded on tradition, Lemberg, 1857, and a second edition, illustrated by Gerson, Warsaw, 1860; 3. *The Royal Prince, Marko*, Warsaw, 1859; 4. *Lazarica*, Warsaw, 1860. Mr. Zmorski, having lived in Serbia and knowing the people and their tongue well, could appreciate the beauty and value of their many songs, and we acknowledge that he has rendered a great service to Polish literature by his conscientious translations, for it has been of great importance to the Polish nation to obtain a correct knowledge of these valiant people, which in our times have been called into a new life. The translator, however, for better and more faithful rendition, used the blank verse, and if in one respect he deprived them of exterior ornaments, on the other hand he preserved strictly the original spirit and the true meaning. He is also the author of *Lesław*, a fantastic tale. Mr. Zmorski was quite a distinguished Polish poet; was born at Warsaw in 1824, and died in 1866.”

Aug[ust[Wilkoński, Lenartowicz, Wolski, Zmorski, Gustaw Zieliński, [Józef Bohdan] Dworzaczek, art[ysta] dram[atyczny] Józef i brat jego kompozytor, Ignacy Komorowscy, słowem, cały literacko-artystyczny światek warszawski gromadził się u Ludwika, który promieniał z radości, że mógł uścisnąć tyle rąk przyjaznych, że tylu miłych gości miał sposobność częstować, czym tylko zdołał..."[51].

Było to więc środowisko szersze nawet niż Cyganeria Warszawska. Bracia Norwidowie obracali się w kręgu „Przeglądu Warszawskiego", z którym współpracował Zmorski[52]. Jest rzeczą ciekawą, iż Cyprian nawiązał przyjaźń z podziwiającymi jego poezje i rysunki Józefem Bohdanem Dziekońskim i Józefem Kenigiem. Chodził do słynnej gospody cyganów „Między Parkanami" koło Gnojowej Góry, gdzie brylowali Zmorski i Filleborn, oraz kawiarni Grassowa[53]. Cyprian Norwid nie należał jednak do grupy Cyganerii – można powiedzieć, że on i Lenartowicz przeszli przez to środowisko, ale się z nim nie związali. Cyprian Norwid, podług Niewiarowskiego, „r z a d z i e j p o d z i e l a ł i c h [cyganów] z a b a w y j a s k r a w e"[54]. Wyróżniał się elegancją dandysowskiego stroju, „mistyczną" autostylizacją, której częścią było milczenie.

„Zresztą Cyprian, mający już jakby we krwi, gust wykwintny i upodobania tak artystyczne, jak artystycznymi były i są dotąd jeszcze niekiedy wszystkie prawie szaty, w które ubierał swoje myśli... mistyczne, protestował widocznie, choćby tylko według swego wyrażenia – >potężnym milczeniem<, przeciwko zbyt jaskrawym szaleństwom, jakich towarzysze jego i bracia po piórze dopuszczali się wówczas często, pędzeni w chwilach zwątpień i zniechęcenia przez >wężowe rózgi< Eumenid mściwych... Rzadziej też coraz podzielał ich zabawy jaskrawe.

Filleborn nie bardzo lubił Cypriana, może właśnie za jego ułożenie wytworne i za pańską minę. Więc też, ilekroć zdarzyła się sposobność, nie omieszkał podrażnić kolegę lub mu dociąć jakimś dowcipnym słówkiem.

Otóż gdy później w lat parę Cyprian, z pozyskaną już w kraju sławą pełnego talentu i przyszłości poety, odjeżdżał za granicę, skąd niestety nie miał powrócić już nigdy – żegnali go na wyjezdnym wszyscy towarzysze pióra, a do siedzącego już w powozie pocztowym (dróg żelaznych jeszcze wtedy u nas nie było) Filleborn rzekł, wyciągając doń rękę: >No, Cyprianie, bądź zdrów! Podaj mi hieroglif!<"[55].

[51] A. Niewiarowski, *Ludwik Norwid*, „Echo" 1882, nr 12, cyt. za: Z. Trojanowiczowa, Z. Dambek, *Kalendarz życia i twórczości Cypriana Norwida*, współpraca J. Czarnomorska, T. I: *1821–1860*, Poznań 2007, s. 41.

[52] Zob. *Kalendarz życia i twórczości Cypriana Norwida*, T. I, s. 53.

[53] Tamże, s. 107: „[...] najprzyjemniejsza [kawiarnia] była na Trębackiej u pana Grassow, co miał dzieł zasób, tam bywał [Antoni] Czajkowski – Norwid – Edward [Dembowski] – [Roman] Zmorski – Ignacy Komorowski, bo to i muzyka była, i kawa anielska, i książki rozmaite – święte czasy". T. Lenartowicz do K. W. Wójcickiego. *Rzecz o młodości Norwida*, s. 204.

[54] A. Niewiarowski, *Szkice o Cyganerii Warszawskiej*, w: W. Szymanowski, A. Niewiarowski, *Wspomnienia*..., s. 296-297.

[55] Tamże.

Po latach autor *Pierścienia wielkiej damy* do Wojciecha Cybulskiego napisał: „Racz łaskawie uwiadomić doktora filozofii, że Cyprian Norwid [...] pana Romana Zmorskiego miał przyjemność widzieć trzy lub cztery razy w życiu i mówić tyleż razy z utalentowanym poetą i wieszczem”[56]. Nie wydaje się to prawdą. Czuć w słowach Norwida gorzką ironię.

Dość łatwo zrozumieć ten dystans. Po pierwsze, obaj byli na swój sposób dzikimi mizantropami. Nieustępliwymi i świadomymi w tym czasie póz, jakie chcieli przybierać. A te nie były podobne. Zmorski chciał być cyganem w stopniu hiperbolicznym, Norwid dandysem z przesadą. Zupełnie jasny staje się ów dystans, gdy spojrzeć na nich, jak na rywali poetyckich. Obaj debiutowali w Warszawie. Obu – jednym tchem – wymieniano jako wielkie talenty liryczne, objawienia młodej literatury. W słynnym artykule *Młoda piśmienność warszawska* (1843) Edward Dembowski chwalił „olbrzymiość geniuszu”, co „rozbłysł” w Zmorskim. Norwidowi odmówił oryginalności, konkludując: „Norwid stał się salonowcem – już po nim niczego spodziewać się nie można”[57]. Był to poetycki *casus belli*. Co gorsza, start Zmorskiego jako poety od początku pokazywano jako „namiętny, jędrny”, zaś Norwida – jako „z prób wiele rokujący”[58]. Po latach, 5 marca 1855 roku, Dziekoński spotka w Paryżu wielu warszawskich przyjaciół, by zauważyć, iż drogi ich rozeszły się zupełnie:

„Z naszych dawnych znajomych są tutaj: Zmorski, Lenartowicz i Cyprian Norwid. Każdy jednak z nich swoją drogą postępuje i chociaż w zgodzie, widujemy się rzadko. Cyprian Norwid wrócił niedawno z Ameryki: istna ruina tego, co było: dawna duma, dawna pewność siebie starte nieszczęściami i walką. Świat może patrzy inaczej. Alem ja dojrzał, że postęp zrobił. A pomimo to, jakem z nim pogadał, wspominał Warszawę... łzy nam w oczach stanęły!”[59].

Cyprian Norwid został zapomniany jeszcze mocniej niż Zmorski, ale powrócił wkrótce jako geniusz poezji[60]. Jego brat Ludwik, dusza towarzystwa, poeta, pozostaje do szczętu zapomniany do dziś. Stał się cieniem przyczepionym do pomnika brata. Zmorski jak żył, tak utrwalił się w legendzie: cząstkowo, chaotycznie. Wypada dziś dla sprawiedliwości powiedzieć, że liryka Zmorskiego ma swój własny, oryginalny ton – właśnie furiacki, dziki, mocny.

Trzeba się wyraźnie przeciwstawić tezie J. W. Gomulickiego, jakoby wszyscy,

---

[56] Por. *Kalendarz życia i twórczości Cypriana Norwida*, T. I, s. 59: „Zapewne Norwid często spotykał się z Romanem Zmorskim, chociaż po latach temu zaprzeczał: [...]. Norwid do W. Cybulskiego. Paryż, 9 stycznia 1867. PWsz IX 272. W środowisko Cyganerii Cyprian i Ludwik zostali prawdopodobnie prowadzeni przez Tadeusza Brodowskiego i jego kuzyna Karola”.

[57] E. Dembowski, *Młoda piśmienność warszawska*, „Tygodnik Literacki” 1843, nr 31-32, cyt. za: tegoż, *Pisma*, opr. A. Śladkowska, M. Żmigrodzka, Warszawa 1955, T. III, s. 292.

[58] *Krótki rys literatury warszawskiej od roku 1831 do dziś dnia*, „Orędownik Naukowy” Poznań 1844, nr 24, cyt. za: *Kalendarz życia*..., T. I, s. 157.

[59] *List J. B. Dziekońskiego do P. Wilkońskiej z 5 III 1855 roku*, cyt. za: *Kalendarz życia*..., t. I, s. 579.

[60] Zob. przypis 126 w: W. Szymanowski, A. Niewiarowski, dz. cyt., s. 531-532.

w tym Zmorski, już w latach 40. w Warszawie naśladowali Cypriana Norwida. Zmorski pisał zupełnie inaczej. Co więcej: Norwid najwyraźniej widział w Zmorskim rywala, a Zmorski w Norwidzie konkurencyjny talent.

O relacjach Zmorskiego z Krasińskim (rocznik 1812) powiedzieć można, że miały charakter tekstowy. Jak mocny ślad lektura *Nie-Boskiej Komedii* zostawiła w Zmorskim, widać w *Lesławie*[61]. Poeta wziął od Krasińskiego przede wszystkim to, co było ciemną stroną jego wyobraźni: żywioł rozbestwienia, pokus, nieokiełznania rewolucyjnego. Natomiast nie mógł przejąć od Krasińskiego jego arystokratyzmu, chrześcijańskiego obrazu świata, historiozofii, ani też stylu życia. I z Krasińskim, pomimo pozornych różnic, wiele zdawało się łączyć Zmorskiego: obaj byli chorzy na życie, rozdrapywali istnienie. Szczególnie młody Zygmunt z powieści gotyckich i *Agaj-Hana*, z listów do Reeve'a bliski jest Zmorskiemu, który, przypomnijmy jego słynne *credo* cygańskie, nie cierpi pozy..., pozując nieustannie. Ale równocześnie dryfował Zmorski w kierunku, który dziś nazwalibyśmy lewicowym, demokratycznym. Młodemu chłopcu dawał taką szkołę poglądów:

„ – Jak się masz, Galileuszu! – zawołał Jędruś [Dziekoński]. [...]

– Biłem dwóch żydziaków – odpowiedział chłopak [...].

– Źle bardzo robisz, o młoda ozdobo nasza – rzekł Leon [Zmorski], śliniąc dłonie i gładząc nimi włosy przed jakąś skorupą lustra, która nie wiadomo skąd zabłąkała się tam, na wielkie umartwienie Jędrusia, który sobie codziennie stłuc ją przyobiecywał. – Źle bardzo postępujesz. Każdy młody Hebrejczyk jest tobie równym w obliczu ludzkości; nie trzeba upokarzać ludzi innych wyznań, a ty nazbyt wysoko stoisz w wykształceniu, żebyś nie miał być stronnikiem i przyjacielem tolerancji. Racz zachować w pamięci te słowa, które mi dyktuje przyjaźń i szacunek dla ciebie"[62].

Nihilizm *Lesława* zdaje się najbliższy mefistofelicznym tonom *Nie-Boskiej Komedii* i Wielkiej Improwizacji Mickiewicza. Gdy jednak chodzi o styl zapisywania buntu przeciw światu, to młody Krasiński i młody Zmorski zdają się sobie najbliżsi. Choć: inaczej wyrażają bunt. Zmorski przez „cyganowanie", łobuzerskie, pijacko -knajackie zaczepki wobec filistra; Krasiński przez... pisanie, bo w życiu osobistym podporządkowuje się „papie"[63].

Tak, Mickiewicza miał Zmorski za wzór arcypoety. Nie znaczy to jednak, że „pisał" Mickiewiczem, Byronem, Werterem, Krasińskim, Faustem etc., etc. Posługiwał się symboliką, obrazowaniem, całymi wzorcami osobowymi, wykorzystując strategię intertekstualną. Rzecz w tym, że nie ironiczną, ale patetyczną. To temat na osobne studium.

Mickiewicza poznał w 1848 roku w Paryżu, był to czas Wiosny Ludów, redagowania

[61] Zob. wstęp H. Krukowskiej do niniejszej edycji *Lesława*.

[62] W. Szymanowski, dz. cyt., s. 110-111.

[63] Por. D. Danek, *Śmierć wewnętrzna. Literatura w świetle doświadczenia psychoanalitycznego*, Gdańsk 2012.

„Trybuny Ludów". Mickiewicz wywarł wielkie wrażenie na Zmorskim. Kilka lat później, wydając *Wieżę siedmiu wodzów* (Poznań 1850), poprzedził ją wierszem-dedykacją *Do Adama Mickiewicza*, którego IV strofa brzmi:

> Tyś mi zaś jeden z siedmiorga onych
> Cudownym wodzem – śpiewakiem
> Na bój pod Boga słonecznym znakiem
> Budzącym z grobu uśpionych...[64].

Zmorski, co trochę zastanawia, przyznał więc przywództwo Mickiewiczowi, czyniąc go, na swój sposób, wodzem ludu słowiańskiego. W 1855 roku jako agent Hotelu Lambert udał się Zmorski statkiem z Marsylii do Stambułu, podążając dokładnie śladem Mickiewicza. Odwiedził też – tak jak Mickiewicz – obóz Sadyka Paszy w Burgas. Mickiewicz stał w konflikcie z obozem Czartoryskiego w sprawie Kozaków Sadyka. I Zmorski, znamienne, opowiedział się za Sadykiem. Zachowanie poety nie przypadło do gustu Czartoryskim, którzy doprowadzili do odebrania Zmorskiemu pieniędzy, dotacji[65]. Być może Zmorski miał się udać – według planów ustalonych jeszcze w Paryżu – z Mickiewiczem w dalszą część jego misji do Bośni i Serbii. Nie jest to wykluczone. Zmorski jechał do Stambułu z entuzjazmem. Czekały nań intrygi – i otoczenia Czartoryskich, i otoczenia Mickiewicza. Sekretarz wieszcza, Henryk Służalski, napisał wtedy te pamiętne, a oczerniające autora *Lesława*, słowa do Zofii Szymanowskiej z 3 października 1855 roku:

„Przestraszyliśmy się tutaj, że Z m o r a [Zmorski] goni za nami. Skąd to miało przyjść p. Lenoirowi [Zwierkowskiemu] do głowy, który najdoskonalej zna p. Adama Dobrodzieja [Mickiewicza], aby chcieć do szyi taki kamień przywiązać mężowi, w którym Bóg dla ojczyzny naszej złożył to, co być może najszlachetniejszego i wyższego. Z polecenia więc p. Adama obliguję p. Dobrodziejkę, żeby oświadczyć p. Lenoir, że Adam się widzieć nawet nie chce z tym jegomościem [!]. My tu się opędzamy jak od much, od natrętów różnego kalibru"[66].

Mickiewicz – jednak! – „Zmory" się nie bał, choć najpierw uległ antypropagandzie Służalskiego i tegoż samego dnia napisał do Zofii, iż „nie życzyłbym z nim podróżować razem"[67]. Zmorski spotkał się z Mickiewiczem, bo gdy autor *Lesława* wyjeżdżał do Burgas, Mickiewicz gorąco polecił go Sadykowi Paszy:

„Wyjeżdża stąd do Was p. Zmorski, wysłany od Księcia Adama jako ajent do Serbii. Berwińskiemu dobrze znajomy. Zdaje mi się dobry człowiek i nie zaszkodzi nikomu jego tam bytność. I owszem, niech prawdę obaczy. Służalski, który obawia się Zmorskiego jako nudziarza, gada o nim w swój sposób jako o człowieku strasznym! To są bałamuctwa"[68].

---

[64] Cyt. za: H. Syska, dz. cyt., s. 158.
[65] Zob. E. Pieścikowski, dz. cyt., s. XXX.
[66] Cyt. za: tamże, s. 117. Podkreślenie moje – J. Ł.
[67] Tamże, s. 118.
[68] Tamże.

Zmorski udał się potem do Serbii i dalej, do Wiednia, Lwowa. Mickiewicza wspominał zawsze z najwyższą czcią. Jak się wydaje, o stosunku Mickiewicza do „Zmory" zdecydowało paryskie spotkanie. Mickiewicz nie widział w Zmorskim ani wiernopoddańczego agenta Czartoryskich, ani dziwaka czy cudaka, jak odmalował go Służalski. Rzecz interesująca: Mickiewicza i Zmorskiego połączyły sprawy słowiańskie. Kiedy profesor głosił prelekcje w Collége de France (1840–1844), Zmorski wiódł żywot cygana i uciekiniera. Pierwszy stworzył syntezę, drugi – dał obraz świata, którego nie udało mu się scalić. W jakimś sensie „przekleństwo" osobności Zmorskiego zaciążyło na losie jego wcale nie tak małego dzieła: liryki i arcyciekawej prozy. Nigdy w pełni nie zdołał zebrać ani wierszy, ani prozy, a nawet zebrane tłumaczenia z serbskiego ukazały się długo po jego śmierci. Brak szerszych badań nad twórczością autora *Notatek z podróży na Wschód* uznać trzeba za wyraz nonszalancji (zresztą, nie jest łatwo przedzierać się przez twórczość, której ani jedna cząstka nie doczekała się krytycznej edycji)[69].

Pisarzem, który był wyjątkowo ważny dla Zmorskiego, okazuje się Teofil Lenartowicz (1822–1893). Połączyła ich pasja do podań mazowieckich. I Zmorski, i Lenartowicz zdawali się stworzeni do tego, by powołać osobną szkołę w poezji polskiej: mazowiecką. A to marzenie, jak wiemy, nie spełniło się. Lenartowicz-poeta pozostał wierny tematyce mazowieckiej, zyskał miano „lirnika mazowieckiego", co chyba w jakiś sposób zniekształciło jego sylwetkę u potomnych. To Lenartowicz w 1851 roku ogłosił głęboką i entuzjastyczną ocenę *Wieży siedmiu wodzów*, którą wiele znakomitości ówczesnej literatury podnosiło do rangi arcydzieła (F. S. Dmochowski, Bartoszewicz, Lelewel)[70]. To Lenartowicz – nie tając uraz, jakie miał do niego Zmorski – pozostał wierny dobrej pamięci o poecie. Listy Lenartowicza do Tekli Zmorskiej pokazują zrozumienie dla życia poety, którego nie znalazł on u innych. „Śnił mi się Romanisko kilka razy, zawsze smutny"[71]. W 1877 roku podsumował: „Sam jestem, mazowiecka sierota, i dziś czuję, że mi brak Romana, on jeden miał pojęcie męskie tych wieków. Słowacki ani się umywał do trzeźwej fantazji pieśniarza *Wieży 7. wodzów*. Bo trzeba pisać te rzeczy, żeby o nich sądzić"[72]. Ważna jest tu uwaga o „męskim" tonie wyobraźni Zmorskiego – rzeczywiście, nie ma w niej tkliwości, którą znaleźć można nawet w okrutnych obrazach Słowackiego. Ale jest i druga strona relacji poetów: Zmorski, co zaświadcza Szymanowski, nie lubił w Lenartowiczu poetyckiego konkurenta:

„Jędruś [Dziekoński] był więcej lubionym niż Leon [Zmorski], i nic dziwnego, był on bowiem charakterem równiejszego, weselszego i więcej przyjacielskiego. A w jednej

[69] Zob. E. Pieścikowski, dz. cyt., s. XXX.

[70] *Listy Teofila Lenartowicza do Tekli Zmorskiej 1861–1893*, list z *21 lipca [1867], S[an] Terenzo*, s. 56.

[71] Tamże, list z *Flor[encji], 19/9 [18]74*, s. 157-158. Podkreślenie moje – J.Ł.

[72] Tamże.

rzeczy miał nawet nad Leonem wyższość. Podczas kiedy Jędruś nie miał w sobie ani kropli zawiści, ani cienia myśli poniżenia drugich, Leon był w gruncie serca zawistnym i nie lubił, żeby kto inny błyszczał przed nim. Dlatego też początkujących, którzy przychodzili do niego po radę, odstraszał zwykle, jak niegdyś Kornel Rasyna od tragicznego zawodu. Pamiętam nawet, że ze znanego i wielce teraz cenionego poety [Lenartowicza] zrobił sobie nieprzyjaciela, utrzymując, że jego pierwsze próby są licha warte. Zawiązała się więc pomiędzy nimi nieprzyjaźń, pochodząca ze współzawodnictwa w jednym rzemiośle, i pozostawała nadal, także obecnie, chociaż się czasy dla obydwóch znacznie odmieniły, chociaż daleka przestrzeń ziemi dzieli ich pomiędzy sobą, nie cierpią się nawzajem"[73].

Zmorski jest dziki, lecz nie bezładny lub chaotyczny. Ogarnia świat liryczny dziką myślą, której to „myśli" skądinąd tak nienawidził. Lenartowicz nazwał Zmorskiego „znakomitym poetą"[74]. Nie był to głos kurtuazyjny u twórcy obdarzonego nieomylnym słuchem poetyckim[75].

Na koniec – choć przez życie Zmorskiego przemknęło wiele znajomości – Słowacki. Zmorski był jednym z niezbyt licznych ludzi, którzy w pełni docenili geniusz autora *Balladyny*. I to pomimo tego, że w pewnym zakresie można by poetykę Słowackiego nazwać pokrewną tej, jaką wykorzystywał Zmorski. Autor *Wieży siedmiu wodzów* uznał Słowackiego za mistrza, choć początki tej znajomości nie były obiecujące: wieszcz skrytykował wiersze Zmorskiego, ale zapoznawszy się z napisanym szybko utworem *Westchnienie wędrowca*[76], nagle zmienił zdanie. Aleksander Niewiarowski tak relacjonował spotkanie poetów w Paryżu:

„W roku 1848 Roman Zmorski, podczas chwilowego pobytu w Paryżu, zapoznał się był z mieszkającym tam wówczas przy ulicy Pontieu nr 30 autorem *Mazepy*, dla którego geniuszu chował zawsze cześć ogromną. Słowacki, przeglądając zbiór poezyj Zmorskiego, zarzucał w nich brak szczerego serdecznego uczucia. Dopiero, gdy rozżalony tym zarzutem poeta napisał w mieszkaniu twórcy *Anhellego* piosnkę, improwizowaną prawie, na cześć ulubionego swego Mazowsza, której ostatnia strofa brzmiała następnie:

O mój ludu bliźny.
Wy, mej ziemi żyznej
Lasy, wzgórza, boski świecie nasz!

[73] W. Szymanowski, dz. cyt., s. 153-154.

[74] *Listy Teofila Lenartowicza*..., s. XXX.

[75] Po śmierci Zmorskiego (list z *Florencji, 8 maja [18]67*) pisał Lenartowicz do Tekli Zmorskiej (s. 50): (*Listy*..., s. 50): „Strata Romana dotknęła mnie jako ludowego pisarza ciężko i boleśnie, bo jakiekolwiek były nasze nieporozumienia osobiste, w celach ostatecznych prac naszych szliśmy po jednej i tej samej drodze, ja do chrześcijańskiej ciągnąc równości, on do przedchrześcijańskiej także równości. On kochał lud prosty pracowity i jam całe życie tylko ten lud chwalił i jak mógł opowiadał. Tak więc był mi bratem w uczuciach najgłębszych, choć w stosunkach światowych uciekał ode mnie".

[76] W tomie lipskim Poezji Zmorskiego jest to *Westchnienie z oddali* (s. 126–127). Według Pieścikowskiego (dz. cyt., s. 78), *Westchnienie wędrowca* z 1844 roku.

Jam sercem, myślami
Zawsze między wami
I w mej pieśni duch tchnie zawsze wasz.

– wtedy Słowacki, przy serdecznym uścisku, cofnął swój zarzut i prosił Zmorskiego, żeby więcej takich, płonących miłością piosnek napisał, przepowiadając im popularność wielką"[77].

Powiedzmy, pozostając w podziwie dla Słowackiego, że Zmorski go nie naśladował. Jest za to autorem wspaniałego wiersza *Na grobie Juliusza Słowackiego*, który trzeba tu utrwalić:

Klątwy istnienia pęty żelaznemi,
Orle niebieski! do klatki skowany,
Krwawiąc pierś własną twardemi kajdany,
Z krzykiem rozpaczy rwałeś się od ziemi.
Aż, bezustannem szamotaniem ducha
Stargane, pękły ogniwa łańcucha –
I ty, na trupie postawiwszy nogę,
Odszedłeś w duchów tajemniczą drogę.

Gdzieś – przez milczące wieczności przestworze –
Kroczysz, stąpając po gwiazdach błyszczących,
Jak pątnik górskich rzek wezbrane łoże
Po głazach z głębi przebywa sterczących.
Toż, chociaż w sercu smutno mi po tobie,
Dziwnie spokojny stoję na twym grobie;
Tak pewien jestem, że, jeśli ta droga
Ma koniec, dowieść musi cię do Boga.

Wszakże, pod kształty jak bądź promiennemi
Drogę ci ducha spełniać się dostało, –
Gdziekolwiek pójdziesz, wiem, przez wieczność całą,
Smętnyże będziesz zwracać wzrok ku ziemi.
I wszystko niebios wesele tej twojéj
Wielkiej boleści wiem, że nie ukoi,
Aż nie zobaczysz: że spełnienie wzięło
Na ziemi święte odkupienia dzieło.

Więc, jeżeli cię zdradziecko nie zwiodły
Życia twojego wiara i nadzieje;
Jeżeli mają władzę duchów modły

[77] A. Półkozic [A. Niewiarowski], *Roman Zmorski. Wspomnienia*, „Echo" 1877, T. I, nr 12.

Na losy ziemi, na ludów koleje;
Módl się o jedno! któraś był natchniony,
Niech Bóg rozdzieli miłość na miliony –
A odkupionej siłą tej miłości
Drogiej twej ziemi błyśnie dzień radości. *1855*[78]

Historia literatury utrwaliła także pamięć o ostatnim spotkaniu Zmorskiego oraz jego żony Tekli z wycieńczonym gruźlicą Słowackim, który przyjechał w 1847 roku do Wrocławia na spotkanie z matką Salomeą. Relację o tym spotkaniu pozostawiła Tekla Zmorska, kobieta znakomita i nieprzeciętna, co znać też w empatycznym tonie jej relacji:

„Jakże pamiętnym był ten wieczór! Serdeczny nasz gość rozweselił się. Osiadłą na czole troskę, złagodziło ciepło naszego domu. Czuł się jakby mniej samotnym, jakby otrzeźwionym ze strasznego zwątpienia, przytłaczającego mu duszę. Bo też rozmowa dwóch poetów złączonych nierozerwalną nicią różnych idei i dążeń splatała się na tle bujnej fantazji w olbrzymie kształty wiary, prawdy i piękna... Mówię >bujnej fantazji<, gdyż ani jeden, ani drugi nie doczekali się rozstrzygnięcia zagadnień, jakie w duszach nosili.

Zasłuchana siedziałam cicha i rzewna, patrząc w płomienne ócz jednego, to znów drugiego poety... Zdawało mi się, że dobry Bóg łaskawym jest dla mnie, zsyłając w życiu takie złote chwile, które na podobieństwo gwiazd spadających, ciągnących za sobą smug świetlany, nikną w przestworzach. Tak i oni dla mnie poznikali...

[Słowacki] kaszlał już bardzo i odradzam mu nocną drogę.

– Zapewne uciążliwsza tu droga niż na piramidy. Wtedy cały świat nosiło się w piersiach, a dziś chorobę...

– Kto zdołał dotrzeć na ich szczyty, zwalczy i chorobę – odpowiedziałam. – Trzeba tylko, żebyś pan znalazł opiekę dobrą dla siebie w Paryżu.

Tu Roman wstał z krzesełka i wedle zwyczaju, chodząc po pokoju zaczął nucić ulubiony śpiew: *Wesoło żeglujmy po życia burzliwym potoku!*

– Czy pani zna portret mojej matki? – spytał Słowacki jakby na odpowiedź, że mu jej brak. I pokazał mi mały, owalny, w aksamit oprawny medalion. Wyobrażał on kobietę ubraną w obcisłą, z krótkim stanem suknię, z ciemnymi gładko zaczesanymi włosami. Dwoje ciemnych, rozumnych oczu wyjrzało na mnie z tego portretu... Północ wybiła i gość nasz miał się ku odejściu. Na dworcu kolei oczekiwał go już Mieczysław Darowski i niemal całe koło nasze, przebywające naówczas w Dreźnie. Pożegnanie było milczące, ale milczenie mówiło więcej niż słowa... Smutno nam było! Jakieś przeczucie gnębiące ściskało dusze... Roman odprowadził Słowackiego na kolej uwożącą go od tych, których już nie miał nigdy oglądać..."[79].

[78] R. Zmorski, *Na grobie Juliusza Słowackiego*, w: tegoż, *Poezje*, Lipsk 1866, s. 154.

[79] T. Zmorska, wspomnienia, w: L. Méyet, *Z nieznanych pamiątek*, „Tygodnik Ilustrowany" 1897, nr 3,

Kiedy niedługo po tym spotkaniu Słowacki zmarł, a stało to się 6 kwietnia 1849 roku, Zmorski, redagujący wtedy w Dreźnie słowiańskie, łużyckie pismo „Stadło", opublikował w numerze piątym nekrolog, który daleko wykraczał poza stan świadomości ludzi z pierwszej połowy XIX wieku, uznając geniusz Słowackiego nie tylko w polskiej, lecz i europejskiej skali. Nekrolog brzmiał:

> Naród i piśmiennictwo nasze poniosło świéżo nieporównaną stratę: Juliusz Słowacki, jeden z największych naszego wieku genjuszy Polski i Europy, prawy Polak i człowiek, zakończył życie w Paryżu, na wygnaniu, dnia 6. kwietnia. Pogrzeb Jego odbył się w cichości 8. t. m. – Z boleścią dowiedzieliśmy się że nad mogiłą zmarłego nikt z pozostałych rodaków nie podniósł głosu, aby Jego zasługi czci i pamięci braci polecić. – Smutno widzieć, jak często u nas najznakomitsi ludzie, jeśli nie służąc szczególnym stronnictw widokom jedynie dla ogólnego działają pożytku, przechodzą bez współczucia i odgłosu za życia i po śmierci. – podczas gdy tyle karlich umysłów i zdolności, na szczudłach partyj olbrzymich nabierają kształtów i rozgłosu...
>
> (Redakcyja zmierza podać obszerne z dzieł Słowackiego sprawozdanie czytelnikom, i takowe rada by połączyć z życia Jego rysem: wzywa przeto kogoś z rodaków dostatecznie w tem świadomego, o udzielenie jej bądź gotowego życiorysu, bądź sumiennie i dokładnie spisanych szczegółów.)[80].

Jak widać, Zmorski po wzniosłej informacji, niezwykle wysoko – i słusznie! – wartościującej dorobek Słowackiego, dał pełen smutku przesiąkniętego sarkazmem akapit o tym, jak ślepi są ludzie jego epoki, ceniąc tylko tych, którzy doraźnie zaprzęgają się w służbę stronnictw politycznych. Można przypuścić, że w tej ocenie losu Słowackiego i naganie zachowania współczesnych tkwi szersza diagnoza, obejmująca także fenomen samego Zmorskiego, który wprawdzie próbował nawiązywać relacje z Czartoryskimi, słowianofilami etc., lecz pozostał samotnym strzelcem: jako poeta, człowiek, emigrant, Słowianin. W głębszym znaczeniu w losie Słowackiego zobaczył Zmorski, czy tylko przeczuł, swój los: zapomnianego, schorowanego, ekscentrycznego pisarza, który nie kłania się politykom, świątkom współczesności i sławie.

Pisał mało...

Zmorski, choć zabrzmi to nieco ironicznie, ciężko pracował na swoje zapomnienie. Niemało zaważyła tu osobowość: skrytość, drażliwość, nieprzewidywalność, połączone z pędem, który gnał go z miejsca na miejsce. Jego dorobek zebrany w tomy jest nikły: dwa tomy poetyckie, kilka drobnych tomów prozy (baśnie, eseje)[81], obszerniejszy tom

cyt. za: J. Starnawski, *Juliusz Słowacki we wspomnieniach współczesnych*, Wrocław 1956, s. 187-189.

[80] R. Zmorski, *Nekrolog Juliusza Słowackiego*, „Stadło", Drezno 1849, nr 5, s. 1.

[81] Jak wskazuje Pieścikowski (dz. cyt., s. 48), część papierów po Zmorskim przepadła w czasie rewizji, aresztowań.

tłumaczeń. Choć niemało napisał jako krytyk literacki i publicysta, reporter, nie zebrano do tej pory i nie wydano tej części dorobku. Nie zgromadzono listów (ileż z nich poginęło!).

Zmorski pisał mało. Jak zauważył Niewiarowski, nie leżało w jego naturze mnożenie słabych artystycznie tekstów:

„Zmorski w owym właśnie, pomiędzy 1840 a 1847 rokiem, upłynnionym czasie, chociaż jaśniał wybitnie pomiędzy plejadą rówieśnych mu poetów i pozyskał był sobie pewien rozgłos nawet, nie pisał jednakże wiele – w ogóle bowiem talent jego nie odznaczał się twórczością łatwą ani płodnością obfitą; mały tomik zaledwie dałoby się ułożyć z jego utworów, zamieszczanych tak w pismach ówczesnych, jako i w zbiorowej książeczce, wydanej przezeń i przez ś. p. J. B. Dziekońskiego pt. *Jaskułka*, a będącej istotnie ptaszyną zwiastującą wiosnę... Oprócz wspomnianego już *Anioła -Niszczyciela*, najpopularniejszym był wierz na cześć Liszta, utworzony zaraz po koncercie danym przez tego mistrza fortepianu w Warszawie w 1845 roku, a także hymn tryumfalny, napisany na ruinach czerskiego zamku, chociaż, zdaniem naszem, najwyżej z ówczesnych utworów Zmorskiego stoi jego potężny całością organiczną, jasny, a z siła żelazną i prostotą napisany poemat, zatytułowany w druku wierszem *Do młodego poety*. Jednakże poeta i tym razem nie miał szczęścia do... łatwej sławy, albowiem musiano go pomieścić od biedy w lichej i nieczytanej prawie ówcześnie „Gazecie Teatralnej”[82].

Można powiedzieć jednak, że więcej stworzył, niż zapisał; był bowiem, jak podkreślano, utalentowanym improwizatorem[83]. Cygański styl życia w młodości nie sprzyjał też systematycznej pracy. Wydawnictwa cyganów, takie jak „Jaskułka” czy pismo „Nadwiślanin”, okazały się efemerydami. Zmorski już we wczesnym okresie zapisał się jako osobowość tak zachowaniami publicznymi, jak stylem pisarskim zrażająca sobie ludzi. Jako krytyk literacki bywał aż okrutny i pochopny w sądach. W debiutanckiej ocenie prozy Kazimierza Władysława Wójcickiego sformułował zarzuty ostro:

„Bo można wziąć *Gawędy* na utwór autora, wyczerpnięty z podań, nie przyznać im cechę i użytek zbioru wiadomości i badań nad życiem ojców? Nie sposób dojrzeć w nich celu? Trudno. Domyśleć się jednak można, że Wójcicki chciał nam w nich dać poznać, co zebrał między gminem i szlachtą w wędrówkach swoich i księgach starych. Nieszczęściem dał się powodować dziwnej jakiejś chęci ogładzania i zdobienia – napisał też zdobiąc po barbarzyńsku szacowne wiadomości i własnymi powiększając pomysły, 4 tomy, których by pewno nie złożył właściwym idąc torem. Skutkiem tego postępowania, dzieło straciło cel, wartość, jaką by mieć mogło i ledwie, że nie cały użytek.

[82] A. Niewiarowski, *Roman Zmorski. Wspomnienie*, dz. cyt.

[83] Zob. A. Rzążewski, *Roman Zmorski. Kilka słów poświęconych pamięci zmarłego w dniu 18 lutego 1867 roku poety*, „Biblioteka Warszawska” 1868, T. I: „Odznaczał się także Zmorski w y s o k i m t a l e n t e m i m p r o w i z a t o r s k i m, przy lada zdarzonej sposobności, w lada gronku przyjaciół pierś jego nabierała natchnieniem i bez żadnej trudności lały się z niej wieszcze słowa” [podkr. moje – J. Ł.].

To, co jest prawdziwie użytecznym, tak zostało nieprzyzwoitemi zaćmione przypadkami, że prawie zupełnie straciło piętno właściwe.

Wiele gawęd (np. *Dziadek*) nie nosi na sobie żadnej cechy miejscowości, ni wieku, ni celu, są to powiastki, jakich pełno mamy tłumaczonych, w tem tylko różne, że w miasto *Alfreda*, występuje *Juliusz* itp. Powiastki takie, pewno żeby uszły nie chwalone, nie ganione w innej książce, ale nie w tej, o której mowa.

Samemu wykonaniu, aż się dziwić potrzeba, wiedząc, że wyszło spod pióra tak biegłego swym przedmiocie pisarza.

Rzućmy oko w to dzieło bardziej szczegółowo, w to dzieło, o którym źle mówić, z góry pod infamią zabroniono"[84].

Wójcicki, dodajmy, okazał się potem Zmorskiemu życzliwy, przebaczył „zuchwałą i niesprawiedliwą" ocenę. Ale pisarz zawsze był niezwykle ostry w formułowaniu sądów. Krytyka literacka Zmorskiego w pełni zasługuje na wydanie i naukowe opracowanie. Właśnie ta gwałtowność, pewien nawet brutalizm są jej cechą oryginalną. Zmorski był uzdolniony wszechstronnie: jako liryk, prozaik i dramaturg, a szczególnie też jako reportażysta, publicysta, tłumacz. Pod koniec życia, chory i biedny, zarabiał, pisząc artykuły i notki informacyjne o dość błahej treści: o sześć tysięcy lat liczącej skamielinie żaby, cudownych skrzypcach, haszyszu oraz „wymoczkach", czyli mikrobach, bakteriach. Teksty te z 1866 roku z „Tygodnika Ilustrowanego" pokazują nie tylko bezdomność Zmorskiego pisarza, ale i to, jak dopasowywał on się do nowej, scjentystycznej epoki, gdzie naukowe odkrycia miały być napędową siłą cywilizacji:

„Przy kopaniu około wodociągu w okolicy Hartlepool, pod kierunkiem pana Jamesa Yeal z Dicke-House-Quay prowadzoném, znaleźni robotnicy ropuchę w bryle dolomitu zamkniętą. Bryła ta leżała w głębokości 25 stóp od powierzchni ziemi, a ośm stóp od najbliższej żyły wody oddalona. Za natrafieniem na kamień poczęto go klinami rozbijać, przyczem z kolei rozłupano zagłębienie w którém się ropucha znajdowała. Wypełniała je ona zupełnie, tak że kamień nosił doskonały odcisk jéj ciała. Oczy jéj jaśniały wielkim blaskiem, a natychmiast po uwolnieniu z więzów, poczęła wielką okazywać żywość. Oddychanie jednak przychodziło jéj z trudnością. Dotknięta, wydawała dziwnego rodzaju krótki skrzek, do cichego szczeknięcia podobny.

Ropucha ta oddana panu S. Horner, prezesowi towarzystwa miejscowego nauk przyrodzonych, ma, jak się później przy dokładniejszém badaniu okazało cały pysk zrosły. Oddycha więc tylko nozdrzami i przez nie wydaje głos ów szczególny. Palce przednich jéj nóg są w tył zwrócone, a u nóg tylnych niesłychanie długie i zupełnie do palców dzisiejszych ropuch niepodobne. Skoro ją wydobyto, barwa jéj była blada, ale

[84] R. Zmorski, *Rozbiór. Stare gawędy i obrazy (Kaź. Wład. Wójcickiego)*, „Piśmiennictwo Krajowe" 1840, R. I, nr 45.

w krótkim czasie nabyła brunatności oliwki. Proboszcz R. Taylor z Hartlepool, uczony geolog, ocenia wiek znalezionego dolomitu, a tém samém i ropuchy, na lat najmniéj 6000. Po śmierci ropuchy zwłoki jéj staną się własnością muzeum w Hartlepool.

(Śmierć ta do téj chwili dawno już nastąpić musiała, gdyż biédne stworzenie nie mogło żadnego przyjmować pokarmu, ulegając trawiącemu powietrza wpływowi)"[85].

Trzeba jednak wyraźnie zaznaczyć, że przedśmiertne prace Zmorskiego z 1867 roku w większości mieściły się w głównym nurcie jego słowianoznawczych pasji: *Dobry starosta. Podanie gminne pomorskie* („Tygodnik Ilustrowany"), *Wuk Stefanowicz Karadzicz. Wspomnienie pośmiertne* („Tygodnik Ilustrowany"), *Król zielono-świątkowy. Obrazek węgierski sprzed lat czterdziestu* (w: *Józefa Ungra Kalendarz Ilustrowany na rok zwyczajny 1867*), *Kilka słów o Słoweńcach i ich piśmiennictwie* (w: *Noworocznik... na rok 1866 i 1867*).

Zmorski to ciekawy i straszny przykład pisarza, który wybrał rolę samotnika, solisty. Nie funkcjonował jako część emigracji, jednego z jej stronnictw, nigdzie się nie zadomowił, żył w dużej części z tego, co napisał (szkodziło to systematyczności pracy), lecz pomimo to nie rozproszył się na setki korespondencji, miniartykulików pisanych dla chleba.

W jego pisarstwie od początku dominują dwa tematy: silnej indywidualności poety i samopoznania Słowiańszczyzny. Ten pierwszy nurt kulminację ma w *Aniele-Niszczycielu*, w *Myśli*, a wreszcie w *Lesławie*. Ten drugi w baśniach i reportażach Zmorskiego. Oba stykają się i syntetyzują w arcyświetnej *Wieży siedmiu wodzów*.

Pisząc mało, pozostając osobą trudno przewidywalną nawet dla kochającej go żony, osobnikiem podejrzanym dla władz, pomimo złożenia próśb o zgodę na powrót do kraju, stale się w coś mieszając, a żyjąc w opozycji i do miru mieszczańskiego, i do geopolitycznego urządzenia Europy, wreszcie nie wpisując się jasno w żadną opcję polityczną emigracji – nie miał Zmorski szans na sukces artystyczny i życiową samorealizację wśród swoich współczesnych. Rzec można: pozostał cyganem do końca.

Recepcyjne konsternacje

Reakcje na jego pisarstwo były skrajne. Dembowski tak wielbił *Lesława*, że nieledwie nie mógł tego wyrazić, pisząc tylko...

„Olbrzymiość pojęcia i pomysłu *Lesława* jest tak ogromna, że jej to określić nie potrzebujemy. Treść też i wyjątki z tego poematu lepiej charakteryzują poezją Zamorskiego, niżby to uczynić mogły jakie bądź słowa nasze..."[86].

Karol Libelt celnie podnosił wysokie stanowisko Zmorskiego w XIX-wiecznej kulturze polskiej jako tego, który w nowym duchu, a przeciw Rosji, podjął temat nowoczesnego poznania przez Słowian swoich kultur:

[85] R. Zmorski, *Ropucha 6000-letnia*, „Tygodnik Ilustrowany" 1866, T. II, s. 168.
[86] D. [Edward Dembowski], *Młoda piśmienność warszawska*, „Tygodnik Literacki" 1843, nr 31.

„Nie szukajmy zatem u obcych pomocy, ale jak wszędzie, tak i tu szukajmy jej u siebie samych. Polak, i w ogóle Sławianin, doprowadza do wielkiej doskonałości znajomość cudzoziemskich języków, z jakąż więc łatwością przyszłoby mu nauczyć się pobratymczych narzeczy, dla wielkiego ich powinowactwa źródłowego między sobą.

Wszelako dotąd mało znalazło się mężów, nauce i piśmiennictwu oddanych, co by w tym kierunku dla dobra sławiańszczyzny pracowali. Roman Zmorski był jednym z tych niewielu, którzy tu znakomite położyli zasługi. Wygnaniec z własnej ziemi, czy szczęśliwym instynktem wiedziony, czy też z dobrze zrozumianego celu, uznał za potrzebę tułacze życie poświęcić płodnej w przyszłość idei sławiańskiego braterstwa, ponieść wśród pobratymców wieści o Polsce, o jej zasługach dziejowych dla oświaty i wolności, o jej nieustających zapasach z despotyzmem i niewolą, o jej męczeństwie i prześladowaniu, obok niezłomnej wiary w lepszą przyszłość, jaka wszystkich Sławian czeka, a na odwrót poznawszy z bliska współplemieńców, zbyt mało dotąd Polakowi znanych, obznajmić go z tym wszystkim, co się z głębi ich sławiańskiego życia i sławiańskiego ducha rozwinęło, a czego ich poezja rodzima żywym jest obrazem"[87].

Najczęściej jednak – szczególnie na *Lesława* – spoglądano z rozdartym sercem i umysłem. Umysł oddawał honor odwadze i zdolnościom poety, gdy serce przerażało się skrajnym nihilizmem utworu, o którym Fryderyk Henryk Lewestam zawyrokował:

„Nie wiemy dlaczego, ale pomimowolnie ta ucieczka przed śmiercią do piekła, zwłaszcza duszy niepotępionej, ale miłością pałającej, wydaje się nam również jakby niezbyt szczęśliwą i niegodną parodią...

Wrażenie ogólne, po przeczytaniu ostatniej karty, jakieś oziębiające, dreszczowe; uważamy dlatego za szczęście, że to wrażenie przy tylu rozdrabniających naszą uwagę, a do rzeczy nienależących upiorach, strzygach, topielcach i czarownicach, nie może być zbyt trwałem i że po części większą zatrzymujemy pamięć z poetycznego traktatu o wszystkich tych nadziemskich i podziemnych istotach, niż z poetycznej akcji, która bez potrzeby do podobnego, nieco kuglarskiego aparatu została przyczepioną.

Za to w wypowiedzeniu szczegółów, pojedynczych piękności pełno, siła myśli gdzie niegdzie olbrzymia, wysłowienie malownicze, wersyfikacja niewymuszona i łatwa. Powtarzamy z całego przekonania: Roman Zmorski jest poetą, jest naturą wskroś poetyczną, tylko pomimo upłynięcia przeszło tuzina wiosen, a nie o jedną nawet zimę nie zestarzał się. Taka zaś twarz wiecznie młoda w końcu nas i znudzi i zackni, a nie idąc za biegiem rzeczy naturalnych, nastolatek uchodzić musi za udaną. Taki w szale młodzieńczości dziarsko bujający mąż-poeta, to sześćdziesięcioletni starzec z włosami *à l'enfant* i z wyłożonym na spencerek kołnierzem od koszulki. A powiedzieliśmy już, że jedna tylko młodzieńczość, bardziej nawet do dzieciństwa zbliżona, usprawiedliwić może podobne zwątpienie, co w najświętszym darze Bożym,

[87] K. Libelt, *Roman Zmorski. Stanowisko jego w literaturze polskiej*, „Kraj", Kraków 1872, nr 1-3.

w duszach naszych złożonym: w miłości rodu ludzkiego; najprostszą i nieuchronną widzi drogę do bram piekła”[88].

Łagodniejszy w ocenie i głębszy okazał się Niewiarowski, wyławiając niezaprzeczalne wartości estetyczne i ideowe tekstu, a także – już wtedy! – podkreślając pozorną zależność Zmorskiego od *Fausta* Goethego i tych kilkunastu innych dzieł, którymi miała się karmić wyobraźnia 22-latka. Karmiła się, lecz w sposób nowoczesny, którego nie umiano wtedy nazwać intertekstem czy pastiszem, a zapowiadający jeszcze późniejsze tego typu dzieła (jak choćby *Niedokończony poemat* Krasińskiego). Ujął to Niewiarowski tak:

„*Lesław. Szkic fantastyczny*, dla nas osobiście i dla niektórych czytelników nie jest już nowym w poetycznej literaturze zjawiskiem. Autor napisał go jeszcze w 1841 lub drugim roku, lecz chociaż czytaliśmy wiele późniejszych prac Zmorskiego, a między niemi piękne przekłady serbskich poezyj, sądzimy przecież, że żadna z tych prac nie dorosła do wysokości *Lesława*; nie dlatego, żebyśmy godzili się na bezwarunkowe uwielbienie tego poematu, ani też patrząc nań okiem serdecznej dla autora symaptyi, nie dostrzegali usterek, których tam wiele, lecz że w tej małej, niepozornej książeczce powiewa urocza atmosfera wyższej myśli, a w egzaltowanem, gorzkiem słowie leży pełna zapału ironija, która w danem miejscu i epoce była szlachetną protestacją młodzieńczego ducha poety. Mimo to, *Lesław* nie należy do liczby tendencyjnych utworów, chociaż w epoce, w której był pisany, wszyscy młodzie poeci ulegali wpływowi pewnych, modnych naówczas zasad – nie schlebia on nikomu, a jeżeli kolorem podobny do ludowych poezyj, treścią należy raczej to tych chmurnych filozoficznego ducha utworów, wśród których stoją dwa olbrzymie posągi: Fausta i Manfreda. Literatura nasza, tak bogata w wielkie poetyczne monumenta, nie ma przecież dotąd ściśle fantastycznego dramatu. Piękny Grek, syn Amfilocha i *Nieboska*, jego towarzyszka, są to raczej fantazje dramatyczne, a fantastyczność w nich jest tylko nie środkiem, służącym do wypowiedzenia idei autora; nie uświęcona tradycją ani wiarą ludów, jest może ozdóbką poematu, nie zaś jego ziarnem”[89].

Jakże znamienne jest tu wydobycie ironii jako cechy poetyki i światopoglądu Zmorskiego, stale zderzającej się u niego z duchowością słowianofila. Na tym tle przywoływana jako klasyczna, lecz kpiąca recenzja Marcelego Motty’ego jawi się li tylko jako stylistyczny popis parodysty; jest w istocie nieporozumieniem krytycznoliterackim, wyrażającym bezsilność i strach krytyka o konserwatywnym guście[90].

Pośmiertne głosy o Zmorskim zgodne były w jednym: był on wielkim talentem poetyckim, który zagubił się gdzieś, zatraciwszy instynkt poety na rzecz energii działacza. Blisko związany z poetą Wacław Szymanowski tak odmalował młodego „Kruka”:

[88] F. H. Lewestam, *Lesław. Szkic fantastyczny Romana Zmorskiego. Lipsk; w Xięgarni Zagranicznej. 1854*, „Gazeta Codzienna” 1856, nr 162.

[89] A. Niewiarowski, *Lesław*, „Gazeta Warszawska” 1856, nr 142-144.

[90] Wojtuś [M. Motty], *De omnibus rebus et quibusdam aliis*, „Dziennik Poznański” 1866, nr 118, s. 141.

„Pomiędzy tą młodzieżą Roman Zmorski uważany był za jednego z najzdolniejszych. Stoi mi jeszcze na oczach ta dziwna, charakterystyczna twarz, ta ogorzała cera, te kruczej czarności włosy i oczy wewnętrznym ogniem błyszczące, a zawsze gdzieś w przestrzeń wpatrzone. Jedni zwali go Hiszpanem, inni Włochem, a i talent jego miał w sobie coś południowego. Zdawało się że te płomieniste wiersze, które z dziwną łatwością wysnuwał z siebie, gorące niebo południa wyhodowało... a poeta wyskakiwał z nich cały zbrojny, jak Minerwa z głowy Jowisza. Tak od razu trysnęła w świat oryginalna, choć dziwnej piękności forma wiersza i jakieś rzuty poetyckie zadziwiające śmiałością, którym za ciasno było w drobnych fantazjach i okolicznościowych rymach, w jakich je Zmorski starał się zamknąć"[91].

Jak leitmotiv powtarza się potem we wspomnieniach opinia, że talent roztrwonił (jakoby!), bo gnało go nie wiadomo gdzie: „Ale duch ten potrzebował ciągłego, choćby sztucznego podsycania, żeby się na pierwotnym stopniu energii utrzymać i dlatego w pracach Zmorskiego widzimy długie przerwy niczym niezapełnione, tyle zamiarów nieprzywiedzionych do skutku, tyle planów niedokonanych i rozprysłych przed wprowadzeniem ich w życie"[92]. W końcu: „(...) w całym jego życiu było coś błędnego, niestałego. Dziwna ruchliwość i ciągła pochopność do nowości nie dawały mu usiedzieć długo na jednym miejscu"[93]. Podobnie pisał Niewiarowski: „Już to Zmorski miał jakby wrodzoną skłonność do życia k o c z o w n i c z e g o "[94].

Jeszcze jeden wątek przewijał się przez wspomnienia: choć, jak wywodził Adam Rzążewski, „(…) współcześni słusznie mu wielką rokowali sławę"[95], to przepadł niespełniony także dlatego, że „(…) w młodości nie odebrał od razu gruntownego ukształcenia"[96]. Ceniąca go Waleria Marrené-Morzkowska wydała w końcu o Zmorskim sądy, które po latach trzeba nazwać kuriozalnymi: był gorszy w prozie niż w poezji, brakowało mu „natchnienia", więc szukał go u ludu, w końcu nie miał „(…) tego, co czasem wyborowym istotom daje natura, a częściej nierównie kształtuje nauka – dobrego smaku". Marrené-Morzkowska prowadziła salon, gdzie Zmorski nie pasował. Był więc kaleki, bo był niewykształcony, źle wychowany, dziki, samotny:

„Toteż pomimo wielkiego talentu, stał on najniżej w hierarchii moralnej pomiędzy grupą ówczesnych poetów. Brakło mu nie tylko wykształcenia i wiedzy, brakło mu towarzyskiej ogłady, poczucia taktu i miary, a burzliwe zdolności wymagały koniecznie tych wszystkich dodatków i ograniczeń. Natura jego tak w życiu, jak w utworach nie mogła się nagiąć do żadnych ograniczeń, do żadnej określonej formy, ani nawet do

[91] W. Szymanowski, *Roman Zmorski*, „Tygodnik Ilustrowany" 1867, t. I, nr 390, s. 121-122.
[92] Tamże.
[93] Tamże.
[94] A. Niewiarowski, *Roman Zmorski. (Wspomnienie)*, „Echo" 1877, T. I, nr 12. Podkr. moje – J. Ł.
[95] A. Rzążewski, *Roman Zmorski. Kilka słów poświęconych pamięci zmarłego w dniu 18 lutego 1867 roku poety*, „Biblioteka Warszawska" 1868, T. I, s. 29-54.
[96] Tamże.

warunków bytu. Owa rozterka z rzeczywistością stanowiła w nim żywioł ujemny i była zadatkiem upadku, albowiem świadczyła o głębokich niedoborach wewnętrznych.

Człowiek, który z jakiego bądź powodu bierze rozbrat z rzeczywistością, skazuje się tym samym na rodzaj kalectwa. Kalectwu temu podlegała cała grupa ówczesnych poetów, ale podlegała w rozmaitym stopniu"[97].

Co zadziwiające, negatywna ta opinia, właściwie karykatura, będzie w *quasi* -naukowej formie powtarzana aż po wiek XX (patrz: Gabriel Korbut). Dziś wolno na fenomen Zmorskiego spojrzeć jeszcze inaczej: całe szczęście, że od czasu do czasu rodzą się jeszcze ludzie nieulegający stadnym skłonnościom większości, u których zdolność do mimikry przez upodobnienie się do „kulturalnej" większości występuje w formie nikłej lub przewrotnej. Taki był Zmorski. W głębokim znaczeniu bliższy Słowackiemu oraz braciom Ludwikowi i Cyprianowi Norwidom jako człowiek osobny.

Jako poeta – inny. Właściwie trzeba powiedzieć – w ogóle nie jest poznany jako liryk i dramaturg, prozaik, tłumacz, epistolograf. Stan badań nad Zmorskim w roku 2015 wolno określić z pełną powagą jako zawstydzający. Nie powstała żadna osobna praca o *Lesławie*, jakakolwiek monografia interpretacyjna. To, że jego nazwisko z obowiązku i z uznaniem odnotowują historie literatury, jest tylko przesłonięciem zaniedbania naukowego i edytorskiego[98].

A wszak nie kto inny, tylko już Marrené-Morzkowska wskazała najciekawsze tropy badawcze, umieszczając Zmorskiego obok osobowości takich, jak pesymista Giacomo Leopardi, filozof rozpaczy Filip Mainländer czy poeta z Neapolu, Mario Rapisardi (1844–1912), autor poematu *Lucifero* (1876)[99]. Cóż z tego, skoro sama Morzkowska nie dziwiła się, iż poemat Zmorskiego o *Lesławie* przeszedł bez echa jako wadliwy artystycznie i skandaliczny w swej przesadzie. A był to trop ciekawy: Zmorski jako nihilista.

W lakonicznym wspomnieniu także Adam Wiślicki podkreślał filozoficzne korzenie hiperindywidualizmu *Lesława*: „W *Lesławie* uderza nas dzika potęga samoistnej duszy walczącej z mocami przyrody, z mocami własnej moralnej natury – silącej rozwiązać straszną zagadkę"[100]. Nie wiemy, oczywiście, z jaką zagadką własnej natury zmagał się Zmorski, co go dręczyło, kim był ten niespokojny, miotający się człowiek: „Szczupły, suchy, mocny brunet, oko miał dziwnie przenikliwe, ruch wrażliwy, mówił niewiele,

[97] W. Marrené, *Grupa poetów z 1840 roku. Roman Zmorski*, „Przegląd Tygodniowy" 1880, nr 1-4.

[98] Zob. A. Gurbiel, *Roman Zmorski*, w: *Historia literatury polskiej w dziesięciu tomach*, T. V: *Romantyzm. Część druga*, red. A. Skoczek, Bochnia – Kraków – Warszawa 2003; M. Dernałowicz, *Roman Zmorski*, w: *Obraz literatury polskiej*, S. III: *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831–1863*, t. 2, red. M. Janion, M. Dernałowicz, M. Maciejewski, Kraków 1988; J. Nowakowski, *Cyganeria warszawska. (Między legendą a prawdą)*, „Ruch Literacki" 1-2 (1960); I. Węgrzyn, *Zmorski Roman*, w: *Słownik pisarzy polskich*, red. A. Latusek, Kraków 2005.

[99] W. Marrené, *Grupa poetów z 1840 roku. Roman Zmorskim*, „Przegląd Tygodniowy" 1880, nr 1-4.

[100] A. Wiślicki, *Roman Zmorski. (Wspomnienie pośmiertne)*, „Przegląd Tygodniowy" 1867, nr 10.

ale z zapałem"[101]. Toż samo odnosi się do jego słowa poetyckiego: mówił mało, zawsze przenikliwie i żywo, choć wyrażał często gorzkie, a nawet przerażające myśli.

Za moją też ocenę jego zdolności pisarskich niechaj posłużą w tym momencie słowa Aleksandra Niewiarowskiego, które dziś odniósłbym nie do grobu pisarza, lecz do stanu badań: „Uboga i samotna mogiła tego prawdziwego poety, na cmentarzu drezdeńskim, oczekuje dotąd choćby skromnego od współziomków pomnika"[102].

Zaiste, był Zmorski p r a w d z i w y m p o e t ą .

Fenomen kontrkultury

Wypada na koniec wrócić do fenomenu Cyganerii Warszawskiej. Tym to ważniejsze, iż nie tylko głucho o niej w badaniach (też warszawskich), lecz nawet nie potrafimy się od prawie dwustu lat zgodzić na jej istnienie. Co rusz pojawiały się w XX wieku głosy, że to krótkotrwałe zjawisko literacko-obyczajowe było tylko wymysłem Aleksandra Niewiarowskiego i Wacława Szymanowskiego, Aleksandra Kraushara lub Stefana Kawyna[103]. Miała to być legenda, autokracja świadków, a nie cyganeria lub grupa z prawdziwego zdarzenia. Nic bardziej mylnego!

Nad takimi opiniami zaciążyło zapewne i przeświadczenie, że grupy wcześniejsze albo pisały statuty, projekty działań etc., jak filomaci, filareci i młodzież tworząca na pograniczu Oświecenia i czasów romantycznych. Nie bez wpływu była tu mania dopatrywania się we wszystkim autokreacji. Cyganie byli autokreacyjni w sposób jawny i ostentacyjny, przyjęto więc, że i wspomnienia o nich mogą być autokreacją wspominających. Wiek XX wykształcił typ gestu unieśmiertelniającego jego autorów poprzez to, że kwestionuje się wszystko i cokolwiek.

Cyganeria Warszawska była istotnym fenomenem nie tylko określonego momentu życia literackiego, społecznego i historycznego, fenomenem rzeczywistym. Okazuje się ona swoistym barometrem kultury polskiej, w której wszystko, co antymieszczańskie, prowokacyjne, odsłaniające horyzonty ontologicznej pustki, cieszy się tylko przemijającą i krótkotrwałą popularnością (a nie sławą). Tak było potem z cyganeriami młodopolskimi, tak będzie i z postmodernizmem[104]. Tymczasem znaczenie tego gestu odsłaniania – gestu apokaliptycznego – pozorów kultury, która syci się rytuałem, konwenansem i pustką myślową przy pozorach oryginalności, gdyż dają jej one spokój (cóż, że złudny), jest nie do przecenienia.

[101] Tamże.
[102] A. Niewiarowski, *Roman Zmorski. (Wspomnienie)*, dz. cyt.
[103] Zob. też tomik o „innej" cyganerii: A. Kraushar, *Neo-cyganerya warszawska. Wspomnienia o ludziach i rzeczach literackich z niedawnej przeszłości (1870–1880)*, Warszawa 1913.
[104] Zob. *Adamowe. Konfrontacje Mickiewiczowskie*, red. D. Zawadzka, Białystok 2000.

Cyganerie nowoczesne nie zawierały paktów małżeńskich, ani nie spisywały swych antydekalogów. Przeciwnie, były luźnymi grupami artystów, związanych z miejscem, trybem życia (a czasem picia, i nie tylko), estetyką i – nawet – połączonych wspólnym losem ludzi patrzących na społeczeństwo z dystansu. Były jak smuga dymu – przecież realna, widoma, a rozwiewająca się. Choć właśnie – inaczej niż w przypadku cyganów z Warszawy – nikomu nie przyszłoby do głowy kwestionować istnienia zobaczonego obrazu smugi. Czegóż więc wymagano od Cyganerii Warszawskiej? Wszystkiego: wykształcenia, ogłady, schludności, bycia wzorcem pedagogii służącym narodowi. Także: oryginalności, wydostania się z cienia wieszczów, powabu słowa i dobrego smaku. W końcu: ustatkowania się. Zmorski, Sierpiński, Filleborn, Dziekoński i Wolski tych warunków nie mogli i nie chcieli spełnić. To było wbrew ich naturze. Ustatkowali się akolici grupy: Szymanowski, Niewiarowski, Kenig, Miniszewski, Zieliński. Spierano się nawet o chwilę, gdy miała powstać Cyganeria:

„Datę powstania Cyganerii podaje jeden tylko jej kronikarz, który sam co prawda przystąpił później do owej grupy, ale był dobrze poinformowany o jej wcześniejszych dziejach. Ten kronikarz to Aleksander Niewiarowski (1824–1892), data zaś podana przez niego to rok 1838, co jest zupełnie prawdopodobne, już w tym roku bowiem (jeśli nawet nie w 1837) dwaj najpierwsi i najstarsi „cyganie", Seweryn Filleborn (1815–1850) i jego przyjaciel Karol Brodowski (ok. 1815 – przed 1847), poeci, nawiązali znajomość ze słynną Miramką i założyli swą kwaterę literacką w ogródku na Gnojowej Górze, ściągając tam później (1839) dwóch przybyłych z prowincji młodych pisarzy: Seweryna Zenona Sierpińskiego (1818–1843) i Jana Majorkiewicz (1820–1847), a także młodszego brata Karola Brodowskiego, malarza Tadeusza (1821–1848), i rozpoczynając kilkoletnią działalność, którą można by ogólnie scharakteryzować jako swoisty protest przeciw aktualnej rzeczywistości"[105].

Co dziwne, spokoju i stateczności, ale też uznania, nie znaleźli ci artyści, którzy związani byli luźno towarzyskimi więzami z grupą, ale się od przynależności do niej odżegnywali: Cyprian i Ludwik Norwidowie, Teofil Lenartowicz. Kilku młodych artystów, przewijających się we wspomnieniach o Cyganerii Warszawskiej, zakończyło życie szybko i tragicznie.

Żyli krótko: 45 (Zmorski, 1822–1867), 25 (Sierpiński, 1818–1843), 35 (Filleborn, 1815–1850), 39 (Dziekoński, 1816–1855), 58 (Wolski, 1824–1882), 27 (Majorkiewicz, 1820–1847), 27 (malarz Tadeusz Brodowski, 1821–1848), ok. 30 (poeta Karol Brodowski, 1814–lata 40.). O wiele łaskawszy los był dla Szymanowskiego (1821–1886), Niewiarowskiego (1824–1892), Keniga (1821–1900), Miniszewskiego (1821–1863)[106]. Ci pierwsi

[105] J. W. Gomulicki, *Genealogia Cyganerii Warszawskiej*, w: W. Szymanowski, A. Niewiarowski, dz. cyt., s. 9-10.

[106] Por. Syn Szlachecki [J. A. Miniszewski], *Rzut oka na rozwój polityczny i społeczny w Królestwie Polskiem od roku 1831 do naszych czasów*, Lipsk 1862.

byli starsi. Rodzili się w okolicach lat 1814–1818. Tylko Zmorski i Wolski później, bo w 1822 i 1824 roku. Cyganom z grupy głównej nie powiodło się w życiu osobistym: albo nie zakładali rodzin (Sierpiński, Majorkiewicz), albo ich związki nie były udane (Zmorski).

O wiele lepiej poradzili sobie w społecznym i w osobistym życiu Niewiarowski, Szymanowski, Kenig, zapracowując na opinię zdolnych „literatów", „redaktorów", „publicystów". Nie zawsze przynosiło im to satysfakcję – czuli się bowiem „aż" pisarzami[107]. Żaden z cyganów warszawskich nie doczekał się uznania jako pierwszorzędne zjawisko literackie. Jako twórcy wybitni, ale jednak *minorum gentium*, funkcjonują do dziś: Dziekoński jako autor *Sędziwoja* (1843), Zmorski jako twórca *Lesława* (1847) i może Wolski jako prozaik, autor *Domku przy ulicy Głębokiej* (1850). Właściwie nieznane są inne wybitne dzieła tych twórców: nowele Dziekońskiego, *Wieża siedmiu wodzów* i proza Zmorskiego, *Ojciec Hilary* Wolskiego.

Co warte odnotowania, twórcy ci doczekali się pamięci regionalnej: Zmorski i Wolski – by tak rzec – mazowieckiej i warszawskiej (Zmorskiego wspomina się czasem jako projektodawcę mazowieckiej szkoły w poezji polskiej), Sierpiński, jako autor *Historycznego obrazu miasta Lublina* (1843), znany jest lublinianom, a luźniej związany z grupą rodem z Humania, doszczętnie zapomniany Wiktoryn Zieliński dał nazwę Szlakowi Orlich Gniazd, a nawet przeniknął do kultury masowej jako autor wiersza *O, gwiazdeczko...*, który śpiewał między innymi Seweryn Krajewski.

Legendę Cyganerii Warszawskiej próbował ożywić w 1912 roku Adolf Nowaczyński, wydając sztukę pod tytułem *Cyganeria Warszawska*, pisaną podobno z intencją parodystyczną wobec romantyzmu[108]. Zmorski występuje tu jako Lesław. Sztuka miała powodzenie w teatrze Rozmaitości, choć krytyka była wobec dziełka surowa, bo: „Ani jego Kamil nie jest prawdziwym Norwidem, ani Lesław Zmorskim, ani Gorgoniusz Dziekońskim"[109]. Konkluzja konserwatywnego recenzenta, Michała Synoradzkiego, z „Biesiady Literackiej" była miażdżąca:

„Słowem, jako utwór literacki, *Cyganerya* p. Nowaczyńskiego nie wytrzymuje krytyki; nie wytrzymuje też krytyki jako rzecz ideowa. Miał on rzekomo zamiar wydrwić romantyzm, osłabiający ducha narodowego, czyniący społeczeństwo niezdolnem do pracy realnej, owocnej, do trzeźwego na rzeczy poglądu, a dał karykaturę niesmaczną

[107] Szymanowski wydał nawet swe dzieła zebrane. Patrz: W. Szymanowski, *Poezye i dramata*, t. 1-5, Warszawa 1884.

[108] Zob. A. Nowaczyński, *Cyganeria warszawska. Sztuka w czterech aktach*, Warszawa 1912; A. Kieżuń, *Spór z tradycją romantyczną. O działalności pisarskiej Adolfa Nowaczyńskiego*, Białystok 1993.

[109] M. Synoradzki, *Z Warszawy*, „Biesiada Literacka" 1911, nr 48, s. 424. Zob. M. Obrusznik-Partyka, *Literatura i krytyka na łamach „Biesiady Literackiej" (1876–1906)*, Piotrków Trybunalski 2001; L. Ciborowska, *Wizerunek Żydów i relacji polsko-żydowskich w „Biesiadzie Literackiej" w latach 1913–1914*, w: *Żydzi wschodniej Polski*, Seria II: *W blasku i w cieniu historii*, red. J. Ławski, B. Olech, Białystok 2014.

i trywialną, wydrwił ludzi, których usiłowania zasługują na szacunek i uznanie. Nie wszyscy krytycy warszawscy zaznaczyli ten niewłaściwy w wysokim stopniu wybryk; natomiast znaleźli się tacy, którzy omal nie mdleją z zachwytu, iż p. Nowaczyński, potępiając romantyzm – rozmarzenie, roztkliwienie i małostkowość, podniósł sztandar pracy realnej. Ależ nie jest to przecież zdobyczą p. Nowaczyńskiego. To samo mówili, tę samą potrzebę podnosili od dawna u nas i w artykułach dziennikarskich, i w rozprawach poważnych, i w poezji, i w powieściach, i na scenie bardzo liczni pisarze. Prus, na przykład, wciąż o tem mówił szeroko. P. Nowaczyński zatem nic nowego nie dał, co więcej – sprawę doniosłą potraktował, jak zwykle – po sowizdrzalsku.

Sztuka p. Nowaczyńskiego robi w Rozmaitościach furorę, dzięki jedynie – jak nadmieniłem – doskonałej reżyseryi Śliwickiego i świetnej grze artystów. Zwłaszcza Frenkiel (Gorgoniusz), Brydzyński (Ryszard), Rapacki (Pułkownik), Woydałowicz (Klepacki), Sulima (Laura), Mirska (Miriamka), Janecka (Maciuś) – grają pod każdym względem koncertowo, przypominając najlepsze czasy sceny warszawskiej. Gdyby jeszcze treść sztuki harmonizowała z tem mistrzostwem... Ale, niestety, tak nie jest!”[110].

Koniecznie dodać trzeba, że w 1989 roku sztukę wystawił teatr telewizji w reżyserii Krzysztofa Rościszewskiego. Zmorskiego-Lesława zagrał tym razem Leszek Zdybał. Premiera odbyła się 4 września tegoż roku. I to przedstawienie trudno nazwać wybitnym...

*

Cyganeria Warszawska jest ważnym, niewyzyskanym badawczo zjawiskiem. Nie zaskakuje, że teksty cyganów budzą zainteresowanie studentów i młodszych badaczy. Jako grupa – ale nie stowarzyszenie! – jasno zaznaczyli się w określonym czasie (1838–1844), miejscu (Warszawa i Mazowsze), poprzez cygański styl życia i przede wszystkim twórczość. W tej zaś daje się bez trudu określić sferę pseudowartości, które ostro kontestowali (spodlenie form życia społecznego w warunkach okupacji rosyjskiej) i wartości ideowych oraz estetycznych, które były im najbliższe, choć w tej dziedzinie musieli się okazać już czasem bardzo różni.

Trzeba pamiętać, iż i ta negacja, i afirmacja spajały się w pewnym indywidualistycznym i zarazem grupowym etosie egzystencjalnym, którego wyrazem były włóczęgostwo, skandal, cygańskie życie, a jego podbudowę intelektualną, mitograficzną, symboliczną tworzyły odwołania filozoficzne, etnograficzne, a nawet ezoteryczne.

Zarówno Cyganeria Warszawska – jako ciekawy fenomen rzadkiej u nas kontrkultury – jak i jej wybitny a zapomniany przedstawiciel, Roman Zmorski, zasługują na spojrzenie badawcze, które przynajmniej dorównywałoby głębi, z jaką patrzyli oni na świat XIX stulecia. Świat nie tak odległy od naszego – na chwilę tylko „współczesnego”, który mieni się „nowoczesnym”.

Ełk, 12 lutego 2015 roku

[110] Tamże. Dodajmy: sztuka poniosła klęskę w Krakowie.

LIRYCZNE KONTEKSTY
LESŁAWA

Motyw *danse macabre*

Roman Zmorski

ANIOŁ-NISZCZYCIEL*

Moje tchnienie nie woń,
Nie gwiazdy mi skroń
  Jaśniejącym obwiodły kołem.
Mój oddech, siarczysty –
Mój wieniec, ognisty –
  A przecież jam jest aniołem.

Nie anioł, co leci,
W pieluchach mdłe dzieci
  Rajskimi snami koleba;
Sieje miłość, zgodę,
Wiąże serca młode,
  I dusze unosi do nieba. –

Jam anioł-niszczyciel,
Jam anioł-czyściciel,
  Jam złego mściciel i wróg!...
Mnie, gdy czas nadchodzi,
Nim świat się odrodzi,
  Na ziemię śle Bóg.

Miecz niosę w prawicy,
Pochodnię w lewicy,
  W gromach oblatam świat;
Na imię mi: biada!
Śmierć, zgroza, zagłada
  Biega mi ślad w ślad.

Ja tchnę w piersi ludzi –
W piersiach żar się zbudzi,

* R. Zmorski, *Anioł-Niszczyciel*, „Tygodnik Literacki" 1842, nr 46; „Jaskułka", Warszawa 1843, s. 78-81; „Przegląd Naukowy" 1843, nr 22; R. Zmorski, *Poezje*, Lipsk 1866, s. 117-119.

A ręce im całe krwią ścieką:
I będą się żarli,
I będą się darli,
Jak wilcy, gdy z głodu się wściekną.
Ja, kędy przelecę,
Skier rzęsny deszcz niecę –
Skry to niczym niezgaszone!
Aż wszystko wypalą,
I to tylko ocalą,
Co takie niebieskie jak one.

Pychy dzieci wszeteczne!
W głupstwie swoim bezpieczne!
Oto przyszedł wasz czas.
Wasze własne na głowę
Zamki wam marmurowe
Runą i pogrzebią was.

I władczyni wnet nowa,
Okropności królowa,
Gruz ze stolic waszych zasiądzie.
Spośród ciszy, grobowa
Szydersko z ruin sowa
Z potęgi się waszej śmiać będzie.

Hej! ludzie! ja lecę,
Ogień wszędy niecę;
Bo by się przyjął siew nowy,
By wyczyścić pole,
By zniszczyć kąkole –
Wyplenić plon trzeba niezdrowy.

Nie drżyjcie, nie klnijcie,
Głów waszych nie rwijcie,
Że spłoną wam pola i włości;
Za krótki strach, głód,
Wy i cały wasz ród,
Lichwę odbierzecie w przyszłości.

Hej! burze wy! – gromy!
Grady! wichrze łakomy!
  Dalej za mną w ślad!...
Hej ognie i wody!
Mory, wojny, niezgody!
  Za mną na świat!...

Ja anioł-niszczyciel!
Ja anioł-burzyciel!
  Anioł-zbawiciel!...

(1842)

Roman Zmorski

MYŚL*

Na tym cudów i zjawisk niepojętych świecie,
Jest czułodrzew, dziwotwór – czucie ma człowieka,
A w szorstkie kory szaty ciało swe obleka,
Stroi się w liść zielony i barwione kwiecie.
Kwiat jego rozwinięty, lśniący łzą słodyczy,
Jak wpół z szat obnażony biały gors dziewiczy,
Przynęca do rozkoszy – łakome biesiady
Siadają w nim ucztować skrzydlate owady.
Lecz zaledwie słodkiego dotknęły kielicha,
Kwiat, co jako rozbójnik na łup tylko czyha,
Balsamicznym je swoim całunem obwija,
I wonnymi uściski zdradziecko zabija.

W pełnym dziwów i zjawisk niepojętych świecie –
Świecie ducha – jest myśli czarodziejskie kwiecie.
Cudownie ono z dala do ludzi się wdzięczy,
Stopionym w jedno blaskiem słońca, gwiazd i tęczy;
A mamiące widziadła drgają w jego łonie,
A promieniami z niego biją drogie wonie.
Toteż tłumnie się przy nim zbiega naokoło,
Rój chciwy dziw bliskimi obejrzeć oczyma,
Błyszczącą jego gwiazdą ubrać sobie czoło.
Lecz zaledwie odetchniesz z bliska kwiatu wonią,
Żądną zaledwie dotknąć podążysz go dłonią –
Oto myśl nagle strzela ramiony olbrzyma!
W żelaznym ich objęciu skutego cię trzyma,
Purpurowym świat cały zasłania namiotem;
I węża dusiciela krępuje cię splotem,
I dzień, i noc cię szarpie zębami tygrysa,
Dzień i noc jako upiór krew twoją wysysa,
Dopóki całej duszy wreście nie wypije. –
Myśl-upiór, życiem ofiar żywi się i tyje.

(1845)

* R. Zmorski, *Myśl*, „Jaskułka", Warszawa 1843, s. 41-42; tegoż, *Poezje*, Lipsk 1866, s. 91-92.

Roman Zmorski

DO MŁODEGO POETY*

Czarowna laska cudów złożona w twym ręku,
W piersiach twoich zdrój bije nieprzebranych pieśni –
A oto, wkoło ciebie świat męczarń i jęku.
O! wieszczu młody, nie bądźże jak dziecie,
Co na wezgłowiu marzeń lata całe prześni,
Przeigra w wyobraźni malowanym świecie.
Niech pieśń twoja nie będzie jak w cieplarni kwiat,
Strojny blaskiem harmonii, wonią słównych szat,
Co mu całą zasługą, że chwilkę popieści,
W porze niedługiej wiosny, płochy wzrok niewieści –
Ale niech będzie kwiatem, co się w owoc zmienia,
I przejdzie w krew i życie przyszłego plemienia.

A plon taki by dało i nie przeszło marno,
To na rodzajną niwę trzeba rzucać ziarno.
Więc, nie w ściany z marmuru, nie w złote podwoje.
Nie w złotem lśniące tłumy pieśni masz nieść twoje.
Bo tam piosnka poety, w jednej z suknią mierze,
Oklask wedle nowości a wabności bierze;
Bo tam pierś każda zimna, niepłodna i pusta,
Serca zważyły mrozy, stoczyła rozpusta –
Toż pieśń młoda, gorąca, czymże tam zawładnie?
Tylko jak kamień w przepaść bez echa przepadnie!

O, wieszczu młody! inny tobie świat
Przystał – świat niskich, pochylonych chat.
Tam sercem wiecznie młodym lud przyjmie twój śpiew.
Wiecznie młodem – bo razem z mlekiem, co się sączy
W pierś jego z łona matek, stara pieśń się łączy,
I na wiek wieków chroni od spleśnienia krew.
Tam oklask końca twojej nie zgłuszy piosenki,
Ni z zapału niezgrabną zbudzą cię pochwałą;

* R. Zmorski, *Do młodego poety*, „Gazeta Teatralna" 1843, nr 43; „Przyjaciel Ludu" 1847, nr 35 [tu tytuł: *Do W****]; „Gazeta Warszawska" 1856, nr 242 [tekst wiersza w artykule Al. Niewiarowskiego *Poezja*]; „Pszczoła" 1861, nr 89; tegoż, *Poezje*, Lipsk 1866, s. 115-116.

A tylko za nagrodę, za podziękę całą
Uczujesz jeden długi, niemy uścisk ręki,
Co ci żarem po nerwach pobiegnie do duszy,
Aż ci łza jakaś dziwna źrenice zapruszy –
Łza, córka ojca bólu i matki radości...
Radości twego serca i bólu twych kości!

Tylkoż, jeśli wywołać uścisk taki chcesz,
To w szpalery wzorzyste słów twoich nie krzesz;
Ale krzesz sercem w serce, jak krzemieniem w stal,
I jak iskrami próchno, tak słowami pal!
Wieszczom złoconych komnat zostaw dziki wzgląd
Obchodzić na wpół ze czcią stary, zgniły błąd;
Ty – rzuć mu śmiało w oczy garścią obelg pełną.
A prawdy nie spowijaj, by szklannej bawełną,
Ale w wieczny z nią związek poślubuj twój głos.
Głos twój zaś niechaj będzie jak siermięga prosty,
A tak twardy i ostry, jak ostrza tych kos,
Co z równin naszych tępią wybujałe osty...
To choćby każde z słów twych jak żmija raniło,
I jako piołun w uściech gorzkim w uchu było,
Przecież każdy je z taką powita pociechą
Jak w noc bezsenną kura przeraźliwe pianie,
Gdy, trzepocząc skrzydłami nad skopconą strzechą,
Krwawej na niebie zorzy okrzyka świtanie!

Bo pieśni wieszczów w narodzie są tak,
Jako w człowieku bywa serca bicie:
Co razem w ciele utrzymuje życie,
I o życiu daje znak!

Roman Zmorski

NOC ŚW. JANA
(Podług powieści gminnej)*

Ostatnie podźwięki świątecznego pienia
Przebrzmiały na Narwi pobrzeżu piaszczystem;
Wieczornej Sobótki ostatnie płomienia
Rozwiał wicher chłodny z przeraźliwym świstem.

I ciemno dokoła, i smutno dokoła –
Wód tylko pierś miękka brzmi cichym oddechem,
I wzgórków jałowych obnażone czoła
Dalekich piorunów rozmawiają echem.

A ponad górami, a ponad lasami,
Co z wichru głosami gwarzą długim szumem,
Jak rój widm, splątany w fantastyczne tany,
Szarawe chmurzyska przeganiają tłumem...

Otóż cudów godzina – oto czarów czas!
Dalejże! ktoś śmiały piekłu stawić czoło,
W odludne ustronie, w bezdrożny spiesz las;
Potrójnym się kręgiem opisz naokoło.

A północ nad tobą wnet burzą zaryczy;
Wśród błyskawic, gromów bicia,
Cudownymi blaski wystrzeli z powicia
Paproci kwiat tajemniczy.

I szatan widomie stoczy z tobą bój,
Rój strachów na ciebie i zdrad zwiedzie rój;
Aż kiedy rumianej zaświeci blask zorzy,
Jak niewolnik panu, tobie się ukorzy.

* R. Zmorski, *Noc Św. Jana. (Podług powieści gminnej)*, „Biblioteka Warszawska" 1842, T. II, s. 171-176; tegoż, *Poezje*, Lipsk 1866, s. 175-179.

Tylko biadać! biadać! jeśli koła progi
Przestąpisz, jutrzenka zanim wznijdzie blada!
Wieczyste cię piekła pochłoną pożogi –
Biada ci! na wieki biada!...

I słyszał to strzelec, strzelec jeden śmiały
I piersi mu żądzą niecierpliwą wrzały;
A kiedy straszliwych nadszedł czarów czas,
Pochwycił broń wierną i biegł w czarny las. –

Jako jeleń dziki, gnany łowców krzyki,
Wlot przemknął nadbrzeżne równiny;
I oto – już drze się po bezdrożnym lesie,
Przez chrapy, przez gąszcze leszczyny.

I stanął nareszcie, gdzie stary lat dwieście
W zwierciadle strumienia przeziera się bór...
A nad nim obrzydły, żałobnymi skrzydły,
Zaszumiał spłoszony nocnych ptaków chór.

On spojrzał – na chwilę myśl trwożna przelotnie
Mignęła – lecz zgasła wnet na męskiej skroni;
I końcem swej wiernej, poświęconej broni,
Czarownym się kołem opisał trzykrotnie.

Sosn suche gałęzie na gromadę kładł, –
Skrzesał na panewce i podpalił stos –
I ogień rozniecił – i na miękki wrzos,
Przy dymnym ognisku, jak na łoże, padł.

I z torby wydrzanej wziął wódkę i pije,
Na głos piersią całą nucąc piosnkę wieszczą...
A płomienie trzeszczą – a puchacze wrzeszczą –
A wicher szaleniec wyje…...

Północ! – Deszcz błyskawic lunął
Krwi potopem na świat.
Grad piorunów z trzaskiem runął –
Czarodziejski pęknął kwiat.

I morze pojących polało się woni –
Cudowną jasnością olśnięty,
Jak gdyby posiany cały diamenty,
Posępny się las skrzy, migoce, płoni...

Zobaczył myśliwy te nadziemskie dziwy –
I w krzewie paproci, co pod jego nogi
Zakwitał wspaniale, utopił wzrok chciwy –
I dłonią łakomą uchwycił kwiat drogi...

Wraz śmiechem weselnym i rykiem piekielnym
Larw mnoga zagrzmiała tłuszcza;
I ziemia się pali, i z hukiem się wali
Ze wszech stron odwieczna puszcza...

Zimnym trwogi potem ściekła strzelca skroń –
Obydwie źrenice w skrzepłą ukrył dłoń;
Jak trup cały blady, i zimny jak trup,
Stanął niewzruszony, jak kamienny słup...

A kiedy zbielałe znów oczy odsłonił,
Tylko liścia nad nim szeptało sklepienie;
I strumień żałośnie po krzemieniach dzwonił,
I blade w ognisku skwierczały płomienie...

Tam – co to tak świeci, spopod żółtej ziemi,
Głęboko, pod sosny olbrzymiej wywrotem?
To kotły, ładowne pod wierzch srebrem, złotem,
I pereł sznurami, kamieńmi drogiemi.

Dojrzał ich młodzieniec – i skwarny rumieniec
Na licach wybił mu chłodnych;

I próżno się sili, próżno głowę chyli
Od skarbów widoku zwodnych.

Bo gdzie głowę zwróci, kędy tylko rzuci
Iskrzącą od żądzy źrenicą,
Pod każdym wnet drzewem, pod każdym wnet krzewem,
Srebro, złoto z ziemi świécą.

Lecz świecą daremnie, łudzą go daremnie!
On, jakby wrósł w ziemię, chociaż żądzą płonie. –
Aż wreszcie tajemnie, w mrocznym ziemi łonie
Przepadły, jak wyszły tajemnie...

Czyjeż to tam prośby? czyjeż to tam groźby?
Czyj że to z gęstwiny jęk słychać stłumiony?
Zbójcy są to groźby, a starca te prośby –
A starzec, to ojciec myśliwca rodzony.

Przed zbójcą drżącymi czołga się kolany,
I żebrze, i trwożny wzrok wodzi dokoła –
Wtem zobaczył syna – i żałośnie woła:
«Ach! ratuj mnie, ratuj! mój synu kochany!»

On widzi, on słyszy... co czynić sam nie wie –
To żal go, to zgroza, to trwoga ogarnie;
I cierpiał tak straszne w swym sercu męczarnie,
Jakby go już piekła paliło zarzewie...

Na ziemię się rzucił – i dłońmi obiemi,
Jak kret, pazurami w wilgotnej rył ziemi,
I w uszy obiema rękoma ją tkał –
A w uszach rozpaczny głos starca mu brzmiał...

A co jeszcze widział, i co słyszał jeszcze,
I serce jak straszne ziębiły mu dreszcze,
Żadna tego ludzka nie wypowie mowa –
Jak piekła, zdrad jego nie ogarną słowa.

Przecież sercem stałym odparł rój ich cały;
I zanim na niebie zajaśniał świt biały,
Szatan, jakby wstydny daremnego boju,
Śmiałego zwycięzcę porzucił w pokoju...

Spoza chmur pogodne przejrzały niebiosa –
Pomiędzy gwiazd drobnych promiennymi roty,
We mglistym się rąbku snuje księżyc złoty –
Po liściach trzepoce brylantowa rosa...

Lecz czyjeż to szaty bielą nad strumieniem?
Toż anioł zbiegł z nieba po blasku księżyca?...
Z płonącym spojrzeniem, z brzmiącym w ustach pieniem,
W lotnej z bieli szacie, wybiegła dziewica.

Po licu rumianym, po łonie jej śnieżnem,
Zwój spływa złocistych warkoczy;
Pierś jej tchnie rozkoszą – a okiem lubieżnem
Młodzieńca spotkała oczy.

Olśniony, złudzony spojrzenia urokiem,
Zapomniał myśliwiec i czarta, i trwogi;
I razem, za koła czarodziejskie progi,
W objęcia dziewczyny pobiegł jednym skokiem...

I wraz zatrząsł puszczą śmiech i wrzask szalony,
Spod stóp strzelca płomień wybuchnął czerwony,
I w piekło przepada – z nim czartów gromada –
Biada mu! na wieki biada! –

Roman Zmorski

UCZTA*
(Urywek z zaginionej powieści *Wet za wet*)

We dworze starosty błyszczy świateł wiele,
Dym bury słupami bije przez kominy.
Niedawno starościc odprawił wesele,
Dziś w dworze ojcowskim sute przenosiny.

Pośród sali wysokiej stół ciągnie się długi,
Na nim ucztę dostatnią zastawiły sługi.
Niby wojsko przed bitwą, w groźnym szyku stały
Rozliczne roztruchany, kielichy, kryształy.
W pośrodku nich, piętrzone, jak warowne miasta,
Rumiane się, cukrzone, wydźwigały ciasta.
Na szerokich półmiskach, w szafranowym sosie,
Bez liku dzikich ptaków stado pławiło się...
Nad wszystko, dziwnym kunsztem, lśniący, okazały,
W podskoku, niby żywy, stanął rogacz cały.
Z kwiatów więzy złocony obwiły mu róg,
A na grzbiecie cukrzany siadł skrzydlaty bóg.
W ręku bożka szkarłatny powiewał proporzec;
Na proporcu z Habdankiem złączony Toporzec.

Polskiego zagrzmiały skrzypice, oboje –
Szerokie się oścież rozwarły podwoje,
I chrzęst niewyraźny zakrzywionych kordów
Do hucznej muzyki wmięszał się akordów.

Oparta na teścia pomarszczonym ręku,
Weszła Pani Młoda, w całym blasku wdzięku.
Z obliczem tak jasnym jako śnieżne wzgórze,
Gdy w zorzy zachodniej kąpie się purpurze;

* R. Zmorski, *Uczta (Urywek z zaginionej powieści „Wet za wet")*, w: tegoż, *Poezje*, Lipsk 1866, s. 189-193. Tytuł pierwotny utworu: *Wesele*.

A z okiem tak lubym, jak w maju niebiosy,
Jak błękit bławatka, zwilżony łzą rosy.

Lecz w czystym tym oku, w kwitnącej tej twarzy,
Próżno byś ciekawym dośledzić chciał okiem
Odblasku płomienia, co w sercu się żarzy.
Tej cudnej tęsknoty, co na jaw wyświęca
Tajemnicę duszy, co kocha, co marzy –
Bez której i piękność tak mało zachwyca,
A która ubogie nawet w wdzięki lica
Niewypowiedzianym oblewa urokiem...

W ślad za tym tłum mnogi, gwarliwy, ochoczy,
Z sąsiedniej komnaty, powolnie, wspaniale,
Jak Wisły wiosennej zapienione fale,
Posuwistym krokiem do sali się toczy.
I wszyscy dokoła u stołu zasiedli –
Śmieli się, gwarzyli, i pili, i jedli.

Starosta szczęśliwy – wąs kręci do ucha,
Goloną czuprynę szorstką dłonią gładzi,
Złocistego pasa poprawia u brzucha –
Dumnie się uśmiecha i z rozkoszą słucha,
Jak zgraja pijana w życzeniach się sadzi,
Jak rój darmozjadów pochlebstwy mu kadzi.

Aż razem zza stołu powstał sąsiad stary –
I siwy, i stary, lecz rześki i jary,
Co to, gdyb dziś jeszcze dobył z pochew miecz,
To niejedna głowa wnet poszłaby precz –
Powstał, i ogromnej wznosząc puchar miary,
Pełny równo z wierzchem wonnego węgrzyna,
Pokłonił się głową i prawić zaczyna:

«Jako na firmamentu jasnej wysokości
Goreją dwie złote tarcze niezmiernej jasności,
Tak na ojczystym naszym niebie dwa klejnoty
Błyszczą, Habdank z Toporem, przez swe zacne cnoty,
Niby owe odwieczne niebios luminarze.
Cóż? gdyby księżyc z słońcem poszedł kiedy w parze?

Cóż? kiedy się dziś Habdank połączył z Toporem?
To cały świat już zaćmią niezmiernym splendorem!...
Niechajże nam ta jasność nigdy nie zachodzi!
Wiwat Habdank z Toporem! wiwat państwo młodzi!»

I koło wnet całe na nogi powstało –
Sto błysło kielichów – sto głosów zagrzmiało!
«Wiwat państwo młodzi!»

– »Przeklęci!» dwa głosy za oknem zagrzmiały –
I oknem do sali dwa wpadły wystrzały.
A jeden strzał utkwił w starościca czoło,
Krwią jego i mózgiem pokropił wokoło;
A drugi strzał utkwił pani młodej w łonie –
Rozranił jej piersi, toczone, dziewicze –
Pobladło rumiane jak zorza oblicze –
Gładkie jak śnieg, w perły zaplecione skronie
Zwisły na poręcz. Młodość i uroda
Przepadły! przepadły!... I niewielka szkoda!
Bo kto jak trup chłodny, choć życie nim władnie,
To czegóż żałować, kiedy trupem padnie?...

Za hukiem wystrzałów, za przestrachu krzykiem
Nastała grobowa chwila osłupienia.
Godowa drużyna – posągi z kamienia –
O życiu spojrzeniem tylko mówią dzikiem.
A wkoło tak cicho! tylko na podłogę,
Słychać, jak krew pluszcze, co z trupów ucieka,
I z stołów jak ścieka rozlanych win rzeka,
I serca po piersiach jak biją na trwogę.

Wtem: «gore!, gore!» przeraźliwym krzykiem
Strop zadrżał dębowy. Przez okno strzaskane
Żarłoczne płomienie, z czerwonym językiem,
Na adamaszkową rzuciły się ścianę.
Raz, drugi, po suchym modrzewiu liznęły –
I wnet całe ściany ogniem zapłonęły.

Klnąc głosem straszliwym, wygrażając gniewnie
Nagimi szablami – nie wiadomo komu –
Wpółpijana szlachta wybieżała z domu.
Za nimi, łkający i zawodząc rzewnie,
I łzami hojnymi zalewając lice,
Poważne matrony i hoże dziewice.

A w domu, co jeszcze przed chwilą tak gwarny,
Dwa tylko za stołem ciche trupy siedzą;
I do pary sobie dobrawszy dym czarny,
Jak gdyby u siebie, płomienie ochocze,
Na wiatr rozpuszczając swe złote warkocze,
Po pustych komnatach szalony tan wiją –
I chciwie z półmisków smaczne strawy jedzą,
I smaczne napoje chciwie z naczyń piją.

W podwórcu zgiełk, nieład i rozpacz, i trwoga.
Spieniona się szlachta rozbiegła bez ładu –
Szukają, klną, krzyczą, wywołując wroga,
A wroga dokoła ni słychu, ni śladu.
Więc dalej się wszyscy wielkim krzyżem żegnać,
By urok szatański od oczu odegnać.
Sam starosta stoi – patrzy, jak dwór płonie –
I bura źrenica we łzach mętnych tonie.
Nie z żalu za dworem – dość drzew w boru rośnie!
Lecz z żalu po synu, co tak marnie ginie,
Ostatni z rodziny, w życia swego wiośnie;
Beze czci pogrzebnej, grobu w ziemi świętéj,
W płomieniach spalony, jak gdyby wyklęty!...
I srodze staremu serce zabolało.
– «Hej! kto mi przyniesie syna mego ciało!
Bóg świadkiem na niebie! nie strudzi się marnie,
Co żywnie sam zachce, w nagrodę zagarnie.»

Daremne wołanie! nikt kroku nie ruszy –
Za złoto na zgubę nikt nierad dać duszy.
– «Ha! toż ja sam muszę!.. », i sam ojciec stary
W płomienne poleciał jak szalony żary.
Poleciał – już więcej stamtąd nie wyleci!

Ptactwu na biesiadę trup piecze się trzeci.
Tłum klęknął opodal – wzniósł w górę wejrzenia –
I słychać szeptania, i słychać westchnienia:
«Wieczna światłość niech im świeci!...»

A kiedy poranek błysnął licem bladem,
Zgliszcze tylko czarne dymiło nad drogą;
Wołając do jednych wymownym przykładem,
Do drugich wymowną groźbą i przestrogą.
A z czarnego lasu, długim, smutnym stadem,
Pośpiesznie zleciały w gości kruki, wrony;
I kraczą, i skaczą, i żrą ścierw pieczony...
Szczęść Boże im co dnia takowym obiadem!

Roman Zmorski

PIERWSZA NOC CZAROWNIC. (DIE ERSTE WALPURGISNACHT)* Z GOETHEGO[1]

PIERWSZY KAPŁAN

Błysł maj radosny!
Pod tchnieniem wiosny
Szron stajał z gałęzi drzew.
Prysnęły lody –
W zieleni młodéj
Weselny rozbrzmiewa śpiew.

Już tylko biała
Szata została
Na wyżynach najstromszych opoki.
Dalejże! spieszmy do góry!
Wypełnić ojców obrząd wysoki,
Bogu w przyrodzie dać cześć;
Z płomieniem jasnym, bijącym w chmury,
Ducha ku Wszechstwórcy wznieść.

---

* R. Zmorski, *Pierwsza noc czarownic. Die Erste Walpurgisnacht. Z Goethego*, „Dziennik Literacki" 1852, nr 48; kolejne wydania: „Biblioteka Warszawska" 1862, T. IV, s. 86-89; R. Zmorski, *Poezje*, Lipsk 1866, s. 200-204. Jest to swobodny przekład utworu (nazywanego „balladą") Johanna Wolfganga Goethego *Die Erste Walpurgisnacht*, powstałego w maju 1799 roku. W 1833 roku kantatę do słów utworu skomponował Felix Mendelssohn Bartholdy. W roku 1843 wykonano w Lipsku drugą wersję kantaty.

[1] Piękny ten, pełny wysokiej myśli, a mniej upowszechniony utwór Goethego, odnosi się do tak zwanych nocy czarownic (*Walpurgisnacht*), o których pamięć częścią przez podanie, częścią przez obrządek zachowuje się dotąd w wielu okolicach Niemiec, osobliwie zaś w tych stronach, gdzie niegdyś żyły słowiańskie plemiona, z czasem uciemiężone i starte. Długi czas jeszcze po narzuceniu tym pogańskim ludom chrześcijaństwa kapłani dawnej wiary starali się zachować jej zwyczaje i święta. Jednym z świąt takich był dzień pierwszy maja. Ażeby obchodowi jego przeszkodzić, otaczano gaje święte i uroczyska chrześcijańskimi strażami. Zgromadzeni poganie dla odpłoszenia ich przebierali się w dziwotworne postacie i wpadali na nie z wrzaskiem, ogniem i łoskotem. Chrześcijanie, nawykli widzieć we wszystkich pogańskich obchodach sprawę szatańską, uciekali, biorąc to za zjawisko piekielnych duchów, po czym lud swobodnie odbywał swoje obrzędy.

ZBÓR KAPŁANÓW

Płomień z dymów strzela w chmury –
Dalejże! spieszmy do góry!
Obyczajem ojców nieść
Wśród przyrody Bogu cześć.

JEDNA Z KOBIET

Jak to? Śmiecież się odważać?
Na śmierć pewną się narażać?
Czyliż nie znacie praw twardych
Gnębicieli naszych hardych.

Wkoło rozpięte ich sieci,
Nad nami ostre ich miecze;
Mordowanych ojców, dzieci
Naszych krew z dniem każdym ciecze –
I nas wszystkich, niedaleka,
Nieodzowna zguba czeka.

ZBÓR KOBIET

Wkoło rozpięte ich sieci,
Z każdym dniem płynie krwi rzeka
Naszych ojców, naszych dzieci...
I nas wszystkich – niedaleka –
Nieodzowna zguba czeka.

PIERWSZY KAPŁAN

Kto w wierze swojéj
Wytrwać się boi,
Godnym się staje złej doli. –
Oto las wolny!
Wznoście stos smolny!
Oto drzewa do woli.

Jednak po dniu
Ukryci tu
W gęstwinie krzewów zostaniem,
I zbrojne wkoło rozstawimy straże,
By tym bezpieczniej z nocy nastaniem
Dopełnić, co wiara każe.

ZBÓR LUDU

Idźcie, mężowie! Rozdzielcie się wszędy,
Zewsząd las cały osaczcie.
Skryci, w milczeniu, bezpieczeństwa baczcie,
Aż święte spełnimy obrzędy.

PRZYWÓDCA CZAT POGAŃSKICH

Z tych sług mniszych ciemną zgrają,
Igraszkę dziś sobie sprawmy!
Diabłem, o którym nam bają,
Ich samych strachu nabawmy.
Wśród skał, jarów, dalej razem!
Wkoło, z ogniem i żelazem,
Wlokąc widły i motyki
W noc podnieśmy hałas dziki.

ZBÓR CZAT POGAŃSKICH

Dalej wkoło! dalej razem!
Żywo z ogniem i żelazem!
Wlokąc widły i motyki
Przez skaliste gór parowy,
W noc złowieszcze wznieśmy krzyki...
Puchacze, sowy,
Z nami w chór dziki!

PIERWSZY KAPŁAN

Do tejże nam niemocy
Przyszło, że tylko w nocy
Możemy Bogu dać cześć!...
Lecz noc jest dniem,
Póki Mu śmiem
Czystym ją sercem nieść.

Twa wola, Boże!
Dozwolić może
Wrogom czas, który
Nad nami góry.

Lecz z czarnych dymów płomień się wzbija –
Tak jaśnieje światłość wiary!
I choć nam wydrą obyczaj stary,
Światłość Twą wydrzeć, moc czyja?

JEDEN Z STRAŻY CHRZEŚCIAŃSKICH

Gwałtu! bracia!... Przez Bóg żywy!
Piekieł ćma tu wali cała!..
Patrzcie! patrzcie! co za dziwy!
Poczwarne, ogniste ciała,
Baby-jędze, wilkołaki
Zgrają roją się straszliwą...
Co za hałas! Trzask, pisk jaki!..
O, uchodźmy stąd co żywo!
W górze huczy bies ognisty,
Z dołu bucha dym siarczysty.

ZBÓR STRAŻY CHRZEŚCIJAŃSKICH

O, uchodźmy stąd co żywo!
Co za hałas! trzask, pisk jaki!..
Baby-jędze, wilkołaki
Zgrają roją się straszliwą.
W górze huczy bies ognisty,
Z głębi bucha dym siarczysty...

ZBÓR KAPŁANÓW

Z chmur czarnych dymów płomień się wzbija –
Tak jaśnieje światło wiary!
I choć nam wydrą obyczaj stary,
Światłość Twą wydrzeć – moc czyja?

Z UTWORÓW ROZPROSZONYCH ZMORSKIEGO

Jacek Malczewski, *Rusałki* (1887–1888)

Roman Zmorski

ROZBIÓR. STARE GAWĘDY I OBRAZY KAZIMIERZA WŁADYSŁAWA WÓJCICKIEGO*

Jak szeroka Słowian ziemia, ponad Wisłą, Dnieprem, Bugiem, wśród ponurych, głuchych borów, gór skalistych, świeżych dolin, bujnych stepów, zasp piaszczystych, sterczą baszt i zamków gruzy, i kurhany, i mogiły. Już nad nimi nie szeleści skrzydło sowy ni sokoła, już im ciszy nie przerywa głos kukułki ni gołębia – przecież jeszcze nie zostały bez pieśni i bez stróża. Stara, smutna, nieuczona piosnka jeszcze dla nich płynie; a powieść mroczna, niepewna, co z ust do ust, z serca do serca przebiega, jest im jako stróż wierny. W tej pieśni, w tej powieści leży cały skarb przeszłości jako pieniądz w głębi ziemi, a jako z owej monety rdza, co chwila ściera znaki, w których wyrażona myśl dawnych wieków, tak i pieśń, i powieść stara cierpią co dnia od rdzy czasu. Ująć wspomnienia w ich tajemniczych słowach zawarte, z ich zamglonych malowideł wywieść jasny przeszłości obraz; uczucia, myśli i czyny z dawna minione wydrzeć zapomnieniu – zawód to trudny i długi, ale święty i chwalebny.

Dwie widać drogi przed oczyma miłośników starożytności, dwa sposoby zabezpieczenia od zguby jej wieści. Albo autor zbadawszy pewną część starego podania, rządząc się zawsze główną jego myślą, oderwane pomysły i obrazy łączy, dopełnia, zmienia własną wyobraźnią pierś przechowanych w nim osób, własnym ożywia uczuciem lub inne w działanie wprowadza i tworzy powieść *na podaniu osnutą*. – Albo też zbiera rozpierzchłe wiadomości, śledzi ich początku i gniazda pierwotnego, upatruje związku z historią pisaną, własnymi objaśnia spostrzeżeniami: i tworzy *księgę przechowawczą podań*, niezrównanej ceny dla obecności i przyszłości*. Aby godnie pierwszą iść drogą, potrzebna jest przy głębokim w myśli, w serce niejako swego narodu wniknięciu gorejąca, na wyobrażeniach ludu wykarmiona fantazja i inne tworzące poetę przymioty. Drugą zajdzie do celu, kto głębokie uczucie i przenikliwość z różnorodną znajomością historii, języka… połączy. Obu, jak jednaka niemal praca, tak jednaka niemal chwała.

---

* R. Zmorski, *Rozbiór. Stare gawędy i obrazy Kazimierza Władysława Wójcickiego*, „Piśmiennictwo Krajowe" (dodatek do „Gazety Porannej") nr 45, oddział I, 1840.

* Jest to recenzja tomów: *Stare gawędy i obrazy*, T. I-IV, napisał Kazimierz Władysław Wójcicki, Warszawa 1840. Wydanie nowe: K. W. Wójcicki, *Stare gawędy i obrazy*, Warszawa 1982.

* Kazimierz Władysław Wójcicki (1807–1879) – pisarz, historyk, warsawianista; brał udział w powstaniu listopadowym, prowadził w Warszawie popularny salon literacki, utrwalony we wspomnieniach. Zob. M. Grabowska, *Kazimierz Władysław Wójcicki*, w: *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku*, Seria 3, *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831–1863*, red. M. Janion, M. Dernałowicz, M. Maciejewski, Kraków 1988, s. 425-462. Por. też: R. Zmorski, *Zarysy domowe przez Kazim. Wład. Wójcickiego*, „Przegląd Warszawski" 1841, T. II, s. 304-318.

K. W. Wójcicki obrał z początku tę drugą drogę – drogę badacza i tłumacza przeszłości. Jego *Przysłowia* (t. 3), *Przypowieści* (t. 1), *Pieśni ludu* (t. 3) okazują to dążenie, i zaiste, odpowiednie zdolności, które zasłużoną wziętość mu zyskały. W *Klechdach*, w których wielkiej należało się spodziewać wartości, ujrzeliśmy z podziwieniem miasto zbioru podań, zbogaconych światłego badacza uwagami, podania gminne, w wielu miejscach pokrzywione, poobcinane, powtłaczane w formy krótkich, nic nieznaczących powiastek. Przekonani, że to tylko błąd chwilowy, niecierpliwie czekaliśmy obiecanych *Gawęd*, ale z żalem wyznać trzeba, że to oczekiwanie zawiedzione zostało i że autor, zdaje się, na fałszywą wkroczył ścieżkę.

Bo możnaż wziąć *Gawędy* za utwór autora wyczerpnięty z podań? Nie przyznać im cechę i użytek zbioru wiadomości i badań nad życiem ojców? Nie sposób; – dojrzeć w nich celu? Trudno. Domyśleć się jednak można, że Wójcicki chciał nam w nich dać poznać, co zebrał między gminem i szlachtą w wędrówkach swoich i księgach starych. Nieszczęściem dał się powodować dziwnej jakiejś chęci ogładzania i zdobienia – napisał też, zdobiąc po barbarzyńsku, szacowne wiadomości i własnymi powiększając pomysły, 4 tomy, których by pewno nie złożył właściwym idąc torem. Skutkiem tego postępowania dzieło straciło cel, wartość, jaką by mieć mogło i ledwie, że nie cały użytek.

To, co jest prawdziwie użytecznym, tak zostało nieprzyzwoitymi zaćmione przydatkami, że prawie zupełnie straciło piętno właściwe.

Wiele *Gawęd* (np. *Dziadek*) nie nosi na sobie żadnej cechy miejscowości, ni wieku, ni celu; są to powiastki, jakich pełno mamy tłumaczonych, w tym tylko różne, że zamiast *Alfreda*, występuje *Janusz* itp. Powiastki takie pewno, że by uszły ni chwalone, ni ganione w innej książce, ale nie w tej, o której mowa.

Samemu wykonaniu aż się dziwić potrzeba, wiedząc, że wyszło spod pióra tak biegłego w swym przedmiocie pisarza.

Rzućmyż oko w to dzieło bardziej szczegółowo, w to dzieło, o którym źle mówić z góry pod *infamią* zabroniono[1].

Wadą, która niemal ogólnie uczuwać się daje, jest styl wymuszony i nienaturalny, oczywisty dowód, jak trudno zdrowe zdolności autora dały się nakłonić do wyrażania w niewłaściwej przedmiotów formie. Podobnież ogólną wadą jest kilkakrotne, a bezpotrzebne jednej rzeczy powtarzanie (np. w utworach *Dobosz*, *Hucuły*, *Kulig*, *Gawęda* czy *Soszew*). Napotykamy też do znudzenia powtarzane przypiski i objaśnienia. Wypada stąd obwinić autora o niedarowaną w podobnej pracy niedbałość i skwapliwość, lub, co gorsza, o chęć zapełnienia większej liczby stronnic bezpotrzebnie. Wysoki szacunek, jaki mam dla niego, nie powala mi żadnego z tych mniemań przyjąć.

[1] W numerze 261. „Kuriera Warszawskiego" śmiało zapowiedziano, że zazdrość jedynie może skłonić niezdolnego coś równie dobrego napisać Zoila, aby ganił wydane dzieło. Godna pochwały skromność!...

Najznaczniejszą część *Gawęd* poświęcono oddaniu życia, obyczajów i wyobrażeń starej polskiej szlachty. – Poważni nasi przodkowie ze swoim azjatyckim przepychem, męską odwagą, przesądami, cnotami, nabożeństwem szczerym i dumą, tyleż na rodzie, co na własnej godności wspartą, z życiem swoim przeplatanym wojną, łowy i biesiadami – jak wielki, jak poetyczny obraz! Pokazałże go nam Wójcicki? Bynajmniej. Miasto w grono zacnych mężów, gdzie, choć skażona błędami czasu, tak jasno cnota świeciła, prowadzi nas w sprośnych, na pół zezwierzęconych pijaków koło, mówiące: „to wasi rodzice". Ojców naszych wystawił niegodnych wspomnień i przywiązania, wystawił ich na pośmiewisko i urągowisko, zdarłszy im z siwego włosa laur zarobiony tak krwawo i wszystko, co mieli wzniosłego i pięknego. – Bez wątpienia, było wadą naszej dawnej szlachty zbytnie w napojach zamiłowanie, ale ta wada nie robiła ich takimi, jakich nam malują *Gawędy*; nie odzierała ich z godności i tylu świetnych przymiotów. Bez wątpienia należy wytknąć i zgromić błędy przeszłości, oddając jej cześć, gdzie należy; ale całe szanownych przodków oblicze okryć maską rozpusty i sromoty, ciężka to wina – a o nią słusznie Wójcickiego obwinić można… Mowa szlachty wprowadzonej jest nieznośna, najeżona wciąż prawie tymi samymi przysłowiami, które, jak w porę użyte, dodają mocy i wyrazistości mowie, tak zbytecznie natłoczone, odbierają jej jędrność i zacność. Całą wartość tego typu *Gawęd* stanowi kilka trudnych do wynalezienia o dawnych obyczajach szczegółów: także kilka z rzadkich dzieł wypisów. Nie wiem wszakże, czemu autor, przytaczając z kiermaszu wieśniackiego pieśń o Mazurach, opuścił dwa środkowe ostatniej strofy wiersze („Gotowi do boju,/ W zwadzie i w pokoju"), gdy resztę całkowicie wypisał.

Część dzieła poświęcona życiu, wyobrażeniom gminu mniej już liczy przeciw prawdzie błędów, przecież i tu chęć wystawienia rzeczy powieściowo stała się wielu przyczyną usterek. *Topielcy* i *Hucuły* najwięcej warte z tej części dzieła – razi w niej *Kościół Świętego*. *Krzyża* i *Stare miasto Warszawy*.

Dialog o Twardowskim jest tak dalece smaku i prawdy pozbawiony, że pojąć trudno, jak coś podobnego napisać było można. Dialog ten wwodzi Wójcicki na scenę w XVI wieku, tego więc wieku powinien był nadać mu cechę. Z jakiegoż stanowiska patrzano wtedy na Twardowskiego? Każdy był przekonany o jego związku z szatanem i bez pochyby jako czarownika na scenie by go wystawiono*. Tymczasem autor kładzie mu w usta zdania niezawodnie zgodne z wyobrażeniem, jakie dziś o Twardowskim mamy, ale nie z mniemaniem XVI wieku. W jakim zamiarze wprowadziłby tu autor Węgierskiego, Malczewskiego i innych: co to ma znaczyć? Niech każdy sam osądzi. Do tego potwornego *Dialogu* śmiało dołączyć można kończący dzieło *Stary zamek*, gdzie może pisarz sam siebie rozumie, ale wątpię, czy kto więcej.

Zupełnie od reszty dzieła odrębny charakter noszą *obrazy właściwie historyczne i bibliograficzne*; te, przyznać trzeba, skreślone są godnie autora, z prawdą i celem.

* *Pochyba* – błąd, chybienie; *bez pochyby* – z pewnością, niewątpliwie.

Spostrzegłem tu jednak dwa nie do przebaczenia błędy. Pod napisem *Śpiewacy w Polsce* czytam, że ostatni nasz wieszcz wędrowny, ów starzec Niebieskim Płaszczem zwany w Warszawie, skończył życie między 1816 a 1818 rokiem. Mogę zaręczyć za omylność tej wiadomości; boć ja, co 20 lat jeszczem nie skończył, pomnę go jak sporym już dzieckiem bawiłem się z jego lirą i słuchałem równie dziś, jak wtedy, drogich powieści. Śmierć jego przypadła dopiero na lat kilka przed 1830 rokiem. Drugi błąd popełnił autor, gdy w przypiskach do opisu Warszawy za dawnych czasów przegradza Czersk Wisłą od stolicy – ja przecież w mojej do tamecznych zwalisk przechadzce Wisły na drodze z Warszawy nie spotkałem; ani też rzeka nie odmieniła tak niedawno koryta. Jednak ta część dzieła zasługuje na szacunek i żałować przychodzi, że w ten sposób reszty nie napisano. Gdybyż Wójcicki chciał tym co w niej nadal iść trybem!...

Kończąc te kilka uwag, które pewnie niejednemu zuchwałymi i niesprawiedliwymi zdawać się będą, które niejeden złości lub chętce ganienia przypisze, oświadczam, że mnie do nich jedynie wysoki dla autora szacunek skłonić zdołał. Boć wychodzą w Warszawie *Kalejdoskopy* nie *Kalejdoskopy*, *Humorysty* nie *Humorysty*, *Wieńce* nie *Wieńce*, a ja nikomu słowa nie rzekłem. Ale wytknąć błędy autora, który, idąc właściwą drogą, tyle mógłby przynieść nam użytku i zaszczytu, miałem sobie za obowiązek.

Nie wątpię, że autor oceni pobudki, które mi pióro podały, a gdzie słowa moje są zbyt gorzkie, daruje, bo to są słowa ze środka goryczy[2] – daruje przez wzgląd, że mnie jedynie zamiłowanie krajowości do ich skreślenia ośmieliło.

R. Zmorski

Przepraszamy autora, żeśmy opuścili z jego artykułu wzmiankę niepochlebną o *Pierwiosnku* i *Humoreskach*; bo tyle już było przycinków *Pierwiosnkowi*, tyle o nim we wszystkich prawie krajowych i niektórych zagranicznych pismach rozpraw i sporów, że można już z końcem roku zakończyć wszelkie niechęci literackie, tym bardziej, że drukujący się teraz właśnie nowy na rok przyszły *Pamiętniczek* otworzy świeże szranki do boju piśmienniczo-gazeciarskiego. Tymczasem wspominamy tu, że w numerze 71. „Gazety Literackiej", wydawanej po rusku w Petersburgu, Dubrowski umieścił swój rozbiór tego *Noworocznika* na rok. 1810. – Krytyk oddaje pochwały autorkom i broni je przeciw napadom P. Piertuszki, z którego recenzji przytacza kilka urywków. – Czytając ten *Noworocznik*, mówił Dubrowski, zdaje się, że jesteś w towarzystwie miłych i rozsądnych dam, z którymi nie chciałbyś rozłączyć się…

I chciałby tylko słuchać, słuchać, słuchać…

[2] „At ty zaboju piejéś srdce k srdcu, piesnu z stredna hòre…" (*Rukopis Kralodworsky*). [Zmorski cytuje jako autentyczny tekst tzw. *Rękopis królodworski*, rzekomy zabytek literatury czeskiej z XIII wieku. Była to mistyfikacja literacka autorstwa Václava Hanki i Josefa Lindy, ogłoszona w 1817 roku. Po polsku wydał tekst Lucjan Siemieński w 1836 roku – Red.]

– jak powiedział śpiewak Litwy i Krymu. Tak, słuchać brzmienia polskiego języka z ust kobiet – tkliwe, harmonijne szczebiotanie, które przypomina albo dziecinną swawolę albo wrażenie płomiennej namiętności (*Nieżnyj, błahozwucznyj liepiet, kotyoryj napominaj et to dietskuju riezwost, to wyrażenja samoj pytkoj strasti*).

Dalej Dubrowski mówi: „Kto ma udział w literaturze jakiegokolwiek słowiańskiego plemienia, ten z największym zadowoleniem przeczyta *Noworocznik Warszawskich Dam*. Można go nazwać piękną daniną językową – właśnie w ten czas, kiedy tak rzadko daje się słyszeć głos polskiej Muzy…".

Na koniec krytyk, wykrywając nazwisko redaktorki, Pauliny Kraków, mówi, że wysokie zalety jej poetycznych utworów, mimowolnie zmusiły go z szacunkiem wymienić imię autorki, obdarzonej pięknym talentem – aby to imię znanym było i w ruskiej literaturze!...

Tyle o *Pierwiosnku*. Co zaś do *Humoresków*, o tych śmiało powiedzieć możemy, iż nie są tak złymi, jak wielu mniema.

(Przyp. Red.)

Roman Zmorski

DZIEWICA-WIDMO (Z PODANIA)*

1.

Ponad drogą, na pagórku dwór bieleje murowany, poza dworem nieopodal, za łąką zieloną, w modrzewiów stuletnich cieniu, gęstego ciernia opasana wałem, samotna sterczy kaplica.

Czoło jej wysmukłe przebrane w rzeźby misterne; przez okna wpół wypadłe świecą jeszcze złożone ołtarze; ale dlaczegóż przez malowane jej szyby wicher tak swobodnie wyje? Czemu w pyle i prochu poświęcone butwieją obrazy? Czemu chwast dziki otoczył ją szeroko i dębowe zaplótł wrota?

Tajemnicza, odwieczna powieść otoczyła trwogi nieprzebytą zaporą sczerniałe ściany świątyni i jej cmentarz niegrodzony.

Mówią, że skoro mrok czarny zapadnie, z przeciągłym jak jęk konania skrzypieniem drzwi na rdzawiących rozwierają się zawiasach. Milcząca, blada, w białej jako śnieg szacie z podwoi wychodzi niewiasta. Z czarnym, rozwianym jej włosem wicher dziko się pieści, długa szata wlecze się, czepiając po wybiegłych ostu łodygach – a ona zwolna, dokoła niepewnymi błądzi kroki. Błądzi długo; czasem na zapadłej przysiądzie mogile, przyłoży ucho do ziemi, jakby chciała podchwycić tajemną grobów rozmowę – aż wreszcie, pierwsze gdy zapieją kury, wraca bardziej jeszcze drżąca we święcone starego przybytku progi. I nieraz daleko po polu słychać śmiech dziki, szyderczy, co za powrotem ją wita.

I nie tylko wśród nocy, kiedy się odprawiają te straszliwe cuda, równie czy to w dzień powstaje, czy gore słońce południa, z przestrachem każdy miejsce złowrogie omija. Bo biada, biada! zuchwałemu, co by się śmiertelną nogą śmiał dotknąć widma niewidzialnych śladów…

Na jego śladach śmierć mieszka.

2.

Czy wy wierzycie, o piękne nasze Panie! – wy, co z licem kwitnącym, z płonącym okiem, z sercem tak twardym, pustym, chłodnym, martwe przebiegacie drogę życia – o, grobowce malowane! czy wy wierzycie w te boskie wieki zapału, kiedy rozgronionymi sercami niebieska miłość władała? Kiedy czarodziejską jej siłą natchnione w bohaterki się słabe mieniły dziewice? Kiedy długie cierpienia płaciła im jedna

* R. Zmorski, *Dziewica-widmo. (Z podania)*, „Nadwiślanin" 1841, t. 1, s. 20-25.

z kochanym pieszczota; i o miłości tylko tak śniły, i dla miłości wszystko święciły, jak wy święcicie dla złota?

Wy nie wierzycie – a przecież tak było!

I nieraz młoda pańska córa rzucała zamek bogaty dla młodzieńca, któremu mieniem całym pochylona była chata, zagon roli, miecz przejrzysty i bijące silnie serce. I nie raz nieszczęsna w jaśniejącej życia wiośnie, niż rozstać się z ulubionym, z światem się rozstać wolała.

Wy nie wierzycie. Wam te wieki, te uczucia pijanym się widzą marzeniem. O, a przecież, wierzcie, tak było!

3.

Ranek – w murowanym dworze rżą konie, dudnią kolasy, służalców krzątają się tłumy; coraz rośnie zgiełk, gwar, wrzawa – jutro gody pańskiej córy.

On sam dumny, milczący, spogląda z okien wspaniałej komnaty na dworzec swojego domu – i uśmiech z dawna nieznany rozjaśnił mu latami pomarszczone czoło.

Ciesz się! Ciesz, przemożny Panie! W cóż by się uśmiech twój zmienił, gdybyś mógł wiedzieć, w tej chwili, gdzie twoja córka jedyna?

4.

A patrzcie! Ona tam – pod modrzewiów sklepieniem, obok zaklętej kaplicy, wsparła twarz łzami zalaną na obcego pierś młodzieńca. Nieraz już ją tam wiodła porankiem śmiała dłoń miłości w ulubionego objęcia.

Dziś go żegna raz ostatni – i silniejsze jej uciski, gorętsze jej pocałunki, łzy bardziej gorzkie niż kiedy. On ją przytula do łona, tłumi łkania ustami swymi, cichymi cieszy wyrazy…

5.

Co on do niej mówił? Co ona mówiła?... mnie nie pytajcie – ja nie wiem.

Ale kiedy na ziemi pomrok zapadł szary, koń młodzieńca wiatronogi niósł go głuchym, czarnym borem, pod opuszczoną świątnicę.

I oto już widać posępne jej ściany, słychać smutny głos puszczyka, co na jej wieży, pod z dawna oniemiałym dzwonem bezpieczne gniazdo założył – a wiatr chłodny, jesienny, świszcze koło uszu jeźdźca tak boleśnie, tak żałobnie, jakby go chciał strzec od zgonu. I chociaż odważne serce, zachwiało się na chwilę. Stanął, czoło w krzyż uzbroił, wytężył oko ciekawie – i patrzy…

Nagle wśród smutnych modrzewi, mignie biała jak śnieg szata – z wolna, niepewnymi kroki, snuje się postać wyniosła…

– To ona! – ona – spiesz, mój białonogi!

Rumak parsknął, zastrzygł uchem – i ostrogą ostrą wsparty, sunął strzałą pod kaplicę.

Księżyc skrył się poza chmury i w grubych nocy ciemnościach biała tylko świeciła sukienka.

– Tyś to?

– Ja – odrzekł głos cichy.

I młodzieniec już dziewicę drżącymi ściskał ramionami… A wicher zawył smutno, żałośnie; zagrzmiał śmiech dziki, szyderczy.

I razem z piersi młodzieńca wydarł się krzyk przeraźliwy, krzyk przestrachu i rozpaczy…

Jako młody zapaleniec, co chciwie w pierwszej kochanki rzucając się objęcia, zamiast anioła, ze zgrozą szkielet martwy przy sercu poczuje, on na licu swym piekłem uczuł dech zgniły grobowy, na szyi dłonie skostniałe. I zdrętwiałymi rękoma daremnie wyrwać się silił z lodowatego objęcia.

A koń we wściekłym, szalonym pędzie pognał przez pola piaszczyste, i zniknął w gęstej mgle nocy…

6.

Młodzieńca nikt już z ludzi więcej nie widział na ziemi.

Piękna młoda pańska córa o świcie martwa na łące leżała.

Roman Zmorski

PISMA PERIODYCZNE W WARSZAWIE LITERACKIEJ TREŚCI*

„Biblioteka Warszawska". – Redaktor główny J. A. Szabrański. Wyszedł już tom cały: możemy więc sądzić o duchu i wartości pisma. Poezje w bibliotece są podobno najsłabszą stroną. Z wielu bardzo zamieszczonych tu utworów zaledwie kilka w trzecim zeszycie, znanych od dawna osób piórem skreślonych, mają szacunek i wartość. Zresztą, a osobliwie w zeszycie 1. będące, poezje wcale poezją nie są. Dziwić się nawet wypada, czemu redakcja, o ile wiadomo, z światłych złożona osób, umieszczała co podobnego, jak wiersze Leona Potockiego, Paszkowskiego i bajki St. Jachowicza, jakkolwiek dobre zawsze bajki. Musimy się też ująć za honor Goethego, mocno pokrzywdzony w tłumaczeniu *Fausta*, tak przez Paszkowskiego, jak i przez J. A. Szabrańskiego. Cały przekład obydwu niewierny, bez pojęcia autora zrobiony, a nawet zakrawa cokolwiek na parodię. Wyjmujemy od tych zarzutów tylko jedną modlitwę Małgorzaty.

Więcej warta proza; oczywiście odłączywszy artykuł Maciejowskiego *Zabytki pogaństwa w Polsce*, *Tomiłę*, *Józefę Żelichowską*, artykuł Eleonory Ziemięckiej, *Charakterystyka kobiety*, i kilka innych.

Wybornie jest napisany *Andrzej Wolan* przez M. Balińskiego, wiele warto tłumaczenie z Jerzego Sand o *fantastycznym dramacie*, nie jest bez zalet proza Wojciecha Potockiego. *O filozofii jońskiej* A. Cieszkowskiego godnie autora napisano: ale praca ta jego pozostanie u nas bez użytku, bo zbyt nieprzystępnym dla ogółu sposobem wyłożona. A. Kurca rozprawa *O przemyśle* godna upowszechnienia w osobnej książce, ale nie odpowiada periodycznemu pisma duchowi…

Krytyka „Biblioteki Warszawskiej" jest najgorszą ze wszystkich złych krytyk. Co tu stronności! Co fałszu! – i taki to pokarm duchowy podają Publiczności. Istotnie trudno wstrzymać oburzenie, czytając np. zdania o Kraszewskim, którego poniżyć wzięła sobie za punkt honoru „Biblioteka" i różnymi imiony podpisanymi rzuca na niego pociski. Próżno! Próżno się trudzą panowie A. Tysz…, Rt., Sieciech itd. Można i do nich zastosować słowa poety:

Jak Araby skwarem spiekłe,
Miotają bluźnierstwa wściekłe;
Przeciw słońcu, co je pali.
Próżne wycia! Marne wrzaski!
Wrą pod ich nogami piaski,
Słońce posuwa się dalej.**

* R. Zmorski, *Pisma periodyczne w Warszawie literackiej treści*, „Nadwiślanin" 1841, T. I, s. 47-48.
** Jest to swobodnie zacytowany fragment *Ody na pokój w roku 1809* Kajetana Koźmiana.

Ogólną „Biblioteki" cechą jest ta niewłaściwość i fałsz krytyki, w poezji proza, w prozie brak wszelkiej użytkowej strony.

„Przegląd Warszawski" pod redakcją J. Budziłowicza i H. Skimborowicza. Zeszyt pierwszy ukazał się około środka marca.

„Piśmiennictwo Krajowe", pod redakcją H. Skimborowicza, wyszło nr 10.

Roman Zmorski

CZARNA MARA. POWIEŚĆ HISTORYCZNA PRZEZ ANNĘ NAKWASKĄ*

Wielka reforma, która objawiła się i wstrząsnęła literaturą naszą z początkiem bieżącego wieku, prócz innych mnogich korzyści, tę z sobą przyniosła, że zwróciła umysły ku badaniu miejscowego ducha, usiłowania ku stworzeniu własnej poezji. Jeżeli gdzie, to bez wątpienia u nas kierunek ten obfite zapowiadał owoce. Z tylu odnóg słowiańskich niektóre szczególniej tak mocno różnią się między sobą obliczem swego kraju, obyczajami, przesądami, pieśnią, tańcem, podaniem, językiem, dziejami nawet zamieszkałych plemion; w czym wszystkim tak wiele objawia się poezji, że trudno było nie spodziewać się bogatego z tej niwy zbioru. Wkrótce nadzieje te świetne spełnionymi zostały. W jednej niemal porze ukazały się licznie mistrzowskie poematy młodych autorów, w których się cudownie odbiło oblicze Ukrainy i Litwy. A jako na głos Waltera, obróciły się wszystkich oczy ku dzikiej i górzystej Szkocji, tak na dźwięk tych pieśni ku owym stronom zwróciła się cała uwaga z zajęciem i zapałem. W ślad za tymi wielkimi tworami polał się i do dziś dnia leje rój cały piosnek, dumek, ballad, powieści nierymowanych i rymowanych na *motylki*, *myrylki*, *kurhany*, *teorbany*, *szumki*, *dumki*, których autorzy po większej części nie widzieli Litwy ni Ukrainy, nie słyszeli wichru szumiącego po lasach i stepach, myślą przecież, że nasrożywszy wiersz prowincjonalnymi wyrazami, nadadzą mu cechę miejscową. Rój ten, byłby już sam dostatecznym dowodem, jak przyjęto pierwsze te swojskie powieści i jak wiele one na usposobienie ogółu wpłynęły. Słusznie więc w rychle należało oczekiwać pieśni, w których by równie pięknie zajaśniała poezja innych plemion. Przecież od tak dawna daremnym było to oczekiwanie; aż dzisiaj dopiero na zaklęcie młodego wieszcza piękna Bogunka wstała z wód goplańskich i gra srebrnymi dźwiękami jeziora… Zaiste, dziwić się należy obojętności, co pozwoliła, i do dziś dnia pozwala, widomym leżeć marnie gdzie indziej skarbom, a osobliwie w Mazowszu*.

Same dzieje tej ziemi już obszerne otworzyłyby pole. Wśród tylu zmiennych kolei ściera się ono ze wszystkich stron to z dzikimi hordy Prusaków, to z pogańskimi

---

* R. Zmorski, *Czarna mara. Powieść historyczna przez Annę Nakwaską*, „Przegląd Warszawski" 1841, T. II, s. 211-223.

* Jest to recenzja powieści: A. Nakwaska, *Czarna mara. Powieść historyczna*, Warszawa 1841, ss. 294; kolejne wydanie: *Czarna mara. Powieść historyczna z dziejów Warszawy*, Warszawa 1899.

Anna Nakwaska (1781–1851) – powieściopisarka i pamiętnikarka polska, pisząca także dla dzieci. Autorka między innymi: *Obrazu warszawskiego społeczeństwa w dwóch powieściach* (Poznań 1842), *Anieli czyli ślubnej obrączki. Powieści narodowej* (Warszawa 1831), *Odwiedzin babuni, czyli powieści dla zabawy grzecznych dzieci* (Warszawa 1833–1834). Biografią silnie związana z Warszawą. Zob. *Bibliografia Literatury Polskiej „Nowy Korbut"*, T. V, *Oświecenie*, Warszawa 1967, s. 367-369.

Jadźwingi, to z drapieżną Litwą i hołdownym zakonem Krzyżaków; ciągłe zatargi nie dają się tu rozkrzewić szerzącej się po Polsce oświacie, nowym zwyczajom i błędom. Mazury zostają przy dawnej swej prawości i cnocie, ale też razem nieokrzesanej prostocie swojej. Na tle tego mgławego obrazu przesuwa się w półcieniu niejedna bohaterska, wpół dzika postać książęcego Piasta; niejeden tragiczny, wielki lub okropny czyn i wypadek… Nareszcie tajemniczy zgon dwu młodych książąt, co do dziś dnia we wzajemnym objęciu, jakby pomni dawniejszej miłości, śpią snem kamiennym pod bokiem wielkiego ołtarza warszawskiej katedry, udzielne państwo łączy z królestwem na zawsze; ale w prawodawstwie, ale w publicznym życiu długo tkwią jeszcze ślady minionego rządu.

Iluż dopiero skarbów nie znajdziesz, jeśli nie gardząc gwarną karczemną gawiedzią, pochyloną chruścianą chatą, pójdziesz szukać pomiędzy prostym Mazowsza ludem! Znajdziesz tu gościnność, cnotę, serca proste i nieskażone. Wrzące, gwałtowne duszy uczucia objawiają się w całym życiu Mazura. Dość widzieć taniec jego pochopny, dość widzieć te koła tak raźno i rączo, tak swobodnie, a z takim ładem krążące, dość słyszeć tętniącą pod nogami podłogę, aby je odgadnąć. Lepiej jeszcze, wyraźniej odbiły się one w pieśni: darmo byś w niej chciał znaleźć lekką krakowiaka wesołość albo tęsknotę ukraińskiej dumki – smutna czy wesoła odznacza się zawsze energią i mocą, tak, że słysząc ją noga mimo woli uderza o ziemię, chcąc z niej iskier wydostać. W niejednej z tych pieśni usłyszysz o zbrodni, co cię zimnym obleje strachem: o cudownym jakim zjawisku, co ci dzień i noc stać potem będzie jak mara wywołana z grobu, ale takich niewiele już zostało. Z niezliczonego mnóstwa jedne czas pożarł zupełnie, z innych poszarpanych jego zębem, świetne tylko zostały szmaty, jak szczątki chorągwi po bitwie, inne rytmu swojego zapomniawszy, w długie, dziwaczne rozpłynęły się powieści i pod ubogim bajek imieniem siadają z wieśniakiem obok zimowego komina, karmią swą piersią niedorosłe dzieci, zapalają serca, albo za ciasnej chaty krańce wybiegłszy w jasną noc miesięczną, leją blask bardziej uroczy niźli tysiące księżyców na piaszczyste pagórki, na samotne, odwieczne ruiny, na rozsiane mogiły. I niktże ich nie oceni, nikt nie powtórzy na nowo?

Ja, co lubiłem ich słuchać od młodu, nauczyłem się cenić te skarby; toteż z radością i zajęciem pochwyciłem do ręki *Czarną marę*, *kronikę dawnego zamku książąt Mazowieckich*, z zajęciem tym większym, że jej przedmiotem jest tak głośne i ważne zdarzenie zgonu dwu ostatnich Piastów na Mazowszu, zmarłych w swej zorzy młodości, w równym wieku, w krótkim po sobie czasie. Porównanie świadectwa kronikarzy i okoliczności zgonowi ich towarzyszące przekonywać się zdają, że wielka, ukryta zbrodnia stała się, jeśli nie dla obu, to przynajmniej dla Janusza, jego przyczyną. Domysły, niezupełnie prawdopodobieństwa pozbawione, oskarżają o nią Bonę Sforzę, żonę Zygmunta I. Zaiste, cobykolwiek było mogło dać powód chytrej Włoszce do tak szkaradnego postępku, zgodnym byłby on zawsze z dobrze znanym

usposobieniem jej duszy. Z drugiej strony zarzut niecnego czynu ciąży na pamięci Katarzyny Radziejowskiej, wojewodzianki rawskiej, która, bądź chcąc miłosnym napojem skłonić serca ich ku sobie, bądź umyślnie przyrządzoną truciznę książętom podać miała[1]. Po ich zgonie znalazła ona przed szaloną zemstą Mazurów uchronę przy królewskim boku – ale na innych o współudział z nią podejrzanych osobach, które w ręce rozpaczających wpadły, mścili się oni długo i krwawo. Otóż wszystko, co wiemy względem tak ważnego w smutkach wypadku, który tym znakomitsze przedstawia autorowi korzyści, że go tajemnicy mrok pokrywa, a przeto pozwala rozwinąć całą potęgę wyobraźni, Anna Nakwaska taką na nim powieść osnuła:

Stanisław Piast, starszy mazowiecki książę, bawiąc w Krakowie, pozyskał nieprawe upodobanie Bony; gdy się więc ma oddalić, ta chcąc sobie powrót jego zapewnić, stara się go nakłonić, aby przywiódłszy brata do wstąpienia w stan duchowny, sam zamieszkiwał na Wawelu, dopóki by córka jej, Katarzyna, stosownych do połączenia się z nim lat nie doszła. Do tych przedstawień użyła jednej ze swoich panien, uczennicy swej w sztuce tajemnych intryg, Urszuli Radziejowskiej; ale ta godna jej wychowanica, chciwa władzy i zaszczytów, nadto w wdziękach i dowcipie zaufana, miasto służyć swej pani, samą siebie na tron Mazowsza wynieść postanowiła, w czym zajęcie pewne przez Stanisława okazane nadzieje jej wspiera. By tym swobodniej i skuteczniej rozwinąć działania, pragnie ona oddalić się ze stołecznego miasta, w czym wezwanie ojca do pielęgnowania chorej matki wybornie jej posłużyło. Odjeżdżającej Bona, niby to dając swój wizerunek na pamiątkę, powierza puszkę trucizny. Młodzi rządcy Mazowsza bawią tymczasem w Warszawie, gdzie Stanisław z uczuć swych zwierzywszy się bratu, gotuje zamek na obiecane przybycie Urszuli. Tu poznajemy dwie osoby, które niemałą grają potem rolę. Giżankę, córkę nadwornego piekarza, i Ludosława, giermka księcia Janusza. Ludosław kocha piękną piekarczankę, kiedy jej serce zajęte jest czystą platoniczną dla starszego książęcia miłością. Urszula przybywa z ojcem na imieniny Janusza; wkrótce Stanisław odwiedza Radziejowice, ale bytność tam jego, wbrew oczekiwaniu dumnej dziewczyny, oziębia mu serce, zamiast co by je rozognić miała. Z nadejściem wiosny książęta zwiedzają zawiślańskie lasy; tu w *Lipowym Dworze Drużbicza*, starego ojca ich sługi, Janusz przedstawia bratu skrycie sobie zaślubioną wychowanicę starca, Wisławę: Stanisław wybór jego potwierdza i publicznie ją księżną Mazowiecką uznaje. Powiernica Urszuli, Dzierzwocka, która, pod różnymi pozory, śledziła, co się na mazowieckim działo dworze, widząc w tym małżeństwie nową dla swojej pani do władzy przeszkodę, uradziła z sprzymierzoną sobie Cyganką Jewą, że koniecznie wymóc na wojewodziance potrzeba zezwolenie otrucia młodej pary – a nawet Stanisława, gdyby ten zawiódł jej nadzieje. Szczęściem

[1] To mniemanie podało treść do krótkiej powiastki, a raczej szkicu Stanisława Jaszowskiego. [Stanisław Jaszowski (1893–1842) – pisarz, autor m.in. *Powieści historycznych polskich* (t. 1-3, Lwów 1829) – Red.]

Giżanka, podsłuchawszy tej rozmowy, zawiadamia tegoż o niej. – Gdy się to dzieje w okolicach Warszawy, samowładna po zgonie matki panna Radziejowska, nudne w domu wiedzie godziny. Jednostajność tą życia przerywa przybycie Dzierwockiej i Cyganki, donoszących jej o owych zaślubinach. – Ale wkrótce nierównie boleśniejszy cios ją spotyka: poseł wysłany od starszego księcia z prośbą o rękę Agnieszki na Świdnicy, wystąpiwszy w podróży do zamku, ujęty wdziękiem zalotnicy, poselstwa swego tajemnicę jej wyjawia. Wściekłość, która ją ogarnęła, powiększa odebrany list od Stanisława, w którym wyrzucając niegodne jej zabiegi i widoki, odsyła pukiel włosów niegdyś otrzymany, słuchając więc podszeptów powiernicy, oddaje pod jej rozrządzenie otrzymaną od królowej truciznę, sama zaś z pośpiechem wraca do Krakowa. Zaczynają wreszcie działać złośliwe pomocnice Urszuli. Cyganka Jewa, wezwana przez nadwornego piekarza, któremu chleb udawać się przestał, aby ten urok oddaliła, wchodzi do jego domu, podczas, gdy Giżanka bawi na zamku przy Wisławie. Korzystając ze sposobności, zaprawia niegodziwa baba trucizną przeznaczone dla książąt pieczywo. Stanisław używszy go więcej, w ciągu kilku dni umiera; Janusz wlecze cierpiące życie, ze słabą wyzdrowienia nadzieją. – Lud Warszawy, uniesiony rozpaczą po zgonie jednego z ukochanych władców, a bliską stratą drugiego, pali na stosie Cygankę, o której dowiedział się zbrodni, wraz z jej występnym synem; Giżankę, obwinioną o zbrodnię w stosunku do intryg Urszuli i jej powiernic, tenże sam los byłby spotkał, gdyby Ludosław, nie mogąc ocalić, nie był przebił jej strzałą. Na koniec umiera Janusz, ostatni książę Mazowsza, które przychodzi na dożywocie Bony, ta zaś namiestnictwo powierza mężowi Urszuli, Oborskiemu, kasztelanowi warszawskiemu. Podczas wjazdu kasztelaństwa do Warszawy ukazuje się na zamku duch niewinnej Giżanki pod postacią Czarnej Mary; Mara ta, ciągłym swym ukazywaniem, wpędza wreszcie do grobu Urszulę. – Poznawszy plan, zobaczmy teraz, jaka jest wartość tej *historycznej* powieści. Autor tej powieści, jeśli nie chce stworzyć niedołężniej i potwornej budowy, nie powinien poprzestać na prostym poznaniu wypadków, stosunków i miejscowości; same te martwe wiadomości nie na wiele mu się przydadzą. – Każda ziemia, wiek każdy, prócz wyraźnego piętna swego, ma jeszcze do siebie coś takiego, co się nazwać ani wypowiedzieć nie da, co jedynie uczuć można – jest to niby wiatr obwiewający dusze, niosący z sobą myśli i uczucia, które z nim razem znikają; niby promień kolorowy, który wszystkiemu udziela swojej farby i dziwnego jakiegoś uroku. Wielką jest umiejętnością pojąć tę tajemną mowę kraju; wżyć się do tyla w obyczaje, wpić się w duszę przeszłości, aby aż pochwycić to tajemne tchnienie czasu. Kto tego doznał, czarodziejską ma w ręku swym laskę: w słowach jego usłyszycie szum głuchy lasów, tak że mimowolnie okiem szukać będziecie zielonego nad sobą sklepienia, usłyszycie ciche chwianie się trawy na łące i chrzęst zeschłego liścia pod nogą; każda jego ręką stworzona osoba oddychać będzie przed wami, każdy obraz jego nosić będzie niepojęty urok

życia i prawdy – kiedy tymczasem bez tej umiejętności prawda nawet historyczna wyda się martwym i niedołężnym myśleniem.

Autorka *Czarnej mary* nie pojęła ani wieku, ani narodu, ani charakterów, które malować się jęła. Daremnie byśmy w jej dziele szukali odbicia w półpijanego, rzeźwego i czynnego życia ówczesnych Mazowszan; nie słychać w nim ani ochoczego łogów gwaru, ani hucznej wrzawy biesiadnej. Opisanie drobnych częstokroć, ale do harmonii ogólnej konieczne potrzebnych szczegółów, które w romansach Walterskota* tyle czyni wrażenia, tutaj wyradza się jeden, prawie nieprzerywany łańcuch błędów; co snadnie spostrzec może każdy wzrok baczniejszy. Całą historyczność *Czarnej mary* stanowi katastrofa, obficie powtarzane nazwiska narodowe ziem i osób, i niemniej obfite zwroty, którymi autorka ciągle, ale daremnie przekonywać nas pragnie, że czytamy narodową z XVI wieku powieść. – Brak życia, niestosowność, którą na każdej spotykamy karcie, sprawia czytelnikowi niesmak, ckliwość i znużenie.

Ale ujemny ten wzgląd nie jest jedynym *Czarnej mary* błędem: napotykamy tu jeszcze z wielką samowolnością dokonane pogwałcenie historii, jak to osobliwie postrzegać się daje w malowaniu dwóch głównych charakterów Stanisława i Janusza. Obu tych młodzieńców znamionowało męstwo; szczery i szlachetny umysł, miłość ludu swojego, braterska jedność i zgoda; ale też razem rozpustne życie do tyla, że wielu przyczynę ich zgonu w wycieńczeniu sił żywotnych znajduje. Wystawić ich we właściwej postawie, niewiele potrzebowało zachodu. Tak trzeba było iść, tylko i podniósłszy ich z marmurowego grobu, tak jak są, zostawić w objęciu z tą młodą twarzą, długim po niej płynącym włosem, zupełną zbroją, mieczem i oszczepem, i pełną dać w ręce czarę. P. Nakwaska zamiast tak uczynić, miast rzeźwych, rubasznych młodzieńców, wystawia ich pełnych jakiejś mdłej sentymentalności w guście pani Genlis, jakiejś przesady nadzwyczaj szpecącej. Oto przykład, jak przemawia Stanisław, w końcu pierwszego rozdziału: „Wszystko to lepszy obrót weźmie, jak ci się teraz zdaje, kochany Januszu – odrzekł Stanisław, wychodząc z komnaty, – ale czas już posilić się po drodze, wieczerza na nas czeka, a po niej spoczynek miły; bo czyste chęci i nieskażone sumienie, głębokim snem młodości zasypiać nam dotąd dozwalają". Możeż być co nienaturalniejszego? – w ten przecież sposób przemawiają wszyscy wprowadzeni aktorowie. Przyznać jednak potrzeba, że niektóre inne charaktery daleko lepiej są oddane: osobliwie też prosta i czysta miłość Giżanki, obok dumnych żądz Urszuli, wcale dobrze skreślone byłyby, gdyby nie szpeciła ich podobnaż przesada i wielomówstwo. To drugie jest także wadą całego dzieła, a wśród niego niejeden arystokratyczny wykrzyk spostrzegać się daje.

Samo powieściowanie nie jest ani prawdopodobnym, ani szczęśliwym, ani, pomimo mnóstwa poplątanych intryg, zajmującym. Tajemne małżeństwo Janusza z Wisławą, które tak mocno wpływa na rozwiązanie powieści, niezgodne jest wcale z charakterem

* *Walterskota* – czyli Waltera Scotta (1771–1832), szkockiego poety i pisarza, autora m.in. *Rob Roya* (1817).

jego prawdziwym; a ogłoszenie jej publicznie księżną i mieszkanie na warszawskim zamku – zuchwałym zaprzeczeniem historii; boć niepodobna przypuścić, aby wypadek taki uszedł kronikarskiej uwagi, a nigdzie nie znajdujemy o nim wzmianki. – Improwizowany Stanisław ów, równie jak zjawienie się zamaskowanej podczas warszawskiej uczty Wisławy, jest tyle niestosowne, co bezpotrzebne. Anachronizm popełniony wprowadzeniem – na 5 lat przed jego narodzeniem – Jana Kochanowskiego na dwór Bony, jest wcale nie do wytłumaczenia, ponieważ żadnej ozdoby, żadnego książce nie dodał efektu. W mnóstwie zdarzeń i powikłań dwa tylko węzły nie są bez pewnej wartości. Trafnym jest sposób, którym Urszuli[2] powiernice rzucają pozór zbrodni na Giżankę, również jak połączenie działań obu sprawczyń, Bony i Radziejowskiej. Ten ostatni pomysł mógł był uczynić dzieło bardzo zajmującym. Czarna Mara niewinnej Giżanki ukazująca się w chwili tryumfu i ciągłym zjawianiem się dręcząca główną swej zguby sprawczynię, jest piękną i poetyczną fikcją. Ale czemuż autorka liczy ją na karb podania gminnego, gdy gmin nigdy go nie miał? Podanie jest świętą księgą, której bez grzechu ująć ni dodać jednego nie godzi się słowa.

Musimy też jeszcze sprostować jeden błąd P. Nakwaskiej. Wszystkim wiadomo, że pierwotne Mazowsze zawierało w sobie późniejsze województwa płockie i rawskie; tudzież, że mieszkańcy ich jednego byli plemienia. W *Czarnej marze* przecież rozjuszeni wołają Rawiczanie, że *porąbią ślepego Mazura*.

O stylu to tylko powiemy, że mógłby przykrym sprawić czytanie nawet więcej skądinąd mającej wartości książki.

Po całkowitym przejrzeniu i bacznym zastanowieniu się nad powieścią *Czarna mara* zdaniem naszym jest, że autorka nie tylko nie podjęła wieku i osób przez siebie opisywanych, ale nawet zadania historycznej powieści, mniemając, że do uczynienia jej takową, dość jest nagromadzić nazwisk miejscowych i historycznych i za podstawę obrać istotny wypadek. Żałujemy, że skutkiem tego zdarzenie z dziejów Mazowsza, mogące być przedmiotem pięknej, rycerskiej powieści, zostało skreślone w sposób tak słaby i fałszywy. Żałujemy niemniej, że aby oddać świadectwo prawdzie, musieliśmy tak surowo ocenić prace autorki, której inne pisma są dowodem, że byleby stosowniejsze dla siebie obierała przedmioty, niejednym jeszcze pięknym utworem pomnożyć może literaturę naszą.

R. Z.

[2] Wojewodzianka Rawska znaną jest powszechnie pod imieniem Katarzyny i radzi widzielibyśmy zachowaną tę nazwę miasto Urszuli.

Roman Zmorski

KORESPONDENCJE. SZANOWNY REDAKTORZE![*]

13 kwietnia 1844 r.

Prawdziwie się ucieszyłem, że i nadal, tak jak dotąd, wychodzić „Tygodnik" będzie, i to ciągle pod redakcją Waszą – boć możecie wy błądzić jak każdy, ale przynajmniej nie dopuścicie się fałszu względem siebie i odstępstwa od zasad raz przyjętych, co nade wszystko cenię w ludziach publicznych, a co tak jest rzadkim! Wzywacie mnie, abym oświadczył szczerze, co myślę o „Tygodniku" i zdaniu jego – przynajmniej teraz nie uczynię tego. Wymagałoby to bowiem i pracy, i dłuższej rozwagi, i wreszcie lepszego obznajmienia się z pismem Waszym, stanem itd. Jako przecież rzetelnie przychylny Wam, a interesowany „Tygodnikiem" jakby moją własnością, korzystam z wezwania Waszego i zrobię kilka uwag, które słusznymi mi się widzą. Przyjmijcie je sercem takim, jakim ja je daję. – Największą i prawie też jedyną wadą dotąd „Tygodnika" uważam brak godności w walce – i nie tylko w walce. Nie sądźcie przeto, abym podzielał zdanie Edwarda D. i przypisywał to brakowi zasad[*]. Nie sądźcie także, abym nie uważał za dobre plunąć po prostu podłości w oczy i brutalskim słowem zdeptać kłamstwo lub dumę – ale wierzcie mi, że nie ma nic smutniejszego, jak przycinki i dowcipy złośliwe. Nie jesteśmy we Francji, gdzie podobno dowcip jest orężem zabójczym. „Tygodnik" powinien być reprezentantem ducha Ludu – niech więc gdzie trzeba bez ogródek twardą mówi prawdę, niech klnie i potępia, ale twarz jego zwykle niech będzie cichym, spokojnym zwierciadłem męskiego, pewnego siebie ducha. Osobliwe docinki (np. „Orędownikowi" dawane gdzie tylko się zdarzy sposobność) najgorszy robią skutek. Względem pism i autorów Litwy, tak zwanego Królestwa i Galicji wymierzone podobne pociski mniej złą by miały minę, a może by czasem nie były bez skutku; ale rzucone na autorów i pisma tutejsze, nie tylko ubliżają powadze pisma, nadają jego polemice charakter złośliwości osobistej i zawiści; ale nadto jako poznaki urazy sprawują przeciwnikom radość, że Wam dogryźli i nadal ich ośmielają. Nie lepiejże dać spokój tym kłótniom? Najlepszą krytyką niegodnych będzie godność Wasza[1]. Jeżeli znajdziecie,

---

[*] R. Zmorski, *Korespondencje. Szanowny Redaktorze!*, 13 kwietnia 1844 r., „Tygodnik Literacki" 1844, nr 6, s. 46-47.

[*] Edward D. – Edward Dembowski (1822–1846) – krytyk i pisarz, przyjaciel Zmorskiego, z którym Zmorski skłócił się około 1843/1844 roku (zob. E. Pieścikowski, *Poeta-tułacz*…, s. 57-59).

[1] Czytelnicy szanowni uważać będą, że już od dawnego dość czasu zaniechała redakcja dowcipkowania z pism takich, jak „Trzeci Maj", „Zjednoczenie" – „Orędownik" – „Przyjaciel Ludu" itd. Szedł redaktor, który wszelkie mu udzielone rady co do swego pisma z największą wdzięcznością przyjmuje. W tym za radą kilku bliżej mu znanych czytelników. Jeżeli czasem który z sz. naszych współpracowników cierpko się wyrazi o jakim piśmie poznańskim, to pewno nie bez słuszności, a wówczas redakcja zmienić tego nie ma prawa. (Red. Tyg.)

że autor czy pismo, które rzuciło zdanie istotnie szkodliwe lub obraziło świętą sprawę, powstańcie na chwilę – zgromcie z wysokości zasad waszych, jak przystało gromić wolnemu służalca, a osobiste przymówki zbądźcie milczeniem pogardy. Wtedy „Tygodnik" przybierze cechę zupełną świętości naszej wiary – a przyjaciele widząc, że obrazić Was za słabi, umilkną, warcząc jak psy, gdy nie dbając na ich szczekanie idziesz śmiało swoją drogą. Winniście takie postępowanie tym bardziej przyjąć, aby dać przykład godności, gdzie on jest bardzo potrzebny – a może od Was nauczyłyby się prywatne osoby zamiast drobiazgowych przegryzań i koteryjnych nienawistek prowadzić walkę zasad, jak przystało na obywateli i Polaków. – Powiedziałem, że nie tyko w walce widzę brak spokoju i godności w „Tygodniku". Tłumaczę się jaśniej. Nic nie znam świętszego jak zapał w człowieku, on myśl przetwarza w czyn – czyn w piorun rozdzierający chmury ciemności i odkrywający wolności słońce. Ale zapał prawy nie jest jako chwilowy wybuch miny; jest to ogień równym płomieniem jasno gorzący, którego żadna zgasić nie podoła władza, a okoliczny wicher ani go wzniesie, ani do ziemi nachyli. Taki zapał pojawia się w piśmie energią słowa, zgodnością zawsze i wszędzie ze sobą samym pisarza, jasnością i prostotą – gwałtowne wykrzykniki, przesadzone uniesienia, rzadko z nim tylko są w zgodzie; częściej dowodzą one jego braku, a powtarzane bez ustanku stają się śmieszną parodią. Otóż za złe mam „Tygodnikowi", że w nim napotykam czasem artykuł krzyczący – to jest, w którym brak uniesienia serdecznego zastępują bujnie zasiane wykrzyknikami. Najokropniej namnożony tymi znakami artykuł: *Notatki z podróży* (nr 52-1843)*. Dziwię się, jak mogliście go umieścić? Dziwię się, jak szanowany przez swe nieoszacowane serce i uczciwość Edward D. mógł tak napisać? Gdybym mógł na chwilę myśl tę przepuścić, sądziłbym, że chciał wyśmiać i sparodiować usiłowania ku wejrzeniu w życie Ludu i zbadaniu jego skarbów. Ale pomyśleć tak o nim byłoby podłością – zacności jego charakteru niewielu sprosta nawet wśród młodzieży naszej. Tym boleśniej widzieć mi jego upadek jako autora. Jeżeli uznał za dobre i narodowe dążenie naukę obcą, przeciwną podług mnie bytowi naszemu, niechże pracuje dla niej – czas pokaże, gdzie słuszność: – ale gdy nie pojmuje ducha Ludu, gdy mimo to, że pragnie szczęścia jego, nie umie go czcić, nie wcielił się weń myślą i sercem, niechże nie poniewiera lekkomyślnie przedmiotami, których nie uważa za godne zgłębić i zbadać. On, co wszędzie rad by widzieć *posadę naukową*, czyż myśli, że jedyne tylko podania Ludu, żywioły jego traktować godzi się płocho, zbyć kilkudziesięcią bezmyślnych a szumnych zdań – kilkudziesięciu wykrzykników? Zastanowiłże się on, ile podobne obejście przeciwnym jest na każdym nieledwie wierszu jego rzuconym słowom: *Miłość Ludu*. Już dziś wielu wie, że pojęcie Ludu trudnym jest i długiej pracy wymaga, oby i zacny D.

* E. Dembowski, *Notatki z podróży*, „Tygodnik Literacki" 1843, na 52 (z 25 XII), s. 410-412. Przedruk w: E. Dembowski, *Pisma* t. III, 1843, red. A. Śladkowska, M. Żmigrodzka, Warszawa 1955, s. 404-410.

przejrzał wreszcie dla tej prawdy; a wtedy w każdym piśmie jego tchnęłoby święte jej uczucie, choćby nie świeciło słowo: Miłość Ludu!… Nie mogłem się wstrzymać od wylania serdecznego – darujcie mi ten występ mimowolny – wracam do porządku. – Otóż powiadam, życzyłbym „Tygodnikowi" mniej artykułów podobnych, jak *Notatki z podróży* i (między nami mówiąc) po części rozbiór *Pieśni o ziemi naszej*, dokonany przez pewną szanowną osobę, a który bardziej jest panegirykiem niż rozbiorem…

Sądzę, że na ten raz dość tych uwag – może i za wiele? Ale samiście winni, samiście wywołali wilka z lasu. Zresztą sądzę, że lepiej, gdy przychylne usta prawdę powiedzą, niż gdy ją zwiastują z urąganiem i złością nieprzyjaciele.

Wasz Roman Mazur

Roman Zmorski

WSPOMNIENIE SEWERYNA ZENONA SIERPIŃSKIEGO*

Życie umysłowe, dążność szlachetna ku zwalczeniu kłamstw i błędów tamujących drogę ludzkości, tyle są wielkie i święte, że ktokolwiek raz wstąpił w szranki, kędy się toczy bój prawdy i fałszu, kto poświęcił się pracy na drodze powszechnego postępu, na głowę jego schodzi poświęcenia promień i odblaskiem swoim oświeca cały zawód jego. Byt jego odtąd przestaje pełzać w powszednim zakresie drobnych, robaczych kolei, wznosi się nad jednodniowe trwanie motyle, a wiążąc się w olbrzymi łańcuch czynów, ciągnący się przez wszystkie wieki przeszłości i przyszłości, nabywa nieśmiertelnego istnienia, a to tylko istnienie człowiekowi przystało i ludzkim zwać się jest godne. Zgon jego nawet traci charakter codziennego zjawiska i zmienia się w ważny, skutkami ciężarny wypadek, bo wtedy w śmierci człowieka widzimy klęskę zadaną sprawie Dobrego i Światłości. Dlatego też widok wsławionego męża, gdy po długim zawodzie, w którym rozwinął całą myśli swych potęgę, tchnął całą wolę i czucie swoje w świat społeczny i zdobył dla imienia swego nieśmiertelność, schodzi do grobu z siwym włosem, jaśniejącym niezgasłej chwały promieniami złotymi, obok żalu i smutku tchnie w nas jakieś wzniosłe uspokojenie i siłę, pogrzeb jego jest świętem apoteozy, tryumfem ducha ludzkiego nad śmiercią, którą zwyciężył. Ale kiedy w dniach pierwszej młodości, zanim zdołał jeszcze wypowiedzieć duszy swojej tajemnice, nim miał czas wcielić byt swój w byt powszechny, nim mógł ceną boleści i trudów niedostępnych duchowemu życiu zapewnić sobie imię u przyszłości, człowiek poświęcony naukom umiera, wtedy jakże smutno, jak czarno wygląda chwila jego pogrzebu! Jakie złowrogie wrażenie zostawia ona w gronie rówieśników i towarzyszów zmarłego!

Roku przeszłego odbył się w Warszawie jeden z tych pełnych boleści i żałoby pogrzebów. W dniu 8 lutego 1843 zakończył życie Seweryn Zenon Sierpiński, liczący zaledwie dwadzieścia pięć lat wieku, rodem z Lublina*. Tak krótki bieg życia nie pozwolił mu pracą i staraniem rozwinąć wrodzonych zdolności, ukształcić wszechstronnie umysłu i zająć w literaturze miejsca, które by mógł posiąść kiedyś, nie przeszkodził mu jednak stać się użytecznym dla kraju i piśmiennictwa naszego i zapewnić sobie wspomnienie bratnie, zasłużone rzadkimi przymioty serca, miłością szczerą prawdy

---

* R. Zmorski, *Wspomnienie Seweryna Zenona Sierpińskiego*, „Tygodnik Literacki Literaturze, Sztukom Pięknym i Krytyce Poświęcony" 1844, nr 20, s. 153-157.

* Seweryn Zenon Sierpiński (1815–1843) – pisarz, jeden z członków Cyganerii Warszawskiej, wolnomyśliciel. Autor *Nowego gabinetu powieści* (T. I-III, Warszawa 1840–1842) oraz *Obrazu miasta Lublina* (Warszawa 1839). Zob. I. Jarosińska, *Seweryn Zenon Sierpiński*, w: *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku*, Seria III, *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831–1863*, T. II, red. M. Janion, M. Dernałowicz, M. Maciejewski, Kraków 1988, s. 209-228.

i ojczyzny. Te to dwie miłości podały mu pióro do ręki, którego aż do śmierci nie skalał żadnym kłamstwem, płochością ani obłudą.

Przywiązanie do ojczystych rzeczy, do wspomnień narodowych nieszczęść i chwały zwróciło umysł Sierpińskiego na pole rozległe dziejów; chciał on przechować od zagłady drogie pamiątki upadłego kolosu, rozjaśnić przeszłość przepaścistą, wizerunkiem minionej wielkości natchnąć do równie wielkiego kwitnienia kraju. Ale znał on trudność powołania obranego, wiedział, przez ile ciasnych obłędów wiedzie nić historii i że aby nie zgubić drogi, długą nauką i doświadczeniem przysposobić się do niej należy; różnie więc przystępując do pracy, zrazu jął się więcej, lecz nie tyle wymagającej usposobień, dzielnicy i postanowił badać szczegółowo i rozpoznać dzieje miejsc pojedynczych, przeważnie wpływających na minione narodu życie. Owocem pierwszym jego trudu był *Obraz miasta Lublina*, wydany w Warszawie 1839 roku w jednym tomie, a którego powtórna, znacznie poprawna i pomnożona edycja wyszła tamże wkrótce przed zgonem autora, w 1843 roku. Pismo to dokonanym zostało z ścisłością i sumiennością największą, tak, że można jedynie zbytnią drobiazgowość jako wadę mu zarzucić. Powinno być wprawdzie więcej nierównie życia w historii znakomitego miasta, do którego tyle wiąże się wspomnień, a między nimi zawarcie wiekopomnej unii Polski i Litwy, co jedynym w dziejach świata przykładem dobrowolnie dokonana przetrwała w sercach ludów obu upadek państwa – ale kto zna cenzurę, snadnie uniewinni autora, który wszystko, co mógł, uczynił.

Drugą obszerną pracą Sierpińskiego była *Akademia Zamojska*, na krótki czas przed zejściem jego ukończona. Obszerne to dzieło składa się z trzech części: 1) Rys dziejów Akademii Zamojskiej, 2) Profesorowie i uczeni Akademii, 3) Bibliografia, obejmująca wszystkie dzieła wydane w Zamościu lub przez tutejszych autorów[1]. Prócz tego napisał on był kilka historycznej treści, to znów opisujących starożytnych naszych pisarzy, pomniejszych rzeczy, umieszczonych w „Przeglądzie Warszawskim", „Nadwiślaninie" i „Piśmiennictwie Krajowym"[2].

Prace tego rodzaju, które autor niejako za szkołę swoją uważał, mają bez wątpienia swoją rzeczywistą wartość i pozostaną jako ważny materiał dziejowy, ale z natury swojej samej nie mogły one wpłynąć na usposobienia współczesne, nie mogły się w niczym przyczynić do skierowania umysłów na pożądany tor. W Polsce bowiem – a nie jest to wcale znakiem umysłowego ubóstwa, ale raczej pełnej potęgi czerstwości narodu – dotąd żywe tylko słowo budzi życie, a pieśń lub powieść wspominająca przeminione

[1] Pierwsza część, najmniejszej objętości, umieszczoną była w „Jaskułce", wydanej w Warszawie w 1843 roku.

[2] „Przegląd Warszawski" wychodzi miesięcznie od 1810 roku. Do 1842 roku pod redakcją Jakuba Budziłowicza – pismo to odznaczało się równie dobrem, jak bezinteresownością zupełną, i było bez wątpienia najlepszym z wydawanych dotąd w Warszawie – „Nadwiślanin", również zeszytowy, redakcji S. Filleborna, zaczął wychodzić w 1841 roku i wkrótce upadł. – „Piśmiennictwo Krajowe" wychodziło długo jako dodatek do „Gazety", mieściło wiele zajmujących rzeczy i wiele okazywało życia aż do chwili upadku w roku 1841. Redaktorem był Hipolit Skimborowicz.

dni przeszłości działa silnie i przechodzi w krew powszechności, podczas gdy uczone rozprawy i historie pozostają obce masom bez żadnego na nie wpływu. Sierpiński wiedział dobrze o tej potrzebie publiczności, czuł, że jaką bądź drogę obiera sobie pisarz, jak bądź samotne i oderwane zajmie stanowisko, jako członek narodu i wieku nie mniej jest obowiązanym, choćby pracując dla wieków i świata, działać na obecne plemię i dla obecnej chwili. Pragnąc się przyłożyć do rozbudzenia moralnego życia w kraju, radząc się własnych skłonności i zdolności, obrał sobie powieść za środek i pierwsze w tym rodzaju próby wydał w trzech tomach w Warszawie między 1841 a 1843 rokiem. Powieści te przede wszystkim zaleca rzadki nadzwyczaj przymiot: są one zupełnie wolne od wszelkiego obcego wpływu i naśladownictwa, treść ich zarówno, jak forma są samodzielnym owocem natchnienia pisarza; oprócz bowiem łacińskiego, polskiego i rodzinnego małoruskiego języka nie posiadał żadnych innych, a nawet z tłumaczeń nie znał literatury romansów, gdy je pisać poczynał. Dlatego też, pomimo zbyt drobnego rozmiaru, płody te od razu uderzają osobną fizjonomią swoją, mają oddzielny swój charakter i pełność życia, na czym zbywa naszym powieściom zwykle bladym, kopiowanym widocznie i z zamiarem. Dlatego też zasługują, ażeby w nich się rozpatrzyć i wniknąć w ich istotę.

Powieści Sierpińskiego, jeśli w nie szczerze wejrzymy, zdradzają swego autora, że był poetą w chwili ich tworzenia. Istotnie, widać w nich wiele własności bardziej poematowi przyrodzonych: kontur śmiało i od niechcenia zakreślony, w rozwijaniu wypadków zupełna prostota, bez powikłania sztucznego, bez starań o wrażenie, nagłe, dowolne zwroty i przejścia, jedynie podług kaprysu dokonane, bez troski o ich usprawiedliwienie i omówienie, zwięzłość w malowaniu miejsc głównych, a obok niej częste i rozległe ustępy. Co do szczególnych przymiotów autor celuje w doskonałym dialogowaniu, a najbardziej w naturalnym oddaniu rozmów prostego ludu i mowy starej naszej szlachty, co dowodzi wielkiego powieściopisarskiego talentu, jaki, gdyby się rozwinąć miał porę, niezawodnie wysokie w literaturze zająłby miejsce. Nie wpada on ani w archaizm, ani w przesadę, którą zwykle naśladowcy niezgrabni gminnego języka grzeszą i można powiedzieć, że w tym względzie kilku zaledwie dotąd mu zrównało. Toteż miejsca, gdzie opisuje wiejskie życie lub obrazy przeszłości, są kwiatem dzieł Sierpińskiego, widać, że jest w swym żywiole, tak pełno ma ruchu i siły; lecz gdzie, wychodząc z tej sfery, wstępuje w koło niby polerowniejszego społeczeństwa, gdzie ima się malować jego stosunki i namiętności, wikła się, mieni i słabnie – widoczna nieznajomość rzeczy nie pozwala chwili złudzenia czytelnikowi*. Jako wady zarzucano mu dzikość języka, grubiaństwem i wyuzdaniem rażące wyrażenia i odrażających kreślenie obrazów. Nic dziwnego, że uszkom wypieszczonym na ckliwych, miłosnych jęczeniach i mdłych opisach cudzoziemskich romansów każde wyrażenie męskie

* *Nie pozwala ... chwili złudzenia* – tu: nie pozostawia chwili złudzenia.

i szczere wyda się twardym, dzikim; językiem grubiańskim dla wychowańców salonu mówią miliony ludu i kto chce wiernie skreślić jego życie, musi słów tych niewytwornych użyć, a dziwnym byłoby żądać od pisarza, by wystawiając nędzę wtłoczoną do błota zakamieniałymi dłońmi bogaczy, strzegł się bryznąć kroplą kałuży na świecące szaty panienek i paniątek pięknie wychowywanych.

W jednej z swych powiastek, pt. *Biedna Józia*, zszedł się Sierpiński przedmiotem i po części szczegółami z Kraszewskiego *Życiem sieroty* i *Bladą dziewczyną spod Ostrej Bramy*, która z rozcieńczenia pierwszej powstała i mimo ogromnej wprawy autorskiej Kraszewskiego, nędza sieroca u Seweryna więcej nierównie sprawia wrażenia; pierwszy bowiem zarzucił na nędzy chude ciało idealny płaszcz kryjący wystające spod skóry kości, drugi odsłonił całą jej odrażającą nagość.

Wielekroć zdarzyło mi się słyszeć klątwy rzucane na duch powieści zmarłego. Istotnie są one gorzką ironią wyśmiewającą świat nasz i wszystko, co on uznał za święte, zuchwałym zdeptaniem wszelkiej wiary, starganiem i urąganiem ze wszystkich uczuć i związków jego, a przecież, względnie do stanu naszego społeczeństwa i osobistych przekonań pisarza, potępienie to niesłusznym uważam. Najniesłuszniejszym zaś byłby wniosek, że on nie uwierzył w cnotę lub nie oddawał jej czci; właśnie ta to cześć rzetelna natchnęła go nienawiścią i wzgardą dla faryzejskich hołdów dzisiejszego plemienia. Lubi on zdzierać promienną uczuć maskę z zimnych, egoistycznych i przewrotnych głów, plwać na poświęcony świętokradzkimi rękoma ołtarz cnoty tam, gdzie jest malarzem rzetelnym obecności. Lecz za to ustępy, w których własne swe przekonanie i myśli skreśla, tchną tak czystą moralnością, tak rzewnie z duszy płynącą, tyle [tam] prawdy i miłości dla świata, że niepodobna pominąć ich bez silnego, błogiego wrażenia. Ustępy takie, raz tchnące tak prostą i swobodną, że aż uśmiech wywołuje, fantazją, to znów dziką, posępną i burzliwą, są pełne to młodzieńczych marzeń i żądz, to czarnej, nieokreślonej rozpaczy zawiedzionego serca, są znów dowodem poetycznego natchnienia autora, o którym on sam nie wiedział. W całym zbiorze jego jeden tylko wiersz się znajduje: piosnka do kochanki nucona przez fantastycznego zbójcę; rytmem, nutą i kilką zwrotów przypomina ona *Pieśń u drzwi śpiącej kochanki* Wiktora Hugo i – może to tylko moje dziwactwo – mimo widocznego zewnętrznych kształtów chromania piosenka polska więcej mi się podobała. Powieści Sierpińskiego mają jeszcze jedną wadę, o ile to istotnie wadą zwać się godzi: spokrewnione są z poematami. Podrzędne osoby tworzy on rozmaicie i grupuje z wielkim instynktem, ale głośne charaktery uderzają najmniej baczne oko swą jednostajnością; jest to właściwie jeden charakter bądź w kobietach, bądź w mężczyznach stale wszędzie utrzymywany, jest to odbicie osobistości twórcy w rozlicznych i coraz odmiennych położeniach. Wszystkie te osoby są w wybitnej z otaczającym je społeczeństwem sprzeczności; zranione od niego, mszcząc się za zniszczenie, za zniewagę swoich ideałów, walą i kruszą bałwany jego.

Czasem walczą z nim otwartą siłą, częściej, zbrojne zimną rezygnacją, w cichości cierpią i szydzą – w obu razach zwykle giną nieszczęśliwie.

To wszystko, co o powieściach Seweryna mówiłem, odnosi się równie do trzech tomów wydanych drukiem, jak i następnych trzech, zostających w rękopisie, które za życia mi czytał. Ze wszystkich powieściopisarzy w Warszawie, prócz jednego J.B. Dziekońskiego[3], żaden, podług mnie, nie miał tyle zdolności i życia, co zmarły.

Jeśli jako pisarz Sierpiński zasłużył na żal po sobie publiczności polskiej, to jako człowiek u tych, którzy z nim dzielili trud życia, którzy go poznali z bliska i ocenić mogli, zaskarbił on sobie pamięć i szacunek trwały, jak bądź często mylne mogły być wyobrażenia, jak bądź dziwny i nierozwikłany charakter jego. Nie zdarzyło mi się dotąd znać człowieka, którego by się nazwać godziło, właściwiej niż jego, ateistą, jeżeli tylko słowo to nie jest czczym strachem wymyślonym od tchórzliwego kleru, jak Zoil od bojaźliwych pismaków, i jeżeli imię to mogłoby przystać temu, kto wierzył w nieśmiertelny postęp ludzkości i przyjście panowania prawdy z miłością na ziemi. W politycznym względzie był on republikaninem, przypominającym pierwszych Konwencji członków na zmniejszoną skalę, zagorzałym, niebacznym na następstwa, gotowym wszystko poświęcić zasadzie, która mu się sprawiedliwą zdała. Ale zatrzymał się on na tym stanowisku, z którego nie mógł jeszcze dojrzeć ani pojąć budowy przyszłego społeczeństwa, odrodzenia świata burzy; widział tylko to, co należy zwalić na burzę, zniszczenie, nie sięgał dalej żądzami. W każdej chwili i kroku swoim był on wrogiem zarówno świeckiej, jak kościelnej hierarchii, wszystkich upowszechnionych przesądów i mniemań dawnością sędziwych, pragnąc zwalić to, co jest błędnego w wyobrażeniach moralnych, nie wahał się wywracać całego moralności drzewa, razem z trującymi zdrowe owoce przeznaczyć na stos ognisty, był niejako uosobieniem niszczącego pierwiastku. Charakterom podobnym zwykle przypisywane bywają rozwiązłe chuci, życie bez wodzy i baczenia, a słabi ludzie przeczą zwykle szczerości takowych, uważając je za płaszczyk wymyślony dla pokrycia wad postępowania. Sierpiński był żywym przykładem, jak snadnie podobne mniemania fałszywymi być mogą; prawdziwie był on wśród młodzieży, osobliwie w naszych czasach, rzadkim zjawiskiem wstrzemięźliwości, skromności i niesłychanego umiarkowania. Oddany cały życiu wśród starych ksiąg i rękopisów, nie znał nawet towarzyskich uciech, miłość i obcowanie z płcią niewieścią na jedną nie odrywały go chwilę od samotnych zatrudnień i prac. Wpośród krążących czar upajających, w niezwiązanym żadnym hamulcem kole młodzieży on wydawał się jak szkielet wśród uczt starożytnych, żaden napój go nie znęcił, żadne nalegania ani szaleństwo dokoła panujące nie skłoniło go, by je podzielił, tak że często śmiech nasz budziła ta niepojęta, pustelnicza powściągliwość. Z nieubłaganą srogością zasad łączył zmarły niezwykłą łagodność uczuć

[3] Józef Bohdan Dziekoński, jak już w „Tyg." wspomnieliśmy, prócz pomniejszych powieści fantastycznych, napisał we dwóch tomach powieść *Sędziwój*. *Z życia znanego polskiego alchemika*.

i dobroć serca; w osobistych stosunkach niepodobna bardziej nad niego wyrozumiałym być dla wad drugich, cichszym i przyjaźniejszym. Nie znał on, co nienawiść osobista i zawiść, płochym dowcipem nie obraził nigdy ułomności bliźniego, poniżeniem innych nie starał się podnieść siebie, nie zawiódł położonego w sobie zaufania, każdemu z chęcią oddał sprawiedliwość i usługę. Nikogo też nie było, co by miał żal lub najmniejszą do niego urazę, jak bądź żył w kole gorących namiętności młodzi, jak bądź obcą mu była umiejętność życia i w każdym miejscu, w każdej chwili, każdemu szczerze mówił, co myślał.

Tą to prawością i świętością charakteru swego wywierał on, choć nie miał genialnych zalet, choć często dziwny i sprzeczny, znakomity wpływ na młode pokolenie i korzystnie działał w walce umysłowej, odbytej za jego życia. Walka ta na pozór mało znaczna i drobna, bo stan kraju krępował ją i nie dał większych wziąć na się rozmiarów, ważną wszakże była w skutkach swoich. Po upadku powstania z roku 1830, kiedy wszystkie teorie i pomysły, uważane za dobre, pokazały się słabymi i bezużytecznymi, nastała była w Polsce chwila długa powszechnego milczenia i odrętwiałości. Wśród ciszy tej jednakże myśl, że jedynie w duchu ludu zbawienie jest, kształciła się tajemnie, lecz bezustannie, w szczupłych, lecz licznych gronach zaufanych towarzystw i tą drogą szeroko rozpuściła korzenie. Dotąd wszakże zbywało jej na głosie, którym z resztą powszechności porozumieć by się mogła, środka połączenia, opinii; około 1839 i 1840 roku poczynają się usiłowania energicznej, a przejętej sprawą narodu młodzieży, aby zapobiec tym niedostatkom. Niezawodnie literatura byłaby tu najwłaściwszą działania drogą, dotychczas przecie składała się ona w Warszawie z kilku dość pustych i poziomych głów, które za jedyny obowiązek autora uważały napisanie kilku drobnych, bezbarwnych artykułów, a za cel chwały pełny poklask po odczytaniu ich w salonie. Literatura taka, głaskana i protegowana, miała czas rozrosnąć się u nas jak perz na nieuprawionej roli i, zawistna o siebie, przeciwna była wszelkiej wschodzącej nowej roślinie. Kiedy ludzie pojmujący rozległe powołanie pisarskie okazali usiłowania dążące ku stworzeniu popularnej literatury, tamci trwożni o swoją powagę, by wzbudzić cześć u powszechności i zasłonić się od zapędów zuchwałej młodzieży, odziali się togą szkolnej nauki, którą zwać ścisłą i głęboką, a która, jak chce niech będzie ważną u obcych, na polskiego piśmiennictwa dębie zieleniącym jest pasożytną jemiołą, nic więcej. Wsparci imionami kilku znanych z nauk cudzoziemskich Polaków, nie rozumiejących polskiego życia i ducha, scudzoziemczałych, znaleźli oni poklask i wziętość, u reszty śmiech i oburzenie. Stworzyć jednakże nową obok dawnej literaturę było nieprawdopodobieństwem dla mnóstwa nieprzyjaznych a silnych okoliczności. W imieniu wolności i ludu walka szła dorywczo tylko i niestale, walczący bowiem pod tym sztandarem miał przeciwko sobie zarazem zawistnych literatów z rzemiosła, cenzurę, z którą się łączyli, byle zgłuszyć wschodzącą ideę, i – policję tajną. Prócz więc rozpierzchniętych tu i ówdzie w druku pism starano się krążącymi w rękopisach

dziełami i żywym słowem elektryzować masy i tworzyć opinią, skutkiem też czego powstała ona wkrótce silna, stanowczo republikańska, a w połowie 1843 roku dała znakomitej potęgi znaki. Do otrzymania tego celu niemało przyłożył się Sierpiński, choć szczupła tylko osób liczba o tym wiedziała, walcząc jako niezmordowany i niezrównany szermierz, mówiąc wszędy prawdę bez żadnego względu na czas i osoby, może nawet częstokroć w niewłaściwych miejscach, przed osobami, którym by ją zamilczeć należało, postępowanie godnym, pełnym poświęcenia, szczerości i miłości.

Postępowanie bowiem jego było zawsze zgodne z słowami i zasadą, którą wyznawał aż do zgonu, który to bywa probierczym kamieniem stałości i prawdy człowieka – wytrwał w nim statecznie. Na łożu śmiertelnym nie przyjął ofiarowanych sobie duchownych pociech, spokojnie, jak żył, z wypogodzoną twarzą czekał, rozmawiając o niej, przedwczesnej godziny. Wkrótce potem skonał. W dniu 10 lutego zwłoki Seweryna ze szpitala ewangelickiego, w którym zakończył życie, poniesiono na cmentarz Powązkowski. Skromnemu wozowi nie towarzyszył żaden ksiądz; orszak pogrzebowy tworzyło przeszło stu młodych ludzi, którzy bądź dzielili z nim zawód krótki, bądź hołdując cnocie zmarłego, otaczali go szacunkiem. W cichości ciało jego przyjęła ojczysta ziemia, jak cicho pracował on w miłości ku niej. O! oby wszyscy mogli tak ufnie, że spełnili swój obowiązek o ile mieli sił, złożyć głowę na łonie tej matki!

Pozostali towarzysze i rówieśnicy chcieli uczcić zmarłego grobowym pomnikiem i wspomnieniem – nie pozwolono im dopełnić tego obowiązku świętego. Niechże choć te kart kilka będą hołdem oddanym rzadkiej cnocie, poświęceniu i wytrwaniu, a zarazem przypomnieniem dla tych, co na trunę jego rzucili garść polskiej ziemi, że każdy dzień może być ostatnim i dla nich; niechże mu nie pozwolą ujść płocho i marnie!

I ten szczęśliwy, kto legł wśród zawodu,
Chlubnym wiedziony zapałem,
Jeżeli martwym swym ciałem
Dał innym szczebel do wielkości grodu*.

* Jest to swobodna parafraza strofy *Ody do młodości* Adama Mickiewicza (1820).

Roman Zmorski

POEZJE ALEKSANDRA GROZY PRZEZ ROMANA MAZURA (WILNO, 1843 ROKU – TOMÓW DWA)*

Od czasu, jak zaniemeńskie strony Polski naraz prawie zakwitły cudownym wieńcem poetów, którym naród zawdzięcza wszystką siłę obecnego duchowego życia, nawykliśmy uważać owe ziemie za ojczyznę nieprzebranych pieśni i oczekiwać stamtąd na wieszczów natchnionych. Lecz odkąd ów świetny wieniec twórców rozerwany, rozprysł się po obcych krajach, lata za laty mijają nam w oczekiwaniu, i gdy we wszystkich zakątkach starej Polski gwiazdy poezji wschodzą, za Niemnem ciemno i głucho, bo przecież niepodobna słabych prób, które tam się jawią, jak Kraszewskiego, Hołowińskiego[1]), Mariana Jezierskiego za utwory poetyczne uważać i choćby najdalej stawić w jednym rzędzie z dziełami słusznie wielbionych pisarzy. Czyż nowo teraz wydane *Poezje* A. Grozy pod szczęśliwszą nie powstały wieszczbą? Nie będą one tym, tak długo czekanym, głosem prawdziwego poety? Zobaczymy!*

Główny żywioł, zajmujący największą część, a wydatnie panujący nad całym dziełem, na pierwszy oka rzut poznać się daje; autor przede wszystkim przedstawia się jako ukraiński poeta. Zapewne, że opiewając po Goszczyńskim, Malczewskim, Zaleskim, Olizarowskim tenże sam kraj, tenże sam ład, aby zająć zupełnie samoistne i niezawisłe wcale od nich stanowisko, na to olbrzymiej potrzeba mocy; pewnie także urokiem ich owładnięci czytelnicy tym więcej będą wymagali, tym mniej znieść potrafią brak natchnienia i siły. Są to rzetelne trudności, z którymi łamać się musi każdy, co pójdzie ich drogą; z drugiej przecież znowu strony, dzięki tym wielkim mistrzom, wiele przedstawia ona ułatwień i korzyści. Usunęli oni pierwsze, najcięższe do pokonania zawady i pośród rozdroży niezliczonych stoją ich ogromne mogiły wśród ukraińskich stepów, po których możesz bieg swój przez pustynie kierować. Wskazali oni poetyczną stronę tego rozległego świata, tego ruchliwego i jak jaszczurka barwo-zmiennego pokolenia, tak że dziś poezja jego otworem stoi jak szyba kopalni, ani jej trzeba szukać znojnie wśród

---

* R. Zmorski, *Poezje Aleksandra Grozy przez Romana Mazura (Wilno, 1843 roku – tomów dwa)*, „Tygodnik Literacki" 1844, nr 30-31, 33-34; 1845, nr 37, 41.

[1] Mówię tu o autorze *Legend*, nie o tłumaczu Szekspira. [Zob. I. Hołowiński, *Legendy*, Petersburg 1855 – Red.]

* Jest to recenzja tomów: *Poezye Aleksandra Grozy*, T. I-II, Wilno 1843, s. 161 i 203.

Aleksander Karol Groza (1807–1875) – poeta i dramatopisarz romantyczny, autor m.in. powieści *Pan starosta kaniowski* (1836) oraz dramatu *Hryć* (1858). Nawiązywał do folkloru ziem ukraińskich. Zaliczany jest do poetów „szkoły ukraińskiej" w poezji polskiej. Zob. *Bibliografia Literatury Polskiej „Nowy Korbut"*, T. VII, *Romantyzm*, Warszawa 1968, s. 434-438.

jałowej lub opoczystej niwy. Wreszcie, co jest niemałą rzeczą, za ich powodem ogół pozna się dostatecznie i z ziemią ich, i z jej mieszkańcami, a piszący dziś nie potrzebuje się obawiać, by zwięzłość i swoboda nie uczyniły go niezrozumiałym. Nie potrzebuje także sposobić dopiero serc do uniesień swych podziału, ożywiać ich myślami swymi i podbijać gwałtem pod moc swych klątw: dość tylko zabrzmieć na znajomą duszy nutę, a ona, oczarowana już dawniej pieśnią twoich poprzedników, na wspomnienie samo tej pieśni rozgorze i pójdzie za tobą. Taż więc droga, którą obrał sobie A. Groza, dla pisarzy miernych zdolności, potrzebujących wsparcia i przewodników nadzwyczaj jest dogodną i powolną – jak to oni sami poznali, cóż dopiero dla geniusza, któremu nie masz za małych ni za wielkich obrębów.

Jeżeli gdzie, to na Ukrainie bujne jak trawa stepowa, różnolice, jak odmienne coraz krajobrazy jej życie, z mnogich a wydatnych złożyło się żywiołów, z których każdy osobno wzięty, niesnadnie się da wyczerpnąć, a kojarzenie ich wzajemne i zmieszanie, nieskończenie rozmaite dadzą obrazy. Michał Grabowski (w czasach gdy jeszcze do samolubnych, przeciwnych dobru powszechnemu zasad, nie dołączył był publicznej zniewagi ojczyzny[2]) słusznie uważał, że każdy z znakomitych poetów tej ziemi inny z żywiołów takowych rozwinął. Ale gdy życie szlacheckie, kozacze i rozbójnicze, wspomnienia wojenne i dziejowe unieśmiertelniła ręka mistrzów, jeden żywioł, będący wszędzie najżywszym źródłem poezji, zaniedbany dotąd i zaledwie dotknięty został; jest to świat wiary, mniemań gminnych, wiecznie świeży, pełen cudów i dziwów. Olizarowski w *Zawerusze* zdejmując wzory z ludu, życia jego, odtwarzając nawet tak umiejętnie język, nie dotknął wcale tej najgłębszej duchowej strony jego*. W jednym tylko *Zamku*

[2] Rzucając przelotnie potępiające zdanie na jednego z rodaków, winien powiedzieć przyczynę. Nic bowiem nie masz bardziej płochego i oburzenia godnego, jako niewyłuszczone obszerniej, jedno słowne potępienie człowieka. Różność zasad, jak bądź moje jako najświętsze szacuje, nie pozwoliła by mi nigdy wyrzec słowa wzgardy; ale jeśli wolno różnić się wyobrażeniami, nie tracąc wzajemnego szacunku, jest jedna sprawa, jedno uczucie narodowe, w którem wszystkich serc promienie się zbiegają, a którego obrazić bezkarnie nie można. Żadne z dzieł wydanych w kraju nie zraniło tak uczucia powszechnego, nie wznieciło tak wspólnego oburzenia jak osławione *Mieszaniny* [*obyczajowe* Jarosza] Bejły. Michał Grabowski przecież urągając tym jednozgodnym poruszeniom serc, wystąpił otwarcie z pochwałą autora, który nasz naród za trupa, braci poświęcenia, robactwem toczącym ścierw uznał. Starał się podnieść imię, rozgłosić utwór nikczemny za geniuszu płód. Podobne wystąpienie otwarte godne lepszej sprawy, jest czynem charakteryzującym najsilniej; i powszechna też opinia uznała krytyka wspólnikiem Bejły, Michał Grabowski raz wszedłszy na tor, nie zbacza z niego – brnie dalej śmiało z dumą i pewnością siebie; po dowody odsyłam do korespondencji literackich. Miejsc, gdzie ich szukać, nie wskazuję – bo znane są dość, równie jak stanowisko autora; o czym jeśli zbytecznie się rozpisałem, to dla tej jedynie przyczyny, że zbyt uroczystym czynem uważam sąd o kimkolwiek, tym bardziej zaś o ludziach pracujących w wielkim piśmiennictwa zawodzie. [Zob. H. Rzewuski, *Mieszaniny obyczajowe*, przez Jarosza Bejłę, T. I, Wilno 1841; T. II, Wilno 1843; wyd. nowe: H. Rzewuski, *Wędrówki umysłowe*; *Mieszaniny obyczajowe*, wstęp I. Węgrzyn, przypisy K. Węglarczyk, Kraków 2010 – Red.]

* T.A. Olizarowski, *Zawerucha, powieść ukraińska*, w: tegoż, *Poematy*, z autografów i pierwodruków opr., wstępem poprzedziła M.Burzka-Janik, red. M. Burzka-Janik i J. Ławski, Białystok 2014.

Kaniowskim, tym olbrzymim tworze Goszczyńskiego, w którym jak najdoskonalej wszelkie żywioły bytu jego ziemi plotą się, działają i walczą, jak jedna z czynnych potęg wpływają pojęcia i wiara gminna. Ustępy natchnione nimi (jako to miłość Kseni, straż szubienicy itd.) są przepowiednią, ile czarów wywołać można, jak olbrzymie skutki osiągnąć, postępując w podobnym kierunku. Tu bowiem wszelkie względy krępujące i miarkujące polot rozbujałej wyobraźni ustają, tu najzuchwalsze, najdziwaczniejsze marzenia nie wymagają ni usprawiedliwień, ni omówieni, najprostszy, nieszykowny nawet bieg zdarzeń zdaje się poetycznym i naturalnym; słowem jednym, tu jeszcze wieszcza wola jest wszechwładnym prawem, bezwarunkowym, niecierpiącym sądów nad sobą. Duch bowiem gminu dotrwał do dzisiaj świętym i potężnym, że widząc zasiadającego na sztuki ołtarzu, z laską jego cudowną miasto berła, poetę, któżby śmiał wątpić, by mu wszystko wolno być nie miało?

Lecz każda świętość temu tylko rękoma pochwycić się da, kto w sercu ją swoim nosi; niezgodny zbliżający się do ognia ofiarnego, spłonie w nim karę zuchwalstwa. Tak też i autor kuszący się użyć żywiołów gminnych, jeżeli kochającym sercem nie ogranie ich i w sobie nie rozwinie, a tylko z krytycznego rozmysłu posługiwać się nimi chce, zamiast stać się wzniosłym i wymownym, śmiesznym się stanie i słowa jego przejdą bez śladu, bez wrażenia. Dowód tego świeży na Aleksandrze Grozie. Bez zamiłowania gorącego, bez ufności w moc jego natchnień, jął się on odtwarzać ducha Ludu; niedołęstwo za karę sparaliżowało rękę niegodną. W piśmie albowiem, zarówno jak w życiu, niedołężnym będzie wszelkie twórcze dzieło, gdy mu nie przewodniczy zupełne, jednostronne, namiętne natchnienie i miłość serdeczna. Krytyka, doświadczenie, nauka, doskonałymi są środkami do uniknięcia błędów potocznego życia i usterek w sztuce, ale nie podołają nadać ruchu i ducha – nie zastąpią w najdrobniejszej cząstce tej potęgi uczucia tajemniczego, jasnowidzącego, niewahającego się nad użyciem najgwałtowniejszym najniepodobniejszych, szalonych według pospolitego sądu sprężyn, dla osiągnięcia zamierzonych celów. Tę prawdę w nieśmiertelnym swym utworze *Zamku Kaniowskim* dowodnie okazał Goszczyński, a wyraził zwięźle i jasno w wierszu *Błędy geniusza*:

Czy skrzeczy rozum poziomy,
Czy szydzi zawiść złośliwa,
Ty leć za duchem, który cię porywa,
A ten przeniesie nad bezdna i stromy.....

***

Nie lękliwie! nie pomału! –
Zostaw, zostaw komu błogo
Krążyć bitą ziemską drogą.
Sam obłęd twego zapędu
Rozpromieni wieków krocie.

II*

Właśnie podobnej wiary w natchnienie gminne, którą tylko gorąca miłość dać może, powtarzam, zbywa całkiem A. Grozie. Jako zaś jął się go był skutkiem zimnych krytycznych zastanowień, tak też bojaźń obrażenia podobnego sądu chłodnego na kształt zmory ciśnie mu piersi, nie dozwala ni swobodnych ruchów, ni marzeń swobodnych. Wystawcież sobie tedy na dzikim ukraińskim biegunie harcującego jeźdźca, który trwożny o siebie, niepewny co czyni, na przemian to puszcza cugle, to znów, by koń się nie zbiegał, ściąga je nagle, i dbały, by nie stracić przyzwoitej postawy, co chwila do równowagi chwieje się w lewo, to w prawo: będzie to obraz charakteru autora. Stąd czytanie ich staje się przykrym, nieznośnym, niewypowiedzianie nużącym [zajęciem].

Widzimy wszędzie, ponawianie raz po raz, usiłowanie kreślenia obrazów, wcielenia się w myśl, naśladowanie toków poezji Ludu, nieledwie bezowocne, marne. Pisarz nie uchwycił chyba gdzieś na chwilę właściwego, prostego i szczerego tonu, natomiast co strona wpada w parodią ich, w płaskość i nikczemność nieprzebaczoną poecie; to znów, by złagodzić te rażące plamy, w przeciwną rzuca się stronę, razem przechodzi w mdłą sentymentalność, powiększa, przesadza najdrobniejsze rzeczy, parodiując w ten sposób ckliwość Kropińskiego i pokrewnych. Dla dokładniejszego ocenienia, przejrzyjmy poszczególne co znaczniejsze twory.

Pierwsza pokuta Żeleźniaka – duma ukraińska – opisuje ustęp życia jego, gdy mszcząc się morderstwa na rodzicach swych dokonanego, strawiwszy młode lata w rozboju, udał się był na pokutę do monasteru kijowo-pieczerskiego, aż stąd znów, namówiony przez mnicha Melchidezeka, wypadł krwią zlać Ukrainę. Autor powieść swą poczyna od pierwszych niewinności swego bohatera czasów, ale szczęsnej doli malowidło zaciemniać stara się smutnymi przeczuciami:

Stary kruk rzucił głuchą pustynię,
I do młodego gołębia prawił:
Póki ty jeszcze będziesz się bawił,
Wzdychał a gruchał? – strzelce dokoła
Gotują strzelbę – karmią sokoła.
Chodź ich wojować – dam ci me szpony;
Dam ci me skrzydła… Za trzy zagony
Przepędził gołąb czarnego kruka…

***

Maksym szedł w pole; ojcowskie pługi
Zorały zagon jeden i drugi,

* Cyframi rzymskimi oddzielamy fragmenty z kolejnych części publkacji w następujących po sobie numerach „Tygodnika Literackiego". W oryginale kolejne części oddzielone wyrażeniami: (*Dalszy ciąg nastąpi*); (*Ciąg dalszy*).

On usiadł przy nich; z żytnich równianek
Jął pleść kapelusz. Śliczny był ranek.
Wiatr z lekko chłodził, poganiacz śpiewał,

Wół żuł swą żujkę, koń głową kiwał,
Pług skrzypiał; razem w Maksyma ręku
Pęknie plecionka, łza spadnie z oka.
Poganiacz pieśń swą ukrywa w jęku,
Stary pies wyje, koń jak opoka
Stanie, i głowę zwiesi do ziemi,
I wół nie żuje. Oczami dużymi
Po wszystkich twarzach Maksym potoczy,
Co to jest, pyta, i swoje oczy
Od łez obciera; co to! nikt nie wie.
A sroka tylko skrzeczy na drzewie;
Ej, czy nie gość się do domu zjawił,
O którym wczoraj czarny kruk prawił? –
I zgadł kruk czarny, nie kruk – mnich czarny –

Maksym w domu znajduje pomordowanych ojców, siada na koń rozpaczy pełen i na Zaporożu wojennym rozpoczął nowy zawód. Lata młode, jak orzeł pióra, stradał w rozbojach i walkach, lecz z czasem serce jego skołatane poczyna mięknąć i żałować popełnionych zbrodni. Raz, gdy wśród nocy pilnuje nad Dnieprem jarów,

…umilknie wiatr, ziemia, fala,
Krwawo miesięczny krąg się rozpala,
Dniepr się rumieni i już w krwi cały:
Znów wiatr zaszumiał, fale zagrały
I na brzeg wbiegły, a tam, na brzegu,
Jęły się zbierać w długim szeregu,
Czernieć, podrastać i w każdej fali
Żywe się ludzkie oko zapali,
Głowa urodzi, i widmo człeka
Zrywa się z fali, na brzeg ucieka.
A Maksym siedzi, patrzy wzdłuż brzegu,
I swych znajomych w tym każdym zbiegu
Czuje, poznaje…… Skądże tu oni?
Każdy z nich w cichej złożony ustroni,
Pod muru sklepem, bryłą kamienia
I wiekiem czasu, co na proch zmienia
I mur, i kamień… skądże? I mrowie

Przez kości przeszło, włosy na głowie
Dębem stanęły, serce struchlało…

Z rankiem obudził się Żeleźniak z snu męczącego, ale nie zdołał odegnać z duszy okropnego widzenia; przejęty skruchą, opuszcza Zaporoże i dotychczasowe życie, daje jałmużny kościołom, a sam pustelnikiem zostaje. Czterdziestodniowy post strawił na modłach wśród lasu,

Na noc sosnową kłodę zażega
Słup gorejący nad las wybiega,
Maksym uklęka i głośno czyta
Święte pisanie. Wszelki twór chwyta
Niebieskie słowa – patrzaj, o dziwy!
Siadł przy ognisku i żubr straszliwy,
I wilk, i niedźwiedź, i gad wszelaki,
Nawet powietrzne zbiegły się ptaki,
Milcząc słuchają; a Maksym czyta,
Ale gdy ranna jutrznia rozkwita,
Gdy dzwon doleci, gdy amen rzeknie.
I zwierz, i ptastwo, i gad ucieknie…

Podczas Świąt Zmartwychwstania kruk czarny, chroniąc się przed głosem dzwonów świętych i hymnów radosnych, uchodzi w najgłębszą puszczę i tam znalazłszy Maksyma na modłach, idzie doń:

...mnichem osłoni
Szatańską postać – i w tej postawie
Skrada się milczkiem po cichej trawie:
Zaraz Maksyma wolna powieka
Ciążyć zaczęła, mgliły się oczy,
Rwały się słowa, aż sen zamroczy
I myśl i oko; w ręku wycieka.
Święte pisanie…
A czart śpiącego otulał skronie,
I zabójczymi truł marzeniami. –
I widać piekło w Maksyma twarzy,
Która to zblednie, to się rozżarzy;
W oku, co strasznie śpi wytrzeszczone,
Widać, jak kipią żądze szalone;
Ręka drze trawę, w piasku się grzebie –
Szablo! ta ręka tak szuka ciebie.

Ciebie gołąbko! myśli spokojna!
Z twego się gniazda spłoszyła wojna;
Już wam nie wrócić więcej do siebie,
Jak szatan w piekle, jak Pan Bóg w niebie.
I czart wypalał strasznymi słowy
Pobożne myśli z Maksyma głowy,
I co dosiały Boże anioły.
Wszystko to poszło w żużle, popioły,
A i te wicher dumny rozmiecie.
Maksym jak Chrystus w tym świecie,
Całe czterdzieści dni w puszczy strawił,
Czemużby swego ludu nie zbawił?
Zbudził się Maksym…

…i pijany snem swoim pogonił na Ukrainę, pobudził tłumy snadne do mordu i rozpoczął rzeź pamiętną. Tak się kończy poemat.

Jakeśmy widzieli, autor nie zadał sobie wcale trudu w skreśleniu planu, w powiązaniu wzajemnym wypadków, sprowadzenia ich biegu do pewnego, zamierzonego punktu. Tego nie myślę liczyć mu za złe. Wolności podobnej niezaprzeczone ma prawo każdy poeta, osobliwie też, gdy sobie podobny przedmiot obierze. Lecz niedostatek takowej, jak ją nazwał Mochnacki, architektoniki poetycznej obowiązanym jest koniecznie zastąpić innego rodzaju czarem; siłą liryczną, pięknością i prawdą pojedynczych obrazów, polotem śmiałym cudownej fantazji. Nieszczęściem w dopiero co przejrzanym tworze zbywa tych wszystkich przymiotów.

Przytoczyłem tu dosłownie miejsca powieści, na których polega jej całość i myśl. One to winny były stać się niejako stawami łączącymi i poruszającymi treść luźną i rozwlekle ciekącą. Tymczasem nie odpowiadają one najmniej trudnym wymaganiom. W nawale rozwleczonych opowiadań ubocznych, obrazowań zupełnie zbytecznych, giną one wcale niedojrzane, kiedy, przeciwnie, owe inne wypadki jako skutki i ustępy głównej treści na lekką, pobieżną tylko zasługiwały wzmiankę, te zaś na doskonałe, rozwinięte, silne skreślenie.

Tam, gdzie nie zewnętrzne okoliczności na czyny człowieka wpływają, ale gdzie całą sprężyną jest tylko walka odbywająca się w sercu i głowie jego, tajemniczym działaniem niewidzialnego świata wszczęta i prowadzona, tam właśnie potrzeba, aby burza namiętności tak silnie, tak porywająco, tak widomie wrzała w słowach poety, żeby bezsprzecznie uznać ją każdemu przyszło dostateczną do wywołania gwałtowanych, wściekłych postępków. Nie dosyć więc jest, że autor przytoczył morderstwo starego Żeleźniaka i żony jego, nie dosyć to, by syn ich biegł szukać zemsty. Nie czyn ten bowiem, który by nikczemne serce bez pomsty w podłym poddaniu się wyrokom zniosło, ale zgroza, gra szalona uczuć wzniecona krwawym zabójstwem rodziców

w sercu wolnego młodzieńca, żelazo mu do rąk dała. Również nie dosyć na tym, gdy czytelnik się dowie, że Żelaźniak* od dziwnego, ponocnego zjawiska poległych towarzyszy przejął się skruchą; owszem, tu prawy poeta roztoczyłby mu piersi kozackiego atamana i pokazałby mu oko jak mróz biały trwogi i przerażenia ziębi je, jak żmija zgryzot je szarpie, rozdziera – aż od tego widowiska dreszcz by przeszedł każdemu po sercu. Wtedy obeszłoby się bez opowieści, jaki był wpływ pośmiertnych gości na dalsze życie kozaka, wtedy nie dziwiłby nikogo obraz skruchy, pokuty jego w lesie bezpośrednio następujący. Wreszcie poeta prawy nie przestałby na prostym powiedzeniu, jako do uśpionego pustelnika szatan schodzi i podszepty swymi na nowo do zbrodni budzi; ale właśnie przejmującymi wyrazy, pełnymi tajemnicy, uśpiłby swego słuchacza niby magnetyczną siłą, a rozwijając nad nim czarną chmurę piekielnych pokuszeń, spuściłby z niej na łono jego trującą rosę, dałby mu czuć, jak kropla po kropli spada i wsiąka w duszę owładniętą czarta przemocą. Wtedy bez poprzedniego domówienia autora, że myśl spokojna i anielskie natchnienie uszły z serca pokutnika przed tchnieniem złego, przed wojny żądzą, nie zdziwiłby wcale widok budzącego się Żeleźniaka i tejże chwili krwawy chwytającego nóż. Wnosić przychodzi z podobnego trybu tworzenia, że dumie, o której mówimy, ani natchnienie wieszcza, ni sztukmistrza umysł nie wieścił z poczęcia chwili; tak bowiem natchnienie nieświadome a potężne, jak świadoma rozwaga, wskazywałaby twórcy kształty przyzwoite dziełu zamierzonemu.

III

Przeciwko temu, cośmy powiedzieli, niesłusznie by kto zarzucił, że gdy głównym autora celem było malowanie, odtwarzanie życia ukraińskiego, szukając w pieśni jego zadowolenia wymienionych żądań, obraliśmy owe niewątpliwej słuszności zdanie: iż pisarza nie według tego, czego nie uczynił – lecz według tego, jak zrobił, to, co chciał zrobić, sądzić przystało. Uważaliśmy bowiem zdolności i siły poety w szrankach, jakie sam sobie zamierzył; wykazaliśmy niedostatek i ułomność w wykonaniu własnego jego planu. Wytknąć drogę, obrać sobie plan najdogodniejszy budowy, to rzecz zupełnie dowolna: przetoż każdemu baczyć przyzwoita, by nie stały jego zamiłowania i władze umysłu w sporze z przedsięwzięciem lub by zbyt małymi nie były. Skoro zaś raz dzieło spełniać się imie, wtedy w każdym harmonijnym utworze konieczne są pewne warunki, względna zgoda pomiędzy częściami i całością. Inaczej ciąg najdoskonalszych obrazów, najcudowniejszych ustępów pojedynczych, złoży nędzny ogół – tak, jak najdoskonalej kopiowane skały, drzewa i wsie dadzą najpotworniejszy krajowidok, gdy nie zachowasz przyzwoitego cienia, perspektywy i ugrupowania.

* Maksym Żeleźniak (ok. 1740 – po 1768) – kozak zaporoski, w 1768 roku przywódca kaliszczyzny, powstania hajdamackiego. Wraz z Iwanem Gontą odpowiedzialny za rzeź humańską (24 czerwca 1768 roku).

Wszakże w tym razie nawet pojedyncze obrazy, ustępy niepodobna zadowalającymi uznać: niepodobna oddać pisarzowi zaletę w spełnieniu najgłówniejszego zamiaru. Miejsca przytoczone jak winny być węzłami opowieści, tak zarazem w nich tu najwięcej znaleźć byśmy powinni tajemniczego uroku jako w natchnionych wiarą i podaniami Ludu. Istotnie autor powtórzył tam tylko wiernie wyobraźni gminnej twory[3] – dlaczegóż nie oczarował nimi, gdy wziął je z czasów prawdziwych świata? Oto słowom jego braknie na tej tajemniczej potędze, którą słowom podania w ustach Ludu daje *wiara*; *wiara*, z którą gdybyś rzekł górze: „pójdź za mną!" – góra by wstała i poszła za tobą. Jeżeli zaś w życiu powszednim słowo ma rzeczywistą moc i wartość, które z szczerego wyszło przekonania, dlaczegóż nie otrząść się z przesądu, iż w poezji, tym najwyższym ducha zawodzie, któremu prawdy kapłaństwem być przystało, wolno powiedzieć poecie to, w co sam nie wierzy? Autor dopuszczający się podobnego występku przeciw powołaniu wieszcza popełnia *kłamstwo natchnienia*; kłamstwo, wskutek którego weszło tyle lichych płodów, w ciele tyle wierszowanych słów nie noszących duszy; kłamstwo takie bowiem zawsze jest kamieniem obrazy wynalazcy swemu i, jako powiedział Schiller, niby strzała z łuku do bóstwa rzucona, odwraca się od celu a godzi w pierś niebacznego strzelca.

W obrazach nie z podań gminu, ale z czynnego życia zdejmowanych, niewiele więcej znajdzie się piękności: szpecą je wszędzie rozwlekłość, brak ruchu i czucia, pospolitość zbytnia lub przesada. Wszakże z przyjemnością spotykać można tu i ówdzie rzucone kilka wierszy niepozbawionych zupełnie poetycznej duszy. Takim na przykład jest opis ranku po strasznym śnie Żeleźniaka:

. . . Księżyc zabiera
Noc z liców ziemi, gwiazd złote roje
Lecą po niebie, za dnia podwoje,
I uleciały; deszcz ziemi lica
Obmył, i ziemia, czysta dziewica,
Swojego króla w złotej koronie,
Na świeżym, wonnym przyjęła łonie.
Wesoło niebu, słońcu i ziemi:
Świeży Dniepr igra płetwy jasnemi;
Zwilżone jego lubieżną falą,
W słonecznym ogniu piaski się palą.

[3] Osobliwie wstęp, którym dlatego jedynie umieścił, że jest nieledwie dosłownym z baśni gminnej wyjątkiem, gdy do modlącego się pokutnika schodzą słuchać Bożego słowa wsze twory. Tylko że w baśni pustelnik sam je zwołuje i rozmawia z każdym jestestwem według języka jego.

Gdzie indziej znowu prawdziwie piękne zaczęcie:

Zajrzało słonko i policzyło
Na sta, dziesiątki, ile ich było:
I wszystkie stały, oprócz jednego,
Oprócz kurzenia Maksymowego.

Te kilka wierszy, tak na pozór prostych i zwyczajnych, aż żal widzieć utopione w nawałnicy ciekących nudnie rymów: tak cudne są swoją prostotą, tak prawdziwie zgodne z tokiem rzewnym dumy. Tak też znakomitej ceny jest ustęp kończący dumę, którym też i my przegląd jej radzi kończymy:

Na Montraneńskiej kniei osiada
Chmura i orzeł; a ona rada
Chmurom i orłom, stoi zielona,
Tysiącem wnuków swych okolona
I drobnej dziatwie cudownej treści
O byłych czasach szepce powieści:
Jak w jej zielonych namiotach żyli
Starzy Słowianie; jak w niej święcili
Wieczyste zgliszcze, zanim żąć kłosy
Wyszli na pole, zanim niebiosy
Wzięli za namiot, zanim zmienili
Szaty i bogi; jak potem znowu
Krył się w niej Tatar żądny obłowu;
Jak ona swoich żałując dzieci,
Słała o wojnie pierzyste wieści;
Jak mnogie lata pożarem wojny
Wrzała, kipiała, nim czas spokojny
Do niej zawitał, nim osmalone
Konary wzięły barwy zielone.
Tak Montraneńskie gwarzyły knieje,
Aż Maksym nowe zaczął w nich dzieje,
Aż tu sprowadził swe Zaporoże,
Poświęcił piki, szable i noże,
I stokroć krwawszej od tamtych treści
Nauczył stare lasy powieści.

Soroka – duma ukraińska składa się ze wstępu i trzech części. Na czele umieścił autor wiadomość, iż kilka podań miejscowych, przywiązanych do ogromnej mogiły *Soroka* zwanej, podało mu treść tej dumy. Rzecz samą zaś tak prowadzi:

„Czego twój, bracie, chwieje się wrony?
Czego on, bracie, taki spieniony?"
„Trzy dni, trzy nocy on mnie tu niesie;
Stałem na czatach przy czarnym lesie";
„Trzy dni, trzy nocy ku nam leciałeś,
Cóż tam po czarnym lesie widziałeś?"
„Widziałem kruki stadem lecące,
Widziałem wilki trzodą błądzące,
Widziałem stare we łzach rodzice,
Z rozwianym włosem kraśne dziewice;
Mołodce konno mogił pilnują,
A dym kłębami po jarach bieży,
A jak noc Boża, łuny koczują,
Zda się na zgliszczu cały świat leży".

Tak wodzowi kozaczyzny, Soroce, wieść daje szwagier jego, Marko, o najściu Iwana Giraja; Soroka każe bratu Marka uderzyć w trąby bojowe.

We środku zamku, w białej świetlicy,
Jest cudotworny Boga-Rodzicy
Odwieczny obraz; po Ukrainie
Szeroko swymi cudami słynie;
Pod tym obrazem co rok święcone
Wiszą na ścianie trąby złocone.
Idzie do białej Marko świetlicy
I bije pokłon Boga-Rodzicy,
I z ściany trąby złocone bierze,
I na zamkowe wybiega wieże.

Stamtąd uderza w lewo i w prawo, i w górę z trąb cudownych, a na głos ich stop i lasy jeżą się od dzid mołodźców. Soroce wszyscy przyznają atamański buńczuk i przysięgają, krzyż całując obyczajem dawnym; potem ciągną wszyscy ochoczo na bój, a w zamku sama jedna pozostała żona atamana Prakseda, [która] modli się o szczęsną wyprawę dla męża. Tymczasem…

Inaczej było na wilczym jarze;
Syta rozbojem, w śmiechu i gwarze
Trzymając swoich brańców na smyczy,

Zasiadła tłuszcza tatarskiej dziczy,
Rozhowor wiodąc o swej zdobyczy,
Rozhowor wiodąc o swym powrocie,
O krasie branek, o czystym złocie.

I urągając wspominają o wróżbach przeciwnych, co im zły, gdy ciągnęli na wyprawę, zapowiadały koniec. Aż ponad rankiem, gdy straże pośnięte nie baczyły niebezpieczeństwa obozu, wpadają zbrojni Ukraińce i rzeź okropną sprawują.

Dzień się przebudził i wstał wesoło,
Jakby nie bryzła mu krew na czoło;
Dzień się przebudził i wstał spokojny,
Jakby nie słyszał rozboju, wojny.
Witał wesoło dzień przebudzony
Braniec, z tatarskich łyk uwolniony,
Witał i kozak wygraną pijany,
Co zbierał szable, zdzierał turbany;
Lecz najserdeczniej witał płacz dziatek;
Skaczących z wozów do swoich matek,
I krzyk radosny dziewcząt niewinnych,
Co się do płaczów łączył dziecinnych.

Ale wśród powszechnej radości tej nagle goniec przybiega z wieścią od pięknej Praksedy, że Tatarzy ją w własnym otoczyli zamku: więc znów na konie wojacy i na odsiecz oblężonym spieszą. Nim przybiegli na miejsce, pogaństwo szturmuje do grodu, ale ciężko porażone cofa się i na nocne wraca legowisko.

IV

Nazajutrz znowu poganie szturm ponawiają zawzięty: wre bój, na wały garnie się łakoma dzicz; aż nagle za jedną razą, na widok lecącego z odsieczą Soroki, uchodzi tatarska tłuszcza i z dwu stron parła, stąd świeżymi hufcami, stąd wycieczką, której przywodzi Prakseda, łamie się, upada i w niwecz ginie. Ale zwycięstwo drogo okupiło wojsko chrześcijańskie, drożej młoda atamana żona; po pobojowisku chciwie pyta ona i szuka drogiego męża – na próżno!

Na tłumie trupów w kupę zwalonych;
Na tłumie trupów zbitych, zsieczonych,
Leży oparty martwy Soroka.
Pierś jego – jedna rana głęboka,
Skroń jego – jeden potok czerwony;

Przy jego nogach stoi koń wrony;
I jakby nierad z pańskiego spania,
Kopytem grzebie, trężlą podzwania…

Niezliczona tłuszcza narodu wysypała się pogrześć ciało swego wodza – i za trzy dni powstała ogromna mogiła, pod którą spocznie wojownika trup. Pieśnią odchodzącego towarzysza bojów pozostała żegna drużyna.

Chorowód stanął popod mogiłą,
Dwieście mołodców raźno skoczyło,
Dwieście Tatarów głowy pozbyło;
Padły bełkocąc tatarskie głowy,
Krwią zachlupały czarne tułowy,
Krwią zachlupały, krwią zadymiły,
Długim się mostem precz pościeliły;
I po tym moście, przy trąb rozgłosach;
I po tym moście, przy ludu głosach,
I po tym moście, przy pieśniach, jęku,
Druhowie druha nieśli na ręku.
Na wierzch mogiły, i w grób złożyli,
I łzą poleli, darnią zakryli……

***

Jak gołąb siwy, śpiewak wiekowy
Z swą lirą w ręku siadł na mogile,
Patrzał przez chwilę, dumał przez chwilę,
I zagrał…

Tu następuje pieśń lirnika. W pieśni tej opowiada, jako wódz zmarły na bizanckim grodzie zdobył obraz Boga-Rodzicy cudowny, potem świętego zabrał stamtąd popa, potem za wyprawą trzecią uczonego wywiózł budownika, by mu na ruskiej ziemi cerkiew wybudował świętą. Jako wreszcie wziął z miasta greckiego młodą sierotę Praksedę w małżeństwo i przyprowadził z sobą brata jej, Marka, dziedzica trzech trąb cudownych. Jako walcząc bez ustanku z wrogi, w czterdziestu bitwach zwycięża, stąd *Soroki*[4] miano wziął.

Liryczny żal kończy pieśń lirnika; na ostatek krótkie domówienie autora zamyka całe dzieło.

Podobnie jak w dumie o Żeleźniaku, w *Soroce* treścią główną są podania Ludu; mimo to wszakże, uderzająca pomiędzy obiema tworami tymi zachodzi różnica. Różnicę

[4] *Sorok* w moskiewskim języku i ruskim narzeczu naszego Ludu znaczy czterdzieści.

tę głównie sprawia odmienny charakter użytych przez autora podań. Treścią pokuty Żeleźniaka są bowiem gminne *podania* w najgłębszym i najściślejszym znaczeniu słowa: jest to rdzeń sam myśli naszego Ludu, najtajniejsza strona jego pojęć i wiary – tej wiary jego własnej, nieznanej mądremu światu, nienazwanej żadnym mianem, którą ogarnia całe życie świata i swoje, która objaśnia i owiewa wszystkie uczucia serca jego, budzi w nim zgrozę i natchnienia i bodaj czy nie samowładnie rządzi mu i panuje, obok drugiej – urzędowej, że ją tak nazwać należy, religii: są to rumowiska wiekowe, gdzie gruzy starej, wielkiej słowiańskiej swiątnicy, której każdy kamień skrytym znaczeniem i mocą zaczarowany i dziś jeszcze, choć oderwany od budowy, wala się w prochu i zielsku, nie stracił swej dziwnej potęgi, mieszając się w nieładzie dzikim, lecz uroczystym z szczątkami późniejszych kościołów, co na ich zgliszczu powstały, posplatane bluszczami zielonej wyobraźni, pokrytej jednym wielkim mchowym całunem żałoby. Podania zaś wcielone w pieśń o Soroce mniej stare i mniej głębokie, są to *wspomnienia* historyczne już czasów i dziejowych wypadków, w kształcie, w jakim je umysł gminu zachował; wspomnienia li miejscowe, ukraińskie, tak jak u nas na Mazowszu przechowujące się tu i ówdzie powieści o Szwedach, Krzyżakach, królowej Bonie. To niezmierna różnica dwu gałęzi podania gminnego, wskazuje autorowi, który korzystać z nich pragnie, dwojakie a zupełnie odmienne użycie.

Owe tajemniczego ducha *podania*, będące złomkami systemu rozległego, bo milionom mnogim wspólnego, częściami wiary gminnej, a tym samym czynną moralną potęgą, nie tak winny by służyć jako materiał dorywczy, pojedynczo i w rozerwaniu brane, ale raczej trzeba, by poeta, który ich imać się śmie, pojął je w całej rozległości i jedno poczuł w sobie ich wielkość i rozumienie, rozwinął je umiejętnie w myśli i przejął się w serca tajnikach, jako nimi przejęty jest Lud jego bliźni – tak jako pojęli i czuli w sobie wieszczowie starzy dziwy mitologii, jako późniejsi śpiewacy wieków średnich owładnięci byli świętością swej wiary. Czas, gdy te warunki spełnione będą, nadchodzi – dziś, jutro wstaną nowi, nowym duchem ożywieni pieśniarze, a dzieła ich, jaką bądź treść im obiorą, przesiąkłe wszakże całe natchnieniem twórców, zaświecą urokiem i ogromem, większym a przynajmniej silniej do naszego plemienia mówiącym, niż rapsody greckich poetów, niż wszystkie wieków rycerskich i krzyżowych legendy i powieści. Inaczej rzecz jest z *podaniem – wspomnieniem*. Ono bywa najczęściej samo w sobie zupełną całością, błyskiem świecącym z mogiły, odbiciem chwili dziejowej, myśli lub życia zwierciadłem – stosownie zatem z naturą używać przystało. Są to dla sztukmistrza, zdejmującego obrazy przeszłości, niewypowiedzianej ceny wzory – posągi to i arabeski, z których snadno odgadnie kształt całego gmachu, co je w sobie mieścił, widma wpółznikome i mdłe, ale prawdziwe rysy pomarłych noszące, z których właściwe postaci naśladować może. Oczywiście, użycie tych drugich podań ani tak ogromnego geniuszu, ani tak rozległej wymaga pracy. Pisarz ma tu przed sobą powieść lub pieśń, jak malarz ułomek dawnego marmuru, który tylko z uczuciem jego

szczególnej piękności wiernie kopiować należy. Niemniej jednak doskonałe takowej kopii zdjęcie dowodzi ręki prawdziwego artysty. Kłamstwem byłoby tej zalety odmawiać A. Grozie w dumie mniejszej.

Jak to już widno z miejsc tu przytoczonych, od samego zaraz wstępu począwszy, szczęśliwie pochwycił on tok gminnej dumy i z nielicznymi usterkami utrzymał go prawie do końca. Obrazy mnogie przewijające się raz po raz przed okiem naszym, w największej części uderzają jasną barwą życia i poezji. Pod tymi obydwoma względami *Soroka* o sto wyżej razy stoi od poprzedniej dumy. To nie luźne i rozwlekłe opowiadania, to same widoki, same czyny przemawiają tutaj swoim jaskrawym językiem. Nie mogę sobie i czytelnikowi odmówić przyjemności wypisania jeszcze parę ustępów, o jakie istotnie nie wszędzie łatwo. Takim jest zaczęcie części drugiej:

Gdzież się podziały te białe sioła,
Gdzie tamta młodzież hardego czoła!
Nie dostać było niwie przed gradem,
Ni im przed hordy dostać napadem.
O złota niwo! na cóż cię zżyna
Kto cię nie zasiał?... Trwoga rozpina
Jastrzębie skrzydła, i wrzeszczy: biada!
I z sioła w sioło, z grodu w gród wpada.

Cudniejszy jeszcze, bo nie tylko wybornym pochwyceniem tonu, ale samą treścią wzięty z owego świata najczarowniejszych podań, jest obraz nocnego zjawienia duchów:

...Błysnął księżyca
Jeden róg złoty i zagrzązł w chmurze,
Błędny ślepowron zadzwonił w górze;
I cisza; tylko ze rżeniem koni,
Coraz to słyszysz głuchy chrzęst broni...
To jak znudziwszy swój wiek spokojny,
Budzą się ojców duchy do wojny,
I przebudzone po stepach gonią,
I w stare zbroje, w kopyta dzwonią;
I dzwonią strasznie, jak na sąd Boży.
Ockniony Tan w sobie się strwoży,
Nie wierzy sobie, oczom nie wierzy,
A wojsko dziwnych, strasznych rycerzy
Pędzi mu w oczy, pędzi i znika.
Zawyje z wiatrem muzyka dzika;
Muzyka wilków w kościeliska,
Gdy im głód kości wpycha do pyska.

Ustęp ten, w sobie sam będący doskonałą całością, nie ma równego w całym zbiorze *Poezji* A. Grozy; pierwsze to i nieledwie też jedyne miejsce, gdzie mi zadrżało serce i po kościach przeszło mrowie przerażenia, jakie przechodzić mię zwykło, gdy u dymnego ogniska słyszę cudowne baśni Ludu, z cudowną szczerością i siłą płynące. Pochwała to, nad którą nie znam większej, a słuszna.

Przecież, pomimo tak uroczych piękności rozsianych bujnie, więcej nawet – prawie nieprzerwanym snujących się pasmem, cała duma nie zadowala bynajmniej wymagań, jakie mieć wolno od każdego utworu sztuki; w czytaniu nie wystarcza ciągłemu zajęciu, nie budzi w sercu uniesień ni wzruszeń i nieledwie przymusić się trzeba, by je przeciągnąć do końca. Pochodzi to raz z pospolitej u autora wady – z braku przyzwoitego rozmiaru części składowych i harmonii ich ogólnej; po drugie stąd, że zapomniał zupełnie, a bardziej nie wniknął w naturę duszy słuchaczów. Najbardziej mistrzowskie próby sztuki, najplastyczniejsze malowidła nie podołają zaspokoić serca; szuka ono zajęcia losem bliźnich istot. Stąd każdego utworu koniecznym jest warunkiem dramat uczuć lub wypadków, prowadzony przez ludzi, miotający nimi. W powieściach i pieśniach gminnych opisy i obrazy dlatego właśnie tak się serdecznie podobają, że choć doskonałe i zupełne, nigdy nie są celem, ale pobieżnie rzuconą ozdobą. Niezbyt nawet wielkiego w utworach Ludu rozpatrzenia trzeba, by odkryć ten charakteryzujący je przymiot. Szkoda, że autor, który szczegółowe utworów tych zalety tak dobrze umiał tu uchwycić, nie zechciał zadać sobie pracy i wniknąć bardziej w ich przyrodę powszechną, uchroniłby się przez to ciężkiego niejednego błędu. Zapatrując się w nie baczniej, spostrzegłby, że tam nawet, gdzie powieść jest dowolnym powiązaniem wypadków dziwnych i obrazów czarnoksięskich, niemniej zachowaną bywa miara doskonała; że każdy ważniejszy wypadek występuje niby skalisty wierzchołek nad lasem powikłanych ustępów i silniej uderza do piersi – i po takich to wyniosłościach miarkuje słuchacz bieg baśni, którego nieraz inaczej myśl objąć by nie zdołała. Dojrzałby jeszcze był, że w pieśni lub bajce, jeśli użytą bywa cudowność, jeśli występuje jaka nadziemska siła, nigdy ona nie jest puszczona samopas, bez wpływu na cały ciąg zdarzeń; przeciwnie, samowolnie ona rozwiązuje zbyt splątane, by naturalnie rozwikłać się dały wypadki, i nowy, dziwniejszy coraz nadaje im kierunek. Bez takiego wpływu na treść poematu wprowadzone działanie nadprzyrodzonego świata jest wielką własnością jego. W żadnym z wielkich dzieł nie zachodzi podobna nieoględność, tak ona jest przeciwną istotnemu poezji zadaniem. A. Groza w *Pokucie Żeleźniaka* dopełnił, choć dopełnił źle, warunku tego: podania gminne są tam biegunami, na których się rzecz obraca: użycie ich takie przecież widno nie z rozmysłu, lecz z przypadku poszło – w przeciwnym albowiem razie nie omieszkałby powtórzyć go w *Soroce*. Gdyby tak zrobił, przy doskonałym obrobieniu szczegółów tylu, duma ta byłaby jedną z ozdób celniejszych literatury naszej.

Nim skończę przegląd całej dumy, powiedzieć jeszcze wypada o zamykającej ją pieśni lirnika słów kilka. Pieśń ta przyczepiona niezgrabnie psuje do reszty wrażenie całego dzieła. Sam rozmiar jej nie harmonizuje już z poprzednią treścią – zabiera bowiem prawie trzecią część utworu. To by wtedy tylko uszło, jeśliby rzecz główna znajdowała konieczne wsparcie i wyłuszczenie, jak w *Konradzie Wallenrodzie* użytą jest powieść Wajdeloty. Ale śpiew starca na grobie Soroki jak bądź opowiada poprzedzające powieść wypadki, nie tylko nie była konieczną, lecz przeciwnie, doskonale obejść by się można bez niej. Krótkie a silne pożegnanie zmarłego, kilkadziesiąt prostych słów żalu i czci, lepiej by odpowiedziało w miejscu tym. Wzięta zaś sama w sobie pieśń mogilna, nie na mniej surowy zasługuje sąd. Jako należąca do poematu czysto malarskiej natury, winna się odznaczać najwyższym odbiciem gminnej pieśni, stało się inaczej. Osobliwie szkodzi jej brak zupełny jedności, która jest zawsze cechą dum Ludu. Cóż powiedzieć na wzmiankę, że wódz zmarły sprowadził z Grecji na Ruś Tatarkę (*hreczkę*)? Zapewne, może to mówić podanie, ale czyż była tu go pora użyć? Wieszcz kozacki na grobie kozackiego wodza śmiałby coś takiego zanucić?

Taką jest duma *Soroka*. Jako utwór na podaniu gminnym osnuty, jako dzieło całe słabą i ułomną ona; przecież kto szukać zechce pojedynczych wybornych toków ukraińskiej pieśni i obrazów ukraińskiego świata, do nich się uda, a znajdzie zadowolenie rzetelne.

V

Prócz tych dwu, któreśmy tylko co rozebrali, obszerniejszych tworów, dwa jeszcze pomniejsze, na podaniu gminnym osnute, znajdują się w zbiorze A. Grozy: *Maryna, powiastka białoruska* i *Alina, legenda.* Pierwsza jest to po prostu baśń gminna, fantastyczna i różnobarwna, tu w wiersz ułożona. Jakkolwiek w obrobieniu jej powtórzył autor wszystkie zwyczajne sobie, a przez nas już tu kilkakroć wskazane błędy, najmniej zaś nie spełnił wymagań, jakie słusznie rościć można do poety gminną przerabiającego powieść – nie wzniósł jej do szczytnego znaczenia, nie ozdobił, nie oblał własnej wyobraźni blaskiem, to przecież senna treść *Maryny* daje niezaprzeczoną jej wartość; zwłaszcza gdy niestosowne wtrącenia się autora nie są tyle liczne, by bieg prosty rzeczy zupełnie obłąkać i zaćmić[5]. W drugiej zlanie podania znanego o Madeju

[5] Jako prośbę dziwnej śmiałości (że się wstrzymam z stosowniejszym słowem), z którą koteria wileńska chwali i pod obłoki wznosi nawet najmniej godne tego twory swoich: przytaczam tu słowa wydawcy „Rubona", Kazimierza Bujnickiego, jako przypisek do *Maryny* umieszczone: „Uderzony poetycznością kilku prostych śpiewów, powziął z nich myśl pierwszą do napisania nowego rodzaju poematu, poematu – *skazki* (jak go nazwał pan Kraszewski), mieszczącego w sobie miejscowe podania gminu, obrzędy i zwyczaje, w bajce błyszczącej fantazją Ariosta, a razem odbijającej wiernie ducha podań i obyczajów Ludu w całej jego naiwno-poetycznej postaci. Że takim bezsprzecznie poematem jest *Maryna* Pana Aleksandra Grozy, zgodzili się na to dwaj najznako-

z innymi w nową całość najnieszczęśliwiej się powiodło; a do zwykłych wad pisarza dołączyło się tu jeszcze kilka miejsc dowodzących zupełnego braku pojęcia, wielkiej niezdolności na polu ludowej poezji. Oto są dwie zwrotki!

Na miejscu naszych pasterskich multanek
Zacząłem w ręku strojną urfę nosić;
Zrazu po wioskach, potem miastach głosić
Co najpiękniejszą z kochanek.

Chwali mnie szlachty u rycerzy koło.
Maryli imię brzmi po całym kraju,
A ona za to oplata me czoło
Marnymi gałązki maju...

Te słowa, jakby żywcem z jakiej niemieckiej wyjęte ballady, włożył autor w usta tradycyjnego zbója Madeja.

Starosta Kaniowski, powieść ukraińska, ze trzech złożona części, zajmuje trzecią część całego dzieła. Przedmiotem jej głośny z srogości i szaleństw Mikołaj Potocki, którego życie dotąd już tyle piór w poezji szacie ukazać usiłowało, a co jedno to gorzej, że wreszcie samo nazwisko jego za złą wróżbę dla pisarza brać trzeba. Niniejszej powieści treścią: miłość starosty. Wiejska, prosta dziewczyna Hanna zajęła tak silnie serce groźnego pana, że zaledwie ją zobaczył, posiąść zapragnął. Hanna przecież, nie wiadomo jakim sposobem, zdołała ujść rąk drapieżnych; wściekły od gniewu starosta nakazuje ścigać zbiegłą. Szulak, kozak nadworny, wykonawca i wspólnik pańskiego bezprawia, twardy i srogi, lecz namiętny i hartownej duszy, puszcza się w pogoń i dogania biedną. Lecz piękne oczy Hanny w jednej chwili kruszą kamienne jego serce; zakochany, miasto ofiarę oddać w szpony swego pana, uprowadza ją tajnymi szlaki w skrytą ustroń wśród skał niedostępnych. Tu w opuszczonej, samotnej chacie starej wieszczki czy czarownicy, ukryta młoda dziewczyna oddaje się cała zbawcy swemu, często w tajemne przybywającemu odwiedziny, i szczęśliwą zostaje żoną. Ale tajemnicę kochanków odkrywa przed dzikim starostą Żyd, ulubieniec jego a śmiertelny wróg Szulaka; i wnet piękna Hanna w zamkowych uwięziona komnatach czeka, rychło sromotnych żądz ma się stać łupem; mąż jej w podziemnej ciemnicy szarpie się z ciężką męczarnią niewoli, samotności i rozpaczy. Wierna Hanna ze wzgardą odpycha zaloty łupieżcy, aż raz wśród nocy szczęśliwie zbiec się jej z więzienia udaje. Nadchodzący świt zastaje ją jeszcze na zamkowym podworcu, przerażona, kryje się w gęstwinie cierni grodzącej mury warowne. Ale wkrótce z podziemnego więzienia dochodzi ją jęk znanej piersi. Szulak to konał katowany na torturze. Po śmierci ukochanego, nieszczęsna niewiasta znowu więziona jeszcze stale nikczemnej opiera się chuci; darmo

mitsi znawcy, panowie M. Grabowski i J. I. Kraszewski. [„Rubon. Pismo poświęcone pożytecznej rozrywce" – wydawane w latach 1892–1849 przez Kazimierza Bujnickiego w Wilnie – Red.]

Kaniowski postrachem i łaską chce wymóc powolność, darmo rękę własną ofiaruje – aż wreszcie zniecierpliwiony, w chwili pijanego szału, strzałą krwawą przeszywa nieskalane serce. Po dokonanej dopiero zbrodni zgryzota szarpie sumienie, skrucha wstępuje w duszę jego; w Klasztorze Poczajowskim na pokucie grzeszne kończy życie.

Otóż szkielet poematu. Ale szkieletowi temu autor nie dał ciała, to by się z nim wiązało w nierozdzielną całość, barwną, ruchliwą, żyjącą; nagość tylko jego okrył powieszanymi szmatami i na wzór dziecka mniemał, że za żywą uda osobę swój utwór, że pod różnobarwnym okryciem niedostrzeżony ujdzie brak duszy. Szmaty te rozwieszone – to ustępy rozliczonego rodzaju nieporządnym natłokiem całą zalewające powieść, po największej części bez żadnego z nią związku. Treść ich tak mnoga, tak coraz nowa, że słowa, które na początku niniejszego przeglądu powiedziałem o *Kaniowskim zamku*, dadzą się zastosować do *Kaniowskiego starosty*: i tu, jak tam, plotą się wszelkie żywioły ukraińskiego bytu – kozaczyzna, pańskie, szlacheckie życie, i życie gminu, i podania jego; i jak tam wśród obrazów zewnętrznego świata wikła się liryczne lub walkę wewnętrzną namiętności kreślące ustępy. Zamęt w powieści Grozy panujący Goszczyńskiego dziki przypomina bezład; nawet ów właściwy sposób autora *Kaniowskiego zamku*, obznajmiający z wypadkami zachodzącymi czytelnika za pomocą rozmownych puszczyków, znalazł tu odbicie w rozmowie nocnej upiora, wilkołaka i biesa. Nietrudno by więc było pomiędzy obu tymi dziełami wskazać pokrewieństwo bliskie, gdyby świeży twór od dawniejszego nie w najważniejszej rzeczy; gdyby z tamtym nie różnił go zupełny brak poezji. Stąd kiedy *Zamek Kaniowski* rozbierać jako dzieło sztuki, rozkrywać, dostrzegać tych genialnych błysków myśli i prawdziwego natchnienia rzetelną jest rozkoszą i niezmiernie korzystnym zajęciem z wszech względów, rozbiór krytyczny *Starosty Kaniowskiego* niejedno byłby męczeńską pracą a marną, lecz co więcej, gruntownie biorąc, jest niepodobieństwem. Goszczyńskiego bowiem poemat jest jak różnofarbna tęcza – każdy z odrębnych żywiołów, każda z osobnych cząstek przy całej wyraźnej barwie własnej tak umiejętnie zlewa się z innymi, że rozdzielić ich nie zdołasz, tylko w jednej prześlicznej wstędze uważać je musisz, a im dłużej uważać będziesz, tym silniej podziwiać mistrzowską przyjdzie ci rękę. U niego, widać, że każda myśl, każde pojęcie, podanie, wspomnienie wpierw było w sercu, nim użyć ich zapragnął, i przeto gdy je w twór swój wciela, każde z nich wychodzi żywe mu z piersi, gorące od jego ducha, owiane nim, przesiąkłe. Przeciwnie Groza: ten twórczego nie pojął zadania; słyszał czy widział, że w życiu podań, w ogarnięciu rozlicznych strumieni życia wielka poezji leży potęga, ale nie znał koniecznych warunków, bez których w dziele tworzenia kroku uczynić niepodobna. On nic nie bierze z wewnątrz, wszystko [z] zewnątrz siebie. Całą jego robotą wzięte przedmioty z niezmiernego obszaru życia ścisnąć w szrankach książki, bez najmniejszego usiłowania połączenia ich ze sobą, choćby tylko tak, jak łączy cieśla dwu bali końce w węgieł jeden. Każdy szczegół inną tu ma miarę, inny ton, inny punkt i kolor światła: wrzawa z takiego zbiegowiska powstała może mieć jaki interes, może być przedmiotem rozpoznawania we względzie sztuki?

VI

Przeglądać po szczególe rozliczne części pojedyncze poematu i zbyt długiego wymagałoby czasu, i na mało by się zdało; gdyż największa część ustępów nawet względnej nie ma wartości. Kilka wszakże miejsc plastycznym zaleconych obrobieniem znaleźć tu można; osobliwie, gdzie autor z szlacheckich podań maluje obrazy. Doskonały jest nad inne opis awantury Woźnego, który pojmany w chwili, gdy pozew podrzucał, aby uniknąć batogów, podjął się zjeść go całkiem; nie mniej zjawienie się w chwili zgonu ducha Łużyńskiego:

Wino, miód biesiadnikom dodają uciechy;
Coraz huczniejsza wrzawa; poczuwszy dym w głowie,
Swe różne dykteryjki sławni gadułowie
Prawią jeden za drugim; starosta ochoczy
I za boki się chwyta i ociera oczy –
Radość nieopisana. – A wtem dwa brytany,
Co dotąd sobie milczkiem leżały u ściany,
Zawyją przeraźliwie i pod stół się wtłoczą.
Biesiadnicy zdziwionym okiem wkoło toczą,
Umilkną gwary, śpiewy. – Brytany pod nogi
Cisną się, warczą, skomlą z wrastającej trwogi –
Co to jest? – każdy pyta – co to? Przy kominie
Stoi blady Łużyński, krew mu z czoła płynie.
Ręce złożył na piersiach, a oczy wyzwierzył,
Raz jeden niemi w pana starostę uderzył,
Drugi raz u Świderskiego, a u Szulaka trzeci.
„Dzieci moje! – zawołał – biedne moje dzieci!".
I zniknął, a wtem kozak od warty się stawił,
O zgonie Łużyńskiego staroście objawił.
„Co ty – fuknie starosta – wydziwiasz przed nami!
On tutaj był i jeszcze musi być za drzwiami"
„Łużyński – przerwał kozak – własnymi rękami
Oczy jemu zamknąłem, za dusze pacierze
Zmówiła kurdygarda i dzwonnik na wieżę
Poszedł w dzwony uderzyć. Właśnie w tejże chwili
Ozwał się dzwon na wieży. Smutnie popatrzyli
Biesiadnicy po sobie, strach podniósł im włosy,
A dzwon coraz i coraz brzmiał smutnymi głosy.

Szkoda wielka, że te oba ustępy (składające część pierwszą powieści) mniej niż wszystkie inne z główną łączą się treścią, dziwnym bowiem wzorem dopiero w końcu tej części zawiązuje się interes bajki. – Jako przykład dość żywego przejęcia rzeczą zasługuje jeszcze na wzmiankę mowa stojącego Szulaka; przeciwnie, jako próba najdziwotworniejszej przesady i nieumiejętności uderza kończąca poemat rozmowa Kaniowskiego z księdzem, gdzie ów nieuhamowany, rubaszny, srogi starosta z sztyletem w ręku odgrywa rolę Gustawa w *Dziadach* Mickiewicza.

Ale osobliwszej uwagi wymaga historia *Makryny*, wróżki-rusałki, u której wśród skał odludnych kryła się długo Hanka: autor bowiem tworząc tę postać użył nie tylko podania gminnego, ale co większa ośmielił ręką sięgnąć do świętego ich źródła, do tajemnego ołtarza plemiennej, głębokiej, potężnej wiary naszej, od tylu wieków zapomnianej, zaniedbanej, jak miecz rdzą strawionej. Makrynę, dziewicę młodą, pokochali dwaj Bogowie: Czarny i Biały. Czarny, ażeby ją posiąść – Biały, aby uszczęśliwić swą wielowładną obrócił wolę i zawiedli bój między sobą. Biały Bóg chroni przed żądzą wroga swego wiekuistego dziewczynę w dzikim ustroniu nadrzecznym, zsyła jej urodziwego strzelca, by miłością uszczęśliwić, a sam z wysoka czuwa nad młodą parą. Ale Czarny wyśledził schronienie miłości błogosławionej i rozerwał szczęścia węzeł śmiercią pięknego myśliwca. Dla nieszczęsnej wdowy Bóg Biały roztworzył podwodne światy i nieśmiertelnej oddał w dziedzinę ich kryształowe, cudowne pałace. Wróżka rusałka pokazuje to państwo swoje Hannie i gościć zaprasza w nim na zawsze, obiecuje uciech morze, chce zwabić w otchłań dla niej Szulaka, by wiecznie żywi i młodzi z nieśmiertelnej razem pili miłości; tylko z piersi każe jej odrzucić świętości: medalik i krzyżyk chrzestny. Hanna nieujęta pokusą ciśnie te drogie zbawienia zadatki do serca: grom wtedy zwierciadlane rozwala pałace, a fala na wierz wyrzuca dziewczynę.

Nie będziemy rozbierali szczegółów, obrobienia tej bajki, już bowiem nie raz jeden pod tym względem oceniliśmy zdolności i pojęcia autora: tu tylko zostaje nam chwilę zastanowić się nad użyciem dwojga starosłowiańskich bóstw imienia, nad stanowiskiem, jakie autor im wskazał. Intryga powieści pokazuje dowodnie, że autorowi zdawało się dosyć miano słowiańskich Bóstw użyć, nie troszcząc się o zgłębienie istoty ich przymiotów i znaczenia w rodzimej Ludu wierze. Postąpił więc sobie jak cała zgraja nieszczęsnych przedrzeźniaczy romantyzmu, którzy pod imiona Wacławów, Januszów, Żegotów podszywszy awantury z niemieckich i angielskich pobrane romansów, pewni byli, że tworzą narodowe dzieła; Czarnego Boga wytłumaczył sobie podług rzymskich i litewskich podań i powtórzył na rzecz tego pokrewieństwa podania o Prozerpinie i Nijole[6]. Zaufał widać nieomylności zdania M. Grabowskiego, który w świeżo wydanej krytyce swojej (krytyka *Kołłątaja o początku rodu ludzkiego*, w „Dwutygodniku Krakowskim") następujące kładzie słowa:

[6] *Witolorauda* J. I. Kraszewskiego. [Zob. J.J. Kraszewski, *Anafielas. Pieśni z podań Litwy*, [pieśń] I, Witolorauda. *Pieśń z podań Litwy*, Wolno 1840 – Red.]

„Od niejakiego czasu poeci nasi usiłują nawet za sprawą imaginacji odgadnąć właściwe kształty przedchrześcijańskiej wiary swych przodków. Widzieliśmy próby utworzenia postaci mitologicznych słowiańskich (Rusałki Zaleskiego, Rusałka w poemacie Grozy, Goplana Słowackiego itd.). Mnie by się zdawało, że i w tym względzie imaginacja bez żadnego podaniowego wsparcia nic szykownego nie utworzy. Radziłem niektórym poetom, kuszącym się o to, ażeby wychodząc z tej zasady, że wszystkie ubóstwiania sił przyrody muszą się spotkać z sobą w mnogich względach, nie upędzali się za konieczną oryginalnością, nie pomiatali przeto gotowym ciałem mitologii greckiej, a przywłaszczali ją sobie, naprowadzając tylko kolorem miejscowej poezji”*.

Rady, o której tu osławiony krytyk wspomina, zapewne udzielił i Grozie: ten przecież mógłby był się domyślić, że jak bądź w sąsiedztwie Michał Grabowski za wielkiego uchodzi estetyka, jakkolwiek w rzeczy samej nieraz pod względem sztuki słuszne i bystre są jego postrzeżenia, to przecież nie zawsze – i że są pewne wzniosłości pojęć, na które nie tylko nigdy nie wstąpił, lecz o których istnieniu nic nawet nie wie. W rzeczy poezji Ludu wzniósł się on tylko do zrozumienia formy ([to] i tak wiele na człowieka, który w gminu życie patrzy z wysokości swego genealogicznego drzewa!), ale o pojęciu przezeń całego jej ducha mówić nawet nie ma co. Kto więc na tym pracować chce polu, najmniej baczyć powinien na rady, dbać o sąd jego; pilnując się ich bowiem, koniecznie obłąkać się musi. – Groza nie tylko ten jeden raz zdaje się szedł za zdaniem swej okolicznej wyroczni, toteż zapewne niejeden błąd, niejeden ciężki upadek temu zawdzięcza.

Gdyby autor był choć cokolwiek zastanowił się nad istotą Czarnego Boga w wierze naszej przedchrzestnej, nie śmiałby bratać go z Plutonem i podobne przypisywać mu dzieła. Nic bowiem sprzeczniejszego, jak wiara ta z każdym systemem mitologii. Naturę jej tak kilkudziesięciu słowami skreślił Mickiewicz*: „Dla braku objawienia mitologia nie mogła nastać u Słowian; bo, jak wiadomo, jest ona niczym więcej tylko zepsuciem rewelacji. Religia taka, jaką znajdujemy w najdawniejszych historykach, pomnikach, powieściach gminnych i podaniach Słowian, dowodzi niezmiernej starożytności tego ludu… Jest to religia pierwotna, patriarchalna; religia, jaką widzimy w *Genezis* – Bóg, nieprzyjaciel Boga, nieśmiertelności duszy i ślad pamięci o występku, który okupić potrzeba, okazujący się w zwyczaju czynienia ofiar. Oto jest wszystko, co się tu daje spostrzegać”[7]. Oczywiście więc, każdy z tych dwu bogów nieskończenie wzniesiony stoi nad wszystkie bóstwa wszystkich bałwochwalskich systemów, ani się mierzyć ich skalą, ani równać z nimi może. Ani godzi się imionami ich wielkimi kryć namiętności

* Nie udało się zlokalizować cytatu z pism Michała Grabowskiego (1804–1863), krytyka literackiego, powieściopisarza i publicysty, autora m.in. *Stanicy hulajpolskiej* (1840–1841).

[7] *Kurs pierwszoletni 1810–1811* [sic! – w rzeczywistości: 1840–1841 – przyp. Red.] *literatury słowiańskiej wykładanej w kolegium francuskim przez A. Mickiewicza*.

* Jest to parafraza (swobodna) V wykładu Mickiewicza w Collège de France (Kurs I)

ziemskich, ani w tak drobną wystawiać zaplątanych walkę. Autor *Starosty Kaniowskiego* nie tylko z wiarą ową starosłowiańską pomieszał dawne pogańskie, lecz i chrześcijańskie podanie. Z własną szkodą dał próbę, jak niedorzeczną jest rzeczą połączenie podobne. Dla wszystkich bożyszcz wielkich i małych, dobrych czy złych, znajdzie się miejsce w systemie Chrystianizmu jako dla złych, buntowniczych duchów trwogą lub podstępem wymuszających sobie cześć u ludzi, która się Stwórcy należy. Tak też nieraz mitologią grecką i rzymską, uważając jako rzetelne dzieje, tłumaczyli pisarze wieków średnich. A czyż Bóg Biały Sławian, który bynajmniej nie jest uosobieniem jednych z sił przyrody, ani dowolnie wymarzonym jestestwem, ani apoteozą człowieka, lecz rzeczywiście bogiem dobrego, walczącym wroga swojego przez nienawiść konieczną złego, może być w szereg duchów potępionych wcielonym? Innego zaś miejsca wiara, która cześć jest u nas zwaliła, ofiarować mu nie może.

A. Groza nie tylko w *Staroście Kaniowskim*, lecz i w drobniejszych wierszach usiłował parękroć korzystać z podań przedwiecznej przodków wiary, jak to widać z wyjątków dwu z poematu: *Zemsta Czarnego Boga.* Wszystko, co zrobił w tym względzie nie ma oczywiście wartości; niemniej przecież ważne jest pokuszenie się jego, jako znak proroczy budzącego się przeczuciem, potrzeba jakiegoś zejścia ku podaniom owym. Nieraz w chwili, gdy nowe pojęcie, nowy porządek świata narodzić się miał, przeczuwali go ci, którzy pojąć go nie mogli, i z ust ich wybiegały mimowolnie ciemne proroctwa słowa, które wkrótce potem jasnymi się stawały…

***

Szczegółowy przegląd *Poezji* zakończymy poematem *Mogiły*; dwa bowiem obszerniejsze utwory *Kniaźnin, poemat uczuciowy*, *Wacław i Helena fantazyn*, nie tylko pod żadnym względem rozebrać, lecz bodaj czy komu czytać się dadzą. *Mogiły* pisane są bez najmniejszej pretensji, bez niepotrzebnych wynurzeń i miotań. Jest to po prostu opowieść klęski, którą na polach Batowa zadali polskiemu rycerstwu Tatarzy i rzezi przez kozaków na bezbronnych dokonanej jeńcach. Zdarzenie to opowiada przed Janem Sobieskim naoczny jej niegdyś świadek na polu Batowa, na mogile pomordowanych braci, wśród wojennego obozu, tylko co po krwawym boju. Jak doskonale dobrane to wszystko do powieści! Całe też to dzieło jest w rodzaju swym doskonałe, niezawodnie najlepsze z wszystkich autora. Nie odznacza się ono wprawdzie ani planem obszernym, ani wysokim natchnieniem, ani pomysłem świeżym; ale za to części jego tak doskonale spojone ze sobą, tak piękna jedność panuje od pierwszej do ostatniej karty, tak szczegóły opisów plastycznie, sztukmistrzowsko dokonane, że prawdziwie na uczczenie zasłużył tu Groza, iż umiał wybrać przedmiot stosowny sobie. Oby tylko zawsze każdy z pisarzy zechciał sumiennie się obrachować ze sobą, nim się za pióro imie, a każdy zjednałby sobie wdzięczność i chwałę przyzwoitą, robiąc, co może, nie szarpiąc się na niepodobne.

Jedyny zarzut, jaki miałby do uczynienia *Mogiłom*, to że pieśń młodego giermka o batowskiej bitwie jest amplifikacją niepotrzebną, osłabiającą moc następnego opowiadania. Ale radzi zapominamy o tej drobnej usterce, dla licznych piękności utworu całego. Gdyby przyszło mi wyliczać wszystkie miejsca odznaczające się pięknością i prawdą, przyszłoby mi nieledwie od początku do końca go przepisać. Wybiorę więc tylko kilka, które najsilniej mi się podobały.

Stary żołnierz, Drużkiewicz, opowiada poprzednie srogiej klęski wypadki; jak więc Hetman naznaczył był obóz i kopać rozkazał tu wały:

Sypiemy. W pierwszym szlychu zaraz nas zmieszały
Trupie kości, leżące pod darnią stepową,
Jak okiem nie zasięgniesz na przestrzeń milową.
Nie sielski to mogilnik – po czerwonej niwie
Tak tu niegdyś miecz wojny pustoszył straszliwie.
Wieczny pokój poległym! i dla naszych kości
Ktoś pokoju użyczy; – więc do jego Mości
Hetmana szlemy posły z prośbą uniżoną,
By na nowych płaszczyznach nowy rów wytkniono.
Za odpowiedź sam Hetman do ryskała stanie,
Zakasa ręce, poły podwinie w żupanie,
Wniesie czapkę i na kształt służebnego chłopa
Bez oddechu przez kości szeroki rów kopa.
Zrazu nas śmiech, a później żal ogarnie żywy,
Bo był to mąż rycerski, szanowny, sędziwy.
Długośmy go błagali, nim się udobruchał,
Rzucił okiem łagodnym, naszych próśb wysłuchał,
Złożył ryskał, lecz dalej kazał kopać rowy.
Kopiemy: chrupią kości, tarzają się głowy,
Dzwonią stare zbrojce, a nam się w sercu trwoga:
Czy za taką zniewagę nie spotka sąd Boga?

***

Każdy tylko niechybnej zguby oczekiwa
Zdziwiła się na niebie kometa straszliwa,
Zbiegłszy firmament, gasła nad naszymi głowy.
W tyle obozu leżał gęsty las dębowy.
Tam co noc straszne dziwy, tumulty i wrzawa;
Leci podjazd i tumult na chwilę ustawa,
A tylko, Panie odpuść! upiór po upiorze
Wiesza się ponad bagna, wałęsa po borze,

Śmiałków chwyta i męczy… Wilki gromadami,
Jakby nasłane, zewsząd ścigały za nami;
Strach z szyku się odłączyć; jeśliś się odłączył,
Pewnieś rycerski zawód w wilczych zębach skończył.

Pominąwszy niezrównany język, w tym nagromadzeniu szczegółów tylu któż nie poznaje prawdziwego misterstwa; któż, co większa, nie zadrży przeczuciem okropności i zgrozy? Podobnie dziwnym urokiem, tylko że już nie przerażającym, lecz rzewnym uczuciem tchnie zakończenie powieści:

Umilknie starzec, oczy rękawem ociera.
A tymczasem do boku króla bohatera
Zbierają się wodzowie; zabrzmiała po rosie
Trąbka ranną pobudkę, w czystym dźwięcznym głosie,
I skrzydlate chorągwie, jak skrzydlate ptaki,
Lecą stepem, torując między trawą szlaki,
Grzmi step, a niebo coraz, coraz się czerwieni,
Tuman wzleciał i opadł, a morze promieni
Oblało niebo, ziemię. – Promienny we zbroi,
Na mogile bohater król z rycerstwem stoi.
Jak archanioł strzegący niebieskich podwoi. –
Król kornie schylił czoła i ugiął kolana,
Toż samo uczyniła drużyna zebrana.
I za ojców, za braci, przed wielki tron Boga
Popłynęła modlitwa cicha, rzewna, błoga. –
Znowu trąbka zagrała, król na siodło skoczył,
I po swemu rumakiem na stepie zatoczył,
Za nim wodzów i cała strojna wojska rzesza
I z ziemi się porywa, i żwawo pospiesza;
Aż wszyscy pospieszyli i zginęli w pyłach,
I cisza znów królować siadła na mogiłach.

Ustęp ten odczytywałem kilkakrotnie i mimo że go wreszcie na pamięć już umiem, zawsze jeszcze mogę z nie mniejszym czytać zadowoleniem. Może być, że polubiłem go dla ostatnich wierszy, które mi za każdą razą przywodzą boskie miejsce w *Marii* Malczewskiego:

…Znikli już rycerze:
I jakby sercu brakli żal za nimi bierze…*

Niech jednak nikt nie sądzi, że uwagą tą chciałem obwinić Grozę o naśladownictwo. Nie, to nie jest wcale naśladownictwo. To duch autora *Maryi* wieje po niektórych

wierszach *Mogił* i wzrusza w nas struny wspomnienia; co nowego uroku dodaje dziełu, nie szkodząc w niczym jego istotnej wartości.

Tak roztrząsnąwszy pojedyncze części *Poezji* Aleksandra Grozy, nietrudno będzie nam teraz odpowiedzieć na pytanie, któreśmy z góry sobie zadali: czy dzieło to za rzeczywistego natchnienia płód, czyli autora za prawdziwego cenić mamy poetę? – Uważaliśmy, że główną zaletą autora jest umiejętne naśladowanie pojedynczych szczegółów, w kreśleniu dokładnych obrazków, w pochwyceniu toków mowy. Wszystkie piękności, jakie napotykamy w jego pismach, z tego jedynie pochodzą źródła. Zbywa mu bowiem zupełnie na twórczości: czy to w utworzeniu osobnego świata, w którym byśmy zupełnie zatopić się mogli, czy w ułożeniu i powiązaniu intrygi, powieści. Również nie posiada on tego rzutu oka ograniczającego na raz kraj lub wiek, ani tej silnej myśli rozsypane wypadki i widoki łączącej w jedność. Co zaś najdziwniejsza w autorze chcącym być poetą, nie widać u niego nigdzie tego tajemniczego natchnienia, które czytelnik w słowach wieszczów z drżeniem i mrowiem odgadywać zwykł, nie ma ani marzeń, ani uniesień płomiennych serca, bądź wyrywających się jako głos własnej jego piersi, bądź idących z przejęcia się położeniem wprowadzonych na scenę osób. Możemy nazywać poetą, w wielkim słowa tego pojęciu, człowieka bez żądzy i ideału, bez zapału młodzieńczego marzyciela i artystycznego rozmysłu sztukmistrza? Im więcej takowych przymiotów łączy w sobie pisarz, tym bliżej dostępuje ideału poety, tym godniej odpowiada wysokiemu zawodowi swemu; lecz gdzie zupełny zachodzi ich brak, tam pomimo wszystkie drobne zalety i ozdoby, jakie by ktoś w pismo swoje nagromadzić mógł, o poezji mowy nawet być nie może[8].

A przecież dziełu, w którym na podobny natrafiamy niedostatek, poświęciliśmy tyle czasu i miejsca. Przyczyną mi była treść znacznej jego części, oparta na podaniu gminnym lub wykraczająca w jego dziedzinę. Roztrząsnąć, o ile żywioły gminne wchodzą w skład pism Grozy, o ile umiejętnie i sprawiedliwie ich użyto, o ile zaś zwichnięto i spaczono, to główną moją było myślą, przewodniczącą wśród całego niniejszego przeglądu. Pod tym względem uważając autora, sądziłem go twardo i surowo, na tym bowiem polu niepodobna pobłażać nikomu, niepodobna dla jakichkolwiek względów pozwolić rozszerzać się swobodnie fałszywemu sądowi. W duchu bowiem gminu leży jedyna moralna nasza potęga i nadzieja; tak jak w ręku jego spoczywa cała moc fizyczna. Oprócz tego celu, chciałem zarazem obznajomić publiczność z dziełem całym; niemniej pragnąłem wykrywając ujemną stronę autora, zwrócić uwagę i na to, co mi dobrego znaleźć się dało. Winienem to był autorowi jako sprawiedliwość; czytelnikom

* Zob. A. Malczewski, *Moria. Powieść ukraińska*, wstęp H. Krukowska, J. Ławski, Białystok 2002, *Pieść I*, wstęp VIII, s. 136, w. 165-166: „I ciche, puste pola – znikli już rycerze, / A jakby sercu brakli, żal za nimi bierze:(...)".

8 Żałuję, że nie miałem pod ręką *Literatury i krytyki* tudzież *Korespondencji literackiej* Michała Grabowskiego, by zdania jego przytoczyć, porównać i ocenić. [M. Grabowski, *Literatura i krytyka*, T. I-II, Wilno 1837 – Red.]

i sobie jako słuszne wynagrodzenie za nudną i smutną pracę w rozglądaniu i śledzeniu ułomności i niedostatków. Praca to trudniejsza i przykrzejsza, niż się komu zdawać może, i za którą nigdy bym się nie jął, nie stała w tak bliskim związku z przedmiotem najżywszego mojego zajęcia i miłości.

Roman Mazur

Roman Zmorski

NIECO O NARODOWOŚCI*

I*

Obok innych wieku naszego dążeń jedną z wybitniejszych i najogólniejszych cech jego są dążenia narodowe; dążenia ku podniesieniu wszelkiej narodowości do samodzielnego życia, do otrząśnienia się z moralnego i politycznego jarzma obczyzny. Dążenia te od samego początku bieżącego stulecia widoczne były na polu moralnego życia, przewodniczyły całemu ruchowi umysłowemu i wybiły się oczywiście we wszystkich znakomityszych płodach europejskiego piśmiennictwa i sztuki. – Kierunek ten współczesnego ducha był tak wyraźnym, że nie mógł ujść baczenia mężów bystrzej i dalej widzących, którzy też w nim charakter epoki uznali. Nie można więc było wątpić, że, jak każdy ruch w dziejach świata za kierunkiem moralnego ruchu postępuje, tak też i wszelkie polityczne wstrząsanie za dni naszych zdarzone będzie rozwinięciem okazującego się w świecie idei działania.

Tak się też stało. Kiedy huk zwalonego we Francji tronu zatrząsł całą Europą, gwałtownym ruchem zbudzone narody wywiesiły swe sztandary, wywołały hasła i stanęły do walki za swą sprawę, według właściwych o niej pojęć. Niemcy, wywiesiwszy starą cesarstwa chorągiew, niejedne i sporne między sobą, w jednej tradycyjnej myśli zgodnie stanęły: w obronie wspólnej zagarniętych niegdyś krajów i w zagarnianiu nowych (np. Poznańskie i Prusy Polskie). – Na północy myśl Unii Skandynawskiej, od kilku lat silnie się objawiająca, poczęła się urzeczywistniać w pomocy przez Szwecją i Norwegią przeciwko najściu niemieckiemu Danii danej. –

Osobliwie we wszystkich narodach niezawisłego pozbawionych bytu ukazały się czynne usiłowania, aby odzyskać wydarte prawa.

Biedna, wyniszczona, skrępowana, całą potęgą niezmierną swej ciemiężycielki przytłoczona Irlandia zdobyła się jednakże choć na słabe i chwilowe wstrząśnienie. – Na południu z prawdziwie południowym zapałem Włosi podnieśli powstanie dla zrzucenia zadawnionej Austriaków władzy. Druga romańskiego rodu gałąź, daleko na wschód rzucona, na Wołoszy i Multanach, również gorącą do niepodległości rozwinęła dążność.

Nareszcie mnogie ludy słowiańskie, już za politycznie zmarłe uważane, podniosły silny i życia pełen głos przeciwko długowiecznemu przywłaszczeniu i uciskowi Niemców i Madziarów.

---

* R. Zmorski, *Nieco o narodowości*, „Stadło" 1849, nr 1-4.

* Cyframi rzymskimi oddzielamy kolejne części artykułu w numerach „Stadła". W oryginale są one oddzielone wyrażeniami: (*Ciąg dalszy*); (*Dalszy ciąg nastąpi*).

Słowem, na przekór wszystkim szkolarskim teoriom, zamiast powszechnej socjalnej, powszechna narodowa wybuchła walka. Śmiało rzec można, kwestie społeczne dopełniające tylko zajęły stanowisko; ludy pracując nad zwaleniem dawnych, ciasnych form swego życia, nad swobód powszechnych zyskaniem, wypełniają tylko konieczne warunki do zupełnego rozwinięcia prawdziwie narodowego ich bytu i wzrośnięcia w potęgę.

Ale ażeby uniesione narody odzyskały niepodległość – ażeby na przyrodzonych narodowości zasadach nowe państw kształty i nowe powstały granice, ażeby w ogóle zasady te w polityczne weszły życie, na to przede wszystkimi potrzeba zwalczyć odwieczny, dynastyczny system cały, szeroką siecią wiążący Europę. Ohydny ten i bezbożny system głębiej i szerzej rozrósł się przez długie wieki istnienia niżeli się na pozór zdaje – ma on dziś jeszcze, niestety! – tradycyjną swą powagę, ma doświadczenie i zimne wyrachowanie starości, ma za sobą całą armią zręcznych i zaprzedanych zupełnie sobie agentów, potęgę złota, siły zbrojnej i ściśle spojonej hierarchii; przeciwko temu wszystkiemu ludy stawić dotąd mogą tylko moralną moc. –

Jakżeż niezmiernego upowszechnienia, jak wysokiego rozpłomienienia narodowej idei potrzeba, ażeby odniosła zwycięstwo! – Nie dziw więc, że wszelkie narodowe usiłowania do tej chwili żadnego prawie nie wydały owocu, owszem, jest to smutna konieczność.

Wielkie odmiany w dziejach nie są dziełem jednej chwili. Dość że bój raz się rozpoczął, dość, że idea raz wypowiedziała się czynem; raz do życia powołana nie da się ona więcej przytłumić, będzie walczyć aż zwycięży i odmieni postać świata. – Czyli walka dziś rozpoczęta z orężem w ręku, na polu bitwy, na nim już ciągle rozwijać się będzie – czy też przerwana – wróci znów na czas jakiś na czysto moralne pole, ażeby kiedyś znowu ostatecznie w krwawym rozstrzygnąć się boju? – to Bogu samemu wiadomo. Tyle tylko niewątpliwym zostaje pewnikiem, że jakąkolwiek koleją potoczą się dalej rzeczy, przyspieszanie lub opóźnienie ogólnego zwycięstwa, a względnie tryumf sprawy każdego z narodów od niego samego głównie i ostatecznie zależeć będzie; im rychlej z własnej istoty wydobyć zdoła prawdziwie narodową ideę, im skorzej ją upowszechni w całej swej masie i przeprowadzi we wszystkie życia stosunki, im gorętszą do niej rozpłonie miłością, tym prędzej ujrzy spełnienie swych pragnień. –

Od tych warunków urzeczywistnienia zależeć też będzie ziszczenie pragnień i tryumf naszej Ojczyzny…

Że Polska jedynie przez sumienne narodowych żywiołów zbadanie, przez wywinięcie z nich prawdziwie narodowej idei, przez przesiąknienie jej wskroś wszystkich stosunków domowego, społeczeńskiego i politycznego żywota, przez najwyższe podniesienie narodowego uczucia w masie – odrodzoną być może, jest to równie niezawodna, jak że brak tych wszystkich warunków nad przepaść upadku ją przywiódł i do niej strącił. – Zdaje się, że jeśli pierwsza prawda nie dość dotąd upowszechniła się, ugruntowała i wpłynęła na naród, jakby tego dla sprawy ojczystej życzyć trzeba, najwięcej przyczynia się ku temu prawie zupełne drugiej zapoznanie.

Istotnie, panuje u nas w tym względzie, od niejakiego czasu, jakiś dziwny obłęd, jakiś fatalny rodzaj źle pojętego patriotyzmu, srożej szkodzący, silniej nierównie dzieło zmartwychwstania spóźniający, niż wszystkie wrogów wysilenia.

II

Rozbiór dawnej Polski, wymazanie jej zupełne z kart państw Europy było to, jak uznał świat wszystek, dzieło haniebne zdrady i rozboju, rzucające wieczną plamę na sprawców swoich, nieusprawiedliwione nigdy żadnym pozorem, jakikolwiek by na jego usprawiedliwienie przywieść chciano. Wszystko więc, co się da powiedzieć o bezsilności i bezwładności ówczesnej Rzeczpospolitej, o jej wewnętrznym wycieńczeniu przez nadużycie istnienia, o zepsuciu trawiącym moralne i polityczne życie, nie zmniejsza bynajmniej okropności wołającej o pomstę do nieba zbrodni trzech mocarzy.

Lecz z drugiej strony niepodobna zaprzeczyć, że stara Polska upadła głównie własną swą niedołężnością. W dziejach świata nie masz przykładu, aby jakie bądź państwo upadło zwalczone nawałem zewnętrznych wrogów, dopóki w ciele jego tchnie duch żywy, dopóki ono w sobie samo nie pocznie psuć się i rozkładać. To samo, że niecni sąsiedzi mogli pomyśleć o rozbiorze, wskazuje w jakiej ówczesna Rzeczpospolita leżała niemocy; spełnienie rozbioru, towarzyszące mu okoliczności, okropniej to jeszcze poświadczają. Zdrowy i silny mąż, napadniony zdradziecko od trzech łotrów, drogo by im życie swoje sprzedał, długą i głośną byłaby walka poprzedzająca jego upadek… Niestety! nie takim był upadek naszej Ojczyzny – legła ona, rzec można, bez walki; boć czymże były wszystkie ówczesne usiłowania zrównane z ogromem sprawy, z niezmiernymi bogactwami i ludnością Rzeczypospolitej?.....

Ogromny, dziesięciowiekowy, a zdrowym życiem zieleniący dąb, nie zaraz uległby pod ciosami zabójczych toporów: długo nim by padł, łoskot siekącego czerstwą rdzeń żelaza rozlegałby się po okolicy, a upadek olbrzyma lasów, szeroko roznosząc zniszczenie, daleko i strasznie jak grom zatrząsłby ziemią. Niestety! dąb dziesięciowieczny polskiego państwa był próchnem obumarłym – legł snadno i bez rozgłosu, zaledwie dając coś trudu napastniczemu żelazu.

Gdy się tedy rzecz o odbudowanie niepodległego bytu Ojczyzny toczy, nie czas na bezskutecznych klątwach i skargach dni trwonić, a raczej by z przeszłych nieszczęść wyciągnąć dla przyszłości naukę, śledzić sumiennie: skąd taka niemoc ogarnęła w chwili owej ogromne dawnej Polski ciało, dlaczego na pniu stojące uległo zgniliźnie i spróchnieniu? skąd poszedł ten brak żywotnych w nim soków? – gdzie się te soki wtedy ukrywały i do dziś dnia trwają?

Na ludziach naukom i pisarskiemu zawodowi poświęconych nade wszystko ciąży obowiązek przewodniczenia narodowi w tej pracy. – Istotnie też nie brakło u nas i po dziś dzień nie braknie męży, którzy, k'woli prawdziwej dla ojczyzny usługi, naród

we własnych jego błędach nieszczęścia przyczyn, a w ich poznaniu i przełamaniu zbawienia drogi szukać zachęcają; dziś przecie głos ich stał się prawie powszechnie głosem wołających na puszczy, zagłuszony nawałem podchlebstw, podniecających nierozsądną próżność, oddalających od narodu wszelką myśl błędów i potrzeby poprawy, nazywających każdą myśl podobną: urąganiem nieszczęściom Ojczyzny, rozkrwawianiem jej ran niezagojonych, przyświadczaniem wrogowi rzucanych na nas bluźnierstw i potwarzy*. Ale zaprawdę, wszelkie urągowisko, wszelkie wrogów potwarze i bluźnierstwa, tysiąckroć mniej są zdolne ojczystej sprawie zaszkodzić, niźli schlebianie sobie samym. Urągowisko i potwarz nigdy nie zdołają przygnieść i w nikczemność strącić tak człowieka, jako i narodu niezniedołężniałego, niewyzutego z moralnej istoty – owszem, wbrew celowi swemu wprowadzają go częstokroć na drogę wielkości: pierwsze, odkrywając mu, choć w bolesny sposób, istotnie jego słabości i wady – druga, budząc w nim wolę zagłuszenia jej wielkim czynem.

Pochlebstwo tylko – niby pasożytne zielsko, co objąwszy drzewo, zdobiąc je niby i wieńcząc, wszystko w nim życie z wolna tłumi – skoro się uczepi człeka czy narodu, słodką trucizną swoją usypia go całkiem, zniedołężnia i znikczemnia wreszcie, jeśli dość wcześnie zgubny jego wpływ pokonanym nie będzie. – Zasłaniać przed oczyma narodu rany, przez które niemocą leży, aby mu boleści oszczędzić, jest to najniebezpieczniejszy na życie tegoż narodu spisek. Jak bądź zaś w tym nie tyle złą wolę, a raczej krótkie rzeczy widzenie i drobne miłości własnej widoczki, winić trzeba – nie mniej przecież naglącą jest powinnością ludzi dalej wzrokiem sięgających, nieszukających z łatwego patriotyzmu sławy, lecz prawdziwego ojczystej sprawy pożytku, niszczyć zgubny wpływ schlebiaczy na naród, nie pozwolić mu w zaślepieniu chwalb zapomnieć o ułomnościach, które dzisiejszy stan jego sprowadziły…

Wracając więc do rzeczy, powtarzamy raz jeszcze: dawna Polska upadła głównie swą własną niemocą – mianowicie: brakiem narodowego żywiołu w politycznym jej organizmie.

Rozglądając dzieje, jasno jak na dłoni dopatrzeć się można, skąd i jak do tego przyszło.

III

Począwszy od pierwszej prawie karty naszej pewnej historii, widzimy jeden stan wznoszący się nad ogół narodu, wyłącznie obejmujący sprawowanie rzeczy państwa – i zaraz z początku za znamię swojej wyższości i jako środek zupełnego z Ludem rozbratu przyswajający sobie obce prawa, obcy obyczaj i język. Z wolna zasiany tak rozdział rozwija się coraz silniej, coraz bardziej wzmaga się polityczna wyłączność szlacheckiego stanu, aż nareszcie, nie już służąc państwu, lecz uczyniwszy je swoją

* Przykład oryginalnej i niezwykle złożonej składni Romana Zmorskiego.

własnością, stan ten zamyka się zupełnie sam w sobie i sam w sobie staje się wyłącznym narodem – narodem wśród narodu. –

Lecz idea jedności wszystkiego narodu, snać już głęboko w przedhistorycznej epoce wkorzeniona w Polsce, lecz bliskie i rozległe stosunki od owej epoki wiążące wznoszący się w górę stan z Ludem, zbyt były silne aby tak nagle zerwać się i zapomnieć dały; lecz Lud, długo jeszcze swobodny, nieznękany i możny, nie dawał się tak nagle i łatwo od spraw publicznych zupełnie odepchnąć. Nieosłabiona w początkach władza panujących – reprezentujących idee państwa, a tradycyjnie przechowujących myśl równej nad wszystkimi obywatelami opieki – silną stawiała przez wiele czasów zaporę wyłącznym szlacheckiego stanu dążeniom. Samże nareszcie stan ten, w dążeniu swym do wyłącznej władzy, przyswajając i przyjmując na łono swoje wszystko cokolwiek z Ludu na wyższe wyniosło się stanowisko, długo bardzo w ten sposób odnawiał się niejako i stał w ciągłym związku z ogółem narodu, bo z nowo adoptowanymi niewidzialnie wciskał się doń duch Ludu, jego wyobrażenia i uczucia.

Toteż przez długie czasy, choć szlachta sama ogarnęła sterownictwo na okręcie państwa, naród cały czuł się i był jego osadą czynną – czuł w jego niebezpieczeństwie i klęskach własne swoje nieszczęście i jak jeden mąż stawał walczyć w jego potrzebie. Toteż długo, nie zawsze prawda, lecz często, w politycznych sprawach Polski wybijały się prawdziwie narodowe dążenia – długo w historii naszej, wśród plątaniny materialnych dziejów państwa, przewija się, choć niezbyt widoczna, złota nić dziejów narodowego ducha. Coraz rzadziej i słabszym świecąc blaskiem bardzo późno dopiero znika ona całkiem; a od tej chwili historia nasza nie jest już właściwie narodu polskiego, lecz tylko polskiej szlachty historią.

Oznaczyć ściśle momentu tego smutnego i złowrogiego rozdziału niepodobna; dokonał się on w epoce obieralnych królów. W gruncie rzeczy biorąc, stało się to jednocześnie i analogicznie z upadkiem istotnym królestwa a powstaniem Rzeczypospolitej – z chwilą, w której na miejsce króla, wyobrażającego państwo i najwyższą nad wszech stanami władzę, zasiadł na tronie pierwszy szlacheckiego *ordinis* urzędnik, *primus inter pares*, miasto obowiązku tradycyjnego nad całym narodem opieki, obowiązujący się strzec wolności *inclytae gentils*[*], których właśnie treścią było odsunienie najzupełniejsze od praw obywatelskich Ludu, oddanie wyłączne losów jego, a rządów państwa, w ręce szlachty. – To gdy się stało, stan szlachecki mógł o sobie, jak ów król Francji, ale pewnie z większą niż on słusznością, powiedzieć: państwo to ja! (*l'etat c'est moi*). Wynikłe stąd następstwa były całkiem naturalne. – Lud, obrócony w ciężkie i haniebne poddaństwo, znękany, zbiedzony, odarty ze wszelkiego obywatelstwa i opieki ze strony państwa, stał się względem niego zgoła obojętnym, obcym – przestał się czuć żywą częścią polskiej ojczyzny, owszem znał ją już tylko wyłączną szlachty ojczyzną. (Idea nieszczęsna, której gorzkie my dziś zbierać musimy owoce!) –

[*] *Inclytae gentils* – łac. sławni ludzie.

Z drugiej strony, szlachta, w samolubnym zamknięciu się w sobie samej, nie biorąc więcej żadnych żywiących soków z masy narodu, wystawiona bezustawnie na działanie przeciwnych wpływów, wśród niepomiarkowanego używania i zapamiętałego zmysłowego życia, szybko traciła wszelkie narodowe uczucie, a wreszcie wszelkie moralne pojęcie Ojczyzny. – Smutno mówić! – a jednak tak w istocie było. W ostatnich dawnej Rzeczypospolitej czasach słowo Ojczyzna – w tym wielkim i świętem, niewypowiedzianym a tak jasnym dla wszystkich znaczeniu, w jakiem my je dziś bierzemy – nie istniało wcale. – Ojczyznę stanowiło podówczas dziedzictwo wyłącznego obywatelstwa i władarstwa, samowładzy najnieograniczeńszej nad Ludem, i tych wszystkich przywilejów, ogólnym mianem wolności szlacheckiego stanu ogarnianych. Ich zachowanie i obrona było wówczas jedynym pojęciem obowiązku ku ojczyźnie; ich tylko zagrożenie mogło było do walki powołać kilkumilionową tłuszczę, w bezustannych domowych zawieruchach szable szczerbiącą. – Wiedziały to dobrze dwory Polskę rozszarpujące: toteż obiecując pod rządy swoimi zachować nienaruszone prawa i swobody szlachty, rozbroiły wszelki znaczący przeciw zamiarom swym opór. – – –

Kreśliliśmy tu najogólniejszy jeno obraz, a tym samem ogólny stan społeczeństwa mieliśmy na względzie. Tym więc, cośmy tylko co rzekli, nie ubliżamy bynajmniej wzniosłym i porywającym przykładom poświęcenia pojedynczych osób, bo te, wyjątkami w swym czasie będąc, ani w obraz powyższy wchodzą, ani w czym bądź prawdę jego osłabić mogą. Ze czcią najwyższą poglądamy na te ogromne, posągowe postaci Reytanów, Sołtyków i im podobnych; tym godniejszymi uwielbienia, tym wynioślejszymi stają one w oczach naszych, im jaśniej widzim poziomość otaczającego ich świata. Lecz ci wielcy mężowie są zaszczytem i własnością narodu i historii naszej, nie zaś zaszczytem lub usprawiedliwieniem społeczeństwa, w którym żyli. Owszem, są oni względem niego najsilniejszym wyrzutem i oskarżeniem; boć zaiste, jakże ogromne być musiało jego zepsucie i obumarłość, gdy w nim nawet tak ogromny głos nie znalazł echa, gdy nawet tak potężne przykłady zbudzić go i za sobą porwać nie zdołały!... Zdaje sie, że to jedno, kto bezstronną rozważy myślą, nie posądzi nas o złośną przesadę w odmalowaniu stanu publicznego ducha w ostatnich czasach istnienia starej Polski. –

Jak dalece prawdziwe pojęcie narodu zatracone było wówczas, stąd jeszcze widzieć można, że nawet z mężów gorliwie, szczerze, o ocaleniu niepodległości kraju myślących, żadnemu się ono nie objawiło, że nikt w nim nie pomyślał szukać środków ratunku, których jeno w zastosowaniu cudzoziemskich teorii lub w niejakiej restauracji szlacheckiego systemu upatrywano.

Konfederaci barscy, owi prawdziwie bohaterscy zapastnicy ginącej Rzeczypospolitej, rycerze poświecenia, wytrwania i męstwa, zuchwale wyzywający tysiąckroć silniejszych wrogów i najgwałtowniejszych nietrwożni chwytać się środków – nie potrafili jednak wydźwignąć się nad wyobrażenia nieszczęśliwej szlacheckiej wyłączności; toteż

pomimo bajecznych czynów rycerstwa, musieli wreszcie zejść z pola, nie zostawiając nawet po sobie w masie narodu trwalszego nieco wspomnienia…

Zatraconą od dawna i ze szczętem ideę prawdziwą narodu i narodowej sprawy podniósł dopiero Kościuszko, którego zjawienie się pozostanie w dziejach Polski jako jeden z najważniejszych, a razem najdziwniejszych wypadków. W kraju, w którym szlachcic tylko był obywatelem i człowiekiem, w którym tylko co jeszcze najliberalniejsi ludzie mniemali, w najlepszej wierze, że najwspanialsze czynią poświecenie a dobrodziejstwo dla ludu, uchylając mu nieco wrota świątyni swoich herbowych zaszczytów, on, syn szlacheckiego rodu, niewytłumaczonym natchnieniem wiedziony, rzuca się na zupełnie inną, niesłychaną, drogę: chłopską na siebie wdziawszy sukmanę, tym wymownym znakiem powołując niejako za sobą stan szlachecki k' powróceniu do wielkiej jedności, z której się wyłączył, porusza i uzbraja masy gminu, co dotąd za największe niebezpieczeństwo Rzeczypospolitej się trzymało, i prowadzi je ochocze na wrogów. Pod jego wodzą Lud na nowo jako Lud staje na polu politycznych spraw, wciela się i łączy na nowo z interesem Polski, ludzie z gminu, nie zrzucając z siebie tego charakteru, dosięgają godności, dawno już dla nich zapartych – – słowem, Lud naraz jeden zbliża się ku politycznemu stanowisku, jakie w pierwiastkowych czasach bytu państwa zajmował. – Jak wielkie i gorące przechowało się za tym dawno straconym stanowiskiem w duchu (choć nie w wiedzy) Ludu pragnienie, świadczy gotowość i poświęcenie, z jakim się rzucił na wezwanie męża, który mu je znów przywracał, – pamięć głęboka i czci pełna, w jakiej wspomnienie Kościuszki po dziś chowa. Jak jego tylko samego mogiła, jedyna z nowszych czasów, wzniosła się między prastarymi pomnikami Wandy i Krakusa, tak jego tylko imię weszło w poczet podaniowych bohaterów gminu. – Tak będzie ono stać kiedyś w dziejach narodu, ogromne, pełne uroku, jedyne w swojej epoce. –

Dzisiejsza piśmiennego świata opinia, tracąc z widoku główny właśnie wzgląd Kościuszki posłannictwa, tym samym nie dość jeszcze wysoce ważność jego dziejową ceni. Zaiste, gdyby chodziło tylko o ocenienie w nim patrioty i poświęconego całkiem publicznemu dobru człowieka, z dumą moglibyśmy naliczyć mnóstwo w niczym mu nie ustępujących; jako wódz wojska i kierownik spraw krajowych mógł go niejeden przewyższyć; ale on tylko jeden przyniósł żywą ideę, przez którą Polska zmartwychwstać może – i zmartwychwstanie….

Że mimo niej ojczystej nie podołał zbawić wolności, stało się to zwykłą ziemską koleją. Rzadko kiedy myśl wielka zaraz za świeża przynosi owoce; im ogromniejsza, owszem, tym więcej czasu potrzebuje do wzrośnięcia – tak jak we świecie roślinnym dęby. – Nieszczęściem było, że jakkolwiek wszystko, co żyło, instynktowo czując żywotność przedstawianej przez Kościuszkę idei, rzucało się ślepo za jego wodzą, nie znalazło się wśród zdolnych politycznego przywództwa ludzi, którzy by ją pojęli i w siebie wcielili – że gdy, okryty ranami, na Maciejowickim polu, upadający bohater wypuścił z rąk mdlejących

chorągiew ową z godłem: „ŻYWIĄ I BRONIĄ”[1], nikt jej nie umiał podnieść do dalszego boju. Z upadkiem jednego człowieka upadł więc zapał i ufność całego narodu, rozchwiało się pojęcie rozpoczętej przezeń sprawy – i nareszcie sama sprawa.

Legiony i cała świetna napoleońska nasza epopeja, brzemienna bardziej chwałą niż pożytkiem, nie miały w sobie nic z ducha kościuszkowego powstania; toż samo płaci i o ostatnim wielkim usiłowaniu w 1830 roku. Powszechne zdanie nie tyle w popełnionych politycznych i wojskowych błędach, ile w tym, że nie stało się dość narodowym, upadek listopadowego powstania uznaje; a w gruncie biorąc, wszelkie błędy popełnione z braku narodowego w nim charakteru wynikły….

Racławicka chorągiew i Kościuszkowska idea leżą dotąd przez nikogo niepodjęte. –

IV

Po upadku listopadowego powstania wyrzucone na obce ziemie tysiące naszych rozbitków, wśród boleści świeżej i żalu za straconą tak świetną nadzieją, zmarnowanymi tak potężnymi środkami, krociami ofiar, rozpoczęły bolesną, ale konieczną do podźwignięcia się w przyszłości, pracę – rachunek narodowego sumienia i błędów. Z tej pracy, pośrodka zaciętej walki zdań i namiętności, wystrzeliło jasne w swej prostocie zdanie: że Polska tylko narodu własnymi siłami zbawioną zostać może; że w Ludu cała potęga nasza i cała przyszłości nadzieja. – W słowach tych kilku brzmi jakiś dźwięk pełen jędrności i mocy, jak dźwięk dobrze ukutej szabli – jakaś waga i pewność, jak w dźwięku szczerozłotego pieniądza: taki skutek wywarły one wszędy, gdzie jeno dojść zdołały, znalazły ufne przyjęcie w całej politycznie czynnej części narodu, stały się powszechnym artykułem wiary w całym wykształceńszem nieco społeczeństwie, a wszelkie patriotyczne usiłowania i ruchy w ostatniej epoce pod ich czynione były godłem.

A jednak dzisiaj, po piętnastu z górą latach wytrwałych i pełnych poświęcenia zabiegów Ojczyzna nasza leży jeszcze w okowach, co dnia okropniej gnieciona tryumfującymi stopami wrogów; a widoki samodzielnego jej oswobodzenia nie tylko że się nie wzmogły, lecz tak dalece osłabły, że największa część czynniejszych rodaków, niejako od nich zupełnie odstawszy, rzuca się na nowo w obcych ruchach lub pomocach szukać środków do odzyskania niepodległości. Byłoż li tedy zdanie owo tylko brzmiącym i świetnym fałszem? – urojeniem, nigdy w rzeczywistości sprawdzić się mogącym?....

Bynajmniej! – Zawiera się w nim cała i niezawodna prawda: ale zawiera się w nim całym. – Tymczasem, nieszczęśliwym wypadkiem, wynalazłszy je i przyjąwszy, nie pojęto go i nie przeprowadzono w całości; podjęto jedną tylko jego, podrzędną stronę, przebaczywszy całkiem najważniejszą. –

[1] Na sztandarach wojsk Kościuszki były: snop i kosa z wyrażonym godłem.

Pomijając moralne wzniosłe, właśnie jej moc stanowiące znacznie, wzięto się do przeprowadzenia zasady w czysto materialnym rozumieniu. Zamiast pracowania ku podniesieniu narodu w duchu i następnie przez ducha, propagowano jedynie ufność w fizyczną jego siłę; zamiast wskazania i szukania w Ludzie moralnej potęgi, wskazywano i poglądano nań tylko jak na ogromną machinę, obracającą kilku milionami kos, która gdy się raz poruszy, zdolna jest wyciąć wszystkie nieprzyjaciół wojska. – Puszczając mimo właściwą sprawę narodowości, dążono wprost do odbudowania państwa.

– Raz wziąwszy takowy kierunek, przyznać trzeba, że postępowano arcykonsekwentnie i gorliwie: przemyślano nad opisaniem form przyszłego państwa i zamierzanego powstania, nad przygotowaniem dlań zdatnych administratorów i wojskowych, nareszcie nad jak najkunsztowniejszym zapleceniem sieci spisku, któryby mógł naraz jeden w całym kraju wybuch spowodować.… Ale w tym mechanicznym układzie pokazało się, że zupełnie zbywało na ożywiającej, nadającej ruch sile. – – Kiedy nareszcie przyszło myśleć o poruszeniu całej owej masy Ludu, dotąd [na] zewnątrz wszystkich zabiegów zostającej – dla której słowa Polska i Ojczyzna nie mają i jakeśmy wyżej wywiedli mieć nie mogą czarującego i porywającego uroku – nie znając tajemnicy jego ducha i zakląć go nie umiejąc, usiłowano wzniecić ruch przez rozbudzenie i rozdęcie szczególnych człowieczej natury namiętności – pragnienia lepszego bytu – chciwości zemsty – – itd. – Lecz szczególnie namiętności na szczególne tylko wpływają indywidua: mogły więc unieść były pewną liczę osób z Ludu – ale nigdy całego Ludu jako Ludu… Miejscami rozżarzony płomień ich, poddmuchnięty przez chytrych wrogów, wziął kierunek wręcz oczekiwanemu przeciwny… Głównie jednak o milczącą nieruchliwość masy narodu rozbiły się wszystkie sztuczne kombinacje, zmarnowały owoce długoletnich prac i kosztownych poświęceń…

Tymczasem toż samo zdanie, podjęte w całości swej, więc przede wszystkim z moralnej strony, zupełnie inny działania wskazałoby system. – Z zasady, że Polska jeno własnymi narodu może się zbawić siłami, wypadałoby: że przede wszystkim by należało zająć się z największym zapałem rozbudzaniem własnych moralnych żywiołów, wydobywanie na jaśnią i podniesieniem rodzinnego ducha do tyla, ażeby naród cały, zaufany w jego potędze, wzgardził wszelkimi fizycznymi zawady i niedostatkami, a rzucił się do skruszenia kajdan, do odbudowania gmachu państwa, ażeby w nim duch narodowy miał godne siebie wcielenie, swój tron i świątynią… Zasada zaś, że w Ludu cała potęga i nadzieja przyszłości naszej polega, powinna by była wskazać, że u niego szukać trzeba owej moralnej mocy; owego tchnienia narodowego ducha, którego brakiem obumarła dawna Polska Rzeczpospolita, a za którego wstąpieniem w politycznego życia sferę nowa, nieśmiertelna powstaje.

Zbytecznym byłoby rozwijać, szczegół po szczególe, cały szereg następstw, jakie by z rozpoczętych z takiego stanowiska usiłowań wypłynęły; kto się nieco głębiej,

w dobrej zastanowi wierze, sam ich dojrzy – tyle przynajmniej, że byłyby zupełnie odmienne od oglądanych przez nas zjawisk. (Tak na przykład, między innymi, że na tej drodze musiałby był upaść rozdział między Ludem a wyższą społeczeństwa warstwą i nastąpić najściślejsze zbliżenie.)

Nie zasadę więc oparcia na własnych siłach, na Ludu, nadziei oswobodzenia, ale połowiczne materialne jej zrozumienie i stosowanie o wszelkie wydarzone zawody winić trzeba[2]. Nie porzucać ją więc, nie znając żadnej lepszej, ale by słuszna jąć się do urzeczywistniania jej w zupełności, do rozwijania więc i dźwignięcia narodowych moralnych żywiołów – do podniesienia, zaniedbanej dla bezpośredniego interesu państwa, sprawy narodowości.

[2] Pisanie w duchu stronnictw tak weszło u nas w obyczaj, że w najbezstronniejszym piśmie upatrywać się zwykło zamiarów popierania tej lub atakowania innej partii. I to więc, cośmy tutaj zupełnie w najogólniejszym zamyśle pisali, mogłoby się komu wydawać wymierzonym przeciw jednemu szczególnemu towarzystwu – mianowicie: demokratycznemu, które, jak wiadomo, przywiedzioną zasadę podniosło, upowszechniło i pod jej godłem działało. Dalecy jesteśmy od podobnej myśli: owszem żałując, że rzecz nie tak, jak pojmujemy, wiedzioną była, nie rozumiemy jak by się kogo bądź o to winić mogło. Jeżeli towarzystwo, toć by i czy naród obwinić przyszło, że nie wydał silniejszego, lepiej odpowiadającego potrzebie związku. Zresztą towarzystwo, jeśli się myliło w zastosowaniu przyjętej zasady, nie szczędziło dla niej potu i krwi swej, czynić mu więc wyrzuty tacy by tylko mieli prawo, którzy by więcej i lepiej od niego zdziałali.

Roman Zmorski

HASZISZ*

Od dość już wielu lat nazwa tego narkotyku znaną jest publiczności tak naszej, jak w ogóle europejskiej. Mało jednak komu, również u nas, jak i innych krajach, wiadoma jest jego istota, sposób otrzymywania, używania i skutki, jakie wywiera. Oto niektóre zajmujące w tym przedmiocie wiadomości.

Haszisz, narkotyk, mówiąc nawiasem, używany w przecięciu przez jakieś 300 milionów ludzi, jest produktem konopi indyjskich (*Cannabis indica*), rośliny, która botanicznie, pod względem kształtu i budowy łodygi liścia i kwiatu uważana, niczym się od naszych konopi nie różni. Jak jednak różną jest od nich mocą i składem swoich soków, haszisz najwymowniej dowodzi. Jest to ta sama różnica, jaka zachodzi pomiędzy naszymi a wschodnimi i południowymi różami, z których to ostatnich wyrabiają się owe cudowne olejki różane, podczas gdy z naszych zaledwie jaki pachnący pierwiastek da się wymęczyć; ta sama, jaka istnieje między makiem indyjskim, wydającym opium, a naszym zaledwie jakiś ślad odurzającego pierwiastku w sobie mającym. Taka to już dola wszystkich roślin stref północniejszych, że się zdają tylko lichym pośladowaniem swoich sióstr szczęśliwszych, kąpiących się w złotym pogodniejszego nieba słońcu, upośledzenie, za które pocieszyć się możem, porównywając to, co dojrzewa w północnych głowach naszych, z inteligencją czarnych, miedzianych i żółtych głów w strefach podzwrotnikowych.

Haszisz wyrabia się w rozmaity sposób z balsamicznej gumy w ilościach konopi zawartej, w Indiach *churrius* zwanej. W najgorętszych okolicach wydziela się ona sama z liści, z których następnie zbierana zostaje. W umiarkowańszych, jak np. w Persji, wyciskają ją przez płótno. Pomniejsze listki i kwiat rośliny zasuszają się i służą porówno z innymi preparatami z gumy do jedzenia lub palenia, szczególniej używane u Berberów i Arabów Sahary.

W krajach, gdzie haszisz w powszechnym jest użyciu i gdzie wszyscy stopniowo do niego przywykli, użyty w miarę nie sprawia on żadnych gwałtownych skutków. Jednym z jego charakterystycznych przymiotów jest wzbudzanie wesołości i czasem niepomiernego śmiechu. Zresztą, podobnie jak wszystkie narkotyki, pobudza fantazją i podnosi do najwyższego stopnia zdolność uczuwania doznawanych wrażeń. Dlatego też ci, co się użyciu jego oddają, czynią to mądrze w swoich haremach, rozkosznych ogrodach lub przynajmniej zupełnie spokojnych zakątkach, oddaleni troskliwie od wszystkiego, co by przykre wrażenia sprawić im mogło.

Użycie niepomierne hasziszu wywiera natomiast nawet na przywykłych do niego najgwałtowniejsze działanie, wprawia w szał pijany i wściekłość do powściągnięcia

---

* R. Zmorski, *Haszisz*, „Tygodnik Ilustrowany" 1866, t. II, s. 151-152.

niepodobną. Tak na przykład na wyspach malajskich spostrzega się nieraz pijanego narkotykiem tym krajowca, który wypadłszy z kawiarni z dobrym w ręku kindżałem, pędzi przez ulice, krzycząc *amok*, to jest zabijaj! I rzuca się mordować kogokolwiek spotka. Każdemu też służy prawo zabicia go jak psa wściekłego.

W większej dozie zażyty haszisz, przy pewnych przynajmniej dotąd niezbadanych usposobieniach organizmu, wprawia w stan zupełnej katalepsji. Na tej to zapewne jego własności polega tajemnica indyjskich fakirów, którzy od kilku dni aż do kilku tygodni czasu dobrowolnie żywo pogrzebać się pozwalają, a potem w stanie zupełnego odrętwienia wydobyci, po użyciu przez kolegów stosownych środków, do życia i zdrowia powracają.

Dym hasziszu posiada własności odurzania i wprawiania ludzi w niepohamowany śmiech i wesołość. Złodzieje też indyjscy posługują się nim dla okradzenia w najmilszy jak można sposób swoich ofiar. Napełniwszy w nocy przez jakikolwiek otwór zdradzieckim dymem mieszkanie, wchodzą najswobodniej ze światłem do niego i zabierają jak swoje, co zechcą. Zbudzeni mieszkańcy nie są w stanie ruszyć się z miejsca, a przy tym wizyta złodziei zdaje im się tak ucieszna, że śmiechu powściągnąć nie mogą. Cała więc operacja odbywa się najweselej, a nim ograbieni wytrzeźwieć zdołają z szału, złodzieje tymczasem są już gdzieś za siódmą górą.

Na Europejczyków, którzy go używać próbowali, wywiera haszisz, stosownie do usposobienia organizmu i wielkości dozy, a może bardziej jeszcze szczęśliwego tejże do organizmu zastosowania, najróżniejsze wpływy. Niektórzy, a między innymi doktor Moreau, który nad skutkami hasziszu i w Arabii, i w Europie liczne czynił studia, doświadczali samych tylko przyjemnych wrażeń. W godzinę wprawdzie po zażyciu ogarniało ich uczucie niespokojności i trwogi, ale to przeszło w chwil kilka. Również chwilowo tylko trwało gorąco w twarzy i głowie, które nieco później nastąpiło. Właściwe działanie narkotyku następowało mniej więcej po upływie dwóch od zażycia godzin. Naraz ogarnia człowieka dziwne uczucie wesołości i popęd do śmiechu, a cały system nerwowy wszystkie zmysły i zdolności duszy nabierają nadprzyrodzonego prawie napięcia i czułości. Każdy przedmiot, o którym pomyślisz, staje ci natychmiast, jakby przez czary, w całej swej rzeczywistości przed oczyma. Powietrze zdaje się być napełnione najsłodszymi woniami i brzmieć najrozkoszniejszą muzyką. Uczucie czasu i przestrzeni, jak we śnie, zanika. W jednej chwili przesuwają się w wyobraźni z największą dokładnością wypadki dni i tygodni, podobnie jak to w snach nieraz miewa miejsce. Ulice i place, na które spoglądasz, zdają się nie mieć końca, choć obok tego pamięć doskonale ci powiada, ile one kroków liczą. Haszisz bowiem, skoro się w nim nie przebierze miary, nie odbiera bynajmniej rozumu. Upojny wie doskonale, że doznaje złudzeń tylko, niemniej jednak kosztuje całych złudzeń tych rozkoszy. Stan takiego upojenia trwa w przeciągu około czterech godzin, po czym następuje nagle wytrzeźwienie. Niektórzy uczuwają po nim potrzebę snu, inni nie doznają znowu najmniejszego śladu przebytego stanu.

Częściej jednak zażycie hasziszu wprawia Europejczyka w stan chorobliwy, w którym jedynie dolegliwości fizycznych i moralnych przez dłuższy lub krótszy czas doświadcza. Doktor Bayer Locher w Norymberdze wziął taką samą dozę hasziszu, jaką poprzednio jego przyjaciel z najlepszym skutkiem był zażył. Zjawiska też pewien czas były tożsame i już upojenie przechodzić się zdawało, kiedy nagle w stanie doktora zupełna zaszła zmiana. Poczuł ciśnięcie w żołądku, skłonność do wymiotów i zawrót głowy, jak w początkach morskiej choroby. Wszystkie przedmioty nabrały w jego oczach zielonawej barwy, a przedtem opanował go śmiech konwulsyjny, przez kilka minut trwający. W uszach mu szumiało i dzwoniło, oddech stawał się ciężkim, poruszenia wszelkie ciała trudnymi i niepewnymi. Stracił zdolność mówienia, tak że po wysileniu się na słów kilka zapadał w stan zupełnej bezprzytomności. Dochodzące do uszu jego dźwięki fortepianu działały jakby uderzenia jakiegoś ogromnego dzwonu. Wskutek dolegliwej kongenstii do głowy* oczy zaszły krwią i dziwnego nabrały blasku. Widziane twarze zdawały się ciągle zmieniać rysy i wykrzywiać najokropniej. Obok tego w głowie wirował chaos najdziwaczniejszych myśli i fantazji, na obronienie się którym cała wola cierpiącego nie wystarczała. Stan taki trwał z górą dwie godziny, po czym położony w łóżko doświadczył przez pół godziny napadu silnego kaszlu. Po ustaniu kaszlu uspokoił się wreszcie i usunął, a nazajutrz tylko niejaka ociężałość w głowie uczuć się mu jeszcze dawała.

Używanie tego narkotyku zdaje się niepamiętnych sięgać czasów. Herodot opowiada, że Scytowie rzucali konopie na rozpalone kamienie i powstałym stąd dymem w upojenie się wprawiali. Stare pomniki sanskryckie wspominają o rozweselających pigułkach *gondszakami* zwanych, a klasyczna starożytność znała takowe pod nazwą *nepenthes**. Homer mówi, że Helena przyrządziła Telemakowi w domu Menelausa napój z *nepenthes*, który mu pamięć wszystkich trosk odebrał, a Diodor Sycylijski świadczy, że kobiety egipskie w Tebach umiały gotować napój troski odpędzający.

Dziś, jak to już wspomnieliśmy, używa hasziszu około 300 milionów ludzi. Oprócz Indii i Persji, gdzie użycie jego jest najsilniejszym, posługują się nim mniej lub więcej wszystkie ludy w cieplejszych okolicach Azji zamieszkałe. W Ameryce używają go krajowcy brazylijscy i Murzyni, w Afryce Maurowie, Berberowie i niemal wszystkie dzikie pokolenia, w Europie nareszcie Turcy. Dodać jednak należy, że u tych ostatnich użycie tak hasziszu, jak i opium do bardzo skromnych ogranicza się rozmiarów. Trzeźwe powietrze naszej części świata zdaje się hamować popędy nawet niedawno osiadłych w niej Azjatów. Nie ma więc niebezpieczeństwa, ażeby używanie narkotyków wschodnich górę w niej kiedy wziąć miało, a mniej społeczeństwa nasze o wiele wprzód zgnilszymi niż dzisiaj stać by się musiały. Tymczasem jednak wątpić nie można, że narkotyk tak silny, skoro natura i działanie jego lepiej przez lekarzy

* *Kongenstia* – uderzenie krwi do głowy.
* *Nepenthes* – lek, który przynosi zapomnienie; Homer, *Odyseja*, 4, 228.

zbadanymi zostaną, może w sztuce lekarskiej znakomite zająć miejsce. Angielscy lekarze w Indiach zadawali go z korzyścią bawiącym się tam Europejczykom przeciw kurczom i cholerze. Również użytecznym okazały się przeciw dżumie, chronicznym reumatyzmom i *delirium tremens*. W dolegliwych cierpieniach wodnej puchliny uspokajał takowe. Od niejakiego czasu haszisz i w niemieckiej farmacji począł być znanym, użycie jego jednak pozostało tak dotychczas ograniczone, że do żadnych dla nauki rezultatów jeszcze nie doprowadziło.

Józef Bohdan Dziekoński (1816–1855)

SĄDY KRYTYKI XIX-WIECZNEJ O *LESŁAWIE*

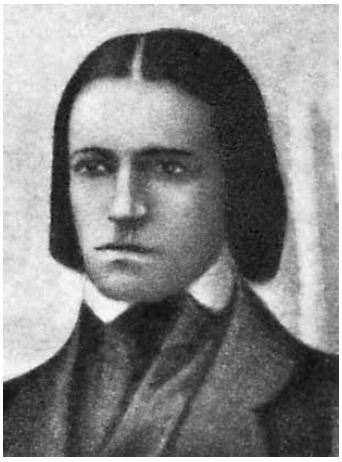

Edward Dembowski (1822–1846)

Edward Dembowski

MŁODA PIŚMIENNOŚĆ WARSZAWSKA*

W Księgarni Ludwika Putiatyckiego w Pleszewie i Ostrowie wyszedł w tych dniach szkic fantastyczny Romana Z. pod tytułem: *Lesław.* – Donosząc o wyjściu tego utworu, przytaczamy tu zarazem treść jego i zdanie o nim przez Edwarda Dembowskiego w „Tygodniku Literackim" na rok 1843 umieszczone.

*

Osnową poematu jest charakter Lesława poetyczny, wielki. – W łagodnej, jesiennej nocy błąka się Lesław ponad Wisłą, tam spotyka go Nieznajomy; ich rozmowa uderza siłą charakterystyki i mową wyrobioną i jędrną.

NIEZNAJOMY
Za chwilę kogut na północ zapieje,
Co chwila chłodniej wilgotny wiatr wieje;
Tak samotnego i o takiej porze,
Cóż na tem miejscu trzymać ciebie może?

LESŁAW
Samotna cisza, rosą jest krzepiącą
Dla duszy zgiełkiem niestrojnym znużonej,
A kto rozpalił w piersi swojej własnej
Słońce dla siebie, dla tego dzień biały,
Równo z nocą chmurną, jasny.

NIEZNAJOMY
Witaj mi więc! Po pierwszy raz
Spotkany, witaj znajomym mi!

Początek podobny już świadczy o sile twórcy; śmiałym zwrotem uderza nas od samego zaczęcia piewca i utrzymuje w napięciu ciągłych uniesień. – Nieznajomy tak wyjaśnia swoje słowa, zapytany od Lesława o przyczynę ich wymówienia. (Nieznajomy, jak się później wykazuje i jak się tu domyśleć można, jest Szatanem.) –

---

* E. Dembowski, *Młoda piśmienność warszawska*, „Tygodnik Literacki" 1843, nr 31. Przedruk w: E. Dembowski, *Pisma*, red. A. Śladkowska, M. Żmigrodzka, T. III, s. 286-313.

NIEZNAJOMY
Bo z twoich słów
Poznałem to, co najzacniejszego
W duszy twej: – to, coć przywiodło tu.

LESŁAW
Cóż?

NIEZNAJOMY
Duszy twojej tajne pragnienie,
Nieukojone gwarem świata czczym.
Przyszedłeś w cichej nocy pokoju
Swobodnie dumać . . . .
. . . . tajemnych dróg
K mądrości badać. Witaj mi więc!

Lesław wyrzeka na nikłość mądrości: jej szczebel najwyższy, mówi, w bezdennej piekieł otchłani się wsparł…. Warto się piąć nań? – Ale Lesław jest dumny, wie to Nieznajomy – i pochwytuje:

I ty byś nie znać miał, że żadna cena,
Nawet wieczności – nie jest wielką zbyt,
Jeżeli za nią można kupić wielkość.

Tym, jak w stronę, uderzył w duszę Lesława – tu cała jego ognista wybucha dusza.

Wielkość! – Potężne, czarodziejskie słowo!
Jakaż młoda pierś od jego dźwięku
Nie zadrży wszystkich stron cudowną mową,
Jak harfa w mistrza ręku.
O wielkości! ja czczę cię – i tyś nie obcą mnie,
Ni przyzywać mi cię trzeba mądrością.
Jam nad mędrców stokroć wielki – miłością,
Co w sercu moim tchnie.

Lesław kocha, kocha młodzieńczo – wrząco, ale nie jedną kobietę: on całą ludzkość miłuje.

Tam, gdzie ślepnie blask słońc drogi mlecznej,
Serce me tam jasnymi wystrzela promieniami,

I światy, na kończynie światów ostatecznej,
Promiennymi ima uściśnieniami.
Wszystkich ludów niezliczony miliony,
Niebo, ziemię, przyszłość, przeszłość zamgloną,
Cały ogrom życia w wieczności rzucony,
Obejma kochające me łono.

Dlatego innym razem widzimy Lesława zbłąkanego na wzgórzach, jak wyciąga ramiona, aby w nie cały świat objąć; ale ramiona na własną pierś jego spadają, „jak kamień w niebo gwiaździste rzucony w skroń zuchwałą." – Lesław mówi dalej w uniesieniu pół-rozpaczą:

...Gorące zaklęcia,
Z dzikim rozdźwiękiem w proch się rozsypują
O zimne piaski i zimniejsze serca!…

W tej chwili rozstępują się obłoki i niebianka Dziewica-Chmura ukazuje się, określenie tej rajskiej istoty jest cudne. – Lesław pada w jej objęcia…. Lecz kto dotknie ust Dziewicy-Chmury, ten niechaj się nie zbliża do żadnej ziemianki, bo w chwili gdy ją uściśnie, grom z nieba śmierć ziemiance zada… Lesław uścisnął Helenę i – grom śmierć jej zadał.

Rozwinięcie charakteru Lesława jest wyborne; Heleny mniej zupełne. – Miłość Heleny ku Lesławowi, której na próżno opiera się ostatni, gdyż mu lubczyku zadano, określona mistrzowsko. Sceny Czarownic i Topielców z mniemań ludu genialnie wysnute. –

Po śmierci Heleny Lesław w okropnym przerażeniu błąka się – i tu sceny rozwijające zupełnie jego charakter następują. – Lesław spotyka Nieznajomego; oto część ich rozmowy:

(*Noc trzecia*, sc. I)

Więc tylko swego niepoznanie bytu,
Rozkoszy bytu używać dozwala. –
Zaiste smutny, hańbiący to los! –
Niech jak chce straszne przeznaczenie będzie,
Jakie bądź kaźni zdolna na nas zwalić
Świadomość, w mękach wznosi ona ducha;
Chroniąc od cierpień, poniża ślepota. –
I kto bądź jesteś, dzięki ci! żeś mgłę,
Tajnie stworzenia kryjącą mi zwiał.
A choć przed słów twych piekielną jasnością,
Wszystkie radości uciekły niezwrotnie, –
Dzięki ci przecież! –

NIEZNAJOMY
Tak żeś to wysoko
Cenisz twą rozkosz – słaby zlepku błota! –
Najmniejsza iskra, w popiele tlejąca
Zgasłego ognia, bliższa blaskiem słońca
Południowego, niżli szczęście ziemi –
Całe, przez mnogie bytu jej stulecia –
Wesela niebios najbystrzejszej chwili.
Na łonie tego wesela jam żył.
Ani morderstwem żyć mi było trzeba; –
Duch, moc i życie czerpię z siebie sam.
Przecież, gdym ujrzał nowo wstały świat,
I wyrok srogi niewinnie nań dany,
Bluźnierczy krzyk mój przedarł się przez dźwięk
Pień uwielbienia, wśród głosów miliona.
I dziewięć chórów wnet, najszlachetniejszych
Duchów, zagrzmiało tym samym okrzykiem,
I wszystkiej ziemi świadomy los nasz. –
Inne, poślednie chóry, pozostały,
Trwogą posłusznie nucić pieśni chwały, –
Myśmy upadli w mrocznych piekieł żar.
Wieki cierpiałem, – wieczność cierpieć będę,
Przecież straconych niebios mi nie żal!

Żaden piewca, zaiste, tak olbrzymiego pojęcia szatana i szatańskości nie objawił. Wielkość tego ustępu ledwie się da objąć – jakiejże potęgi trzeba było do jego stworzenia? …. Szatan zapada w piekło; Lesław pozostaje.

LESŁAW
I jam w płomieniach. – Niezajrzanym kołem
Ogień piekielny ogarnia mię, piecze –
Czemuż nie spali?!

Widzimy następnie Lesława o północy na cmentarzu. – Z biciem dwunastej powstają upiory i śmierć jawi się Lesławowi. – Uchodzi z straszliwego miejsca, lecz wszędzie go śmierć ściga, mówiąc, że wiecznie jej służyć będzie, wiecznie żyć życiem cudzym – bo i trupy w grobie żyją. – Wtenczas on we wściekłości i rozpaczy woła:

O nieśmiertelny! Płomienny mój duchu!
Twojeż by skrzydła tak słabe być miały,
Byś raz wepchnięty w ten kipiący wir

Bytu – zniszczenia, więcej nie mógł już
Wybić się z życia zaklętego kręgu?
O, rozwiń orle loty twoje! – wzleć!...
Rozświeć mrok nocy – schronienie mi wskaż
Przed nieubłaganym przekleństwem jestestwa –
Wskaż: – ja się rzucę, chociażby i w piekło…
Piekło! Ha – zatem piekło! Straszliwy to kraj!
Przecież, gdy tylko w nim jednym ucieczka –
Piekło mi stanie za raj.

Lesław przyzywa więc szatana, a to jego wezwanie jest pełne poezji:

Szatanie! Czarcie! Aniele strącony. –
Czy jak się zowiesz! – ja wzywam cię!
Na zgrozę tę, co ci nie dała
Rozkoszy niebios używać, a mnie
Samemu sobie zbrzydziła – i z tobą
Okropnym swoim węzłem pobratała –
Przyzywam ciebie! Otwórz wrota twych
posępnych krajów, schronienie mi daj
Przede złowrogiej przekleństwem potęgi!...
Diable, tryumfuj dobrocią z jej mocy,
Jako ona z ciebie siłą!

Szatan w postaci okropnej, potępieńczej ukazuje się – tu pojęcie piekła znowu olbrzymie.

SZATAN
Jestem! – Wrota otwarte. – Do mojego państwa
Wolne wnijście każdemu, kto chce i kto śmie.
A w kraju tym nie ma poddaństwa.
Miarą wielkości, miara w nim cierpienia;
Korona piekieł z płomienia…
Więc jeżeli ci nie strach piekła, – jeśli w twych
Piersiach gore żar taki, że płomieni tych
Czuć ci nie da spieki – wchodź! –

Na próżno śmierć stara się Lesława wstrzymać; jej groźby i obietnice odrzuca dzielną pogardą:

Przeklęte dary twoje i ty bądź przeklęta! –
Idź łudzić niemi
Podły proch ziemi, –

Nikczemnych, co w chuci pęta
Tak splątali swego ducha
Że już więcej nie zdolny orlim wzlecieć lotem,
Pył ziemi skrzydłami zmiata,
Karmi się błotem,
I nie pomni, nie wie o tym,
Że z jestestwem całym braterstwa się spala…
I Lesław rzuca się w otchłań piekła, z powitaniem kończącym cały poemat…
Męczarń żary nieśmiertelne,
Otchłani piekielne!
Witam was!!..

Olbrzymiość pojęcia i pomysłu *Lesława* tak jest ogromną, że jej to określić nie potrzebujemy. Treść też i wyjątki z tego poematu lepiej charakteryzują poezją Zamorskiego, niżby to uczynić mogły jakie bądź słowa nasze…

Chmura na czole

Ja nienawidzę tych czół pogodnych,
Jak gnuśne we stawach wody: –
Tych lic rumianych, a takich chłodnych,
Gładkich jak zimowe lody.
Ja lubię widzieć, gdy twarz młodzieńca
Podarta boleści radłem,
A smutku chmury w krąg, na kształt wieńca,
Nad czołem wiją się zbladłem.
Bo chmura smutku – posępna, czarna –
Znać daję, że tam nie śpiąca,
Ale jest dusza myślą ciężarna,
Uczucia burzą kipiąca.
O! bo niech tylko nadziei słońca
Promień jej łona dosięgnie,
A z chmury tęcza wybłyśnie lśniąca,
I niebo ze ziemią sprzęgnie.
O! bo w tej chmurze śpią gromy jasne,
Co nie jeden bałwan zwalą,
I szranki życia rozbiją ciasne,
I świat płomieniem zapalą.

Roman Z.[*]

[*] Wiersz Romana Zmorskiego *Chmura na czole* dodany po tekście Dembowskiego w innej wersji znajduje się w: R. Zmorski, *Poezje*, Lipsk 1866, s. 135-136.

Fryderyk Henryk Lewestam

LESŁAW. SZKIC FANTASTYCZNY ROMANA ZMORSKIEGO, LIPSK; W KSIĘGARNI ZAGRANICZNEJ, 1854*

Przed niedawnym dopiero czasem doszedł nas wydany już przed dwoma laty utwór poety, z którym starą znajomość z radością odnowiliśmy. Czas nasz, więcej niż każdy inny w ludzi i wypadki obfity, dziwnie sprzyja rychłemu obojga zużywaniu się: lada okoliczność zepchnie najczynniejszego ducha ze szczytu, na którym stanął, lub od szczytu, którego się dobijał. Nic przecież trudniejszego, jak podobnie zepchniętemu wydobyć się znowu na powierzchnię, bo na karku jego stanął tymczasem następca, może od niego szczęśliwszy, może przeciwnie, do celu mniej odeń nawet zbliżony, który, jeżeli go swoim torem równy czeka upadek z wysokości znowu, „utonie w zapomnienia fali", a w błędnym kółku, bo najczęściej bez widocznego postępu, prześcigający wnet nawzajem sam bywa doścignięty. Łatwo tedy w tej epoce wirów wewnętrznych i zewnętrznych stracić z oka choćby zdolniejszych pracowników, którzy z umysłu czy trafem chwilowo z pola usuwają się; a jakkolwiek nam z pierwszych lat założenia „Biblioteki Warszawskiej" i z współczesnych jej, innych niektórych publikacji, mianowicie z „Nadwiślanina", oraz z osobistej znajomości, dobrze pamiętną jest postać Romana Zmorskiego: natura wskroś poetyczna, głęboko czująca, a ten żar uczuć wylewająca w dziwacznych częstokroć kształtach zwątpienia, owym zwykłym wyniku pierwszego zetknięcia się gorącej młodości z lodowatą rzeczywistością; przecież późniejsze, a zupełne milczenia jego stwierdzało w nas to smutne przekonanie, że talent poetyczny Zmorskiego, jak tyle innych, sam siebie nie przetrawił, lecz strawił i że przyszłości literackiej chyba żadnej już przed sobą nie posiada. Bo w działalności, zwłaszcza poetyckiej, tak samo jak w kraterach niektórych wulkanów, wypala się z czasem materiał płomienisty, u jednych wcześniej, później u drugich, a ziejący w głębinę otwór już tylko przed potomnością świadczy o gwałtowności żywiołu, który tędy rwał się na powierzchnię. Ileż to młodych talentów poetycznych, zapowiadających najświetniejsze nadzieje, nie ostudziło się i nie zwiędło, tak iż dziś na próżno szukałbyś echa owego dźwięcznego głosu, którym niegdyś wydobywało się na świat gorące słowo, szata myśli ognistej.

---

* F. H. Lewestam, *Lesław. Szkic fantastyczny Romana Zmorskiego, Lipsk; W Księgarni Zagranicznej, 1854*, „Gazeta Codzienna" 1856, nr 162.
Fryderyk Henryk Lewestam (1817–1878) – krytyk literacki, historyk i publicysta, tłumacz. Kierował działem krytyki w latach 1859–1861 w „Gazecie Codziennej". Wykładowca literatury w Szkole Głównej od 1864 roku, a następnie na Uniwersytecie Warszawskim. Autor *Historii literatury powszechnej* (T. I-IV, Warszawa 1863–1866) i *Pierwotnych dziejów Polski* (Warszawa 1841). Zob. M. Gumkowski, *Fryderyk Henryk Lewestam*, w: *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku*, Seria III, *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831–1863*, T. II, red. M. Janion, M. Dernałowicz, M. Maciejewski, Kraków 1988, s. 649-676.

Zdaje się na szczęście, że Roman Zmorski stanowi wyjątek od dość ogólnego prawidła; więcej powiemy, Roman Zmorski, pomimo kilkunastu lat nielekkiej zapewne doli, które przeszły nad głową jego, utrzymał ją przecież wolną od szronu, a może i w głębi duszy tenże sam żar dawnych lat przechował. Bo że przy końcu przypisków do swojego *Lesława* zamieścił datę roku 1843, choć w nim są ślady przynajmniej poprawek nierównie późniejszych, to nie upoważnia nas do przypuszczenia, jakoby autor zapierał się ówczesnego poglądu lub przekonań, których następnym żadnym utworem nie potępił, ani nawet nie zbijał. Owszem, sądzimy mieć wszelkie prawo nie tylko, lecz i obowiązek dopatrywania się w tym *Lesławie* ważnego materiału do charakterystyki talentu i kierunku poety, który pod pewnym względem stał się w oczach naszych wyrazem talentu i kierunku całej jednej, nie powiemy już szkoły, ale koterii poetycznej. Wyrażając się w ten sposób, nie mamy bynajmniej na myśli żadnej klasyfikacji tych talentów, lecz mimowolnie może wydatny obraz młodego autora w duszy naszej zlał się i spoił z obrazem wszystkich jego rówieśników. W każdym razie Roman Zmorski, jakim go na nowo poznajemy w *Lesławie*, jest tym samym, który od lat blisko piętnastu w pamięci naszej przechował się, a ten *Lesław* jest płodem sił młodzieńczych, mniej już przecież samą młodością poety, która jedna w każdego rodzaju wybuchach i wybrykach za jakiekolwiek stanąć może usprawiedliwienie.

Lesław mianuje się szkicem fantastycznym dlatego, że wprowadzone są weń żywioły fantazji ludowej. Nie wiemy zaiste, czyli ta jedna okoliczność już wystarczy na uzasadnienie tego miana, gdyż, zdaniem naszym, poeta fantastyczny własnymi swoimi postaciami zwykł zaludniać krainę swojej wyobraźni, nie zaś posługiwać się tworem obcym, chociażby nawet i gminnym; gdyż inaczej z konieczności staje się lub oschłym dogmatykiem, lub wprost alegorycznym – jakkolwiek silnie protestowałby (zob. *Przypiski* do *Lesława*) przeciwko uważaniu istot, zamieszkujących według wiary gminnej żywioły, za uosobienie ich mocy albo też za drobne bóstwa opiekuńcze. Cóż dopiero, jeżeli te płody fantazji ludowej pierwotnie w samej rzeczy już przez twórców swoich poczęte były tylko w znaczeniu alegorii i dlatego nieraz, tak jak wszystkie alegorie, obywają się bez piętna piękności, a szukają wyłącznie cechy prawdy? I tak np. mniemamy, że zbyt wielki to zaszczyt uczcić mianem poezji fantastycznej wprowadzanie do poematu topielców i topielic, w takim przynajmniej pojęciu, w jakim klechda ludowa je opiewa, a zatem duchów mszczących swej niedoli na cudzej niewinności, albo czarownic, których fatalistyczne i może głównie dlatego tak obmierzłe dialogi, w jednym nieprzerwanym podobieństwie utrzymały się od Makbetowskiej Hekuby Szekspira, aż do *czerwonomyszej* kochanki Mefistofela*. Nic tu nie masz pięknego, a nawet nie jest ono dość strasznym, by mogło być przerażającym; jako pomysł gminu

* Wyróżnienie kursywą – Roman Zmorski.

jest w nim zresztą może i pewna szczytność, ale chyba wtenczas tylko, gdy się zwrócimy do źródła, jako obrobiony materiał sztuki, zawsze pozostanie suchym i niepłodnym. Dlatego też jakże daleko fantastyczności *Lesława* do owej na przykład *Balladyny*, o której autor w przypisku swym wspomina, albo do *Burzy* Szekspira, które unoszą nas w atmosferę prawdziwie nadziemską, w przezroczysty eter poezji serca, a nie głowy.

Nie przeto mówimy, żeby podanie gminne nie mogło być wybornie użytym jako tło do poematu fantastyczne. Ale na takim tle dopiero poeta niechaj wyszywa płody swojej fantazji, nie zaś iżby własny swój pomysł pragnął ubarwić (a najczęściej zbezbarwnić) jakimiś postaciami *skazek* ludowych, które zwykle naówczas w diametralnej pozostaną z tamtym sprzeczności.

W tym niewłaściwie poczętym i pojętym tle *Lesława* główną też jego upatrujemy wadę.

Poeta Lesław wstępuje w życie z tym samym wewnątrz siebie kontrastem wiary i zwątpienia, który wyrodził rozpacz w młodych umysłach wszystkich czasów i narodów. Rozpacz ta tym jest straszliwszą, ile że zwykła wprawdzie w samej sobie mieścić swój antydot, ale że jakiś wstyd fałszywy nie pozwala najczęściej użytkować ze zbawiennego środka i że na uporczywym trwaniu przy raz powziętych wyobrażeniach ludzie im oddani radzi zasadzają bodaj czy nie po prostu punkt honoru i osobistą ambicję. Kontrast ten uosobiony w rozmowie Lesława z kusicielem, który gorącą dla rodu ludzkiego miłość młodego poety sprowadza do pojęcia o własnej jego wielkości i godności. Pokusa nie pada na rolę niewdzięczną. Od stworzenia świata, a przynajmniej od zamieszkania go przez pierwszych rodziców naszych, pochlebstwo w rękach szatana najskuteczniejszą bywa bronią, a jakkolwiek im umysł płytszy, tym łatwiej jej ulegnie, przecież i dla tych najpłytszych umysłów dźwięczniejszego nie ma w mowie diabelskiej imienia nad geniusz, a każdy taki geniusz z konieczności w genialny sposób objawić się musi niższym od niego śmiertelnikom. Toteż kiedy szatan prorokuje Lesławowi:

> …Każda, którą poszedłbyś drogą,
> U piekła by się kończyła bram.
> Piekło, to klęska niczym nie zmazana,
> Wiecznie ciążąca na duchach tych,
> Co ogniem żądz, uczuć górnością
> Zdeptali blade robacze żądze
> I karle tłumu uczucia. – Tak!
> Ty stwierdzisz sam prawdę mych słów:
> Znakiem przekleństwa, geniuszu znak!
> Ty nosisz go.

Poeta aż nadto skłonny uwierzyć na słowo staremu figlarzowi, kiedy w poczuciu własnej wartości odzywa się:

Ja nawet życie moje nieśmiertelne
Ochoczo oddam na kaźni piekielne,
A ust moich boleści nie pokala jęk:
Patrząc na szczęście świata, zśród ognistych męk.
Pieśni nucić będę weselne!
Jam wielki mą miłością – i wielkość mą pojąłem.
Wielkim jak świat, jak przestrzeń niezmierzona…
Jak ten duch, którego ramiona
Wszystko ogromnym ogarniają kołem.

Nie wiemy dlaczego, ale mimowolnie cała ta scena wydaje się nam jakby nieszczęśliwą parodią znanej improwizacji.

Lesław styka się ze światem, a styka z nim oczywiście tą miłością, której tak wielką ilość w sercu swoim dopiero uczuwał. Poeta uznał za stosowne użyć tu właśnie owych fantomów wyobraźni ludowej, czarownic, które, jakkolwiek żadną wewnętrzną koniecznością nie ściągnięte, stają się niejako pośredniczkami miłości Lesława do Heleny. Wyznajemy, że jeżeli te pośredniczki nie są zbyt fantastyczne, jest nią przecież sama myśl pośrednictwa: stara na miotle czarownica, która służyła kiedyś za mamkę tej Helenie, chce jej dogodzić wznieceniem w niej uczuć miłosnych dla Lesława. Tymczasem Lesław w poetycznym zapale, samotny goni za ideałem swoich marzeń, a znajduje go w Dziewicy-Chmurze, która olśniewa go ponurym blaskiem i…

Ust, której wargi raz dotknął się czyje,
Niechaj ziemskiej na wieki zrzecze się miłości!
W ust jej całunku piorun się kryje!
Grom ten na licu jego się rozgości
I ziemską kochankę zabije.
A klątwy i prośby, i łzy już najkrwawsze,
Zdradzonej, przebłagać nie zdoła jej nic –
I uścisk, i uśmiech jasnych ducha lic
Na zawsze dlań przepadł, na zawsze!

Nie wiemy dlaczego, ale mimowolnie ta Dziewica-Chmura wydaje się nam jakby nieszczęśliwą parodią owego niegdyś ideału męża arystokraty, wroga Pankracego.

Oczywiście, rozwiązanie odtąd już przewidziane. Lesław splątawszy się z Chmurą, długo, na próżno walczy przeciwko miłości Heleny, a prawdę mówiąc, walczy niezbyt szlachetnie, kiedy sam przed sobą wyobraża tę miłość jako wyskok cielesnych tylko chuci:

Wstydu płomieniem zmórzcie, usta moje!
Usta moje wiarołomne!
Nikczemne sługi lubieżnego ciała,

Przysiąg i zaklęć świeżych niepomne,
Słowa miłości rzekłyście niewieście!
Takżeż? Młodzieńcza, rozogniona krew
Do tylaż silna, woli ducha wbrew
Że nami rządzi? Już, do tylam słaby,
Także mnie zwodne urzekły powaby,
Żem drżący: kochanku jej stóp powiedział?

W końcu miłość ziemska przemaga nadpowietrzną, ale chwila przesilenia jest ostatnią życia Heleny. Przepowiednia się spełnia, a po pierwszym pocałunku przez Lesława na licach jej złożonym ginie rażona piorunem. Po tej scenie wystąpienie topielic i naiwne ich opowieści o kolejach życia doczesnego już nas zostawiają bez wrażenia tym bardziej, że te opowieści zakrawają na zwykłą wieczorną gawędkę gadatliwych prządek przy szybkim kołowrotku. Tak samo z tego zenitu niszczącej miłości Lesława, którą mu zawczasu wyprorokował szatan, moglibyśmy od razu wpaść w królestwo śmierci, która, ożywiona z kamiennego posągu cmentarnego, urąga się pełnym życia marzeniom poety. Przed tą śmiercią nie ma innego, trwałego schronienia, chyba piekło, którego podwoje otwiera mu chętny Mefistofel.

Nie wiemy dlaczego, ale pomimowolnie ta ucieczka przed śmiercią do piekła, zwłaszcza duszy niepotępionej, nie miłością pałającej, wydaje się nam również jakby niezbyt szczęśliwą i niegodną parodią…

Wrażenie ogólne po przeczytaniu ostatniej karty jakieś oziębiające, dreszczowe; uważamy dlatego za szczęście, że to wrażenie przy tylu rozdrabniających naszą uwagę, a do rzeczy nienależących upiorach, strzygach, topielcach i czarownicach, nie może być zbyt trwałym i że po części większą zatrzymujemy pamięć z poetycznego traktatu o wszystkich tych nadziemskich i podziemskich istotach, niż z poetycznej akcji, która bez potrzeby do podobnego, nieco kuglarskiego aparatu została przyczepioną.

Za to w wypowiedzeniu szczegółów pojedynczych piękności pełno, siła myśli gdzieniegdzie olbrzymia, wysłowienie malownicze, wersyfikacja niewymuszona i łatwa. Powtarzamy z całego przekonania: Roman Zmorski jest poetą, jest naturą wskroś poetyczną, tylko pomimo upłynięcia przeszło tuzina wiosen, ani o jedną nawet zimę nie zestarzał się. Taka zaś twarz wiecznie młoda w końcu nas i znudzi, i zackni, a nie idąc za biegiem rzeczy naturalnych, na ostatek uchodzić musi za udaną. Taki w szale młodzieńczości dziarsko bujający mąż – poeta, to sześćdziesięcioletni starzec z włosami *a l'enfant* i z wyłożonym na spencerek kołnierzem do koszulki. A powiedzieliśmy już, że jednak tylko młodzieńczość, bardziej nawet do dzieciństwa zbliżona, usprawiedliwić może podobne zwątpienie, co w najświętszym darze Bożym, w duszach naszych złożonym: w miłości rodu ludzkiego najprostszą i nieuchronną widzi drogę do bram piekła.

Aleksander Niewiarowski

POEZJA. LESŁAW. SZKIC FANTASTYCZNY ROMANA ZMORSKIEGO*

W poprzednim o poezji sprawozdaniu mówiliśmy o *Mohorcie*, *Błogosławionej*, *Zachwyceniu*, *Lirence* i *Gwindonie*, dziś zupełnie innego rodzaju wcale odmienne formą, kolorem i myślą utwory wzięliśmy pod rękę. Mówimy tu o trzech dramatycznych płodach: *Lesławie*, *Chatce w lecie* i *Salomonie*.

Lesław, szkic fantastyczny dla nas osobiście i dla niektórych czytelników nie jest już nowym w poetycznej literaturze zjawiskiem. Autor napisał go jeszcze w 1841 lub drugim roku, lecz chociaż czytaliśmy wiele późniejszych prac Zmorskiego, a między nimi piękne przekłady serbskich poezji, sądzimy przecież, że żadna z tych prac nie dorosła do wysokości *Lesława*; nie dlatego, żebyśmy godzili się na bezwarunkowe uwielbienie tego poematu, ani też patrząc nań okiem serdecznej dla autora sympatii, nie dostrzegali usterek, których tam wiele; lecz że w tej małej, niepozornej książeczce powiewa urocza atmosfera wyższej myśli, a w egzaltowanym, gorzkim słowie leży pełna zapału ironia, która w danym miejscu i epoce była szlachetną protestacją młodzieńczego ducha poety. Mimo to, *Lesław* nie należy do liczby tendencyjnych utworów, chociaż w epoce, w której był pisany, wszyscy młodzi poeci ulegali wpływowi pewnych, modnych naówczas zasad – nie schlebia on nikomu, a jeżeli kolorem podobny do ludowych poezji, treścią należy raczej do tych chmurnych filozoficznego ducha utworów, wśród których stoją dwa olbrzymie posągi: *Fausta* i *Manfreda*. Literatura nasza, tak bogata w wielkie poetyczne monumenty, nie ma przecież dotąd ściśle fantastycznego dramatu. *Piękny Grek*, *Syn Amfilocha* i *Nieboska*, jego towarzyszka, są to raczej fantazje dramatyczne, a fantastyczność w nich jest tylko środkiem, służącym do wypowiedzenia idei autora; nieuświęcona tradycją ani wiarą ludów, jest może ozdóbką poematu, nie zaś jego ziarnem. Dawniej już Stefan Witwicki próbował utworzyć coś na podobieństwo *Manfreda*, lecz bądź że siły poety były za małe, bądź że go obawiała sentymentalność królującego wówczas Wertera, zamiast *Manfreda*, napisał tylko… *Edmunda*, utwór złożony z pięknych frazesów i ckliwego, niemieckiego sentymentalizmu. Korsak i Kraszewski, wziąwszy faustyczną postać naszych ludowych tradycji,

---

* A. Niewiarowski, *Poezja. Lesław. Szkic fantastyczny Romana Zmorskiego*, „Gazeta Warszawska" 1856, nr 142-144.
Aleksander Niewiarowski (1824–1892) – pseudonim Półkozic, powieściopisarz, dziennikarz, pamiętnikarz, związany z Cyganerią Warszawską i Cechem Głupców. Znakomity felietonista. Autor *Laokoona* (1854), *Życia na żart* (1856), *Galerii panien na wydaniu* (1855), *Galerii konkurentów i konkurentek* (1857), współautor *Wspomnień o cyganerii warszawskiej* (wraz z W. Szymanowskim, zebrał J. W. Gomulicki, Warszawa 1964). Zob. J. Bachórz, *Aleksander Niewiarowski*, w: *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku*, Seria III, *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831–1863*, T. II, red. M. Janion, M. Dernałowicz, M. Maciejewski, Kraków 1988, s. 319-338.

posunęli o wiele pojęcie dramatu fantastycznego, nie utworzyli go wszakże. Mistrz Twardowski nie sposągował się pod ich piórem, nie zatarł nam w pamięci, nawet swego balladowego portretu. Dramat w naturze Magnuszewskiego ma lirykę i alegorię, fantastyczności brak mu zupełnie; nawet przepotężny kolorysta i poeta Juliusz, który cudownym sposobem umiał ożywiać postacie swoich dramatycznych utworów, ani w *Śnie srebrnym*, ani w *Wenedzie*, ani nawet w uroczej wdziękiem i dramatycznością tragedii z podań ludu czerpniętej *Balladynie* nie dopełnił głównego warunku fantastycznego dramatu, w którym każda figura powinna wyobrażać jakąś myśl społeczną, a jedna główna postać, stojąc w środku grupy, w sercu dramatu, musi na skroniach nosić promienistą aureolę tej wielkiej, duchowej tęsknoty, przenikającej ludzkość całą. Faust i Manfred, mimo całej ich wielkości, mają na czołach tylko nieśmiertelne… zwątpienie, bo Faust-mędrzec kupuje wiedzę u szatana, najczystszym złotem duszy płaci mu nawet za sromotne rozkosze użycia; zaś Manfred-poeta, zatrutą atmosferą ironii, odpycha serdeczną wiarę czytelnika, mgłami zwątpień i samolubnej melancholii gasi promienie swojej korony duchowej. Obydwaj chcą wzrokiem przedrzeć niebo, lecz szukając tam zdroju wiedzy, którym chcą napoić okropny niepokój tylko swojego ducha, żaden nie chce być najwznioślejszym, najczystszym człowieczeństwa wyrazem – ofiarą.

Niech nikt nie sądzi, abyśmy wykazywali ujemne strony tylu świetnych poetyckiego ducha utworów w celu podniesienia wartości *Lesława*; że tym sposobem przygotowujemy dla poematu Zmorskiego jakieś efektowne *entrée* na scenę literackich publikacji. W sądzie o poezji nikt nam zarzucić nie zdoła stronniczego poglądu – kochamy poezję nad wszystko, bo też w naszym pojęciu jest ona sercem wszystkiego w świecie. Mylić się możemy względnie do wyobrażeń czytelników, lecz swojemu przekonaniu nie kłamiemy nigdy i ogłaszamy to nasze przekonanie z ręką na… sumieniu… Jednakże zwróćmy uwagę czytelników, że szkic fantastyczny Zmorskiego ukazał się na świat książkowy w nieprzyjaznych mu warunkach – napisany w epoce, w której lada wierszyk zdolniejszego pióra budził entuzjazm powszechny, w której taki poemat, jak *Kirgiz*, będący istotnie tylko pięknie napisaną i ozdobnie wydaną miernostką, zajął poważne w literaturze miejsce; ten nieszczęśliwy *Lesław*, przespawszy w tece autora lat kilkanaście, zjawia się w chwili, gdy kilku potężnych poetów, ziarnem rodzimego ducha coraz hojniej obsiewają niwę poezji ojczystej, gdy jeszcze łzy nie oschły na oczach, serca nie przestały bić w piersiach, czytelnikom *Błogosławionej*, *Zachwycenia* i *Lirenki*!

Trudno już gorszą wybrać sobie chwilę! A przecież ten sam *Lesław*, który wartością artystyczną nie stoi na wyżynach sztuki, w którym część erotyczna zgoła słaba, któremu wreszcie dramatyczności na szkic nawet nie starczy, ma przecież tę myśl serdeczną, której w *Fauście* i *Manfredzie* nie widać. Może bardziej stoik jak chrześcijanin, Lesław okazuje przecież wyraźnie głęboką miłość dla świata, gorącą chęć uszczęśliwienia ludzi. Treść poematu, a raczej bieg zdarzeń, idzie ciągle za śladem

tej szerokiej, humanitarnej idei. Lesław, marzyciel, zrzeka się osobistego szczęścia, tkliwą tęsknotę młodego serca poślubia z promiennym obliczem ideału; nieprzyjaciel mądrości, daje się obłąkać potężną jej wymową. Helena, Dziewica – Chmura i Nieznajomy, to trzy sprzeczne potęgi, które na przemian wydzierają sobie serce lub umysł marzyciela; wszystkie postępki Lesława, nawet jego grzechy z miłości pochodzą… Apoteozą tego przesadzonego może charakteru jest chwila, w której walcząc z myślą oddania się szatanowi, by uciec ze świata zniszczenia i śmierci, powiada:

I czemuż zwlekam? – czemuż, o mój duchu!
Wzdrygasz się wezwać władzy potęg ciemnych?...
Czyliż by piekła było tobie strach?
Wszak ja cię jego nie zaprzedam mocy,
Ni za mądrość świata, ni za skarby świata,
Ni za wszystką świata siłę!
Nie niewolnikiem – wolnym wejdziesz tam!

Tu właśnie leży różnica między Lesławem a Faustem. Lesław nie sprzedaje się piekłu, nie żąda od szatana nic prócz schronienia przed widokiem walki wieczystej, która, według jego mniemania, świat cały szarpie. Wybornie tutaj pojęty jest szatan. W istocie tylko tak zręczny i głęboki duch złego mógł skusić Lesława, nie mającego żadnej chciwości w sobie. Tej głębokiej zręczności dowodzi szatan (Nieznajomy), gdy Lesławowi, który zastrzelił drapieżnego ptaka ścigającego gołębie, oznajmia, że czyn jego był zbrodnią, bo ochraniając jedno życie, zniszczył drugie; gdy następnie przekonuje wierzącego w królestwo miłości Lesława, że świat cały jest raczej królestwem śmierci i wzajemnego wytępienia, gdyż we wszystkich jego warstwach i sferach toczy się zacięta, nieśmiertelna walka, a tylko śmierć jednych żywi drugie siły, i gdy wreszcie fałszywy mędrzec kraju potępionych maluje apoteozę piekieł zdumionemu marzycielowi. Przytoczymy ten ustęp, w którym Szatan, opisawszy świetne utraconego raju rozkosze, opowiada stworzenie świata i przyczynę swego upadku.

Na łonie tego wesela – jam żył
Ani morderstwem żyć mi było trzeba;
Duch, moc i życie czerpie z siebie tam.
Przecież, gdym ujrzał nowowstały świat,
I wyrok srogi niewinnie nań dany,
Bluźnierczy krzyk mój przedarł się przez dźwięk
Pieśń uwielbienia, wśród głosów milion!
I dźwięk chórów wnet najszlachetniejszych
Duchów, zabrzmiało tym samym krzykiem
I wszystkiej ziemi świadomy los nasz!
Inne, poślednie chóry przestały

Trwogą posłuszne nucić pieśni chwały,
Myśmy upadli w mrocznych piekieł żar.
Wieki cierpiałem – wiecznie cierpieć będę,
Przecież straconych niebios mi nie żal!

Lecz Lesław, acz zachwiany silnie w swojej wierze, nie ulega, jeszcze błądzi wśród świata, szukając w nim nieśmiertelnej miłości i życia, zamiast nieustannej walki i śmierci – dopiero gdy na cmentarzu widzi o północy wstające upiory, które strasznym chórem wołają o krew żyjących, załamuje ręce, rzekłszy:

O, ziemio matko! Więc i w łonie twym,
Dzieciom twym nie masz spokoju?
Na toż to tylko konamy, by w postaci nowej
Do dawnego wrócić boju…

Dopiero, gdy sama śmierć, siedząc z kosą u wrót cmentarza, naigrawa się z marzyciela, mówiąc, że zamiast miłości i życiu, jej służyć musi; na ziemi – człowiekiem, a w grobie – upiorem, Lesław przyzywa Szatana. Wspaniałe jest wejście króla potępionych, gdy ukazując się z rozdartej piorunem słały, w płomienistej koronie na głowie, mówi:

Jestem! – Wrota otwarte. – Do mojego państwa
Wolne wejście każdemu, kto chce, i kto śmie,
A w kraju tym nie ma poddaństwa:
Miarą wielkości miara w nim cierpienia;
Koroną piekieł – z płomienia!

(…)

Więc jeśli ci nie straszne piekła – jeśli w twych
Piersiach gore żar taki, co płomieni tych
Czuć ci nie da spieki – wchódź!

Lesław pochyla się ku przepaści, lecz w głębi jej słyszy głosy potępionych, wołające >biada<. Śmierć, strwożona o łup swój, przybywa wstrzymać młodzieńca nad otchłanią piekła i maluje mu długiego życia czarujące powaby. Nie kruszy to już żelaznej woli Lesława, bo skruszony słowami szatana już on wstąpił duchem na najwyższy stopień swych uczuć, bo marzyciel już stał się ofiarą. Urąga przeto śmierci, mówiąc jej:

Przeklęte dary twoje i ty bądź przeklęta,
Idź łudzić niemi
Podły proch ziemi…
Nikczemnych, co w chuci pęta

Tak splątani swego ducha,
Że już więcej niezdolny orlim wzlecieć lotem
Pył ziemi skrzydłami zmiata,
Karmi się błotem!

(…)

Oto w tej chwili siłą mojej woli
Targam ze siebie okowy niewoli,
Wielki, że jeśli z klątwy przeznaczenia
Niezdolnym świata wybawić,
Sam dłużej nie będę krwawić
Rąk moich w piersiach stworzenia
I szerzyć państwa nie będę, zniszczenia!

Po tej, może cokolwiek teatralnej, lecz podniosłym ducha usprawiedliwionej mowie, Lesław wchodzi do piekieł i… kończy się dramat.

Patrząc na *Lesława* ze stanowiska artystycznego, musimy podzielić go na trzy części. W pierwszej poeta chciał widocznie podnieść najwyżej figurę samego bohatera, by przez nią sympatyzować czytelnika z ideą dramatu: cel ten, zdaniem naszym, chybiony, bo wszystkie monologi *Lesława*, chociaż i obfitują w bogactwo myśli, chociaż niekiedy nawet silną tę myśl wyrażają, mają przecież w sobie coś wysilonego, nieprawdziwego; czytelnik czuje, że go autor chce czegoś gwałtem nauczyć i słucha tego wykładu filozoficznych teorii, jak student dowodzeń nauczyciela Niemca – nie dowierzając mu po trochu. Monologi *Lesława* grzeszą nadto jeszcze formą, w którą je autor przystroił; forma to niewdzięczna, chropowata, a język w niej, chociaż oryginalny, nie ma poetycznego wdzięku i harmonii. Cała ta część poematu nie dochodzi wartości drugiej, już czysto obrazowej. Zaliczamy do niej wszystkie sceny fantastyczno-ludowe: Topielcy i Topielice, Czarownice w powietrzu czy garnące przetakami rosę, scena na cmentarzu, wszystko to obrobione po mistrzowsku; czytając, czujesz, że autor pisał w natchnieniu, że mu obrazy biegły same pod pióro. Zacząwszy od pojęcia ludowej fantastyczności, aż do pojedynczych wyrazów wiersza, wszystko tu piękne wykończone. Nie powiemy tego o trzeciej części dramatu. Wprawdzie w V ustępie (str. 27) Helena śpiewa przy fortepianie prześlicznie obrobioną piosenkę, lecz to dowodzi tylko, że Zmorski umie pisać ładne piosenki, a piękna Helena głęboko czuje i bardzo za miłością tęskni, lecz we wszystkich jej rozmowach z Lesławem jest taka manierowana sentymentalność, taki brak prostoty, prawdy i siły, że czytelnik patrzy obojętnie na tę *con amore* niby rysowaną postać, nie żałując nawet zniknięcia ze sceny biednej panienki, którą zazdrosna oblubienica Lesława, Chmura, za całus miłosny nielitościwie piorunem zabija. Ta nienaturalność, ten brak życia w Helenie pochodzi stąd, że autor nie stworzył tej postaci, lecz ją przeniósł ze wspomnień jakichś

chorych, poetycznych kreacji, a postawił na scenie tylko jak sprężynkę, potrzebną do uwydatnienia swej myśli głównej. W istocie Helena nie jest kochaną Lesława, lecz tylko próbą do zbadania moralnych sił jego służącą. Wolimy już fantastyczną postać dziewicy-chmury, która w osjanicznej barwie szlachetniej i prawdziwiej wygląda. Ona to raczej powinna była u wrót piekielnych zjawić się Lesławowi. Zdaje się, że czysty głos młodego ideału prędzej by zatrzymał upadającego marzyciela, niż słabe przestrogi śmierci, która widocznie tylko w swoim interesie przemawia. Oczywiście, poeta uparł się już zgubić duszę swego bohatera, bo gdy z jednej strony głos kuszącego szatana uczynił potężnym i sympatycznym, z drugiej… nie wabi go do świata, lecz raczej wystrasza ze świata przez usta ohydnej śmierci, przez gromady upiorów, topielic i strzyg, itp. straszydeł.

Musimy teraz zapatrzyć się na *Lesława* z innego jeszcze stanowiska. Wykazując jego dodatnie strony, cytując ustępy dowodzące pojedynczych w nim piękności poetycznych, moglibyśmy dać czytelnikom mylne wyobrażenie o głównej, przewodniej myśli tego utworu. Dla miłości prawdy musimy teraz odjąć kunsztowne rusztowanie poematu i ukazać jasno cel jego moralny.

Powiedzieliśmy już z początku, że poemat ten nie ma tendencji pojętej w drobniejszym, czasowym jej znaczeniu – lecz jest w nim idea. Wprawdzie nieradzi wypowiadamy wojnę autorom za to, że takie a nie inne zasady wyrażają w swoich utworach, lecz gdy ujrzymy, że ktoś szeroką, całą ludzkość obchodzącą kwestię podnosi na to tylko, aby ją skruszyć zuchwale, gdy zamierza odebrać wiarę w świat istniejący, a nowego dać nie umie… wtedy czujemy się w obowiązku nie już ganić taką ideę autora, lecz silnie odeprzeć napaść na ogólną a drogą własność naszą – spokój moralny. Zmorski w *Lesławie* umieścił tak widocznie ideę anarchii duchowej, tak zbogacił piekło złupionymi na niebie i ziemi skarbami, że musimy wreszcie zapytać się autora, co chciał wyrazić przez myśl podobną? Bo oczywista rzecz, że w całym poemacie tylko sam Nieznajomy (szatan) zawsze ma rację. Jego rozumowania podnosi autor całą siłą talentu, jego postać stroi w aureolę heroicznego męczeństwa!! Gdy przeciwnie, Boga usiłuje przedstawić jako Stworzyciela nienawiści wieczystej. Nie jesteśmy bigoci, nie rzucamy klątwy na rozpaczne nawet hipotezy ludzkiego rozumu, dopóki ten przez chmury zwątpienia szuka Bożego oblicza; lecz nie możemy w żaden sposób przestać na pojęcie Boga, który raczej do kacyka barbarzyńskich ludów niż do miłosiernego Stwórcy światów podobny.

Dziwną ideę chciał przeprowadzić Zmorski! Weźmy ją ze streszczonych dziejów całego poematu. Oto Lesław, młody, pełen miłości dla świata i ideału marzyciel, który przez poświęcenia i miłość dla natury i piękna przyjmuje ślub czystości uczuć i na takie duchowe kapłaństwo bierze namaszczenie w objęciach ideału, który następnie upadłszy sercem na chwilę, przecież od moralnych zwłok ziemskiego szczęścia (Heleny) odstępuje, zawsze mężny, zawsze z gwiazdą wysokiej miłości na czole, ten sam

Lesław, przekonany poetycznymi sofizmatami szatana, oburzony widokiem nienawiści i walki, które w stworzeniu (zdaniem jego) nawet za grobem nie ustają, ten Lesław ciska przekleństwo ziemi, urąga Bogu i rzuca się w przepaść piekielną. Jakże tu pojąć inaczej ideę, cel myśli autora? – Powiada on najwyraźniej, że świat i wszystko życie jego jest dziełem gwałtu, płodem nienawiści jakiegoś niepojętego, bezbożnego Boga!! Że szatan jest męczennikiem za swobodę duchową, za podniesienie głosu w obronie niewinnie skaranych!! Że wreszcie ludziom wysokiego ducha i poświęconego serca pozostaje tylko piekło, które poeta przez usta szatana zamienia w jakąś respublikę socjalistycznych bohaterów!! Jakaż to różnica pojęć między autorem *Lesława* a śpiewakiem *Błogosławionej* i *Zachwycenia*. Tam, serdeczny poeta ludu roznieca w nas tęsknotę do nieba, które maluje słowami słodkimi jak miłość, prostymi jak modlitwa. Naszą ziemię i wszystko ukochane nasze odbija w zwierciadle tego nieba, pogodnego jak uczciwe sumienie, prawdziwego jak wiara! Tu przeciwnie, wieszcz jakiś złowrogi na przestrzeni nieba ukazuje nam tylko chmury, a jeżeli niekiedy ostrym jak sztylet słowem rozdziera łono niebieskie, to tylko dlatego, by wydobyć stąd okrzyk zgrozy lub ściągnąć na ziemię straszliwą salwę piorunów. Czytając Lenartowicza wierzymy, że Bóg stworzył człowieka na to, by kochał i błogosławił; skończywszy poemat Zmorskiego, mniemamy, że skazano nas na wieczne cierpienia i przekleństwo. Powiedzieliśmy jednak wyżej, że w *Lesławie* jest ta myśl serdeczna, której brakuje w *Fauście* i *Manfredzie*… Prawda, jest ona, lecz przyćmiona złowrogą fatalizmu gwiazdą, umiera w konwulsyjnych rzutach wyobraźni, chorej od fantastycznego widoku widm zagrobowych. Gdyby był autor, zamiast mnóstwa brzmiących frazesów, którymi Lesław swoją dla ludzkości miłość wypowiada, dał mu czyny dowodzące tej miłości, która jak wiara martwą jest bez uczynków; gdyby Lesław był mniej stoikiem, a więcej chrześcijaninem, a z serca i wyobraźni ludu nie tylko jego fantastyczność, lecz i prostą wiarę jego zaczerpnął, pewnie by nad brzegiem piekielnej przepaści raczej zgiął kolana i wrócił na drogę życia z ufnością w Boże miłosierdzie, zamiast dumnie i bluźnierczo uczyć ludzi, bez pojęcia najdroższej perły w koronie poświęcenia – pokory! A jednakże po tych wszystkich niekorzystnych dla Lesława uwagach, powtarzamy, że poemat ten, a raczej szkic fantastyczny, jest niezaprzeczanie znakomitym w literaturze naszej zjawiskiem. Autor zebrał w nim drogie klejnoty ludowej fantazji i oprawił je kunsztownie, język poetyczny, użyty w tym poemacie, na pierwszy rzut oka szorstki i niemiły, zwłaszcza w monologach, po bliższym rozpatrzeniu ma w sobie pewien oryginalny, rodzimy charakter; zapału i natchnienia rozsiano tu bardzo wiele, więcej jeszcze głębokich, choć często sofizmatycznych myśli… Nie wahamy się powiedzieć, że z żyjących dzisiaj poetów tylko autor *Lesława* ma siłę zbogacić literaturę naszą fantastycznym dramatem, dziś zwłaszcza, gdy po upływie lat inaczej on na świat spogląda, gdy już owa młodzieńcza, ze zbytku czucia wyrodzona ironia przeszła w fazę duchowego spokoju. Jesteśmy pewni, że obecnie już Zmorski patrzy z wysoka

na ogólną zdolniejszej u nas młodzieży wadę – pychę duchową. Był czas w istocie, i nie odległy nawet, gdy każdy poeta ze zdolniejszą głową i żywszą wyobraźnią miał pretensję do przewodniczenia światu w moralnych jego drogach; i autor *Lesława* nie uniknął tej wady; wymawiamy mu ją szczerze, cytując kilka wierszy z odpowiedzi, którą Lesław daje szatanowi, kuszącemu go blaskiem wielkości:

> …O, jam wielki!... Powiedz mi, krzyżową
> Śmiercią mą, nędzom świata, że położę kres,
> A ujrzysz wnet – bez trwogi, bez ogrójca łez
> Krzyż nowy i Golgotę nową.

Doprawdy! Potrzeba być bardzo młodym, żeby odważyć się wypowiedzieć, pomyśleć nawet coś podobnego. Dziś Zmorski wie zapewne równie dobrze jak my, że w tym czterowierszu popełnił grzech bluźnierstwa dla błyszczącego frazesu!

W sprawozdaniu o *Lesławie* rozszerzyliśmy się zanadto może – lecz ten rodzaj utworów w poetycznej literaturze naszej dotąd jest nowością jeszcze – a przecież mamy tyle materiałów do budowy fantastycznego dramatu! Każda ludowa tradycja, każda przypowiastka prządki, każda prawie bajka, którą niańki usypiają dworskich paniczów, są złotodajną rudą, z której duch poety wydobyć może czystego kruszcu skarby. Z tego to powodu *Lesław* zajął najsilniej – dlatego również sądziliśmy go surowo, bo jakkolwiek utwór ten nie jest jeszcze oczekiwanym przez nas fantastycznym dramatem, jest przecież niezawodnie już szkicem do takiego dramatu.

Al. N.

Marceli Motty

DE OMNIBUS REBUS ET QUIBUSDAM ALIIS LIST XXXVIII*

Drogi Pafnusiu!

Nie wiem, jak tobie tam w krainie Gallów, ale my tutaj nad brzegami Warty, utuliwszy się we futra, śpiewamy dzwoniąc zębami: „(…) piękny maj, śliczny maj, marznąć w Świątki, istny raj!" I podziwiamy mądrość Wypisów Gedykiego, które mówią po łacinie, że wiosna jest najmilszą porą roku. Szczególniej zasługuje na ów atrybut nasza wiosna słowiańska, kiedy trzeba w piecu palić i kryć uszy przed powiewem północnych Zefirków. Te nieszczęsne Zefirki rozkochały się na dobre w wielkopolskiej strefie i psują nam humor, zdrowie, rapsy i oziminy; do tego dodaj, Pafnulku, pana Bismarcka, który nam zabiera synów, mężów, narzeczonych, konie, doktorów i fornali, a możesz sobie wyobrazić, w jak miłym usposobieniu serca i duszy się tu znajdujemy. Na ulicach same mundury, w kieszeniach same pustki, w handlach wielkie wakacje; u pana Kurnatowskiego butelki mchem porastają, kupcy i fabrykanci już zaopatrują się w odpowiednią *dosis* strychniny, wańtuchy z czarną rozpaczą spoglądają w przyszłość, *fandbryfy* załamują ręce, renty wyrywają sobie włosy, banki krzyczą: *non possumus*! Tellus zaś woła: *non dabimus*! Dostawa wisi nad karkiem, a tu słomy nie ma, siana nie ma, z owsem kuso, tylko Lejser Hirsch wśród powszechnej *karystyi* nie tracąc animuszu, z wdzięcznym uśmiechem na zapytanie odpowiada: „(…) pisz pan w poprzek, sto za pięćdziesiąt, na trzy miesięcy!" – Muszą zatem aktorowie krakowscy mieć serca stalowe jak fregaty pancerne, jeśli mimo tak rozpaczliwych koniunktur przybywają, aby się przekonać o stopniu wyduszalności tutejszych krajowców. W ich własnym, równie jak i w naszym, interesie bylibyśmy im życzyli, przynajmniej dopóty nie opuszczać penatów rodzinnych, dopóki pan Bismarck nie dostanie złotego runa, a Garibaldi jako c.k. Hofrat nie będzie spokojnie *knakwurstów* konsumował w Praterze; ale skoro tak długo czekać nie chcieli, a może i nie mogli, darmo, wypada pomyśleć, żeby na tej awanturze wyszli, jeśli nie i z zyskiem, to przynajmniej bez straty. Trzeba sobie *roclię* krwi upuścić, sprzedać przeszłoroczni tużurek lub karnawałową krynolinę, uciąć kilka łokci ogona, albo przez dni kilka nie grać w preferansa, a za to chodzić na teatr. Kto nie może, no to nie może; ale kto się tylko jeszcze na parę złotych *extraordinaryów* zdobędzie, chodzić powinien *pro publico bono*. Choć wielka i powszechna jest nieobecność pieniędzy,

---

* Wojtuś [M. Motty], *De omnibus rebus et quibusdam aliis. List XXXVIII*, „Dziennik Poznański" 1866, nr 118.

Marceli Motty (1818–1998) – felietonista, pisarz, pedagog związany z Poznaniem, tłumacz Horacego i Arystofanesa. Jako felietonista publikował w „Dzienniku Poznańskim" *Listy Wojtusia z Zawad do Pafnusi* (1865–1867) i *Przechadzki po mieście* (1888–1891). Zob. tegoż: *Listy Wojtusia z Zawad. De omnibus rebus et quibusdam aliis. Felietony z lat 1865–1867*, opr. Z. Grot, T. Nożyński, wstęp Z. Grot, Warszawa 1984.

il faudra faire. Co tu jest, aby jeśli nie świetnie, to przynajmniej przyzwoicie przyjąć gości spod Wawelu, złożyć dowody skuteczne naszych uczuć solidarności narodowej i nie dawać powodu do słusznych wyrzutów i przekąsów, których nam z pewnej strony szczędzić nie będą, mówiąc: jak nie ma, to się skarżą i wołają, a jak jest, to nie chodzą; najlepszy więc dowód, że im nie potrzeba. – Nie mniej ciężka sprawa jak z teatrem, będzie pono z loterią – Cóż znów za loteria?, zapytałem pani X. Y. Z., która wczoraj, tak obcesem na ulicy wcisnęła mi niespodzianie w rękę grubą paczkę biletów. – Pani, to napaść na drodze publicznej, kwalifikuje się przed sąd przysięgłych! – „Tylko się pan nie dróż, rozrzuć bilety między znajomych; po dwuzłotówce każdy, *c'est une misere*, wszyscy wezmą, byleś pan użył wymowy". – Zlituj się pani, dwuzłotówka, w takiej epoce mobilizacji, kongresów i wiatrów północnych, to nie pieszo chodzi. Myśmy już wszyscy wyduszeni jak cytryny do ponczu, *saignes jusqu'au blanc*, a przede mną, od czasów mojej panny z pieskiem, każdy ucieka. Ale dla kogóż ta loteria? – Jakże się pan możesz pytać, przecież dla naszego Towarzystwa". – A jakież Towarzystwo? – Naturalnie św. Wincentego. – Wszelki szacunek dla św. Wincentego, bo to był święty demokrata, nie myślał o sobie, tylko o biednych, nie kontemplował, tylko czynił; ale przyznać się pani muszę, że strasznie nie nasycą. W zimie nakarmiliśmy go koncertami i teatrami; zdawało się, że ma dosyć na rok cały, aliści z początkiem lata znowu głodny! – „Niech się pan nad tym głodem nie dziwi, bo to nie pojedynczy żołądek, tylko żołądków legion. Myśmy zawsze głodne, nigdy nie mamy dosyć, istne rzeszota; wsypać rano z czubem, na wieczór nic nie ma. To już nasze rzemiosło *d'etre paniers perces*, bośmy ślubowały nie zbierać i chować, lecz zbierać i rozdawać!" – Ale rozdawać z miarą. – „Łatwo panu mówić, lecz gdzie nie ma miary i w biedzie, tam nie ma i w rozdawaniu; zwykle latem lżej było dla pięknej pory i powszechnej roboty, wszakże tego roku burzliwe usposobienie ziemi i nieba namnożyło chorób i biedy. Każdy się kurczy jak może; budowli nie ma, spekulacji nie ma, obstalunków nie ma; wszędzie robota wstrzymana, z nią wstrzymany zarobek; pełno żon opuszczonych, pełno opuszczonych dzieci, a żyć każdy chce i jeść każdy musi. Niech pan więc nie krytykuje, tylko sprzeda bilety, bośmy się loterii chwycić musiały jako jedynego na teraz możliwego środka, skoro nam nielitościwa Bellona teatr nasz rozbiła i z niewymownym trudem zebranych aktorów porwała ze sobą na pole sławy, zdobywać *Grossdeutschland* dla pana Bismarcka". – Cóż było robić, Pafnulku, na takie argumenty; *j'ai fait une mine de pendu* i schowałem bilety do kieszeni, a jeśli chcesz, to ci kilka przyślę; możesz wygrać pantofle, skrzeczącą pupkę albo głowę cukru lub inny tego rodzaju przedmiot artystyczny. Wiem przecie, że jesteś amatorem sztuk pięknych, dlatego ci też powiem o panu Lesławie. – Znasz pana Lesława? – jest to młodzieniec bardzo skromny, który z góry zaraz woła:

> Jam nad mędrców stokroć wielki – miłością.
> Co w sercu moim tchnie. –

Tam, gdzie ślepnie blask słońc drogi mlecznej,
Serce me tam jasnymi wystrzela promieniami,
I światy na kończynie światów ostatecznej
Promiennymi ima uściśnieniami.
Wszystkich ludów niezliczone miliony,
Niebo, ziemię, przyszłość, przeszłość omgloną,
Cały ogrom życia w wieczność rzucony
Obejma kochające me łono...
Jam wielki mą miłością – i wielkość mą pojąłem;
Wielkim jak świat, jak przestrzeń niezmierzona.

Otóż temu młodzieńcowi, tak wielkiemu i posiadającemu tak szerokie serce, zapowiada Nieznajomy w pierwszej zaraz scenie bez ceremonii, że pójdzie sobie do piekła, bo tam wędrują wszystkie geniusze, wszystkie duchy tych, „(…) co ogniem żądz, uczuć górnością zdeptali blade robacze żądze i karle tłumu uczucia". Niebawem też, po tej przepowiedni, biorą pana Lesława pod troskliwą swoją opiekę „(…) cztery czarownice boso, w koszulach z rzeszotami w ręku"; a ponieważ miłość jego jest trochę abstrakcyjna i ogólna, przeto, aby ją uspecjalizować i nadać jej więcej realizmu, wyszukują mu pannę Helkę, która u nich także w wielkich łaskach i nad którą się litują, że jest „(…) dotąd panną jeszcze", zwłaszcza, iż wedle przekonania czarownicy pierwszej (czemu zresztą jej trzy koleżanki nie przeczą), „(…) panieństwo ciężki to, choć piękny kwiat". Tymczasem pan Lesław, wyszedłszy na „(…) wzgórza urwiste, aby wychłodzić nieco swoją (…) wszechmocną, jedyną żądzę miłości", która mu dokucza jak „(…) zazdrosna żona", i biadając tamże na cierpienia, jakich doznaje, mianowicie z braku „(…) duszy, co by się z duszą wieszcza zlała", a której by mógł spleść „(…) wieniec z gwiazd zerwanych na niebie", spostrzega nagle: „(…) wspartą na skale Dziewicę-Chmurę". Ujrzeć i pokochać, to dzieło jednej chwili, tym bardziej, że w panu Lesławie „(…) krew gorąca jak ołów roztopiony", a Dziewica-Chmura wcale nie szpetna, przy tym nie bardzo się droży; tylko w paktach-konwentach podaje arcyniewygodny warunek małżeńskiej wierności, mówiąc:

Ust moich wargi raz dotkną się czyje,
Niechże ziemskiej na wieki zrzecze się miłości.
Grom ten na licu jego się rozgości
I ziemską kochankę zabija.

Pan Lesław bez względu na to, że Helenka, która go jeszcze nie widziała, tęskniąc za kimś, spać nie może, przyjmuje piorunującą kondycją, ale dziwnie prędko, po odbytej deklaracji z Dziewicą-Chmurą, wychodzi w następującej scenie „(…) z gęstwy drzew, z pochyloną na pierś głową" i deklaruje się znowu pannie Helenie, zapewne skutkiem zasady, że *bis repetita placent*. Helena nie posiada się wprawdzie z radości z tego

wypadku, siedząc „(…) sama w altanie", do której uciekła, zamiast mu odpowiedzieć na jego oświadczenie, lecz wracające od żniwa dziewczęta zakłócają jej szczęście złowrogą piosenką. Jakoż niebawem zaczyna się horyzont zaciemniać, bo tymczasem już i noc nadeszła, a pan Lesław, wyszedłszy na pole za ogrodem, gniewa się strasznie, sam na siebie, że w „(…) sercu jego gwałtowny wre bój, że dwa różne światy i miłości dwie walczą ze sobą", a po dłuższej medytacji, przekonawszy się, iż nie dla niego jest „(…) karle szczęście" prozaicznego małżeństwa na tym zwyczajnym świecie, postanawia czmychnąć i pannę Helenę zostawić w altance. Żeby jednak skutecznie uciec, trzeba się przeprawić przez rzekę, a tu Rybak w żaden sposób ani go przewieść nie chce, ani mu też pozwoli przewieść się samemu na drugi brzeg. I ma rację Rybak, bo przy późnej nocy panowie Topielce i panny Topielice powychodziły z wody na ląd i czyhając na niebacznych śmiałków, fryzują sobie włosy i wyśpiewują rozmaite rzeczy, przy czym się dowiadujemy, że jedna z owych panien, która za życia była księżniczką, utopioną została przez niewyperswadowanego papkę za to, że się pokochała w swoim strzelcu. Wśród takich okoliczności decyduje Lesław rejteradę, zwłaszcza że przychodzi mu na myśl, jak dalece byłoby nieprzyzwoicie wyjeżdżać w świat daleki, nie pożegnawszy się z Helenką, która przecież nic nie zawiniła. Wróciwszy zatem, zastaje ją, siedzącą przy fortepianie w głębokim zadumaniu. Zaczyna się żegnać, ale mu to idzie niespornie, a gdy Helenka elokwencją swoją odnosi zwycięstwo nad jego niestałym humorem, Lesław nawrócony ściska ją bardzo niepotrzebnie, bo w tej samej chwili piorun uderza, Helenka pada nieżywa, a Nieznajomy ukazuje się – i nic nie mówi. Następnej, to jest trzeciej nocy, pan Lesław zamiast być na pogrzebie kochanki, którą zabił mniej więcej dobrowolnie, siedzi sobie ze strzelbą na pochyłości wzgórza, filozofuje nad rozmaitymi kształtami obłoków, a spostrzegłszy jastrzębia ścigającego stado gołębi, strzela i trafia, chociaż to noc i „niebo całe zaćmione grubymi chmurami". Na odgłos strzelby pojawia się znów Nieznajomy, a biorąc *assumpt* z zabitego jastrzębia, przedstawia Lesławowi cały ten świat jako *bellum omnium contra omnes*, siebie zaś samego jako tego, który wraz „(…) z dziewięciu chórami najszlachetniejszych duchów" wydał przeciw Bogu „(…) bluźnierczy krzyk", gdy ujrzał „(…) nowowstały świat i wyrok srogi niewinnie nań dany", za co też „(…) upadł w mrocznych piekieł żar i wieczność cierpieć będzie". Stwierdzając prawdę swych słów, zapada się wśród płomieni w ziemię, a Lesław idzie sobie na cmentarz, gdzie zastaje straszliwą burzę i całą baterię piorunów. Śmierć z kosą siedząca na jednym z grobów zaczyna go gonić, rozmaite trupy, strzygi i upiory wyłażą z mogił i cieszą się, że „(…) będą żywych żarły", a nareszcie Helenka też powstaje i też chce gryźć. Od tak niegrzecznego towarzystwa ucieka Lesław „(…) na pasmo jałowych wzgórz ogromnymi pokrytych głazami", ale śmierć idzie za nim i tak go nudzi, że, chcąc się jej pozbyć, prosi ją o przyjacielską usługę, aby mu głowę kosą odcięła. Śmierć jednak innego jest zdania i oświadcza, że „(…) jeszcze lat wiele służyć jej musi w ludzkim ciele, nim jej służyć pocznie w postaci upiora". Tego rodzaju

służba nie do smaku Lesławowi, chce być wolnym i mieć wolną wolę, ale ponieważ doszedłszy już tak daleko, nie wie, co właściwie począć ze swoją figurą, i świat mu się zbrzydził, przeto wzywa szatana, żeby mu piekło otworzył. Tego jegomościa nie trzeba podobno długo prosić; otwiera natychmiast wrota, zaręczając, że w jego kraju „(…) nie ma poddaństwa", zapewne tak samo jak w szczęśliwych krajach Imperatora Wszech Rusi. Nim się przecież Lesław odważy na tak niemiłe *salto mortale*, odbywa jeszcze dialog ze śmiercią, która go wstrzymać usiłuje, obiecując mu wszelkie rozkosze tego świata, a potem długi monolog z sobą samym, z którego się dowiadujemy, po co właściwie, jak drugi Herkules lub Tezeusz, za życia jeszcze wędruje do piekieł, kiedy tej przyjemności mógł do sytości użyć po śmierci:

> Otóż (powiada) w tej chwili, siłą mojej woli
> Targam z siebie okowy niewoli.
> Wielki – że jeśli z klątwy przeznaczenia
> Niezdolnym świata wybawić,
> Sam dłużej nie będę krwawić
> Rąk moich w piersiach stworzenia,
> I szerzyć państwa nie będę zniszczenia!
> A to wysokie przeświadczenie duszy,
> Jęk potępienia mocą swoją zgłuszy,
> Czuć nie dopuści piekielnych katuszy.

Wszakże my, Pafnulku, za nim nie pójdziemy, choć tam podobno towarzystwo bardzo dobrane i konwersacja głównie francuska, ale, po pierwsze, nadto gorąco, po drugie, wielki swąd, a po trzecie, nie mamy moskiewskich orderów, to by nas może i nie wpuszczono. Po co tam zresztą pan Roman Zmorski swego Lesława zaprowadził, tego nie wiem, jak nie wiem, po co w ogóle napisał, chyba aby powiedzieć, że poeci nieszczególnymi bywają mężami i już za życia godni są piekła; przeciw temu jednak wyrokowi zaprotestowałaby niezawodnie większa część poetów, między którymi ja sam kilku bardzo uczciwych i wiernych znałem małżonków. Przyznasz, Pafnusiu, że takie hamleto-fausto-szekspiro-bajronizowanie, zwłaszcza jeśli nie jest wybuchem transcendentalnego talentu, mało komu już teraz przypadnie do smaku. Młodsze generacje naszych poetów nadto nam napuszczały baniek mydlanych, natworzyły swawolnych dziwadeł wyobraźni, naroiły chorobliwych marzeń, w których ani umysł, ani serce nie znajdzie pokarmu, iżbyśmy mogli aplauz dawać nowym tego rodzaju pojawom. Pełno już w polskiej literaturze poetycznej szumu, błyskotek i pozorów, pełno rozłechtanych sentymentów albo rozbrdysanych wymysłów, pełno wyrazów, dźwięków, szelestów, obrazów i przenośni, ale na tym też po największej części koniec, a nam trzeba przede wszystkim myśli, myśli pięknych i wzniosłych, myśli jasnych, zdrowych i rozumnych, którymi by się naród mógł żywić w biedzie, pocieszyć w utrapieniu,

krzepić i rzeźwić w słabości i zemdleniu. Myśli głębokich i czerstwych mało u naszych poetów, z wyjątkiem kilku owych przodowników, a po prostu głównie z tego powodu, że zbywa im na pracy i nauce; za mało pracują nad umysłowym swoim wydoskonaleniem i za mało się uczą. Skoro tylko w młodziuchnym jeszcze wieku poczują bodziec Apollina, natychmiast zrzucają z siebie siodła, czapraki, munsztuki nauk, badania, rozmyślania, a rozpuściwszy na wiatr grzywę, pędzą na oślep przed sobą, spuszczając się li tylko na swoje natchnienie. Stąd też w naszej poezji zbytek wybujałej fantazji, a niedobór wyższej inteligencji. W *Poezjach*, które pan Roman Zmorski napisał, zebrał i świeżo ogłosił w Lipsku u Brockhausa, a szczególniej w jego szkicu fantastycznym *Lesławie*, którego treść podaliśmy, znajdujemy tenże sam niedostatek, chociaż zaprzeczyć nie można panu Zmorskiemu talentu poetyckiego, obfitej i sprężystej wyobraźni oraz znacznej biegłości w władaniu językiem. Jego *Wieża siedmiu wodzów*, niektóre z *Powiastek i obrazów*, jako też z wierszy lirycznych, policzyć można do niepoślednich płodów polskiego Parnasu, *Lesława* zaś uniewinnia to, że należy do najpierwszych, młodzieńczych jeszcze utworów poety; przypisany jest Edwardowi Dembowskiemu, któregośmy tu znali w Poznaniu, i którego zacność charakteru, zapał patriotyczny, gotowość do poświęceń szanowaliśmy wszyscy, chociaż nie wszyscy zgodzić się mogliśmy na jego przeprężone zasady i złudzenia polityczne. Zresztą czasy Manfredów, Kordianów, Wacławów, Donżuanów, Lesławów i tego rodzaju istot zagniewanych na Pana Boga, świat, ludzi i siebie samych, które właściwie nie wiedziały, czego chciały, chodziły po obłokach, jeździły na duchach, a z diabłami były za pan brat, które jadły żółć, poiły się łzami i cierpiały znakomicie na zmiękczenie mózgu, czasy te już minęły, a kto by chciał teraz jeszcze takie figury wskrzeszać, popełniłby anachronizm dla nas niepotrzebny, dla siebie niewdzięczny. Wypadałoby mi tutaj, skoro dzisiaj mówię o poetach, pogawędzić też z tobą o trzecim i ostatnim tomie *Pism pośmiertnych* Słowackiego, który nam niedawno ze Lwowa przysłano, ale wolę dać pokój, choć to właściwie najważniejszy ze wszystkich trzech tomów. Już mnie przed kilku dniami uprzedził w tej materii jeden z moich szanownych, aczkolwiek nieznajomych kolegów, a niezadługo może dowiemy się ty i ja z zapowiedzianej obszernej księgi profesora Malewskiego, z jakiego właściwie stanowiska zapatrywać się należy na dzieła Słowackiego, jakie okoliczności wpływały w różnych czasach na jego usposobienie i towarzyszyły powstaniu rozmaitych jego utworów. Wszakże, co o dwóch pierwszych tomach powiedziałem, to słuszniej jeszcze po przeczytaniu trzeciego powtórzyć muszę, że z wyjątkiem Szekspira, nie posiada żadna literatura takiego olbrzyma fantazji, jak Słowacki, że tak dzikiej mieszaniny brylantów z zwyczajnymi kamykami, takiej spójni niezliczonych wysileń na szczytność i nierozum nie znajdziemy u żadnego z nowożytnych geniuszów. Nic w życiu okropniejszego nie czytałem, jak *Beatrix Cenci*, a w *Niepoprawnych* ileż to piorunującego dowcipu, ileż błyskawic myśli, jak niezrównane kuglarstwo języka! Ale cóż ja się dzisiaj tak rozpoetyzowałem?... może

pomyślisz, Pafnusiu, iż się gdzie zeszedłem z przyjacielem Heizigem lub łaskawcą Moëtem?... Nie zgadłeś, teraz ciężkie czasy, dwutalarówki weszły w ziemię jak chrabąszcze na jesień, a wkrótce może pojedyncze srebrne talarki znikną nam z horyzontu i staną się tradycją, podaniem, mitem i baśnią, jak guldenówki w Austrii i rublówki w cywilizatorskiej Moskwie; otóż wszystkiemu winien pan Ciapałkiewicz, który mi przez całą godzinę wyśpiewywał treny i elegie, a wiesz na co?... Na żony. – „Nie godzi się, panie Wojciechu, zawołał wchodząc dziś z rana do mnie, tak zdradzać otwarcie i przechodzić do przeciwnego obozu!". Skoczyłem ze zgrozy, bo to zarzut nie lada, ale pan Ciapałkiewicz, kiwając ręką i głos swój łagodząc, mówił dalej: „No, prawda, że właściwie do nas biedaków nie należysz i że wy, marcowe kawalery, zawsze jesteście serwilizmem przejęci dla tych kobiet, ale przecie już solidarność *cum genere masculino* powinna cię była wstrzymać od zamieszczania wyjątków z owej korespondencji o mężach, którymi nas w przeszłym liście uraczyłeś. Mój kochany, wszystko, to ta Jejmość czytająca francuskich kaznodziejów napisała, fraszki i żarty w porównaniu z tym, co one z nami wyrabiają. Jeśli jesteś człowiek sprawiedliwy, napisz też o nich, skoroś o nas napisał, a ja ci zaraz wyliczę z imienia i nazwiska cały szwadron z miasta i ze wsi, bo je znam wszystkie owe dręczycielki rodzaju ludzkiego, które nam życie zatruwają. Najgorsza ze wszystkich, to moja". – „Zlituj się, panie Ciapałkiewicz, jak możesz grzeszyć, przecież tak czuła i delikatna osoba!...". – „Gdybyś tylko na dwadzieścia cztery godzin przywdział moją skórę, poczułbyś tę czułość serca; tę delikatność buzi, nawet i łapek, a pewno by ci się odechciało dłuższych eksperymentów". I wyjęczał mi pan Ciapałkiewicz całą swoją płaczliwą martyrologię, prosząc, żebym to wszystko wiernie przedstawił, opisał i podał publicznej wiadomości jako karę i przestrogę. Ponieważ jednak obcesowe użycie ostatecznych środków, osobliwie względem płci pięknej, sprzeciwia się moim sentymentom, przeto wymogłem na panu Ciapałkiewiczu, że tym razem przestaniemy jaszcze na ostrożnej wskazówce i ogólnym napomnieniu. Gdyby jednak łagodny ten sposób okazał się bezskutecznym, natenczas solennie przyrzec i zobowiązać się musiałem, że nie tylko panią Ciapałkiewiczową jak najwierniej tutaj odfotografuję, ale i wydrukuję cały obszerny nieszczęściem rejestr tych pań miejskich i wiejskich, starych i młodych, ładnych i nieładnych, które biednych swoich mężów dręczą, męczą, prześladują i do rozpaczy przywodzą. Pana Bismarcka nie tak łatwo podobno przywieść do rozpaczy, bo ma być twardej natury, ale gdyby posiadał drażliwsze nerwy, dostałby niezawodnie *kryspacyi* po przeczytaniu mistrzowskiej rozprawki w przedostatnim zeszycie „Revue de Deux Mondes", w której skreśla Julian Klaczko cały przebieg polityki pruskiej, dotyczącej szleswicko-holsztyńskiej sprawy i teraźniejszych sporów z Austrią*. Żaden Francuz nie byłby w stanie tego

* Artykuły Juliana Klaczki (1825-1906) w „Revue de Deux Mondes" ukazywały się od 1864 roku. W 1866 roku w numerze z 1 maja ogłosił artykuł *La crise en Allemagne, la conflict austro-prussien et M. de Bismarck*.

napisać, bo żaden Francuz nie zna gruntownie stosunków niemieckich, a szczególnie ducha ożywiającego hegemonów germańskich i dążności berlińskiego gabinetu; Francuzi sądzą o tych rzeczach zawsze powierzchownie i naiwnie. W rozprawie Klaczki zestawienie faktów jest tak rażące, prawda tak zręcznie oczyszczona z łupin dyplomatycznej frazeologii, wartość moralna czynów i słów tak niemiłosiernie wykryta i oceniona, wszystko zaś tak przyzwoicie dokuczliwym dowcipem opieprzone, że najbieglejsi publicyści zagraniczni, nim by się na coś podobnego zdobyli, musieliby wpierw długo terminować u pana Juliana, któremu zresztą, pozdrowiwszy go serdecznie, powiedz ode mnie, że prawdopodobnie ptaszka czerwonego nie dostanie.

Wojtuś
Na Zawadach, 28 maja

Karol Libelt

FILOZOFIA I KRYTYKA, T. IV[*] (FRAGMENT)

Tak nazwane szkice fantastyczne w poezji, jeżeli rzeczywiście poetycznym ogniem są opłomienione, bywają zwykle duszy ognistej płodem i noszą na sobie najwyraźniej cechy, co dopiero określonego romantyzmu. Jaki żar płomieni objawia się na przykład w *Zdzisławie*[*] Romana Zmorskiego; jaka zuchwałość pomysłu, a w tej zuchwałości kolosalność! Nieugaszony żar duszy z żarami samego piekła kojarzy się i *Zdzisław*, stokroć potężniejszy duchem od *Fausta* Goethowego, piekło jako krainę swobody ducha swego wita i nieśmiertelny do piekieł wstępuje! Jest to poezja gwałtownego żywiołu, poezja zniszczenia, podobna wspaniałemu widokowi palącego się miasta. Dramata Juliusza Słowackiego można by pod tym względem podobnie nazwać poezjami fantastycznymi i postawić je na lewicy romantyzmu nowoczesnego. Liryczność gorącą lawą, szerokimi strumieniami z nich się ulewa, ale plastyczności, a stąd i akcji w nich nie ma.

---

[*] K. Libelt, *Estetyka czyli umnictwo piękne. Część ogólna*, w: tegoż, *Filozofia i krytyka*, T. IV, wyd. 2, Poznań 1875, s. 377.
Karol Libelt (1807–1875) – filozof, pisarz, publicysta, powstaniec listopadowy, uczeń Hegla, pochodzący z Wielkopolski. Autor *Kwestii żywotnej filozofii. O samowładztwie rozumu* (1845), a także *Systemu umnictwa, czyli filozofii umysłowej* (1849–1850). Główne prace filozoficzne Libelta ukazały się w 10-tomowym zbiorze *Filozofia i krytyka* w latach 1845–1875.

[*] *„W Zdzisławie Romana Zmorskiego..."* – pomyłka Libelta, powinno być: „*w Lesławie*..."

Karol Libelt[1]

ROMAN ZMORSKI
STANOWISKO JEGO W LITERATURZE[*]

Stanowisko zgasłego za wcześnie śp. Romana Zatorskiego, jakie zajął w rymotwórstwie polskim stosownym przerobieniem i znakomitym przekładem narodowych poezji serbskich, tak lirycznych, jak dramatycznych, nastręcza nam porę zastanowienia się nad potrzebą, rozleglejszej niżeli dotąd, wymiany płodów piśmiennictwa pobratymczych plemion sławiańskich między sobą.

Siedziby dawnych Sławian sięgały szeroko w środkową i południową Europę. Rozpościerały się ponad Bałtykiem, które wtedy morzem sławiańskim nazwać można było, dopierały aż do brzegów morza niemieckiego, a z drugiej strony na południe graniczyły z Adriatykiem, Czarnym i Śródziemnym Morzem. W nazwach rzek, miast i wiosek pozostały ślady pobytu Sławian w Epirze, Tessalii i Peloponezie, który nawet zatrzymał sławiańskie nazwanie Morea. Zdaje się, że owymi czasy, mimo utrudnionych komunikacji, więcej było świadomości i znajomości Sławian między sobą, niżeli w późniejszych i nowoczesnych epokach dziejowych. Bo i język sławiański zbliżony do pierwotnego swojego ustroju, jaki nam jeszcze w księgach cerkiewnych pozostał, nie tyle się jeszcze w różne narzecza był wyróżnił, aby się pojedyncze plemiona pomiędzy sobą zrozumieć nie mogły, a następnie widzimy w dziejach wielokrotne dążności Sławian ku utworzeniu wielkiego sławiańskiego państwa, przez połączenie lub podbicie różnych tego plemienia ludów, jak to Hoffman w gruntownej swojej rozprawie: *O panslawizmie zachodnim* wykazał, przez co nastąpić musiało zbliżenie się Sławian do siebie nader wielostronne, gdziekolwiek rozciągały się ich siedziby, i jedność polityczna, tak długo jak trwała, sprowadzała w koniecznym następstwie jedność społeczną.

Zaprowadzenie religii chrześcijańskiej dwojakiego obrządku: łacińskiego i greckiego, utworzyło głęboki przedział między Sławiańszczyzną wschodnią i zachodnią, który unia na próżno siliła się zarównać. Następnie ciągłe wojny z sąsiednimi na zachód Germanami, którzy, tępiąc i zagładzając nienawistny sobie żywioł sławiański, wyparli go z czasem z dzielnic zachodnich aż ponad Odrę i Wartę; ujarzmienie wschodnich i południowych Sławian z kolei przez Waregów, Mongołów i Turków ubezwładniły skrajne te pokolenia do tego stopnia, że coraz więcej związek wspólny narodowy między nimi się zacierał. Narzecza, pod naciskiem różnorodnych obcych wpływów, stały się jedne dla drugich niezrozumiałe, a zerwanie wszelkich stosunków politycznych i handlowych, religijnych i społecznych, zobczyło do reszty równoplemieńców względem siebie. Rozdzielone i pod obcym panowaniem uciśnione

---

[1] Rozprawę tę, nadesłaną nam przez panią Zmorską, pisał dr Libelt w r. 1867 jako wstęp do mających wyjść dzieł pośmiertnych Romana Zmorskiego. [Przypis Redakcji „Kraju" – Red.]

[*] K. Libelt, *Roman Zmorski. Stanowisko jego w literaturze polskiej*, „Kraj", Kraków 1872, nr 1-3.

plemiona sławiańskie zaledwie z tradycji wiedziały o sobie, a w wiekowej niewoli znały tylko panów swoich, nie siebie. Dość przytoczyć, że kiedy na dworze Stanisława Augusta któryś z senatorów, wróciwszy z Drezna, opowiadał, że znalazł w Saksonii lud mówiący podobnym do polskiego językiem, słuchano go z równym podziwem, jak Kolumba na dworze Izabelli; że kiedy w roku 1831, po upadku powstania, wojownicy polscy przechodzili przez Morawę, lud tameczny wierzyć nie chciał, by to byli Polacy, bo między sobą niby po morawsku mówili. Sejm sławiański, zwołany na wiosnę 1848 roku do Pragi, to dziwne przedstawiał widowisko, że się na generalnych zebraniach sekcji posługiwać musiał niemieckim językiem, bo się deputaci w żadnym narzeczu sławiańskim nawzajem zrozumieć nie mogli. A i dotąd nawet jedyne pismo poświęcono piśmiennictwu sławiańskiemu (*Slavische Jahrbücher*), redagowane przez Smolàra, wychodzi w języku niemieckim*.

Polityczne rozbicie planów słowiańskich na osobniki, przez całe wieki z sobą żadnym stosunkiem niepołączone, musiało w końcu doprowadzić do tego wzajemnego zobczenia się i do takiej nieznajomości języka, literatury, historii, prawodawstwa i urządzeń społecznych u pojedynczych plemion, jakiej bodajby gdzie znaleźć można pomiędzy plemionami innego językowego pochodzenia.

Gdzie nie ma znajomości ani styczności ludów między sobą, tam też nie może być ani sympatii, ani rzetelnego interesu narodowego. Kiedy się więc pojawia idea panslawizmu, wywołana nową zasadą państwową, opartą na łączeniu się równoplemiennych narodowości w jednolite państwa, idea ta mieć tylko może z jednej strony polityczną, samodzierczą*, podbojową podstawę, używającą idei narodowości za płaszczyk do swych samolubnych celów; z drugiej strony zaś wiedzie ku niej ślepy instynkt narodowy, dążący tam bezwzględnie, gdzie jest siła, bo ta jedna dopomóc może do wyjarzmienia się spod panowania i ucisku obcego plemienia. Tym się tłumaczą nie dzisiejsze dopiero sympatie Czechów i południowych Sławian do Rosji, bo w niej jedynie upatrują możność do wyzwolenia się spod władzy Niemców i Turków. Czy zaś zmiana panowania obcego na pobratymcze nie pogorszy ich położenia pod względem praw i swobód i pod względem autonomii narodowej każdego plemienia z osobna, mogącej jedynie jego charakter plemienny utrzymać i pielęgnować – na to pytanie nie dają sobie odpowiedzi.

Każdy rozsądny Sławianin to czuje i pojmuje, że połączenie się Sławian w jedno państwo może i powinno tylko nastąpić we formie federacji pojedynczych plemion, przy zachowaniu autonomicznej każdego egzystencji; a że przeciwnie, pochłonięcie wszystkich przez jedno plemię, zatarcie w nich odrębnych znamion i nadanie im piętna panującej narodowości, równa się każdemu innemu wynarodowieniu, dokonanemu przez obczyznę. Wszelako takie jest usposobienie nie tylko pojedynczego, ale i zbiorowego człowieka, jakim jest lud, że w ucisku jak tonący brzytwy się chwyta, zawsze

* Chodzi o pismo: „Jahrbücher für Slavische Literatur, Kunst und Wissenschaft", Vol. I-IX, 1843–1853.
* *Samodzierczy* – inaczej samodzierżczy, czyli samowładny, jedynowładny.

do pobratymca, jakby do pokrewnego, więcej mając zaufania, niżeli do obcego, jego namowom chętnego nadstawia ucha. Trzeba morza krwi, jak między Polską a Rosją, aby to zbliżenie uczynić niepodobnym. Gdzie takiego przedziału z męczeństwa i wszelkiego rodzaju prześladowania nie ma, tam, mimo tak smutnego przykładu kłamanego braterstwa, bo sromotnego tępienia i wynarodowiania współplemiennego narodu, złudliwie się uśmiecha pobratymcom siła i potęga wielkiej Rosji i wabi do siebie bracią słowiańską przez obcych ciemiężoną. Co się w Polsce i na Litwie dzieje, temu jedni nie wierzą, drudzy o tym nie wiedzą. Wszakże cała cywilizowana Europa na to straszne widowisko zagłady religii, mienia i narodowości patrzy i milczy.

Naprzeciw materialnej sile Rosji, opartej na rozległości samodzierczego panowania i na liczbie wielomilionowego ludu, można by stawić siłę duchową innego sławiańskiego szczepu, np. Czech lub Polski; siłę cywilizacyjną, wyrób ducha do swobód i wolności przez przeszło tysiącletnie dzieje tych narodów. Potęga oświaty i cywilizacji jest potężną i wielokroć hołdowała sobie zwycięskie barbarzyństwo, mogłaby się zatem stać także siłą przyciągającą do siebie inne, mniej ukształcone pobratymcze plemiona. Atoli dla mas w niewoli i ciemnocie zagrzęzłych siła materialna zawsze będzie miała więcej uroku, bo się ich wyobraźni od razu przedstawia, jak bóstwo Perkuna, w piorunującej potędze, co i swoich, ale i wrogów zdruzgotać zdolne. Zaś siła moralna, by była poznaną i należycie ocenioną, długiego potrzebuje czasu, ciągłej z nią styczności i ciągłego nań zapatrywania się, a gdy chociaż w końcu poznana, pokaże się bezwładną w niesieniu materialnej pomocy, nie przyda się na nic uciśnionym.

Naocznie nareszcie przekonywamy się na dwóch wielkich, tworzących się obecnie konglomeratach państwowych: niemieckim i cislitawskim, że twórcom tych uistoczeń politycznych wcale nie chodzi o uszanowanie szczegółowych narodowości, możliwej jedynie w formie federacyjnego związku; oni sobie wzięli z góry za zasadę utworzenie jednego, równolitego, scentralizowanego państwa, któremu plemię panujące, posiadające i wywierające władzę nadać powinno swoje instytucje, swoje prawa i wszelkie swoje właściwości, aż do obyczajów i języka. Podobnie we Włoszech uniemożliwioną została federacja i Rzym prędzej czy później ulegnie temu centralistycznemu parciu.

Taka jest z jednej strony samolubność władzy, że chce być niepodzielną i nie ścierpi obok siebie równouprawnienia; z drugiej strony taka jest silna z przeszłości tradycja, że tylko monarchie i narody jednolite do potęgi się wzbijają i zdolne utrzymać powagę i znaczenie w systemie państw europejskich, kiedy rzeczypospolite i federacje nie posiadają ani tej sprężystości, ani tej siły działania.

Gdy tak rzeczy stoją, smutno wyznać, ale wyznać trzeba, że kiedy ani Czechy, ani Polska – jedyne historyczne i cywilizacyjne narody z przeszłości, nie mają tak prędkich widoków restaurowania zaginionej politycznej niepodległości i odbudowania państwa na zasadach braterstwa i wolności, dość silnego, by zrównoważyć autokratyczną potęgę Rosji, kiedy od przeszło pół wieku Rosja sama jedna na całej Sławiańszczyznie

cieszy się niepodległością bytu i równo z granicami olbrzymiego państwa wpływy polityki swojej na gabinety i ludy szeroko i systematycznie rozpościera, że pod danymi stosunkami, jeżeli ich nagły przewrót polityczny nie zmieni i nowych państw sławiańskich do bytu nie wywoła, że Rosji prędzej czy później udać się musi plan od dawna przez nią nakreślony, zadławienia wszystkich sławiańskich plemion w jedno ogromne państwo samowładne i to już nie sławiańskie, ale wszechrosyjskie, które z potęgą 60 milionów Sławian przeć będzie na zachód i odszukiwać na Germanach dawne siedziby sławiańskie ponad Wisłą, Odrą, Elbą, Salą i Wezerą.

Dzisiejsze zaślepienie zniedołężniałej w materialnych interesach Europy pozwala Rosji wynarodowiać i zatracać Polskę, ten od wieków od wschodu Europy postawiony posterunek wolności, zasłaniający ją od najazdów azjatyckiej dziczy, tę jedyną groblę wstrzymującą moskiewski zalew na resztę Europy. Jeżeli Moskwa dopnie celu, który sobie zamierzyła na Polsce, natenczas panslawizm, tak, jak go ona pojmuje w całej grozie straszliwego swojego znaczenia, zajrzy w oczy przestraszonej Europie. Moskwa nie już w roli opiekunki Sławian, ale w roli mścicielki ich krzywd długowiekowych, powoła i pociągnie współplemieńców do siebie, a śmiałą i już żadnym hamulcem na wewnątrz niepowstrzymywaną dłonią sięgnie po opuszczone spuścizny sławiańskie, przez Niemców i Turków zajęte. Zgoła w miejsce dotychczasowego parcia germanizmu na wschód nastąpi parcie moskwicyzmu na zachód, i to moskwicyzmu ludowego, rozwścieklonego na cywilizację zachodnią, któremu już dziś rząd podołać nie może, zniewolony z nim obliczać się we wszystkich ważnych kwestiach politycznych i społecznych. Prusy i Austria, co dotąd schlebiały Rosji i potakiwały jej w dziele wytracenia całego w dziejach cywilizacji tyle zasłużonego narodu, padłyby pierwsze ofiarą tak zamanifestowanego panslawizmu.

Naprzeciw tej idei panslawistycznej w znaczeniu moskiewskim, zatracającej aż do religii i języka, aż do nazwisk i obyczajów, wszelkie odrębne odcienia szczepowe; niwelującej wszystko i wszędzie; nie znającej nic prócz Rosji z jej caratem, prawosławiem i podbojowym instynktem azjatyckiej dziczy; naprzeciw tej zagładzie narodowości współplemiennych i innoplemiennych i deptania tego wszystkiego, co człowiekowi jest świętym i drogim; jedyną bronią i obroną stać się może, że ją tak nazwę, duchowa federacja sławiańska, kładąca sobie za zadanie: zbliżenie, poznanie i zaprzyjaźnienie się plemion spowinowaconych jak najwielostronniejsze. Spowinowacenie ich, na wspólnym pochodzeniu oparte, nie powinno być tylko idealne, ale realne. Jak wiara bez uczynków jest obumarłą, tak powinowactwo plemion, podobnie jak pojedynczych osób, zostaje bez znaczenia, jeżeli się powinowaci nie znają wzajemnie.

Pierwszym krokiem do takiego zapoznania się wzajemnego był już wspomniany powyżej sejm słowiański 1848 r., zwołany w czasie rewolucyjnego wstrząśnienia całej Europy, powołujący wszystkich Sławian do starej Pragi, aby i oni, z narodów najmłodsi i zapomniani, w chwilach tak stanowczych radzili o sobie. W czas rozpędziły go armaty

Windisch-Grätza, a reakcja niemiecka powtórzyć mu się już nie pozwoliła. Wszelako zbliżenie się ówczesne braci Słowian, co się tu z sobą po raz pierwszy z różnych stron słowiańszczyzny spotkali – nie zostało bez dobroczynnych na przyszłość skutków – a podniosło zawsze współczucie i współświadomość plemienną. Wystawa etnograficzna sławiańska – urządzona tego roku w Moskwie, była by mogła wielkiego być wpływu na podniesienie współplemiennego ducha, gdyby nie była odegraną tylko komedią w politycznych celach Rosji, i gdyby urządzający tę wystawę jedną ręką nie dławili i zatracali bratniego, sąsiedniego ludu, a drugą nie przywabiali reszty pobratymczych plemion, aby ich snać podobnie zadławić. Jednakowoż Rosja tym krokiem pokazała, choć tylko formalnie, rozum stanu, kładąc w celach polityki swojej zaborczej taką wartość na zapoznawanie się plemion sławiańskich.

W tych samych widokach pracują rozliczni jej wysłannicy i ajenci po całej Sławiańszczyźnie, popierane bywa duchowieństwo obrządku greckiego, wspomagane gminy prawosławne, zachęcane zamożne rodziny rosyjskie do zamieszkania w stolicach sławiańskich. Byłyby to zaprawdę skuteczne środki do przyciągnięcia i zjednoczenia Sławiańszczyzny, gdyby nie odsłaniały zarazem odwrotnej strony medalu – barbarzyństwa moskiewskiego.

Cale innego i niesłychanie skutecznego wpływu byłyby przeszło półwiekowe emigracje polskie, gdyby zamiast udawać się do Niemiec, Włoch, Francji i Ameryki, udawać się były mogły wśród pobratymczych Sławian. Niechby przynajmniej na przyszłość wychodźstwa nasze ten wzięły kierunek. – Obok tego zwiedzanie krain sławiańskich przez młodzież, przejażdżki w te strony uczonych i literatów, zakładanie stowarzyszeń naukowych, artystycznych i przemysłowych, spółek rolniczych, rzemieślniczych i robotniczych; urządzenie wystaw i zjazdów, na wzór zjazdów niemieckich w rozmaitych gałęziach umiejętności, sztuki i celów praktycznych; a to wszystko pod jednym wszechsławiańskim kierunkiem; oto sposoby, dziś prawami konstytucyjnymi dozwolone, bezpośredniego zbliżenia się i stykania się z sobą różnoplemieńców sławiańskich, które w czyn i w życie wprowadzić należy.

Drugim wielkim środkiem zapoznawania się ludów między sobą jest poznanie ich języka i literatury, za czym idzie w następstwie rozpowszechnianie płodów piśmiennych przez tłumaczenia i przekłady z jednego języka na drugi. Mówią, i nie bez słusznego powodu, że kto obok swego poznał i inne języki, stał się o tyle razy człowiekiem więcej, ile języków posiada. Toć i ten tylko może szczycić się mianem wszechsławianina, czyli panslawisty, kto sobie onych różnych plemion narzecza przyswoił. Ileż to przecie takich wynaleźlibyśmy panslawistów? Zobojętnianie do tego doszło stopnia, że bodaj czy o języku i literaturze chińskiej albo indyjskiej, przynajmniej o Konfucjusza dziełach i o poematach *Mahabharata* i *Ramajana* – więcej nie wiemy, niż o pisarzach sławiańskich i ich dziełach. Jeżeli zaś sami tak mało dbamy o siebie, nie dziwmy się, że nam obcy zbyt mało troszczą się o nas. Dla wszelkich orientalnych

języków są i były od dawna katedry po wszystkich niemal uniwersytetach europejskich, zaś jedyna katedra sławiańska w Paryżu od niedawna dopiero ufundowaną została, a w ślad Francji, acz więcej ze współzawodnictwa, niż z interesu naukowego, zdobyły się i Prusy na podobną katedrę w Wrocławiu. Nie szukajmy zatem u obcych pomocy, ale jak wszędzie, tak i tu szukajmy jej u siebie samych. Polak, i w ogóle Sławianin, doprowadza do wielkiej doskonałości znajomość cudzoziemskich języków, z jakąż więc łatwością przyszłoby mu nauczyć się pobratymczych narzeczy dla wielkiego ich powinowactwa źródłowego między sobą.

Wszelako dotąd mało znalazło się mężów, nauce i piśmiennictwu oddanych, co by w tym kierunku dla dobra Sławiańszczyzny pracowali. Roman Zmorski był jednym z tych niewielu, którzy tu znakomite położyli zasługi. Wygnaniec z własnej ziemi, czy szczęśliwym instynktem wiedziony, czy też z dobrze zrozumianego celu, uznał za potrzebę tułacze życie poświęcić płodnej w przyszłość idei sławiańskiego braterstwa, ponieść wśród pobratymców wieści o Polsce, o jej zasługach dziejowych dla oświaty i wolności, o jej nieustających zapasach z despotyzmem i niewolą, o jej męczeństwie i prześladowaniu, obok niezłomnej wiary w lepszą przyszłość, jaka wszystkich Sławian czeka, a na odwrót, poznawszy z bliska współplemieńców, zbyt mało dotąd Polakowi znanych, obznajmić go z tym wszystkim, co się z głębi ich sławiańskiego życia i sławiańskiego ducha rozwinęło, a czego ich poezja rodzima żywym jest obrazem. Poznawszy gruntownie język Serbów przez dłuższy pobyt pomiędzy nimi, wydał w przekładzie liczny zbiór ich poezji lirycznej, tęsknej i wojaczej, jak tęskną i wojaczą jest dola tego od tak dawna ujarzmionego ludu. W r. 1853 wyszły pierwsze dwa tomy pieśni narodowych serbskich, wybranych i przełożonych. W roku 1859 ukazały się znowu narodowe pieśni serbskie pod tytułem: *Królewicz Marko*. Nareszcie 1860 r. wyszła z druku *Lazarica*, ustęp także z narodowych pieśni serbskich.

O tych to przekładach pieśni serbskich powiada krytyk w Lesława Łukaszewicza *Rysie dziejów piśmiennictwa polskiego*: „Roman Zmorski, oprócz znakomitego talentu poetycznego, posiada nadto osobliwszą zdolność do zatrzymania w przekładach z pobratymczych poezji całego ducha i całej barwy oryginału, nawet forma, po większej części białym wierszem oddana, tchnie jakąś niewysłowioną świeżością, ma ona w swej architektonice i wyrażeniach tę dziwną i uroczą młodość, która otaczać zwykła wszelkie legendy, czerpane z fantastycznej skarbnicy ludów, młodych cywilizacją, silnych wiarą w niebo i miłością ziemi".

Obecne wydanie pośmiertne obejmuje fragmenty z obszernego poematu autora: *Święto Majowe*, który zaginął, a był osnuty na podaniach i dotąd zachowanych obrzędach u Serbów Łużyckich; po wtóre tragedię serbską *Merima* z podania utrzymującego się wśród krajowców Bośni. Pierwszy poemat daje żywy obraz religijnego, drugi politycznego żywota Sławian Południowych.

Wszakże drobne to tylko, acz cenne plony z obfitej niwy sławiańskiego piśmiennictwa i sławiańskiego świata, na której wielu i różnostronnych potrzeba pracowników.

Żałować przychodzi, że przedwczesna śmierć poety nie dozwoliła mu pracować dalej na tym polu i przez tego rodzaju przekłady podać współrodakom swoim porę bliższego poznania dzielnego pokolenia Serbów, co by ułatwiło zbliżenie się tych dwóch pobratymczych plemion do siebie. Wszelako pozostanie i to już niewygasłą zasługą śp. Romana Zmorskiego, co w tym kierunku zdziałał i po sobie pozostawił. – Więcej może niżeli współrodacy uznali tę zasługę autora Serbowie Łużyccy, u których imię Romana Zmorskiego w wielkim jest poszanowaniu i wdzięcznej pamięci. Grób jego w Dreźnie odwiedzają Łużycy i Wendy i składają na nim wieńce z kwiatów. Nie mogę tu na zakończenie tego wstępnego słowa nie przytoczyć ustępu z listu do mnie pisanego, opisującego spotkanie pewnego profesora serbskiego z żoną śp. zmarłego Romana u grobu jego. „Nieutulona w żalu wdowa idąc obyczajem swoim na mogiłę męża, zastała tam dwóch nieznajomych. Stali w miejscu, gdzie kolana jej wyżłobiły doły na mogile, a serce wyszło im na twarz, bo byli smutni. Kiedy niewiasta wstała z modlitwy i usiadła na kamieniu grobowym – jeden z nieznajomych zapytał: >Zapewne żona poety Zmorskiego?<. – >Tak jest, lecz któż mnie o to pyta?< – odpowie niewiasta. – >Sławianin, rzekł pytający – który znał męża pani, i który, jak wszyscy wolnomyślni różnoplemieńcy, opłakuje przedwczesny zgon jego. Nie ma go i zabrakło go do dokończenia wielkiego dzieła wspólności. On niemal jeden na całą Polskę zrozumiał potrzebę zbliżenia naszego. Zabiegał, pracował, wskazywał kierunek zbiorowemu życiu sławiańskiemu. Zapoznawał języki, historie, tradycje i obyczaje, a potężną ducha swego wnikliwością odgadywał rdzenne idee narodowych potrzeb. On ukochał lud własny i ukochał Sławiańszczyznę wielką ideą zjednoczenia. Polacy krzyczą i łają nam, że się oddajemy Moskwie. Nie nas, ale siebie samych winić powinni za to wielkie niedojrzenie polityczne, począwszy od pierwszego rozbioru na wszystkich punktach historii niewoli okazane; aż przyszła chwila, że z uporu i gmatwaniny pojęć, że z głuchoty sumienia i proroków swoich skorzystała chytra, ale przezorna Moskwa.

I widzisz pani, jak wyzyskuje lud wasz naszą słabość. Umarł apostoł przed wielką przegraną. Bóg mu nagrodził śmiercią błąd narodu własnego. Patrz pani, co robią ziomkowie wasi drezdeńscy? – czy życie nasze ich interesuje? – czy się starają zbliżyć do tej Luzacji choćby, nie mówiąc już o krajach Południa? Tymczasem Moskwa nie zasypia, czuwa i działa.

A każdy z jej uczonych, umyślnie czy przejazdem stawa tu, ażeby nam podać rękę – rękę prawda żelazną, nie serce, ale bezwiednie chwyta ją i ściska sierota sławiańska. Więc żegnamy panią tą wiarą i słowy, że Roman Zmorski to apostoł wolności sławiańskiej<."

Czeszewo, dnia 28 października 1867
Dr Karol Libelt

Stanisław Zdziarski

LUDOWOŚĆ W POEZJI POLSKIEJ XIX WIEKU*

Jeden to z ostatnich epigonów tego kierunku romantyzmu, który ugruntował swój byt na byronizmie. Toteż, jak gdyby na potwierdzenie tego potężnego oddziaływania, jakie pieśń ludowa przez długi szereg lat wywierała na nowo odradzającą się, a potem i na odrodzoną poezję, raz jeszcze, chociaż nie ostatni, miały zabłysnąć wieśniacze wierzenia i zabobony całą mocą swoją w utworach Zmorskiego. Urodzony i wychowany na piaszczystym Mazowszu, przesiąkł nasz poeta na wskroś płodami wyobraźni chłopskiej, bo ta piosnka prosta, bo to wierzenie na pozór śmieszne i niedorzeczne, stały się dla niego ożywczym pokarmem, który go podtrzymywał w pracy i dawał zachętę w tworzeniu. Jak zaś szczerze i gorąco był rozmiłowany w kreacjach, zapożyczonych z ust ludu, o tym świadczy najwymowniej cała jego poezja, jak gorąco ukochał baśń gminną – dowodem tego widomym i niezaprzeczonym bogaty zbiór *Podań i baśni ludu na Mazowszu*, spisany i wydany przez tego poetę we Wrocławiu 1852 roku. Dowodem tego na koniec piękne tłumaczenie serbskich ludowych rapsodów o Królewiczu Marku i o Carze Łazarzu, co na Kosowem Polu legł bohaterską śmiercią za wiarę przodków swoich, dowodem tego przekład wielu serbskich ludowych legend i baśni, pieśni bohaterskich, romansów i piosnek drobniejszych, jako też przekład *Pierwszej nocy czarownic* Goethego (*Die erste Walpurgisnacht*), w której starodawne podania i obrzędy tajemne wyszły przybrane w artystyczną szatę. A to wszystko świadczy chyba o tym ogromnym umiłowaniu utworów fantazji ludowej, dla których Zmorski czuł cześć niemal bałwochwalczą. Miłość ta i cześć pędziła go pod wieśniacze strzechy Mazowsza, a nawet Łużyc, ażeby tam nasłuchać się do syta podań i legend, pieśni i wierzeń, które miały później zapłodnić jego fantazję. Że wobec tego pieśń ludowa musiała znaleźć żywy oddźwięk i niestarte wyryć piętno na poezji swojego wielbiciela, że musiała zatętnić w niej potężnie i wywrzeć na nią niemały wpływ – to rzecz zupełnie jasna i naturalna. Przeciwnie dziwić by się trzeba, gdyby tak nie było, gdyby w utworach Zmorskiego ton ludowy nie zadźwięczał nigdy.

Zupełnie inna już to kwestia, czy ten ludowy ton wyszedł na korzyść poecie, czy nie stał się czasem przyczyną obniżenia wartości artystycznej danego utworu? Stało się tak raz, w najwcześniejszych latach twórczości poetyckiej Zmorskiego, z poematem

---

* S. Zdziarski, *Ludowość w poezji polskiej XIX wieku. Studia porównawczo-literackie*, Warszawa 1901; fragment rozdziału *Roman Zmorski*, s. 361-379. Pierwodruk: S. Zdziarski, *Roman Zmorski*, „Przegląd Tygodniowy" 1900, nr 5, dodatek miesięczny.
Stanisław Zdziarski (1878–1928) – polski slawista, historyk literatury, folklorysta, poeta. Autor syntezy *Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX wieku* (1901), a także prac biograficznych: *Bohdan Zaleski* (1904), *Maurycy Gosławski. Zarys biograficzno-literacki* (1898), *Seweryn Goszczyński. Rozwój jego talentu poetyckiego do r. 1827* (1899).

obszerniejszych rozmiarów pt. *Lesław*, stworzonym w roku 1843, kiedy niewprawna ręka poety nagromadziła całe mnóstwo hiperromantycznych akcesoriów, kiedy w poemacie tym to wszystko, co nazywamy cechą i znamieniem naszego romantyzmu, owa nadnaturalność osób i wydarzeń, zgodna zupełnie z wierzeniami ludowymi, znalazło jak najwierniejsze odbicie. Ów nadmiar tedy elementów ludowych, jak niemniej też inne jeszcze przyczyny, jakie wyłoniły się z nastroju byronicznego utworu, pociągnęły za sobą tę konsekwencję, iż *Lesław* stanął pod względem wartości artystycznej nie dość wysoko. Młody, niedoświadczony jeszcze poeta, pozostający pod silnym wrażeniem, jakie na umyśle jego wywarła poezja ludowa, zapełnił cały poemat mnóstwem postaci nadnaturalnych i widm, o jakich dowiedział się z ust ludu, w dodatku postaci najokropniejszych i najbardziej wstrętnych, jakie tylko znał. Stąd też poszło, że sam nawet koloryt, jaki wskutek tego otrzymał poemat, był przesadnie straszny, a wydarzenia i sytuacje, zawarte w *Lesławie*, musiały najbardziej pierwotnej naturze wydać się nieprawdopodobnymi, takiej bowiem ekstrawagancji fantazji nie znajdziemy u żadnego z naszych poetów, jedna chyba tylko scena puszczyków w *Zamku Kaniowskim* jest w stanie dorównać kreacjom stworzonym przez Zmorskiego.

Już w drugiej scenie tego „szkicu fantastycznego", jak go nazwał sam Zmorski, spotykamy cztery czarownice na dzikiem polu, pomiędzy wzgórzami, bose, w koszulach tylko, z rzeszotami w rękach. Przy blasku światła księżycowego, tuż przed świtaniem, zbierają one przetakiem lipowym mleczną rosę obficie, bo miesiąc jest właśnie po młodziku. A czy scena ta jest skreślona na podstawie ludowych wierzeń? I owszem – zabobon gminny znalazł tutaj nadzwyczaj dobre zastosowanie, bo według mniemania wieśniaków – czarownice idą „w nowy czwartek" (to jest po nowiu księżyca) na łąki ze szkopcem i powązką. Tą powązką szastając po mokrej trawie, zbierają rosę i z powązki wykręcają ją do szkopca, mówiąc bezustannie: „biorę pożytek, ale nie wszystek"[1]. A i sam Zmorski przytacza w objaśnieniach analogiczne wierzenie, „iż czarownice na nowiu księżyca wybiegają boso i w samych tylko koszulach na łąki, garnąc z trawy rosę lipowymi rzeszotami. Tym sposobem odbierają mleko wszystkiemu bydłu, które na łąkach tych się pasło, a napełniają nim swoje donice. Kiedy rzeszoto napełni się rosą, znak to, że czarownicy donice już mleka pełne"[2].

W dalszym ciągu tej sceny widzimy, jak czarownice zbierają zioła, potrzebne do czarów miłosnych, a więc: jaskier, lubczyk i inne, które spalone razem z włosami dziewczyny i chłopca, mają dać jej kochanka. Przesąd zaś ten, jaki znalazł odbicie w *Lesławie*, napotyka się dość często w wierzeniach ludowych, do czarów bowiem

[1] O. Kolberg, *Lud*, VII, str. 92. Por. XVII, str. 110. Dr. I. Kopernicki, *Przyczynek*, op. cit., str. 194. [Ten i kolejne przypisy autorstwa Zdziarskiego – Tu: I. Kopernicki, *Przyczynek do etnografii ludu ruskiego na Wołyniu*, Kraków 1887 – Red.]

[2] [R. Zmorski], *Pisma oryginalne i tłómaczone*, Warszawa, str. 48.

wspomnianych używa lud rozmaitych ziół, sądząc, iż „miłość ukochanej osoby zyskuje się na pewno, zadawszy jej w jakiej potrawie lub napoju proszku ze spalonych włosów własnych”[3].

Dość wspomnieć tylko owe czary, jakie powtarzają się w wersjach baśni lenorowych, gdzie czarownica gotuje w garnku zioła razem z włosami kochanki i kochanka, ażeby się przekonać dowodnie, iż ten, a nie inny element, oddziałał na sformowanie się omawianej sceny z *Lesława*. Już z tej chociażby sceny, można się najlepiej przekonać o prawdziwości tego twierdzenia, co do małej wartości poematu, skoro zważymy, że Zmorski chcąc zadzierzgnąć węzeł akcji, chcąc połączyć Helenę z Lesławem uczuciem miłości, użył do przeprowadzenia swojego planu – czarownic, z całym niepotrzebnym aparatem tajemniczości i cudowności, kiedy to wszystko można było w zupełnie prawidłowy poprowadzić sposób. A wtedy byłby poeta uniknął wstrętnego opowiadania jednej z czarownic o otruciu jej męża, który ożeniwszy się z nią, „pierwszej nocy boki zbił na jabłko leśne” za złamanie cnoty niewieściej.

Jednakowoż Zmorski sądził, iż epizod taki jest bardzo piękny dlatego, że tło jego jest czysto ludowe, czarownica bowiem truje męża potrawą, zmieszaną ze spalonym wężem. Ustęp zaś ten oparty jest na powszechnie znanej piosence o Podolance, która posłuchała rady kochanka i sporządziwszy według podanego przepisu napój, męża swojego pozbawiła życia. Przepis zaś ten opiewa następująco:

Idź do sadu wiśniowego,
Znajdziesz gada zjadliwego,
I usiekaj drobniuteczko
I ugotuj prędziuteczko.
I wylej go do śklenice
I wnieś-że go do piwnice[4].

Że to powyższa pieśń dała Zmorskiemu pomysł do stworzenia całej opowieści w *Lesławie*, o tym nie trzeba przekonywać się z porównania analogicznego ustępu:

Wzięłam węża,
Uwarzyłam w mleku z manną –
Nakarmiłam pana męża...

Czarownicom tedy przekazał nasz poeta nawiązanie struny miłości pomiędzy Lesławem a Heleną. Zanim atoli one plan ten zdołały wykonać, Lesław, który dotąd nie zapłonął nigdy uczuciem miłosnym, a który czuł, że „wielkim jest jak świat, jak przestrzeń niezmierzona”, gdyż dotąd oprócz nieba, ziemi i wszystkich ludów, nie kochał nikogo, gdyż „nigdy z ust lubej ustami drżącymi nie zgasił żądzy”, co w sercu pałała, Lesław

[3] Dr I. Kopernicki, *Przyczynek*, op. cit., str. 107. Por. O. Kolberg, *Lud*, T. VII, str. 83, nr 171.
[4] O. Kolberg, *Pieśni ludu polskiego*, str. 115 i nast. nr 8. Por. *Pieśni litewskie* (*Zbiór wiad.* III. str. 208-209).

tymczasem dostawszy się na szczyt góry, umiłował sobie tajemniczą Dziewicę-Chmurę. Toteż ogarniony żądzą miłości, kiedy głos owej nadnaturalnej istoty dokoła niego „w pogodne szczęścia roztaczał się zorze", przysiągł jej, że „nie ukocha nigdy innej dziewicy", że „serce jego nie zapragnie ziemskiej kochanki". Tymczasem moc czaru wiedźm osiąga swój skutek. Lesław poznaje Helenę i, niepomny danej przysięgi, wyznaje swoją miłość istocie ziemskiej. Wnet jednakowoż przychodzi opamiętanie, bohater Zmorskiego ciska przekleństwo na usta swoje wiarołomne, „nikczemne sługi lubieżnego ciała" – zdając sobie zupełnie jasno sprawę z popełnionego występku, jakiego się dopuścił względem „pięknej dziewicy, dziedziczki zaklętych powietrznych zamków". Skutkiem tego też postanawia opuścić kraj, w którym usta jego „na ustach ziemskiej spoczęły dziewczyny", ażeby dochować złożonej przysięgi i podnieść się z upadku.

Kim atoli jest ta Dziewica-Chmura, której władza jest tak potężna, że mogłaby piorunem ugodzić w serce tej, która by pokochała Lesława? Skąd powziął Zmorski myśl do wprowadzenia na karty swojego utworu takiej tajemniczej istoty? Jak sam poeta przyznaje się w objaśnieniach do *Lesława*, fakt miłości bohatera poematu i owej nadnaturalnej dziewicy został osnuty na gminnej opowieści: „Słyszałem kiedyś – mówi Zmorski – baśń, opowiadającą miłostki jakiegoś rycerza z podobną powietrzną dziewicą, której na imię było Chmura". Niestety, dzisiaj dziewice takie w ustach ludu, który je przeniósł w głębiny rzek i jezior i nazwał rusałkami, należą do rzadkości, chociaż dawniej zdarzały się częściej[5].

Tymczasem Helenę opanowuje złe przeczucie, zdawać się jej poczyna, że Lesław nie będzie dla niej stały. I do wyrażenia tego przeczucia, które ona w sobie usiłuje stłumić, użył poeta pieśni ludowej, śpiewanej w polu przez dziewczęta powracające od żniwa:

Kasieczka mała,
O świcie wstała,
Z białego łóżeczka.
Śpiewając je słała,
Bo dziś spać w niem miała
Obok swego Jasieczka.

Po porannym chłodzie
Chodzi po ogrodzie,
Rozmarynu szuka. –
Sówka popielata
Po drzewinach lata,
I żałobliwie h u k a ...

[5] O dziewicach mieszkających w chmurach por. str. 54-55 niniejszej pracy. [Jest to fragment rozdziału pt. *Adam Mickiewicz*, s. 23-144 – Red.]

To o tym, że dziewczę nie weźmie z Jasiem ślubu, lecz położy głowę w mogile. Słysząc taką wróżbę, Kasia ucieka z ogrodu, lecz wtem wypełzła z ukrycia żmija i ukąsiła ją w nogę. Toż wnet:

We dzwony dzwonili,
Kadzidła palili –
W bieluchnej sukience,
Bez swego Jasieczka
Przespała Kasieczka
Noc w twardej trumience.

Nad pieśnią tą położył poeta napis, objaśniający, iż jest to „pieśń gminna". Nie mamy powodu do zaprzeczenia temu twierdzeniu, bo temat wybitnie ludowy traktuje śpiew dziewcząt wiejskich w poemacie. Ale niepodobna przyjąć zdania Zmorskiego w całej osnowie: raz z tej przyczyny, że takiej pieśni nie odnaleźliśmy w materiałach folklorystycznych, po drugie dlatego, że piosnka przytoczona ma formę wcale nie ludową, jako też wiele zwrotów. Stąd też wypada sądzić, że Zmorski albo przerobił pieśń ludową, albo że temat, zaczerpnięty z bajki, przelał w formę zbliżoną do ludowej pieśni.

Czując krzywoprzysięstwo, postanawia Lesław uciekać „przed swoim własnym sercem" i przybywa do rybaka, prosząc go o przewiezienie łodzią przez Wisłę. Tymczasem, jak gdyby wszystko sprzysięgło się przeciw Lesławowi i Helenie, którą kara z rąk Dziewicy-Chmury miała spotkać – na „najgłębszej wirze fali", ukazują się topielcy. Wobec tego, rybak za żadną cenę nie chce podjąć się przewiezienia Lesława, wiedząc, że musiałby niechybnie zginąć. Na nic nie zdają się rozumowania bohatera utworu, który twierdzi, iż to tylko „w nocnym pomroku obłąkane oczy kształcą" z łamiących się w falach rzeki promieni księżyca „dziewice w ludzki wzór postaci", rybak bowiem „zna się z wodą", widzi, co się święci – więc co prędzej cofa się do chaty.

Nad brzegiem rzeki pozostaje tedy sam Lesław – i spostrzega „posępne widziadła", które go ku sobie pociągają jakąś tajemniczą siłą tak dalece, że bohater Zmorskiego pragnie „wpłynąć w pośrodek tej ruchomej zgrai", walkę z nią stoczyć i zginąć. Wtem dochodzi go szum sędziwych lip od strony domu jego Heleny – Lesław przypomina sobie, że musi ją pożegnać i wyspowiadać się przed nią ze swojej tajemnicy, ażeby nie posądziła go o fałsz, ażeby nie rozbiła „młodej wiary swej ołtarza...". Więc też odchodzi znad brzegu rzeki, na którym teraz ukazują się topielcy.

Że cała ta scena ma w sobie silne echa przesądów ludowych, o tym przekonać się nietrudno: każdemu bowiem, kto kiedykolwiek odbywał wycieczki etnograficzne i przeczył czasami wywodom chłopa na ten czy ów temat nadnaturalności istot, mogło się zdarzyć, że wieśniak wyśmiewał – podobnie jak Mickiewicz w *Romantyczności* – „szkiełko" i „oko" mędrca, utrzymując, iż jego zdanie jest słuszne. Nie inaczej zdarzyło się tedy Lesławowi, którego argumenty nie przekonały rybaka:

O! wyście mądrzy. Radzi byście w nas
Prostych wmówili, że oczu nie mamy.
Na ten raz przecież wierzyć mi musicie.
Znam ja się z wodą – ona mi kolebką
Była; – śmiertelnym da Bóg prześcieradłem
I trumną będzie!

Co się tyczy znowu owej dziwnej żądzy rzucenia się w fale, jaka ogarnia bohatera utworu na widok topielców, to i ten szczegół ma podstawę w wierzeniach gminnych, które mówią, iż jeśli rusałki zaczną śpiewać, człowiek ulega natychmiast dźwiękom pieśni, rzuca się w nurty rzeki i tonie.

Po odejściu Lesława znad Wisły – poeta, pozostając widocznie pod silnym wrażeniem zabobonów ludowych, wprowadza teraz najniepotrzebniej scenę, osnutą we wszystkich szczegółach na pojęciach wieśniaczych o istotach nadprzyrodzonych, sytuacja ta bowiem w niczym nie przyczynia się do postępu akcji i jest z nią bardzo a bardzo luźnie związana. Teraz bowiem na brzeg rzeki wychodzą z wody topielcy o zielonych włosach, ubrani w białe całuny, którzy razem z topielicami zawodzą tany wśród śpiewów:

Dalej! w lotnym, wietrznym biegu,
Po zroszonym Wisły brzegu,
W taniec raźno, tłumnie;
A kto jutro w nasze ślady
Wstąpi, wkrótce chłodny, blady,
Położy się w trumnie!

Chodźcie siostry! tam na piasku,
Przy księżyca złotym blasku,
Zasiądźmy do koła:
Czesać długich włos warkoczy,
U spokojnych fal przezroczy
Zapleść białe czoła.

Szczegóły powyższe o topielcach i topielicach, zawarte w tej scenie utworu, zostały przez Zmorskiego żywcem przejęte z wiary ludowej. Nie inaczej bowiem opowiada sobie i lud na Mazowszu, bo i w jego wyobrażeniu topielcy w noc miesięczną, pląsają w wodzie lub też wychodzą na brzegi rzek, ubrani w długie, białe szaty, spadające im na ramiona, ażeby na piasku zawieść skoczne tany – a jak sam poeta, wyborny znawca demonologii ludowej objaśnia – kto wstąpi w ślady nóg topielców, musi wnet

umrzeć[6]. Tak samo opowiada tenże lud o topielicach, które, według niego, siadają nad rzekami w noce miesięczne, ażeby czesać zielone swoje włosy[7].

Siadają więc w *Lesławie* topielice w długim szeregu nad wodą i opowiadają kolejno o swoich losach. Pierwsza z nich tedy była księżniczką w „murowanym zamku... gdzie płowieje Bug" i zakochała się w młodym myśliwcu. Toż kiedy ojciec zabił kochanka, a ją „zsiekł rózgami" i zamknął w komorze – ona zakrywszy sobie ręką oczy, wskoczyła w mokrą toń rzeki przez okno. Odtąd też „zawsze żyje młoda w głębi mokrych wód", gdzie ostry żwir jej „gładkie ciało porze cały jasny dzień". Czeka tedy rusałka nocy:

A przy bladym nocnym blasku
Na nadbrzeżnym siadam piasku:
W wieńce z trzcin i mchów,
W przeźroczyste krople rosy
Me zielone plotę włosy –
Aż zadnieje znów.

Całe to opowiadanie ma podkład ściśle ludowy. Fakt sam bowiem, że dziewczyna po stracie kochanka utopiła się w rzece i została przemieniona w rusałkę, osnuty został na mniemaniu, jakoby dziewczę, które z rozpaczy rzuci się w nurty wód, przeistaczało się po zgonie w „narzeczoną rzeki"[8], to jest w rusałkę. Ślady zresztą tych wierzeń aż nadto dobrze widać w wersjach baśni, która posłużyła Mickiewiczowi na osnowę *Rybki*[9]).

Opowiadanie drugiej topielicy o tym, jak była czarownicą…

Czarowałam pola, sady,
Świat straszyłam wichry, grady,
Gromów błyskawicą.
Raz, gdy w polu święcę czary,
Wypatrzał mnie sąsiad stary!
Zaskarżył do groda.

…i jak ją potem pławiono w rzece, ona zaś z obawy przed niechybną śmiercią na przygotowanym stosie urwała się ze sznura i utopiła, ma również osnowę, zapożyczoną z wiary ludowej. Wszak lud pamięta z tradycji wieków średnich, iż czarownice pławiono w rzekach, a jeśli która okazała się lekką i unosiła się nad wodą, co uważano za dowód winy, musiała być spalona na stosie[10]. W moc wreszcie czarownic, które

[6] Por. O. Kolberg, *Lud*, T. XV, str. 13.
[7] Por. P. Czubińskij, *Trudy*, T. I. str. 207.
[8] Por. Ludwik z Pokiewia, *Litwa*, str. 35. [Tu: Ludwik z Pokiewia (właśc. Adam Ludwik Jucewicz, *Litwa pod względem starożytnych zabytków, obyczajów i zwyczajów*, Wilno 1846 – Red.]
[9] Por. str. 62 niniejszej pracy.
[10] Por. Dr. J. Karłowicz, *Czary*, op. cit.

mogą przywoływać różne klęski na ludzi, drzewa i pola, do dzisiaj u ludu utrzymuje się niezachwiana niczym wiara.

Pomysł nadto do opowiadania trzeciej topielicy, którą zaraz po wydaniu na świat boży utopiła matka, nasunął się Zmorskiemu pod wrażeniem analogicznego zabobonu ludowego, który mówi, że utopione dzieci zamieniają się w rusałki[11]. Końcowe wreszcie słowa tej sceny, kiedy to topielice widząc z dała idącego Lesława mówią, iż „(…) wnet go pochwycą w swoje objęcia":

Pianą w oczy pryśniem,
Łódź o falę ciśniem,
Pochwycim za dłoń,
W mokrą wciągniem toń...

…zostały stworzone na podstawie wierzenia, jakoby topielice schwytanych młodzieńców wciągały w wodną głębinę[12].

Tymczasem Lesław odszedł, ażeby pożegnać się z Heleną i wyspowiadać się przed nią ze swojej tajemnicy. Jednakże przy tym spotkaniu zapomina zupełnie o postanowieniu, jakie powziął nad brzegiem rzeki, bo zamiast obiecanej poprawy – pada w objęcia Heleny, wzywając gromu, ażeby uderzył w jego głowę. Chwila tedy zemsty, jaką miała Dziewica-Chmura wywrzeć, nadeszła, grom pada i zabija Helenę. Toteż poprzedzająca tę sytuację scena, kiedy czarownice jadą na łopacie na zbór ogólny, ze słowami w ustach:

Płot nie płot – wieś nie wieś –
Biesie, nieś!

– ma swoje znaczenie w kompozycji utworu. Z ust bowiem czarownic dowiadujemy się o niedalekim zgonie którejś z osób mieszkających we dworze: umrzeć zaś musi ta osoba, ponieważ puszczyk huka „w starym murze", a pies wyje żałośnie. Że do skreślenia tej sceny użył nasz poeta kilku drobniejszych elementów wiary ludowej, dowodem tego następująca okoliczność: tak samo jak w *Lesławie,* tak i w pojęciach wieśniaczych czarownice jeżdżą na łopacie[13] na Łysą Górę, słowa zaś, jakie wypowiadają tuż przed udaniem się w podróż, są zupełnie takie same w ustach ludu, jak te, któreśmy wyżej przytoczyli z utworu Zmorskiego[14]. O wniosku zaś, iż ktoś umrze we dworze, gdyż pies i puszczyk żałosnym głosem dają znać o tym, nie potrzebujemy chyba bliżej mówić, każdy bowiem, kto zna choćby niedokładnie zabobony ludowe, wie dobrze, iż i wieśniak z głosów tych dwu zwierząt nie inne wyciąga konsekwencje, nie inne wyprowadza domysły.

[11] Por. Ludwik z Pokiewia*, Litwa*, str. 37. A. Podbereski, *Materiały*, op. cit., T. IV, str. 5.

[12] O. Kolberg, *Lud*, T. XV, str. 14, nr 4. Por. A. Podbereski, *Materiały*, op. cit., str. 6. [Tu: A. Podbereski, *Materiały do demonologii ludu ukraińskiego*, w: *Zbiór wiadomości do antropologii krajowej*, Dział 3, t. 4, Kraków 1877–1895 – Red.]

[13] O. Kolberg, *Lud*, T. VII. str. 95. *Zbiór ballad*, T. XI, str. 34.

[14] O. Kolberg, *Lud,* T. XV, str. 95.

W sam dzień pogrzebu ugodzonej piorunem Heleny – widzimy Lesława w dzikiej okolicy, pogrążonego w rozpaczy. Kiedy atoli bohater utworu wyrzeka sam na siebie, że sprzeniewierzył się miłości Dziewicy-Chmury, nagle ukazuje się mu wojsko walczące w chmurach:

Tu czarny, siedmiogłowy smok w obłokach drzymie –
Tam jakieś wpół człowiecze, wpół mgliste, olbrzymie
Tłumy: – horda wędrownych duchów obłąkana
W swej nieskończonej powietrznej podróży.
Owdzie ciemna rozwarta paszcza dziwotworna
Wisi z bezdennych mroków. Strzępione jej zęby.
Krwawym błyszczą szkarłatem. Zda się ognia kłęby
Co chwila na świat rzygnie...
Pole widnokręgu
Zaludniło się całe; jakby niespokojne
Potęgi, piorunnymi pociskami zbrojne,
Zeszły się tu rozgłośną stoczyć z sobą wojnę.

Ustęp ten został cały stworzony na podstawie wierzeń ludowych, jakoby w powietrzu mieszkały duchy wojowników, jak o tym świadczy sam poeta: „W różnokształtnych masach chmur, przemykających tłumnie po burzliwym wieczornym niebie, lud nasz widzi cały świat dziwów, pełny życia i ruchu. Są tam smoki wielogłowe i stada dzikich, niewidzianych ptaków i zwierząt, harcujące między sobą. Wśród tych potwornych, bezładnych gromad, ukazuje się nieraz szybko biegnący na skrzydlatych rumakach zastęp mglistych, olbrzymich jeźdźców. Są to duchy dawnych wojowników, koczujące i wiecznie z wichrami po nieskończonej przestrzeni. Kiedy dwa takie zastępy napotkają się z sobą, często zwodzą z sobą walkę – które i to zjawisko jest przepowiednią srogiej między ludźmi wojny”[15].

Podania jednakże analogicznego z powyższym opisem, nie udało się nam odnaleźć; toteż konstatujemy tylko fakt, iż ustęp ten poematu Zmorskiego został na podstawie wierzeń ludowych skreślony i to, o ile można wnioskować z objaśnień poety, wiernie. Raz jeszcze – w końcowej scenie *Lesława*, występują znowu duchy świata nadzmysłowego, o godzinie dwunastej w nocy wychodzące z mogił przy wrzasku sów i puchaczy, ażeby krew ludzką wysysać – z słowami na ustach:

Wstawajcie, umarli!
Będziemy żywych żarli!

Podkładem zaś tej sytuacji są znowu zabobony ludowe o zmorach i strzygoniach, którzy o północy powstają z grobowego posłania, ażeby napoić pierś zgłodniałą

[15] R. Zmorski, *Pisma oryginalne i tłómaczone*, Warszawa 1900, str. 48–49. Por. O. Kolberg, *Lud*, T. III, str. 32.

krwią ludzką. Słowa zaś wyżej przytoczone, zostały do poematu wprowadzone bez jakiejkolwiek zmiany, z nader rozpowszechnionej wersji baśni lenorowej[16], w której uwożący dziewczynę woła tak samo na umarłych.

Jak już z tego utworu można się dosadnie przekonać – miał Zmorski w duszy ogromny zapał dla utworów fantazji ludowej, miał dla nich cześć niemałą, skoro tyle elementu z ust ludu zapożyczonego do tego niewielkiego rozmiarami *Lesława* wprowadził. Rzecz inna, że ten nadmiar pierwiastków ludowych nie wyszedł na korzyść samemu utworowi, a zeszpecił go wielokrotnie.

Trudno bowiem zrozumieć, na co tyle grozy wlał Zmorski w poemat, po co gromadził na każdym kroku elementy ludowe, skoro one były tam zupełnie zbyteczne; na co wreszcie kreślił sceny całe osnute na wierzeniach gminnych, skoro te sytuacje nie miały w niczym przyczynić się do postępu akcji, skoro jej ani o krok nie mogły posunąć naprzód. To trudno pojąć i sądzę, że niczym innym faktu tego wyjaśnić nie można, jak tylko ogromnym zamiłowaniem dla rzeczy ludowych, skoro te akcesoria gminne, jak najwidoczniej wpływały na obniżenie się wartości *Lesława*. Nadmienić jeszcze wypada, że najgłówniejsze błędy tego utworu powstały z innych zupełnie przyczyn, nie będących wcale w związku z kierunkiem ludowym poezji.

Zupełnie inaczej przedstawia się kompozycja *Wieży siedmiu wodzów*, napisanej w kilka lat po *Lesławie*; tutaj bowiem nie z poszczególnych utworów wyobraźni ludowej korzystał Zmorski, nie łączył ich razem w miarę potrzeby przy pisaniu poematu, lecz całą osnowę zaczerpnął z jednego podania mazowieckiego, które gdzieś w latach dziecinnych jeszcze słyszał, a które na umyśle jego tak wielkie wywarło wrażenie, że „(…) ani czas, ani późniejszych wrażeń rozmaitość, zatrzeć go nie zdołały" – jak o tym sam opowiada w przedmowie. Stąd poszło, iż wyobraźnia jego, oczarowana pięknością baśni, powracała nieustannie do niej, „odświeżając barwy, dopełniając zatarte szczegóły. Tym sposobem złożyła się całość", w której nie mógł odróżnić, co było własnością pieśni ludowej, a co powstało z jego własnej fantazji, toteż nie uważał swojego poematu za oryginalny utwór, lecz za wieść gminną, ubraną w artystyczną szatę. Podanie, z którego korzystał nasz poeta, zaginęło już zupełnie na Mazowszu – legenda zaś ruska, nie bardzo od niego odległa, brzmi następująco:

„Kiedyś żyło na świecie siedmiu braci, bardzo mądrych kniaziów, którzy wszystko, co się stało i stanie, z gwiazd znali. Kiedy wiedzieli, że czas ich nadchodził, kazali budować wieżę, w której pogrzebani być mieli. Ale co mularze za dnia zbudowali – wszystko to nocą zapadało się w ziemię. I tak trwało to całe trzy lata. Po tym czasie najstarszy brat kazał *ukować* wielką złotą banię, w której zawarłszy żywego koguta, na wierzchu wystającym z ziemi ją przytwierdził. Kiedy kogut w bani zapiał, wieża sama wyszła cała z ziemi, a tak była wysoka, że aż o niebo się oparła. Wtedy sześciu braci wstąpiło do wieży, żeby, pokładłszy się w niej, usnąć na wieki; siódmy zaś usiadł

[16] O. Kolberg, *Lud*, T. XV, str. 38.

na progu, a postawiwszy stopę na głazie przed progiem leżącym, rzekł: „Skoro ten kamień urośnie mi po kolana, wtenczas będzie koniec świata. Potem oparłszy łokieć na kolanie, a głowę na dłoni, usnął. Wieża ta dotąd jeszcze stoi gdzieś... ale czar na nią taki rzucony, że jej żaden żywy człowiek ani dotknąć, ani widzieć nie może. Tylko złota bania na jej wierzchu świeci się wysoko w nocy, ale między drugimi gwiazdami rozpoznać jej niepodobna. Kto by to mógł poznać, znalazłby wieżę – a obudziwszy śpiącego w progu, dowiedziałby się od niego o wszystkim, co się do końca świata dziać będzie”[17].

Skoro nie mamy właściwego podania, z którego zaczerpnął Zmorski osnowę do *Wieży siedmiu wodzów*, trudną jest rzeczą wykazać, w czym analogiczną baśń zmienił, co z niej opuścił, co dodał. Ponieważ jednak nie ma nadziei, ażeby ta baśń odnalazła się, kiedy już sam Zmorski nie mógł jej odszukać, przeto musimy badania nasze przeprowadzić na podstawie wyżej przytoczonego opowiadania. Bez wątpienia rozszerzył poeta, wprowadzając baśń ludową w ramy swojego poematu, tło akcji tym, iż kazał owym siedmiu wodzom przed śmiercią spędzać czas na ucztach i łowach.

Dalej, nader prawdopodobną jest rzeczą, iż w owej nieznanej nam mazowieckiej wersji podania zmienił również sam cel postawienia wieży – kreśląc sytuację kopania grobów dla starców-rycerzy, którzy mieli w nich położyć głowy na sen wieczny. U Zmorskiego wieża ma być postawiona jako ostatni pomnik czynów siedmiu wodzów, scena zaś baśni ludowej ruskiej, gdzie wodzowie mają zasnąć nie w mogile, ale w wieży, uprawnia nas do przypuszczenia, iż i w baśni mazowieckiej rzecz miała się nie inaczej. Nie ma dalej w poemacie Zmorskiego ani śladu złotej bani, wskutek której wieża spod ziemi wyrosła aż pod niebiosa, jest atoli w miejsce tego inny czynnik: wodzowie udają się na miejsce, w którem zrąb głazów sterczał i skoro stanąwszy na nim, zanucili pieśń – wieża zaczęła podnosić się z ziemi wysoko, wysoko. Ponieważ nadto opuścił Zmorski szczegół o złotej bani – przeto w poemacie jego ze szczytu wieży płonął blask złocistych hełmów starych rycerzy – nie jak w ludowej legendzie owej bani, przytwierdzonej u szczytu.

Co się tyczy drugiej uczty, jaką wodzowie sprawili, zanim wstąpili na wieżę – to fakt ten jest najprawdopodobniej wytworem wyobraźni poetyckiej Zmorskiego, tak samo i pieśń pożegnania, nucona przez wodzów po uczcie, jak nie mniej myśl w niej zawarta, jest samodzielnym pomysłem naszego poety. Zmienił tedy Zmorski myśl legendy ludowej, która mówi, iż skoro kamień urośnie siódmemu wodzowi po kolano – wtedy nastanie koniec świata, w poemacie jego bowiem rycerz ów nie śpi u progu, myśl natomiast pieśni śpiewanej przez wodzów jest ta, że skoro „(…) zło świat ten cały owładnie”, wtedy na powrót rycerze przyjdą na ziemię, ażeby ludzi obudzić z wielkiego snu i „w imię jasnego Boga, pod jego słonecznym znakiem, będą „cześć jego świętą podnosić, obalać złego ołtarze”.

[17] R. Zmorski, *Poezje*, Lipsk 1866, str. 79.

Wprowadził wreszcie Zmorski do *Wieży siedmiu wodzów* szczegół następujący: że wodniki i leśne dziewice przypatrują się biesiadzie mężów, czego w podaniu ludowym wcale nie widzimy. Został wprawdzie on z wierzeń ludowych do poematu wprowadzony, ale mimo pochodzenia ludowego, nie ma na sobie barw gminnych. Tyle najprawdopodobniej, wnioskując z przytoczonej wyżej ludowej legendy – zmian poczynił Zmorski w opowiadaniu gotowym, z którego zapożyczył osnowę do swojego poematu. Że nadał poeta utworowi barwę oryginalną – o tym ani na chwilę nie można wątpić, skoro się tylko przeczyta poemat – tyle tam wlał Zmorski faktów, które obce są opowiadaniom gminu, tylu kolorami zabarwił całe opowiadanie, jakich na próżno by kto szukał w ustach pospólstwa, a jakimi lśni *Wieża siedmiu wodzów* od początku do końca.

Myśl z pieśni ludowej dała również naszemu poecie pomysł do utworu pt. *Dziwy*, chociaż sam utwór najzupełniej różni się od analogicznego śpiewu. Pieśnią zaś tą, która stworzyła pomysł, jest znana powszechnie ballada ludowa o pani, co męża swojego zabiła – z niej to zaczerpnął i Mickiewicz osnowę do ballady pt. *Lilie*. Schwyciwszy tedy myśl samą, opowiada Zmorski o ślubie młodego pana w „wysokim kościele", tworząc w ten sposób nieznaną pieśni scenę, po czym wnet widzimy, jak:

Tam za borem,
Nad białym jeziorem,
W złoconym dworze,
W ślubnej komorze,
Pan młody na łożu leży...

– zabity przez zbrodniczą małżonkę, do której to sytuacji powziął poeta myśl z ludowej pieśni. Widząc wreszcie w śpiewie gminnym karę za morderstwo, wymierzoną przez braci zamordowanego, kreśli obraz trupa pani:

Na białym jeziorze.
Kipi, wre, zmącona woda;
A po wodzie pani młoda,
W bieli, w rucie, w rozmarynie
Z rozplecioną kosą płynie...

…a nad jej trupem kruki i kawki „ulatują czarnym tłumem".

Jak można tedy spostrzec od razu – myśl, jaka powstała za przyczyną ludowej pieśni, została z niezwykłym artyzmem i przejęciem się poety tematem doskonale przeprowadzona. Temat ten nadto otrzymał w interpretacji Zmorskiego cechy świeżości i oryginalności jak największej.

Tak samo też utwór pt. *Niewierna* stworzony został na podstawie pieśni ludowej o dzieciobójczyni, która pewnego razu:

Rano w niedzielę
Poszła panna po ziele,
I znalazła złotą nić:
I zaczęła złoty wianek wić.
Przyjechał ci do niej pan
Z piekła rodem sam szatan[18].

Z niej to zapożyczył Zmorski kilka szczegółów; a więc samą porę wydarzenia, gdyż i u niego rankiem w niedzielę idzie dziewczyna na porosłą kwieciem błoń. Zgodnie dalej z pieśnią ludową, w której:

Spotkał ci ją młodzieniec
I prosił ją o wieniec.

…wprowadza Zmorski do swojego utworu młodzieńca, wyznaczając mu już od siebie burzliwą porę w chwili zjawienia się:

Śmiechem parsknął młodzieniec
I wyskoczył z strzemiona:
– Witaj mi! o ulubiona!
Ślubny daj mi wieniec!

Teraz odstępuje poeta od osnowy pieśni ludowej, gdyż wprowadza u siebie karę za niedotrzymanie wierności kochankowi, nie zaś za dzieciobójstwo, o którym mówi gminna ballada. Element zaś ten, zgodny zupełnie z wiarą ludu, dostał się do *Niewiernej* najprawdopodobniej z jakiejś wersji o tle lenorowym. Teraz przybywa ów młodzieniec, kochanek dawny dziewczyny, który umarł z miłości, gdy go ona opuściła, pan bowiem „miłość i przysięgi jakby wiatr rozgonił" sutą kiesą. Opowiadanie zaś kochanka zawiera również szczegóły, zaczerpnięte z wierzeń gminnych, bo przecież fakt ten, iż zmarły co wieczora wstawał „z grobu zielonego, chcąc się pomścić na owym panu, który mu zabrał kochankę, a dalej „zębami upiora wydarł mu serce" nareszcie, dostał się tutaj na podstawie zupełnie analogicznych baśni o upiorach. Teraz dopiero przybywa w balladzie Zmorskiego szatan, który porywa niewierną dziewczynę:

I dosiadł z nią bieguna,
Na swą pierś wsparł jej skroń –
I z łoskotem pioruna
Kruczy poniósł ich koń.

[18] Por. Wacław z Oleska, *Pieśni*, str. 411-413 [Tu: Wacław z Oleska (właść. Michał Wacław Zaleski), *Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego*, t. 1-2, Lwów 1833 – Red.] O. Kolberg, *Mazowsze*, T. IV, str. 366, nr 436.

Nie inaczej ma się rzecz w ludowej balladzie, gdzie młodzieńcem owym był szatan, który za karę za zamordowanie dzieci:

I wzion ci ją, i niesie,
A po boru, po lesie,
.....
Przyniósł ci ją do piekła.

„Aż u piekła czarnych wrót" zatrzymał się w utworze naszego poety szatan z dziewczyną. Oprócz wzmianki o biesiadzie, jaka odbyła się w piekle, którą znacznie Zmorski w *Niewiernej* rozszerzył na podstawie analogicznej pieśni, w zakończeniu całego utworu, które zostało stworzone samodzielnie, nie napotykamy żadnej zawisłości od ballady ludowej.

Czy powieść poetyczna pt. *Noc Świętego Jana*, została z „powieści gminnej" – jak mówi przypisek – stworzona, o tym bardzo a bardzo powątpiewać należy. O wiele prawdopodobniejszym jest – naszym zdaniem – przypuszczenie, iż utwór ten jest oryginalnym pomysłem Zmorskiego, osnutym na gminnych wierzeniach o zakwitaniu paproci w noc św. Jana. Wprowadza tedy nasz poeta odważnego Strzelca, który, zgodnie z duchem zabobonów ludowych, udał się w tę noc czarów do lasu i tam opisawszy się trzykrotnie kołem, które, według wierzeń prostaczych, jest bezpieczną tarczą przeciw mocom piekielnym[19], czekał na zakwitnięcie paproci. Rzeczywiście, o północy „ czarodziejski pękł kwiat", który przez Strzelca został czem prędzej zerwany. Teraz dopiero wprowadza Zmorski, zgodnie z wiarą ludu, rozmaite pokusy, jakie wabiły Strzelca ku sobie, ażeby, gdyby wyszedł z koła, oddać go w moc szatańską.

Wabiło go tedy złoto rozsypane dokoła, głos ojca błagającego zbójcę o litość, myśliwy jednak nie wybiegł poza zakreślone koło. Dopiero na widok dziewicy pospieszył czym prędzej i zapadł się w ziemię[20]. Utwór ten, a raczej osnowę tego utworu, uważamy za płód fantazji poetyckiej Zmorskiego, osnowa tylko akcesoriów poszczególnych została zapożyczona z wierzeń ludowych i może dlatego umieścił nasz poeta pod swoją powieścią wspomniany powyżej przez nas przypisek, że utwór ten został napisany „podług powieści gminnej".

Wycieczka zdaje się Zmorskiego na Łużyce, uczyniona wespół z Lenartowiczem, i zetknięcie się bliższe z ludem tamtejszym, wydało ostatni na tle ludowych legend stworzony utwór pt. *Chrystus i Piotr*. Treść zaś utworu tego jest następująca: Kiedy Pan Jezus zaszedł raz podczas swoich wędrówek po ziemi z św. Piotrem na Łużyce, usłyszał w chacie wieśniaczej śpiew. Przystanął tedy i słuchał, św. Piotr zaś rad nierad, musiał również się zatrzymać. Niebawem przechodzili obok pysznego gmachu, w którym rozlegały się pobożne pienia i młody św. Piotr przystanął, widząc jednak,

[19] Por. „Wisła" 1892, str. 926. R. Zmorski, *Pisma oryginalne*, str. 782 -783.
[20] Podług wierzeń ludowych, szatan urywa zazwyczaj głowę śmiałkowi. Por. „Wisła" 1892, loc. cit.

że Pan Jezus idzie dalej, z przykrością zdążył w ślady Mistrza. Kiedy się zaś zapytał Chrystusa, dlaczego raz tak, drugi raz inaczej czyni, usłyszał tę odpowiedź, iż w wieśniaczej chacie lud ze „szczerego natchnienia" nucił swoje piosenki, a w gmachu wspaniałym obłudni ludzie śpiewali psalmy pustą piersią. Że osnowa tej legendy została z podania ludowego zapożyczona, o tym nie wątpimy, wobec całego mnóstwa legend, jakie Serbowie łużyccy opowiadają o Chrystusie. Niestety, analogicznej temu utworowi wersji nie udało nam się odnaleźć.

Jak zaś wielkie miał Zmorski umiłowanie dla pieśni ludowych, o tym świadczą nie tylko elementy gminne w jego utworach, ale także przekłady śpiewów ludowych innych narodów. Lat parę spędzonych w Serbii obudziło w Zmorskim sympatię dla tego narodu i zbliżyło do utworów fantazji serbskiego ludu. Stąd też wzięły się tłomaczenia *Narodowych pieśni serbskich*, wydane w dwu tomach w Warszawie, stąd poszedł dalej przekład rapsodów o *Królewiczu Marku*, wydany w roku 1859, i w rok później ogłoszona *Lazarica*. O tłumaczeniach tych niewiele można powiedzieć, bo że przekłady te, wszystkie oddane białym wierszem, są nadzwyczaj wierne, o tym najlepszego pojęcia nabierze każdy, kto zechce tylko porównać je z pierwowzorami, ogłoszonymi w zbiorze Wuka Stef. Karadżicza. Co więcej, z tłumaczeń tych daje się z łatwością zauważyć jeszcze jedna dodatnia strona, a jest nią nie tylko język nadzwyczaj dobrze dostrojony do przedmiotu, ale także przejęcie się tłumacza duchem i tonem, jaki wiał z oryginałów. W literaturze, przynajmniej naszej, lepszych przekładów pieśni ludowych serbskich, mimo że one są bardzo liczne, nie znajdziemy.

Wywarła tedy wieść gminna niemałe na Zmorskim wrażenie, skoro dwa najobszerniejsze jego poematy zostały na tle gminnym osnute, a i w kilku pomniejszych utworach i w przekładach widać popęd do żywej krynicy gadek i legend ludowych, do czerpania z niej hojną dłonią osnowy, bądź też poszczególnych tylko faktów. Nie popsuł nasz poeta tego, co dostało się do jego poezji z ludowych wierzeń i zabobonów, lecz z samego początku nie potrafił umiejętnie tego wszystkiego zużytkować we właściwym miejscu. Później dopiero zdołał nadać utworom tym nawet, których zawisłość od ludowych pieśni jest najwidoczniejsza – tło oryginalne.

ZE WSPOMNIEŃ O PISARZU

Roman Zmorski – rysunek Cypriana Norwida z 1841 lub 1842 roku

Wacław Szymanowski

ROMAN ZMORSKI*

W społecznościach ludzkich zdarzają się chwile, w których rzadko komu danym jest za właściwym sobie podążać kierunkiem. Los, wypadki, potrzeba, czasem prowadzą wybrane nawet jednostki na obce im drogi, po których na oślep krążąc, tracą nieraz czas, siły, życie, nie odpowiedziawszy nawet w części zadaniu, do którego były powołane. Ten lub ów, minąwszy się z celem, który w młodości świecił mu jako ideał wszystkich żądz duszy, przy schyłku życia dopiero opatrzy się, że lata zmarnował; inny czuje się na bezdrożu, widzi, że marnieje, że słabnie, że bezwiednie traci to, co Bóg wlał w niego, a nie może zwrócić się i rozpocząć drogi na nowo, bo i sił mu nie starczy, i widzi przed sobą nieprzebyte zapory.

Dlatego o takich ludziach trudno sąd wydać stanowczy. Współcześni mylą się w zdaniu o nich, jeżeli oceniając to, co zdziałali, chcą wyrokować o tym, na co ich stać było; a i później, jeżeli nazwisko i pamięć ich się przechowa, sąd potomności nie będzie jaśniejszy i sprawiedliwszy, bo na to trzeba znać wszystkie okoliczności ich życia, których znaczna część w wiecznym już może cieniu pogrążona.

Wprawdzie ludzie praktyczni gotowi na to powiedzieć:

– A nam co do tego? My sądzimy tylko z tego, co znamy, z tego, co widzimy. Co nam po zdolnościach, co nam po talentach, które się roztrysnęły na drobną zdawkową monetę? Że ktoś mógł, a nie chciał, albo chciał, a nie mógł, to na jedno wynosi.

Zapewne, lecz trzeba pamiętać, że ludzkie siły mają miarę swoją i że tak wypoczynek, jak i śmierć mają swą wymowę. Wieluż to grób znalazło w katakumbach myśli, których lada nitka w porę podana mogła była wyprowadzić na światło dzienne. W braku tej nitki i bohater Tezeusz byłby nieznaną jakąś ofiarą.

Myśli te zawsze nam się nasuwają pod pióro, ilekroć mamy pisać o ludziach należących do pokolenia, w którym Roman Zmorski wydobył się na widownię życia. A było ich niemało, wszyscy młodzi, zdolni, ogniści, kochający. Torowali sobie sami drogę, bo wówczas właśnie między przeszłością piśmiennictwa a przyszłością nastała wypoczynku chwila. Nie w piśmiennictwie, nie w sztuce; w naukach słaby tylko odgłos dawnych zasług. Lada romans francuski, niedołężnie przepolszczony, stanowiły już zasługę; lada wierszyk bez znaczenia, umieszczony w gazecie pomiędzy wiadomościami z Senegalu a psem zgubionym, był godnym uwagi wypadkiem: malarstwo krajowe ześrodkowało się w obstalunkach czynionych u jednego czy dwóch

---

* W. Szymanowski, *Roman Zmorski*, „Tygodnik Ilustrowany" 1867, nr 390.
Wacław Szymanowski (1821–1886) – poeta, dramatopisarz, prozaik, wybitny dziennikarz, redaktor i felietonista, związany z Cyganerią Warszawską. Autor licznych utworów prozą poświęconych Warszawie, a także wspomnień *Literaci warszawscy* opublikowanych w „Dzienniku Warszawskim" w 1855 roku (przedruk w: *Wspomnienia o cyganerii warszawskiej*, zebrał J. W. Gomulicki, Warszawa 1964).

portrecistów: rzeźba nie wychodziła poza obręb nagrobków kilku ludzi bogatych, którzy choć po śmierci chcieli dać coś sztukom pięknym zarobić, a lekcje fortepianu i śpiewu stanowiły jedyną i bardzo zagadkową przyszłość artysty muzycznego. Ci, którzy dziś się skarżą na oziębłość wydawców, nie znali widać ówczesnego chłodu. Za utwory literatury lub sztuki nie płacono ani grosza, i tylko bogaty mógł się jąć pióra, dla własnej wyłącznie przyjemności. A wiadomo, że bogacze do pióra wstręt mają.

I stało się, że jakoś razem wyszło wówczas na świat kilkunastu młodzieży, w jedno grono literackie zebranych. Oprócz niekłamanej przyjaźni, jaka się zawiązuje w młodym wieku pomiędzy ludźmi sympatyzującymi z sobą pojęciami, łączyła ich samowiedza różnorodnych zdolności, jakimi prawie każdy z tych ludzi był obdarzony. Zdolności i nic więcej; ale to już wiele, gdy do nich się przyłączy szczera chęć wydobycia się na światło.

Nazwiska tych ludzi wiadome są po większej części ogółowi, a choć niedawna to epoka, kilku z nich tylko przeżyło do dni dzisiejszych, a jeden czy dwóch zaledwie poszczycić się mogą, że zajęli rzeczywiście w piśmiennictwie stanowisko odpowiednie zdolnościom i zapałowi, z jakim podówczas rwali się do pracy. Bo ten właśnie nadmiar życia, jakie w nich wrzało, stał się dla wielu z nich powodem upadku. Francuzi żalą się na swoje *cygaństwo literackie*, którego Murger* był najwyrazistszym przedstawicielem i najwierniejszym historiografem; ale to marnowanie sił życia u Murgerów i im podobnych pochodziło z umyślnych tylko zboczeń i pochopów, podczas kiedy kółko, o jakim mówimy, bezwiednie rzuciło się w odmęt, na próżno szukając w nim zadowolenia krewkości, przepełniającej całe to młode pokolenie.

Pomiędzy tą młodzieżą Roman Zmorski uważany był za jednego z najzdolniejszych. Stoi mi jeszcze na oczach ta dziwna, charakterystyczna twarz, ta ogorzała cera, te kruczej czarności włosy i oczy wewnętrznym ogniem błyszczące, a zawsze gdzieś w przestrzeń wpatrzone. Jedni zwali go Hiszpanem, inni Włochem, a i talent jego miał w sobie coś południowego. Zdawało się, że te płomieniste wiersze, które z dziwną łatwością wysnuwał z siebie, gorące niebo południa wyhodowało… a poeta wyskakiwał z nich cały zbrojny, jak Minerwa z głowy Jowisza. Tak od razu trysnęła w świat oryginalna, choć dziwnej piękności forma wiersza i jakieś rzuty poetyckie zadziwiające śmiałością, którym za ciasno było w drobnych fantazjach i okolicznościowych rymach, w jakich je Zmorski starał się zamknąć.

Wiersz jego do młodego poety, w osiemnastym czy dziewiętnastym roku życia skreślony, powitany był przez całą tę młodzież jako jutrzenka odżywienia się poezji u nas.

> I stało się prawie tak, jak on śpiewał:
> Wtenczas każdy je z taką powita pociechą
> Jako nad rankiem kura przeraźliwe pianie,

* Henri Murger (1822–1861) – poeta i prozaik francuski, autor powieści *Sceny z życia cyganerii* (1851).

Co, trzepocąc skrzydłami nad skopconą strzechą,
Jasnej na niebie zorzy zwiastuje świtanie*.

Powtarzamy, pisał to osiemnastoletni młodzian, nic więc dziwnego, że pomiędzy rówieśnikami swoimi, z których każdy prawie do tegoż samego nastrojony był tonu, wyrósł on od razu w wyższą postać liryczną. Ludzie ci wierzyli wówczas, (szczęśliwi) że natchnienie starczy za wszystko; zapominali o zdrowej radzie Krasickiego: „Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty...".

Zapominali, że wiedza w poecie musi co najmniej wrodzonym zdolnościom wyrównywać, a raczej zdawało im się, że ta wiedza z łatwością im przyjdzie, że przebojem zdobędą niebo...

Najsilniej może ze wszystkich taką wiarą ożywiony był Zmorski, a brak systematu w początkowym wykształceniu daje się widzieć i w dalszych pracach poety, który co chwila rozlubowuje się w nowym polu działania, żeby znów je porzucić dla pracy, która mu się wdzięczniej uśmiechać zdaje, rzadko co wykończając należycie, rzadko który zamiar trwale doprowadzając do skutku. Co chwila rozpoczyna on prace większych rozmiarów i ustaje, bo nowa jakaś myśl roznamiętnia go do siebie. Tylko jak gwiazda przewodnia ciągle widomie świeci nad nim gorąca miłość ludu słowiańskiego, którego języki we wszystkich prawie bada narzeczach, tak jak wszystkie prawie ziemie słowiańskie, albo te na których ślady Słowiańszczyzny pozostały, zwiedza z kijem pielgrzymim w ręku.

Poematy jego większych rozmiarów, *Lesław* i *Wieża siedmiu wodzów* (naśladowanie z sagi skandynawskiej), wskazują nam tę dążność ludową, a bardziej jeszcze prześliczne przekłady pieśni serbskich, które stanowią ważny bardzo przyczynek dla naszego piśmiennictwa.

Wkrótce ma wyjść w osobnym odbiciu przekład *Merimy*, tragedii osnutej na wypadkach w Bośni; wiemy także i o kilku innych utworach dramatycznych, które z serbskiego i innych słowiańskich narzeczy Zmorski starał się przyswoić naszemu językowi. Oryginalny poemat jego większych rozmiarów, *Święto majowe*, pozostał nieskończony, a podobno nawet pierwotny rękopis jego, wraz z kilku innymi, pomiędzy którymi wskazują nam *Rozprawę o bitwie grunwaldzkiej*, zaginął.

O tym *Święcie majowym* Zmorski tak się odzywał do żony swojej w ostatnich chwilach życia:

– Poemat ten muszę dośpiewać przy zupełnej sile, bo nie uwierzysz, jaki tam wysoki nastrój liryzmu, od pierwszej do ostatniej nuty.

Toż samo *Pieśni mazowieckie*, poemat złożony z pojedynczych, chociaż mających stanowić jeden ciąg ustępów, nigdy zupełnie dokończone nie były.

Najżywsze jednak natchnienie bije z pierwotnych poezji Zmorskiego, z tych właśnie, które w wieku młodzieńczym wysnuwały się spod jego pióra. Widzimy tam ogromne

* Wiersz przedrukowany w całości w niniejszym tomie.

zasoby liryzmu hojną rozsypywane dłonią, jakiś dźwięk męski, twardy, prawie dziki czasami, któremu nie brak powabu, jakim prawdziwy talent najnieokrzesańsze nawet fantazje swoje nacechować zdoła. Miara, która przyszła z wiekiem, dała mu więcej gładkości, równości, wyrobienia artystycznego, ale za to odjęła trochę z tego zapału i werwy artystycznej, które tak silny wpływ wywierały w swoim czasie na młodych wielbicieli jego talentu. Stosunkowo pisał bardzo niewiele, mawiając zawsze, że poezji na zawołanie tworzyć nie umie, że nie podejmie się prac periodycznych, które mogłyby zabić w nim poetycznego ducha.

Ale duch ten potrzebował ciągłego, choćby sztucznego podsycania, żeby się na pierwotnym stopniu energii utrzymać, i dlatego w pracach Zmorskiego widzimy długie przerwy niczym niezapełnione, tyle zamiarów nieprzywiedzionych do skutku, tyle planów niedokonanych i rozprysłych przed wprowadzeniem ich w życie. Z zapałem i miłością zdawał się on rwać ciągle ku nowym pomysłom, z silnym przedsięwzięciem wytrwania zabierał się do pracy i po chwili bezwładnie opadały mu ręce, a ulubiona myśl, w coraz ciemniejszych ukazuje się barwach, nastręczając coraz nowe trudności, albo niepodobne do przebycia zapory, odstręczała go od siebie.

Z tego również powodu i w całym jego życiu było coś błędnego, niestałego. Dziwna ruchliwość i ciągła pochopność do nowości nie dawały mu usiedzieć długo na jednym miejscu. Rok, w którym by nie odbył podróży żadnej, wydawał mu się rokiem straconym. Miejsce pobytu przenosił ciągle z jednej okolicy w drugą, wyciągając z tych wędrówek swoich możliwy dla siebie pożytek, niezdolny jednak skutkiem tego ciągłego zmieniania siedziby, do rozpoczęcia jakiej ważniejszej pracy. Jakaś gorączka pchała go ciągle naprzód.

Zdawało się, że ów wędrowiec bezustanny, czując kres swój zbliżający się przedwcześnie, chce chociaż tym sposobem zdwoić dla siebie życie, że nie ma czasu oglądać się na przyszłość, jak to inni czynią, ani odkładać do późniejszego ziszczenia plany, które dopominają się o natychmiastowe wykonanie.

Ostatnie chwile swoje spędził w Dreźnie, gdzie też i śmierć jego nastąpiła. Oto ustęp z przedśmiertnej, niedokończonej pieśni, ustęp skierowany do towarzyszki życia:

Jak znowu twoim, twoim bez podziału.
Najpierwszych uczuć moich gwiazdo święta!
Włożone w chwili zmysłowego szału
Otom nareszcie stargał z siebie pęta,
I jak zbłąkany anioł dziś ku tobie
Powracam, dłonie wyciągając obie.
Myśl skołatana, ciało me zbolałe,
Oko przygasło, twarz zwiędła pod łzami,
Ach, i anielskie ducha szaty białe
Gorączka targa i brud ziemi plami.

Zgasło niebieskie, promieniste koło
Któremuś moje otoczyła czoło.

Na łożu śmierci mówił jeszcze wiele o dokończeniu prac zaczętych, których liczne szkice zostawił, to znowu o sąsiedztwie bliskim z grobem Brodzińskiego. Śmierć jego, pomimo wielkich cierpień, była spokojnym usypianiem. Oddał ducha Panu, mając zaledwie 43 lat wieku (urodzony w roku 1824), pogrzebany na cmentarzu drezdeńskim, tak jak w ostatnim życzeniu swoim pragnął, obok Brodzińskiego grobowca.

Główna zaleta utworów Zmorskiego leży nie tyle w oryginalności pomysłu, ile w potędze i energii wyrażenia oraz malowniczości stylu poetycznego. Jak to już powiedzieliśmy, liryk w nim przeważa, chociaż miał upodobanie w dramacie i lubił zapowiadać szereg przyszłych swoich prac na tym polu. Prace te jednak ograniczyły się na kilku przekładach i naśladowaniu wielkiej wartości, o ile zaś nam wiadomo, oryginalnego dramatu nie utworzył nigdy.

Przekłady jego znakomite posiadają zalety i same by już mu mogły zapewnić ważne stanowisko pomiędzy pracownikami piśmiennictwa naszego. Ale głównie drobne poezje Zmorskiego, których całkowity zbiór wyjdzie podobno wkrótce w dwóch tomach, znamionują w nim niepośledni talent, któremu tylko brakło czasu i okoliczności do należytego rozwoju. I chociaż nie dośpiewał może wszystkiego, co zdawał się zrazu zapowiadać, nie zmarnował jednak życia, przez które ciernista nieraz wiodła go droga.

[Adam Wiślicki]

ROMAN ZMORSKI (WSPOMNIENIE POŚMIERTNE)*

Rzednieją szeregi nawet młodego pokolenia pisarzów naszych. Z tej świetnej falangi, która przed dwudziestu kilka laty nowym blaskiem opromieniła literaturę polską, schylają się głowy do snu, w którym się nic nie śni, według słów poety. Filleborn Seweryn, Dziekoński Bohdan, Baliński Karol, Sierpiński Seweryn, a teraz jeden z najzdolniejszych, poeta prawdziwy – Roman Zmorski, zmarł przed kilku tygodniami w Dreźnie, gdzie od roku złożony chorobą zostawał.

Bartoszewicz w swej *Historii literatury polskiej*, charakteryzując ową epokę wystąpienia jednoczesnego tylu utalentowanych, którzy nic wspólnego nie mieli ze starszymi pisarzami, słuszną robi uwagę, że powstali oni niby odrodzeni w duchu, niby nowi ludzie, że czas na nich przyszedł. Wszyscy wrzeli życiem, na przesąd żadnego nie mieli względu, gotowi zawsze będąc do czynu i pióra – bo słowo czyn, a czyn słowo popierał. My dodamy, że między tymi pisarzami istniało braterstwo ducha wyrodzone z jednej idei, której też zawdzięczali swą popularność w owych czasach i świetnie wspomnienie w przyszłości… która ich nawet może lepiej oceni i pojmie niż dziś. Było to życie, jakie się między ową młodzieżą roztoczyło tak w literackim, jak i w codziennym kierunku, życie pełne wrażeń, wrzawy, wybryków ekscentrycznych, dostarczających materiału do mnóstwa anegdot, ale owiane jednocześnie tchnieniem poetycznym, niekłamanym zapałem.

Mając takich współtowarzyszów, takim otoczony gronem, wszedł młody Zmorski w szranki piśmiennictwa, a wszedł owiany poetycznym tchnieniem pieśni ludowych, wykarmiony na powieści i klechdzie tajemniczo opowiadanej przy kądzieli, pod strzechą słomianych siedzib wieśniaków Mazowsza. Więc zapał i spokój, rześkość i tęsknota dziwnie się z jego talentem poetycznym sprzęgły, rozdzielając jego utwory na dwie grupy. Do pierwszej policzylibyśmy prawdziwie poetyczny okres działalności, okres w którym napisał *Lesława*, *Wieszcza*, w którym pisał *Odę do Liszta*, *Fantazmat* i mnóstwo mniejszych utworów. Poeta na skrzydłach zapału podnosi się do wieszczenia, woła:

> Do mnie! do mnie – o, ludzkości!
> Przede mną losów twych księga,
> Zrywam zasłony przyszłości!

W *Lesławie* uderza nas dzika potęga samoistnej duszy walczącej z mocami przyrody, z mocami własnej moralnej natury – silącej rozwiązać straszną zagadkę. W ogóle na

---

* [Adam Wiślicki], *Roman Zmorski. (Wspomnienie pośmiertne)*, „Przegląd Tygodniowy" 1867, nr 10. Adam Wiślicki (1836–1913) – dziennikarz, publicysta, założyciel, wydawca i redaktor „Przeglądu Tygodniowego", autor artykułów programowych. Wybitny edytor, założyciel także drukarni „Przeglądu Tygodniowego" (1872).

tych poematach, zresztą nader oryginalnych, znać wpływ ówczesnych filozoficznych wyobrażeń, a więcej jeszcze duchy Goethego i Mickiewicza, które na ogólnej i polskiej literaturze pierwszego półwiecza naszej epoki piętno swoje wycisnęły.

Talent Zmorskiego wciąż płynął bystrym korytem, ale jak spieniony potok alpejski przepłynąwszy jezioro wydostaje się spokojny i czysty, tak duch poety w kryształach pieśni gminnej i sławiańskich rapsodiach znalazł uspokojenie. Częste wędrówki po własnym kraju, a w następstwie wędrówki po Sławiańszczyźnie zaznajomiły go z narodową, dziejową i literacką stroną tych ludów. Postanowił przyswoić naszej literaturze ich celniejsze utwory, postanowił obdarzyć nas tym, czego rzeczywiście nie mamy, nakarmić nowymi a rodzimymi pierwiastkami. Przetłumaczył więc nam językiem poważnym, doskonale oddającym oryginał *Serbskie pieśni* (u Senewalda, 1855) i całe epopeje tego męskiego ludu: *Królewicz Marko* – i *Lazarica*, oprócz mnóstwa innych drobnych ustępów i artykułów o literaturze Sławian Południowych, pisywanych nawet w ostatnich chwilach życia. Tłumaczenia te mało są dziś czytane, rzadziej jeszcze budzą współczucie, co łatwo pojąć i co znajduje do pewnego stopnia usprawiedliwienie w dzisiejszym zwrocie umysłów. Poematy serbskie i czeskie są, że tak powiemy, obce nam do pewnego stopnia, bo niepoprzedzone szeregiem wytrwałych, ciągłych studiów nad historią i bytem tych ludów. Ale gdy przyjdzie czas, że Sławiańszczyzna otworzy nam swoje skarbnice, że odmłodzenia dla swego ducha tam szukać będziemy, przekłady Zmorskiego, istne arcydzieła w swoim rodzaju, znajdą godny siebie rozgłos i ocenienie.

Oryginalnym wyrazem studium nad poezją ludową i wszechsławiańską jest najznakomitszy co do wewnętrznej wartości i najpiękniejszy formą poemat Zmorskiego: *Wieża siedmiu wodzów*, osnuty na podaniu ludu krążącym w Mazowszu. Poeta zabierał się także do poetycznej kreacji pt. *Wars i Ewa*, bajecznych założycieli naszego miasta. Czy dzieło to jest skończone, nie wiemy. Jakkolwiek jednak Zmorski brał za tło do swych utworów równiny mazowieckie, żółte piaski i Wisłę, karmił się legendami tej części kraju, myli się przecież Bartoszewicz, posądzając go o dążenia mające na celu utworzenie odrębnej szkoły poetycznej mazowieckiej. Nawet w najwcześniejszych utworach poetyckich nie hołdował temu kierunkowi seperatystycznemu, który nie wyszedł na dobre naszej literaturze. Zmorski kochał kraj, lud i znał go dobrze; odbywał nadzwyczaj liczne podróże, wszędzie pełną inteligencji osobistością jednając sobie sympatię i przyjaciół. Szczupły, suchy, mocny brunet, oko miał dziwnie przenikliwe, ruch wrażliwy, mówił niewiele, ale z zapałem. Zmarł, zdaje się, na chorobę piersiową, jak powiedzieliśmy, w Dreźnie i zapewne spocznie obok tylu innych, obok Brodzińskiego, którego zwłoki spoczywają na drezdeńskim cmentarzu.

Adam Rzążewski

ROMAN ZMORSKI. KILKA SŁÓW POŚWIĘCONYCH PAMIĘCI ZMARŁEGO W DNIU 18 LUTEGO 1867 ROKU POETY*

Roman Zmorski urodził się 1824 roku[1] w Warszawie, gdzie ojciec jego znajdował się w służbie rządowej; dziecinne swe lata przepędzał u bliskich krewnych na Mazowszu i tu to zapewne młodzieńczy, a już na piękno ludowej poezji wrażliwy umysł jego pochwytał te podania, które jak sam w przedmowie do *Wieży siedmiu wodzów* powiada: „Uczyniły wtedy na mym umyśle tak głębokie wrażenie, że ani czas, ani późniejszych wrażeń rozmaitość zatrzeć ich nie zdołały. Ilekroć nocą, w chwili spokojnej samotności wzrok mój natrafił na wyiskrzonym niebie gromadę gwiazd, w których mi kiedyś powieść złote hełmy siedmiorga wodzów okazała, wyobraźnia moja z upodobaniem wracała do tych z lat dziecinnych wspomnień, odświeżając barwy, dopełniając zatarte szczegóły (…)"; później oddany został do szkół warszawskich i te z prędkim przeciągiem czasu, jako jeden z pilniejszych uczniów przeszedł. W tymże czasie ojciec jego wysłużywszy emeryturę, zaproszony przez jednego z zacnych obywateli z powiatu bialskiego guberni siedleckiej, korzystając z przyjacielskiego przyjęcia osiadł i tam aż do dziś dnia przebywa.

Odwiedzał go tu często młody Roman, a przy tej sposobności słuchał podań ludowych całą piersią po atmosferze warszawskiej oddychał wonią łąk nadbużańskich, i nierozumiejącym go, a więc śmiejącym się z boku ludziom opowiadał dziwy o spotykanych przez siebie po borach rusałkach, przypołudnicach i przywieczornicach. Tu powstały pierwsze jego utworzy: *Nad Bugiem*, *Na zwaliskach zamku w Białej*, *Fantazja*, *Mazur* i inne. W 1844 roku wyjechał za granicę i przez czas jakiś we Wrocławiu, jakkolwiek sposobem bardzo dorywczym, oddawał się studiom uniwersyteckim. Później zwiedził prawie cały Zachód stałego lądu, a począwszy od 1848 roku przebywał na Łużycach, mieszkając przez półtora roku w Budyszynie i okolicach jego, poznał garstkę tego wielkiego niegdyś narodu, która po tylu wiekach pozornej śmierci dała

---

* A. Rzążewski, *Roman Zmorski. Kilka słów poświęconych pamięci zmarłego w dniu 18 lutego 1867 roku poety*, „Biblioteka Warszawska" 1868, T. I, s. 29-54.
Adam Rzążewski (1844–1885) – pisarz, publicysta, historyk literatury, krytyk literacki. Autor m. in. prac: *Mickiewicz w Odessie i twórczość jego z tego czasu*, Warszawa 1898, *Nihilizm rosyjski przedstawiony w historycznym rozwoju. Studium historyczno-społeczne*, Kraków 1881; w 1899 roku wydano jego *Złudzenia. Opowieść z czasów księcia Józefa Poniatowskiego* (Warszawa, ss. 362). Zob. *Bibliografia Literatury Polskiej „Nowy Korbut"*, T. XI, *Literatura Pozytywizmu i Młodej Polski*, Warszawa 1978, s. 496-498.

[1] Dotąd żyjący ojciec Romana podaje datę jego urodzenia na 1822 r., że zaś jest to staruszek już bardzo niedołężny i że wszystkie nasze *Historie literatury polskiej* i wszystkie pisma periodyczne podają rok 1824 i ja go więc przyjąłem, będąc prawie pewnym, że w tym razie pamięć starca już zawodzić musi.

znać, że żyje i pomimo otoczenia wokół przez nieprzyjazny żywioł, zaprotestowała głośno słowiańskim swym językiem przeciw naciskającej ją germanizacji. Tu miłośnik podań i poezji ludowej znalazł się w swym żywiole, wsłuchiwał się w gminne pieśni, badał obrzędy, obyczaje i zwyczaje i porównywał je z polskimi, a owoc swej pracy złożył w umieszczonym w „Gazecie Warszawskiej" z 1849 roku (nry 272, 274, 286, 287, 293, 296, 298) artykule *Serbskie Łużyce i ich mieszkańcy*.

W roku 1850 przeniósł się do Serbii południowej, tu długi czas przebywał i skutkiem tego obdarzył literaturę naszą cudownymi przekładami narodowej epopei Serbów, nadto podróże swe po Serbii wydrukował później w „Tygodniku Ilustrowanym". W 1859 roku wrócił do Warszawy, odwiedził na Podlasiu ojca swego, a nie mogąc nigdy długo na jednym miejscu usiedzieć, w 1863 roku przeniósł się za granicę i wreszcie w Dreźnie dnia 18 lutego 1867 roku w męskim wieku, co zaledwie 43-ci rok życia licząc, ducha wyzionął. Dziwnym zbiegiem okoliczności pierwszy nasz romantyczny poeta, pierwszy tłumacz ludowych słowiańskich pieśni Brodziński i tłumacz *Lazaricy* w sąsiednich obok siebie spoczęli mogiłach. – Cześć ich pamięci!

Dwojakie jest stanowisko, z jakiego oceniać należy Zmorskiego: jako oryginalnego przeważnie liryka poetę i jako tłumacza pieśni serbskich; jak tu, tak tam wysokie on zajmuje stanowisko, jak tu, tak tam wielkie zasługi jego w literaturze naszej. Działalność literacka Zmorskiego bardzo wcześnie się rozpoczęła, zaledwie zeszedł z ławki szkolnej, nim myśl jego zdolną była zahartować się zapasem odpowiedniej nauki, a już z piersi jego zabrzmiała pieśń potężna, namaszczona, nacechowana głęboką myślą i uczuciem. W 17 roku życia dziecię prawie jeszcze, śpiewa:

Z ufnym, wzniosłym, czystym duchem
Witałem was szranki życia!...
Pienia wieszczów od powicia,
Ponad moim brzmiały uchem.
.....
I wstąpiłem w świat szeroki
Z duszą ognistą i młodą;
W sercu z wiarą i swobodą,
Pewnymi wstąpiłem kroki.
Śmiały, chciwy wypełnienia
Marzeń mojej wyobraźni;
Chciwy lubej uściśnienia,
Wieńców chwały, łez przyjaźni...
Gotów cudne ich uroki
Płacić własnych dni pogodą.
Z duszą ognistą i młodą
Wstąpiłem w świat ten szeroki...

Już w tak młodym wieku spotyka zawód, oziębłość, spotyka rozczarowanie:

I poznałem świat nareszcie!...
O, wy! widma wy młodości!...
O, przyjaźni! o, miłości!
Gdzież jesteście? gdzież jesteście?
.....
Gdzież Cię szukać boska chwało!
Z promienistym twoim kołem,
Co nad dawnych wieszczów czołem
Nieśmiertelnym blaskiem lśniało?
.....
Czczym wyrazem święta wiara,
Kłamstwem miłość, blichtrem cnota;
Bóg – to głupców próżna mara!
Dzisiaj Bogiem bałwan złota!...
I wśród takiegoż płomienia,
O, nieszczęsny zapaleńcze!
Marzenia twoje młodzieńcze
Przyszły szukać wypełnienia?
Zrzecz się ich! lub gorzka czara
Czeka na ciebie żywota!...
W twoim sercu miłość, wiara –
Tu czcią, Bogiem, bałwan złoto.

Nie traci jednak odwagi, nie traci siły i hartu męskiego:

Bądź! bądź ze mną, iskro święta!
Olśnij brudne życia tonie!...
Niech twym ogniem raz objęta
Pierś ma na wieki już płonie!...
Bądźcie ze mną czucia wieszcze!
A choć cierń skroń mi otworzy,
Choć mgłą śmierci zajdą oczy,
Ja was wielbić będę jeszcze;
Jeszcze wtedy pierś natchnięta
Górną rozkoszą zapłonie,
Żem do końca w moim łonie,
Przechował cię, iskro święta!
(*Powitanie*)

Albo z tegoż czasu:

Jeżeli prawdy pragnienie cię pali,
I czczy jej pozór starczyć ci nie może,
To cóż się wzdrygać? Śmiało rzuć się w toń!
Jak majtek, kraju złota co szuka po fali,
Po niezmierzonym uczuć i myśli przestworze
Za światłem prawdy wiekuistej goń.
(*Zachęcenie*)

W 1840 i 1841 roku zaczęła literatura nasza podnosić się z bezczynności i apatii, w jaką przedtem popadła; w tym to czasie pod przewodnictwem J. A. Szabrańskiego i K. Wł. Wójcickiego zebrali się wszyscy ówcześni uczeni i wydawać zaczęli „Bibliotekę Warszawską", a obok nich niezależnie uformowało się gronko młodych ludzi, zdolnych poetów, niezasilonych może zbyt wysoką nauką, ale z piersią pełną natchnienia, z gorącym sercem; nielitościwi na wszelki przesądy i zabobony, niezważający na żadne powagi, a tylko zaufani w potęgę swego ramienia, gotowi krzyknąć na świat słowami wieszcza: „dalej z posad bryło świata". Na czele ich stanął zdolny, tylko niestety zbyt wcześnie stracony Seweryn Filleborn, a obok niego: Bohdan Dziekoński, Włodzimierz Wolski, Norwidowie i Teofil Lenartowicz. Ludzie ci przemawiali głównie do publiczności za pomocą poezji: i w 1841 roku pod redakcją Filleborna założyli swoje pismo periodyczne „Nadwiślanin", godło którego wzięte z Dominika Magnuszewskiego:

Kto wam ręczył,
Że dopiero życia jesień,
Dobrze widzi, dobrze czuje?
Jakby życie bez uniesień
Samej prawdy było wzorem.
Wolę ogień, co mnie pali,
Niż rachubę, co was ziębi,
Bo z nim wesół idę dalej,
Wy z rachubą lgniecie głębiej.

– dokładnie maluje usposobienie wszystkich współpracowników. Rzecz naturalna, że do gromadki tej natychmiast zaciągnął się Zmorski, a wkrótce duszą całą do niej przylgnął. W pierwszym zaraz zeszycie „Nadwiślanina" umieścił porywającą prozą skreślone gminne podanie pod tytułem: *Dziewica-Widmo* i wiersz *Do...*, w którym każdego uwagę zwrócić musi taka na przykład strofa:

Dalej, młodzieńcze, za orłem w ślady.
Między wiecznych gwiazd gromady,
Do góry! Wzbij się do góry!

Tam w niedojrzanym okiem tłumów niebie,
Uśmiechnie ci się ideał piękności,
Tam w niewygasłej promieniach światłości
Mieszkanie dla ciebie.

W tymże samym czasie wyszły spod prasy: *Stare gawędy i obrazy* Wójcickiego. Zmorski wziął za złe szanownemu badaczowi przeszłości naszej za jaskrawe, jak mu się wydało, przedstawienie zbytniej wesołości przodków i w „Gazecie Porannej" ostrą i niesłuszną zgromił go krytyką: po zimniejszym jednak zastanowieniu się żałował tego nierozważnego kroku i w dwanaście już lat potem pisze z zagranicy do Wójcickiego: „Wysłałem stąd rękopis do Warszawy *Domowe wspomnienia i powiastki.* Uczynicie mi wielką przysługę, jeśli pozwolicie położyć na czele dedykacją, jaką tam umieściłem. Tem żywiej proszę Was o to, że kiedyś krewkością raczej, niż rozmysłem wiedziony, występowałem przeciwko Wam w sposób, którego wprędce potem żałowałem. Wy nie potrzebujecie tego zadośćuczynienia, ale mnie ciąży to na sumieniu; chciałbym jak najprędzej wywiązać się z długu mego".

Wskutek łatwo zdarzających się przy tak zapalnym charakterze nieporozumień już w drugim zeszycie „Nadwiślanina" Zmorski obwieszcza publiczności, że nie należy do jego redakcji i za zdania w nim wygłaszane solidarnie poręcza, ale pomimo to nie zerwał wcale z młodymi poetami, i wkrótce swym ogniem, poetyczną werwą stanął ponad wszystkimi, odą improwizowaną na cześć Liszta:

Cześć ci! Władco, mocarzu
Nad harmonii państwem tajemniczém!
Na burzliwych chmur ołtarzu
Z płonącym błyskawicą zapału obliczem itd.

– a jeszcze bardziej *Lesławem* rozpłomieniał i zachwycał współczesnych. *Lesław* to poemat, wobec którego krytyka staje w zadziwieniu, bo sama nie wie, jak oceniać ten fantastyczny, młodzieńczy, szalony, że tak się można wyrazić, utwór poety. Główny bohater poematu, Lesław, to charakter wielki, wzniosły, kochający nade wszystko ludzkość: posłuchajmy, co mówi o sobie:

Jam wielki mą miłością i wielkość mą pojąłem
Wielkim jak świat, jak przestrzeń niezmierzona,
Jak ten duch, którego ramiona
Wszystko ogromnym ogarnia je kołem.

Któż w tym nie dostrzeże słynnej improwizacji Mickiewicza.

Wkrótce za sprawą czarownic zaczyna Lesław pożądać miłości kobiety, ta jedyna żądza wypełnia całe serce jego; wśród wezwań kochanki ukazuje mu się mityczna istota, Dziewica-Chmura, i ta mu ofiaruje swą miłość:

I nieraz w mgły gęstej uwita płaszcz gruby,
Aż pokąd rumiany zabłysł świt na niebie,
Nuciłam dla ciebie – patrzyłam na ciebie,
Ja kocham cię – kocham, mój luby!
O, pójdź w me ramiona! ja ciebie osłonię
Płaszczem zapału i boskiej tęsknoty;
Aż serce ci całe rozpłynie się w łonie
Od żaru, lubości nieziemskiej pieszczoty!...

Ale:

Ust moich wargi raz dotkną się czyje,
Niechże ziemskiej na wieki zrzecze się miłością.
W ust mych całunku piorun się kryje!
Grom ten na lica jego się rozgości,
I ziemską kochankę zabije.
A klątwy i prośby, i łzy już najkrwawsze
Zdradzonej, przebłagać nie zdoła mnie nic –
I uścisk, i uśmiech jasnych ducha lic
Na zawsze dlań przepadł, na zawsze!...

Niebaczny młodzian nie zważa na te wszystkie groźby i za jeden uścisk przyjmuje wszystkie warunki. Tymczasem młoda wieśniaczka Helena także wskutek czarów pragnie kochać, a zoczywszy Lesława, jemu całą duszą się oddaje. Lesław również oczarowany pięknością Heleny, zdaje mu się jednak, że uczucie w nim powstające to tylko chwilowa namiętność, która ustąpić musi, bo wszakże przyrzekł stałość Dziewicy-Chmurze. Zaczyna się w duszy jego walka, walka, jak mu się zdaje, ducha z ciałem; tą walką dręczony nie znajduje nigdzie spokoju, błąka się po wybrzeżu Wisły, chce bowiem przez nią się przeprawić i uciec daleko od Heleny, żeby nie upaść, żeby czoła namaszczonego pocałunku tajemniczej istoty nie splamić ustami ziemianki. Na próżno zaklina rybaka, aby go przewiózł: ten mu nawet nie chce powierzyć swego czółna, bo wie, że by w nurtach rzeki śmierć znalazł, tłumy bowiem topielców zawiodły na rzece chorowód* i biada tym, którzy by się na wody puścić ośmielili. Lesław więc, wstrzymany przez fale Wisły, postanawia wrócić do Heleny, aby:

…wyspowiadać przed nią
Swoich wysokich uczuć tajemnicę.
Niechaj przeklina to serce wyniosłe.
Na jej miłości poprzestać niezdolne;

* *Chorowód* – inaczej: korowód. Także: chóralny śpiew lub dyrygent.

Tylko niech młodej wiary swej ołtarze
W młodzieńczej piersi bluźniąc nie rozbija…

Wraca, zastaje Helenę nucącą smutną jakąś piosnkę, śmiało powiada jej, że ją porzuca – na wieki. Helena na to:

Po toż, ach, po toż, jak promieniem słońca.
Namiętnym miłości słowem.
Śpiące w mym łonie ciche uczuć ziarno,
Zbudziłeś i w kwiat rozwiłeś,
By je za chwilę lodowatym tchnieniem
Okrutnie zabić?... Litości! litości!
W kwiat ten me całe wybujało życie!...
O! nie zabijaj go! Nie chciej mnie młodo
Wtrącać w grób czarny!... Świat ten taki cudny!...
Pozwól się Bożym naradować światem,
Żyć – być szczęśliwą!.....

A kiedy Lesław przedstawia jej, jakie srogie skutki wyniknąć mogą dla niej z ich miłości, Helena woła:

…O! nie! wiesz, na Boga!
Dla mnie jedyną tylko straszna trwoga –
Stracić ciebie, serce twoje!
Ale z tobą, z tobą razem.
Ja niczego się nie boję!
I przeciw światu całemu,
Przeciwko ojcu własnemu,
I przeciwko sądom nieba
Gotowam walczyć, gdy trzeba –
I umrzeć, jeśli potrzeba!

LESŁAW
Ha! więc bądź, bądź moją!

– i obejmuje ją w swe ramiona, ale w tejże chwili mściwa ręka Dziewicy-Chmury ciska piorunem w Helenę. Rozlegają się echem dzwony ogłaszające pogrzeb Heleny, a Lesław siedzi obojętny na stromej skale i mówi: „Łez kropli w moim oku, w sercu kropli żalu / Nie mam, by je poświęcić na twoim pogrzebie (…)", bo przypomniał sobie, że miłość kobiety to za wąskie szranki dla jego serca, bo on znowu staje się Lesławem, jakim był z początku.

Przychodzi do Lesława Nieznajomy, który tu gra rolę kusiciela szatana, i siłą swej wymowy zaczyna obalać jego ideały, a rzuciwszy tym sposobem ziarno zwątpienia w duszę młodzieńca, sam zapada się w ziemię. Lesław widzi odarte z piękna swe wszystkie marzenia, ale mimo to, trzyma się jeszcze swych przekonań; dla ich obalenia potrzeba jeszcze silniejszych dowodów nad to, co mówił Nieznajomy. Dowody takie wkrótce się nastręczają, w północnej godzinie przychodzi Lesław na cmentarz i widzi, jak wśród grzmotu piorunów walą się na mogiłach krzyże, otwierają się groby i wychodzą z nich trupy, upiory wołają na siebie:

Ho! ho! Północ! słyszycie!
Zrzucajcie chłodne nakrycie.
Wstawajcie umarli!
Będziemy żywych żarli.

„Więc nawet grób nie zaspokaja krwiożerczości człowieka, nawet po śmierci prowadzi on dalej dzieło zniszczenia! Ha, miałeś słuszność? Nieznajomy". Na domiar nieszczęścia widzi Lesław, jak się rozstępuje świeżo usypana mogiła, a z niej zmarła przedwczoraj Helena, w białej sukni, z zielonym wiankiem na skroni, w całej jeszcze krasie życia, wstaje i spieszy spełniać tę samą funkcję, wysysać krew z żywych. To już ostatecznie zabija Lesława, czuje on, że niepotrzebne już mu życie, bo stało się ono tylko bezcelowym ciężarem, błaga więc Śmierć, aby mu je zabrała, ale ta ustępuje przed wyciśniętym u niego na czole znakiem nieśmiertelności, jakim obdarzyła go Dziewica-Chmura.

Wtedy Lesław wzywa potęgi piekielne, aby te mu pospieszyły z pomocą:

…Jeżelim z klątwy przeznaczenia
Niezdolny świata wybawić,
Sam dłużej nie będzie krwawić
Rąk moich w piersiach stworzenia,
I szerzyć państwa nie będę zniszczenia!
A to wysokie przeświadczenie duszy,
Jak potępienia mocą swoją zgłuszy,
Czuć nie dopuści piekielnych katuszy…
.....
Męczeń żary nieśmiertelne!
Otchłani piekielne!
Witam was!...

– i przy odgłosie piorunów zapada się w czeluści piekielne.

Taki jest w ogólnych rysach cały poemat, napisany w sposób dramatyczny, podzielony w miejsce na akty, na trzy nocy. Starałem się przedstawić najbardziej uderzające ustępy, żeby każdy mniej więcej o całości mógł wytworzyć jakikolwiek

sąd własny, bo, jak mnie się zdaje, utwór ten oprócz rozgorączkowanej młodzieńca fantazji, oprócz dzikich często myśli, a obok tego prześlicznej formy i czarownego władania językiem, nic więcej nie posiada.

Lesław to uosobienie gwałtownego charakteru własnego młodego poety i dlatego to Zmorski o nim zawsze z największą wyrażał się miłością. Znać tu pochwytane wzory, znać *Manfreda*, *Fausta*, *Gustawa* i *Wacława*, ale sam pomysł więcej dziki, więcej chorobliwy. *Lesław* jest czymś wielkim i niczym zarazem; tworząc go, chciał zapewne poeta wykazać, jak najpiękniejsze, największe często myśli człowieka dalekie są od wprowadzenia ich w wykonanie, jaką zaporę stawi im siła okoliczności i wpływów zewnętrznych, i jak często podniosłe nawet umysły druzgocze i łamie; im zaś dzielniejszy człowiek, im szczersze jego myśli, im obszerniejsze serce, tym też więcej konieczna u poetów jakaś władza szatańska, jakaś potęga destruktywna stawia mu zawód i przeszkód. Uczucie, podniesione tu do ekstazy, do szału, do zapomnienia, niszczy wszelką refleksją rozumową i sprawia, że *Lesław* jest czymś takim, czego nigdy w naturze spotkać nie można, co nawet w ideale poetycznym razi przesadą, szaleństwem. Na usprawiedliwienie poety powiedzmy, że pisał *Lesława* młodzieniec dwudziestojednoletni[2], że w każdym razie dał nam w nim autor dowód wielkiego talentu, po którym daleko więcej spodziewać się mogliśmy, aniżeliśmy otrzymali; czyżby i Roman tak upadł jak Lesław?

Co w *Lesławie* na wielką zasługuje pochwałę i wiele autorowi zaszczytu przynosi, to wprowadzenie do poematu w takiej obszerności i tak doskonale pojętego pierwiastka poezji ludowej. Kogóż nie uderzy swojskością obraz, kiedy czarownice zbierając rosę w przetaki prowadzą z sobą rozmowy? Kogóż nie zachwyci smutna piosnka żniwiarzy dochodząca do uszu Heleny, komuż wreszcie nie podobają się śpiewy i opowiadania zielonowłosych topielców.

Pięknym, a może najpiękniejszym ze wszystkich utworów Zmorskiego jest: *Wieża siedmiu wodzów*; pięćset wierszy obejmujący ten poemat jest prawdziwą perłą w poezji naszej, osnutej na podaniach ludu, jest jakby jedną z rapsodii pierwotnej naszej epopei. Podanie, na którym wiersz ten osnuty, jak twierdzi p. Kaszewski (*Rozbiór „Wieży siedmiu wodzów"*, „Biblioteka Warszawska" 1858, Tom II), znajduje się także i u Skandynawów; Zmorski powiada, że je słyszał pierwszy raz na Mazowszu, a powtórnie w bardzo dobrze znajomym mi miejscu, we wsi Cieleśnicy pomiędzy Janowem a Terespolem, gdzie dotąd ojciec poety przebywa[3]. Skądkolwiek jednak ono pochodzi, to pewna, że nie zaczerpnął do autor w sagach, ale z ust ludu naszego usłyszał. Treść poematu jest następująca:

[2] Jakkolwiek *Lesław* drukowany był dopiero 1847 roku w Warszawie, jednak już od 1845 krążył po rękach i znacznej liczbie był znany.

[3] Tak nie jest, kiedy autor bawił w 1857 roku we Lwowie, sprzedał rękopis Stupnickiemu, praca ta wyszła w „Przyjacielu Domowym" z drzeworytami i [została] osobno odbita. Naciskany poeta przez krytykę, przyznał „(…) poufnie, iż przedmiot czerpał z sagi skandynawskiej z przekładu niemieckiego" (Przyp. Red. „Bibl. Warsz.").

Siedmiu bohaterów, wojowników, po całym wieku niezmordowanych czynów zamierzyło spocząć, bo:

…twarde głownie mieczy, w ich pięści
Starte na listek pękły na części.
Aż nieskładane nigdy, o głowę
Zatarłszy się, spadły hełmy stalowe
Natenczas męże po pierwszy raz,
Po bieli włosów poznali czas
Jako zbiegł wielki od owej chwili,
Gdy młodzieńcami hełmy włożyli
Na krucze skronie – i wzięli bronie,
I szli raz pierwszy na krwawe błonie.

Pierwej jednak, nim snem ostatnim zmorzeni spoczną, postanawiają dokonać ostatniego dzieła, które by mogło służyć: „Potomnym wiekom na dziw i cześć".

Drużynie swojej rozkazują wznieść wieżę, szczytem sięgającą do niebieskich stropów. Drużyna bierze się ochoczo do dzieła, rozlega się huk młotów i toporów, łoskot spadających dębów, aż bestie drapieżne w tajnikach borów potruchlały, aż spokojna Wisła drgnęła od tego trzasku. Znużeni robotnicy usypiają po całodziennej pracy, lecz gdy nazajutrz przyszli zobaczyć wczorajszą swą robotę, o dziwy!

Ziemia łakomą gardziel rozwarła
I ich wczorajszą pracę pożarła;
Tylko spod piasku szczerbaty ząb
Kamienny znaczy zapadły zrąb.

Jak w każdym wątpliwym razie, tak i teraz spieszy drużyna po radę do swoich wodzów, którzy w białym jak łabędź na wzgórku namiocie, w złotych uwieńczonych dębowymi liśćmi hełmach na pękach strzał siedzą przy czarach miodu, z gęślami w ręku. Gdy drużyna opowiedziała, co jej dolegało, jeden spomiędzy starców powstał i taką udzielił im odpowiedź:

Idźcie do braci – jak się poczęło,
Rzeknijcie, dalej, by wiedli dzieło,
Bo nie przystało mężom do twarzy,
Począwszy, przestać, gdy się źle darzy.

Posłuszni, zawierzający zawsze swym wodzom, wojownicy prowadzą dalej swą pracę, ale cóż, każdej nocy, dzieło dnia całego niknie w ziemi.

Minęła wiosna, minęło lato,
Jesień, spłowiałą odziana szatą,
Idzie, żałobny zawodząc śpiew.

I zżółkłe liścia otrząsa z drzew;
A dotąd ziemia równie obżarta
I praca mężów równie uparta,
Walczą ze sobą... któraż zwycięży?
Moc nieśmiertelna, czy wola męży?

Aż wreszcie dnia jednego wodzowie drużynie naznaczają spoczynek i wspaniałą, ostatnią, bo pożegnalną sprawiają ucztę, zasiadają przy płonących łuczywach pośród swych towarzyszów wojowników, a wszystkie widma, wszyscy mieszkańcy borów i Wisły przypatrują się uroczystości.

Kiedy księżyc wszedł na niebiosa, wtedy starcy napełniają sobie miodem siedem rogów, biorą za siedem srebrnych gęśli i nucą zebranym wspaniałą pieśń pożegnania. Pieśń ta jest najpiękniejszym miejscem z całego poematu, a tym chętniej i śmielej zdanie to wypowiadam, że zupełnie kompetentny znawca w rzeczach tego rodzaju, p. Kaszewski, w przytoczonym już miejscu także to samo utrzymuje; pisane one wierszem miarowym, nierymowanym, dlatego też ogromna powaga, prostota, a zarazem starożytność ją cechują. Dla powzięcia wyobrażenia o niej przytoczę tu z niej mały ustęp:

O, mężowie wy! serc wiernych,
Mężowie niezłomnej woli!
Wiek trudnych czynów spełniony…
Spocząć nadeszła już pora.
Czas nam pożegnać się z sobą.
Czas się ze sobą rozłączyć,
Na długie, wieków dalekich,
Lecz nie na wieczne rozstanie.
.....
A teraz podajcie dłonie
Do ostatniego uścisku!
Ostatni raz złotym miodem
Róg pożegnania nalejcie!
Ostatnim oto uściskiem,
Ostatnią oto się czarą,
Ostatnią w chwili rozstania,
Pieśnią z wami żegnamy!...

Wreszcie ruszają z miejsca wodzowie i przeprowadzani przez całą drużynę idą, kędy z ziemi wystawały zręby budowanej przez tak długi czas wieży. Wstąpili na nie, zabrzękli w gęśli srebrzyste i oto powstaje jakiś podziemny wrzask i łoskot, wieża z ziemi się wydobywa i wznosi się w górę. Zdziwiona stoi drużyna, nie może pojąć, co to znaczy, a wieża wciąż rośnie i rośnie, wodzowie już zaledwie widni oku,

zaledwie słychać dźwięki ich gęśli, aż wreszcie ostatnim wykrzyknikiem pożegnała swych wodzów i pospieszyła do gotowych mogił, gdzie oparłszy głowy na twardych głazach, snem wiecznym spoczęła. I oto wzleciało stado białych łabędzi, zapewne dusze zmarłych wojowników, spadło na łono Wisły i w jej się nurtach ukryło, i:

Na uroczysku pusto zostało,
Jakby się nigdy tu nic nie działo.
Tylko nad brzegiem, kamienna, szara,
Z wrosłymi w piaski wilgotne stopy,
Z czołem opartym o niebios stropy,
Olbrzymia wieża stoi jak mara.
Ale czar na nią taki rzucony,
Że jej nie dojrzy człowiek wcielony;
Ni jej śmiertelnym dojrzy spojrzeniem,
Ni ją śmiertelnym skala dotknieniem.

Za lat tysiąc, kiedy zło świat ogarnie, znajdą znowu odmłodzeni wodzowie, zbudzą śpiącą w grobach drużynę i znowu cuda męstwa zniewieściałemu światu pokażą.

Taki jest cały poemat, najpiękniejszy niezawodnie z utworów naszego poety. Idea jego, mówi pan Kaszewski we wspomnianym artykule, jest prześliczną symboliką chwały i nieśmiertelności, nie tą słusznie przez estetyków potępioną symboliką, co wyraża się martwymi znakami lub materialnym kształtem, ale tą, która się wyraża uczuciami i czynem. Myśl poematu wzięta wprawdzie z ust ludu, ale artystyczne jej obrobienie i przedstawienie w formie takiej, jak jest *Wieża siedmiu wodzów*, należy do mistrza, a mistrz ten umiał przenieść się w dawne wieki, wieki prostoty i zbratania się z naturą. Umiał przejąć się szczątkami pierwotnej poezji, przytoczonymi przez siebie w przedmowie przyjął wszystkie formy poezji ludowej i jak drugi Bojan zanucił pieśń cudowną. Mniej cokolwiek kunsztu, mniej właściwej czasowi naszemu ogłady, a za to więcej wyrażeń starych, a można by śmiało ten utwór o kilka wieków w tył posunąć i odnieść do tej epoki pierwotnej, kiedy naród śpiewał nie przez usta pojedynczych jednostek, ale całymi piersiami mas. Antyteza (na początku pieśni podaje się zwykle jakiś fakt, później fakt ten się zaprzecza, a wreszcie z takiego zaprzeczenia rzecz dopiero właściwa się wyjaśnia), jedna z głównych cech słowiańskich pieśni, przeważnie właściwa duszom serbskim i małoruskim, w poemacie Zmorskiego prześlicznie jest użyta. Dla wykazania na przykładzie tej antytezy porównajmy parę ustępów. Jedna z małoruskich dumek tak się zaczyna:

Czy to jasny sokół na dolinie po taborze hula,
Czy to biały łabędź śpiewa?
Oj, ani to sokół po dolinie na taborze hula,
Ani biały łabędź to śpiewa;

To pułkownik Chwilonenko po obozie chodzi.
Słowem przemawia.
(Ze zbioru pieśni małoruskich Maksymowicza, T. I, 4-ka, Moskwa 1834)

Podobnie zaczyna się serbska *Śmierć żony Assan Agi*, która przełożona w 1789 roku przez Goethego, takiego hałasu narobiła w Europie i pierwsza dała znać o niewyczerpanych skarbach poezji serbskiej.

Co się bieli u góry zielonej?
Czy to śniegi? czy łabędzi stado?
Żeby śniegi, dawno by stopniały,
Łabędzie by dawno odleciały,
Ni to śniegi, ni stado łabędzi,
Ale namiot agi Hassan-agi.
(przekł. Zmorskiego)

W *Wieży siedmiu wodzów*:

Czy to tak szumi puszcza wysoka?
Czy to tak szumi Wisła głęboka?
Środkiem cienistych Mazowsza puszcz?
Nie puszcza to tak prze się z wichrami,
Nie Wisła się tak bije z brzegami,
Gwar to wojennych obozu tłuszcz.

Łączność z naturą, właściwa każdej pierwotnej poezji, i tu ważną odgrywa rolę. Wisła dzieli losy obozujących nad nią wojowników, drzewo nadrzecznej puszczy to jakby starzy ich znajomi i wszystkie twory zamieszkujące wody i lasy przyglądają się ucztującym. Żałować należy, że poeta, tak dzielnie umiejący zużytkować poetyczny materiał ludu naszego, nie udzielił nam więcej mistrzowskich produkcji, a że mógł je mieć, a nawet miał przygotowane, tego dowodzą oddawanie się głównie zbieraniu podań gminnych i nadto chodząca bardzo długo po Warszawie wzmiank o przygotowanym już poemacie pod tytułem: *Dzieje Warsa i Sawy, bajecznych założycieli Warszawy*. *Wieża siedmiu wodzów* drukowana po raz pierwszy w Poznaniu 1850 roku, drugi raz we Lwowie 1857 roku, z rysunkami Gersona w Warszawie 1860 roku. Rękopis jej nabył za trzysta złotych polskich od autora p. Stupiński.

Lesław i *Wieża* są pomiędzy oryginalnymi utworami Zmorskiego większych rozmiarów, inne poezje są to liryki, wiersze drobne, okolicznościowe, pełne wdzięku, siły poetycznej, mistrzowskiego władania słowem, myśli i uczuć prawdziwie głębokich. W nich głównie odbiła się dusza poety, cały jego talent, który był przeważnie nastroju lirycznego. Z kilku urywków, stanowiących najpierwszą pracę Romana, przytoczonych na początku tego szkicu, najwymowniej zdaje się, potwierdza się to zdanie, przytaczać

zaś ich więcej trudno, bo trudny bardzo wybór między nimi; przeczytasz wiersz jeden, zachwyci cię i przejmie, aliści następny jeszcze więcej piękności przedstawia. W początku na przykład wiersza do F… doskonale maluje poeta swój własny charakter:

Jak dąb, co w naszych puszczach szumi czołem wzniosłem,
Ja tak duchem niezgięty, jak on dziki wzrosłem.
Wzrosłem, żyjąc z przyrodą, tchnąc jej tchnienia czyste,
Ssąc jesiennych poranków pierś chłodne, dżdżyste.
Słuchając pieśni wieszczów, groźnych hymnów burzy,
Piorunu, co jej wyciem przeraźliwie wtórzy.

Boleść nie przybije go nigdy, nie upada pod jej ciężarem, ale z prawdziwie męską siłą tak się o niej odzywa:

Boleść, straszliwie zrazu serce toczy,
Gorzkimi łzami zrazu oko broczy;
Lecz skoro człowiek raz do niej przywyknie,
Cała jej srogość, ciężar cały niknie.

I z czasem w serce tak się ona wpije,
Że z nią człek lubo, jak z kochanką żyje.
I jak z kochanką, tak chętnie się pieści.
I jak w rozkoszy smakuje w boleści.

Ja sam, co jeszcze przed niedawnym latem
Takem się silił, by boleść odegnać
Od młodej duszy – dziś, snadniej ze światem
Przyszłoby mi się, niźli z nią pożegnać.

I gdyby dzisiaj samo szczęście wasze
Do ust mi swoją nachylało czaszę,
To ja bym dłonią odtrącił ją hardą,
Ja bym ją zdeptał z uśmiechem i wzgardą…
(*Rozkosz i boleść*)

Jak pojmował obowiązki i stanowisko wieszcza, maluje wiersz: *Do młodego poety*, albo:

Prawi poeci są jak pelikany…
Sami swe piersi rozdzierają własne,
I zowią ludzi z ich czerwonej rany
By krwi gorącej pili strugi jasne.

A ludzkość? ...śmiechem urągania płaci
Święte ofiary swe natchnionej braci.
I samotników w twardą śmierci chwilę,
Bez łzy współczucia oddaje mogile.
(*Jodła*)

Odznaczał się także Zmorski wysokim talentem improwizatorskim, przy lada zdarzonej sposobności, w lada gronku przyjaciół pierś jego nabierała natchnieniem i bez żadnej trudności lały się z niej wieszcze słowa. Jako dowód zaś mistrzowskiego władania językiem, zupełnie zapanowania nad formą posłużyć może *Cicha noc* (wiersz napisany pod nutę piosenki łużyckiej).

Boże słonko do gospody
Zaszło do snu złożyć skroń.
Mgły wilgotne wstają z wody,
Z łąk wieczorna wieje woń.
W wieńcu gwiazd,
W płaszczu chmur.
Cicha noc, schodzi z gór.
Zadumany, cichy, senny,
Otulony w srebrnej mgle,
Księżyc uścisk swój promienny
Rozmarzonej ziemi śle.
W błogich snów
Rajski kwiat
Cicha noc
Sieje wiatr itd.

albo:

Bladalica
Czarownica
Biegunowych pustych mórz,
Zawitała
Zima biała
W bujnej ziemi złotych zbóż.
Kraj z wieczora
Jeszcze wczora
Tęsknego pełen uroku
Oniemiały
Trupio biały

Z porannego wstaje mroku itd.
(*O mroźnym ranku*)

Oprócz oryginalnych, urywkowych wierszy tłumaczył jeszcze Zmorski: z niemieckiego Augusta Tiedge z poematu *Urania,* z Oehlenschlagera, wyjątek tragedii *Olaf Samozwaniec*, z Schillera *Żale dziewczyny*, z Goethego *Pierwsza noc czarownic*, *Północny król*, *Piosnka koptyjska*, *Czarodziejstwo Odina*, wyjątek ze starej *Eddy*, Izajasza Tegnera dwa ustępy z *Sagi o Frithiofie*: z czeskiego *Dwa sonety* Kollara; ze słowackiego *Żal poety* z Hurbana, z łużyckiego legenda *Chrystus i Piotr*. O przekładach serbskich niżej.

Przekłady te, równie jak i oryginalne wiersze liryczne, porozrzucane są po wszystkich prawie pismach periodycznych, znajdują się one: w „Dzienniku Literackim", w „Nadwiślaninie", „Bibliotece Warszawskiej", „Przyjacielu Ludu", „Przeglądzie Warszawskim", w „Świcie", w „Tygodniku Literackim", w „Jaskułce", w czasopiśmie „Znicz", „Stadło" i „Haliczanin". Większą część ich zebrał autor i wydrukował na rok przed swą śmiercią u Brockhausa w Lipsku i jakkolwiek powiada: „(…) są to wszystkie, o ile mi pamięć wskazać mogła, utwory bądź oddzielnie, bądź w różnych pismach czasowych i zbiorowych poprzednio już drukiem ogłoszone" niestety, pokazuje się jednak, że nie obliczał poeta sumiennie iskier, jakie w pierwszych chwilach swej młodości, tak obficie na wszystkie rozsypywał strony, bo wielu poezji w tym zbiorku nie dostaje. W tymże samym miejscu powiada Roman dalej: „(…) wydanie nie drukowanych jeszcze poezji do dalszego nieco zostawiam czasu". Spodziewać się należy, że szanowna małżonka i dwaj synowie poety* nie dadzą zaginąć tym szacownym pozostałościom i niebawem drukiem je ogłoszą.

Oprócz tych utworów, które zaliczają autora do świetnych gwiazd naszej ostatniej plejady poetycznej, ma Roman Zmorski w literaturze jeszcze większą, bo bardziej systematyczną, o pracy jego świadczącą zasługę, a ta polega na przekładzie pieśni serbskich.

Naród słowiański, rozsypany po całym wschodzie Europy, pomiędzy wszystkimi ludami odznaczał się zawsze wysokim nastrojem poetycznym. Od najdawniejszych czasów pieśń była i jest dotąd w ustach Słowianina: pieśnią on chwali Boga, wita nowonarodzone dziecię, przy dźwięku pieśni kojarzy młode pary, nią żegna i odprowadza na wieczny spoczynek zwłoki swych ojców: pieśń towarzyszy każdej jego pracy i czy w złej, czy w dobrej doli z nią się nigdy nie rozstaje!

„Domy i gumna, góry i doliny (mówi Szafarzyk w *Geschichte der Slavischen Literatur*) lasy i łąki, ogrody i winnice rozlegają się dźwiękami pieśni*. Nieraz po całym dniu pracy, w skwarze i znoju, w pragnieniu i głodzie, pieśń orzeźwia, wracających po cichym zmierzchu wieczornym robotników budząc milczenie wdzięcznymi tony swoimi." I znowu dalej: „Bez zaprzeczenia twierdzić się godzi, że u żadnego innego narodu nie

* Pomyłka Rzążewskiego – Zmorski miał syna i córkę.

można znaleźć pierwotnej poezji w takiej pełności, czystości, serdeczności i gorącości uczucia." Pomiędzy zaś wszystkimi plemionami Słowian Serbowie we względzie poezji narodowej, gminnej, w ustach ludu się przechowującej trzymają palmę pierwszeństwa. Serbia to poeta całego plemienia, jak się wyraził Mickiewicz w swych prelekcjach. „Potężny niegdyś naród serbski", mówi W. A. Maciejowski w *Historii literatury polskiej*, uległszy tureckiemu jarzmu, zasklepił się we własnej narodowości, jak ślimak w skorupie i odtąd dla niej żył jedynie, jej oddychał powietrzem. W rozkosznej nad Dunajem przemieszkując krainie, natchnął się nader wcześnie wysokim poezji duchem, w jej tworach złożył narodowych pamiątek wspomnienia: w niej zamknął swoje dzieje, zgoła uczynił poezją składem swej narodowości. Lutnia stanęła mu za księgę, za pióro, za pomnik sztuki, zgoła tym dlań stała się, czym są dla nas biblioteki, drukarskie prasy, pracownie sztukmistrzów. Na niej wyśpiewał całą swoją przeszłość, pogańskie zarówno, jak chrześcijańskie objąwszy czasy, w pieśniach zamknął religię, życie poetyczne, domowe, duchowość, molarność, zgoła wszystko, czym naród jakowy, bogobojnie, prawie, skromnie, pracowicie itp. żyje, czym swoją utrzymuje narodowość…

Rozszerzać się zbyt długo nad ulubionym przedmiotem, nad ważnością i pięknością serbskich pieśni, nie tu czas ani miejsce, przekonany nadto jestem, że trudno dziś znaleźć choćby bardzo powierzchownie wykształconego człowieka, który by o narodowej poezji Serbów nie słyszał. Lecz przed przekładami Zmorskiego słyszał tylko, nie więcej! Gadano bowiem o niej u nas bardzo wiele, ale gadano tylko niestety! Znała je zaś zaledwie mała liczba filologów[4], którzy zakopani w stosach foliałów, śledząc rozmaite objawy mowy ludzkiej, doszli wreszcie i do bratniego, a tak mało u nas znanego języka Serbów. Pierwszy dopiero Zmorski odkrył tajemniczą zasłonę i pokazał owe zaklęte skarby, które o wiele jeszcze przeszły wszystkie nadzieje i oczekiwania.

Czyż więc człowiek, który to sprawił, nie zasłużył sobie na wieczną wdzięczność potomnych? Krytyka uznawała jego zasługi, ale zdawało jej się, że treść tak piękna wymaga innej formy, zachciało się jej koniecznie rymu: tam, gdzie piękno wrzało całą potęgą swej siły i wylewało się w naturalnych swych kształtach, tam koniecznie chciano je ująć w ciasne wymagania, jakich prawideł zapomniano, że piękna prawdziwie treść szuka i formy odpowiedniej, że z poezją serbską tego być nie może, bo to własność mas: jeżeli i był jaki twórca pojedynczy, to nie odbił na niej swego indywidualnego piętna, a sędzią tam był cały naród. Śpiewaka nie czekały umiejętne krytyki i recenzje, ale jedyną karą było wieczyste zapomnienie, nagrodą podawanie pieśni od ust do ust przez całe pokolenia. Żądano od

* Zob. Pavel Josef Šafárik (1795–1861), *Geschichte der slawischen Sprache und Literatur: nach allen Mundarten*, 1826.

4 Pieśni serbskie tłumaczyli obficie r. 1841–1843 Wiktorowicz Leon, r. 1830–1838 Aug. Bielowski i inni poeci, gdy filolodzy nasi o językach pobratymczych ani pomnieli. Medyński pisał r. 1835 o Serbach, ale równie nie za stanowiska filologii. Owszem mamy rozprawy r. 1835–1837 w „Pamiętniku Naukowym", po poezji gminnej ludów słowiańskich, mamy o niej gdzieindziej. Przyp. Red. „Bibl. Warsz".

Zmorskiego, żeby przekłady swe ujmował w rymy: dziwne, ironią lub zupełną nieznajomością rzeczy, nacechowane żądanie. Czyż już do tyla rozpieszczone jest nasze ucho, że nie uczujemy piękna w poezji, jeżeli nie usłyszymy brzęku końcówek? Toć my chcieliśmy prawdziwej poezji serbskiej, z jej zaletami i niedostatkami, a wszak w jej oryginale nigdzie rymu nie masz. Wszak język serbski to język słowiański bratni, przy tłumaczeniu nie trzeba się zbyt biedzić nad wyszukiwaniem wyrazów, też same prawie słowa, pod tęż samą idą miarę, po cóż więc dopuszczać się zmian, tam, gdzie trzeba wierności? Po co łamać się z trudnościami, aby wydać nie przekład, lecz naśladowanie?

Powie tu kto może, że zdanie takie jest przesadzone, że mieliśmy już i przed Zmorskim przekłady pieśni serbskich. Rzeczywiście, przekładali je Kazimierz Brodziński, Lucjan Siemieński i Bohdan Zaleski. Ależ przekładami tego nazwać nie można, owszem, wszyscy ci trzej wzmiankowani z góry uprzedzali, że nie są to przykłady, ale naśladowania. Serbska bowiem ludowa poezja ma to do siebie, że gdy się jej dotkniesz, a jeżeli masz chęci trochę, w sobie zdatności do układania rymów, to owładnie ci duszę i serce i póty będzie w tobie się kołatać, póty nie da pokoju, aż przejęty jej treścią, wytworzysz coś, co pomimo zbytniej odległości od swego źródła jeszcze pięknym będzie. Cóż więc dziwnego, że tacy mistrzowie słowa, tacy powszechnie cenieni przez nas poeci, jak Brodziński, Siemieński i Zaleski, utworzyli z poezji serbskiej pieścidełko, które serce i umysły zachwyca. W utworach ich jednak została treść poezji serbskiej, został jej przedmiot, ale nie masz owego wspólnego pierwiastku całej ludowej poezji, jaki się w niej objawia, począwszy od *Iliady*, a skończywszy na drobnych dumkach i krakowiakach, nie ma tego czegoś, co stanowi cechę tak nazywanej przez Niemców poezji naturalnej (*Naturpoesie*). Zmorski jeden udzielił językowi swemu poezję serbską w całej jej czystości, w całej prostocie i prawdzie. Ale był to trud wielki dla niego, był on bowiem poetą i to poetą, jakeśmy poznali, bardzo utalentowanym i jemu więc rymy i odpowiedniejsza czasowi forma ciągle stawała na zawadzie: skarżył się też przed znajomymi, że nie wytrwa, że z drugiej połowy przekładanego przez siebie *Królewicza Marka* zrobi wariację, zrobi jakiś poemat bohaterski. Wytrwał jednak do końca w powziętym zamiarze, była to jedyna, systematyczna jego praca i z niej to mamy w swym języku przekład, z którym chyba tylko niemiecki pan Talvi porównywanym być może. Dla poparcia lepszego tego twierdzenia porównajmy jeszcze przekłady Zmorskiego i najwięcej znane Zaleskiego z oryginałem. Umieszczenie dosłownego prawie przekładu Zmorskiego obok oryginału wykaże zarazem czytającym łatwość zrozumienia języka serbskiego:

W oryginale (Vuk Stefanović Karadžić, T. I, nr 717):

Sova i Orao
Sova siedi na bukovu panju
Visz nje or'o na jelovoj grani.
Sova orla tijo besjedila.

„Idi, orle, Ne namiguj na me,
Sad su ljudi czudnowate czudi[5]
Pak cze ze czi ljubi sova orla".
Al besjedi siva tica orle:
„Idi' odatle, sovo buczoglava,
Nije vaki czelebija za te."

U Zmorskiego (*Narod. pieśni serbskie*, T. II, str. 264):

Sowa i Orzeł

Sowa siedzi na pieńku bukowym.
Nad nią orzeł na jodle wysokiej.
Sowa k' orłu cicho się odzywa:
„Odleć, orle, nie poglądaj na mnie!
Są bo ludzie plotkarze okrutni,
Rzec gotowi: sowa kocha orła".
Odpowie jej orzeł, siwe ptaszę:
„Idź, odczep się, sowo kociogłowa!
Nie dla ciebie tacy zalotnicy".

U Zaleskiego (*Poezje*, wyd. Wolffa w Petersburgu, T. IV, str. 146):

Sowa i Orzeł

Orzeł na jodły siedział wierzchołku
Sowa u dołu na suchym kołku
Sowa do orła mówiła dumnie.
„Idzże ty orle, nie mrugaj ku mnie
Ludzie złośliwi, jeszcze kto powie,
Że ty tu głowę zawracasz sowie"
Zdziwiony orzeł z góry rzekł gniewnie
„Odczep się, proszę, sowo czubata!
Dopóki stanie słońca i świata,
Nikt, a nikt tego nie powie pewnie".

– albo w oryginale (W. S. K. T. I. N. 524):

Piewala by, al ne mogu sama
Drugog mi je zaboljela glava
Pak cze czuti, te cze zażaliti.
I peczi cze, da ne ajem zanga.

[5] W wyrazie *czudi cz* brzmi pośrednio między *t'* i *cz*, skłaniając się więcej ku *cz*. Brzmienie to dla odróżnienia od *cz* właściwego pisane będzie dalej *cursive*.

A ja ajem i duszicu dajem:
Kudgod dż odim, na sercu go nosim.
Kao maty czedo premaleno.

U Zmorskiego (tamże, str. 253):

Śpiewałabym, lecz nie mogę sama.
Drogiego mi głowa rozbolała;
Jakby słyszał, przykro by mu było,
Pomyślałby, że nie dbam o niego.
A ja duszę za niego bym dała;
Tak do kocham, tak na sercu noszę,
Jako matka niemowlątko swoje.

U Zaleskiego (tamże, str. 111):

Śpiewałabym sobie,
Śpiewałabym rada!
Kochanek w chorobie
Na złość – nie wypada.

Pomyśli – oj, płocha,
Nie żałuję zgoła,
Kłamała, że kocha,
A śpiewa wesoła.

A ja go tak kocham,
Że z wiatrem się walę,
I duszę wyszlocham,
A śpiewam na żale.

Dni inszych rozkosze,
Dziś pieśnią – pamiątką;
Pod sercem je noszę,
Jak matka… dzieciątko.

Że pierwsze tłumaczenie jest rzeczywistym przekładem, a drugie naśladowaniem, pozna to każdy. Winienem nadto dodać, że każda z tych pieśni to nie wprost poskładane bez żadnej sztuki wyrazy, ale wszystkie powiązane, trudniejsze może, niż sam rym mechanika, każda bowiem ułożona jest podług pewnej stałej miary. Jak pierwsza, tak i druga przytoczona tu piosnka składa się z pięciu trochejów (dwie zgłoski i pierwsza długa, druga krótka), a średniówka (*caesura*) pada w każdym wierszu po drugim trocheju:

Pjeva-la by al ne-mogu-sama
Śpiewa-łabym lecz nie-mogę-sama.

U Zaleskiego w pierwszej piosnce liczba zgłosek jest wprawdzie ta sama, ale chcąc miarę dla jego wiersza ułożyć, złożyć by ją tylko można z dwóch daktylów (jedna długa, dwie krótkie -), i dwóch trochejów na przemian po sobie idących:

Orzeł na- jodły-siedział wierz-chołku itd.

A piosnka druga, jak to każdy dokładnie widzieć może, nic podobnego do oryginału w technice wierszowej nie przedstawia. Toż samo da się powiedzieć o przekładach Siemieńskiego, a Brodziński tylko nam myśli oryginału zostawił, a dobór wyrazów i forma wiersza są u niego zupełnie rzeczami dowolnymi. Tak więc z całą słusznością powiedzieć można, że przekład Zmorskiego jest najlepszy i jedyny w naszej literaturze: zarzuciłć by mu chyba tylko można zbyt częste używanie archaizmów i zwrotów niewłaściwych językowi naszemu.

Spod pióra zaś Zmorskiego wyszły następujące przekłady:

– *Narodowe pieśni serbskie*, wybrane i przełożone pod imieniem Romana Zamarskiego. Warszawa 1852 w dwu tomach i 2-ch wyd. 1855 także w 2-ch tomach.

– *Królewicz Marko*, *narodowe pieśni serbskie*. Warsz. 1859. Jest to zebrany przez tłumacza cały cykl pieśni, odnoszących się do tego bohatera, a rozproszonych po zbiorze Vuka Stefanowicia Karadžicia.

Podobnież w zaokrągloną całość ugrupował Zmorski pieśni odnoszące się do króla Lazara i do bitwy kosowskiej i wydał je pod napisem:

– *Lazarica*, *ustęp z narodowych pieśni serbskich*, przeł. Roman Zmorski. Warsz. 1860 r.

W *Marku* i *Lazaricy* podane są same rapsody bohaterskie, w narodowych zaś pieśniach: legendy i baśnie, pieśni wojackie i drobne piosnki miłosne, które w zbiorze Vuka zwą się żeńskimi.

Kończąc wreszcie tę wzmiankę, dla dokładności tego szkicu wymienimy pisma jego prozą:

– *Podania i baśni ludu w Mazowszu, z dodaniem kilku szląskich i wielkopolskich*, zebrał i wydał R. Zamarski, Warsz. 1852.

– *Krótki rys nowego piśmiennictwa serbskiego podług Risticza* w „Bib. Warsz." z 1853.

W „Tygodniku Literackim" pod imieniem Romana Mazura napisał *Wspomnienie Zenona Sierpińskiego* i obszerny rozbiór poezji Aleksandra Grozy.

W „Dzienniku Literackim" pod cyfrą 5: *Rozbiór powieści Pauliny Wilkońskiej*.

To są, zdaje się, wszystkie prace literackie Zmorskego, wspomnieliśmy już o dziejach Warsa i Sawy, które na widok publiczny się nie ukazały, a nadto K. Wł. Wójcicki w swej *Historii literatury polskiej* powiada, że Roman przygotował do druku obraz liryczny z piastowskich czasów *Święto Majowe* i powieść rycerską wierszem *Potrzeba*

Grunwaldzka. J. Kraszewski zaś w liście pisanym do mnie z powodu Zmorskiego mówi, że pozostał po nim mistrzowski przekład *Merimy,* ostatnia praca zmarłego.

Spróbujmy teraz zestawić wszystkie przywiedzione dotąd fakty i rzućmy raz pożegnalnym wzrokiem na tę niknącą, ostatnią postać naszej wielkiej poetycznej doby.

Zmorski był człowiekiem, jak to już tylokrotnie powiedzianym było, nadzwyczaj zdolnym: sądząc z jego młodzieńczych porywów, współcześni słusznie mu wielką rokowali sławę i widzieli go w rzędzie największych naszych geniuszów: ale czy to wskutek tego, że w młodości nie odebrał od razu gruntowanego ukształcenia; czy też może zbytnia twórczość, objawiająca się zaraz w pierwszych latach życia, odciągnęła go od twardej i usilnej pracy; ale nie stworzył nam nic takiego, co by w zupełności godnym było jego talentu. Zbytni zapał młodzieńczy, o którym powiadamy, że wyszumi z czasem, w nim nie wyszumiał nigdy i słusznie też powiada J. I. Kraszewski, ten wielki znawca serca ludzkiego, w liście wyżej wspomnianym: „(…) był w nim poeta, był zacny i szlachetny młodzian, ale z młodziana nigdy nie wyrósł na męża". Te słów kilka doskonale charakteryzują zmarłego.

Namiętny, gwałtowny, ekscentryczny, wierzący może aż zanadto w swój talent, ale nie poczuwający potrzeby poparcia go pracą i nauką, daje on przykład zmarnowania wrodzonych darów i zmusza do wyrzeczenia nad świeżą jeszcze mogiłą ostrych słów prawdy.

Przekłady z serbskiego oto główna jego zasługa z talentu jego, z silnej i rzeczywistej podstawy, z poezji ludowej. *Wieża siedmiu wodzów* pozostała nam niby jedno lśniące szkiełko z widzianej w dali fatamorgany. Przykro to, ale, niestety, prawda! Nikną coraz bardziej nasi sławni wieszcze, to też nic dziwnego, że oglądamy się za nimi długo, że chcielibyśmy mieć po nich wiele, co by nam w dzisiejszych czasach posuchy poetycznej mogło ich przypominać i łakome piersi nasze zasilać.

Aleksander Niewiarowski

ROMAN ZMORSKI. WSPOMNIENIE*

Szczupła już tylko garstka ludzi, dla których dzieje literatury nie są i nie były obojętnymi, pamięta dziś jeszcze okres czasu zawarty pomiędzy 1840 a 1850 rokiem. A jednak była to chwila ważna, w której, po długim letargu, muza poezji rodzinnej zaczęła się budzić na nowo.

Nie mówimy tu jednak o potężnych głosach mistrzów, odzywających się wówczas z daleka… bo głosy te z powodu rozmaitych, wyjątkowych okoliczności, nie dochodziły tu prawie. Autorzy *Wallenroda*, *Mazepy*, *Irydiona*, *Rusałek* i *Zamku Kaniowskiego*, a obok nich także, znakomity formą i uczuciem, przyszły autor *Mohorta*, nie przestawali wprawdzie i w owej epoce tworzyć lub gotować się do tworzenia tych potężnych kreacji, które dotąd są, a i na długo jeszcze będą niespożytymi pomnikami poetyckiego ducha – lecz, z powodów już raz wspomnianych, utwory tych mistrzów dalekich nie mogły stać się wówczas dla ogółu społeczeństwa naszego tym chlebem duchowym, jaki obok powszedniego ludzkość spożywać musi ciągle, jeżeli nie chce cofnąć się z drogi, wiodącej ją ku przeznaczeniom wyższym nad te, jakie zapewnić jej może sama tylko materialna cywilizacja.

Zresztą, w świetnych utworach genialnych poetów naszych, którzy wówczas, niby Homerowie wędrowni, śpiewali przy arfach strojonych wysoko… brzmiała wciąż prawie jedna tylko struna – wspomnień. Pieśni ich były epopejami przeszłości lub też hymnami do ideału… gdy tymczasem ówczesne społeczeństwo nasze, podobne ociemniałej prządce ze starganą kądzielą, potrzebowało pilnie kogoś, co by mu wciąż podawał do rąk zagubioną nitkę i prząść ją dalej nauczał. Wielkie głosy Tytanów, huczące z oddali, potrzebowały od nas nie tylko echa, lecz i pieśni świeżych, młodych, ognistych, które by samodzielnie wypowiadały, czym jest w istocie owo społeczeństwo i co wśród fazy nowego istnienia wytworzyć „z siebie" zdołało? Ani ludzkość cała, ani żaden jej szczep pojedynczy, nie mogą żyć biernie i przyjmować w daninie laury składane im przez wyjątkowe, genialne duchy – owszem, każdy szczep, chociażby ten nawet, z którego krwi i kości zrodziły się owe duchy wybrane, jeżeli nie chce utracić do nich praw macierzyństwa, musi wytwarzać z siebie nowych laików, którzy by te wawrzynowe dary mistrzów ze czcią należną przyjąć umieli i na głos orłów odkrzykiwali z orlego gniazda…

Ludzie, którzy żyli w owej przed-trzydziestokilkoletniej epoce, pamiętają zapewne, w jak różnym od dzisiejszego stanie znajdowało się piśmiennictwo warszawskie i jak gorzką była wtedy dola odważnych pracowników, którzy zapuszczoną niwę tego piśmiennictwa uprawiać i obsiewać chcieli. Jakiś noworocznik bezbarwny, dwie

---

* A. Półkozic [A. Niewiarowski], *Roman Zmorski. Wspomnienie*, „Echo" 1877, T. I, nr 12.

gazety drobnego formatu i mikroskopijny „Kurierek Warszawski", wychwalający pod niebiosa wszystko i wszystkich – oto były ramy, w których całe życie intelektualne kraju pomieścić się musiało! Literaci dzisiejsi, szczególniej też utalentowani istotnie i pracujący pilnie, którzy mogą śmiało liczyć na to, że zarobek ich pióra, aczkolwiek skromny jeszcze, wystarczy jednak na zapewnienie im potrzeb życia, nie mają najmniejszego pojęcia o stanie swoich poprzedników z owej epoki, która, znowu przeciwnie, wydawcom teraźniejszych mnogich gazet i pism periodycznych podobałyby się niezmiernie. W on czas bowiem najzdolniejszy nawet poeta uważał się za szczęśliwego, jeżeli szanowny redaktor jednej z dwóch jedynych gazet raczył dobrotliwie wyświadczyć mu łaskę i wydrukować darmo utwór przyniesiony z należytą submisją… chociaż, *suum cuique*, wyznać należy, że odstępował niekiedy od tej zasady nieboszczyk Antoni Lesznowski, a także i szanowana prababka naszych pism periodycznych, „Biblioteka Warszawska", którą do takiej ofiarności pobudzały silne z początku „Przegląd Warszawski", wydawany przez Budziłowicza i Skimborowicza, później zaś i silniej jeszcze, redagowany wybornie przez tegoż Skimborowicza i E. Dębowskiego, „Przegląd Naukowy", który – o dziwo! – Włodzimierzowi Wolskiemu za jego świetny i furorę wtedy robiący poemat pt. *Ojciec Hilary* zapłacił aż dwieście złotych podobno!

Nieboszczyk Roman Zmorski, o którego działalności literackiej szkic niniejszy dajemy, zaczął był pisać na początku owej niefortunnej epoki i dlatego tak on, jako i inni młodzi poeci ówcześni, musieli założyć dla siebie oddzielny organ literacki pt. „Nadwiślanin", redagowany przez Seweryna Filleborna, ażeby móc, choćby nawet bez żadnej materialnej korzyści, odzywać się do publiczności w tonie i w duchu, jakie raziły słuch i pojęcia innych współczesnych organów.

Niedługo też istniał ów młody i wrzący zapałem „Nadwiślanin", chociaż zamieszczał zawsze pełne życia, a często i pełne talentu utwory. Snadź ówczesny ogół czytelników, wykształcony na słodkim stylu ś. p. L. Dmuszewskiego, nie mógł zasmakować jeszcze w tych młodych, ognistych uczuciach i w dążnościach śmiałych, wypowiedzianych przez gronko młodzieży zdolnej, lecz ubogiej i ekscentrycznej nieco, którą z pewnym przerażeniem za rodzaj *sankiulotów* uważał. Szczególniej też Roman Zmorski, który zawsze silnym, a często szorstkim przemawiać zwykł rymem i ciągle głosił idee ultraludowe, które wówczas „demokratycznymi" modnie nazywano, budził postrach prawdziwy, a gdy napisał był oryginalny myślą, a potężny siłą i formą wiersz pt. *Anioł-Niszczyciel*, wydrukowany w „Przeglądzie Naukowym", to już sam rodzony ojciec poety, zacny zresztą staruszek, ostre mu czynił wyrzuty!

Nie zamierzamy tu pisać właściwego życiorysu zmarłego poety, ani wyliczać szczegółowo jego utworów – gdyż spełnienie takiego zadania zaprowadziłoby nas za daleko i postawiło w obowiązku odrysowania szkicu z całej ówczesnej działalności literackiej i artystycznej nawet – chociaż… wyznajemy szczerze, iż pióro drży nam

w steranej już dłoni na myśl, ile to obrazów promiennych jutrzenkami młodości i artystycznym pięknem można by odtworzyć z owej zapadłej już w przeszłość chwili, w której Zmorski i jego rówieśnicy: Cyprian Norwid, Włodzimierz Wolski, Seweryn Filleborn, Antoni Czajkowski i wielu innych jeszcze literatów i artystów (malarzy), rozpoczęli szlachetną pracę odrodzenia w kraju tutejszym pojęć o literaturze *skurierkowanej* i *skalendarzowanej* wówczas tak srodze.

Zmorski w owym właśnie, pomiędzy 1840 a 1847 rokiem, upłynnionym czasie, chociaż jaśniał wybitnie pomiędzy plejadą rówieśnych mu poetów i pozyskał był sobie pewien rozgłos nawet, nie pisał jednakże wiele – w ogóle bowiem talent jego nie odznaczał się twórczością łatwą ani płodnością obfitą; mały tomik zaledwie dałoby się ułożyć z jego utworów, zamieszczanych tak w pismach ówczesnych, jako i w zbiorowej książeczce, wydanej przezeń i przez śp. J. B. Dziekońskiego pt. *Jaskułka*, a będącej istotnie ptaszyną zwiastującą wiosnę... Oprócz wspomnianego już *Anioła-Niszczyciela*, najpopularniejszym był wiersz na cześć Liszta, utworzony zaraz po koncercie danym przez tego mistrza fortepianu w Warszawie w 1845 roku, a także hymn tryumfalny, napisany na ruinach czerskiego zamku, chociaż, zdaniem naszym, najwyżej z ówczesnych utworów Zmorskiego stoi jego potężny całością organiczną, jasny ideą, a z siłą żelazną i prostotą napisany poemat, zatytułowany w druku wierszem *Do młodego poety*. Jednakże poeta i tym razem nie miał szczęścia do... łatwej sławy, albowiem musiano go pomieścić *od biedy* w lichej i nieczytanej prawie ówczesnej „Gazecie Teatralnej". Później dopiero, aż w roku 1856, piękny ten utwór powtórzony został w „Gazecie Warszawskiej". Nie mogąc, dla zbytniej obszerności, przytoczyć go tu w całości, cytujemy tylko jeden ustęp, nie najsilniejszy nawet, ażeby czytelnikom dzisiejszym, skazanym często na przełykanie ckliwych lub pretensjonalnie strojnych poezji w niektórych pismach tutejszych, pokazać, jak traktował wyznawaną przez siebie ideę poeta piszący przed czterdziestu około laty. Otóż, po wstępie, w którym autor zarzuca młodemu poecie, że nazbyt ugrzązł w świecie salonowym, tak się doń odzywa:

O wieszczu młody! Inny tobie świat
Przystał – świat niskich, pochylonych chat,
Tam, sercem wiecznie młodym, lud pojmie twój śpiew –
Wiecznie młodym… bo razem z mlekiem, co się sączy
W pierś jego z łona matek, stara pieśń się łączy
I na wiek wieków chroni od spleśnienia krew!
Tam oklask końca twojej nie zgłuszy piosenki.
Ni z zapału niezgrabną zbudzi kto pochwałą,
A tylko za nagrodę, za podziękę całą
Uczujesz długi, niemy uścisk ręki,
Co ci żarem po nerwach pobiegnie do duszy –
Aż ci łza, jakaś dziwna, źrenice zaprószy;

Łza, córka ojca – Bólu i matki – Radości,
Radości twego serca, a bólu twych kości.
Tylko, jeśli wywołać uścisk taki chcesz,
To w szpalery wzorzyste słów twoich nie krzesz,
Ale krzesz sercem w serce, jak krzemieniem w stal
I jak iskrami próchno, tak słowami pal.
Wieszczom złoconych komnat zostaw dziki wzgląd
Obchodzić na pół ze czcią stary, zgniły błąd –
Ty – rzuć mu w oczy garścią obelg pełną,
A prawdę nie spowijaj, by szklanej, bawełną,
Ale w wieczny z nią związek poślubuj twój głos.

Kończy zaś autor cały ten wiersz potężną, streszczającą w sobie całe znaczenie poezji – następującą strofą:

Bo pieśni wieszczów w narodzie są tak,
Jako w człowieku bywa serca bicie,
Co razem w ciele utrzymuje życie,
I… o życiu daje znak.

Przejęty wielką, niekłamaną miłością dla poezji ludowej, Zmorski przedsięwziął był utworzyć w formie dramatu i … napisał *Lesława*. Utwór ten jednak, jakkolwiek pełen zapału i świeżych, wiosną życia woniejących kwiatów ducha, przeszedł niepostrzeżony prawie. Być może, iż los taki spotkał go w części z powodu, że dramatyczny w nim żywioł słabszym był od lirycznego, w części zaś z przyczyny, iż, pomimo woli i wiedzy pewnie, autor uległ wpływowi Byrona i stąd jego *Lesław*, acz nie w szczegółach, lecz w ogólnym tonie i charakterze, przypominał często sławnego *Manfreda*. Zresztą, powodem niepopularności tego w każdym razie niepospolitego poematu mogło być i to jeszcze, iż autor znaglony opuścić kraj w chwili, gdy miał już drukować w Warszawie swojego *Lesława*, wydał go w lat wiele później i to w edycji niezmiernie ubogiej, złożonej z kilkuset egzemplarzy tylko.

Dopiero podczas pobytu w Galicji Zmorski napisał był poemat, który stanowi, rzec można, koronę jego poetyckiej muzy. Jest to legenda z podań ludu wzięta pt. *Wieża siedmiu wodzów*. Żałujemy, iż, nie mając pod ręką tej iście wielkiej i szlachetnej kreacji, nie możemy zaznajomić czytelników z pięknościami jej formy, i ze wspaniałością obrazów rysowanych szeroko na tle świata legendowego, pełnego fantazji potęg duchowych. Czytając ów poemat, zda się, że widzimy olbrzymie postacie bajecznych wodzów, bądź w srogiej z wrogami walce, bądź przy biesiadzie zastawionej wśród dębowego lasu, na której jedzą „łosie i dzicze pieczenie, a z bawolego rogu piją miód stuletni". Ogromna siła języka, obrazowość stylu i wreszcie, wysnuta już przez poetę, myśl przewodnia, jak słońce jasna i ciepła, stawiają ten poemat w rzędzie znakomitszych poezji naszej utworów.

Lecz *Wieża siedmiu wodzów*, wydana także w ubogiej broszurze, przeszła bezwiednie, również jak *Lesław* prawie. Nic dziwnego! Los podobny spotyka u nas czasem nawet genialne kreacje poetyckie. Wszakże, przed lat dziesiątkiem z górą zaledwie zwrócono uwagę na poemat ś. p. Romanowskiego: *Popiel i Piast*, należący do najcenniejszych klejnotów poezji, a dziś... już zapomniano prawie i o tym poemacie i o młodym szlachetnym Tyrteuszu, który zostawił tak piękny pomnik nad swoją mogiłą. Niestety! burze i huragany społeczne zasypują niekiedy czyste natchnień brylanty, a ludzkość dopiero później wykopuje te skarby i dziwi się ich wartości ogromnej. Wszak *Maria* Malczewskiego dopiero w ćwierć wieku blisko po zgonie swego twórcy doczekała się należnego sobie uznania.

Nieboszczyk Zmorski tym się odznaczył od wielu innych, wyższych nawet od niego poetów, że nie zachował po sobie, a przynajmniej nie publikował ani jednego utworu bezwzględnie słabego i że nigdy nie odstąpił od sztandaru, pod którym w walce duchowej raz stanął wiernie. A sztandarem tym była wielka i szczera miłość dla ludu sławiańskiego, w rozlicznych jego szczepach, chociaż najgoręcej ukochał był, tak zwane, stare Mazowsze, [przez] którego całą przestrzeń podróżował pieszo, doszukując się tam pamiątek, legend lub badając pieśni i obyczaje ludu, z którym umiał się szybko i serdecznie bratać. W ostatnich latach życia Zmorski podróżował po ziemiach słowiańskich bądź lennych Turcji, bądź stanowiących prowincje otomańskiego państwa. Owocem tej wędrówki były jego *Listy z podróży po Bośni, Hercegowinie i Czarnogórze*, drukowane w „Gazecie Codziennej" w roku 1858, oraz śliczne przekłady pieśni i baśni serbskich o carze Łazarzu, carycy Milicy i o bitwie na Kosowym Polu, które zamieszczone były w gazecie „Pszczoła", wydawanej w Warszawie przed kilkunastu laty.

Jeszcze jedną pracę Zmorskiego z owej epoki, mianowicie zaś śliczny, choć dowolny przekład dramatu *Merima, czyli powstanie w Bośni*, drukowała w roku zeszłym „Gazeta Warszawska". Czytelnicy pamiętają zapewne, iż dramat ten, przedstawiany tu na ogródkowych scenach podczas minionego lata, budził prawdziwy zapał w licznie nań uczęszczających widzach. Później daleko, niż wymienione przekłady serbskie, doczekał się druku poemat tegoż autora pt. *Święto Majowe*, chociaż Zmorski napisał go był z materiałów zebranych w starożytnej Luzacji, w której stolicy, Budyszynie (Bautzen), założył był i wydawał w roku 1847 pismo periodyczne pt. „Stadło", którego zadaniem było rozniecać i przechowywać iskrę życia sławiańskiego, gasnącą już pod wpływem germanizmu w tym starym sławiańskim gnieździe.

Jakkolwiek wielkim był nieprzyjacielem Niemców w ogóle, uważając ich za głównych i nieprzejednanych wrogów całej Sławiańszczyzny, przecież lubił bardzo niektórych poetów niemieckich, szczególniej zaś Schillera i niekiedy nawet przekładał na język polski krótsze jego utwory. Nie wiemy na pewno, czy z dzieł tegoż właśnie poety pozostała w Warszawie piosnka pod muzykę przetłumaczona, a dotąd niewydana jeszcze. Żeby zaprezentować czytelnikom tę jeszcze stronę talentu zmarłego poety, przytaczamy tu dwie strofy owego przekładu pieśni pod tytułem *Gitara*.

Znów w złotym blasku miesiąca
Pod jej oknem łódź ma mknie,
Srebrnym szumem fala drżąca
W niespokojnym gwarzy śnie,
Niebo od nocnych spłonęło zórz,
Lecz gitara nie brzmi już.

*

Przez zielone liści zwoje,
Zza róż dzikich gęstwy tej
Niegdyś gwiazd uroczych dwoje,
Oczy mi świeciły jej
Dziś kwiaty zbladły, zwiądł liść róż
I gitara nie brzmi już.

W roku 1848 Roman Zmorski, podczas chwilowego pobytu w Paryżu, zapoznał się był z mieszkającym tam wówczas przy ulicy Pontieu nr 30 autorem *Mazepy*, dla którego geniuszu chował zawsze cześć ogromną. Słowacki, przeglądając zbiór poezji Zmorskiego, zarzucał w nich brak szczerego, serdecznego uczucia. Dopiero gdy rozżalony tym zarzutem poeta napisał w mieszkaniu twórcy *Anhellego* piosnkę, improwizowaną prawie, na cześć ulubionego swego Mazowsza, której ostatnia strofa brzmiała następnie:

O, mój ludu blizny.
Wy, mej ziemi żyznej
Lasy, wzgórza, boski świecie nasz!
Jam sercem, myślami
Zawsze między wami
I w mej pieśni duch tchnie zawsze wasz.

– wtedy Słowacki, przy serdecznym uścisku, cofnął swój zarzut i prosił Zmorskiego, żeby więcej takich, płonących miłością piosnek napisał, przepowiadając im popularność wielką.

Już to Zmorski miał jakby wrodzoną skłonność do życia koczowniczego. Nigdzie on długo miejsca nie zagrzewał – dlatego też, choć po powrocie do Warszawy w roku 1858 zamierzał był zamieszkać tu już stale, przecież w lat trzy niespełna wyruszył znowu za granicę, gdzie też niebawem uległ pod ciosami z dawna podobno nurtującej organizm jego choroby. Uboga i samotna mogiła tego prawdziwego poety na cmentarzu drezdeńskim oczekuje dotąd choćby skromnego od współziomków pomnika.

Aleksy Półkozic

Waleria Marrené-Morzkowska

GRUPA POETÓW Z 1840 ROKU. ROMAN ZMORSKI*

Niejednokrotnie potrącaliśmy o nazwisko młodego poety i pracownika, mówiąc o jego współliterackich towarzyszach. W grupie ludzi talentu i zapału nowej epoki Roman Zmorski reprezentował pierwiastek bezwzględnej siły. Był to gwałtowny umysł w całym znaczeniu tego wyrazu, bez porównania mniej liryczny niż Lenartowicz, nie zagłębiał się w psychiczne procesy i nie składał miłosnych piosenek jak Wolski, nie badał mistyczno-filozoficznych zadań, jak Cyprian Norwid; rzecz każda uderzała go raczej z praktycznej, realnej strony, a jeśli w dziełach jego strzygi, upiory, czarownice i duchy grają wielką rolę, hołdował raczej formie naówczas przyjętej powszechnie, niż istocie rzeczy.

Nie ma też w nim miękkości żadnej, ostry, twardy, szorstki, często nawet nieestetyczny, lubuje się w okrutnych obrazach, w ponurych słowach, w białym wierszu.

Wszystko, co piękne, wdzięczne, łagodne, tak w dziedzinie uczuć, jak myśli – zdaje się nie istnieć dla niego, zostawać poza obrębem jego umysłowego promienia. Jeśli natrafia na piękną formę, dzieje się to u niego przypadkiem, bo raczej szuka dosadności niż wdzięku. Przeciwnie, rzec by można, że ma on pewną plebejuszowską pogardę dla wszystkich wykwintnych form i wyrażeń.

Jeden z pierwszych utworów jego, *Noc świętojańska,* drukowana w „Bibliotece Warszawskiej" w 1842 roku, świadczy, że od pierwszej swojej literackiej doby Zmorski pociągnięty był podaniami ludu, których zbieraniu miał się później poświęcić, i że lubił przestawać w świecie nadprzyrodzonym; widziadła, duchy, upiory odpowiadały nie tylko wymogom chwili, ale i wymogom jego ponurej fantazji.

Poezja ta ciekawą jest jeszcze z tego względu, że w niej występuje szatan, którego później w *Lesławie* miał tak bardzo upoetyzować i przedstawić w zupełnie przetworzonej postaci. Szatan w *Nocy świętojańskiej* jest to jeszcze odwieczny wróg ludzkości; po staremu bierze się on na rozmaite fortele, ażeby zgubić człowieka i ponieważ posiada dokładną znajomość jego serca i namiętności, udaje mu się to z łatwością. *Noc świętojańska* osnuta jest na znanej legendzie kwiatu paproci, który śmiały młodzieniec zerwać zamierza, chociaż odbiera przestrogę: „I szatan widomie toczy z tobą bój", a jeśli nie zwycięży w tym boju: „Wieczyste cię piekła pochłoną pożogi".

Młodzieniec wierny tradycji określa się kredą święconą i tym sposobem stoi na miejscu obronnym, gdzie go nieczysta siła dosięgnąć nie jest w stanie. Fortele szatańskie więc do tego są skierowane, by go za ten krąg zaklęty wywabić.

---

* W. Marrené (Morzkowska), *Grupa poetów z 1840 roku. Roman Zmorski*, „Przegląd Tygodniowy" 1880, nr 1-4; przedruk w: tejże, *„Cyganerya Warszawska"*, Warszawa 1905, s. 65-93.
Waleria Marrené-Morzkowska (1832–1903) – pisarka, publicystka, krytyczka literacka, filantropka. Od 1877 roku osiadła w Warszawie, gdzie prowadziła znany salon literacki. Publikowała w „Przeglądzie Tygodniowym", miała opinię emancypantki. Autorka licznych powieści, w tym *Nowego gladiatora* (1857), *Augusty* (1866), *Mężów i żon* (1874).

Zrazu wróg działa wprost przestrachem, odzywa się do najgrubszego, do najpospolitszego instynktu zachowawczego. Dzikie zwierzęta, smoki ogniem ziejące, wreszcie larwy piekielne godzą na młodzieńca, skoro stał się panem tajemniczego kwiatu. Gdy opiera im się mężnie, szatan usiłuje przemówić do jego chciwości, więc wszystkie skarby świata w jaskrawym blasku ukazują się mu poza kręgiem zaklętym. Ale i ta pokusa okazuje się bezsilną, wówczas wchodzą w grę wyższe pierwiastki: szatan udaje głos starego ojca, napastowanego przez zbójców i z żałosnym wyrazem wzywa syna na ratunek. Młodzieniec poruszony gwałtownie o mało nie przekroczył granic swej niewidzialnej warowni, ale rozwaga przyszła mu w pomoc, rzucił się na ziemię i usiłował zatkać sobie uszy, aby nie słyszeć więcej ojcowskiego głosu.

Szatan wreszcie używa najsilniejszej pokusy, pięknej dziewicy, która wzywa młodzieńca w miłośnie otwarte ramiona i zanim biedny obejrzał się, co czyni, już był poza brzegiem święconym i stał się pastwą czartowskiej mocy.

Jak widzimy, autor trzyma się ściśle na gruncie legendowym, w całym obrazku nie ma jeszcze śladu późniejszej modyfikacji pojęć co do piekielnego pierwiastku. Przeciwnie, zacytowaliśmy umyślnie wiersze zaznaczające określone i jasne pojęcie tradycyjnego szatana i tradycyjnego piekła. Tylko dziewica – miłość ziemska, gra tutaj fatalną rolę zwycięskiej pokusy. Odnajdujemy w tym oddźwięk pojęć całej szkoły, a szczególniej pojęć, które sam Zmorski później miał wyraźnie rozwinąć w *Lesławie*, choć z drugiej strony dziwić się nie można, że szatan użył na młodego zapaleńca tego, co najsilniej doń przemówić mogło. Gdyby więc fakt ten był odosobniony, nie zwracalibyśmy na niego uwagi, nabiera on jednak doniosłości wobec innych podobnych faktów, spotykanych w utworach naszego poety – pokazuje się, że nie jest to nuta przypadkowa, ale nuta stała, powracająca, ile razy zdarzy się tylko przedmiot podobny.

Dziwić się temu nie możemy; odpowiadała ona zarówno namiętnej, szorstkiej i twardej naturze Zmorskiego, jak i cygańskiemu usposobieniu jego towarzyszów poetycznych.

Dziełem jednak, w którym Zmorski wypowiedział się najlepiej, wypowiedział się cały, o ile to dla niego było przynajmniej możliwym, jest poemat fantastyczny *Lesław*, wydany w Poznaniu 1847 roku, przedrukowany w 1870 w Bibliotece „Mrówki".

Poemat ten był niejako ukochanym dzieckiem całej grupy poetów, wykołysała go fantazja ich wszystkich, wszyscy obznajomieni byli z jego treścią, postępem, umieli na pamięć sceny i tyrady, i uważali *Lesława* za naczelny utwór owej chwili. Fakt ten nadaje mu tym większą doniosłość i przedstawia ciekawy przedmiot do studium, należy bowiem w nim oddzielić od tego, co było zbiorowym wyrazem całej grupy i pochodziło od wpływów literackich rządzących ową bezkrytyczną epoką, to, co stanowi osobistą własność samego autora.

W wielu dziełach poszukiwania podobne byłyby zupełnie daremne, autor bowiem zwykle reasumuje w sobie nieświadomie prądy, którym podlega, przetrawiwszy je

wprzód we własnej myśli. Tutaj dzieje się przeciwnie, sprzeczne nieraz żywioły. niezamalgamowane wcale występują w całej chaotycznej nagości.

Jak cała grupa ówczesna, Roman Zmorski nie posiadał prawie żadnej nauki, a z zuchwałością wierzeń chwili, lekceważących wiedzę nie wahał się dotykać najzawilszych problematów społecznych, umysłowych, religijnych i tych wreszcie, które pochodzą z samychże warunków bytu. Fakt to tym ciekawszy, że problematy owe zrodziły się same z siebie w jego myśli, że ignorował wszystkie niemal podobne objawy, jakie istniały w literaturach zagranicznych.

Poglądy jego były niepohamowanej śmiałości, posiadał odwagę myśli niecofającej się przed najostatniejszymi wynikami swymi, zdań jego nie powstrzymywały żadne uboczne względy, tylko brakło im zawsze tej naukowej zasady, tego oparcia się na wiedzy, które jedynie nadawałyby im wartość i powagę, które łączyłyby jego pojedyncze spostrzeżenia i usiłowania ze spostrzeżeniami i usiłowaniami myślącego ogółu, które by sprawiały, że zamiast fantastycznych, niczym niepopartych twierdzeń, jakie rzucał, przedstawiałyby one logiczne wywody.

Gdyby przy niektórych świetnych przymiotach swoich Zmorski był człowiekiem nauki, gdyby jego lotna, poetyczna mowa opatrzoną została stosownym balastem poważnych studiów, byłby może zakwitł nam w nim poeta równy Leopardiemu, z którym spokrewniają go niejakie krańcowe, pesymistyczne poglądy oraz ognisty temperament południa*. O istnieniu jednak Leopardiego prawdopodobnie nasz poeta nie wiedział wcale, a dla wiedzy miał wyniosłą pogardę, którą owa epoka odziedziczyła jako najsmutniejszą spuściznę źle pojętego romantyzmu.

W tych warunkach poeta nasz zmarnować się musiał, a zmarnował tym prędzej i niepowrotnie, im wyższe posiadał wrodzone dary. Nie mógł on schronić się, jak Wolski, w czysto uczuciową sferę, nie posiadał na to dość wytwornej formy i dość giętkiego subtelnego zmysłu, nie mógł też, jak Lenartowicz, tworzyć wiejskich i biblijnych melodii, brakło mu na to liryzmu, a brakło więcej jeszcze sielskiego, łagodnego poczucia i religijnej wiary, nie mógł nawet zatopić się w mistycznych abstrakcjach, jak Norwid, gdyż arcyrealna jego natura potrzebowała jasno określonych przedmiotów.

Tym sposobem łatwo zrozumieć, że w samej istocie Zmorskiego leżały pierwiastki, które musiały go doprowadzić do upadku. Droga jego musiała być krótką, bo ognisty zapał, niepodsycany nowymi żywiołami, nieskierowany do żadnego obmyślanego celu, z konieczności skazany był na wyczerpanie i, tak jak bujny kwiat, w którego łonie robak się lęgnie, nie mógł wydać należytego owocu.

Natura przemawiała do niego raczej ponurą niż uroczą swą stroną, prawem burzliwego umysłu, w którym panującym tonem był pesymizm. Pomiędzy legendami

* Giacomo Leopardi (1798–1837) – włoski poeta, prozaik, zwolennik pesymizmu, wydał m. in. *Dziełka moralne* (1827) i *Canti* (1831).

ludowymi wyszukiwał najkrwawsze, a nawet kiedy brał się do rzeczy niebiańskich, spośród aniołów wybierał na bohatera anioła niszczyciela. I w pełni sił piorunującej poezji, najpiękniejszej niezaprzeczenie, jaka wyszła spod jego pióra, wołał:

Jam jest anioł Niszczyciel
Burzyciel i mściciel.
Jam jest anioł Zbawiciel.

Był to jeden z tych atletycznych umysłów, szorstkich, twardych, stworzonych do walki i w niej dopiero znajdujących właściwe pole. Takim jest bohater jego dramatycznego poematu, Lesław. Sam temat *Lesława* jest arcytypem ówczesnych pojęć, a spis osób daje wyobrażenie o treści: Nieznajomy, Lesław, Dziewica-Chmura, Helena, Rybak, Śmierć, cztery czarownice, chór dziewcząt wiejskich, topielcy i topielice, upiory i strzygi.

Sądząc z czarownic, topielców, upiorów, można by sądzić, iż autor oparł się na elemencie podań ludowych i być może, iż miał pierwiastkowo ten zamiar, bo niektóre właściwości umysłu spokrewniały go z ludem, posiadał jego realizm i dosadną niewybredność wyrazów. Zadanie jednak *Lesława* jest bez porównania wyższe nad ten cały średniowieczny przybór, który figuruje tu raczej jako akcesoria uważane w owej epoce za konieczne, niż jako rzeczywiście działające czynniki. Pomijając wszakże nawet te akcesoria, jeszcze znajdziemy w *Lesławie* splątane dwa odmienne i wyraźne zdania: jedno właściwe chwili, drugie wiekuiste, pochodzące z najczystszych aspiracji poety, a odzywające się od czasu do czasu w dziejach ludzkości nutą dumnego, nieugiętego buntu.

Węzeł dramatyczny stanowi głównie rozterka sercowa Lesława, wahającego się pomiędzy miłością do Heleny i do Dziewicy-Chmury, z których pierwsza jest wcieleniem ziemskiej, druga zaś nieśmiertelnej żądzy. Wiadomo, że według pojęć ówczesnych, miłość niewiasty miała być upadkiem, potępiano ją zarówno w świecie mistycznych pojęć, jak życiowego cygaństwa. Żona – rodzina, obowiązki, wszystko to miało być zgubą artysty i poety, a błogosławieństwo domowego ogniska, owej ostoi przeciw burzom, pokusom i niebezpieczeństwom bytu, było rzeczą z zasady odrzuconą przez tych, którzy właśnie burzę i rozterkę wewnętrzną uważali za jedyne czynniki twórczości, którzy nie pojmowali, że najwyższe utwory są właśnie owocem harmonii i spokoju. Kobieta więc w *Lesławie* – Helena, jakkolwiek czystą jest jej miłość, przedstawiać ma niskie pierwiastki, gdy przeciwnie Dziewica-Chmura to lotne, wzniosłe aspiracje jego. Mistyczna średniowieczna walka pomiędzy duchem a ciałem dopominającym się praw swoich odbywa się w duszy poety. Oto jak sam Lesław opisuje ją w jednym z monologów swoich, narzekając na czar, który nęci go do Heleny:

Martwym mnie kołem rzeczywistość blada
Oprządła w koło jako liszka kwiat.

– a dalej, przypominając sobie pocałunek Dziewicy-Chmury, woła znowu:

…Czemuż trzeba
Było mi wracać z pieszczot twoich nieba
Na brudną ziemię, kędy ich wspomnienie
Jawi się jako obłąkania sen.
Tu, gdzie z błękitnych ócz pięknej dziewczyny
Rozkosz nęcącym wabi mnie uśmiechem
I otwartymi przyzywa ramiony…
I cóż więc? którąż stronę szal przechylę?
Którą? – Ja pytam! Przebóg! takżeż nisko
Spadłyście w locie? o pragnienia moje!
Już mam w te chłodne związać dłoń okowy,
Ustroić skronie w zwiędłych kwiatów wieniec
I życie całe pić z bielonej czary,
Ciepłą, mętami rozcieńczoną słodycz?

Lesław, naturalnie wierny ówczesnym prądom, gardzi ową bieloną, jak ją nazywa, powszednią czarą szczęścia i postanawia porzucić Helenę, ale ma do zwalczenia jej miłość. W chwili rozstania ona błaga, by ją nie opuszczał, dobija się jego miłości, chce umrzeć dla niego, jeśli tego będzie potrzeba. Lesław zwyciężony, niepomny na groźby Dziewicy-Chmury, która za wiarołomstwo gromem mścić się obiecała na każdej ziemskiej rywalce, przyciska ją do piersi, a w tejże chwili piorun Helenę zabija.

Nie będziemy rozbierać chaotyczności kompozycji, bo to bynajmniej nie jest naszym zadaniem, albowiem nie wiadomo tutaj, czy bohater porzuca kochankę dla tej groźby Dziewicy-chmury, czy dla fantazji serca, nie rozbieramy Lesława jako utworu artystycznego, ale tylko jako charakterystyczny objaw chwili, gdyż z artystycznej strony nie wytrzymuje krytyki żadnej.

Po stracie Heleny spotykamy jej kochanka na cmentarzu i tu następuje najważniejszy monolog utworu, niemal z samych monologów złożonego, w którym widnieje ponure usposobienie autora. Po śmierci Heleny cała natura zdaje mu się zbiorem złowrogich potęg, na każdym kroku widzi zniszczenie, pragnie pomimo to cokolwiek ocalić od śmierci i, spostrzegając jastrzębia, gdy goni za gołębiem, zabija go celnym strzałem. Wówczas zjawia się Nieznajomy i zapytuje go o powód krwi ptaka w imię doktryny wszechmiłości, którą niegdyś głosił. Scena ta jest najważniejszą poematu. W niej ukazuje się druga myśl jego, myśl chaotycznie splątana pomiędzy ciałem a duchem, myśl właściwa już nie epoce, ale samemu Zmorskiemu. W tej scenie Nieznajomy uchyla swojej tajemniczej zasłony i poznajemy w nim Szatana.

Szatan wprawdzie niejednokrotnie występuje w poezji naszej i w poezji owej epoki, a, jak to nawet widzieliśmy, występuje w dawniejszych utworach

Zmorskiego, nigdy jednak w takiej postaci jak tutaj. Scena ta i pojęcie stanowi całą oryginalność poety, całą oryginalność *Lesława*, spokrewnia ten skądinąd poroniony utwór z niektórymi arcydziełami literatury ogólnej i z filozoficznymi pojęciami różnych szkół. sekt i wieków.

Szatan występuje tutaj wcale różny od owej strasznej legendowej postaci odwiecznego wroga ludzkości, przeciwnie, jest on w *Lesławie* wcieleniem pierwiastka wszechmiłości.

Kiedy Lesław tłumaczy się z krwi jastrzębia ideą sprawiedliwości, chęcią obrony niewinnie ściganego ptaka, szatan odpowiada mu szyderczym obrazem świata.

…Wszakże w całej drapieżnej, świat krwawiącej hordzie
Pierwsze miejsce, człowieku, tobie się należy,
Tyś wodzem i mistrzem w mordzie!...

Lesław przerażony odpowiada:

…Jak otchłań bezdenną,
Myśl ta otwarła gardziel swą przede mną…

A dalej badając źródło złego, dodaje:

…Dzika, straszliwa, wszechwładna potęgo!
Trzeba ci by było, rzucając mnie w kwiat,
Gdzie mordem tylko wolno mi mój byt
Wątły utrzymać – trzeba było ci
Stworzyć bez czucia i bez serca mnie!
…Po cóż żeś wlała w pierś mą ogień szczytny,
Miłość i litość! Gdyś chciała straszydłem
Sobie samemu i ziemi obrzydłem
Rzucić mię w miłości świat!

Wówczas szatan wykłada mu prawa bytu, zasadzające się na konieczność walki i mordu i zuchwale urąga się wyrazom miłości, jakie Lesław ciągle ma na ustach.

…Rzuć okiem w świat – i mów, gdzie w nim znać
Dzieło miłości? …od błękitnych chmur
Do głębi ziemi – wszędzie wojna wrze.
Co żyje, walczy – siłą, zdradą podły,
Wzajem się szarpi, rozdziera i drze,
Co bądź istnieje, istnieje tylko bojem.

Jak widzimy, jest to teoria walki o byt, która jeszcze wówczas nie zyskała sobie jak dzisiaj prawa obywatelstwa w intelektualnym świecie.

Nie poprzestając na tym, szatan przedstawia mu okrutną igraszkę najwyższej potęgi, która samej miłości używa jedynie na przedłużenie męki bytu całego łańcucha jestestw, gdyż za jej poduszczeniem przekazują one następcom swoim też same warunki zbrodni i cierpienia.

O gdyby nie ten gorączkowy szał,
Któreż by żywe serce nie struchlało
Przed okropnością istnienia – przed sobą!
Któż potępiony chciałby rodzić płód.

Spotkamy tu znowu pesymistyczną myśl, rozwijaną przez dzisiejszą szkołę filozoficzną niemiecką. Lesław zdaje się w swoich ostatecznych wynikach przeczuwać systemat takiego Mainländera, który dowodzi, że Bóg sam, chcąc pozbyć się istnienia, musiał wcielić się w wszechświat, ażeby za pomocą życia dojść do nicości*. Jest to coś na kształt owej metody medycznej, która wywołuje ostre zapalenie w jakim organie, ażeby zniszczyć jego stan chorobliwy. Co do nas, nie bardzo rozumiemy podobne ewolucje. Mainländer dowodzi dalej, że ludzie, zważywszy nędze istnienia, powinni stosując się do najwyższej woli, dążyć do zniweczenia życia łagodnym sposobem, nie udzielając go następcom, żyć i umierać w dziewictwie, w końcu kreśli wspaniały obraz słońca wschodzącego nad obumarłą ziemią. Zmorski dowodzi również: „Któż potępiony chciałby rodzić płód".

Zaznaczamy to jego pokrewieństwo z doktrynami, które później przez racjonalniejsze umysły ujęte zostały w systematy i wstrząsnęły myśleniem ogólnym. To, co w *Lesławie* było przypadkową niejako sceną, przyczepioną do innej całości, wykwitem rozbujałym wyobraźni, tam rozwijało się za pomocą mniej więcej racjonalnego rozumowania, a co najważniejsze, wspierało się na świadomości i wiedzy i łączyło tym sposobem z całym szeregiem usiłowań ludzkości. Zmorski – nierozwikłany umysłowo – rzucał tylko potoki gwałtownych aforyzmów, których przebłyski ginęły wśród chaotyczności utworu, braku wywodów i braku ujęcia, ale świadczyły o niezmiernym jego bogactwie.

Wyobraźnia jego snuła najpyszniejsze fantasmagorie, oto na przykład, jak szatan opowiada historię swojego upadku, którego powodem była miłość człowieka:

…Gdym ujrzał nowo wstały świat
I wyrok srogi niewinnie nań dany,
Bluźnierczy krzyk mój przedarł się przez dźwięk,
Pieśń uwielbienia, wśród głosów miliona.
I – dziewięć chórów wnet najszlachetniejszych
Duchów zagrzmiało tym samym okrzykiem

* Philipp Mainländer (właść. Philipp Batz, 1841–1876) – pisarz i filozof niemiecki, zwolennik skrajnego pesymizmu, autor *Filozofii wyzwolenia* (1876).

I – wszystkiej ziemi świadomy los nasz.
Inne poślednie chóry pozostały
Trwogą posłuszne nucie pieśni chwały,
Myśmy upadli w mrocznych piekieł żar…
Wieki cierpiałem, wieki cierpieć będę,
Przecież straconych niebiosów nie żal!

W rezultacie Lesław, przekonany o okropnościach bytu, wzywa szatana, by go przyjął do swojego państwa. Wtedy występuje śmierć i obiecuje wszystkie rozkosze świata bohaterów, byle go odwieść od tych ognistych głębi, ale Lesław odrzuca jej dary z pogardą, bo zatrute są dla niego cierpieniem powszechnym. I wchodzi w bramy piekielne, mówiąc, że piekło, jakie świadomość praw rządzących światem wzniosła mu do serca, nie pozwala mu zadrżeć przed zgrozą ogniem ziejącego piekła. Przypomina to znane słowa *Manfreda* Byrona, kiedy mówi do piekielnego władcy: „W głębi mego ducha są męczarnie, do których nic dodać nie jestem w stanie". Tak więc Lesław wyrzeka się życia i jego rozkoszy, mówiąc:

…Oto w tej chwili siłą mojej woli
Targam ze siebie okowy niewoli,
Wielki – że jeśli z klątwy przeznaczenia
Niezdolnym świata wybawić,
Sam dłużej nie będę krwawić
Rąk moich w piersiach stworzenia
I szerzyć państwa nie będę zniszczenia…

W ten sposób zamyka się drugi epizod *Lesława*, epizod słaby bardzo, żeby nie powiedzieć wcale nie związany z pierwszym. Brakło widocznie autorowi tej twórczej potęgi, co by szeregowała przedmioty i powiązała je w jedną organiczną całość. Gdyby na przykład zamiast walki pomiędzy miłością Heleny a miłością ideału, jaki reprezentuje Dziewica-Chmura, walka odbywała się pomiędzy pierwszą a nowym poczuciem nienawiści bytu, trwogi przekazania życia równie nieszczęśliwym następcom, obudzonym przez rozumowania szatana, to Lesław, jak Faust, jak Manfred i inne dumne, spiorunowane duchy, służące za temat wzniosłym poematom, miałby swoją rację bytu i stanowiłby odpowiednią im dramatyczną postać.

Pomysł Zmorskiego, oczyszczony z naleciałości, dorasta ich miary i pomysł ten stanowi już sam przez się pomnik chwały, skoro szukając mu moralnego pokrewieństwa, odnieść się musimy do wielkich tytanów inteligencji. Pomysł jednak nie stanowi dzieła, a nawet im on jest szerszy i więcej kolosalny, tym też wymaga odpowiednich środków. Nad tym nie zastanawiał się nasz poeta i zastanowić się nie mógł; wszystko w nim było gwałtowne, rzutne, nieobrachowane, płynęło z naturalnego bogactwa myśli. *Lesław* nie był dziełem obmyślanym z góry, opracowanym

konsekwentnie duchem, zanim wcielił się w konkretną formę. Przeciwnie, czytając go uważnie, można niejako śledzić w jednych scenach genezę następnych, wyobraźnia poety zapalała się, unosił go nieokiełznany zapał, ten jedyny sprzymierzeniec całej grupy poetów, na którego cześć Wolski napisał swój sławny wiersz. W *Lesławie* Zmorski mógł powtórzyć za nim:

> Moje marzenia – to szczyty Tatrów,
> A moje myśli – to Wisły fala,
> Kiedy szalona kramy przewala,
> A me uczucia – to poświst wiatrów.

Takim, jakim jest Lesław, nosi charakter niejednolity, chaotyczny i, jak to powiedzieliśmy, z góry znać w nim rozmaite wpływy. Maniera ówczesna widnieje głównie w mnóstwie zaświatowych postaci, jak czarownice, topielcy, strzygi, upiory itp., tym bardziej, że wszystkie one nie mają nic z akcją wspólnego i są w dramacie na to jedynie, ażeby zaświadczyły obecnością swoją epokę powstania poematu.

Kiedy w *Ojcu Hilarym* Wolskiego szatan podsuwa nóż zemsty skrzywdzonemu bohaterowi, szatan ten poniekąd służyć może za uzmysłowienie samejże idei zemsty; przecież sam jako szatan zupełnie niepotrzebnie mieszany jest do akcji. W *Lesławie* więcej jeszcze zbyteczne są czarownice, z których jedna tajemniczą potęgą budzi miłość w bohaterze i Helenie, bo młodość i piękność starczą aż nadto za podobne czary. Topielce zaś, topielice, strzygi i upiory nawet równie podrzędnej roli nie pełnią w poemacie, są to dekoracje przypomnień podań ludowych, ukochanych przez poetę.

Właściwie więc najważniejszą ideą jego, ideą należącą wyłącznie do Zmorskiego, gdyż nie przebija się w żadnym innym utworze poetów tej doby, jest zżymanie się na układ świata i za nim idąca rehabilitacja szatana.

Przy rozbiorze scen i wyrażeń pojedynczych *Lesław* nasuwa pełno przypomnień – i tak nie tylko *Manfred* przychodzi na pamięć w chwili, gdy przeklina najwyższą potęgę, co krwawe prawa bytu nakreśliła jestestwom, ale więcej jeszcze bluźnierstwa niejednokrotnie wydzierające się ze zbolałej piersi Leopardiego. Wszakże podobnymi słowami zakończył on sławny wiersz do samego siebie.

Nie idzie zatem bynajmniej, by Zmorski był plagiatorem, przeciwnie, jeśli prawdopodobnie znanym mu był Goethe i Byron, wszystko przemawia za tym, że nie wiedział o istnieniu Leopardiego, który daleko później rozpowszechniony został; *Lesław* zaś wyprzedził o wiele zarówno naukową teorię walki o byt, jak rozpaczne systematy filozoficzne Hartmanna i Mainländera*.

Podobieństwa, jakie w nim spotykamy, spowodowane były pokrewieństwem moralnym, działaniem jednakich przyczyn na podobne sobie umysły, skoro Zmorski

* Karl Robert Eduard von Hartmann (1842–1906) – filozof niemiecki, zwolennik pesymizmu, autor *Filozofii nieświadomego* (1869).

sam, zamknięty we własnym kole idei, doszedł do takich rezultatów, jak owi sławni przedstawiciele ludzkości. Doszedł on jednak do nich, nie domyślając się ich istotnego znaczenia, siłą rzutu myśli pierwotnej, nie zaś żadną rozumowaną pracą.

Jak widzieliśmy w jednej z pierwszych poezji jego: *Nocy świętojańskiej*, szatan w jego ówczesnych pojęciach nie miał nic wspólnego z szlachetną postacią z *Lesława*, która na kształt Prometeusza ulitowała się nad nędzą ludzką i za tę litość wiekuistą karę ponosi. Tylko Prometeusz skutecznie działał na polepszenie doli śmiertelnych w czasie, gdy szatan, jak go Zmorski przedstawił, karłowacieje przez swe bezsilne, iście platoniczne uczucia dla człowieka.

Mit Prometeja jest zbliżony bardzo do biblijnej tradycji, bo jak buntowniczy olbrzym dał ludziom rozum i samowiedzę według Ejschyloskiej tradycji, tak biblijny szatan pokusił ich do spożycia owocu z drzewa wiadomości; obok nich szatan *Lesława* jest tylko czczym deklamatorem, który na przekór potędze boskiej nic nie zdołał uczynić.

Mit szatana od wieków ulegał najrozmaitszym tłumaczeniom; pomijając prawowierną tradycję, ten dumny, spiorunowany anioł, skazany na wieczność męczarni, przemawiać musiał do wyobraźni i budził sympatię nie tylko umysłów hardych i buntowniczych, ale i tych wszystkich, co w tej tradycji niebiańskiej współczuli ze zwyciężonym. W chwilach gorącej wiary był on przedmiotem głębokiej litości i nienawiści fanatycznej; jeden z najpoetyczniejszych i najnamiętniejszych umysłów, Św. Teresa, nigdy bez łez nie mogła mówić o szatanie i zwała go: ten nieszczęśliwy, który kochać nie może. Niektóre przecież sekty średniowieczne chwiały się względne do księcia ciemności i uważały go za pokrzywdzonego przez urzędową wiarę.

Umysły fantazjowały na ten temat. Prawdziwym bohaterem *Utraconego raju* Miltona* jest olbrzymia i ponura postać strąconego anioła; przerasta on o wiele miarą swoją wszystkie inne figury poematu – i Bóg, i aniołowie, i pierwsi rodzice nasi karłowato wyglądają przy tym wielkim opisie państwa strąconych duchów i światłości, i ich potężnego władcy. Widocznie wielki umysł Miltona, jego miłość, sprawiedliwość i nienawiść ucisku, odzywały się mimo jego woli może sympatią dla tej wiekuistej męczarni, znoszonej z hardym wyzwaniem.

Byron, który, pogardzając światem, tak wysoko stawiał jednostki bohaterów swoich, w najdoskonalszym z utworów swoich, *Manfredzie*, wprowadza istny pojedynek pomiędzy nieugiętą dumą mędrca rozkazującego potęgom natury a dumą piekielnego władcy, ale w tym pojedynku człowiek, chociaż zwyciężony siłą, jest istotnym zwycięzcą, bo on nie chce oddać ducha swego czyhającemu szatanowi, on mu urąga i w chwili śmierci nawet rzuca mu pogardliwe wyrazy.

Nowa szkoła poetyczna włoska przez usta kilku przedstawicieli swoich, uczciła w szatanie pierwiastek rozumu i świadomość jako czynniki stojące w sprzeczności

* John Milton (1608–1674) – angielski poeta, pisarz, autor *Raju utraconego* (1667), *Raju odzyskanego* (1671) i *Samsona walczącego* (1671).

z wiarą i przez nią potępione. Pogląd ten odpowiada zupełnie prądom obecnego czasu, jest racjonalnym tłumaczeniem mitu i przystosowaniem go do pojęć chwili. Rzeczywiście, kusiciel, który podsunął ludzkości owoc świadomości, jest ojcem wiedzy i w wieku stawiającym ją na świeczniku zasługuje na rodzaj czci. Tę myśl uwydatnił w treściwej i wyrazistej poezji *A Satana* Carducci, a poeta neapolitański Mario Rapisardi, poświęcił jej długi, piętnastopieśniowy poemat pod tytułem *Lucifero*[*].

Tutaj wyraźnie rozum nosi nazwę Lucifera. Opuszcza on piekielne czeluście, wstępując na ziemię; na szczycie Kaukazu spotyka swego wielkiego poprzednika, Prometeja, pierwszego męczennika świata. Olbrzym przykuty i spiorunowany chce go odwieść od przedsięwzięcia wydarcia okrutnym potęgom plemienia ludzkiego, przepowiada próżność usiłowań i własny los jako przestrogę wskazuje. Ale nieustraszony Lucifero go nie słucha i opowiada w zamian własną historię Prometejowi.

Historia ta to dzieje cywilizacji, wedle poglądów Buckla i jego szkoły[*].

Stan pierwotny ludzi i ich umysłu, trwogi nieznanych potęg natury wytwarzają idee bóstw mniej więcej strasznych i złośliwych. Tytani daremnie prowadzili wojnę z niebieskimi potęgami, nie znali właściwej broni przeciwko nim; *bóstwo* tylko rozumem zwyciężone być może, a on, Lucifero, chce za jego pomocą uszczęśliwić ziemię. Gdy ludzie byli pogrążeni w bezwiednym bycie, on to dał im spożyć owoc z drzewa świadomości. Później, gdy Chrystus nauczał miłości niebieskiej, a ludzie zatapiali się w mistycznych kontemplacjach i zapominali o warunkach istnienia, on znowu starał się przywrócić równowagę władz i przywiązać ich do ziemi, do której przykuwały ich prawa samego bytu. On to, Lucifero, był motorem odrodzenia i wszystkich wielkich dzieł sztuki, on świecił na drodze ludzkości jak gwiazda przewodnia, a w zamian za owe dobrodziejstwa – odbiera tylko pogardę. Niewdzięczny świat kamienuje i jego, i sługi myśli jego. Po tej długiej rozprawie z Prometeuszem Lucifero udaje się do Grecji, umiłowanej krainy światła, gdzie narodziły się najcudniejsze i najbardziej harmonijne mity, tam spotyka Hebe, wiekuistą młodość, zawiązuje z nią miłosny stosunek, powołuje znów do życia świat formy i szczęście ma zakwitnąć na ziemi.

Ale wszystkie ciemne potęgi, wylęgłe w wyobraźni niewykształconego człowieka, sprzysięgają się przeciw jasnemu przedstawicielowi rozumu, Lucifero porzuca uśpioną Hebe, ażeby walczyć z nimi. Rozpoczyna się bój zażarty, uwieńczony zwycięstwem. Wówczas Lucifero zstępuje znowu na szczyt Kaukazu głosić Prometeuszowi szczęśliwie dokonane przedsięwzięcie i skończyć jego męczarnie. W jakikolwiek sposób włoski poeta wywiązał się z zadania, jakie sobie postawił, a to już należy do specjalnej literackiej

[*] Giosuè Carducci (1835–1907) – włoski poeta, autor m. in. utworów poetyckich *Do Szatana* (1863) i *Polemiki szatańskie* (1869); Mario Rapisardi (1844–1912) – włoski pisarz, poeta, autor poematu *Lucifero* (Rzym 1877).

[*] Henry Thomas Buckle (1821–1862) – filozof angielski, autor *Historii cywilizacji w Anglii* (1857–1861), jeden z inspiratorów polskiej myśli pozytywistycznej.

krytyki, która tutaj nie jest naszym zdaniem, trzeba przyznać, że cel jego postawiony jest jasno i wyraźnie, jest to ni mniej, ni więcej tylko kult *rozumu*, zaprowadzony widocznie.

W każdym razie umysł włoskiego poety i całej szkoły, której jest najwybitniejszym wyrazem, ma swoją konsekwencję; wiemy, w jaki sposób uważa legendową postać szatana. Czym jest zaś w poezji Zmorskiego, określić niepodobna.

W epoce *Lesława* nie miano pojęcia jeszcze o pozytywnych pojęciach obecnej chwili; cała żywotność skupiała się u przeciwnego bieguna, a Zmorski, pomimo szorstkiej natury, nie był mniej mistycznym od swoich współliterackich kolegów. Jakkolwiek trudno mu się pogodzić z mitem chrześcijańskim, nie przychodzi mu przez myśl zaprzeczyć jego istnieniu, tworzy więc sentymentalną postać, która nie posiada ani ponurej grozy epopei Miltona, ani praktycznej doniosłości Lucifera. Ażeby postać tę przekuć na inną modłę, brakło Zmorskiemu jasno wyrobionej myśli i całego arsenału dowodzeń, rozumowań i faktów, jakimi wiedza wzbogaca wyobraźnię. Nie dziw więc, że poemat jego przeszedł bez echa i nie wywarł żadnego wrażenia – przecież posiadał on niezaprzeczoną oryginalność, niektóre silne wyrażenia i piękne tyrady, całości jednak brakło konsekwencji i artystycznej formy; dramat więc ani w treści, ani w obrobieniu nie posiadał warunków powodzenia, dlatego pozostanie on tylko ciekawym objawem umysłowym, rodzajem literackiego *curiosum*, pomnikiem wreszcie doktryn i prądów ówczesnych.

Lesław, suma poetycznej działalności Zmorskiego, był jego ostatnim oryginalnym dziełem. Ogień wieszczy, niepodsycany stosownym umysłowym wykształceniem, zgasł po tym ostatnim fajerwerku gwałtownych uczuć. Poeta wypowiedział się cały. Uczuł to zapewne sam Zmorski, bo pisał już tylko podania ludowe, które zebrał pracowicie w pieszych wędrówkach po kraju, zapożyczał u źródeł ludowych pieśni, które odpowiadały jego usposobieniu natchnienia, bo tego mu brakło.

Był on spokrewniony z ludem różnymi właściwościami swojej natury: posiadał jego prostotę, szorstkość i dosadność; toteż nie stworzył on idylli, jak Lenartowicz, ale raczej wtajemniczał się w przeszłość; jego zmysł poetyczny naginał się do ludowych wierzeń i odtwarzał je, odnajdując ich znaczenie. Nawet język, jakim władał, nadawał się stokroć lepiej do starych legend i baśni niż do powszechnej mowy.

Jedną z takich ślicznie opracowanych legend jest *Wieża siedmiu wodzów*, którą osiwiali w bojach wodzowie, widząc, że godzina śmierci nadchodzi, każą budować swojej drużynie na białym piasku wiślanych wybrzeży. Robotę jednak dnia całego w nocy łakoma ziemia pożera, ale niezrażeni tym wodzowie każą pomimo to dzień po dniu przez lat kilka powtarzać tę bezużyteczną z pozoru robotę. Aż kiedy nadszedł dzień oznaczony, wodzowie zgromadzili lud na wielką, pożegnalną ucztę i z czarami złotego miodu w ręku, ze złotymi mieczami u boku, w złotych hełmach na głowie, wstąpili na zrąb wieży, zaledwie widomym szczątkiem podniesiony nad ziemią. Ale, o cudo! Zaledwie stanęli na nim, wieża zapadła dźwigać się w górę zaczęła, robota dni

i lat daremną nie była; łakoma ziemia oddała zdobycz swoją, a wieża rosła, aż czołem dosięgnęła nieba. Ale ażeby ludzie jej nie uszkodzili, stała się dla oczów niewidzialną i tylko w górze pomiędzy grupami gwiazd widać siedem hełmów złotych, niby siedem gwiazd ustawionych w półkole.

Czy śliczną tę legendę Zmorski zebrał rzeczywiście pomiędzy ludem, czy jest to wytwór jego własnej fantazji, bo sam przyznaje się w przedmowie, że zapamiętał ją z lat dziecinnych, a potem już nigdy więcej się z nią nie spotkał, zawsze ma ona charakterystyczną cechę wierzeń ludowych, głęboki sens moralny, jak owa praca, z pozoru marna i daremna, która przecież tryumfalnie dźwiga się w niebo oraz łączy obyczajem prostaczków zjawiska świata realnego z mglistymi wspomnieniami dziejów, jak owa gromada gwiazd złożona z siedmiu złocistych hełmów sławnych wodzów.

Pełno innych podań na Mazowszu, Wielkopolsce i Szląsku zebrał starannie Zmorski, nie oblekając ich już poetyczną szatą. Praca ta ma niezaprzeczoną wartość, wszakże wartość niemającą nic wspólnego z poetyczną sławą, jakiej dostąpił.

Porzuciwszy kraj, Zmorski długi czas gościł w południowej Słowiańszczyźnie i tutaj także zbierał pieśni ludowe. Przetłumaczył i powiązał w jedno rozproszone legendy o królewiczu Marku, owym najpopularniejszym z bohaterów serbskich. W przedmowie czyni trafną uwagę, że ten junak dzielny, wierny, nieustraszony, który kocha swój kraj i nieraz mści jego krzywdy, ale zawsze pozostaje w służbie tureckiej, był wiernym odbiciem serbskiej niedoli. Marko, rzeczywista postać, którą legenda zolbrzymiła i cały cykl poezji opiewających jego wielkie dzieła stanowi rodzaj bohaterskiego poematu, spokrewnionego z rycerskimi epopejami XVI i XVII wieku.

Jest tam surowa, dzika poezja, zgodna z dzikim obyczajem tych ludów pierwotnych jeszcze. Krwi w nich tyle, ile wina, a mordów daleko więcej niż miłości. Bohaterowie, jak Roland lub Oliwier z cyklu Karolowego, sami jedni starczą za wojsko; straszne ich miecze od razu na dwoje płatają ludzi i głowy z karków zrąbują. Konie są przyjaciółmi bohaterów, inteligencją i sercem szlachetne zwierzę z nimi się równa. Szaracz, koń Marka, razem z nim pije wiadrami rumiane wino, razem z nim gryzie i tratuje wrogów, przeczuwa nieprzyjaciela, wietrzy mord lub niebezpieczeństwo i nie daje się tknąć obcej ręce.

Zresztą dzikość obyczajów widnieje w każdym epizodzie. Marko wzgardzony wraz z towarzyszami od pięknej dziewczyny, do której przyjechał w zaloty, odcina jej ręce i wydziera oczy w przystępie ślepego gniewu, tym bardziej, że dziewczyna do odmowy dorzuciła pogardę. Równie okrutnie mści się na zdrajczyni Marze, która na śmierć wydała jego brata. W Marku tkwi głęboko uczucie sprawiedliwości; ani wola ojca, ani własny interes, ani żaden wpływ nie jest w stanie nakłonić go do wydania niesłusznego wyroku. Wierny danemu przyrzeczeniu, nawet Turkom dotrzymuje słowa. Jest to ideał dzikiego, ale uczciwego narodu.

W tych wszystkich legendach o serbskim królewiczu widnieje młodzieńcza doba dziejowa, w której człowiek zostaje jeszcze w harmonii z naturą, a wyobrażenia jego

zaludnia świat cały pokrewnymi sobie istotami. Takimi istotami są Wile, fantastyczne kreacje wyobraźni, która nawet rojąc wyższe jestestwa, nie umie im nadać duchowej natury. Wila nie jest dość lotną, aby uciec przed Markiem, kiedy ten rozgniewany dogonić ją pragnie; nie jest to duch w znaczeniu, jakie nadajemy temu wyrazowi; jest to istota cielesna, posiada jednak świadomość przyszłości i znajomość cudownych leków, a Marko, chcąc zmusić ją do ich użycia dla swego druha, używa ku temu najbrutalniejszego sposobu: bije ją, dopóki nie czyni zadość jego woli. Pomimo to, Wila w niektórych razach ma nad nim wyższość widoczną; ona to przychodzi mu oznajmić, po żywocie nadmiernie długim, według jednych legend bowiem, Marko żył sto sześćdziesiąt, a według innych trzysta lat, że przyszła wreszcie chwila śmierci i bohater nad chłodnym zdrojem pod cieniem sosen odwiecznych kładzie się do snu wiecznego, a trup jego jeszcze strachem przejmuje przechodniów, którzy lękają się zbudzić go najlżejszym szmerem i z dala obchodzą miejsce jego spoczynku.

Wprawdzie legendy te nie były wytworzone przez Zmorskiego, ale on je doskonale odczuł, pojął, uszeregował i oblekł stosowną formą.

Zbieranie i ubieranie w szatę poetyczną podań było może najwłaściwszym zadaniem tego wielkiego, ale niekompletnego talentu. Pomysły jego, choć śmiałe, były chaotyczne, a wiersz, obok wielkich piękności, był trudny, spadał nieraz na ton trywialny. Zmorski tworzył pracowicie i nie umiał nigdy powszedniości oblec w szatę piękna. Potrzeba mu było koniecznie tragicznych momentów i wysokiego nastroju, ażeby wydobyć dźwięczny ton ze swojej lutni.

Zapewne dla tych powodów w prozie Zmorski słabszym był o wiele niż w poezji; gardził powszedniością, a sprostać jej nie mógł i powszedniość, mszcząc się za to, wymykała się spod jego pióra. Brakło mu przy tym tego, co czasem wyborowym istotom daje natura, a częściej nierównie kształtuje nauka – dobrego smaku.

Toteż pomimo wielkiego talentu, stał on najniżej w hierarchii moralnej pomiędzy grupą ówczesnych poetów. Brakło mu nie tylko wykształcenia i wiedzy, brakło mu towarzyskiej ogłady, poczucia taktu i miary, a burzliwe zdolności wymagały koniecznie tych wszystkich dodatków i ograniczeń. Natura jego tak w życiu, jak w utworach, nie mogła się nagiąć do żadnych ograniczeń, do żadnej określonej formy, ani nawet do warunków bytu. Owa rozterka z rzeczywistością stanowiła w nim żywioł ujemny i była zadatkiem upadku, albowiem świadczyła o głębokich niedoborach wewnętrznych.

Człowiek, który z jakiego bądź powodu bierze rozbrat z rzeczywistością, skazuje się tym samym na rodzaj kalectwa. Kalectwu temu podlegała cała grupa ówczesnych poetów, ale podlegała w rozmaitym stopniu. Pomiędzy nimi rozbrat z rzeczywistością był dwojakiego rodzaju: pogardzali nią dogmatycznie wedle kursujących naówczas przekonań lub faktycznie niezdolni byli się z nią pogodzić. Czyli inaczej, rozbrat ten pochodził z woli albo też był bezwiedny i, stosownie do tego, wpływał na ich życie i talent. Bujny temperament Wolskiego mógł przekraczać nieraz warunki i formy

powszedniego życia, przecież znał je wybornie i wedle woli nagiąć się do nich umiał. Wybryki jego zadziwiały i gorszyły, ale były to zawsze wybryki tylko.

Norwid, zatopiony w abstrakcjach, miał świat i jego obyczaje w wielkiej pogardzie; nie raczył ugiąć przed nim hardego czoła, ani wchodzić w ugodę żadną, ale świat ten nie był mu obcym wcale.

Lenartowicz, pomimo całej nieśmiałości i jednostronności swojej, nie był wcale pozbawiony umiejętności życia, której dawał nieraz praktyczne dowody. Zmorski nie posiadał jej zupełnie. Był to jeden z powodów szybkiego wyczerpania się i upadku jego talentu. Śmiało można powiedzieć, że w całej grupie ówczesnych poetów nikt więcej nie obiecywał, nikt mniej nie dotrzymał od niego.

Zniechęcony, wyczerpany i zapomniany prawie, umarł za granicą w roku 1867.

Kiedy zastanowimy się bliżej nad tą grupą ludzi tak bardzo uzdolnionych, musimy przyznać, że los ich był smutny; przychodzi nam mimowolnie na myśl wiersz Mickiewicza i mamy ochotę powtórzyć: „Za wcześnie kwiatku, za wcześnie". Ludzie jednak z kwiatami nie mają nic wspólnego, nie są zmuszeni jak one przyjmować biernej roli, a co najważniejsza, człowiek, tak jak kwiat, nie przechodzi daremnie.

Oni to przechowali niewygasłego Znicza poezji, oni obumierającą rozżarzyli w świetne ognisko, od którego iskier zatliła się może niejedna inteligencja. Kto może dośledzić tajemnicze promieniowanie myśli, kto docieknie jej działania? Kto będzie śmiał powiedzieć, że ruch poetyczny, zawarty pomiędzy 1840 a 1850 rokiem, nie wydał swoich owoców?

Ludzie, o których mówiliśmy, stanowili łącznik przeszłości z obecnością; oni to przechowali tradycje poetyczne, zmieszali je z prądami ówczesnymi i przekazali je znowu następnemu pokoleniu.

Niesprawiedliwie byłoby od nich wymagać odgadnięcia przyszłości i jej prądów lub wymawiać brak realizmu. Walczyli oni ze złem w formie, w jakiej zło to przedstawiało się w owej chwili, wedle pojęć, uzdolnienia i stopnia wiedzy swojej.

Przewracając tę kartę przeszłości niepowrotnej, widzimy jednak, że karta ta miała swoje wielkie piękności, zbyt zapomniane może dzisiaj dlatego, że obecna chwila nie licuje z nimi.

BIBLIOGRAFIA

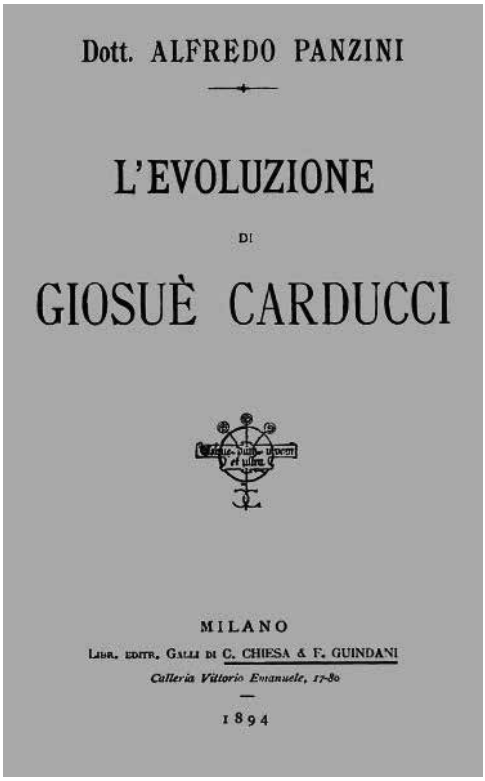

Alfredo Panzini, *L'evolizuine di Giosué Carducci*, Milano 1894

BIBLIOGRAFIA

1. EDYCJE DZIEŁ[1]

A. *Lesław*

– *Lesław. Szkic fantastyczny Romana Z.*, Pleszew: L. Putiatycki, 1847, ss. 48.
– *Lesław. Szkic fantastyczny*, Pleszew 1849.
– *Lesław. Szkic fantastyczny Romana Zmorskiego*, Lipsk: [Bobrowicz], 1854, ss. 48.
– *Lesław. Szkic fantastyczny*, Poznań 1856.
– *Lesław. Szkic fantastyczny*, Lwów: Wydawnictwo Mrówki, 1870, ss. 78.

B. *Wydania dzieł Zmorskiego:*

– *Poezje*, Warszawa 1843.
– *Wieża siedmiu wodzów. Pieśń z podania*, Poznań 1850.
– *Wieża siedmiu wodzów. Pieśń z podania*, z rysunkami W. Gersona, Warszawa 1868.
– *Wieża siedmiu wodzów. Pieśń z podania*, Lwów 1857.
– *Domowe wspomnienia i powiastki*. *Zbieranina*, Warszawa 1854.
– *Podania i baśni ludu w Mazowszu (z dodatkiem kilku szlązkich i wielkopolskich)*, Wrocław 1852.
– *Poezje*, Lipsk 1866.
– *Pisma oryginalne i tłumaczone*, Warszawa 1900.
– *Wybór poezji*, przedmowa Wł. Korotyński, Warszawa 1919.

2. PRACE O ZMORSKIM

– Bartoszewicz Julian, *Do redakcji* [...], „Biblioteka Warszawska" 1868, T. I, s. 299-300.
– Brzeziński Jerzy, *Folklor serbołużycki w kręgu zainteresowań Romana Zmorskiego. (Przyczynek do badania stylu językowego autora)*, „Studia i Materiały WSO w Zielonej Górze", FP/4 (IV), Zielona Góra 1988.

[1] Bibliografia została podzielona na III części.
W pierwszej przywołujemy edycje *Lesława* w XIX w. i wybranych innych dzieł w drukach zwartych. Zaskoczeniem mogą być niejasności dotyczące tak liczby, jak i miejsca wydania *Lesława* (nawet E. Pieścikowski, dz. cyt., powołuje się tu na sprzeczne bibliografie) czy *Pism oryginalnych i tłumaczonych* (jedna czy dwie edycje z 1899 i 1900 roku?). W części II przywołano prace o życiu i twórczości Zmorskiego. Zwraca uwagę brak nowszych opracowań twórczości pisarza. W części III wydzielono wybrane (dawniejsze i XX-wieczne) prace, także wspomnienia o Cyganerii Warszawskiej. I w tej dziedzinie ostatnim osiągnięciem jest wznowienie antologii Stefana Kawyna z serii Biblioteki Narodowej z 2004 roku w serii Skarbów Biblioteki Narodowej w roku 1997. Nowszych prac brak.

– Brzeziński Jerzy, *O środkach leksykalno-semantycznych w „Lirykach i różnych wierszach" Romana Zmorskiego*, „Studia i Materiały WSP w Zielonej Górze", Zielona Góra 1990.
– Brzeziński Jerzy, *Ukształtowanie językowo-stylistyczne poematów pieśniowych Romana Zmorskiego*, [w:] *Język osobniczy jako przedmiot badań lingwistycznych*, red. J. Brzeziński, Zielona Góra 1986.
– Brzeziński Jerzy, *Uwagi o języku i stylu kilku wierszy serbskich i słowackich w tłumaczeniu Romana Zmorskiego*, [w:] „Zbornik Matice Srpska za Slavistika Navi Sad", 1980, T. 30.
– Brzeziński Jerzy, *O ekspresji leksykalno-stylistycznej w „Powiastkach i obrazkach" Romana Zmorskiego*, „Rozprawy Komisji Językowej", Wrocław 1991, T. XVII, s. 135-142.
– Dernałowicz Maria, *Roman Zmorski 1822–1867*, [w:] *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku*, Seria III, *Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831–1863*, T. II, red. M. Janion, M. Dernałowicz, M. Maciejewski, Kraków 1988.
– Dobrzycki Wiesław, *Roman Zmorski (1822–1867)*, „Ziemia Mazowiecka" 1960, nr 1.
– Francew Władimir Andriejewicz, *Polskij słowianofil Romam Zmorskij*, Praga 1919.
– Georgijevic Krešimir, *Srpskohrvatska narodna pesna u poljshoj književnesti. Studija iz upredne istorije slovenskich knijževnosti*, Belgrad 1936.
– Gomulicki Juliusz Wiktor, *Czarny piewca*, „Stolica" 1960, nr 3.
– Grabowska Maria, Janion Maria, *Roman Zmorski*, [w:] *Antologia romantycznej poezji krajowej (1831–1863)*, Warszawa 1958.
– Jagoda Zenon, *Mickiewicz, Zmorski i piosenka „obozowa"*, „Rocznik Naukowo-Dydaktyczny WSP w Krakowie" XI, Kraków 1961.
– Jakóbcówna Milica, *Roman Zmorski jako znawca i tłumacz ludowej poezji serbskiej*, „Acta Uniwersitatis Wratislawiensis" XL. Prace Literackie VII, Wrocław 1965.
– Janik Michał, *Na drogach myśli ludowej. Studia historyczno-literackie*, Lwów 1934.
– Korbut Gabriel, *Zmorski Roman*, [w:] *Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjątki*, red. B. Chlebowski, I. Chrzanowski, A. Drogoszewski, H. Galle, G. Korbut, M. Kridl, T. IX, Lwów 1909.
– Krzyżanowski Julian, *Romana Zmorskiego „Sobotnia Góra"*, [w:] tegoż, *Paralele. Studia porównawcze z pogranicza literatury i folkloru*, Warszawa 1961.
– *Listy Teofila Lenartowicza do Tekli Zmorskiej 1861–1893*, z autografu wydała, wstępem i przypisami opatrzyła J. Rudnicka, posłowie S. Szwalbe, Warszawa 1978.
– Magnuszewski Józef, *Roman Zmorski a Łużyce*, „Pamiętnik Słowiański", T. XII (1962).
– Magnuszewski Józef, *Sprawy słowiańskie na łamach poznańskiego „Tygodnika Literackiego" (1838–1845)*, „Pamiętnik Słowiański", T. V (1955).
– Matyniak Alojzy Stanisław, *Polsko-łużyckie stosunki kulturalne do Wiosny Ludów*, Wrocław 1970.

– Méyet Leopold, *Z nieznanych pamiątek*, „Tygodnik Ilustrowany" 1897, nr 3.
– Mikulski Tadeusz, *„Jak meteor"*, [w:] tegoż, *Spotkania wrocławskie*, wyd. 2, Kraków 1954.
– Orzechowski Marian, *Polskie „odkrywanie" Serbów Łużyckich (pierwsza połowa XIX w.)*, „Śląski Kwartalnik Historyczny", Sobótka 2010, nr 65 (2).
– Piechocka Izabella, *Brzeg w twórczości Romana Zmorskiego*, „Kwartalnik Opolski" 1957, nr 4.
– Pieścikowski Edward, *Liszt i Zmorski*, „Ruch Muzyczny" 1961, nr 20.
– Pieścikowski Edward, *Poeta-tułacz. Biografia literacka Romana Zmorskiego*, Poznań 1964.
– Pieścikowski Edward, *Romana Zmorskiego „Wieża siedmiu wodzów"*, „Slavia Occidentalis" 1964, T. 24.
– Pigoń Stanisław, *„Święto majowe". Romana Zmorskiego poemat obrzędowy o Łużycach*, [w:] *Studia literackie*, Kraków 1951.
– *Podróże Polaków na Łużyce w XIX wieku*, wybór i opr. A. Zieliński, Wrocław 1975.
– Rajnold Władysław [właśc. Korotyński Władysław], *Roman Zmorski. (W pięćdziesiątą rocznicę zgonu)*, „Kurier Warszawski" 1917, nr 56.
– *Roman Zmorski o Liszcie*, „Kurier Warszawski" 1886, nr 3176.
– *Roman Zmorski. Jego dzieła czemu dotąd nie zebrane?*, „Warta" 1880, s. 3112-3113.
– *Sądy współczesnych o twórczości Słowackiego: 1826–1862*, opr. B. Zakrzewski, K. Pecold, A. Ciemnoczołowski, Wrocław 1963.
– Syska Henryk, *Syn Mazowsza. Opowieść o Romanie Zmorskim*, Warszawa 1953.
– Syska Henryk, *Wstęp* [do] R. Zmorski, *Nad Sawą i Drawą*, Warszawa 1956.
– Syska Henryk, *Wstęp* [do] R. Zmorski, *Podania i baśnie ludu*, Warszawa 1955.
– Windakiewicz Stanisław, *Walter Scott i lord Byron w odniesieniu do polskiej poezji romantycznej*, Kraków 1914.
– Wojciechowski Konstanty, *Werter w Polsce*, Lwów 1904.
– Wyder Grażyna, *Ludność łużycka w badaniach polskich uczonych XIX wieku*, „Rocznik Lubuski" 2001, T. XXVII, cz. 2.
– Zdziarski Stanisław, *Pierwiastek ludowy w utworach Romana Zmorskiego*, „Dodatek do Miesięcznika Przegląd Tygodniowy" 1900, z. 5.
– „Zeszyty Łużyckie" 1995, nr 12, tu: *Roman Zmorski* [numer monograficzny: *Sylwetki polskich przyjaciół Łużyczan*].
– Zmorska Tekla, *Przyczynek do wspomnienia o Romanie Zmorskim*, „Kłosy" 1885, nr 1063.
– Zmorska Zbigniewa, *Nitka jedwabiu. Powieść z niedawnych czasów*, Poznań 1905.
– *Z notatnika pamiętniczego Juliana Bartoszewicza (1842–1848)*, wstęp i przypisek K. Bartoszewicz, „Przegląd Historyczny" 1912 (R. XIV) s. 261, 266.

3. PRACE O CYGANERII WARSZAWSKIEJ

– Dembowski Edward, *Pisma*, red. A. Śladkowska, M. Żmigrodzka, T. 1-5, Warszawa 1955.
– Gembarzewski Miłosz, *Przywódca Cyganerii warszawskiej Seweryn Fillenborn*, „Tygodnik Ilustrowany" 1931, nr 47.
– Gomulicki Juliusz Wiktor, *Przeprowadzka Heliogabala. Z życia Cyganerii warszawskiej*, „Stolica" 1963, nr 15.
– Gomulicki Wiktor, *Sylwety i miniatury literackie*, Kijów 1916.
– Jodełka Tomasz, *Wstęp* [do:] W. Wolski, *Domek przy ulicy Głębokiej*, Warszawa 1956.
– Kaltenbergh Lew, *Cygańska topografia stolicy*, „Stolica" 1953, nr 5.
– Kawyn Stefan, *Cyganeria Warszawska*, Wrocław 1967, BN I, nr 192.
– Kawyn Stefan, *Cyganeria Warszawska. Z dziejów obyczajowości literackiej*, Warszawa 1938.
– Kraushar Aleksander, *Salony i zebrania literackie warszawskie na schyłku wieku XVIII i w ubiegłym stuleciu*, Warszawa 1916.
– Lorentowicz Jan, *Legenda „Cyganerii Warszawskiej"*, „Myśl Polska" 1915, T. I.
– Marrené-Morzkowska Waleria, *„Cyganeria Warszawska"*, Warszawa 1905.
– Nowaczyński Adolf, *Cyganeria warszawska. Sztuka w czterech aktach*, Warszawa 1912.
– Nowakowski Jan, *Cyganeria Warszawska. (Między legendą a prawdą)*, „Przegląd Humanistyczny" 1963, z. 6.
– Szargot Maciej, J*ózefa Bogdana Dziekońskiego i jego kompanów „życie na żart"*, „Ruch Literacki" 2014, z. 1.
– *Sztuczne raje... Używki w literaturze*, red. M. Kuźniak, Słupsk 2002.
– Szymanowski Wacław, Niewiarowski Aleksander, *Wspomnienia o Cyganerii Warszawskiej*, opr. J. W. Gomulicki, Warszawa 1964.
– Wasylewski Stanisław, *Zapomniana cyganeria*, „Gazeta Polska" 1935, nr 186.
– Wilkońska Paulina, *Moje wspomnienia o życiu towarzyskim w Warszawie*, opr. Z. Lewinówna, red. J. W. Gomulicki, Warszawa 1959.
– Witte Kazimierz, *„Cyganeria Warszawska" i Teofil Lenartowicz*, „Tygodnik Ilustrowany" 1904, T. II.
– Zakrzewski Bogdan, *„Tygodnik Literacki" 1838–1845. Zarys monograficzny*, Warszawa 1964.

NOTY O AUTORACH

HALINA KRUKOWSKA, prof. senior Uniwersytetu w Białymstoku, dr hab. Autorka monografii: *Noc romantyczna (Mickiewicz, Malczewski, Goszczyński). Interpretacje* (Białystok 1985, wydanie II: Gdańsk 2011) oraz prac poświęconych nocnej, ciemnej stronie wyobraźni romantycznej: *Noc Fausta, noc Konrada*; *Szkoła ukraińska w poezji romantycznej*, a także studiów nad „poezją czystą" w poezji polskiej (*„Pan Tadeusz" jako poezja czysta*). Inicjatorka i pierwsza redaktorka Naukowej Serii Wydawniczej „Czarny Romantyzm". Założycielka i kierownik Zakładu Literatury Oświecenia i Romantyzmu na Uniwersytecie w Białymstoku. Autorka studiów: *Chrześcijańska duchowość Adama Mickiewicza* (2003), *Bóg Mickiewicza na tle apofatyzmu wschodniego chrześcijaństwa* (2004) oraz *Tragizm, heroizm, groza* (2005). Współtworzy pismo białostockiego KIK-u: „Słowo". Współzredagowała m.in. tomy: *Mickiewicz. W 190-lecie urodzin* (Białystok 1993), *Postacie i motywy faustyczne w literaturze polskiej* (Białystok 1999-2001, T. I-II), *Problemy tragedii i tragizmu. Studia i szkice* (Białystok 2005). Pracownik Katedry Badań Filologicznych „Wschód – Zachód". Aktualnie przygotowuje książkę: *„Pan Tadeusz" jako poezja czysta. Studia o Mickiewiczu*.

JAROSŁAW ŁAWSKI, prof. zw., badacz wyobraźni, twórca Katedry Badań Filologicznych „Wschód – Zachód" na Uniwersytecie w Białymstoku. Zainteresowania: literatura polska i powszechna od XVIII do XXI wieku, przemiany wyobraźni, faustyzm i bizantynizm w literaturze i kulturze, romantyzm, modernizm, poezja Czesława Miłosza. Redaktor naczelny Naukowych Serii Wydawniczych „Czarny Romantyzm", „Przełomy/Pogranicza", „Colloquia Orientalia Bialostocensia". Wydał między innymi: *Wyobraźnia lucyferyczna. Szkice o poemacie Tadeusza Micińskiego „Niedokonany. Kuszenie Chrystusa Pana na pustyni"* (Białystok 1995), *Ironia i mistyka. Doświadczenia graniczne wyobraźni poetyckiej Juliusza Słowackiego* (Białystok 2005), a także *Mickiewicz – Mit – Historia. Studia* (Białystok 2010). Współredaktor tomów: *Postacie i motywy faustyczne w literaturze polskiej* (t. I-II, Białystok: 1999, 2001), *Pogranicza, cezury, zmierzchy Czesława Miłosza* (Białystok 2012), *Dramat w nowych ujęciach teoretycznych. Studia slawistyczne* (Białystok – Odessa 2014). Edytor *Horsztyńskiego* Słowackiego w serii „Biblioteki Narodowej" (Warszawa 2009), polskiego przekładu *Fausta* A. E. F. Klingemanna (Białystok 2013) i *The Remembrances of a Polish Exile* A. A. Jakubowskiego (Białystok 2013). Członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Wydał ostatnio: *Miłosz: „Kroniki" istnienia. Sylwy* (Białystok 2014).

Caspar David Friedrich – Krajobraz cmentarny (Abteil im Eichwald, – 1809–1810)

ROMAN ZMORSKI. LESŁAW. A FANCIFUL SKETCH. THE CRITICAL EDITION. INTRODUCTION BY HALINA KRUKOWSKA. EDITION AND APPENDIX BY JAROSŁAW ŁAWSKI. SCHOLARLY PUBLISHING SERIES 'DARK ROMANTICISM'. BIAŁYSTOK 2014.

Summary

The present volume offers a critical edition of one of the most controversial works of late Polish Romanticism – *Lesław* (1847) by Roman Zmorski (1822–1867). The poem, or a „fanciful sketch", abounds in intertextual references to works of Krasiński, Goethe, Mickiewicz and other writers of the first half of the 19th century. And that is why Zmorski was incriminated for plagiarism. Because of its rebellious and nihilistic elements, the poem was an outrage. Full of dark motifs and symbols, it conjures up a vision of man who, instigated by Satan, rather than being obedient to God prefers to be damned in hell; it shows love as a destructive illusion.

Lesław would either arouse enthusiasm (for example, in the eminent critic of German Romanticism Edward Dembowski) or become a laughing stock as a rhetorically overblown and one-sided work. In her interpretation, Professor Krukowska explores the „nightly" aspect of Zmorski's imagination, or the darkish world he created, and meticulously analyses the demonic „Stranger".

The present edition is supplemented by the extensive „Appendix" which includes:

Jarosław Ławski's explication of Zmorski's legend.

Selected works – poems mostly – which feature dark motifs (including Zmorski's paraphrase of Goethe's *Walpurgisnacht*).

Zmorski's forgotten works, particularly his reviews and minor articles.

Opinions about Zmorski – both those that appeared immediately after the publication of *Lesław* and later, after Zmorski's death. In this group of texts there is a sarcastic pamphlet condemning the ideas included in *Lesław*, and Karol Libelt's opinion that recognizes Zmorski as an important voice of Polish Romanticism as well as an outstanding translator of Serbian literature. In fact, Zmorski was knowledgeable about West and South Slavs – he is still remembered and valued among them.

The volume has been supported by the grant of the National Programme for the Development of the Humanities (covering a ten-volume edition of works classified as „dark Romanticism"). The introduction was written by Professor Halina Krukowska, the author of *Romantic Night* [*Noc romantyczna*, second edition, Gdańsk 2010], who created a research team dedicated to the examination of Polish Romantic literature in west European context. The „Appendix" and the explication of Zmorski's legend were prepared by Professor Jarosław Ławski, Head of Chair in Philological Studies

„East – West" at the University of Białystok. The volume also includes „Bibliography" that collects nineteenth-century and contemporary research papers on Roman Zmorski. What needs to be emphasized is the fact that the poet tended to combine (intertextually) Slavic folklore, European mythology, Romantic scholarship and elements of Slavophile ideology. He was, at the same time, a member of so-called Warsaw bohemia and a Polish patriot (imprisoned and later banished). While in exile in Dresden, he associated himself with Lusatian national revival movement. His major publications include: one volume of *Poetry* (1843), a collection *Folk Fairy Tales* (1852), *Household Memories and Stories* (1854), a famous volume of translations *Serbian National Songs* (1853), *Lesław* (1847), *Folk Fairy Tales of Masovia* (1852) and a long poem *The Tower of Seven Commanders* (1857). He died in Dresden.

ROMAN ZMORSKI, LESLAW. FANTASTISCHE SKIZZE, KRITISCHE AUSGABE. DAS VORWORT UND DIE BEARBEITUNG DES TEXTES: HALINA KRUKOWSKA, DER ANHANG UND DIE REDAKTION DES BANDES: JAROSŁAW ŁAWSKI, WISSENSCHAFTLICHE PUBLIKATIONSREIHE „DIE SCHWARZE ROMANTIK", BIAŁYSTOK 2014

Zusammenfassung

Der präsentierte Band ist eine kritische Ausgabe eines von den am meisten kontroversen Werken der polnischen, späteren Romantik u.d.T.: *Lesław* (1847), dessen Autor Roman Zmorski (1822-1867) hieß. Dieses Poem oder *die fantastische Skizze* ist mit intertextuellen Bezügen zu Werken von Krasiński, Goethe, Mickiewicz und von vielen anderen Autoren aus der 1. Hälfte des 20. Jahrhunderts überfüllt. Aus diesem Grunde warf man dem Autor sogar das Plagiat, die Unselbständigkeit vor. Die Empörung erweckte die Aussage des Werkes: nihilistisch und rebellisch. Das mit dunklen Motiven und Symbolen überfüllte Werk skizziert die Vision eines Menschen, der teuflischen Einflüssen unterliegt. Er will lieber ins Verderben rennen, als sich den göttlichen Gesetzen unterzuordnen. Auch Liebe wird hier als ein illusorisches und zerstörendes Gefühl gezeigt.

Lesław erweckte entweder Enthusiasmus (wie bei dem Kritiker Edward Dembowski, einem hervorragenden Kenner der deutschen Romantik) oder er wurde zum Gegenstand des literarischen Spottes als Werk, das viel Übertreibung und Pathos enthält und eindimensional ist. Prof. Krukowska bringt in ihrer Interpretation die Nachtseite des Vorstellungsvermögens von Zmorski, seine Imagination der Dunkelheit hervor. In einer detaillierten Weise interpretiert sie auch die dämonische Gestalt eines „Unbekannten".

Zur Edition des Werkes hat man den *Anhang* angefügt, der enthält:

1. Die Abhandlung von J. Ławski, die eine literarische Legende von Zmorski darstellt.

2. Ausgewählte Werke, am meisten Gedichte, in denen dunkle Motive vorkommen, darunter ein Fragment der Paraphrase der *Walpurgisnacht* von Goethe, wurden von Zmorski vollbracht.

3. Vergessene Werke von Zmorski, besonders seine Rezensionen der romantischen Werke und kleine Artikel.

4. Schriften über diesen Schriftsteller. Man publizierte sie gleich nach der Veröffentlichung von *Lesław*, sowie nach dem Tod von Zmorski, darunter ein sarkastisches Feullieton - Pamphlet, das die Ideen von *Lesław* verspottete. Dazu zählten auch die Schriften des Philosophen, Karol Libelt. Sie räumen Zmorski einen wichtigen Platz in der romantischen Literatur ein. Libelt war ein origineller Schöpfer, Dichter und ausgezeichneter Übersetzer der serbischen Literatur. Zmorski kannte hervorragend die

Kultur der Südlichen und Westlichen Slawen, unter denen er bis heute hochgeschätzt wird. Man behält ihn dort in der ständigen Erinnerung.

Der Band ist das Ergebnis der Arbeit einer Gruppe, die den Zuschuss des Nationalen Programms für die Entwicklung der Geisteswissenschaft realisiert: Die Edition, die in 10 Bänden zur Strömung „der schwarzen Romantik" gehört. Das Vorwort schrieb Prof. Krukowska, die Autorin der Monographie *Eine romantische Nacht* [Aufl.2, Gdańsk 2010], die an der Universität in Białystok eine wissenschaftliche Gruppe gründete, die die Literatur der polnischen Romantik im westeuropäischen Kontext forscht. Den Anhang und das Vorwort, das die literarische Legende von Zmorski besprach, bearbeitete Prof. Jarosław Ławski, Leiter des Lehrstuhls für Philologische Untersuchungen „Ost – West". Den Band bildet eine *Bibliographie*, die gegenwärtige Arbeiten über Roman Zmorski und diese aus dem 19. Jahrhundert über ihn enthält. Er war ein hervorragender polnischer Dichter und romantischer Übersetzter. Es ist wichtig zu betonen, dass Zmorski ein Dichter war, der in seinem Schaffen – nach den Regeln der intertextuellen Bezügen – slawische Folklore, europäische Mythologie, romantische Gelehrsamkeit, Elemente der slawophilen Ideologie verknüpfte. Er war sowohl Vertreter der sog. Warschauer Boheme, als auch polnischer Patriot, der verhaftetet und zur Emigration verurteilt wurde. Im Exil in Dresden stand er mit Vertretern der sorbischen Bewegung der nationalen Wiedergeburt in Verbindung; in dieser deutschen Stadt starb er. Er veröffentlichte einen Band der originellen *Poesie* [1843], die Sammlung *Legenden und Volksmärchen* [1852] sowie *Die Erinnerungen aus dem Hause und Erzählungen* [1854] und einen berühmten Band der Übersetzungen *Die nationalen sorbischen Lieder* [1853]. Zu seinen wichtigsten Werken gehören: das Drama *Lesław*, der Band *Legenden und Volksmärchen in Masowien* [1852] und das Poem *Der Turm der sieben Anführer* [1857].

INDEKS NAZWISK

A
Abrams Meyer Howard – 33,
Ajschylos – 357,
Alichniewicz Anna – 43,
Andersen Hans Christian – 143,
Ariosto Ludovico – 233,
Artaud Antonin – 15,
Arystofanes – 280,

B
Bachórz Józef – 28, 32, 272,
Bajko Marcin – 4,
Baliński Karol – 318,
Baliński Michał – 199,
Barthes Roland – 53,
Bartholdy Felix Mendelssohn – 185,
Bartoszewicz Julian – 61, 141, 151, 318, 365, 367,
Bartoszewicz Kazimierz – 367,
Bednarek Henryk – 32,
Berghauzen Janusz – 128,
Berwiński Ryszard – 28,
Białobrzeska Marta – 131,
Bielowski August – 28, 336,
Bieńczyk Marek – 15,
Biergiel Małgorzata – 4,
Bini Gino de – 8,
Bismarck Otto von – 280,
Bona Sforza, królowa Polski – 202-203, 206, 230,
Boratyński Antoni – 142,
Borowy Wacław – 24,
Brockhaus Friedrich Arnold – 61,
Brodowski Karol – 131, 148, 164,
Brodowski Tadeusz – 131, 148, 164,
Brodziński Kazimierz – 19-21, 127, 317, 321, 337, 340,
Brzeziński Jerzy – 365-366,
Brzoza Elżbieta – 143,
Brzozowska Teresa – 25-26,

Brzozowski Jacek – 32,
Buber Martin – 33,
Buckle Henry Thomas – 358,
Budziłowicz Jakób – 138, 200, 211, 343,
Buhl Franciszek – 22,
Bujnicki Kazimierz – 233-234,
Burzka-Janik Małgorzata – 4, 218,
Byron George Gordon – 15-21, 31, 33, 137, 149, 328, 345, 355-357, 367,

C
Carducci Giosuè – 358, 364,
Chateaubriand François René– 16,
Chevalier Jacques – 53,
Chlebowski Bronisław – 132, 366,
Chojecki Edmund – 136,
Chrzanowski Ignacy – 132, 366,
Ciborowska Lidia – 165,
Cichowicz Stanisław – 33,
Ciemnoczołowski Artur – 367,
Cieszkowski August – 199,
Cieśla-Korytowska Maria – 45,
Clark William R. – 43,
Cybulski Wojciech – 148,
Czajkowska Agnieszka – 4,
Czajkowski Antoni – 147, 344,
Czajkowski Michał (Sadyk Pasza) – 150,
Czarnomorska Jolanta – 147,
Czartoryski Adam Jerzy – 150-151,
Czerwiński Grzegorz – 4,
Czubińskij P. – 302,

D
Dalman Magdalena – 38,
Dambek Zofia – 147,
Danek Danuta – 149,
Darowski Mieczysław – 154,
Dąb-Kalinowska Barbara – 22,
Delacroix Eugène – 60,
Dembowski Edward – 10, 14, 18, 22-23, 61-62, 125, 147-148, 158, 207-208, 260,

(261-266), 261, 266, 343, 368, 371, 373,
Dernałowicz Maria – 16, 19, 29, 31, 162, 191, 210, 267, 272, 366,
Descartes René (Kartezjusz) – 34,
Dębska-Kossakowska Aleksandra – 15,
Dietzsch Steffen – 35, 45,
Dmochowski Franciszek Salezy – 151,
Dobrzycki Wiesław – 366,
Doktór Jan – 33,
Doroszewski Witold – 132,
Drogoszewski Aureli – 132, 366,
Durand Gilbert – 14, 46, 53-54, 58,
Dworaczek Józef Bohdan – 147,
Dziekoński Józef Bohdan – 25, 27, 128-129, 131-132, 134-136, 141, 147-149, 151, 156, 164-165, 214, 258, 318, 323, 344,

E
Eliade Mircea – 14, 59,
Erben Karel Jaromir – 143,

F
Falicka Krystyna – 14-15,
Filipowicz Stanisław – 59,
Filleborn Seweryn – 128-129, 131-135, 147, 164, 211, 318, 323, 343-344, 368,
Flaubert Gustave – 39,
Francew Władimir Andriejewicz – 366,
Friedrich Caspar David – 12, 124, 370,

G
Galileusz (właśc. Galileo Galilei) – 149,
Galle Henryk – 62, 132, 366,
Gancewski Jan = 54,
Garczyński Stefan – 28, 30-31, 44, 46,
Gardziejewski Ignacy – 25,
Garibaldi Giuseppe – 280,
Gazda Grzegorz – 59,
Gembarzewski Miłosz – 368,
Gerson Wojciech – 126, 332, 365,
Głowiński Michał – 129,
Goethe Johann Wolfgang von – 9, 16, 18, 21, 31, 35, 43, 130, 143, 149, 160, 185, 199,

272, 288, 296, 319, 328, 332, 335, 356, 367, 371, 373,
Gomulicki Juliusz Wiktor – 22, 24, 131, 135, 138, 148-149, 164, 272, 313, 366, 368,
Gonta Iwan – 224,
Gorczakow Michał – 145,
Gosławski Maurycy – 296,
Goszczyński Seweryn – 13, 38, 50-52, 219, 235, 296, 342, 369,
Grabiński Stefan – 56,
Grabowska Maria – 51, 191, 366,
Grabowski Michał – 218, 234, 237-238, 242,
Graff Piotr – 33,
Grążawski Kazimierz – 54,
Grot Zdzisław – 280,
Groza Aleksander Karol – 10, **(217-243)**, 217, 340,
Gumkowski Marek – 267,
Gurbiel Andrzej – 162,
Gutowski Wojciech – 4, 14,

H
Hanka Václav – 194,
Hanuszkiewicz Adam Stanisław – 30,
Hartmann Karl Robert Eduard von – 356,
Hegel Georg Wilhelm Friedrich – 46, 288,
Hertz Paweł – 22,
Heschel Abraham Joshua – 59,
Hoffman Karol Boromeusz – 289,
Hoffmann Ernst Theodor Amadeus – 36,
Holewiński Józef – 5,
Hołowiński Ignacy – 217,
Homer – 256, 337, 342,
Horacy – 280,
Hugo Wiktor – 213,
Hurban Jozef Miloslav – 143, 335,
Hutnikiewicz Artur – 22,

I
Iwaszkiewicz Jarosław Leon – 30,
Izabela I Kastylijska, królowa Kastylii – 290,
Izdebska Agnieszka – 59,

J

Jachowicz Stanisław – 199,
Jagoda Zenon – 366,
Jakóbcówna Milica – 366,
Jakubowski August Antoni – 369,
Jan Chrzciciel, św. – 9, 11, 61, 175, 309,
Janicka Anna – 4, 19, 43, 55, 142,
Janik Michał – 366,
Janion Maria – 14, 16-19, 22-25, 29-31, 44, 47, 51, 56, 162, 191, 210, 267, 272, 366,
Jankowski Placyd – 129,
Jan Paweł II, papież – 34,
Jarosińska Izabela – 210,
Jasiński Jakub – 47,
Jasionowicz Stanisław – 53,
Jaszowski Stanisław – 203,
Jellenta Cezary (właśc. Hirszband Napoleon) – 127,
Jezus Chrystus – 20, 34, 39, 48, 143, 152, 185, 222-223, 239, 289, 309-310, 335, 358-359, 369,
Jodełka Tomasz – 134, 368,
Jucewicz Adam Ludwik (Ludwik z Pokiewa) – 302-303,

K

Kalinowska Maria – 4, 50, 129,
Kaltenbergh Lew – 368,
Kamiński Aleksander – 128,
Kapełuś Helena – 25,
Karadžić Vuk Stefanović – 158, 310, 337, 340,
Karłowicz Jan – 302,
Kaszewski Kazimierz – 328,
Kawyn Stefan – 19, 22-25, 27, 29, 31, 36, 130, 163, 368,
Kaźmierczak Zbigniew – 4,
Kenig Józef – 129, 137, 147, 164-165,
Kieżuń Anna – 165,
Kisielewski Jan August – 129,
Kiślak Elżbieta – 129,
Klaczko Julian – 286-287,
Kleiner Juliusz – 32,
Klingemann August Ernst Friedrich – 45, 369,
Klossowski Pierre – 33,

Kobielus Stanisław – 20,
Kochaniec Sebastian – 4,
Kocjan Krzysztof – 14,
Kolarzowa Romana – 14,
Kolberg Oskar – 25, 297-298, 302-305, 308,
Kolbuszewski Jacek – 15,
Kollar Jan – 143, 335,
Kolumb Krzysztof – 290,
Kołłątaj Hugo – 237,
Komorowski Ignacy – 147,
Komorowski Józef – 147,
Konfucjusz – 293,
Kopernicki Izydor – 297-298,
Kopij-Weiß Marta – 45,
Korbut Gabriel – 132, 137-138, 141, 162, 366,
Kordel Jacek – 15,
Korotyński Władysław (Rajnold Władysław) – 28, 365, 367,
Korsak Julian – 272,
Kościuszko Tadeusz – 250-251,
Kowalczykowa Alina – 4, 55, 142,
Kowalski Grzegorz – 55, 142,
Koźmian Kajetan – 199,
Krajewski Seweryn – 165,
Kraków Paulina – 165,
Krasicki Ignacy – 315,
Krasiński Zygmunt – 15, 18-19, 21, 31-33, 39, 127, 130, 138, 149, 160, 342, 371, 373,
Kraszewski Józef Ignacy – 19, 129, 139, 141, 213, 233-234, 237, 272, 341,
Kraushar Aleksander – 163, 368,
Krešimir Georgijevic – 366,
Kridl Manfred – 132, 366,
Kristeva Julia – 59,
Krukowska Halina – 3-4, 9, 11, **(13-59)**, 13-14, 22, 30, 33, 38, 45, 51, 127, 149, 242, 369, 371, 373-374,
Krzemieniowa Krystyna – 35,
Krzywobłocka Bożena – 22,
Krzyżanowski Julian – 25, 32, 366,
Kukiełko Dariusz – 4,
Kurc A. – 199,
Kuziak Michał – 4, 15, 135, 368,

L
Latusek Arkadiusz – 162,
Lebioda Dariusz Tomasz – 39,
Lelewel Joachim – 27, 141, 151,
Lenartowicz Teofil – 22, 25-26, 139-140, 147-148, 151-152, 164, 323, 350, 362, 366, 368,
Lenin Włodzimierz – 32,
Leopardi Giacomo – 162, 350, 356,
Lesznowski Antoni – 16, 343,
Levittoux Karol – 128,
Lewenthal Samuel – 144,
Lewestam Fryderyk Henryk – 10, 159-160, **(267-271)**, 267,
Lewinówna Zofia – 18, 138, 368,
Libelt Karol – 10, 125, 144, 159, **(288-295)**, 288-289, 371, 373,
Libera Leszek – 4, 45,
Liciński Ludwik Stanisław – 129,
Linda Josef – 194,
Liska K. – 7,
Liszt Franciszek – 26, 28, 141-142, 156, 324,
Lorentowicz Jan – 368,
Lubicz Piotr – 33,
Lubomirski Edward – 45,

Ł
Ławski Jarosław – 9, 11, 19, 31, 33, 40-47, 51, **(127-166)**, 127, 129-132, 134, 136, 138, 145, 150-151, 156, 161, 165-166, 218, 242, 369, 371-374,
Łoziński Władysław – 47-48,
Łukaszewicz Lesław – 294,

M
Maciejewski Jarosław – 30,
Maciejewski Marian – 19, 162, 191, 210, 267, 272, 366,
Maciejowski Wacław Aleksander – 199, 336,
Magnuszewski Dominik – 273, 323,
Magnuszewski Józef – 366,
Mainländer Filip – 162, 354, 356,
Majorkiewicz Jan – 131, 164-165,
Maksymowicz Michał – 332,
Malczewski Antoni – 38, 50-51, 130, 138, 241-242, 346, 369,
Malczewski Jacek – 190,

Marcel Gabriel – 33,
Markiewicz Henryk – 45,
Markuszewska Agnieszka – 39,
Marrené-Morzkowska Waleria – 10, 26, 62, 142, 161-162, **(348-362)**, 348, 368,
Matuszewski Krzysztof – 33,
Matyniak Alojzy Stanisław – 366,
Mech Krzysztof – 49,
Melbechowska-Luty Aleksandra – 25,
Meyer Peter – 22,
Méyet Leopold – 154, 367,
Michałowska Helena – 24, 34,
Miciński Tadeusz – 369,
Mickiewicz Adam – 16-19, 26-28, 30-33, 37-39, 45, 47, 127-128, 130, 138, 143, 149-151, 163, 216, 233, 238, 299-300, 302, 319, 328, 336, 342, 362, 366, 369, 371, 373,
Mieczkowski Jan – 5,
Mikulski Tadeusz – 367,
Milton John – 357, 359,
Miłosz Czesław – 32, 369,
Miniszewski Józef – 129, 137, 164,
Mirza Szafi – 143,
Motty Marceli – 10, 18, 125, 160, **(280-287)**, 280,
Murger Henri – 314,
Murillo Bartolomé Esteban – 135,
Musiał Zbigniew – 59,

N
Nakwaska Anna – 10, **(201-206)**, 201,
Nalepa Marek – 4,
Napoleon Bonaparte, cesarz Francuzów – 251,
Nawrocka Ewa – 131,
Niewiarowski Aleksander – 10, 22, 24, 128-129, 131, 134-135, 137, 146-148, 152-153, 156, 160-161, 163-165, **(272-279)**, 272, **(342-347)**,
Norwid Cyprian Kamil – 11, 18, 25, 34, 129-130, 141, 146-149, 162, 164-165, 312, 323, 344, 348, 350, 362,
Norwid Ludwik – 34-36, 42, 129, 141, 146-148, 162, 164, 323,
Nowaczyński Adolf – 165-166, 368,
Nowakowski Jan – 162, 368,
Nowicka Elżbieta – 4,
Nowosielski Antoni – 143,

Nożyński Tadeusz – 280,

O
Obrusznik-Partyka Maria – 165,
Oehlenschläger Adam Gottlob – 335,
Olech Barbara – 165,
Oleksowicz Bolesław – 32, 131,
Olesiewicz Marek – 4,
Olędzka-Frybesowa Aleksandra – 21,
Olizarowski Tomasz August – 130, 218,
Opałek Mieczysław – 137,
Ordon Konstanty Julian – 26,
Orzechowski Marian – 367,
Ossoliński Józef Maksymilian – 62,
Owczarz Ewa – 14,
Ozorowski Edward, Abp – 4,

P
Panzini Alfredo – 364,
Paprocka-Podlasiak Bogna – 43,
Partyka Jacek – 4,
Pascal Blaise – 53,
Paskiewicz Iwan Fiodorowicz – 23, 30, 59,
Paszek Paweł – 15,
Paszkowski Józef – 199,
Patro-Kucab Magdalena – 19,
Pecold Kazimierz – 367,
Piast Stanisław, książę mazowiecki – 203-205,
Piechocka Izabella – 367,
Pieszczachowicz Jan – 130,
Pieścikowski Edward – 18, 28-29, 31, 61, 127, 132, 137, 139-141, 145, 150-152, 155-156, 207, 367,
Pigoń Stanisław – 367,
Pini Tadeusz – 13,
Piotr Apostoł – 309, 335,
Piwińska Marta – 18, 29, 50,
Płuciennik Jarosław – 59,
Podbereski Andrzej – 303,
Podraza-Kwiatkowska Maria – 44,

Poe Edgar Allan – 56,
Pol Wincenty – 28,
Pomorski Adam – 43,
Poniatowski Józef Antoni, książę – 320,
Poniatowski Stanisław August, król Polski – 290,
Potocki Leon – 199,
Potocki Wojciech – 199,
Praetorius Johannes – 121,
Przybylski Ryszard – 21, 29, 46,
Przybyszewski Stanisław – 129,
Przychodniak Zbigniew – 16, 28,
Putiatycki Ludwik – 61, 261, 365,

R
Radziejowska Katarzyna – 203,
Radziejowska Urszula – 203-206,
Rambert J. H. – 122,
Rapisardi Mario – 8, 162, 358,
Reczek Jan – 14,
Reder Violetta – 59,
Reeve Henryk – 21, 149,
Risticz Jan – 143, 340,
Ritz German – 19,
Romanowski Mieczysław – 346,
Rosiek Stanisław – 131,
Rościszewski Krzysztof – 166,
Rubens Peter Paul – 135,
Rudnicka Jadwiga – 140, 366,
Rusek Iwona E. – 4,
Ruszczyc Janina – 22,
Rzążewski Adam – 10, 156, 161, **(320-341)**, 320,
Rzewuski Henryk (pseud. Jarosz Bejła) – 218,

S
Saganiak Magdalena – 19,
Sas Maksymilian – 15,
Sawicki Stefan – 41,
Schiller Friedrich Johann von – 335,
Scott Walter – 205, 367,

Semków Milica – 143,
Siedlecki Michał – 4,
Siemieński Lucjan – 28, 194, 337, 340,
Sierpiński Seweryn Zenon – 10, 62, 128-129, 131, 135, 164-165, **(210-216)**, 210-211, 318, 340,
Sinko Zofia – 59,
Skarbek Janusz – 59,
Skimborowicz Hipolit – 61, 200, 211, 343,
Skoczek Anna – 162,
Skrodzki Eugeniusz – 137,
Słowacka Salomea z Januszewskich – 154,
Słowacki Juliusz – 15-16, 18, 27, 31-33, 40, 47, 52, 127, 130, 138, 142, 151-155, 162, 238, 269, 273, 288, 328, 342, 347, 367, 369,
Słupecki Leszek P. – 54,
Służalski Henryk – 150-151,
Smaroń Agnieszka – 35,
Sobolewska Justyna – 142,
Sobolewski Paweł – 145-146,
Sokołowski Mikołaj – 4, 19, 31,
Stajewska Zofia – 28, 30, 46,
Starnawski Jerzy – 155,
Stefanowska Zofia – 39,
Steinborn Adam – 22,
Strzyżewski Mirosław – 141,
Stupnicki Hipolit – 328,
Sudolski Zbigniew – 21,
Synoradzki Michał – 165,
Syska Henryk – 128, 139, 150, 367,
Szabrański Józef Antoni – 199, 323,
Szargot Barbara – 129,
Szargot Maciej – 129, 135,
Szekspir William – 17-18, 60, 217, 268-269,
Szkolnicki Zbigniew – 143,
Szladowski Marek – 19,
Sztachelska Jolanta – 4,
Szturc Włodzimierz – 4, 15, 18,
Szwalbe Stanisław – 140, 366,
Szymanowska Zofia – 150,
Szymanowski Wacław – 10, 22, 24, 128-129, 131, 134-137, 147-149, 151-152, 161,

163-165, 272, **(313-317)**, 368,

Ś
Śladkowska Anna – 148, 208, 261, 368,

Š
Šafárik Pavel Josef – 336,

T
Tarnowski Karol – 33,
Taylor R. – 158,
Tazbir Mieczysław – 53,
Tegner Izajasz – 335,
Tepper Piotr – 135,
Thalmann Marianne – 35,
Thorslev Peter L. – 33,
Tiedge August – 335,
Tillich Paul – 32, 49,
Timofiejew Artur – 33,
Tomaszewska Grażyna Bożena – 32, 131,
Tramer Maciej – 136,
Trepiński Antoni – 139,
Trojanowiczowa Zofia – 16, 28, 147,
Trybuś Krzysztof – 30, 46,
Trzpis Henryk – 31,
Turczyn Anna – 59,
Tuwim Julian – 47,
Tyszka Krzysztof – 49,

U
Unger Józef – 158,

V
Vuarnet Jean-Noël – 33,

W
Warzenica-Zalewska Ewa – 59,
Wasilewski Edmund – 28,
Wasilewski Zygmunt – 13, 52,

Wasnetsow Wiktor – 4, 64,
Wasylewski Stanisław – 368,
Weiss Tomasz – 45,
Wende Ewa – 33,
Wesołowska Elżbieta – 43,
Węglarczyk Katarzyna – 218,
Węgrzyn Iwona – 162, 218,
Wiktorowicz Leon – 336,
Wilkońska Paulina – 27, 29, 138, 148, 340, 368,
Wilkoński August – 147,
Wincenty a Paulo, św. – 281,
Windakiewicz Stanisław – 367,
Wiślicki Adam – 10, 162, **(318-319)**, 318,
Witkowska Alina – 19, 21, 29, 46,
Witte Kazimierz – 26, 368,
Witwicki Stefan – 28, 46, 272,
Wojciechowski Konstanty – 130, 367,
Wojciechowski Ryszard – 26, 44,
Wolan Andrzej – 199,
Wolniewicz Bogusław – 59,
Wolski Włodzimierz – 25, 128-129, 131, 134-135, 147, 164-165, 323, 343, 344, 348, 350, 356, 361-362, 368,
Wortman Stefania – 142,
Wójcicki Kazimierz Władysław – 9, 146-147, 156-157, **(191-195)**, 191, 323-324, 340,
Wyder Grażyna – 367,

Y
Yeal James – 157,

Z
Zabielski Łukasz – 4, 43, 45,
Zakrzewski Bogdan – 16, 367-368,
Zaleski Józef Bohdan – 28, 238, 296, 337-340, 342,
Zaleski Michał Wacław (Wacław z Oleska) – 308,
Zatorski Roman – 289,
Zawadzka Danuta – 163,
Zdybał Leszek – 166,
Zdziarski Stanisław – 10, 26, **(296-310)**, 296, 367,
Zeler Bogdan – 30,

Zgorzelski Czesław – 27,
Zieliński Andrzej – 367,
Zieliński Gustaw – 147,
Zieliński Wiktoryn – 128, 130, 164-165,
Ziemięcka Eleonora – 199,
Zmorska Tekla z Parczewskich – 62, 136, 138-142, 144, 151-152, 154, 289, 335, 366-367,
Zmorska Zbigniewa – 27, 139, 335, 367,
Zmorski Masław – 27, 139, 141, 335,
Zmorski Roman (pseud. Mazur Roman) – **(3-374)**, 5-6, 9-11, 13, 18, 26-28, 30-31, 33, 35-36, 42, 48, 55, 65-66, 127-128, 137-138, 141-148, 152-153, 155-163, 169, 172-173, 175, 180, 185, 191, 196, 199, 201, 207, 210, 217, 244, 247, 254, 266-268, 288-289, 297, 304, 306, 309, 312-313, 320, 328, 342, 348, 365-367, 371, 373,
Znamierowska Sylwia – 4,
Zwierkowski Ludwik Lenoir – 150,
Zwierzyński Leszek – 15,
Zwolińska Barbara – 56,
Zygmunt I Stary, król Polski – 202,

Ż

Żeleński-Boy Tadeusz – 53,
Żeleźniak Maksym – 220, 224-226, 229-230, 232,
Żmichowska Narcyza – 26, 56,
Żmigrodzka Maria – 17-18, 22, 47, 129, 148, 208, 261, 368,

W NAUKOWEJ SERII WYDAWNICZEJ „CZARNY ROMANTYZM" DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ:

I. Seweryn Goszczyński, *Zamek kaniowski,* wstęp Halina Krukowska (Białystok 1994, wyd. 2: Białystok 2002).
II. Jarosław Ławski, *Wyobraźnia lucyferyczna. Szkice o poemacie Tadeusza Micińskiego „Niedokonany. Kuszenie Chrystusa Pana na pustyni"* (Białystok 1995).
III. Antoni Malczewski, *Maria. Powieść ukraińska,* wprowadzenie napisali Halina Krukowska i Jarosław Ławski (Białystok 1995, wyd. 2: Białystok 2002).
IV. *Antoniemu Malczewskiemu w 170. rocznicę pierwszej edycji „Marii". Materiały sesji naukowej, Białystok 5-7 V 1995*, pod red. Haliny Krukowskiej (Białystok 1997).
V. Zygmunt Krasiński, *Agaj-Han. Powieść historyczna,* wprowadzenie Zbigniew Suszczyński (Białystok 1998).
VI. *Postacie i motywy faustyczne w literaturze polskiej,* pod red. Haliny Krukowskiej i Jarosława Ławskiego, t. I (Białystok 1999).
VII. *Postacie i motywy faustyczne w literaturze polskiej,* pod red. Haliny Krukowskiej i Jarosława Ławskiego, t. II (Białystok 2001).
VIII. Jarosław Ławski*, Marie romantyków. Metafizyczne wieje kobiecości. Mickiewicz – Malczewski –Krasiński* (Białystok 2003)
IX. *Problemy tragedii i tragizmu. Studia i szkice,* pod. red. Haliny Krukowskiej i Jarosława Ławskiego (Białystok 2005).
X. Bonawentura [August E. F. Klingemann], *Straże nocne,* przeł. Krystyna Krzemieniowa i Maria Żmigrodzka, wstęp Steffen Dietzsch, Maria Żmigrodzka, opr. tekstu, red. tomu Jarosław Ławski (Białystok 2006).
XI. *Apokalipsa. Symbolika – Tradycja – Egzegeza,* pod red. Krzysztofa Korotkicha i Jarosława Ławskiego, t. I (Białystok 2006).
XII. *Apokalipsa. Symbolika – Tradycja – Egzegeza,* pod red. Krzysztofa Korotkicha i Jarosława Ławskiego, t. II (Białystok 2007).
XIII. *Światło w dolinie*. *Prace ofiarowane Profesor Halinie Krukowskiej*, pod red. Krzysztofa Korotkicha, Jarosława Ławskiego, Danuty Zawadzkiej (Białystok 2007).
XIV. *Nihilizm i historia. Studia* z *literatury XIX i XX wieku*, pod red. Mikołaja Sokołowskiego i Jarosława Ławskiego (Białystok 2009).
XV. *Noc. Symbol – Temat – Metafora*, t. I: *Wokół „Straży nocnych" Bonawentury*, pod red. Jarosława Ławskiego, Krzysztofa Korotkicha, Marcina Bajki (Białystok 2011).
XVI. *Noc. Symbol – Temat – Metafora*, t. I: *Noce polskie, noce niemieckie*, pod red. Jarosława Ławskiego, Krzysztofa Korotkicha, Marcina Bajki (Białystok 2012).
XVII. Krzysztof Korotkich, *Wyobraźnia apokaliptyczna Juliusza Słowackiego. Obrazy – wizje – symbole* (Białystok 2011).

XVIII. Tadeusz Miciński, *Walka o Chrystusa*, wstęp, opracowanie tekstu i przypisy Marcin Bajko (Białystok 2011).
XIX. Marek Szladowski, *(Bez)senna egzystencja. Starość Józefa Ignacego Kraszewskiego,* red. tomu Anna Janicka (Białystok 2012).
XX. Grzegorz Kowalski, *Duch w osobie. Bohater w dramatach Juliusza Słowackiego*, red. tomu Jarosław Ławski (Białystok 2012).
XXI. Renata Majewska, *Arkadia Północy. Mity eddaiczne w „Lilli Wenedzie" i „Królu-Duchu" Juliusza Słowackiego*, red. Łukasz Zabielski (Białystok 2013.
XXII. *Starość. Doświadczenie egzystencjalne – temat literacki – metafora kultury,* idea i wstęp Jarosław Ławski, red. Anna Janicka, Elżbieta Wesołowska, Grzegorz Kowalski (Białystok 2013).
XXIII. *Starość. Doświadczenie egzystencjalne – temat literacki – metafora kultury,* idea i wstęp Jarosław Ławski, red. Anna Janicka, Elżbieta Wesołowska, Grzegorz Kowalski (Białystok 2013).
XXIV. August Antoni Jakubowski, *Wspomnienia polskiego wygnańca*, wydanie polsko-angielskie, przekład, wstęp i opr. Jarosław Ławski, Piotr Oczko (Białystok 2013).
XXV. August Ernst F. Klingemann, *Faust. Tragedia w pięciu aktach*, wydanie polsko-niemieckie, przekład i wstęp Edwarda Lubomirskiego, red. tomu, opr. tekstu, przypisy i bibliografia Łukasz Zabielski, wstęp Jarosław Ławski, Steffen Dietzsch, Leszek Libera, Marta Kopij-Weiss (Białystok 2013).
XXVI. Roman Zmorski, *Lesław. Szklic fantastyczny*, opr. tekstu i wstęp Halina Krukowska, red. tomu i opr. *Aneksu* Jarosław Ławski (Białystok 2014).
XXVII. Tomasz August Olizarowski, *Poematy*, z autografów i pierwodruków opr., wstępem poprzedziła Małgorzata Burzka-Janik, red. tomu Małgorzata Burzka-Janik, Jarosław Ławski (Białystok 2014).

W zaproponowanym przez wydawców odczytaniu Zmorski to, jak już zostało nadmienione, twórca oryginalny. Jak powiada Halina Krukowska, pisarz, który radykalizuje i przekracza „czarną wyobraźnię" tanatyczną romantyzmu. Dokonuje się to zarówno w nihilistycznej warstwie światopoglądowej, jak i w poetyce i estetyce, określonych przez autorkę mianem naturalistycznych. Do tej charakterystyki Jarosław Ławski dodaje obraz pisarza i badacza (zwłaszcza Słowiańszczyzny), krytyka, reportażysty, realizującego się na wielu polach działalności twórczej człowieka niezwykłej pasji poznawczej.

Postawiony sobie przez redaktorów serii i wydawców cel przywracania autorów i ich dzieł mało znanych, zapomnianych został zrealizowany w recenzowanej publikacji z powodzeniem. Książka bez wątpienia przyniesie pożytek tak miłośnikom XIX wieku, romantyzmu, jak i badaczom tej epoki, przypominając o fragmencie jej niesłusznie pominiętego dziedzictwa. Wypada tu podkreślić tak kompetencje, jak i inwencyjność autorów opracowań.

Z *Recenzji* dra hab. Michała Kuziaka, prof. UW [Warszawa, UW]

Zmorski od dawna spoczywa w romantycznym archiwum, nie niepokojony przez filologów, etnologów, antropologów… A przecież ten „cygański" poeta ma o wiele więcej do zaoferowania czytelnikowi, niż tylko dwa wiersze, przypomniane nie tak dawno przez Ewę Grzędę, redaktorkę wydanej w 2007 roku antologii *Poezja pierwszej połowy XIX wieku* czy wybór dokonany przez Pawła Hertza w księdze trzeciej *Zbioru poetów polskich XIX wieku*. Znakomicie, że redaktorzy „Czarnego Romantyzmu" wprowadzają w naukowy obieg *Lesława*, który przesuwa interpretacyjne punkty ciężkości z rejonów mazowiecko-mitologiczno-rewolucyjnych w sferę zagadnień o znacznie bardziej natężonej wadze: antropologii romantycznej, podstawowych pytań ontologicznych, recepcji „wielkiej" twórczości polskiej i europejskiej. Książka ma również inne, fundamentalne w moim przekonaniu znaczenie: staje się istotnym dopełnieniem historycznoliterackiego obrazu epoki.

Z *Recenzji* dr hab. Agnieszki Czajkowskiej, prof. AJD [Częstochowa, AJD]

ISBN 978-83-64081-15-6

CZARNY ROMANTYZM